

Kolejny tom serii o policjantach z Lipowa.
Trzymający w napięciu klasyczny kryminał psychologiczny
z mocnym tłem obyczajowym.

KATARZYNA PUZYŃSKA



Z JEDNYM WYJĄTKIEM

Prószyński i S-ka

KATARZYNA
PUZYŃSKA

**Z JEDNYM
WYJĄTKIEM**

Prószyński i S-ka

W serii ukazały się:

**Motylek
Więcej czerwieni
Trzydziesta pierwsza
Z jednym wyjątkiem**

Wkrótce:

Utopce

Dla Barbiny i Krzyśka

A real sacrifice involves a radical change in the character of a game which cannot be effected without foresight, fantasy, and the willingness to risk.

Leonid Shamkovich

Prawdziwe poświęcenie polega na radykalnej zmianie charakteru rozgrywki, która nie mogłaby zostać dokonana bez zdolności przewidywania, fantazji i chęci podjęcia ryzyka.

Leonid Szamkowicz

PROLOG

Brodnica. Piątek, 3 stycznia 2014

Leżał na łóżku niemal bezwładnie.

Strasznie było patrzeć na tego pełnego dotychczas sił witalnych człowieka... teraz zupełnie bezbronno. Jego ciało ginęło niemal wśród tych wszystkich rurek i aparatów, którymi go otoczono.

– Mówią, że z tego wyjdiesz...

Mężczyzna machnął tylko ręką. Oddychał z trudem.

– Muszę wyznać ci prawdę... – powiedział jednak. Wyglądało na to, że każde słowo sprawia mu ból. – Muszę... Zanim odejdę...

– Nigdzie nie odejdiesz. Lekarze mówią, że teraz musisz odpoczywać, a wszystko się jakoś powoli ułoży. Porozmawiamy, jak poczujesz się lepiej, dobrze?

– Nie! Teraz muszę powiedzieć ci, co się tak naprawdę stało... Teraz! – krzyknął niemal. – Rozumiesz? Potem zrobisz z tym to, co uznasz za stosowne...

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

Lipowo i kolonia Żabie Doły.
Poniedziałek, 12 maja 2014. Rano

Młodszy aspirant Daniel Podgórski rozejrzał się po pokoju z uznaniem. Wnętrze utrzymane było w stonowanych kolorach bieli i szarości. Na ścianach wisiały czarno-białe grafiki. Gdziekolwiek tylko pojawiały się dyskretne elementy kolorystyczne, które podkreślały ascetyczny wygląd salonu. Jedyne, co tu nie pasowało, to pastelowy porcelanowy zegar ustawiony na półce z książkami. Poza tym wnętrze było zaskakująco gustowne. Zwłaszcza jak na dom w kolonii Żabie Doły, uznał policjant, rozglądając się dookoła raz jeszcze.

Daniel zaraz skarcił się w duchu za tę drobną uszczypliwość. Powinien zachować większy profesjonalizm. Nawyk był jednak silniejszy. Popegeerowska kolonia Żabie Doły i Lipowo, skąd pochodził Podgórski, od dawna były skonfliktowane. Nie wiadomo, od czego właściwie się zaczęło, ale mieszkańcy obu wsi położonych na wschodnim i zachodnim brzegu jeziora Bachotek dogryzali sobie przy każdej okazji.

Dwie zwaśnione wsie zdecydowanie się od siebie różniły. Być może właśnie to było powodem konfliktu. Lipowo było malowniczą miejscowością z ceglаныmi domkami, starym

kościółem i piękną aleją zacienioną lipowym starodrzewem. Kolonia Żabie Doły zaś, leżąca bliżej Brodnicy, stanowiła dość smutną pozostałość po czasach komunizmu. Przez wiele lat działało tu prężne państwowe gospodarstwo rolne. Teraz z dawnej świetności zostały tylko przypominające pudła betonowe bloczki i dziurawe drogi.

Daniel westchnął w duchu. Prawie rok temu prowadził w Żabich Dołach śledztwo, o którym wolałby zapomnieć. Teraz, chcąc nie chcąc, będzie się musiał do tego miejsca przyzwyczaić na nowo. W ostatnich miesiącach, po restrukturyzacji, tutejszy komisariat policji został zlikwidowany, a tereny niegdyśszego pegeeru znalazły się w gestii posterunku w Lipowie.

Dlatego Podgórski trafił do tego minimalistycznie urządzonego pokoju.

– Nie żyje – stwierdziła ratowniczką medyczna, podchodząc do Daniela.

Lekarka wskazała na wpółleżącą na szarej kanapie kobietę. Staruszka była całkiem słusznej postury. Ostrzyżone na krótko włosy miała pofarbowane na rudawokasztanowy odcień, ale przy skórze na skroniach widać już było siwe odrosty. Ubrana była w kwiecistą bluzkę i jaskrawoczerwone spodnie.

– Jest pani pewna? – zapytał Podgórski zbytecznie. Sam widział, że kobieta nie żyje. Nie potrzeba było do tego studiów medycznych. Czuł jednak, że powinien coś powiedzieć.

– Oczywiście – odparła ratowniczką. – Pani Małgorzata Głuszyńska nie żyje. I to już od jakiegoś czasu.

Daniel westchnął cicho i zrobił krok w stronę ciała. Zadrżał. Nie potrafił przyzwyczaić się do widoku śmierci, mimo że miał już całkiem spore doświadczenie w tych sprawach. Uczucie lekkości, które towarzyszyło mu, kiedy wychodził dziś rano z dworku Weroniki Nowakowskiej, minęło bezpowrotnie.

Policjant starał się przywołać beztroską radość poranka, żeby poprawić sobie nastrój. Rano podjął decyzję. Zamierzał oświadczyć się Weronice. Małżeństwo to było coś, czego pragnął już od jakiegoś czasu. Miał też nadzieję, że gdy już uporządkuje tę sferę życia, znajdzie odpowiedzi na inne pytania. A pytań bez odpowiedzi było przecież sporo.

Kilka miesięcy temu Podgórski dowiedział się, że ma nastoletniego syna. Łukasz był synem policjantki, z którą Daniel spotykał się jeszcze w szkole policyjnej pod Warszawą. Emilia Strzałkowska dopiero w tym roku zdecydowała się wyjawiać Danielowi prawdę.

Policjant ciągle nie wiedział, co właściwie czuje w związku z całą tą sprawą. Emilia wprawdzie nie wywierała na nim presji. Daniel czuł jednak, że powinien bardziej się postarać. Jak do tej pory chyba niezbyt dobrze umiał odnaleźć się w zaistniałej sytuacji. Musiał przyznać, że jego relacje z Łukaszem nie były najlepsze. Obaj patrzyli na siebie podejrzliwie, ilekroć się spotykali. Na pewno nie był to filmowy happy end, w którym ojciec i syn skaczą sobie w ramiona ze łzami szczęścia w oczach.

Łukasz najwyraźniej nie ufał Danielowi. Podgórski wiedział, że to on jako rodzic powinien coś z tym zrobić, ale wszystko się w nim buntowało. Nie tak to sobie przecież wyobrażał. Chciał mieć żonę (byłoby świetnie, gdyby Weronika go przyjęła) i dzieci (byłoby równie fantastycznie, gdyby Weronika także chciała je mieć). Jak wpasować do tej układanki Łukasza Strzałkowskiego? Jak dopasować do tej układanki Emilię?

– Możemy chwilę porozmawiać na osobności? – spytała cicho lekarka, wrywając Daniela z zamyślenia.

Ratowniczka medyczna spojrzała wymownie na stojącą pod ścianą sąsiadkę zmarłej Małgorzaty Głuszyńskiej. Kobieta nazywała się Barbara Krakowiak. Była chuda i żylasta. Siwe włosy okalały jej pociągłą twarz. To ona wezwała pogotowie i policję, kiedy znalazła Głuszyńską martwą tego ranka. Barbara Krakowiak przyglądała się teraz ciału bez większych emocji. Jakby śmierć znajomej nie zrobiła na niej większego wrażenia.

– Oczywiście – powiedział Daniel i również zerknął na sąsiadkę zmarłej.

Pani Krakowiak zorientowała się chyba, że szeptana wymiana zdań może jej dotyczyć, bo spojrzała na Podgórskiego znad okrągłych okularów. Policjant nie mógł oprzeć się wrażeniu, że pani Krakowiak wygląda w nich jak nieco starsza, damska

wersja Johna Lennona. Z pewnością nie przypomina typowej mieszkanki kolonii Żabie Doły, uznał Daniel i zaraz skarcił się w duchu za kolejny przytyk do popegeerowskiej miejscowości.

– Czy to był atak serca? – zapytała Barbara Krakowiak. Nadal wpatrywała się w Podgórskiego intensywnie. – Tak pomyślałam, kiedy weszłam tu dziś rano.

– Proszę chwileczkę poczekać – odparł policjant uprzejmie. Skinął głową lekarce, żeby wyszli na dwór, aby tam kontynuować rozmowę. – Zaraz do pani wrócę, dobrze?

– Oczywiście.

Daniel i lekarka wyszli, zostawiając panią Krakowiak nad ciałem sąsiadki. Stanęli obok karetki. Było cicho. A przecież karetka przyjechała tu na sygnale dosłownie kilka minut temu. Pacjentce nie można było już pomóc, więc zapanowało dziwne odrętwienie. Jeden z ratowników medycznych ukrył się w cieniu przekwitającego kasztanowca, który zajmował sporą część ogrodu. Mężczyzna spokojnie palił papierosa, jakby nie przeczyło to w najmniejszym stopniu jego zaszczytnej profesji.

Na ich widok z radiowozu wysiadł młody Marek Zaręba, który przyjechał na wezwanie razem z Danielem. Marek miał podkrążone oczy. Widocznie kilkumiesięczna córeczka nadal dawała mu się we znaki. Dziewczynka nie sypiała podobno zbyt dobrze.

Myśli Daniela powędrowały z powrotem do Łukasza. Czy Podgórski mógł być dla niego ojcem, jeżeli do tej pory wcale nie był obecny w życiu chłopaka? Nie wstawał do niego w nocy, nie opatrywał stłuczonego kolana, nie uczył jazdy na rowerze ani gry w piłkę. Nic. Kolejne pytanie było jeszcze bardziej przerażające. Czy Daniel w ogóle potrafił być ojcem? To chyba właśnie było kluczowe pytanie.

– Co się dzieje, szefie? – zapytał Marek Zaręba z właściwym sobie entuzjazmem. Młody był stworzony do roli policjanta. Nigdy nie tracił energii do działania.

Podgórski skinął na niego. Zaręba podszedł szybkim krokiem.

– Co pani chciała mi powiedzieć, pani doktor? – zapytał Daniel ratowniczką medycznej. – Sąsiadka twierdzi, że pani Głuszyńska miała kłopoty z sercem. Czy rzeczywiście powodem

śmierci był zawał? Ma pani jakieś wątpliwości?

Krótkowłosa lekarka oparła się o drzwi karetki.

– Nie jestem patologiem sądowym, ale swoje widziałam – stwierdziła sentencjonalnie. – Zanim zaczęłam pracować tutaj, kilka lat jeździłam w karetce w Bydgoszczy. Dlatego mam wrażenie, że wiem, co było przyczyną śmierci tej kobiety. A nie był to zawał. Oczywiście mogą się mylić...

Podgórski odetchnął głęboko. To krążenie wokół tematu zaczynało działać mu na nerwy. Ostatnio miał niestety coraz mniej cierpliwości. Pokładał wielkie nadzieje w tym, na co się zdecydował. Poprosi Weronikę o rękę, a może potem wszystkie elementy jego życia wrócą na swoje miejsce. Włącznie z cierpliwością.

– Co takiego pani odkryła? – zainteresował się Marek.

Lekarka przetarła ręką twarz.

– Chodzi o to, że...

– Czy ja będę jeszcze państwu potrzebna?

Wszyscy odwrócili się zaskoczeni. Nikt z nich nie usłyszał, że sąsiadka zmarłej wyszła z domu. Barbara Krakowiak spoglądała na nich znad swoich lenonek.

– Trochę niezręcznie się czuję, czekając tam w salonie z Małgorzatą... kiedy ona nie żyje – dokończyła kobieta. Jej siwe włosy tańczyły na lekkim wietrze. – Jeżeli będziecie mnie potrzebować, jestem przecież w domu obok. Nigdzie się nie wybieram. Przynajmniej na razie. Potem może pojedę do Brodnicy.

Barbara Krakowiak wskazała swój dom. Jak na warunki kolonii Żabie Doły zarówno dom zmarłej Małgorzaty Głuszyńskiej, jak i jej sąsiadki były w całkiem dobrym stanie, chociaż na pewno nie można było uznać ich za ładne. Panie mieszkały nieco na uboczu wsi i chyba starały się dbać o swoje otoczenie. Tylko opuszczona rudera, która straszyla po drugiej stronie drogi, psuła efekt ich starań.

– Oczywiście, nie ma problemu – zreflektował się Podgórski.

– Przepraszam. Niech pani wraca do siebie. Dziękuję za pomoc.

Pani Krakowiak skinęła głową i odeszła szybkim krokiem.

– Zauważyła pani coś niepokojącego – przypomniał młody Marek Zaręba, kiedy tylko Barbara Krakowiak zniknęła za drzwiami swego domu.

Lekarka pokiwała głową.

– Nie chcę krakać, ale chyba to nie była śmierć... naturalna – powiedziała z naciskiem. Nadal stała oparta o samochód, jakby miał dodać jej sił. – Chociaż oczywiście to lekarz sądowy wyda ostateczną opinię. W każdym razie ja uważam, że to nie była śmierć naturalna. A już na pewno nie zawał.

Policjanci spojrzeli po sobie.

– Dlaczego pani tak sądzi?

Lekarka nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ na nieogrodzoną posesję Małgorzaty Głuszyńskiej wkroczył pewnym krokiem ubrany w skórzaną kamizelkę mężczyzna. Długie włosy miał związane w kucyk, który zwisał luźno na plecach.

– Miłosz Janiszewski, „Prawdziwy Głos” – przedstawił się szybko mężczyzna.

„Prawdziwy Głos” był brukowcem, który działał w Brodnicach od kilku lat. Prawie nikt nie przyznawał się do tego, że go czytuje. Gazeta miała się jednak dobrze, więc najwyraźniej spragnionych sensacji czytelników nie brakowało.

– Co tu się dzieje? – zapytał dziennikarz, wyciągając z kieszeni skórzanej kamizelki niewielki aparat fotograficzny.

Lekarka spojrzała na Miłosza Janiszewskiego spłoszona. Daniel Podgórski znowu westchnął. Obecność dziennikarza wcale mu się nie podobała.

– Proszę pozwolić nam pracować w spokoju – powiedział Daniel uprzejmie. Przynajmniej miał nadzieję, że zabrzmiało to uprzejmie. – Nic wielkiego się nie dzieje.

– Doprawdy? – odparł dziennikarz z rozbawieniem.

Błysnął flesz małego aparatu. Młodszy aspirant Daniel Podgórski zerknął na Marka Zarębę. Nie rozumiał, jak Miłosz Janiszewski mógł zwietryć trop tak szybko. Przecież policjanci dopiero teraz dowiedzieli się, że ktoś mógł pomóc Małgorzacie Głuszyńskiej zejść z tego świata. Zaręba skinął nieznacznie głową. Chyba on także uważał, że prawdopodobnie będą potrzebowali wsparcia. Daniel sięgnął po telefon.

Stanisław Szczepański rozejrzał się po swoim gabinecie. Wszystko było tu zupełnie nowe. Ściany lśniły bielą, a na eleganckich biurowych meblach nie zdążyła osiąść najmniejsza drobinka kurzu. Na półkach stały przygotowane na dokumentację segregatory. Komputer pracował cicho na biurku. Jednym słowem wszystko było gotowe. Wszystko oprócz... Stanisław wolał nie kończyć myśli.

Brod-Dysk to było jego dziecko. A może nawet więcej? Stanisław Szczepański zainwestował w nowy zakład wytwórczy większość swojego majątku i miał wielką nadzieję, że ta inwestycja się zwróci. Mogło tak być. Bez wątpienia. Był tylko jeden mały problem. Zakład nie mógł rozpocząć produkcji.

– Cholera jasna – mruknął Szczepański.

Zerknął w lustro. Musiał się trochę uspokoić. Zdenerwowanie na pewno nie pomagało.

– Jestem właściwym człowiekiem na właściwym miejscu – powiedział do swojego odbicia Stanisław. To była mantra, której kiedyś nauczył się na studiach. Przydała mu się w życiu niejedyn raz. – Jestem właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Jestem właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

Stanisław Szczepański czuł, że powoli ogarnia go względny spokój. Spojrzał na swoje odbicie raz jeszcze. Miał lekko kręcone, modnie obcięte włosy. Garnitur w intensywnym fioletowym odcieniu był nowym nabytkiem. Oczywiście wyszedł spod ręki znanego projektanta. W lustrze Stanisław widział obraz człowieka sukcesu.

Właściwy człowiek na właściwym miejscu. Uspokoilo go to całkowicie. Stanisław Szczepański nie był mężczyzną, który łatwo się poddaje. Wiedział, że jest gotów zrobić wszystko, żeby Brod-Dysk mógł nareszcie rozpocząć produkcję. I zrobi to.

Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer wewnętrzny do Liliany Brzezińskiej, chociaż wystarczyło otworzyć drzwi gabinetu i krzyknąć. Jego współpracownica była przecież dwa pokoje dalej. Oprócz nich dwojga biuro świeciło na razie

pustkami. Przychodziła tu tylko asystentka, która pomagała im w nieistniejącej na razie organizacji zadań.

Pustka była na tyle przygnębiająca, że Szczepański wolał dzwonić do Lilianny, zamiast oglądać puste korytarze. Miał nadzieję, że to się wkrótce zmieni i biuro zacznie tętnić życiem. Nie mógł sobie przecież pozwolić na więcej strat.

– Tak? – odezwała się Liliana Brzezińska.

Jej głos brzmiał jak zwykle profesjonalnie. Idealna rzeczniczka prasowa dla nieźle funkcjonującego zakładu przemysłowego średniej wielkości. Kłopot polegał na tym, że zakład jeszcze nie działał.

– Cholera jasna – mruknął Stanisław Szczepański znowu.

– Stanisław? – spytała Liliana zaskoczona.

– Przepraszam. Zamyśliłem się – wyjaśnił szybko Szczepański. – Jak wygląda sytuacja z Janiszewskim? Już się tu kręci?

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Mogli przecież porozmawiać bezpośrednio, ale Szczepańskiego opanowała dziwna niemoc. Jakby zmęczenie nie pozwoliło mu przejść tych kilku kroków do gabinetu koleżanki.

– Dzisiaj go jeszcze nie było – wyjaśniła Liliana po chwili.

– A ekolodzy?

– Też cisza.

– To świetnie.

Stanisław Szczepański poczuł, że energia powoli wraca. Może wreszcie wyjdą na prostą. To naprawdę najwyższy czas, żeby Brod-Dysk ruszył z produkcją.

Komisarz Klementyna Kopp zaparkowała swoją małą czarną skodę przy rozłożystym kasztanowcu. Kilka drobnych białych kwiatków spadło na przednią szybę. Zaraz jednak poleciały dalej gnane wiosennym wiatrem. Klementyna sięgnęła po plecak, który leżał na tylnym siedzeniu samochodu, i wydobyła z niego butelkę coli. Pociągnęła długi łyk. Zdążyła poznać Żabie Doły podczas jednej ze spraw, którą prowadziła niespełna rok temu. Teraz znowu tu była. Historia zatoczyła kolejne koło.

– No to chyba jesteście. Miło, że mnie podwiozłaś, Klementyna – odezwał się prokurator Leon Gawroński z siedzenia pasażera. – Szkoda jeździć dwoma samochodami. Następnym razem się odwzięczę. Dobrze?

Klementyna Kopp wzdrygnęła się rozeźlona. Co to ma być, pomyślała. Jakaś forma towarzyskiej rozmówki, co? Nowy prokurator działał Klementynie na nerwy od momentu, kiedy tylko się poznali.

Policjantka nie była do końca pewna, dlaczego właściwie Gawroński tak ją irytował. Może chodziło o ten jego krok, zastanawiała się komisarz Kopp. Zamaszysty krok w wypielęgnowanych, eleganckich butach. Krok, który wyrażał niezachwianą pewność, że prokurator jest samcem alfa. W jakimkolwiek stadzie by się znalazł.

Samce alfa, prychnęła w duchu Klementyna. Nienawidziła takich mężczyzn. Zbyt wiele razy widziała, co tacy jak Gawroński potrafią zrobić kobiecie.

– To chyba bierzemy się do pracy – spróbował znowu prokurator i rzucił Klementynie uśmiech prowincjonalnego George’a Clooneya.

Policjantka ze złością owinęła szyję długim szarym szalem. Musiała znosić tego faceta od początku roku, kiedy to prokurator Jacek Czarnecki przeszedł na emeryturę. Komisarz Kopp przeklinała ten dzień. Przedtem miała względny spokój. Czarnecki dawał jej wolną rękę. Nie mieszał się w jej metody prowadzenia śledztwa. Ale! Nie ma co się martwić na zapas, uznała. Gawroński też będzie musiał się tego nauczyć. Nie wchodzić jej w drogę.

– Gotowa?

Prokurator Leon Gawroński westchnął, nie doczekawszy się odpowiedzi. Wysiadł z samochodu. Obszedł maskę i spróbował otworzyć drzwi kierowcy. To chyba miał być szarmancki gest prawdziwego dżentelmena. Niedoczekanie.

Komisarz Klementyna Kopp błyskawicznie zamknęła drzwi. Nie zamierzała pozwolić, żeby prokurator Gawroński sprowadził ją do poziomu jakiegoś podlotka. Była na to zdecydowanie za stara. Odetchnęła głębiej. Oczekała kilka

sekund i otworzyła drzwi. Sama. Z godnością.

– Słyszałem, że ten Daniel Podgórski z lokalnego komisariatu całkiem nieźle sobie radzi – zagadnął znowu prokurator, zbliżając się do Klementyny. – Kiedy przejmowałem sprawy, Czarnecki trochę mi o nim opowiedział. Podobno chłopak ma potencjał. To prawda?

Klementyna wzruszyła tylko ramionami. Nie zamierzała tracić ani chwili. Nawet w obronie Daniela. Podgórski sam sobie poradzi, jeżeli zajdzie potrzeba. Poza tym Klementyna zamierzała być bardzo, bardzo ostrożna w kwestii Daniela. Nie chciała znowu wyjść na idiotkę. Była na to za stara. Zdecydowanie. Klementyna wołała nawet nie myśleć o tym, że za kilka dni skończy okrągłe sześćdziesiąt lat. Ona? To wydawało się co najmniej niemożliwe.

Komisarz Kopp ruszyła szybkim krokiem w kierunku domu zmarłej Małgorzaty Głuszyńskiej. Najlepiej było nie myśleć o nadchodzących urodzinach, uznała policjantka w duchu. Potarła szybko szczęśliwy tatuaż. To była tradycja, z której w żadnym wypadku nie zamierzała rezygnować. Raz jeden to zrobiła i śledztwo zakończyło się fiaskiem. Drugi raz nie zamierzała popełnić tego samego błędu.

– To chodźmy na miejsce przestępstwa – rzucił za policjantką prokurator Leon Gawroński. Chciał chyba stworzyć iluzję, że kontroluje sytuację. Niedoczekanie.

Daniel Podgórski i młody Marek Zaręba czekali przed wejściem do domu zmarłej. Kwitnący kasztanowiec rzucał długi cień na niewielki betonowy ganek. Wiatr znowu powiał mocniej. Wiszące przy stropie doniczki zakołysały się niebezpiecznie. Kilka płatków czerwonej pelargonii spadło na drucianą wycieraczkę.

Małgorzata Głuszyńska mieszkała w ostatnim domu po zachodniej stronie kolonii Żabie Doły. Dalej było już tylko pole i coś w rodzaju niewielkiej fabryki. Klementyna rzeczywiście jakiś czas temu słyszała, że coś mieli tu wybudować. Ale nie pamiętała dokładnie, co to miał być za zakład. Policjantka nie wiedziała też, czy fabryczka zaczęła już coś produkować. Cokolwiek to miało być.

Daniel skinął Klementynie głową i wyciągnął rękę do prokuratora Gawrońskiego.

– Młodszy aspirant Daniel Podgórski z posterunku w Lipowie – przedstawił się. – To jest starszy sierżant Marek Zaręba. To my byliśmy pierwsi na miejscu zdarzenia. Przyjechaliśmy na wezwanie sąsiadki zmarłej kobiety. Doktor Koterski i technicy już tu są.

– Leon Gawroński – przedstawił się prokurator i uściśnął rękę policjanta. – Będę prowadził to postępowanie przygotowawcze. No to zobaczmy, jak się sprawy mają.

Klementyna Kopp weszła do domu, nie czekając na dalsze powitania. Jeżeli miała prowadzić tę sprawę, chciała zobaczyć wszystko pierwsza. O ile to w ogóle była sprawa. O ile ten fircyk w garniturze, prokuratorzyna Gawroński, nie będzie jej rzucał kłód pod nogi.

W salonie czuć było lekki powiew. Klementyna rozejrzała się szybko. Nic dziwnego, że wiało. Wszystkie okna były otwarte. Na oścież. Wszędzie kręcili się już technicy, a lekarz sądowy kucnął skupiony przy ciele. To by było na tyle, jeżeli chodzi o oglądanie wszystkiego w spokoju. Jako pierwsza.

Klementyna Kopp zakłęła cicho pod nosem. Znowu potarła szczęśliwy tatuaż. Może za pierwszym razem nie zadziałało, jak trzeba. Dopełniwszy obowiązku, zbliżyła się do pracującego przy ciele patologa.

– Cześć, Klementyna – przywitał się doktor Zbigniew Koterski. Wstał z kłęczek, stękając cicho.

Komisarz Kopp nieznacznie skinęła mu głową i spojrzała na trupa. Według dokumentów, które policjantka przeglądała przed przyjazdem na miejsce, Małgorzata Głuszyńska miała osiemdziesiąt cztery lata.

Klementyna przyjrzała się jej krytycznie. Denatka nie wyglądała, jakby przeżyła ponad osiem dekad. Komisarz Kopp była ponad dwadzieścia lat młodsza. Ale nagle odniosła wrażenie, że jej własna twarz wygląda nieskończenie starzej.

Za stara na co? Na flirty i miłości? Nie żeby to miało już jakiegokolwiek znaczenie. Czasy wielkich miłości minęły. Klementyna nie chciała po raz kolejny... Nieważne. Miała swoje

wspomnienia o Teresie i to musiało wystarczyć. Teresa. Jej jedyna wielka miłość. Tyle.

– Okej. No dobra. Wiadomo już coś, co? – zapytała Koterskiego, żeby zakończyć jałowe rozważania.

Lekarz sądowy przejechał dłonią po kasztanowych włosach.

– Co do przyczyny zgonu... wołałbym wypowiedzieć się już po sekcji – powiedział ostrożnie. – Ale zobacz tutaj. Znalazłem coś interesującego.

Doktor Koterski rozchylił nieco kwiecistą koszulę zmarłej. Komisarz Klementyna Kopp spojrzała na pomarszczony mijającymi latami dekolt Małgorzaty Głuszyńskiej. Na lewej piersi zauważyła tatuaż.

– Czekaj. Stop. Całkiem świeża dziara – wyrwało jej się. – A to ciekawe!

Tymczasem do ciała podszedł prokurator Gawroński. On też spojrzał zaintrygowany na dekolt Małgorzaty Głuszyńskiej. Klementyna z trudem powstrzymała się, żeby nie odepchnąć natręta. Ale przecież nie mogła zacząć tej sprawy od oskarżenia o pobicie prokuratora. Komendant mógłby uznać, że tym razem przesadziła. A tego nie chciała. W końcu była za stara.

– Co to za napis? Ktoś coś z tego rozumie? – zapytał Gawroński, rozglądając się po zebranych. – Ktoś umie to odczytać?

– Nikomu nie przychodzi do głowy, co może znaczyć ten tatuaż – przyznał Daniel Podgórski, który stanął kawałek dalej.

Klementyna próbowała rozszyfrować napis. Jednak nie było to łatwe.

– Pani Kopp, możemy już się zabrać za ten stolik? – zapytał szef techników kryminalnych z tym swoim lisim uśmiechem.

Pani Kopp? Klementyna wzdrygnęła się nieznacznie. Była pewna, że szef techników nazwał ją tak specjalnie. Wiedział, że tego nienawidzi. Od dawna ich relacje nie były zbyt ciepłe. Czasem ją to męczyło, ale starała się o tym nie myśleć. Tym razem też postanowiła w żaden sposób nie reagować.

– Czekaj. Stop. Chcę najpierw zobaczyć, co i jak – odparła z wystudiowanym spokojem. – Potem zrobicie swoje.

Obok kanapy, na której została usadzona zmarła, stał

niewielki stolik brydżowy. Rozłożono na nim szachownicę z rozpoczętą partią. Wyglądało na to, że Małgorzata Głuszyńska grała czarnymi bierkami, a druga osoba białymi. Obok szachownicy pyszniły się talerze z ciasteczkami i dzbanek z zimną już teraz herbatą. Po stronie, gdzie siedziała Małgorzata Głuszyńska, stała filiżanka. Przy drugim stanowisku nie było ani filiżanki, ani kubka, ani nawet talerzyka. Nic. Null.

Klementyna zajrzała ostrożnie do filiżanki, z której prawdopodobnie piła zmarła. Na dnie zostało jeszcze trochę brunatnego płynu. Na wierzchu pływał osad.

– Chcę mieć analizę tego, co jest w tej filizance – rzuciła policjantka. – I to szybko.

– Oczywiście, pani Kopp – odparł technik natychmiast. Jego głos wręcz ociekał sarkazmem. – Sam bym na to nie wpadł. Dziękuję serdecznie.

Klementyna zerknęła w jego stronę niechętnie.

– Wygląda na to, że Małgorzata Głuszyńska miała gości – podsumował z uśmiechem amanta Leon Gawroński.

Prowincjonalny George Clooney czuł chyba, że musi się wtrącić, żeby powstrzymać ewentualną eskalację konfliktu pomiędzy komisarz Kopp a szefem techników. Może i miał rację. Klementyna nie była najlepsza w trzymaniu nerwów na wodzy. Nigdy nie twierdziła, że jest inaczej.

– Sprawdźcie też ten fotel po drugiej stronie stolika – dokończył prokurator. – Nigdy nie wiadomo, prawda? Gość Głuszyńskiej może był, a może nie był zamieszany w sprawę. Warto jednak sprawdzić, prawda?

– Tylko Głuszyńska piła tę herbatę, co? – zapytała Klementyna w zamyśleniu.

– Co masz na myśli?

– To raczej dość dziwne, że jest tylko jeden kubek, co? Jeżeli Głuszyńska zaprosiła kogoś na podwieczorek, czemu naląła herbaty tylko sobie? Czy tak postępują dobrze wychowane starsze panie, co?

– Jeżeli mogę się wtrącić, pani Kopp – powiedział szef techników kryminalnych, odchrząkując lekko.

Pani Kopp po raz trzeci. Klementyna spojrzała na mężczyznę ostro.

– Co?

– W kuchni znaleźliśmy taką samą filiżankę – wyjaśnił technik. Uśmiechnął się niedbale. – Te dwie filiżanki to chyba był komplet z tym dzbankiem do herbaty, który stoi tu na stoliku. Sprzedają takie w supermarkecie. Moja żona ostatnio kupiła coś takiego.

Klementyna Kopp popatrzyła na technika z nowym zainteresowaniem.

– Gdzie jest ta druga filiżanka, co?

– Spakowaliśmy ją już do sprawdzenia – wyjaśnił szybko mężczyzna. – Wygląda na to, że jest umyta, więc chyba nic z tego nie będzie. Nawet jeżeli to zabójca z niej pił.

– Ta druga filiżanka była w szafce kuchennej – dodał Daniel Podgórski.

– Gdzie? – spytała z niedowierzaniem komisarz Kopp.

Podgórski ruszył w stronę kuchni. Klementyna poszła za nim. Współpraca z Danielem na pewno była znośniejsza niż z prokuratorem Gawrońskim i szefem techników.

Kuchnię urządzono równie minimalistycznie jak salon. Nie było tu ani jednej niepotrzebnej ozdóbki. Komisarz Kopp nie mogła uwierzyć, że Małgorzata Głuszyńska sama zaprojektowała tę przestrzeń. Wszystko było jak z katalogu i kompletnie nie pasowało do przesadnie zdobnej kwiecistej koszuli, w którą zmarła była ubrana.

Daniel wskazał szafkę nad zlewem. Klementyna zdjęła plecak i wyjęła z niego lateksowe rękawiczki. Technicy może i już tu pracowali. Mimo to nie zamierzała ryzykować.

– Tu wszystko było takie pootwierane, co? – zapytała Klementyna, wskazując kuchenne okno.

– Jak przyszliśmy, to tak. Wszystkie okna po tej stronie domu były otwarte – wyjaśnił Podgórski. – Druga filiżanka z zestawu stała tu.

Klementyna Kopp otworzyła szafkę. Jej oczom ukazały się poustawiane w równych rzędach talerze.

– Dziwne – mruknęła policjantka.

Zacząła metodycznie przeglądać pozostałe szafki.

– Ciekawe...

– Poczekaj, aż zobaczysz sypialnię – powiedział tymczasem Daniel.

Wyszli z powrotem na korytarz. Głosy prokuratora i szefa techników dobiegały gdzieś z prawej strony. Klementyna spojrzała pytająco na Daniela. Policjant skinął tylko głową. Uśmiechnęła się do niego. Lubiała konkrety.

– Klementyna, chodź no tu! – zawołał Leon Gawroński z sypialni. – Chyba mamy włamanie. Sama zobacz.

Komisarz Kopp zajrzała do sypialni. Pokój zasadniczo różnił się od reszty domu. W salonie i kuchni dominował minimalistyczny, stonowany styl. Sypialnia zaś, może dla odmiany, przeładowana była najrozmaitszymi bibelotami. Jakby Małgorzata Głuszyńska niedawno wyremontowała salon i kuchnię, a niepotrzebne przedmioty wrzuciła do sypialni. Trudno było odnaleźć w tym jakiś sens. Ale! W końcu ludzie robili znacznie głupsze rzeczy.

Większość tych gratów była teraz porozrzucana po podłodze. Klementyna próbowała wyłowić z tego jakiś istotny szczegół. Porcelanowe kotki w pastelowych odcieniach, kwiatki, wstążki, długopisy, flakoniki z perfumami. Nawet czarne ptasie pióro i zardzewiała podkowa. Wszystko było skotłowane i wymieszane z ubraniami, które z pewnością należały do starszej kobiety, sądząc po dość siermiężnym stylu.

– Ostrożnie, bo tu jeszcze nie skończyliśmy – poinstruował szef techników. – W każdym razie sami widzicie. Wygląda na to, że ktoś tu czego szukał. I to intensywnie.

– I nie miał zamiaru po sobie posprzątać – zażartował młody Marek Zaręba, który właśnie stanął w drzwiach. – Albo nie miał czasu.

– Może mu po prostu nie zależało – zaproponował Daniel Podgórski.

– Czy ja wreszcie dostanę odpowiedzi na moje pytania? – rozległo się z salonu. – Miłosz Janiszewski, „Prawdziwy Głos”. Moi czytelnicy mają prawo wiedzieć, co tu się dzieje! Żądam jakichś wyjaśnień.

– Kto wpuścił pismaka, co?! – krzyknęła komisarz Klementyna Kopp.

Policjantka czuła, że ogarnia ją niepohamowana fala gniewu. Po jej miejscu zdarzenia kręcił się najbardziej wścibski dziennikarz Brodnicy. Jakby nowy prokurator o aparycji fircyka to było za mało.

Weronika Nowakowska stanęła na środku placu do jazdy konnej, który zbudowali z Danielem Podgórskim w marcu. Mieli przy tym sporo zabawy, ale też kilka nieuniknionych kłótni, kiedy prace szły niezupełnie tak, jak to sobie zaplanowali. Najwięcej czasu zajęło im usunięcie korzeni pewnego niezwykle upartego krzewu, który był już od dawna suchy, ale nadal trzymał się ziemi z całych sił. Plac nie był jeszcze do końca taki, jak Weronika to sobie wymarzyła, ale był kolejnym krokiem, który zbliżał ją do otworzenia własnego klubu jeździeckiego.

O klubie jeździeckim Weronika marzyła od dawna. Kiedy przyjechała do Lipowa ponad rok temu, sądziła, że po kilku miesiącach stajnia będzie działała pełną parą. Niestety życie zweryfikowało te marzenia.

Nowakowska nie poddawała się. Postanowiła zastosować metodę mniejszych kroków, które ostatecznie zaprowadzą ją do sukcesu. Zaczęła od kupna drugiego konia, który miał się stać towarzyszem dla Lancelota i służyć do nauki jazdy. Nowakowska udzielała kilku prywatnych lekcji tygodniowo. Na duże grupowe zajęcia przyjdzie jeszcze czas. To będzie kolejny krok.

Weronika patrzyła uważnie na stępującą wokół niej uczennicę. Dziewczyna miała jakieś osiemnaście lat i nazywała się Nikola Szczepańska. Przychodziła na lekcje jazdy od kilku miesięcy. Z tego, co Weronika zdążyła zauważyć, ciemnowłosa Nikola była przyzwyczajona, że wszyscy robią to, czego ona sobie zażyczy. Było to dość irytujące, ale Weronika nie miała na razie zbyt wielu klientów. Musiała więc pogodzić się z humorami uczennicy.

– Delikatniejsza ręka – poinstruowała Nikolę, kiedy ta zbyt mocno szarpnęła za wodze. – Niech koń już teraz swobodnie opuści szyję. Kończymy na dzisiaj.

Nikola Szczepańska nadspodziewanie posłusznie odpuściła wodze. Weronika odetchnęła z ulgą. Początkowo udzielała lekcji na ukochanym Lancelocie, później jednak postanowiła dokupić drugiego konia i tak do stajni trafił Kofi.

Kofi był może niezbyt urodziwy, ale za to bardzo zdyscyplinowany. Nie miał jednego z przednich zębów, co razem z opadającą na oczy rudą grzywką dodawało mu zadziorności, ale i uroku. Teraz najczęściej to właśnie nowy mieszkaniec stajni odgrywał rolę konia-profesora, podczas gdy Lancelot z zadowoleniem przeżuwał trawę na padoku obok placu do jazdy.

– I jak poszło dzisiaj Nikolce? – zapytała matka uczennicy.

Kobieta nazywała się Nadia Trojanowska. To ona zazwyczaj przywoziła Nikolę na lekcje jazdy. Często przyjeżdżał z nimi również ojczym Nikoli, Franciszek.

Trojanowscy stanowili dziwną parę. Nadia była bardzo wysoka. Zwłaszcza jak na kobietę. Mogła mieć nawet powyżej stu dziewięćdziesięciu centymetrów. Miała szczupłą sylwetkę i twarz o oryginalnym androginicznym charakterze. Franciszek Trojanowski natomiast stanowił całkowite przeciwieństwo żony. Był niski i zupełnie niepozorny. Łysiał na czubku głowy, co starał się zasłonić, zaczesując resztkę włosów na błyszczącą łysinę.

– Nikolka, jak lekcja? – zawołał Franciszek do dziewczyny, wtórując żonie. – Fajnie chyba było, prawda?

Nikola Szczepańska jak zwykle nie zaszczyciła Franciszka najdrobniejszą odpowiedzią. Zamiast tego rzuciła mu tylko nienawistne spojrzenie. Weronice natychmiast zrobiło się szkoda Trojanowskiego. Niepozorny mężczyzna musiał mieć smutne życie. Ani Nadia, ani Nikola nie zdawały się darzyć go zbyt ciepłymi uczuciami.

– Będziemy musiały popracować jeszcze nad kłusem ćwiczebnym. Są pewne problemy z dosiadem – powiedziała Nowakowska do Franciszka Trojanowskiego. Czowała potrzebę,

żeby jakoś pomóc temu zagubionemu mężczyźnie. – Ale poza tym wszystko poszło bardzo dobrze. Nikola ma talent do jazdy konnej. Naprawdę robi postępy.

Weronika nie musiała nawet kłamać. To była prawda. Nikola rzeczywiście robiła postępy. Dziewczyna była z jednej strony rozpieszczona, ale z drugiej niesamowicie zdyscyplinowana. Widać było, że jak się czegoś podejmie, będzie dążyła do sukcesu za wszelką cenę.

– Myślałam, że Nikolka będzie mogła zacząć się przygotowywać do zawodów – wtrąciła się Nadia Trojanowska. Poprawiła opadające na twarz włosy w kolorze burgunda. – Mój mąż... to znaczy mój były mąż zastanawia się nad kupnem konia dla Nikoli.

– Daj spokój – zachnął się Franciszek Trojanowski, zadając kłam swojemu wyglądowi. – Nie mieszejmy w to Stanisława. Zapomnij o nim. Teraz to my jesteśmy rodziną. Już mówiłem, że to ja kupię konia dla Nikoli. Jeżeli tylko Nikola zechce.

Sama zainteresowana zatrzymała tymczasem Kofiego tuż obok Weroniki. Koń dotknął twarzy Nowakowskiej chrapami i dmuchnął delikatnie. Weronika uśmiechnęła się do zwierzaka. Dała mu kostkę cukru, którą przygotowała sobie na taką właśnie okazję. Igor zaszczeakał zazdrośnie zza ogrodzenia maneżu, ale nie zrobił ani kroku do przodu. Pies miał całkowity zakaz wchodzenia na plac, kiedy trwała jazda. O dziwo zazwyczaj go respektował.

– To jak, Nikolka? – zapytał Franciszek Trojanowski z nadzieją. – Możemy już zacząć się rozglądać za jakimś rumakiem? Przyznam, że już trochę posprawdzałem...

– Tylko że ja nie mam ochoty na prezenty od ciebie – odparła Nikola Szczepańska jadownicę. – Mój tata kupi mi konia.

Dziewczyna zsiadła z Kofiego i szarpnęła go w kierunku wyjścia z placu. Koń zarżał niechętnie, ale ruszył za Nikolą.

– Ja już się nim zajmę – zaproponowała Weronika szybko.

– Niech będzie – rzuciła Nikola Szczepańska i podała Nowakowskiej wodze.

– Do widzenia.

Nikola i Nadia pomaszerowały do samochodu ramię w ramię.

Franciszek Trojanowski uśmiechnął się przepaszająco.

– Proszę wybaczyć. Nasza rodzina przechodzi teraz trochę trudniejszy okres – wyjaśnił niespodziewanie miękko. – Nikola wciąż nie może się pogodzić z rozwodem rodziców, mimo że minęło już przecież trochę czasu. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek mnie zaakceptuje... no, ale rozgadałem się niepotrzebnie. Dziękuję serdecznie za lekcję.

Franciszek Trojanowski wetknął Weronice pieniądze do kieszeni i oddalił się pospiesznie.

ROZDZIAŁ 2

Breslau.

Środa, 9 października 1850

Adolf Anderssen szedł szybkim krokiem. W rękach ścisnął pakunek z książkami. Ominął sporą kałużę, unikając zamoczenia skórzanych butów. Zrobiło się już prawie całkiem ciemno, ale nie było jeszcze wcale tak zimno. Jesień byłaby piękna, gdyby nie uparta mżawka, która od kilku dni zasnuwała miasto smutną szarością.

Adolf czuł się zmęczony. Cały dzień spędził w gimnazjum, a chłopcy byli dziś szczególnie niesforni. Wyglądało na to, że nikt nie miał ochoty słuchać młodego nauczyciela matematyki. Anderssen nie był pewien dlaczego.

Może to ja tu zawiniłem, przyszło mu do głowy. Nie mógł się skupić na nauczaniu, kiedy w kieszeni jego surduta tkwił list z Londynu. Podpisał go pan Howard Staunton. Adolf Anderssen ciągle nie mógł uwierzyć, że spotkał go zaszczyt korespondowania z samym mistrzem.

Mżawka przeszła tymczasem w silniejszy deszcz. Wielkie krople zacięły od wschodu. Na ulicy zaczęły tworzyć się kałuże. Adolf szczelniej otulił się płaszczem. Bokobrody i wystające spod cylindra włosy miał już zupełnie mokre. Bardziej jednak martwił się o książki i list od pana Stauntona.

Anderssen rozejrzał się za schronieniem. Wreszcie wszedł pod jakąś arkadę, żeby zastanowić się, co dalej.

– Uszanowanie, panie Anderssen – usłyszał za sobą.

Odwrócił się, wyrwany z zamyślenia. W cieniu arkady stała córka sąsiadów, piękna panna Agnes Hoffmann. Uśmiechała się krzywo, jak to miała w zwyczaj.

– Panno Hoffmann – powiedział Adolf, kłaniając się z szacunkiem.

Agnes Hoffmann podeszła do Anderssena szybkim krokiem. Obcasy jej trzewików stukały po bruku. Ku całkowitemu zaskoczeniu Adolfa panna Hoffmann oparła się na jego ramieniu. A może nie powinno go to wcale dziwić? Agnes nigdy nie przejmowała się konwenansami. Żyła, jak chciała. Anderssen wiedział, że nie potrafiłby tak ryzykować na jej miejscu. W ogóle nie lubił ryzyka.

Wiatr zawiął mocniej i rozkloszowana suknia Agnes zawirowała. Adolf zobaczył śnieżnobiałe halki kryjące się pod spodem. Natychmiast odwrócił wzrok.

– Jak się miewa Elisabeth Caroline? – zapytała panna Hoffmann jakby nigdy nic. Wydawała się nawet rozbawiona zażenowaniem młodego matematyka. – Mniemam, że pańska matka jest w dobrym zdrowiu?

– Matce dopisuje zdrowie – powiedział Anderssen, uśmiechając się sztywno. Ręka Agnes na jego ramieniu niemal paliła. – Najmocniej dziękuję za troskę.

– Doprawdy rada jestem to słyszeć.

Adolf Anderssen delikatnie wyswobodził się z uścisku panny Hoffmann. Skłonił się grzecznie raz jeszcze. Deszcz nie ustawał, ale młody matematyk chciał jak najszybciej stąd odejść. Agnes była kobietą niezwykle urodziwą, ale zdawała się niebezpieczna. Nawet dzika.

Panna Hoffmann przypominała Wezuwiusz, który wybuchł w tym roku w Italii. Anderssen zaśmiał się w duchu z tego niezbyt stosownego porównania. Nie mógł sobie pozwolić na życie u boku kogoś takiego. Musiał przecież zajmować się matką i siostrą. Musiał skupić się na nauczaniu i myśleć o rodzinie. To był jego obowiązek. Spotkania z panną Hoffmann musiały się skończyć. I to jak najszybciej. Adolf musiał nareszcie zacząć zachowywać się odpowiednio do swojego wieku i statusu.

Agnes patrzyła na Anderssena wyczekująco. Adolf zrozumiał nagle, że teraz on powinien zadać pytanie o zdrowie jej rodziców i złożyć im uszanowanie. Nie mógł się jednak na to zdobyć. Minęła ich dorożka, rozbryzgując wodę z kałuży. Panna Hoffmann odsunęła się. Poruszała się nad podziw zręcznie

mimo gorsetu i szerokiej sukni.

– Muszę już... – zaczął niezbyt zręcznie Adolf.

– Co pan tam trzyma? – zapytała Agnes, przerywając mu w pół słowa.

– Podręczniki gimnazjalne – wyjaśnił młody matematyk i przycisnął książki jeszcze mocniej do siebie.

Agnes uśmiechnęła się pod nosem.

– Mówię o liście – uściśliła. Zabrzmiało to trochę niegrzecznie. Jednak wcale nie była dobrze wychowaną panienką. – Co to za korespondencja?

Adolf Anderssen dotknął kieszeni surduta. Róg listu rzeczywiście stamtąd wystawał. Spotkanie z panną Hoffmann sprawiło, że przez chwilę zapomniał nawet o wiadomości od pana Stauntona.

– To... – zaczął Adolf. Nie był pewien, co odpowiedzieć. – To prywatna korespondencja. Muszę już iść...

– Panie Anderssen – pożegnała się Agnes Hoffmann, dygając.

– Panno Hoffmann.

Agnes odeszła w swoją stronę, nie przejmując się zacinającym deszczem. Adolf Anderssen patrzył za nią przez jakiś czas. W końcu odwrócił się i ruszył ciemnym miastem w kierunku domu.

Musi zastanowić się, co odpowiedzieć panu Stauntonowi. Musi zapomnieć o Agnes Hoffmann.

ROZDZIAŁ 3

Lipowo.

Poniedziałek, 12 maja 2014. Po południu

Dopiero po południu udało im się wreszcie zebrać w salce konferencyjnej w lipowskim komisariacie. Wokół pachniało ciastem czekoladowym, które upiekła Maria. Młodszy aspirant Daniel Podgórski rozkoszował się tym aromatem. Uwielbiał brownie. Chociaż matka niezmiennie nazywała je murzynkiem. Wbrew wszelkiej poprawności politycznej, którą Daniel kilka razy próbował w Lipowie wprowadzić. Brownie? Maria uznała, że to wydziwianie.

– Okej. No dobra. Prokurator zlecił mi prowadzenie tej sprawy – poinformowała ich krótko komisarz Klementyna Kopp.

Sposób mówienia Klementyny wśród wielu budził niemałe zdziwienie. Policjantka właściwie wypluwała słowa spomiędzy pomarszczonych przedwcześnie warg. Jak pociski. Niektóre głoski znikwały gdzieś po drodze w tajemniczych okolicznościach. Inne znowu brzmiały nie całkiem tak, jak powinny. Daniel zdążył się już jednak przyzwyczaić do sposobu mówienia komisarz Kopp i miał coraz mniej trudności, żeby ją zrozumieć.

– To dobrze... – zaczął Podgórski.

– Będziemy współpracować, więc spotykamy się tutaj – weszła mu w słowo pani komisarz. – Jak za starych dobrych czasów. Wszystko jasne, co?

– Niech pani spróbuje mojego murzynka – zachęciła Maria Podgórska zamiast odpowiedzi. – Jest pyszny. Wiem, że pani lubi czekoladę. Zrobiłam go specjalnie dla pani. Mam nadzieję, że pani posmakuje!

Klementyna zignorowała tę jakże kuszącą propozycję. Daniel

nie przypominał sobie, żeby policjantka kiedykolwiek skosztowała chociaż kawałeczek któregoś z wypieków jego matki. Mimo to Maria nie ustawała w próbach.

Reszta zgromadzonych była bardziej entuzjastycznie nastawiona do słodkości pani Podgórskiej. Wszyscy zaczęli po kolei nakładać sobie ciasto. Stara lipowska zasada głosiła, że z pełnym brzuchem lepiej się myśli.

– Zaczynamy – mruknęła Klementyna, sięgając po butelkę coca-coli, którą zawsze nosiła w plecaku. – Daniel.

Podgórski skinął głową i spojrzał na swoją ekipę z niejakim rozczuleniem. Młody Marek Zaręba o podkrążonych od nocnego wstawania do córeczki oczach, Janusz Rosół z krzaczastymi wąsami, wiecznie chmurny Paweł Kamiński, Maria Podgórska zawsze gotowa z dobrym słowem i Emilia Strzałkowska... była kochanka.

Matka jego syna. Syna, który z jakiegoś powodu najprawdopodobniej dogłębnie Daniela nienawdził. Policjant westchnął. Emilia początkowo miała tylko zastąpić Janusza Rosoła na czas urlopu, ale ostatecznie została w Lipowie na stałe. Po przejściu terenów, które przedtem podlegały komisariatowi w kolonii Żabie Doły, dodatkowe ręce do pracy bardzo się przydawały. Strzałkowska nigdy nie wyciągała ich prywatnych spraw w pracy. Mimo to Podgórski często czuł się skrępowany w jej towarzystwie. Oby tylko sprawy z Łukaszem jakoś się ułożyły, powiedział sobie w duchu.

– Podsumujmy może, co wiemy dotychczas – zaproponował Podgórski, żeby przerwać potok niechcianych myśli. Wyjął notatnik i otworzył go na odpowiedniej stronie. – Zmarła nazywała się Małgorzata Głuszyńska i miała osiemdziesiąt cztery lata.

Daniel wstał i przyczepił zdjęcie zmarłej do tablicy korkowej. Był to zwyczaj, który wprowadził w komisariacie w Lipowie ponad rok temu, kiedy pracował nad sprawą Motylka. Metoda sprawdzała się chyba dobrze.

– Czy ta Małgorzata Głuszyńska przypadkiem nie prowadziła kwaciarni przy wjeździe do Brodnicy? – zainteresowała się Maria Podgórska. – Wiesz, Danielku, o którą mi chodzi?

Z Żabich Dołów jest tam całkiem blisko. Jak się nazywała ta kwiaciarnia? Nie mogę sobie teraz przypomnieć. Oj... mam na końcu języka.

Policjant pokiwał głową. Usiadł z powrotem przy stole i nałożył sobie kolejny kawałek brownie na talerz.

– Tak, masz rację, mamo. Małgorzata Głuszyńska była emerytką, ale dorabiała, prowadząc niewielką kwiaciarnię Oleander – wyjaśnił Daniel, połykając kawałek ciasta. – Na razie nie wiemy zbyt dużo. Czekamy na sekcję zwłok. Doktor Koterski obiecał mi, że zadzwoni, jak tylko będzie coś wiedział.

– Co wskazuje na to, że w ogóle mamy do czynienia z morderstwem? – zainteresowała się Emilia Strzałkowska. – Czy to pewne, że śmierć Małgorzaty Głuszyńskiej nie była naturalna? Osiemdziesiąt cztery lata. Wiem, że może strasznie to brzmi, ale w tym wieku to nie byłoby przecież aż tak zaskakujące...

Daniel spojrzął na byłą kochankę przelotnie. Nie wyglądało na to, żeby Emilia czuła się zagubiona w całej tej sytuacji z Łukaszem. A może po prostu tego nie okazywała? Może robiła dobrą minę do złej gry ze względu na syna?

– To jest właśnie ciekawe. Sąsiadka denatki wezwała nas i pogotowie – pospieszył z wyjaśnieniami młody Marek Zaręba. – Ta sąsiadka nazywa się Barbara Krakowiak. Pani Krakowiak twierdzi, że Małgorzata Głuszyńska chorowała na serce i pewnie dostała zawału. To była jej sugestia.

– Skąd wiemy, że tak nie było? – drażyła Emilia.

Marek otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Podgórski go ubiegł.

– Lekarka z karetki twierdzi uparcie, że zawał serca nie wchodzi w grę i prawdopodobnie kobieta została czymś otruta – wyjaśnił Daniel. – Wydaje się pewna swego.

Paweł Kamiński zaśmiał się cicho.

– Otruta? Niby jak ta lekarka z karetki stwierdziła to bez toksykologii? – zakpił. Oczy zaświeciły mu się z rozbawienia. – Cipa badała czy co?

Na te słowa Maria Podgórska wzniosła oczy ku niebu.

– Pawełku – upomniała go łagodnie. – Uważaj na słownictwo.

Paweł Kamiński zerknął w jej kierunku, ale nie powiedział nic więcej. Maria Podgórska była niepozorną starszą panią, ale o dziwo wszyscy jej słuchali. Włącznie z niepokornym zazwyczaj Pawłem.

– Racja. Więcej rzeczywiście dowiemy się po analizie toksykologicznej – przyznała łaskawie komisarz Klementyna Kopp. – Ale! Wygląda na to, że doktorka przekonała prokuratora i szefostwo. Koterski też wtrącił swoje trzy grosze. No i mamy sprawę. Nie traćmy więcej czasu na mielenie językiem, co?

Daniel pokiwał głową.

– Ciekawe, że ofiara miała na lewej piersi tatuaż – kontynuował.

– Co w tym ciekawego? Przecież każda starsza pani lubi malować sobie po ciele – zadrwił Kamiński, spoglądając na wytatuowane przedramiona Klementyny Kopp. – Najlepszy przykład mamy tu, u szanownej pani komisarz.

Klementyna uśmiechnęła się zagadkowo.

– Tatuaż prawdopodobnie zrobił sprawca – wyjaśniła pozostałym osobom, ignorując zaczepkę Kamińskiego. – Był świeżuteńki. Prosto spod igły.

– Co to było? – odezwał się po raz pierwszy Janusz Rosół, gładząc się w zamyśleniu po imponujących wąsach. Jego głos brzmiał chropowato, jakby długo nieużywany potrzebował naoliwienia.

Janusz Rosół wrócił jakiś czas temu z krótkich rodzinnych wakacji z dwójką nastoletnich dzieci. Wyjazd miał podreperować rodzinne więzi, ale Daniel nie był pewien, czy to się udało. Kolega nie mówił o tym wiele.

Nagle Podgórskiego ogarnęło przerażenie. Znowu. Wiedział doskonale, jakie relacje z dziećmi ma Janusz. Nie chciał, żeby on i Łukasz skończyli w ten sam sposób.

– Gies – powiedziała tymczasem Klementyna Kopp. – Ten tatuaż to był napis. Gies.

Wszyscy zebrani spojrzeli na panią komisarz. Daniel Podgórski rozumiał doskonale ich zaskoczenie. Sam czuł to samo, kiedy na miejscu zdarzenia patrzył na dzieło zabójcy.

„Gies”. Napis był niewielki. Litery były bardzo koślawe, ale w końcu, wspólnymi siłami, udało im się odcyfrować wszystkie znaki.

Policjant podszedł do ściany, gdzie obok tablicy korkowej wisiała tablica suchościeralna. Wziął czarny marker i spróbował odwzorować napis, który zabójca zostawił na ciele ofiary. Prawdopodobnie zabójca, poprawił się w duchu Daniel. Nie podobało mu się to określenie. Prawdopodobnie mogło oznaczać wszystko albo nic.

GieS.

– Tak mniej więcej to wyglądało – wyjaśnił. – Kiedy dostaniemy zdjęcia od techników, sami zobaczycie.

– To „S” na końcu jest napisane wielką literą? – dopytywała się Emilia.

– Trudno powiedzieć – wyjaśnił Daniel. – Napis trudno odcyfrować. „S” wydaje się większe od tych liter w środku. „G” na początku też jest duże. Litery w środku są małe. Można powiedzieć, że „i” jest ledwo widoczne, a „e” to jakiś zygzak. Naprawdę ciężko było to odcyfrować, ale zrobiliśmy, co mogliśmy.

– Gies? – zapytała Maria Podgórska, podsuwając Danielowi półmisek z ciastem. – Nigdy nie słyszałam takiego słowa. Co to ma znaczyć?

– Na razie niestety nie mamy pomysłów, mamo – przyznał Podgórski. – Młody, Emilia. Chciałbym, żebyście wy się tym zajęli. Spróbujcie ustalić, co może oznaczać „GieS”. Porozmawiajcie też z jakimś tatuażystą, co sądzi o technice wykonania tego napisu. Wydaje się, że tatuaż robił amator, ale nie zaszkodzi sprawdzić.

Przed odprawą Daniel uzgodnił z Klementyną, że to on będzie rozdzielał zadania w swoim zespole. Komisarz Kopp nie miała nic przeciwko temu. To nie była ich pierwsza wspólna sprawa i policjant wiedział, że mimo jej szorstkości może zawsze liczyć na Klementynę. Zdążył się już o tym przekonać.

– Jasne, szefie – skwapliwie zgodził się Marek Zaręba, uśmiechając się do Strzałkowskiej.

Kiedy Emilia przyjechała zimą do Lipowa, Marek chyba nie

od razu ją polubił. Może dlatego, że policjantka miała również przez pewien czas zastępować jego. Teraz jednak wyglądało na to, że ta dwójka doskonale się rozumiała.

– Może „GieS” to jakiś podpis – zasugerowała Emilia.

– To zostawiam wam – powiedział Podgórski. – Ja i Klementyna przesłuchamy dokładniej tę sąsiadkę, Barbarę Krakowiak. Może uda nam się dowiedzieć czegoś więcej na temat zmarłej kwiaciarki. Tymczasem poczekamy jeszcze na wyniki przeszukania domu Małgorzaty Głuszyńskiej i analizę tej herbaty, którą piła. No i oczywiście na sekcję. Paweł i Janusz, wy na razie zajmujcie się bieżącymi sprawami.

Paweł Kamiński wzruszył tylko ramionami. Trudno było powiedzieć, co ten gest miał oznaczać. Janusz Rosół wyglądał natomiast na szczerze zadowolonego. Tu nie było żadnych, najmniejszych nawet wątpliwości.

– Nie podoba mi się, że ten pismak się tam kręcił – stwierdziła bez związku komisarz Klementyna Kopp. – Coś tu śmierdzi. Miłosz Janiszewski nie zjawiłby się na miejscu bez powodu. I to tak szybko!

– Dziennikarze pojawiają się wcześniej czy później – powiedziała Emilia Strzałkowska pocieszająco. – Tego nie unikniemy.

Oliwia Gąsiorowska patrzyła na swój krwawiący palec. Aż dziw, że zwykła herbaciana róża może mieć aż tak ostre kolce. Dziewczyna przemyła palec i nakleiła mały plasterek na ranę. Zakażenia nie powinno być. Nie to jednak najbardziej ją martwiło.

Przyjrzała się krytycznie swoim dłoniom. Wczoraj nałożyła sporo samoopalacza, ale teraz wydawało się, że skóra jest bardzo blada. Długie mycie rąk sprawiło, że część specyfiku chyba się zmyła. Wskutek tego Oliwia wyglądała, jakby miała na dłoniach białe rękawiczki.

– Jony – powiedziała do siebie zniecierpliwiona. – Kiedy wreszcie zaczną robić jakieś porządne produkty, a nie taką tandetę. Masakra jakaś, nie?

Oliwia Gąsiorowska przełożyła róże do kartonowego pudła. Nie bawiła się w delikatność. Małgorzata Głuszyńska nie żyła i Oleander pewnie zostanie zamknięty. Oliwia westchnęła. Włożyła resztę kwiatów do pudła. Czuła się w pewien sposób odpowiedzialna za to, co stanie się z kwiaciarnią. Pracowała tu od jakiegoś czasu jako pomocnica Głuszyńskiej i z tego, co wiedziała, nikt oprócz nich dwóch nie przejmował się tym niewielkim przybytkiem.

– Hubi, wywalileś te badyle z tyłu? – zawołała Gąsiorowska. – To wszystko mi tu pognije i tyle z tego będzie.

– Wywaliłem, wywaliłem – zapewnił natychmiast jej narzeczony.

– Świetnie.

Hubert Przybylski wyłonił się z zaplecza. Dresowe spodnie miał całe w niewielkich liściach jakiegoś kwiatu, którego Oliwia Gąsiorowska nie kojarzyła. Za dużo tych wszystkich nazw naraz. Praca w kwiaciarni rozczarowała ją. Myślała, że będzie romantycznie, tymczasem skończyło się na spierzchniętych od wody palcach i brzydkich ranach. Oliwia jeszcze raz spojrzała na swoje dłonie. Może i dobrze, że Oleander przestanie działać. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, jak to się mówi.

– No chodź tu, ty mój misiaczku – powiedziała czule do Przybylskiego. – Chodź do swojej Oliweczki.

Hubert podszedł do dziewczyny i przytulił ją mocno. Tak jak lubiła.

– Co będzie z tym całym majdanem? – zapytał.

Jego grdyka poruszała się przy każdym słowie. Taki był z tego jej Hubiego chudzielec. Oj, był. Oliwia nie narzekała jednak. Z wiekiem Przybylski może jeszcze nabierze trochę ciała.

– Pani Małgośka Głuszyńska nie żyje – powiedziała Oliwia bez sensu. Przecież Hubert doskonale o tym wiedział. – Nie chcę wychodzić przed szereg, nie? Na razie zamknę to wszystko i tyle. Niech inni się martwią.

– To ma chyba sens – mruknął Przybylski. – Tak będzie najlepiej.

Włożył tę swoją markową czapkę z daszkiem. Hubi tak bardzo chciał ją mieć, że Oliwia w końcu zamówiła czapkę przez

Internet, żeby zrobić mu niespodziankę. Hubert nosił bejsbolówkę cały czas.

Oliwia Gąsiorowska poczuła, że serce mocniej jej bije ze wzruszenia. Gdyby tylko tatuś zaakceptował Hubiego. Tatuś bywał trudny, ale dziewczyna wiedziała, że w końcu jakoś go przekona do narzeczonego. Wcześniej czy później.

Miłosz Janiszewski zaklął pod nosem. Żałował, że rozmawia z redaktorem naczelnym „Prawdziwego Głosu” przez komórkę, a nie przez zwykły stacjonarny aparat. Mógłby teraz trzasnąć słuchawką. Telefonem komórkowym nie zamierzał rzucać. Szkoda zachodu, skoro ten idiota Ignacy Sikora już i tak się rozłączył.

– Cholera jasna! – powiedział już łagodniej dziennikarz.

Emocje zaczynały powoli opadać. Mimo to Miłosz Janiszewski stał jeszcze przez chwilę, nerwowo ściskając komórkę w dłoni. Był jednym z najlepszych dziennikarzy w Brodnicy, a może nawet i województwie. Wiedział to. Ignacy Sikora zdawał się jednak o tym zapominać. Redaktor naczelny jeszcze tego pożałuje.

– To jest temat życia – przekonywał przed chwilą szefa Janiszewski. Dziennikarz mówił z niekłamanym entuzjazmem. – Ludzie będą chłonęli każde moje słowo. Zobaczysz, Ignacy. Będziemy mieli rekordową sprzedaż. Nie możemy sobie pozwolić, żeby o tym nie napisać. Ludzie będą chłonęli każde moje słowo! Chłonęli, rozumiesz?

Dopiero po chwili Miłosz zorientował się ku swojemu niezadowoleniu, że powtórzył to samo trzy razy. Źle. Wyglądał przez to na desperata, a to nigdy nie pomagało w przekonaniu szefa do czegokolwiek.

– Chłonęli? Tak jak przy tych twoich bredniach o Brod-Dysku? – zakpił Ignacy Sikora. – Miłosz, daj spokój. Głupio mi to mówić, bo współpracujemy od dawna, ale chyba się skończyłeś. Rozumiem, że masz kłopoty osobiste, ale to nie powód, żebyśmy je wszystkie po kolei rozdrapywali i publikowali. Mam tego dosyć. Kiedyś umiałeś napisać coś

sensownego. Sam wiesz. Ale teraz w „Prawdziwym Głosie” nie ma już dla ciebie miejsca. Od kilku miesięcy piszesz tylko o Brod-Dysku! Człowieku. Nasi czytelnicy już rzygają tym tematem. Ja zresztą też. Ile można, Miłosz?

Janiszewskiemu pierwszy raz od dawna zabrakło słów. Ignacy Sikora czekał chwilę, jakby dawał dziennikarzowi szansę na obronę. Miłosz nie wydusił jednak nawet jednej marnej głoski. Był w redakcji najlepszy. Nikt mu nie dorównywał. Tego był pewien, ale teraz słowa jakoś uparcie nie przychodziły.

Redaktor naczelny westchnął głośno, jakby był bardzo rozczarowany, że Janiszewski się nie broni. Dziennikarz miał wrażenie, że zaraz zemdleje.

– To jest decyzja nieodwołalna, Miłosz. Na razie jesteś odsunięty. Sprawę tej kwiaciarce przejmie Fredek – poinformował go tymczasem Ignacy Sikora. W jego głosie pobrzmiwał smutek. – Odpocznij trochę, człowieku. Daj sobie czas na dojście do siebie. Pozamykaj sprawy rodzinne. Potem zobaczymy. Miłosz, jesteś tam w ogóle?

Miłosz Janiszewski nadal nie mógł wydusić ani słowa.

– Halo? – powiedział redaktor naczelny jeszcze raz. – A niech cię, Miłosz!

Janiszewski usłyszał tylko dźwięk przerywanego połączenia. Niech Ignacy Sikora sobie gada, ile chce, ale Miłosz nie miał najmniejszego zamiaru porzucać tego tematu. Fredek nie stanowił dla niego żadnej konkurencji. Sama myśl o tym była zabawna. Niech sobie bada sprawę.

Dziennikarz odetchnął głębiej. Małgorzata Głuszyńska nie żyła. Tylko to się teraz liczyło. Napisze o tym doskonały reportaż. Wtedy zobaczymy, co powie Sikora. Nie po to Miłosz przygotowywał tak długo grunt pod tę sprawę, żeby teraz rezygnować. I to na rzecz Fredka.

– O nie – powiedział do siebie na głos. – Na pewno nie zamierzam rezygnować. To jest temat mojego życia.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski zamknął drzwi komisariatu w Lipowie. Zaskrzypiały głośno, jakby

protestowały, że policjant skończył już pracę na ten dzień. Był wieczór i wszyscy pozostali policjanci zdążyli już pójść do domu. Błękitny budynek komisariatu zdawał się dziwnie opustoszały.

Podgórski schował klucz do kieszeni i ruszył przez wieś. Wieczór był chłodny, ale czuło się już w powietrzu wszechobecną wiosnę. Drzewa i trawa zieleniły się intensywnie, a mimo zapadającego zmroku gdzieś wśród krzewów słychać było jeszcze śpiew ptaków. Policjant odetchnął pełną piersią. Zima nie była w tym roku sroga, ale i tak cieszył się, że już minęła. Teraz będzie już tylko lepiej, pomyślał nagle.

W przypiływie niespodziewanego optymizmu Daniel postanowił, że przed powrotem do domu, do Weroniki, spróbuje odwiedzić Łukasza. Może chłopak będzie miał ochotę chociaż chwilę porozmawiać.

Od czasu, kiedy zamieszkali w Lipowie, Emilia Strzałkowska i jej syn wynajmowali dom od państwa Zdanowskich. Budynek był parterowy i niezbyt piękny, ale Emilii chyba wystarczał. Wyglądało na to, że Strzałkowska nie miała zbyt dużych wymagań w tej kwestii.

Daniel zapukał ostrożnie do drzwi. Mimo wszystko miał nadzieję, że otworzy mu Emilia, a nie Łukasz. To by oznaczało jeszcze kilka minut na przygotowanie się do spotkania z synem. Entuzjazm spowodowany wiosennym wieczorem zaczynał go chyba opuszczać.

Drzwi otworzyły się szybko. Na progu stanął Łukasz. To by było na tyle, jeżeli chodzi o kilka minut do namysłu. Syn spojrzął na Daniela spod oka. Nagle Podgórski po raz pierwszy zobaczył w jego twarzy swoje rysy. Ogarnęło go rozrzewnienie, mimo że chłopak wyraźnie nastroszył się na jego widok.

– Tak? – zapytał Łukasz.

– Cześć. Zastanawiałem się, czy nie chciałbyś czegoś wspólnie porobić?

Nie chciałbyś czegoś wspólnie porobić? Pytanie zabrzmiało co najmniej idiotycznie. Daniel doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Mimo że w tym roku miał skończyć trzydzieści cztery

lata, sam na sam z synem policjant czuł się jak bezradne dziecko.

– Mam lekcje do odrobienia – powiedział sucho Łukasz.

– A jutro?

– Jutro i pojutrze też.

– To może w weekend? – spróbował Podgórski nieśmiało. – Z Markiem Zarębą i Pawłem Kamińskim ścigamy się po lesie. Jak chcesz, to pokażę ci jak. Co na to powiesz?

– To jest legalne?

– Chyba nie za bardzo – przyznał Daniel. – Ale kto by się przejmował, prawda?

Łukasz Strzałkowski zawahał się chwilę.

– Okej – powiedział w końcu.

– To jesteśmy umówieni!

Chłopak odwrócił się i zamknął za sobą drzwi, zostawiając policjanta samego. Młodszy aspirant Daniel Podgórski uśmiechnął się do siebie. To był chyba krok do przodu. Daniel miał tylko nadzieję, że Emilia nie będzie miała nic przeciwko temu, że Podgórski zabierze Łukasza na przejażdżkę swoim starym subaru.

12 maja 2014

Do zainteresowanych:

Zamierzam pisać każdego dnia krótkie notatki. Robię to, żeby się nie pogubić w tym wszystkim.

A może też trochę, żeby wyjaśnić? Obawiam się, że nie wszyscy mnie rozumieją. Ale wybiegam zanadto w przyszłość. Tym trzeba będzie się martwić potem.

Myślę, że pomysł notatek nie jest zły. Niewykluczone, że pomoże mi w drodze do celu. A jaki jest cel? O tym potem. Najistotniejsze, że wiem już, co mam zrobić.

Co chyba jeszcze ważniejsze, czuję, że tak trzeba. Nie można przecież przystępować do żadnego przedsięwzięcia, jeżeli się w nie nie wierzy. Ja wierzę. W związku z tym mam nadzieję, że wszystko, co planuję z taką skrupulatnością, zakończy się sukcesem.

Tak więc spieszę donieść, że pierwszy ruch jest zrobiony. Małgorzata Głuszyńska nie żyje. Cieszę się z tego niezmiernie, ponieważ jest to pierwszy krok do prawdy. Prawda może wyzwolić nas wszystkich. Kłamstwo nigdy nie jest dobre. Chyba w tej kwestii każdy przyzna mi rację.

A Małgorzata Głuszyńska żyła w kłamstwie. To nie ulega wątpliwości. Im więcej o tym myślę, tym bardziej się upewniam, że śmierć była dla niej wybawieniem. Zresztą dostała ode mnie zaproszenie. Miała wybór, mogła go przecież nie przyjąć, a jednak nie uciekła.

Małgorzata Głuszyńska przyjęła moje zaproszenie, więc mogła zginąć honorowo.

Honor jest dla mnie bardzo ważny. Zawsze był i zawsze będzie. Dla Głuszyńskiej z pewnością nie. Dlatego moje zaskoczenie było niezmiernie.

*Że przyjęła zaproszenie.
Że zgodziła się na śmierć.
Może jej nie doceniam?
Może paliły ją jednak wyrzuty sumienia?
Może nie mogła już tak żyć i tylko czekała na mnie?*

Zastanawiam się nad tym często i zawsze dochodzę do takich właśnie wniosków. W pewien sposób jestem jej wybawieniem. Dzięki mnie Małgorzata Głuszyńska będzie mogła zaznać spokoju.

Ta myśl podnosi mnie na duchu.

Zwłaszcza że zadanie śmierci wcale nie było takie proste. Szczerze mówiąc, trudno jest mi dojść do siebie. To miało być jak... no nie wiem.

Planowanie to było co innego niż wykonanie. Zupełnie co innego.

Nie jestem złą osobą. Wiem tylko, że muszę postarać się doprowadzić to wszystko do końca. Dla niego. Może dla siebie?

Co będzie potem?

Nie wiem. Staram się nie panikować.

ROZDZIAŁ 4

Lipowo i kolonia Żabie Doły.
Wtorek, 13 maja 2014. Rano

Stanisław Szczepański poprawił nerwowo pas bezpieczeństwa. Liliana Brzezińska może i była doskonałą rzeczniczką prasową dla przyszłego zakładu produkcyjnego Brod-Dysk, ale prowadziła samochód jak szalenię. Tak można było to krótko określić. Prędkość, którą Liliana rozwijała, zwłaszcza po dziurawych drogach kolonii Żabie Doły, zdawała się Stanisławowi co najmniej zabójcza. Szczepański cieszył się z całego serca, że to nie jego auto. Dziwił się, że zawieszenie szarego volvo należącego do Liliany było w stanie to wytrzymać. Widocznie te samochody rzeczywiście są niezniszczalne, uznał z niejakim rozbawieniem.

Liliana włączyła kierunkowskaz i wjechała na drogę, która miała ich doprowadzić do fabryki. Tu było jeszcze gorzej. Właściwie to droga dojazdowa do Brod-Dysku składała się praktycznie z samych kolein. Niektóre z nich były bardzo głębokie. Brzezińska manewrowała pomiędzy nimi z zaskakującą zwinnością.

Stanisław Szczepański zanotował sobie w pamięci, że będzie musiał zrobić coś z tą trasą. Droga należała do gminy, ale chyba nikt nie będzie miał mu za złe, że zmieni wielkie nieregularnie porzucane betonowe płyty na asfalt. Albo lepiej! Na gustowną szarą kostkę brukową.

– To by dopiero była atrakcja dla tej dziury – mruknął pod nosem dyrektor Brod-Dysku.

– Co? – zapytała Liliana Brzezińska, odgarniając z twarzy długie włosy w kolorze piasku. Ominęła kolejną nierówność, ale podwozie samochodu i tak zgrzytnęło nieprzyjemnie.

– Nic takiego... Pomyślałem tylko, że to byłaby atrakcja dla

miejscowych, gdybyśmy wreszcie zrobili tę drogę, jak trzeba – wyjaśnił Stanisław Szczepański. – Oczywiście jak już nasz zakład zacznie na dobre działać.

– Wiesz przecież, że nie za bardzo nas tu lubią. Zmiany mogą im się nie spodobać. Nawet na lepsze.

– Tak, wiem dobrze, że nas nie lubią – mruknął Szczepański.

– Ale teraz mam nadzieję, że wszystko się zmieni. Skoro ta stara jędra Głuszyńska nie żyje, powinno pójść w miarę szybko, prawda?

Liliana Brzezińska lekko pokiwała głową. Zawsze była ostrożna. Nawet kiedy rozmawiali w cztery oczy. Nigdy nie wychodziła ze swojego idealnego uniformu rzeczniczki prasowej, która bez względu na wszystko uważa na słowa.

Stanisław czasem, dla zabawy czy sportu, próbował z Lilianą flirtować. Ona jednak nigdy nie podejmowała tematu. Pozostawała tak samo profesjonalna jak zawsze. Może to i dobrze, uznał Szczepański w duchu. Takie zabawy nie były chyba zbyt dobrym pomysłem. Tym bardziej że teraz najważniejsze było odzyskanie Nadii i Nikolki. Wiedział, że córka jest po jego stronie. Nikolka nienawidziła Franciszka Trojanowskiego. Trzeba było tylko przekonać do powrotu Nadię i ich rodzina będzie znowu w komplecie. Flirty z Lilianą w niczym tu nie pomogą. Jeżeli już, to raczej zaszkodzą.

– Teraz, kiedy to bezczelne babsko nie żyje, wszystko pójdzie dobrze – powtórzył Stanisław, jakby chciał upewnić sam siebie.

Volvo Liliany podskoczyło na kolejnym wyboju. Mijali właśnie dom Małgorzaty Głuszyńskiej. Ile on się nacierpiął przez tę kobietę. Cierpienie cierpieniem, gorzej, że przez Głuszyńską i jej upór Stanisław miał kłopoty finansowe. Inwestycja musi się zwrócić, to jest podstawa każdego biznesu.

– Policja będzie się tu teraz kręcić – powiedziała Liliana Brzezińska. Wskazała głową wysokiego mundurowego, który stał na ganku domu zmarłej kwiaciarki. – Musisz o tym pamiętać, Stanisławie.

Szczepański wzruszył ramionami.

– Poradzimy sobie – zapewnił.

Liliana Brzezińska przyspieszyła. Za samochodem wzniosł się

tuman kurzu. Wjechali na polną drogę, która prowadziła bezpośrednio do Brod-Dysku. Fabryka z daleka wyglądała niepozornie, ale i tak napełniała Stanisława Szczepańskiego dumą. Już wkrótce zacznie się produkcja. Będzie dobrze. Musi być.

Komisarz Klementyna Kopp zatrzymała swoją małą czarną skodę pod rozłożystym kasztanowcem obok domu zmarłej Małgorzaty Głuszyńskiej. Znowu. Drobnie kwiatki z przekwitającego powoli kasztanowca spadły na przednią szybę samochodu i poleciały dalej gonione przez wiatr. Znowu.

Policjantka miała silne uczucie *déjà vu*. Wszystko było tak jak wczoraj. Wszystko? Na wszelki wypadek Klementyna zerknęła na miejsce kierowcy. Ale! Nie było tam natrętnego nowego prokuratora. Dziś przyjechała na szczęście bez Gawrońskiego.

Komisarz Kopp wyjęła z plecaka nieodłączną butelkę coca-coli i pociągnęła długi łyk. Napój sprawił, że poczuła się o wiele lepiej. Teresa zawsze powtarzała, że Klementyna powinna uważać na cukier i zacząć się zdrowo odżywiać. Jakoś nigdy nie było okazji, a w tym wieku chyba i tak za późno już na zmiany.

Policjantka zakręciła korek i schowała butelkę do plecaka. Pora porzucić jałowe rozważania o swoim wieku i poznać Małgorzatę Głuszyńską nieco lepiej. Kim właściwie była kwaciarka? Jaka była? No i przede wszystkim dlaczego ktoś chciałby ją zabić? Znalezienie odpowiedzi na te pytania pomoże zbliżyć się do rozwiązania zagadki jej śmierci. I wiek Klementyny nie gra tu roli.

Komisarz Kopp westchnęła. Sporo myślała wczoraj wieczorem o śmierci Małgorzaty Głuszyńskiej. Stara, samotna kobieta. Tylko tyle na razie wiedzieli o kwaciarce. To było niepokojące. Na tyle, żeby myśli policjantki wirowały w szaleńczym tańcu.

Rezultat? Kolejna bezsenna noc. Nic nowego. To zdarzało się pani komisarz prawie codziennie. Klementyna zdążyła się już do tego przyzwyczaić. Kiedy cała Brodnica spała, w jednym oknie zawsze można było dostrzec światło. W jej oknie.

Samotność jest okrutna.

Ktoś zapukał w szybę samochodu. Klementyna wzdrygnęła się zaskoczona. Odwróciła się szybko. Na szczęście to tylko Daniel Podgórski. Widocznie czekał już na nią na miejscu. Pograżona w myślach, nie zauważyła kolegi.

Komisarz Kopp okręciła szyję szalem i wysiadła z samochodu.

– Cześć – powiedział Daniel.

– Cześć – odparła Klementyna.

Zdawkowe przywitanie. Ale przecież właśnie takie lubiła. Chłopak szybko się uczył.

– To idziemy przesłuchać Barbarę Krakowiak?

Komisarz Kopp kiwnęła tylko głową. Ramię w ramię poszli do sąsiadki zabitej kwiaciarki. Barbara Krakowiak mieszkała w niewielkim kwadratowym domu po prawej stronie działki Małgorzaty Głuszyńskiej.

– Krakowiak i Głuszyńska były na siebie właściwie skazane – uznała Klementyna, rozglądając się wokoło.

Daniel pokiwał głową. Skazane. Nie było w tym określeniu ani odrobiny przesady. Głuszyńska i Krakowiak mieszkały już poza obrębem kolonii Zabie Doły. Obok ich domów była tu jeszcze tylko chyląca się ku upadkowi rudera po drugiej stronie dziurawej drogi. Trzy gospodarstwa tworzyły coś w rodzaju maleńkiego osiedla, które przycupnęło obok głównej wsi. Dopiero spory kawałek na wschód zaczynały się następne zabudowania. Od zachodu zaś były już tylko pola, które ciągnęły się aż do Brodnicy. Gdzieś pośrodku wśród zboża widać było małą fabryczkę. Samotną fabryczkę, powiedziała sobie w duchu Klementyna.

Daniel Podgórski zapukał mocno do drzwi domu Barbary Krakowiak. Były zrobione z litego drewna, które niezbyt pasowało do pudełkowego socjalistycznego domku. Usłyszeli kroki i drzwi otworzyły się nieznacznie. Pani Krakowiak najpierw upewniła się, kto czeka po drugiej stronie, a dopiero potem otworzyła drzwi szerzej.

– Dzień dobry – przywitała ich uprzejmie.

Komisarz Kopp spojrziała na kobietę krytycznie. Musiały być w podobnym wieku. Krakowiak chyba również nie zważała na

to, co myślą o niej inni. Nie farbowała włosów ani nie usiłowała pokryć sieci zmarszczek makijażem. Tylko oczy skrywała za okrągłymi okularami.

– Możemy wejść? – zapytał Daniel.

Barbara Krakowiak lekko skinęła głową. Zadrżała, jakby nagle zrobiło jej się zimno. Niespodziewanie po jej policzku spłynęła łza. Kobieta otarła ją natychmiast, jakby próbowała ukryć swoją chwilową słabość.

– Państwo wybaczą – wydusiła mimo wszystko. – Ciągłe nie mogę dojść do siebie po tym, co się stało wczoraj. Śmierć Małgorzaty to wielki cios dla mnie i dla całych Żabich Dołów. Była niesamowitą osobą.

Klementyna Kopp zauważyła, że Daniel wyglądał na zaskoczonego. To on rozmawiał z Barbarą Krakowiak wczoraj. Jeżeli Podgórski coś spostrzegł, będą musieli to przedyskutować po przesłuchaniu.

– Znałyście się dobrze, co? – zapytała pani komisarz.

Weszli do domu i stanęli w wąskim korytarzu.

– Jak to sąsiadki – powiedziała Barbara Krakowiak natychmiast.

– Czekaj. Stop. Nie odpowiedziałś na moje pytanko – naciskała Klementyna. – To znaczy, że się znałyście czy nie?

W odpowiedzi Barbara Krakowiak chlipnęła tylko cicho. Daniel i Klementyna spojrzeli po sobie. Czekali, aż pani Krakowiak nieco się uspokoi.

– Usiądźmy może w kuchni – zaproponowała w końcu gospodyni. Jej żylaste dłonie drżały nieznacznie z tłumionych emocji. – Powinnam była to zaproponować od początku. Z tego stresu zupełnie tracę głowę.

Weszli do kuchni. Nikt jednak nie usiadł. Barbara Krakowiak znowu zapłakała. Czekali. Daniel Podgórski górował nad obiema kobietami. Klementyna była pewna, że gdyby chciał, dotknąłby ręką stropu tego przytłaczająco niskiego pomieszczenia.

– Okej. No dobra. Zacznijmy od początku, co? – zaproponowała komisarz Kopp, kiedy sąsiadka zmarłej otarła wreszcie łzy. – Czy kwiaciarka miała jakichś krewnych, co?

Barbara Krakowiak znowu zaszlochła przeciągle. Klementyna zaczynała mieć dosyć tego kiepskiego teatru. Że to był teatr, nie miała najmniejszych wątpliwości. Czekali.

– Małgorzata wspominała mi kiedyś o córce... – wydukała w końcu pani Krakowiak. Zaraz jednak umilkła.

– O córce? – podchwycił Daniel Podgórski tym swoim tonem grzecznego synka mamusi. Klementyna musiała przyznać, że wprost idealnie nadawał się do kontaktów ze starszymi paniami. – Małgorzata Głuszyńska miała córkę?

Barbara Krakowiak pokiwała głową. Skwapliwie.

– Tak, ale z tego, co wiem, nie utrzymywały kontaktów.

Daniel sięgnął po notes.

– Zna pani imię i nazwisko tej córki?

Pani Krakowiak pokręciła głową.

– Nie wiem, jak się nazywa. Wiem tylko, że Małgorzata mówiła mi kiedyś, że córka nie chce jej wybaczyć. Chyba tak to właśnie ujęła.

– Czeka. Stop. Czego niby wybaczyć, co? – wtrąciła się Klementyna natychmiast.

Ścienny zegar wybił kwadrans. Jego tykanie na moment wypełniło kuchnię. Barbara Krakowiak znowu pokręciła głową.

– Nie wiem – mruknęła. – Może Oliwia z kwiaciarni będzie więcej wiedziała. W końcu ona i Małgorzata na pewno dużo rozmawiały w pracy. Co innego można robić w kwiaciarni?

– Oliwia?

Pani Krakowiak łypnęła znad okrągłych okularów i zaczesła siwe włosy za ucho.

– Oliwia to pomocnica Małgorzaty w Oleandrze – wyjaśniła już spokojniej. – Chyba się nazywa Bocianowska albo coś takiego. Nie! Chwileczkę. Gąsiorowska. Teraz pamiętam. Nazywa się Oliwia Gąsiorowska. Zapytajcie ją o córkę Małgorzaty. Może ona będzie coś wiedziała.

Klementyna Kopp zerknęła na Daniela. Podgórski zdążył już zapisać imię współpracownicy zamordowanej kwiaciarki. Pani komisarz skinęła głową z aprobatą.

– A jacyś inni krewni, co? Przychodzi ci ktoś do głowy?

Pani Krakowiak natychmiast pokręciła głową. Wyglądało na

to, że zaczyna na dobre odzyskiwać spokój. Łzy wyschły już zupełnie.

– Nikt inny nie przychodzi mi do głowy. Przykro mi. Proszę porozmawiać z Oliwią – powtórzyła. – Może ona więcej państwu powie.

Daniel Podgórski schował notatnik do kieszeni służbowej koszuli.

– Być może w grę wchodzi włamanie i kradzież – poinformował Barbarę Krakowiak powoli.

Kobieta zadrżała.

– Co pan powie! – wykrzyknęła. – Kradzież? U nas, w Żabich Dołach? To niemożliwe.

Podgórski pokiwał głową.

– Czy widziała pani coś szczególnego w niedzielę wieczorem?

Sąsiadka zabitej zastanawiała się przez chwilę.

– Raczej nie – stwierdziła w końcu. – Chodzi panu o te pootwierane okna? Nie widziałam nic. Po tej stronie domu wszystko wyglądało normalnie.

Daniel i Klementyna wymienili spojrzenia. Oboje chyba czuli, że Barbara Krakowiak nie mówi im wszystkiego.

– Pójdiesz z nami do domu Głuszyńskiej i rozejrzysz się, czy nic nie zginęło – poinformowała komisarz Kopp. Nie byli pewni roli, jaką odegrała Barbara Krakowiak w całej sprawie. Ale na razie nie było nikogo innego, kogo mogliby poprosić o przejrzenie rzeczy zmarłej.

Barbara Krakowiak rzuciła Klementynie długie spojrzenie znad drucianych lenonek.

– Nie trzeba. Już tam byłam – oznajmiła gładko. – Nie wyglądało na to, żeby cokolwiek zginęło, ale mogę się oczywiście mylić. Nie mam przecież w głowie spisu rzeczy należących do Małgorzaty.

– Już tam byłaś? – zdziwiła się komisarz Kopp.

– Jak pani tam weszła? – zapytał niespodziewanie ostro Podgórski.

Barbara Krakowiak wzruszyła tylko ramionami.

– To nie problem – odparła lekko. – Miałam zapasowy klucz, a Małgorzata miała klucz od mojego domu. Taka sąsiedzka

wymiana uprzejmości. Normalna sprawa. Właśnie w ten sposób weszłam do jej domu wczoraj rano. Byłyśmy umówione, ale nie otwierała, mimo że pukałam. To było do niej niepodobne, więc wróciłam do siebie po klucz i sobie otworzyłam. Wtedy znalazłam ją na kanapie...

Głos pani Krakowiak znów się załamał.

Miłosz Janiszewski wyjrzał przez okno swojego niewielkiego mieszkania. Zajmował mikroskopijną kawalerkę przy ulicy Strzeleckiej w Brodnicy. Strzelecka nie była może wielką arterią, ale dziennikarz właśnie to w niej lubił. Tę jej spokojną atmosferę. Poza tym miał stąd niedaleko do pracy. Zawsze też pozostawał w centrum wydarzeń ze względu na bliskość rynku. Idealne miejsce dla dziennikarza.

Janiszewski usiadł z powrotem przy biurku i otworzył klapę laptopa. Zaczynał już powoli spisywać całą historię. Był pewien, że to będzie świetny materiał. Mógł śmiało powiedzieć, że materiał jego życia. Takie miał przecucie. A jego przecucia zwykle się sprawdzały. Przecucie, instynkt dziennikarza. Nieważne. Można to było różnie nazywać. Istotne, żeby działało.

– Czytelnicy rzucą się na to jak hieny – powiedział do siebie i zaśmiał się cicho zadowolony z obrazowego określenia.

Ignacy Sikora mógł sobie myśleć, że Miłosz zwariował albo że jest ogarnięty obsesją. Czy co tam jeszcze szanowny redaktor naczelny insynuował. Janiszewski wiedział jednak swoje. Śmierć Małgosi Głuszyńskiej to początek jego drogi do sławy... i do zemsty.

Kwaciarka zawsze nalegała, żeby nazywał ją Małgosią, mimo że z łatwością mogłaby być jego matką. Z łatwością. Głuszyńska była jednak nowoczesną kobietą i wiedziała, jak podejść do ludzi. Układ był dwustronny i chyba oboje zdawali sobie z tego sprawę.

Miłosz Janiszewski zastanawiał się przez chwilę. Napisał już wiele artykułów, ale ten musiał być szczególny. Najpierw pogrzyź tę, która zniszczyła mu życie, a potem sięgnie po

Pulitzera. Małgosia nie żyje, więc raczej nie będzie się gniewała.

Miłosz napisał kilka słów, ale zaraz je skasował. Nie brzmiało to dobrze. Czegoś cały czas mu brakowało. Zastanawiał się przez chwilę i w końcu znalazł odpowiedź. Mała zabawa w kotka i myszkę z policją na pewno sprawi, że wszystko lepiej się sprzeda. O tym przecież również musiał myśleć, jeżeli chciał odzyskać należne mu miejsce w redakcji „Prawdziwego Głosu”.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska weszła do gabinetu Marka Zaręby. Niosła dwa kubki parującej herbaty. Przytrzymała sobie drzwi biodrem.

– Chcesz? – zaproponowała, unosząc jeden z kubków. – Zrobiłam zieloną.

Marek wstał od komputera i wziął kubek od Emilii.

– Jasne. Dzięki – powiedział, wracając na miejsce. – Pomyślałem, że na początek możemy poszukać w Google’u, co może oznaczać to słówko z tatuażu. Co o tym myślisz?

– Pomysł dobry jak każdy inny – odparła Strzałkowska z uśmiechem. – Czasem trzeba zacząć od najłatwiejszego.

Emilia usiadła obok Marka przy komputerze. Młody policjant otworzył przeglądarkę internetową i wpisał niewiele mówiące hasło „gies”, które sprawca wytatuował kwiaciarce na piersi. Prawdopodobnie zrobił to morderca, poprawiła się Strzałkowska w duchu. Nie mogli mieć oczywiście pewności, że tatuaż był dziełem zabójcy. Emilia szczerze jednak wątpiła, żeby Małgorzata Głuszyńska sama zdobyła się na taką ekstrawagancję jak tatuaż na biuście. Zwłaszcza w wieku osiemdziesięciu czterech lat.

Ręka Strzałkowskiej automatycznie powędrowała do klatki piersiowej. Ostatnio bolało ją trochę serce. Być może ze stresu. Daniel i Łukasz. Za dużo chyba myślała o ich raczej skomplikowanych relacjach. Kiedy kilka miesięcy temu policjantka sprowadziła się do Lipowa, żeby uporządkować życie rodzinne, nie miała właściwie jasno sprecyzowanego planu działania. Może to i dobrze, skoro wszystko i tak potoczyło się dość chaotycznie.

Chaos. Nie można tego było inaczej nazwać. Najpierw Emilia uwikłała się w śledztwo dotyczące morderstwa pewnego śmieciarza, a potem, bez dłuższego zastanawiania się nad konsekwencjami, postanowiła oznajmić Danielowi prawdę. Łukasz był ich wspólnym synem.

Wspólnym? Czy można było tak powiedzieć o dziecku? Strzałkowska nie była pewna, czy takie określenie jest w tej sytuacji trafne. Tak samo jak nie była pewna, czy dobrze zrobiła, wprowadzając w życie nastoletniego syna nieznanego dotąd ojca.

Przed przyjazdem do Lipowa Emilii wydawało się, że Łukasz będzie szczęśliwy, że wreszcie ta pustka, którą w sobie nosił, zostanie zapełniona. Okazało się jednak, że chyba się przeliczyła. Łukasz wcale nie miał ochoty spędzać czasu z Danielem. Podgórski też zdawał się zagubiony. Strzałkowska miała tylko nadzieję, że wszystko z czasem się ułoży. Nie po to wyprowadziła się z synem z Warszawy, żeby teraz wracać tam z podkulonym ogonem.

– Wszystko w porządku? – zapytał Marek Zaręba zaniepokojony chyba jej nagłym milczeniem.

Strzałkowska uśmiechnęła się uspokajająco. Marek był w porządku. Lubiła młodego policjanta. Dobrze się rozumieli. Może dlatego, że Zaręba miał dwie córki. Bycie rodzicem chyba najlepiej łączy ludzi. Wspólne tematy jakoś zawsze same się rodzą. Poza tym oboje uwielbiali swoją pracę. O tym też mogli rozmawiać godzinami.

– Tak, tak – powiedziała szybko.

Zaręba tylko pokręcił głową. Emilia mimo wszystko cieszyła się, że nie pytał o nic więcej. Z drugiej strony pewnie nawet nie musiał. W Lipowie wszyscy plotkowali o niej, Danielu i Łukaszu. Doskonale o tym wiedziała. Nieślubny syn, kochanka sprzed lat? W Lipowie takie rzeczy się przecież nie zdarzały.

– Mamy jakieś sensowne wyniki wyszukiwania? – zapytała. Na wszelki wypadek, żeby uciąć ewentualne dyskusje na temat jej spraw rodzinnych.

Zaręba spojrział w monitor komputera.

– No dobra. Zobacz, tu na przykład mamy pierwsze znaczenie słowa „gies” – poinformował policjantkę Marek. – Nawet zabawne. Nie wiedziałem, że tak się mówi.

Zaręba zaśmiał się krótko.

– Co? – podchwyciła Emilia. – Dla mnie „gies” brzmi zupełnie bez sensu. Z drugiej strony dla zabójcy to słowo musiało mieć przecież jakieś znaczenie. Inaczej po co zadawałby sobie trud. Co tam znalazłeś?

– Na pierwszym miejscu wyskoczył mi „Internetowy słownik slangu miejskiego” – zakomunikował Zaręba. – Według niego giesy to są gramy.

– Gramy?

– Tak. Gramy. Tak jak dekagramy. Jednostka wagi – uściślił z uśmiechem Zaręba. – I to nie byle czego. Giesy to gramy i tu może zacytuję: „suszu konopi indyjskich z domieszką liści”. Jest nawet dodany zgrabny przykład o „bakaniu”, w którym użyto słowa „giesy”.

Emilia spojrzała na kolegę zaskoczona.

– Giesy marihuany? Nie słyszałam, żeby ktoś tak mówił – przyznała. – Chyba raczej mówi się „giety”?

– Może. Tak czy siak, nie wydaje mi się, żeby o to chodziło – mruknął Marek. – Po co ktoś miałby tatuować coś takiego Głuszyńskiej?

– Niczego nie wykluczamy, Młody – powiedziała Emilia, naśladując Daniela Podgórskiego. Daniel często powtarzał te słowa. Pewnie usłyszał to od kogoś mądrego. Strzałkowska jakoś wątpiła, żeby sam to wymyślił. – Co masz jeszcze?

Marek wybrał kolejny link.

– Miep Gies – przeczytał.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska usiadła wygodniej i zerknęła na ekran komputera. To był jeden z nowych płaskich modeli, które w ostatnim miesiącu dotarły nareszcie na posterunek w Lipowie.

– To znaczy?

Zaręba przez chwilę studiował wpis na Wikipedii.

– Miep Gies to Holenderka, która pomagała w ukrywaniu Anny Frank – powiedział w końcu. – Umarła w 2010 roku.

– Nic mi to nie mówi – przyznała Strzałkowska. – Szczerze mówiąc, nie wiem nawet, kim jest ta Anna Frank.

Łukasz pewnie wiedziałby, kim była ta kobieta. Syn interesował się właściwie wszystkim. Emilia lubiła tę jego dociekliwość. Może dzięki niej tak dobrze się uczył. Policjantka miała nadzieję, że wraz z kolejnymi mijającymi latami nie zrodzi się w jej coraz bardziej wyrośniętym nastolatku bunt.

Marek kliknął odpowiedni link.

– Anna Frank to żydowska dziewczyna, która zmarła w obozie koncentracyjnym. Przedtem ukrywała się przez dwa lata. W tym czasie napisała słynny dziennik – streścił młody policjant. – Zmarła w 1945 roku, więc chyba ani ona, ani ta Miep Gies nie mają związku z tatuażem. Co o tym myślisz?

– Chyba nie...

Zaręba wrócił do poprzedniego okna i kontynuował przeglądanie dalszych rezultatów wyszukiwania słowa „gies”.

– Sami Holendrzy o tym nazwisku. Chyba tam to dość popularne – powiedział Marek w zamyśleniu. – Słuchaj, Emilia, może to rzeczywiście chodzi o nazwisko. Jak uważasz? Może Gies to jest nazwisko?

– Nazwisko mordercy? – odparła Strzałkowska z lekkim powątpiewaniem. – Zwyczajnie by się dla nas podpisał?

– Może nie o to chodziło. Poczekaj, sprawdzę, czy mamy u nas kogoś o tym nazwisku.

Emilia Strzałkowska spojrzała na zdjęcie tatuażu na klatce piersiowej Małgorzaty Głuszyńskiej. Technicy przesłali fotografię dziś rano pocztą elektroniczną. Daniel wydrukował dla nich kilka egzemplarzy. Emilia wpatrywała się w zdjęcie. Coś jej się tu nie zgadzało. Nie mogła jednak uchwycić tej myśli. Zirytowana odłożyła zdjęcie na biurko.

Marek stukał przez chwilę w klawiaturę komputera.

– I jak? Jest u nas ktoś taki?

– W Polsce nie ma ani jednej osoby o nazwisku Gies – poinformował młody policjant zawiedziony. – Ale za to zobacz tu.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska pochyliła się w stronę monitora. To był równie dobry pomysł jak każdy inny.

Hubert Przybylski nienawidził odwiedzać teścia. Z całego serca. Właściwie przyszłego teścia, trzeba dodać. W końcu nie wzięli jeszcze z Oliwią ślubu. Waldemar Gąsiorowski... Hubertowi cisnęły się na usta tylko przekleństwa, kiedy widział tego spalonego, czerwonego na twarzy, obleśnego faceta.

Ludzie na dzielni mówili, że Waldemar Gąsiorowski był kiedyś w ZOMO albo innym takim. Może dlatego ojciec Oliwii nadal budził respekt wśród ziomków i nie tylko. Zresztą po upadku systemu Waldemar też był przez długi czas psem. Skorumpowanym, tego Hubert był pewien.

Z kimś takim Przybylski normalnie raczej unikałby kontaktów. Niestety to było niemożliwe. Waldemar był przecież ojcem Oliwii.

– Hubi, misiaczku, popraw spodnie. Wiesz, że tatuś nie lubi, jak je tak nosisz, nie? – powiedziała Oliwia Gąsiorowska słodko. – Jak wyglądam?

Hubert zerknął na dziewczynę z uznaniem. Uśmiechała się uroczo. Wiedział, że ziomale mu jej zazdroszczą. Może się trochę śmieją, ale jednak zazdroszczą. Białe kozaki w szpic, dżinsowa mini, bluzka, która odsłania pępek, i dżinsowa obcisła kurteczka. Przybylski uwielbiał styl swojej dziewczyny. To była klasa. Tego nie da się podrobić. Dla niej był nawet gotów znosić obleśnego Waldemara.

– Wspaniale, Oliweczko – zapewnił zgodnie z prawą. – Pięknie wyglądasz.

– Nie jestem za blada? – upewniła się dziewczyna. – Solarium mi zamknęli. Nie chciało mi się jechać do centrum. Zresztą sam wiesz, ile zajęło uporządkowanie całego tego syfu w kwiaciarni. Nadal nie mogę doprowadzić rąk do porządku. Masakra jakaś.

Weszli do bloku przy ulicy Wyspiańskiego, w którym mieszkał ojciec Oliwii. Klatka schodowa była odrapana, ale nie wyglądała najgorzej. Ani śladu graffiti, nawet napisu zrobionego dla zgrywu flamastrem. To wcale nie była tylko zasługa Waldemara. Hubert wiedział, że w tym budynku mieszka też Dybu. Nikt nie ośmieliłby się malować po jego

ścianach. Dybu wzbudzał chyba jeszcze większy respekt niż Waldemar Gąsiorowski.

Oliwia weszła po schodach. Hubert szedł za nią, starając się opóźnić moment spotkania z teściem, jak najdłużej się da.

– Oliwcia! – zawołał Waldemar Gąsiorowski, który jak zwykle czekał na nich na klatce schodowej. – Cudownie wyglądasz, córeczko. Cudownie. Chodź do tatusia.

Waldemar uścisnął Oliwię z całej siły. Hubert Przybylski odwrócił się, żeby nie oglądać tego widowiska. Nagle przypomniał sobie, że nadal ma czapkę na głowie. Teść tego nienawidził. Chłopak sięgnął szybko po bejsbolówkę, ale nie zdążył.

– A ty co, Hubi? – zapytał Gąsiorowski.

W głosie starego było coś takiego, że Przybylski miał ochotę zabrać się z tych schodów i uciec.

– Zdejmij tę idiotyczną czapkę! Wyglądasz w niej jak ciota – powiedział Waldemar. – Jak ty dbasz o moją Oliwię? Zrobiłeś, co chciałem?

Hubert Przybylski nie wiedział, co ma powiedzieć. Każda odpowiedź wydawała się błędna, kiedy rozmawiało się z tym człowiekiem.

ROZDZIAŁ 5

Breslau.

Czwartek, 10 października 1850

Matka poprawiła czepek, a siostra włosy. Wyglądało to, jakby się zmówiły. Obie wpatrywały się w Adolfa Anderssena intensywnie.

– Kochany synu – zaczęła Elisabeth Caroline stanowczym tonem. – Wiesz przecież, jak obie jesteśmy z ciebie dumne. Nauczysz w gimnazjum, opublikowałeś znakomitą kolekcję problemów szachowych. To wszystko w tak młodym wieku. Żadna matka nie mogłaby być bardziej dumna ze swojego syna.

– Nie zapominajmy o tym, jak ci dobrze onegdaj poszło, drogi braciszku, z panem Danielem Harrwitzem – dodała siostra. Znowu poprawiła włosy. – Powinieneś o tym pamiętać. Bardzo cię proszę.

Adolf Anderssen nie mógł nie porównać siostry do Agnes Hoffmann. Były w podobnym wieku. Obie nosiły modne od jakiegoś czasu suknie z falbanami i kokardkami. Musiał przyznać, że wyglądało to świeżo i dziewczęco. Jego siostra była jednak nieporównywalnie skromniejsza od córki sąsiadów. Matka zadbała o jej doskonałe wychowanie.

– Nie miałem zaszczytu wygrać z panem Harrwitzem – przypomniał Adolf. – To był jedynie remis.

– Ale on jest profesjonalnym szachistą, mój synu – nalegała Elisabeth Caroline. – Moim zdaniem powinieneś przyjąć zaproszenie pana Stauntona na turniej. To jest rada twojej matki. Pojedź do Londynu.

– Nami się nie przejmuj, braciszku – zapewniła siostra. – Poradzimy sobie podczas twojej nieobecności znakomicie. Sam zobaczysz.

– Sprawisz nam wielką przykrość, jeżeli nie wykorzystasz

szansy, którą zaofiarował ci los – dodała jeszcze Elisabeth Caroline.

List pana Howarda Stauntona leżał na stole w saloniku. Było to zaproszenie do udziału w Pierwszym Międzynarodowym Turnieju Szachowym w Londynie.

– Nie przeczę, że to byłoby spełnieniem moich marzeń, proszę matki – wyznał Adolf Anderssen. – Odkąd otrzymałem ten list na początku tygodnia, wyobrażałem sobie, jak to może wyglądać. Turniej najświetniejszych szachistów epoki. Ja, skromny matematyk z Breslau, wśród nich wszystkich.

– Braciszku, nie daj się prosić – nalegała siostra. – Musisz pojechać.

– Kochana siostrzyczko, ja muszę myśleć o was – podkreślił Adolf. – Wyjazd tak daleko to by było zbyt wielkie ryzyko dla naszego domu. Po śmierci ojca to na mnie spadł zaszczyt opiekowania się wami. Muszę myśleć o oszczędnościach. Nie poczyniłem ich na razie zbyt wiele. Nie wiemy, co przyniesie przyszłość. Wyjazd do Londynu byłby nazbyt wielkim obciążeniem dla naszego rodzinnego budżetu.

– Londyn nie jest wcale tak daleko – powiedziała siostra niemal beztrosko.

– Ponad tysiąc sto osiemdziesiąt kilometrów – uściślił Adolf Anderssen. Im więcej o tym myślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że podjął najwłaściwszą decyzję.

Siostra wzruszyła ramionami, jakby ta odległość nie robiła na niej wrażenia.

– To prawie tyle co od nas z Breslau do Berlina – powiedziała zadowolona z siebie.

Adolf Anderssen westchnął.

– Do Londynu jest cztery razy dalej niż do Berlina, kochana siostrzyczko – oznajmił spokojnie młody matematyk.

– Rozmawiałam o tym z panną Hoffmann – powiedziała siostra, patrząc na Adolfa znacząco.

Matka spojrzała na Anderssena uważnie. W jej oczach pojawiło się nieme pytanie. Anderssen udał, że czyta list pana Stauntona raz jeszcze, byle tylko uniknąć jej wzroku. W pokoju zapanowało ciężkie milczenie.

– O czym rozmawiałaś z panną Hoffmann, kochana siostrzyczko? – zapytał Adolf w końcu.

– Ona też jest zdania, że powinieneś pojechać – powiedziała siostra.

Adolf Anderssen westchnął.

– I tak już za późno.

– Dlaczegoż to? – zapytała powoli matka.

– Odpisałem panu Stauntonowi, że nie mogę uczestniczyć w turnieju ze względu na kosztowny dojazd. Musimy myśleć o przyszłości naszej rodziny – uciął, kiedy matka i siostra otworzyły usta, żeby coś powiedzieć. – Pragnę waszej rady w każdej sprawie, ale nie w tej. Podjąłem już decyzję.

– Ale Agnes Hoffmann... – upierała się siostra.

– Agnes Hoffmann to wulgarna kobieta – mruknął Adolf Anderssen. – Nie obchodzi mnie, co ona mówi. Ciebie też nie powinno, kochana siostro.

Anderssen powiedział to tak, że nawet sam prawie uwierzył w swoje słowa. Panna Hoffmann obchodziła go niestety aż zanadto. Była jednak zbyt wielką niewiadomą. Adolf Anderssen cenił sobie spokojne, ułożone życie. Nie chciał podejmować żadnego ryzyka.

Spojrzał raz jeszcze na list od pana Howarda Stauntona. Trzeba zapomnieć o marzeniach i skupić się na prawdziwym życiu.

ROZDZIAŁ 6

Lipowo i kolonia Żabie Doły.
Wtorek, 13 maja 2014. Po południu

Młodszy aspirant Daniel Podgórski zamknął za sobą drzwi klockowatego domu Barbary Krakowiak. Czuł, że wszystko jest nie tak. Barbara Krakowiak dzisiaj wydawała się całkiem inną osobą niż wczoraj. Wczoraj sąsiadka Małgorzaty Głuszyńskiej była zupełnie opanowana, dziś rzewnie płakała po śmierci kwiaciarki. Był w tej rozpaczycy rażąca fałsz. Dlaczego pani Krakowiak udawała smutek?

Podgórski miał właśnie podzielić się z Klementyną Kopp swoimi spostrzeżeniami w tej kwestii, kiedy rozdzwoniła się komórka pani komisarz. Dzwonek był fragmentem jakiejś arii operowej, którą Daniel mgliście kojarzył. Nie zdążył sobie jednak przypomnieć tytułu, ponieważ Klementyna natychmiast odebrała telefon. Muzyka urwała się bezpowrotnie.

– Tak? – powiedziała krótko policjantka. – Macie coś, co?

Daniel Podgórski wyszedł na dziurawą drogę, żeby dać koleżance spokojnie porozmawiać. Zaczął przechadzać się w tę i z powrotem bez celu. Nagle jego spojrzenie padło na rudę stojącą naprzeciwko domu Małgorzaty Głuszyńskiej. W jednej chwili uderzyła go pewna myśl. Czy nie powinni byli zajrzeć do środka? Czy nie jest możliwe, że zabójca obserwował stamtąd dom kwiaciarki?

Pytanie, czy w ogóle musiał go obserwować, zastanawiał się dalej Daniel Podgórski. Może sprawca doskonale znał ofiarę. Policjant zrobił kilka kroków w kierunku opuszczonego domostwa po drugiej stronie drogi. Ciasteczka i herbata, które znaleźli na stoliku obok ciała zabitej kwiaciarki, mogły sugerować, że Małgorzata Głuszyńska sama zaprosiła swojego oprawcę na smakowity podwieczorek.

– Witam – usłyszał Daniel za sobą.

Obrócił się na pięcie. Klementyna Kopp nadal rozmawiała przez telefon przy płocie domu Barbary Krakowiak. Rzuciła mordercze spojrzenia w kierunku przybysza.

– Miłosz Janiszewski z „Prawdziwego Głosu” – przedstawił się mężczyzna z kucykiem. – Mogę prosić o krótki komentarz?

Janiszewski wcale nie musiał się przedstawiać. Podgórski od razu rozpoznał wczorajszego natręta. Policjant spojrzął raz jeszcze w kierunku Klementyny Kopp. Pani komisarz nie kryła niezadowolenia z powodu nieoczekiwanego pojawienia się dziennikarza, ale nie przerwała rozmowy telefonicznej. Z pewnością chodziło o coś ważnego.

Podgórski westchnął. Nie miał wyjścia. Musiał sam poradzić sobie ze wścibskim reporterem.

– Dobrze pan wie, że nie mogę na razie udzielać prasie żadnych informacji – powiedział, przyjmując profesjonalny ton. Miał nadzieję, że zabrzmiało to twardo i zdecydowanie. – Obawiam się, że będzie pan musiał poczekać na oficjalną konferencję prasową.

Miłosz Janiszewski zaśmiał się dziwnie. Miał kwadratową twarz i kozią bródkę, która zdaniem Daniela niezbyt pasowała do długich włosów.

– Jak na razie to raczej ja rozdaję karty – oznajmił zadowolony z siebie dziennikarz. – Wy raczej zbyt dużo nie wiecie. Nie zamierzam się oczywiście dzielić moimi materiałami. W każdym razie na pewno przeczytacie o wszystkim w „Prawdziwym Głosie”. Gwarantuję. Od dawna wiem, co się święci.

Od dawna?

– Co pan ma na myśli? – zapytał Podgórski natychmiast. Nie zaszkodziło sprawdzić wszystkich tropów. Nawet jeżeli Klementyna Kopp będzie ciskała w niego piorunami za to, że rozmawia z prasą.

Miłosz Janiszewski znowu się zaśmiał.

– Brod-Dysk. Brod-Dysk to jest klucz do wszystkiego – stwierdził dziennikarz. – Tylko tyle powiem. To na razie musi wam wystarczyć.

Miłosz wskazał niewielką fabrykę stojącą pośrodku pola sąsiadującego z posesją Małgorzaty Głuszyńskiej. Daniel odwrócił się w tamtą stronę.

– Spieprzaj stąd, pismaku! – krzyknęła Klementyna Kopp, zbliżając się do mężczyzn. Najwyraźniej skończyła już swoją rozmowę. – Nie chcę cię tu widzieć. Zrozumiano, co? Wiesz, że potrafisz być mecząca, jak zechcę.

– Jest wolność słowa, droga pani komisarz. I wolność osobista. Jestem na drodze publicznej – wyliczał Janiszewski spokojnie. Nie wyglądał na poruszonego wybuchem policjantki. – Nie możecie mi nic zrobić. Tym bardziej że śledztwa wcale nie zakłócam. Wręcz przeciwnie. Właśnie udzieliłem bardzo ważnej informacji temu tu funkcjonariuszowi. Jak się pan nazywa?

– Daniel Podgórski.

– Świetnie... – mruknął dziennikarz. – Właśnie udzieliłem niezwykle ważnej informacji Danielowi Podgórskiemu.

– Spierdalaj – rzuciła komisarz Klementyna Kopp.

– Zrobicie, jak będziecie chcieli – powiedział Miłosz Janiszewski, odchodząc. – Tylko potem nie żałujcie, że zaniechaliście pracy nad najistotniejszym tropem.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski odwrócił się znowu w kierunku nowo wybudowanego zakładu produkcyjnego Brod-Dysk. Co ten dziennikarz mógł mieć na myśli? Dlaczego fabryka Brod-Dysk miałaby mieć jakikolwiek związek ze śmiercią Małgorzaty Głuszyńskiej? Czy Miłosz Janiszewski blefował?

Nadia Trojanowska usłyszała ostry brzęczyk domofonu. Nalegała, żeby sobie zamontowali domofon przy furcie, i Franciszek oczywiście jej uległ. Zawsze robił to, co chciała. Na dłuższą metę to było niesłychanie irytujące.

– Uważam, że tu w Lipowie takie rzeczy nie są potrzebne – powiedział tylko Franciszek, kiedy Nadia zaczęła nalegać na domofon. Wolała wiedzieć, kto wchodzi do jej domu. Miała swoje powody.

Trojanowski miał swoje poglądy na temat bezpieczeństwa w Lipowie i wydawania pieniędzy na domofon, następnego dnia zadzwonił jednak po jakiegoś specja od elektryki i zamówił montaż.

Nadia Trojanowska podeszła do aparatu i podniosła słuchawkę.

– Tak?

– Nadia?

Nadia Trojanowska od razu wiedziała, że to Stanisław Szczepański. To on był głównym powodem założenia domofonu. Były mąż przyjeżdżał pod ich dom kilka razy w tygodniu. Nie tylko wtedy, kiedy miał zabrać gdzieś Nikolkę. Za każdym razem próbował namówić Nadię do powrotu. To stawało się równie męczące jak uległość Franciszka.

– To nie jest twój dzień – przypomniała Nadia zimno. – Nikola jest dzisiaj z nami. Chyba zapomniałeś.

– To tata? – rozległ się głos jej córki gdzieś z głębi domu. – Powiedz mu, że już do niego idę. Niech poczeka chwileczkę.

Nadia Trojanowska zakryła ręką mikrofon słuchawki. Nikola wyszła ze swojego pokoju. Wyglądała na gotową do wyjścia. Zapewne uzgodniła to ze Stanisławem przez telefon. Nie było innej możliwości. Jej córka nigdy nie była gotowa w kilka minut. Przez ostatnie pół godziny siedziała cicho u siebie i zapewne przygotowywała się do wyjścia.

– A kolacja? – zapytała Nadia ostro. – Nie zapomniałaś przypadkiem, Nikolka? Mieliśmy zjeść razem, ja, ty i Franciszek.

– Franciszek – przedrzeźniała ją córka. – Sama nie lubisz tego starego capa. Wcale ci na nim nie zależy, więc nie rozumiem, w czym problem. Wyszłaś za niego tylko na złość tacie, więc po co tak się starasz? Założę się, że teraz żałujesz! Ale teraz pij to piwo, którego sobie nawarzyłaś. Ja wychodzę. Ty sobie jedz kolacyjki z Franciszkiem.

Nadia Trojanowska wiedziała, że dokładnie tak było. Nikolka miała rację. Nadia wyszła za Franciszka, żeby wzbudzić w Stanisławie zazdrość. Nie zamierzała jednak przyznawać się do czegoś takiego przed córką. Osiemnaście lat to było za mało,

żeby Nikolka rozumiała pewne rzeczy. Co gorsza, Nadia sama nie była pewna, czy to rozumie.

Do tego wszystkiego pojawiła się kwestia Małgorzaty Głuszyńskiej. Trojanowska przeklinała dzień, kiedy poznała kwiaciarkę. Miała nadzieję, że nikt nie powiąże jej z Głuszyńską. To by mogło oznaczać kłopoty.

Komisarz Klementyna Kopp włożyła lateksowe rękawiczki i otworzyła ostrożnie wiszącą na jednym zawiasie metalową bramkę. Furtka zdawała się trzymać zardzewiałych zawiasów ostatkiem sił. Właściwie nie była tu już chyba potrzebna. Rozpadające się domostwo raczej nie wymagało ochrony przed złodziejami.

Postanowili przyjrzeć się dokładniej ruderze stojącej przed domem Małgorzaty Głuszyńskiej. Komisarz Kopp uznała, że Daniel Podgórski może mieć rację. Istniała szansa, że zabójca obserwował stąd dom kwiaciarki.

Klementyna zakłęła w duchu. Właściwie powinni byli o tym pomyśleć już wczoraj, kiedy technicy byli na miejscu. Nowy prokurator i pojawienie się Miłosza Janiszewskiego wytrąciło ją chyba niepotrzebnie z równowagi. A przecież nie powinna sobie pozwalać na błędy. Nie w tym wieku.

– Z kim rozmawiałaś przed chwilą przez telefon? – zapytał Daniel z zaciekawieniem.

Komisarz Kopp zerknęła na policjanta zirytowana.

– Nie powinienesz być gadać z tym pismakiem – rzuciła zamiast odpowiedzi.

Podgórski przeszedł ostrożnie przez furtkę. Starał się niczego nie dotykać. Ostry podmuch wiatru prawie zerwał mu z głowy służbową czapkę. Daniel przytrzymał ją nieco niezdarnie.

– Klementyna, daj już spokój – poprosił Podgórski. – Wiesz przecież, że nic mu nie powiedziałem. To raczej on...

Policjantka poczuła narastającą irytację. Nie była w stanie dłużej trzymać jej na wodzy. Nienawidziła pismaków. Pewnie z wzajemnością.

– Czekał. Stop. To raczej ty słuchaj, Daniel, co? – komisarz

Kopp powiedziała to ostrzej, niż zamierzała. Teraz jednak było już za późno, żeby się wycofać. – To ja prowadzę to postępowanie przygotowawcze. To jest jasne, co? Ty i twoje krawężniki macie mi pomagać. Zrozumiano, co? A teraz żadnych rozmów z pismakami. Bo cię odsunę od śledztwa. Mam nadzieję, że to jaśniutkie jak słońce. Co? Co?

Podgórski spojrział na panią komisarz dziwnie. Klementyna dobrze wiedziała, że przesadziła. Ale słowa jakoś same popłynęły z jej ust. Jeżeli było coś, czego nienawidziła na tym świecie, to byli to dziennikarze tacy jak Miłosz Janiszewski. I mężczyźni, którzy krzywdzą kobiety, poprawiła się w duchu komisarz Kopp. Czasem było to jedno i to samo.

– Oczywiście, pani komisarz – odparł Podgórski sztywno. Formalny ton brzmiał dziwnie nienaturalnie w jego ustach.

Klementyna wzdrygnęła się. Przez ostatnie miesiące Daniel nieoczekiwanie stał się kimś ważnym w jej życiu. Myśl, że mógłby z niego zniknąć, była... nieprzyjemna. Policjantka nie zamierzała jednak cofać swoich słów. Nie zamierzała też przeproszać. Chyba zwyczajnie nie umiała. Była na to za stara.

– Rozmawiałam z technikami – powiedziała Klementyna. Starła się, żeby ton jej głosu brzmiał teraz przyjemnie. To jedno mogła zrobić. – Wtedy wcześniej... przez telefon.

Daniel nie wyglądał na zachwyconego jej wysiłkiem. Ale co się tu dziwić. Czy jej głos w ogóle mógł być przyjemny? Od najmłodszych lat głos Klementyny brzmiał starczo i dziwnie. Słowa i litery plątały się, tworząc zawile ciągi niezrozumiałe nawet dla niej samej. Dopiero jako nastolatka nauczyła się mówić w miarę komunikatywnie.

Podgórski o nic nie zapytał. Nadal wyglądał na urażonego.

– To chcesz wiedzieć, co powiedzieli technicy o domu kwiaciarki, czy nie, co? – zaatakowała Klementyna Kopp.

Policjant skrzyżował ręce na piersi. Czekał.

– Nie wiem, czy mam odpowiednie uprawnienia, żeby się dowiedzieć, pani komisarz – powiedział szyderczo. Z tym też nie było mu do twarzy.

Klementyna Kopp prychnęła niezadowolona.

– Zachowujesz się jak dzieciak, Daniel – wyszczała. Czowała, że

sytuacja wymyka jej się spod kontroli, a tego nie lubiła.

– Wiesz co, Klementyna, dajmy już spokój – rzucił Podgórski równie zirytowany. – A ty jak się zachowujesz? Myślisz, że tobie wszystko wolno? Otóż nie. Skończmy tę sprawę i nie będę ci wchodził w paradę.

Komisarz Kopp zakłęła w duchu. Nienawidziła takich scen. Miała ochotę potrząsnąć Danielem z całej siły. Chociaż to mogło okazać się trudne. Sięgała mu poniżej ramienia i była ponad dwadzieścia lat od niego starsza. Za stara. W tym starciu raczej nie miałyby wielkich szans.

– Po pierwsze, w tej herbacie nie było żadnej trucizny. Musimy poczekać do sekcji, jeżeli chodzi o przyczynę zgonu. Po drugie, w domu Głuszyńskiej było trochę odcisków palców – referowała po kolei policjantka, nie wchodząc w bezsensowną polemikę. Miała zdecydowanie dosyć tej sytuacji. Kontakty z innymi niemal zawsze prowadziły do problemów. Samotność miała jednak swoje plusy. – Ale! Nic nam to nie da. Trzeba by sprawdzić co najmniej pół Brodnicy.

Podgórski spojrzał w kierunku domu zamordowanej kwiaciarki.

– Musiała być popularna, skoro miała tylu gości – zastanawiał się policjant. Zapomniał chyba na chwilę, że powinien być obrażony.

– Czekał. Stop. To nie musieli być goście.

– A kto?

Klementyna Kopp wzruszyła ramionami. Nie wymyśliła na razie żadnego mądrego wyjaśnienia faktu, że aż tyle osób odwiedzało Małgorzatę Głuszyńską. Potrzebowała na to jeszcze trochę czasu.

– Odciski tych wszystkich ludzi są głównie w salonie. Głuszyńska chyba tylko tam ich wpuszczała – kontynuowała referowanie policjantka. – Ale! Teraz robi się ciekawiej... W sypialni znaleziono tylko dwa zestawy odcisków. Odciski samej Małgorzaty Głuszyńskiej i... jeszcze jednej osoby. NN.

– Myślisz, że to odciski tej osoby, która wyróciła wszystko do góry nogami? Przecież sypialnię przeszukano.

Klementyna znowu wzruszyła ramionami.

– Kto wie. Może.

– Może to ta tajemnicza córka – zastanawiał się dalej Podgórski. – A co ze stolikiem, na którym był rozłożony podwieczorek? I co z drugą filiżanką z zestawu?

– Na drugiej filiżance nie było żadnych odcisków. Czyścusiętka i wymyta – poinformowała komisarz Kopp. Nareszcie zrozumiała, co jej nie pasowało, kiedy wczoraj oglądali kuchnię zabitej kwiaciarki. – Moim zdaniem sprawca z niej korzystał. Cała kuchnia była uporządkowana. Talerze z talerzami. Kubki z kubkami. Miski z miskami i tak dalej. A ta filiżanka stała sobie jakby nigdy nic obok talerzy do zupy. Ktoś ją wymył i odłożył. Ale nie na swoje miejsce. Głupi błąd.

– To, że sprawca... to znaczy ktoś korzystał z tej drugiej filiżanki, właściwie było od początku oczywiste – mruknął Daniel Podgórski kwaśno. Wrócił chyba do swojej strategii obrażonego małolata. – A co ze stolikiem brydżowym?

– Tak jak w reszcie salonu – wyjaśniła Klementyna. – Wszędzie pełno odcisków. Nic nam to nie daje. Ale! Interesująca jest za to sama szachownica.

Wiatr znowu próbował porwać czapkę Daniela. Policjant ponownie ją przytrzymał. Kiedy tylko zabrał rękę, sytuacja się powtórzyła. W końcu Podgórski zrezygnował z walki z wiatrakami i zdjął niesforne nakrycie głowy. Na włosach miał odcisnięte rondo policyjnej czapki.

– Co masz na myśli? – zapytał.

Klementyna odchrząknęła.

– Po stronie białych, czyli tych, którymi grał gość, nie było żadnych odcisków placów – powiedziała policjantka powoli. – Za to po stronie czarnych znaleźliśmy odciski kwiaciarki i jeszcze jednej osoby. NN na razie.

– Tej samej osoby co w sypialni?

Klementyna Kopp pokręciła przecząco głową. Przejechała ręką po ostrzyżonych na krótkiego języka siwych włosach.

– Nie. Mamy dwa zestawy NN. Jeden z sypialni i jeden z szachownicy.

– Zakładamy, że tajemniczy gość Małgorzaty Głuszyńskiej grał białymi bierkami, tak? Skoro po białej stronie szachownicy

nie ma odcisków palców... Może ją przetań albo grał w rękawiczkach – snuł swoje rozważania Daniel. – Tylko w takim razie skąd dodatkowy zestaw odcisków po stronie czarnych? Przecież założyliśmy, że to Głuszyńska grała czarnymi. To nie ma sensu.

– Czekaj. Stop. Wszystko ma jakiś sens. Każdy trop ma jakiś sens – nie zgodziła się komisarz Kopp. Cieszyła się, że kłótnia nareszcie poszła chyba w niepamięć. – Ale! Na razie go nie widzimy. Z czasem wszystko ułoży się w całość. Wejźdźmy w końcu do tej rudery. Twój pomysł z małym punktem obserwacyjnym w tym śmietniku też może mieć sens.

Bez problemu otworzyli drzwi opuszczonego domu. Nie były zamknięte. W środku panował mrok, ponieważ większość okien była zabita deskami. Na podłodze wałało się sporo drobnych codziennych przedmiotów. Wyglądało to, jakby ktoś kiedyś opuścił dom w pośpiechu.

Oglądali po kolei pomieszczenia na dole. Nie znaleźli nic ciekawego, więc wspięli się na piętro. Schody były niebezpiecznie pochyłe. Na drugim piętrze chyba pierwotnie był stryżek, który potem zaadaptowano na pokój. Okno wychodzące na ulicę osłonięte było szarą od brudu zasłoną. Komisarz Klementyna Kopp podeszła do niego i wyjrzała.

– Miałaś rację. Idealny punkt obserwacyjny – poinformowała Daniela policjantka. – Stąd można było śledzić każdy ruch Głuszyńskiej.

– Zobacz tu – powiedział Podgórski.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska usiadła na niewielkim ganku swojego domu. W ręce trzymała filiżankę herbaty. Upiła łyk. Napój był przyjemnie ciepły i aromatyczny. Słońce dopiero schowało się za horyzontem. Emilia wciąż nie mogła się przyzwyczaić, że dni były teraz takie długie. Długie i coraz cieplejsze.

Dom... Emilia nauczyła się już myśleć o tym miejscu jako o domu, mimo że mieszkali z Łukaszem w Lipowie dopiero od świąt Bożego Narodzenia. Policjantka policzyła szybko.

Mieszkali tu pięć miesięcy. Dopiero czy aż?

Jej czternastoletni syn jakoś odnalazł się w nowej szkole mimo początkowej niechęci. Znalazł znajomych. Ciągłe jednak nie potrafił nawiązać kontaktu z Danielem. Emilia nie była nawet pewna, czy Podgórski w ogóle nadaje się na ojca. Cóż, tej chwili w zimowy wieczór, kiedy wyznała im prawdę, nie mogła już cofnąć. Powiedziała prawdę i teraz nie było odwrotu. Trzeba było iść naprzód.

Policjantka upiła kolejny łyk herbaty. To była pu-erh. Czerwona herbata, przynajmniej teoretycznie, miała pomóc Emilii zrzucić kilka nadprogramowych kilogramów, które towarzyszyły jej od zawsze. Policjantka nie bardzo wierzyła w powodzenie misji, ale spróbować nigdy nie zaszkodzi.

Nagle Emilia zobaczyła, że drogą idzie Weronika Nowakowska. Dziewczyna Daniela spacerowała niespiesznym krokiem ze swoim złotym psem na smyczy. Jej ognistorude włosy odbijały pierwsze nieśmiałe światło księżyca.

Strzałkowska zaśmiała się z siebie w duchu. Brzmiało to wyjątkowo kiczowato. „Jej ognistorude włosy odbijały pierwsze nieśmiałe światło księżyca”? Emilia, weź się w garść, powiedziała sobie w duchu policjantka.

Upiła kolejny aromatyczny łyk czerwonej herbaty. Teraz nie było już żadnych wątpliwości. Weronika najwyraźniej szła w kierunku Emilii. Nie było mowy o pomyłce. Złoty pies wesoło merdał ogonem. Obecna dziewczyna Podgórskiego i jego była kochanka. To dopiero spotkanie na szczycie.

Emilia znowu zaśmiała się z siebie w duchu. Ona i Weronika tak bardzo się różniły. Trudno znaleźć większe przeciwieństwa. Nowakowska miała nogi do nieba i burzę rudych loków na głowie. Strzałkowska była raczej pękata i mysio nieciekawa. I nic na to nie mogła poradzić.

Policjantka poczuła nagle cień zazdrości, ale nie o Daniela. Ich uczucie wygasło już dawno. To była raczej zazdrość o urodę i atrakcyjność Nowakowskiej.

– Cześć – zagadnęła Weronika.

– Cześć – przywitała się policjantka, odstawiając kubek z herbatą na schody.

To było dość nieporadne przywitanie. Nie rozmawiały zbyt często. Emilia raczej unikała Nowakowskiej. Nie była właściwie pewna dlaczego. Może właśnie przez tę osławioną kobietą zazdrość.

– Masz ochotę się przejść? – zapytała Weronika ku zaskoczeniu Emilii.

Strzałkowska zerknęła w stronę domu. Łukasz chyba odrabiał lekcje. Albo grał na komputerze. Raczej to drugie. Mimo całej swojej sumiennosci był przecież tylko nastolatkiem i nie powinna o tym zapominać.

– Czemu nie? – odpowiedziała.

Wyszły na drogę i ruszyły wyłożonym kostką chodnikiem. O tej porze we wsi było zupełnie pusto. Mieszkańcy Lipowa zaszyli się u siebie w domach albo siedzieli w restauracyjce nad stawem. Wielkie stare lipy szumiały na wietrze. Emilia określiła się szczerzej swetrem.

Szły przez chwilę w ciszy. Policjantka czekała, aż Weronika Nowakowska wreszcie coś powie. A raczej wyjaśni. Trudno było uwierzyć, że przyszła do Strzałkowskiej zupełnie bez celu.

– Jak ci się podoba w Lipowie? – zapytała Weronika ostrożnie.

– Idzie się przyzwyczać – odparła Emilia równie powściągliwie. – Jest inaczej niż w Warszawie, sama zresztą wiesz. Przepraszam, że to powiem, ale czy coś się stało? Tak się jakoś złożyło, że raczej nie rozmawiamy zbyt często... A teraz... no, sama chyba rozumiesz, jestem dość zaskoczona, że przyszłaś mnie odwiedzić.

Doszły do drogi, która prowadziła na pola. Zboże było już całkiem okazałe. Kłosa tańczyły na nocnym wietrze, szeleszcząc cicho. Strzałkowska widziała w oddali Cichy Lasek, gdzie tyle się działo zaledwie przed kilkoma miesiącami.

– Posterunek w Lipowie ma zostać zamknięty – rzuciła Weronika.

Emilia Strzałkowska spojrzała na nią zaskoczona. Jej słowa zawisły w powietrzu i uparcie nie chciały zniknąć.

– Co takiego? – wykrztusiła policjantka.

– Chodzą plotki, że posterunek w Lipowie ma zostać

zamknięty – powtórzyła Weronika Nowakowska cicho.

– Skąd wiesz?!

Weronika podrapała swojego złotego psa po głowie. Emilia była prawie pewna, że golden retriever nazywa się Igor. Ta myśl pojawiła się w jej głowie i zupełnie irracjonalnie walczyła o pierwszeństwo przed innymi sprawami. Posterunek w Lipowie ma zostać zamknięty?

– Wiesz przecież, że od czasu sprawy z seryjnym zabójcą czasem pomagam w Komendzie Powiatowej jako psycholog – przypomniała Weronika. – Robię proste profile. Czasem rozmawiam z policjantami, którzy potrzebują wsparcia i takie tam.

Strzałkowska pokiwała głową. Daniel kilka razy o tym wspominał. Był dumny ze swojej dziewczyny.

– I...

– W komendzie krążą takie plotki – powiedziała Weronika. – Podobno będzie restrukturyzacja i tereny Lipowa mają podlegać policji z Brodnicy. Tak słyszałam...

– Przecież ja dopiero zostałam przyjęta do pracy, bo do terenów Lipowa wcielono kolonię Żabie Doły – powiedziała Strzałkowska głucho. – To nie ma sensu.

Emilia sama nie wiedziała, dlaczego tak bardzo przeżywa to, co oznajmiła Weronika. Przecież przyjechała do Lipowa niecałe pół roku temu. Kilka razy w miesiącu rozmawiała z kolegami z komendy w Warszawie, gdzie wcześniej pracowała. Mogła tam wrócić. Łukasz pewnie by się ucieszył. Byłby znowu wśród starych kolegów i blisko babci. Mimo to Emilia czuła, że na czoło wystąpiły jej krople potu.

– Wiem. Jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze – podsumowała Weronika głucho. – Tak mi się wydaje.

– Kiedy chcą to zrobić?

– To wszystko są na razie tylko plotki – podkreśliła Weronika.

– Oprócz Lipowa mają też zlikwidować Bobrowo, Brzozie, Zbiczno i Osiek.

– Kiedy? – powtórzyła Emilia Strzałkowska twardo.

Policjantka chciała potrząsnąć Nowakowską, żeby wydusić z niej odpowiedź. Odetchnęła głębiej. Przecież to nie była wina

dziewczyny Daniela. Złe wieści to nie jest wina posłańca.

– Za rok czy dwa. Coś koło tego – wyjaśniła Weronika. – Pewnie za jakiś czas ogłoszą to oficjalnie. Jeżeli oczywiście zapadnie ostateczna decyzja.

Przez chwilę żadna z nich nic nie mówiła. Igor pisał cicho, jakby rozumiał, o czym rozmawiają dwie kobiety. Nowakowska uspokajająco podrapała psa za uchem.

– Mówiłaś Danielowi? – zapytała w końcu Emilia, przerywając milczenie.

Weronika Nowakowska pokręciła głową.

– Oczywiście, że nie – zapewniła gorąco. – To by go zupełnie załamało. Dla niego ten komisariat jest wszystkim. Sama przecież wiesz. Tu pracował jego ojciec. Daniel pracuje tu całe życie. Już nie mówiąc o Marii.

– Kiedy chcesz mu powiedzieć?

– Dopiero zaczęliście nową sprawę. Nie chcę mu na razie mówić. Potem!

Policjantka pokiwała głową.

– Masz rację. Chyba lepiej nic na razie Danielowi nie mówić. Poczekajmy z tym do momentu, kiedy rozwiążemy sprawę Małgorzaty Głuszyńskiej – zgodziła się sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska. – Dzięki, że mi o tym powiedziałaś, Weronika. Trzeba będzie coś wymyślić, kiedy skończymy to śledztwo. Jakoś damy sobie radę. Może to wszystko da się jeszcze jakoś odwrócić. Sama mówiłaś, że na razie to tylko plotki.

Weronika Nowakowska uśmiechnęła się słabo. Emilia po raz pierwszy poczuła nić porozumienia z tą rudowłosą, długonogą boginią.

13 maja 2014

Do zainteresowanych:

Zgadza się. Mam na sumieniu życie Małgorzaty Głuszyńskiej. To jest fakt. Staram się jednak za bardzo o tym nie myśleć.

Wiem, że właśnie tak należało postąpić.

Mimo wszystko mnie to gryzie. Powtarzam sobie, że pewnie nawet sama Małgorzata Głuszyńska gdzieś głęboko wolala takie rozwiązanie niż dalsze bezsensowne życie. Przecież przyjęła zaproszenie, prawda?

Sami chyba rozumiecie moją sytuację?

Powtarzam sobie jedno słowo.

Honor.

To właśnie honor jest najważniejszy. Postępuję zgodnie z obietnicą. Takie wyjaśnienie całkiem mi się podoba. Na chwilę mnie nawet uspokaja.

Powtarzam sobie jeszcze, że teraz, kiedy Głuszyńskiej już nie ma, wszystko zacznie się układać. Kawalki puzzli wpadną w jakiś magiczny sposób na swoje miejsce. Czy może nie?

Jak ona mogła żyć, wiedząc, co zrobiła?

To jest niewyobrażalne.

Doprawdy!

Zasługiwała na śmierć!

Uspokajam się. Jest lepiej. Głuszyńska nie żyje i moje wyrzuty sumienia nic tu nie pomogą. Pojawiają się niepotrzebnie, ale niestety nie umiem nad nimi zapanować. Może z czasem się tego nauczę.

Bo przecież to nie koniec.

ROZDZIAŁ 7

Lipowo, kolonia Żabie Doły i Brodnica.
Środa, 14 maja 2014. Rano

Młodszy aspirant Daniel Podgórski otworzył oczy zaspany. Weronika Nowakowska leżała przytulona do niego. Wyglądała na równie nieprzytomną. Za oknem szumiały drzewa. Od wczoraj wiatr chyba jeszcze się wzmógł. Niebo było szare, a o szybę zaczęły stukać pierwsze pojedyncze krople deszczu. Pogoda nie zapowiadała się najlepsza.

– Chyba ktoś dzwoni – powiedziała Nowakowska. Głos miała zachrypnięty od snu. – Odbierzesz?

Dopiero teraz Daniel zrozumiał, dlaczego właściwie się obudził. Na nocnej szafce wibrowała jego komórka. Dzwonek był wyciszony i Podgórski w pierwszej chwili nie zorientował się, o co chodzi. A może wołał nie przyjmować do wiadomości, że ktoś koniecznie próbuje się z nim skomunikować. Jego ciało spragnione było jeszcze chociaż odrobiny snu.

Telefon zawibrował raz jeszcze. Nie było wyjścia. Policjant zebrał się w sobie i sięgnął po aparat. Niestety rozmówca zdążył się już rozłączyć. Daniel z niejakim trudem odblokował wyświetlacz i sprawdził spis nieodebranych połączeń.

– Doktor Koterski? – powiedział Podgórski zdziwiony. Poczul, że zaczyna się szybko rozbudzać.

– Dlaczego patolog dzwoni tak wcześniej? – wymruczała Weronika, przekręcając się na drugi bok.

– Już wcale nie jest tak wcześniej – wyjaśnił Daniel. – Słońce jest za chmurami, dlatego jest tak ciemno. Dobrze, że się obudziłem. Spóźniłbym się na odprawę.

Weronika Nowakowska zakryła głowę kołdrą. Spod pościeli wystawały tylko ognistorude końcówki włosów.

– Ja jeszcze śpię – powiedziała znacząco.

– Śpij, śpij.

Daniel Podgórski uśmiechnął się do siebie i wstał. Na niego już była pora. Ubrał się szybko. Igor spojrział na policjanta niechętnie ze swojego posłania przy łóżku. Pies nie zamierzał jeszcze zaczynać nowego dnia.

Daniel zszedł na dół. Wystukał numer lekarza sądowego i usiadł przy stole w jadalni. Tu mogli spokojnie porozmawiać. Bez budzenia Weroniki i Igora.

– Witam, Daniel – powiedział patolog entuzjastycznie. Zbigniew Koterski był człowiekiem, który bez względu na sytuację zawsze miał pozytywne nastawienie. Podgórski zazdrościł mu trochę tej cechy. – Mam nadzieję, że cię nie obudziłem?

– Nie, nie – skłamał policjant.

Doktor Koterski zaśmiał się wesoło.

– Zacząłem dziś wcześniej, bo wieczorem mnie nie będzie – wyjaśnił. – Zresztą ten nowy prokurator nalegał, żebym potwierdził domysły lekarki z karetki pogotowia. Leon Gawroński chce być pewny, że to rzeczywiście było morderstwo.

– Też wolałbym być pewny, czy Małgorzata Głuszyńska naprawdę została zabita – stwierdził Podgórski z niejakim rozbawieniem.

– Rozumiem to doskonale.

Daniel wstał od stołu i podszedł do lodówki. Miał zamiar zjeść szybkie śniadanie i pójść do pracy. Jeżeli chciał być w komisariacie na czas, musiał się pospieszyć.

– To jak to z tym było?

Doktor Koterski zwlekał chwilę z odpowiedzią.

– Lekarka z karetki się nie myliła. To nie była śmierć naturalna – powiedział w końcu. – Została otruta.

– Ale podobno w tej herbacie nie było nic niepokojącego.

– Nie było – przyznał patolog. – Małgorzata Głuszyńska nie zginęła od trucizny w jedzeniu czy picciu. Zginęła od trującego gazu. Czy to było morderstwo, czy wypadek, to już wy będziecie musieli ustalić.

– Możliwe, żeby to był wypadek? – podchwycił Daniel.

Doktor Zbigniew Koterski przez moment nic nie mówił.

– Wypadek jednak mimo wszystko wydaje się dość mało prawdopodobny – odparł w końcu. – Zważywszy na... no, na kilka spraw.

– Powiedz wszystko po kolei – poprosił Podgórski. – I pamiętaj, mów prostymi słowami. Wiesz, że się na tym nie znam. Wspomniałeś, że przyczyną śmierci był trujący gaz.

Daniel przytrzymał telefon ramieniem i zaczął robić sobie kanapki z serem. Nie wyglądały może zbyt apetycznie, ale musiały wystarczyć. Mieszkanie z matką miało jednak wiele niezaprzeczalnych plusów. Każdego ranka śniadanie czekało już na niego gotowe. Od kiedy Podgórski przeprowadził się do Weroniki, był zdany na siebie. Nowakowska nie za bardzo lubiła spędzać czas w kuchni.

– Tak. Małgorzata Głuszyńska zginęła w wyniku zatrucia fosgenem – wyjaśnił doktor Koterski tymczasem.

– Nigdy nie słyszałem o takim gazie – powiedział Daniel, wracając z kanapkami do stołu. – Fosgen?

– Tak. Jest to trujący gaz z grupy chlorków kwasowych – wyjaśnił patolog. – Jego historia jest dosyć ciekawa. Jeżeli oczywiście można tak to ująć w tej sytuacji. Podczas pierwszej wojny światowej używano fosgenu jako gazu bojowego. Znalazłem gdzieś informację, że można mu przypisać aż osiemdziesiąt procent wszystkich wypadków śmierci spowodowanych gazami bojowymi w tamtym okresie. Uwierzyłbyś?

Daniel zakrztusił się kawałkiem sera.

– Nasz sprawca użył gazu bojowego sprzed stu lat? – zapytał, z trudem łapiąc oddech.

– Można tak powiedzieć – zgodził się patolog sądowy. – Uprzedzę od razu twoje pytania. Fosgen nie jest archaizmem sprzed lat. Ma też inne zastosowania niż zadawanie śmierci. Obecnie na przykład używany jest w przemyśle chemicznym.

– Gaz bojowy w przemyśle? – zdziwił się Podgórski.

– Tak. Poszukałem trochę informacji na ten temat – pochwalił się doktor Koterski. – Fosgen jest używany głównie do produkcji barwników, tworzyw sztucznych, ale też

w przemyśle farmaceutycznym. Jakiś czas temu w wielkim zakładzie produkcyjnym w Bydgoszczy miały miejsce wypadki spowodowane wyciekami fosgenem. Zatruci się kilku pracowników. Z tym gazem naprawdę nie ma żartów.

– Rozmawiałem z lekarką z karetki – przypomniał Daniel. – Ona podobno pracowała właśnie w Bydgoszczy, zanim przeprowadziła się do nas.

– Dokładnie – odparł lekarz sądowy. – Pewnie dlatego tak łatwo rozpoznała, że to mógł być fosgen.

– Fosgen zawsze powoduje śmierć?

– Nie. To zależy od stężenia – wyjaśnił Zbigniew Koterski. – Niektórych zatrutych fosgenem ludzi udało się odratować. W przypadku kwiaciarki to byłoby niemożliwe. Nawet gdybyście przyjechali do niej wcześniej. Stężenie fosgenem musiało być naprawdę bardzo duże. Zmarła prawie natychmiast.

Daniel Podgórski stracił nagle apetyt. Żuł kanapkę w zamyśleniu.

– Ale w naszej okolicy chyba nie ma żadnych fabryk, które używałyby fosgenem? – upewnił się policjant, przerykając z trudem.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

– Skąd wiedzieliście, że to właśnie fosgen był przyczyną śmierci kwiaciarki?

– Mam już wyniki analizy toksykologicznej. Poza tym są obecne typowe dla działania fosgenem objawy. Podrażnione błony śluzowe górnych dróg oddechowych, spojówki i skóra twarzy. Fosgen uszkodził nabłonek pęcherzyków płucnych. Później nastąpił też obrzęk płuc – wyliczał lekarz sądowy. – W końcu Małgorzata Głuszyńska się udusiła. Podejrzewam, że ktoś prysnął jej fosgenem bezpośrednio w twarz.

Daniela przeszedł nieprzyjemny dreszcz.

– Jak to się stało, że my się nie potruliśmy, kiedy weszliśmy do jej mieszkania? – zapytał, odsuwając od siebie resztę kanapek.

– Fosgen nie jest środkiem trwałym – wyjaśnił doktor Koterski. – Nie utrzymuje się tak długo. Natomiast sam

zabójca z pewnością musiał się jakoś chronić przed trującym działaniem gazu. Inaczej też by zginął.

Podgórski pokiwał głową, choć przecież rozmówca nie mógł go widzieć.

– Nosił maskę gazową?

– Prawdopodobnie.

– Kiedy nastąpiła śmierć?

– Pomiędzy dziewiątą a jedenastą wieczorem w niedzielę.

Daniel podszedł do zlewu i nalał sobie trochę wody do szklanki. Wypił ją szybko dużymi łykami.

– A ten tatuaż na piersi? Co możesz o nim powiedzieć? Nam wydawał się świeży.

– Na pewno był świeży – zgodził się patolog.

– Wygląda na to, że tatuażu nie zrobił profesjonalista, ale i tak zamierzamy porozmawiać z ekspertem – powiedział Daniel. – Jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć?

Po drugiej stronie linii na moment zapanowała cisza.

– Jest jeszcze kwestia plam opadowych – odezwał się w końcu Zbigniew Koterski. Mówił powoli. Niemal z namaszczeniem.

– To znaczy? – zainteresował się Podgórski natychmiast.

Każda informacja mogła okazać się kluczowa. Nawet najmniejszy ślad mógł pomóc im schwytać winnego. Policjant nie zamierzał niczego lekceważyć.

– Wiesz, co to są plamy opadowe?

– Mniej więcej, ale wyjaśnij dokładniej.

– Można powiedzieć, że plamy opadowe są dziełem grawitacji – zaczął medyk sądowy. – Po śmierci krew już oczywiście nie krąży po ciele. Zaczyna wtedy stopniowo opadać do miejsc, które położone są najniżej. Grawitacja zawsze działa.

– Jak szybko to się dzieje? – zainteresował się Podgórski.

– Plamy mogą zacząć się pojawiać już kilkanaście minut po śmierci, ale w pełni wykształcone są dopiero po kilku godzinach – powiedział doktor Koterski. – Jeżeli jednak ciało zostanie w tym czasie przemieszczone, następuje zjawisko, które w medycynie sądowej nazywamy dość obrazowo „wędrówką plam”.

– Rozumiem, że plamy opadowe się wówczas przemieszczają?

– zgadywał Daniel.

– Można tak powiedzieć – zgodził się Koterski. – Krew przemieszcza się ponownie.

– Tym razem do tych miejsc, które w nowej pozycji będą najniżej położone? Dobrze myślę?

– Tak – zgodził się lekarz z uznaniem.

– Można rozpoznać, które plamy są wcześniejsze, a które późniejsze?

– Tak. Te nowe plamy są zazwyczaj bledsze niż te, powiedzmy sobie, starsze.

Daniel zerknął na zegarek. Miał coraz mniej czasu, jeżeli chciał zdążyć na odprawę. Poszedł do przedpokoju i zaczął wkładać buty.

– I w przypadku Małgorzaty Głuszyńskiej zaobserwowałeś właśnie takie zjawisko? – upewnił się.

– Kwaciarka siedziała przy stoliku z podwieczorkiem, kiedy ją znaleźliście, prawda? – zapytał doktor Zbigniew Koterski zamiast odpowiedzi.

– Tak – potwierdził Daniel natychmiast. – Zginęła w innej pozycji?

– Pierwotne plamy opadowe pokazują, że bezpośrednio po śmierci przez jakiś czas denatka leżała na prawym boku – wyjaśnił medyk sądowy. – Dopiero potem ktoś umieścił ciało na sofie. Wtedy powstały nowe, bledsze plamy.

– Jak długo te plamy opadowe mogą się przemieszczać? – zapytał Podgórski, wkładając służbową czapkę. – Można określić, kiedy mniej więcej zmieniono pozycję ciała zmarłej?

– Plamy mogą się przemieszczać do mniej więcej dziesięciu–dwunastu godzin po śmierci.

– Powiedziałaś, że Małgorzata Głuszyńska zmarła pomiędzy dwudziestą pierwszą a dwudziestą trzecią, tak?

– Tak – potwierdził patolog.

Daniel szybko przeliczył czas w pamięci.

– Czyli jeżeli na przykład umarła około dziesiątej wieczorem, jej ciało mogło zostać przemieszczone nawet przed dziesiątą rano kolejnego dnia.

– Tak.

– Sąsiadka znalazła kwiaciarkę około dziesiątej. To logiczne, że przemieszczenie ciała musiało nastąpić wcześniej – powiedział Podgórski, wzdychając. Starał się ukryć zawód, który pobrzmiwał teraz w jego głosie, ale nie było to wcale łatwe. Przecież to nie była wina Koterskiego. – No nic. Dziękuję za wszystkie informacje.

– Pełny raport prześlę do Klementyny i tego nowego prokuratora – powiedział doktor Zbigniew Koterski. – Do usłyszenia.

– Dzięki wielkie. Do usłyszenia.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski wyszedł na dwór i zamknął za sobą drzwi. Wiatr sprawiał, że drzewa na skraju lasu tańczyły w obłądnym tańcu. Zacinał lekki deszcz, więc policjant postanowił podjechać do komisariatu samochodem. Wsiadł do błękitnego subaru i włączył silnik. Równomierna praca motoru sprawiła, że Daniel natychmiast pogrążył się w rozważaniach.

Barbara Krakowiak znalazła ciało sąsiadki około dziesiątej rano w poniedziałek. Przynajmniej tak twierdziła, poprawił się Podgórski w duchu. Małgorzata Głuszyńska zginęła najwcześniej o dwudziestą pierwszą w niedzielę. W ciągu tych dwunastu godzin ktoś zatrął ją fosgenem i przemieścił jej ciało. Jaki miał w tym cel? Dlaczego nie zostawił jej tak, jak leżała? Dlaczego takie ważne było dla niego umieszczenie jej ciała przy stoliku z podwieczorkiem? Czy sprawca próbował ukryć fakt, że wcześniej kwiaciarka leżała na ziemi? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Stanisław Szczepański zamknął z zadowoleniem czerwony segregator i odłożył go na półkę. Przez okno jego gabinetu widać było tańczące na wietrze kłosa zbóż. Było ponuro i siąpił nieprzyjemny drobny deszczyk, ale Szczepańskiego i tak opanował podniosły niemal nastrój. Brod-Dysk wreszcie będzie mógł rozpocząć działalność. Wielką datę ustalili z Lilianą Brzezińską na dwudziestego szóstego maja. W ten sposób mieli jeszcze półtora tygodnia na dokładne przygotowanie

wszystkiego. Stanisław poczuł zasłużoną satysfakcję. Nareszcie.

– Start produkcji opóźnił się co prawda o kilka miesięcy – powiedział Szczepański do Liliany, która siedziała na fotelu koło jego biurka – ale teraz wyjdziemy na prostą.

Brzezińska spojrzała na Szczepańskiego zamyślona. Rzeczniczka prasowa nie wyglądała wcale na usatysfakcjonowaną. Wręcz przeciwnie. Wyglądała, jakby coś ją gryzło. Dyrektor Brod-Dysku był bardzo czuły na wszelkie zmiany nastroju otaczających go ludzi.

– Co się dzieje, Liliana? – zapytał. – Wszystko w porządku?

– Jasne – odparła rzeczniczka prasowa.

Przez chwilę siedzieli w ciszy. Szczepański postanowił dać Brzezińskiej czas. Nie pomylił się.

– Mam wrażenie, że to wszystko jest cisza przed burzą – powiedziała Liliana w końcu bardzo ostrożnie. – Może za wcześniej się cieszymy.

Stanisław Szczepański pokręcił głową.

– Najważniejsze, że nie ma już tej Głuszyńskiej. To ona przecież była naszym głównym problemem. Teraz już będzie dobrze.

Szczepański mówił pewnym tonem, chociaż sam nie był do końca pozbawiony wątpliwości. Wcale mu się nie podobało, że w tym wszystkim będzie węszyć policja. Jego rodzina nie miała najlepszych doświadczeń z policją.

– Swoją drogą ty też nie wyglądasz na w pełni zadowolonego – zauważyła Liliana. Z jej tonu nic nie dało się wywnioskować.

Stanisław zastanawiał się, co ma odpowiedzieć. W końcu chwycił się oczywistego.

– Chodzi o Nikolkę i Nadię – wyznał.

– Tęsknisz za nimi? – zapytała Brzezińska miękko.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo.

W momencie kiedy to powiedział, Stanisław Szczepański zrozumiał, że tak właśnie jest. Tęsknił za córką i byłą żoną całym sercem. Sporadyczne spotkania z Nikolką to nie było to samo. Tęsknił za wspólnymi posiłkami, wypadami do Torunia, do jej ulubionego centrum handlowego i na pierniki. Teraz, kiedy wszystko tak dziwnie się układało, bliskość rodziny

byłaby dużą pomocą. Niestety popełnił idiotyczny błąd, zdradzając Nadzię, i teraz musiał za to płacić.

Na chwilę zapadła cisza. Słysząc było tylko delikatne stukanie deszczu o szybę.

– A ty nie tęsknisz za Miłozsem? – zapytał Szczepański, żeby przerwać nieprzyjemne milczenie.

Liliana Brzezińska zaśmiała się głośno.

– Za Miłozsem? No coś ty.

– Daj spokój, Liliana – nie dowierzał Stanisław. – Ani trochę? Byliście małżeństwem ile? Z dziesięć lat? Więcej?

– Piętnaście – przyznała Brzezińska. – O piętnaście za długo.

– Nie przesadzaj. Chyba nie zawsze było źle?

Stanisław Szczepański czuł się dziwnie, rozmawiając z zamkniętą w sobie rzeczniczką prasową o jej życiu prywatnym. A może to nie była wcale sprawa prywatna? Już nie. Przecież Miłoz Janiszewski był jedną z osób, które skutecznie uniemożliwiły start produkcji w Brod-Dysku.

Stanisław westchnął cicho. Czasem żałował, że zatrudnił Lilianę. Może gdyby jej tu nie było, Janiszewski nie rzuciłby się na Brod-Dysk z taką zaciętością. Artykuły, które pisał, aż ociekały jadem. Było jasne, że chodziło o osobistą zemstę, a nie tylko o ciekawy temat.

– Wolę nie rozmawiać o moim małżeństwie z Miłozsem – ucieła Brzezińska.

Szczepański pokiwał głową. Szczerze mówiąc, on też wolał o tym wszystkim nie rozmawiać. Czasem czuł się jednak w obowiązku spróbować tej czy innej pogawędki, żeby Liliana czuła się zauważana. Szczepański wiedział, że każdy pracownik tego potrzebuje. Był doświadczonym biznesmenem i Brod-Dysk nie był jego pierwszą inwestycją. Stanisław wiedział, że połowa sukcesu każdego przedsięwzięcia to pracownicy, druga połowa to on sam. Nic innego się nie liczyło.

Komisarz Klementyna Kopp zajęła miejsce przy okrągłym stole w salce konferencyjnej komisariatu w Lipowie. Kiczowate pejzażyki w ostrych kolorach, które porozwieszała na ścianach

dobrotliwa Maria Podgórska, już nie raziły tak jak rok temu, kiedy policjantka była tu po raz pierwszy. Stanowiły swoisty koloryt tego miejsca. Klementyna zaczynała go doceniać.

– Zapraszam do próbowania ciasta – zachęcała Maria. – Tym razem zrobiłam wuzetkę chałwową. Palce lizać. Pani Klementynko, proszę spróbować. Niech pani nie robi mi przykrości. Bardzo proszę.

Komisarz Kopp zerknęła na Podgórską niechętnie. Matka Daniela jak zwykle ubrana była w najokropniejsze ubranie, jakie Klementyna mogła sobie wyobrazić. Spódnica w różyczki i czarne rozdeptane buty do połowy łydki. Do tego koszula z koronkowym kołnierzykiem i wełniana kamizelka w pasteloworóżowym odcieniu. Klasyka.

– To chyba coś nowego, pani Mario – zagadnęła tymczasem uprzejmie Emilia Strzałkowska. Niepozorna, mysia policjantka. Nałożyła sobie kawałek ciasta.

– Tak. Znalazłam przepis w komputerze – pochwaliła się Maria Podgórska. Wyglądało na to, że rozpiera ją z tego powodu nieopisana duma. Spoko. Komisarz Kopp też nie za bardzo lubiła siedzieć przy komputerze. Potrafiła zrozumieć niechęć Podgórskiej. – Pani Klementyno, niech pani koniecznie spróbuje.

Komisarz Kopp pokręciła powoli głową.

– Zaczynamy – zaproponował Daniel, zanim Klementyna zdążyła coś powiedzieć. Całe szczęście.

Tym razem zebrali się tylko w piątkę, Daniel Podgórski, jego matka Maria, Emilia Strzałkowska i Marek Zaręba. No i sama Klementyna. Policjantka cieszyła się, że nie ma dziś z nimi Pawła Kamińskiego. Działał jej na nerwy od zawsze. Czeski piłkarz Janusz Rosół i tak do niczego się nie przydawał. Siedział tylko ze smętną miną i myślami gdzieś daleko. Komisarz Kopp z chęcią pozbyłaby się jeszcze natarczywej Marii. Daniel, Emilia i Marek zdecydowanie wystarczyli w całym tym cyrku. Ale! Nie można mieć przecież wszystkiego.

– Młody, macie coś, jeżeli chodzi o ten tatuaż? – zapytał Daniel Podgórski. – Czy słowo „gies” ma jakieś znaczenie, które mogłoby wiązać się z naszą sprawą?

Maria podsunęła synowi talerzyk i uśmiechnęła się do niego wymownie. Klementyna zerknęła na wielki kawałek wuzetki, który nałożyła synowi Podgórska. Nic dziwnego, że szef komisariatu w Lipowie musiał mieć rozpięty kołnierzyk. Komisarz Kopp też lubił cukier. Ale! Na pewno nie zamierzała próbować ciasta Marii. Chociażby dla zasady. Klementyna była za stara, żeby się zmieniać.

Marek Zaręba i Emilia Strzałkowska wymienili spojrzenia.

– Znaleźliśmy kilka znaczeń tego słowa, ale żadne nie ma sensu – odezwała się Emilia.

Klementyna miała wrażenie, że mysia policjantka z jakiegoś powodu zerka na nią podejrzliwie. Komisarz Kopp dotychczas nie współpracowała ze Strzałkowską. Emilia była w Lipowie nowa.

– Najbliższym strzałem wydało się nam to, że Gies jest holenderskim nazwiskiem – dodał Marek Zaręba, podkreślając ostatnie słowo. On też miał rozpięty kołnierzyk. Ale raczej z nadmiaru mięśni niż tłuszczu.

– Czekaj. Stop. Jest ktoś w okolicy, kto ma takie nazwisko, co? – wtrąciła się komisarz Kopp.

Policjantka miała niejasne uczucie, że coś z tym pytaniem nie było w porządku. Słowa dziś znowu nie chciały układać się, jak trzeba. Płątały się dziwnie.

– Właśnie nie – przyznał Marek. – Nie mieszka u nas żaden Gies. Ani jeden.

– Czyli ślepy zaułek – podsumował Daniel.

– Niekoniecznie – sprostował Zaręba szybko.

– To znaczy?

– Znaleźliśmy jedną osobę o bardzo zbliżonym nazwisku – poinformował ich Zaręba. – To Anna Giesa. Giesa to co prawda nie Gies, ale brzmi bardzo podobnie. Bądź co bądź to tylko jedna litera więcej.

– Tylko... – mruknęła Klementyna ze złością.

– Anna Giesa jest Niemką, która wyszła za Polaka – wtrąciła się Emilia Strzałkowska, ignorując komentarz pani komisarz. – Ma czterdzieści dwa lata i trójkę małych dzieci. Mieszka z mężem w Brodnicy. Sprowadziła się do nas w tysiąc

dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku, kiedy miała dwadzieścia trzy lata. Za mąż wyszła nieco później za...

Komisarz Kopp poczuła, że teraz musi się już wtrącić. Te dywagacje były zupełnie pozbawione sensu.

– Czekaj. Stop. Uważacie, że to ta Anna Giesa zatrąła Małgorzatę Głuszyńską fosgenem i się podpisała, co? – zapytała policjantka sarkastycznie. – A przy tym, taka drobnostka, Giesa zapomniała dopisać ostatniej litery nazwiska, co? A może chciała utrudnić nam pracę, co? Żebyśmy mogli sobie trochę pośledzić.

Marek Zaręba wzruszył ramionami. Klementyna zrobiła to samo. Młody policjant spojrział na komisarz Kopp spod oka jeszcze bardziej rozeźlony. Emilia Strzałkowska też nie wyglądała na zadowoloną, że ich pomysł nie spotkał się z aprobatą.

– Daj spokój, Klementyna – poprosił Podgórski.

Pani komisarz znowu wzruszyła ramionami, naśladując Marka Zarębę. Daniel zerknął na kolegę.

– Myślę, że mimo wszystko warto porozmawiać z tą kobietą – zdecydował Podgórski ostatecznie. – Może niekoniecznie to właśnie Anna Giesa jest naszym sprawcą, ale z jakiegoś powodu może być przecież zamieszana w całą sprawę. Emilia, Marek, to jest wasz pomysł. Chciałbym, żebyście pojechali do Brodnicy i z nią porozmawiali, okej?

– Jasne – powiedziała Emilia Strzałkowska.

Mysia policjantka zerknęła na Klementynę, jakby chciała jeszcze raz przypieczętować swoje poparcie dla Marka. Komisarz Kopp znowu wzruszyła ramionami.

– A jak wam poszło wczoraj z Barbarą Krakowiak? – zainteresował się tymczasem Zaręba. Chciał chyba załagodzić narastający wokół niego konflikt. – Sąsiadka kwiaciarki powiedziała wam coś interesującego?

– Czy interesującego, to nie wiem. Ale! Krakowiak zrobiła wczoraj niezłą scenkę – wyjaśniła Klementyna. – Krokodyle łyły się strumieniami.

– Barbara Krakowiak wydaje mi się podejrzana – zgodził się Daniel. – Młody, sam widziałeś, jak się zachowywała na

początku. Wtedy, kiedy przyjechaliśmy we dwóch na wezwanie. Pani Krakowiak stała obok ciała Małgorzaty Głuszyńskiej. Patrzyła na martwą sąsiadkę zupełnie bez mrugnięcia okiem. Tymczasem wczoraj nagle była okropnie roztrzęsiona.

– Może dopiero teraz to wszystko do niej doszło, synku? – zaproponowała Maria Podgórska, nakładając na talerzyki po kolejnym kawałku ciasta. – Takie rzeczy się przecież zdarzają. Nie zawsze wszystko od razu jest jasne. Czasem nie dopuszczamy do siebie myśli, że to się naprawdę stało. Każdy przeżywa żałobę inaczej.

Każdy inaczej przeżywa żałobę... Klementyna mimowolnie pomyślała o Teresie. Teresa. Nie było jej już od dwóch lat. Dwa lata! Komisarz Kopp nadal nie potrafiła do końca w to uwierzyć. Może w słowach Marii było jednak trochę racji. Może.

– Może i tak. Ale! Chyba nie w tym przypadku. Ta baba coś ukrywa – powiedziała Klementyna, żeby pozbyć się posmaku żałoby na języku. – Krakowiak powiedziała też coś ważnego. Według niej nasza denatka miała zatarg z córką.

– O co poszło? – chciała wiedzieć Strzałkowska.

Emilia cały czas spoglądała w stronę pani komisarz niechętnie. Mimo to mysia policjantka coraz bardziej zaczynała się Klementynie podobać. Była niepozorna. Ale harda. Komisarz Kopp lubiła takie kobiety. Teresa też była na pozór bezbarwna, a jednak zdolna do wielkich rzeczy. Teresa.

– Na razie jeszcze nie wiemy – przyznał Daniel. – Trzeba będzie ustalić, kim jest ta córka, i z nią porozmawiać. Jak dotąd nie zgłosiła się do nas, mimo że sprawa śmierci Małgorzaty Głuszyńskiej jest omawiana w mediach. Moim zdaniem to dość dziwne. Nie możemy wykluczyć, że to ona zabiła matkę.

Klementyna pokiwała głową.

– Trzeba ustalić jej tożsamość. Dziś będziemy gadać z Oliwią Gąsiorowską. Może ona coś powie. – Pani komisarz zerknęła porozumiewawczo na Marię. Nie mogła się powstrzymać. – Byłoby szybciej, niż grzebać się w komputerach, co?

– Kim jest ta Oliwia? – zainteresował się Zaręba.

– Ja chyba ją kojarzę, Mareczku! – zawołała Maria

Podgórska, uśmiechając się do Klementyny ostrożnie. – To taka blondynka, która pomagała Małgorzacie Głuszyńskiej w Oleandrze.

Komisarz Kopp pokiwała głową. Właściwie to policjantka nie była zaskoczona, że Maria Podgórska jest chodzącą encyklopedią ludności powiatu brodnickiego. Matka Daniela może i nie lubiła komputerów. Ale była wścibska. To często się przydawało.

– Zgadza się. Oliwia pracowała z Małgorzatą Głuszyńską w kwaciarni – potwierdził Podgórski. – Przesłuchamy ją dzisiaj. Może powie coś więcej i o tej córce, i o samej kwaciarce. W każdym razie, co chyba najważniejsze, mamy już wyniki sekcji zwłok! Może powinienem był od tego zacząć.

Emilia Strzałkowska i Marek Zaręba spojrzeli na szefa komisariatu wyczekująco. Daniel streścił w kilku słowach odkrycia Zbigniewa Koterskiego. Klementyna знаła już wszystkie szczegóły. Zdażyła przeczytać raport patologa, zanim przyjechała do Lipowa.

– Będziemy musieli ustalić, skąd sprawca wziął fosgen – powiedziała do siebie komisarz Kopp. To pytanie wydawało się kluczowe. Zerknęła na pozostałych. Chyba nikt jej nie słuchał. Wszyscy byli skupieni na Danielu. – To nie jest coś ogólnie dostępnego w sklepach.

Nadal żadnej odpowiedzi. Komisarz Kopp wzruszyła ramionami zirytowana.

– W każdym razie wygląda na to, że sprawca musiał mieć maskę gazową – zakończył Podgórski, kiwając głową. – Inaczej sam również by się zatrul. Szczerze mówiąc, trochę trudno mi wyobrazić sobie tę sytuację.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Może wyobrażali sobie twarz nieznanego mordercy ukrytą za maską przeciwigazową. Klementyna skorzystała z okazji, żeby napić się kilka łyków coli. Od razu poczuła się lepiej.

– Czyli dlatego właśnie sprawca pootwierał okna? – zapytał Marek Zaręba. – Żeby gaz się szybciej ulotnił?

– Tak – zgodził się Podgórski natychmiast. – Kolejna rzecz: dlaczego zabójca przemieścił zwłoki. Macie jakieś pomysły?

– Może zabił ją gdzie indziej, a potem przeniósł ciało – zaproponowała Emilia Strzałkowska. Znowu rzuciła Klementynie niechętnie spojrzenie.

– Nie wygląda na to, żeby Małgorzata Głuszyńska zginęła poza domem – wyjaśnił Daniel. – Przynajmniej Zbyszek Koterski nic na temat takiej możliwości nie wspominał, kiedy rozmawialiśmy. Czyli...

– Technicy znaleźli jej włosy na dywanie. Oprócz tego... wydzieliny – przerwała mu Klementyna Kopp dobitnie. Miała dość bycia niezauważaną. Była na to za stara. – Prawdopodobnie kwiaciarka umarła na dywanie. Przed sofą. Sprawca nie przemieścił jej zbyt daleko. Ale! Jednak to zrobił.

Podgórski spojrzał na Klementynę zaskoczony. Nie powiedziała mu tego wczoraj. Głównie z powodu tej bezsensownej kłótni przed ruderą.

– Nic o tym nie mówiłaś – powiedział Daniel oskarżycielsko.

Klementyna wzruszyła ramionami. Odpowiedź równie dobra jak każda inna. Daniel patrzył przez chwilę prosto w oczy pani komisarz, jednak nie powiedział nic więcej.

– A właśnie, jak wyniki przeszukania reszty domu? – zapytała Emilia, odchrząkując cicho. – Było tam cokolwiek, co by nam mogło pomóc?

Podgórski odwrócił się w stronę Emilii i streścił wyniki przeszukania domu kwiaciarki. Klementyna postanowiła się nie wtrącać. Właściwie to ona powinna przedstawić wyniki przeszukania domu Głuszyńskiej. Przecież to Klementyna rozmawiała z technikami. Czuła jednak, że teraz nie powinna już nadużywać cierpliwości Daniela. Nie chciała kolejnej kłótni.

Klementyna pogрузyła się w myślach, ledwo słysząc, co mówi zebranym Daniel. Wyniki przeszukania domu zabitej kwiaciarki były niewątpliwie interesujące. Komisarz Kopp myślała o tym wszystkim przez dużą część wczorajszej nocy. Najbardziej intrygowały panią komisarz dwa nieznanne zestawy odcisków palców. Jeden na szachownicy, a drugi w wywróconej do góry nogami sypialni. Czy morderców była dwójka? A może te odciski w ogóle nie miały znaczenia?

– Podwieczorek o dwudziestej pierwszej? – odezwała się

nagle Maria Podgórska.

Wszyscy spojrzeli w jej stronę zaskoczeni.

– Może zaczęli jeść wcześniej, mamó – zasugerował Daniel. Wyglądał na odrobinę zniecierpliwionego. – Zresztą ten gość wcale nie musi być naszym zabójcą. Sprawca – albo sprawcy, zważywszy na dwa zestawy odcisków palców – mogli przyjść już po tym, jak ta osoba opuściła dom Głuszyńskiej. Będziemy oczywiście musieli ustalić, kto...

– Synku, wybacz, ale to jest trochę... bez sensu... To, co proponujesz – powiedziała Maria bardzo delikatnie. Niemal przepraszająco. – Jeżeli Małgorzata Głuszyńska miała gościa na podwieczorku i ten gość wyszedł, to dlaczego nie sprzątnęła ze stołu? To nie pasuje, synku. Ja bym od razu posprzątała, żeby nie zostawiać wszystkiego na potem.

Maria Podgórska rozejrzała się po zebranych.

– Moim zdaniem to ten jej gość zabił – oznajmiła starsza pani z powagą. – W każdym razie trochę dziwne, żeby zapraszać kogoś na podwieczerek tak późno. Nie uważacie?

Klementyna Kopp musiała przyznać, że coś w tym praktycznym podejściu perfekcyjnej pani domu było na rzeczy. Policjantka poczuła nagle nić porozumienia z Marią. Wbrew sobie. Pomyślała o urodzinach. Dwie stare kobiety.

– Czekaj. Stop. Zaprosiła zabójcę czy przyszedł bez zapowiedzi, co?

Maria uśmiechnęła się zadowolona, że nareszcie została doceniona. Klementyna patrzyła na nią wyczekująco.

– Ciasteczka kwaciarka mogła mieć w domu – stwierdziła po krótkim namyśle Podgórska. – Każdy ma ciasteczka na wypadek wizyty.

Daniel przewrócił oczami. Nie podobało mu się chyba nagle porozumienie pomiędzy Klementyną a Marią.

– Do czego zmierzasz, mamó?

– Moim zdaniem Małgorzata Głuszyńska nie zaprosiła tej osoby na podwieczerek. To była wizyta niezapowiedziana. – Matka Daniela przybrała uroczysty ton, wymawiając to słowo. Jakby właśnie wyjaśniała im największą życiową prawdę.

Komisarz Kopp uśmiechnęła się pod nosem. Nie

przypominała sobie, żeby miała maślane ciasteczka na wypadek czyjejś niezapowiedzianej wizyty. Ale! Może była zwyczajnie samotna...

Właściwie to od śmierci Teresy Klementyna nie miała praktycznie żadnych gości. Zapowiedzianych czy też nie. To już ponad dwa lata, pomyślała policjantka po raz kolejny tego dnia. Dwa długie lata wpatrywania się w zdjęcie ukochanej.

Cmentarza komisarz Kopp unikała jak ognia. Była tam tylko dwa razy. W pierwszą i w drugą rocznicę śmierci Teresy. Za każdym razem wydawało się to ponad jej siły.

– Dobrze. To zabójca był gościem na podwieczorku. Tylko czy to coś zmienia? – głośno myślał Daniel.

– Owszem – wtrąciła się Emilia Strzałkowska. – Jeżeli Małgorzata Głuszyńska zaprosiła tę osobę, to musiała ją znać. To by mogło zawęzić krąg podejrzanych...

– Czekaj. Stop – przerwała komisarz Kopp. – Niekoniecznie musiała znać tę osobę...

Strzałkowska znowu spojrzała na Klementynę spod oka.

– Jest jeszcze jedna rzecz – wtrącił się Podgórski. – Weszliśmy wczoraj do tej rudery, która stoi naprzeciwko domu kwiaciarki, i...

– Jakiej rudery? – zainteresowała się Emilia Strzałkowska, odwracając gniewny wzrok od komisarz Kopp.

Pytanie było zrozumiałe. Mysia policjantka była jedyną osobą, która nie odwiedziła jeszcze miejsca zbrodni.

– Głuszyńska mieszka na końcu kolonii Żabie Doły – wyjaśniła Klementyna łaskawym tonem. – Można powiedzieć, że jej dom jest ostatni w całej wsi. Z jednej strony jest pole, a z drugiej mieszka Barbara Krakowiak. Naprzeciwko jest opuszczony dom.

– Rozumiem. Ktoś obserwował stamtąd Głuszyńską? – zgadywała Emilia Strzałkowska. – Co tam znaleźliście?

– W środku było koczowisko – poinformował koleżankę Daniel.

– Sprawca?

Podgórski pokiwał głową.

– Nie możemy tego wykluczyć, ale mnie to bardziej wygląda

na miejsce, gdzie nocował bezdomny – stwierdził policjant, nakładając sobie ostatni kawałek ciasta. – Przynajmniej sądząc po tym, co znaleźliśmy. Był tam wózek ze śmieciami. Stare ubrania. Pogniecione puszki, które pewnie chciał zanieść do skupu, i tak dalej.

– Zostawił tam to wszystko? – zapytała Emilia. – Dziwne, że tak po prostu odszedł. Te wszystkie rzeczy były przecież...

– Czekaj. Stop. To właśnie jest interesujące. Będziemy musieli poszukać tego bezdomniaka. Mógł coś widzieć – wtrąciła się Klementyna Kopp, otrzymując w zamian kolejne niezbyt przychylne spojrzenie Emilii. – Teraz w każdym razie się ulotnił. Ale! To nic dziwnego. Na widok policji oni wszyscy znikają.

– Jeżeli mielibyśmy świadka... – zaczęła Maria Podgórska.

Nie dokończyła. Nie musiała. Przecież to było oczywiste. Klementyna nie liczyła jednak na wiele. Koczownika prawdopodobnie bardzo trudno będzie zlokalizować. Zwłaszcza jeżeli z jakiegoś powodu chciał pozostać w ukryciu.

– Mnie nadal nurtuje to, co powiedział mi ten dziennikarz – dodał Daniel Podgórski na koniec. – Miłosz Janiszewski twierdzi, że w to wszystko zaplątany jest jakoś ten zakład produkcyjny obok kolonii Żabie Doły. Nazywa się Brod-Dysk. Zwróćcie uwagę, że fabryka jest właściwie o rzut beretem od domu Głuszyńskiej. Może rzeczywiście były między nimi jakieś powiązania.

Komisarz Klementyna Kopp poczuła, że ogarnia ją irytacja. Nienawidziła pismaków. Ale! Jej osobiste antypatie nie powinny wpływać na śledztwo. Nie powinni zanedbywać żadnego tropu. Daniel miał rację.

Komisarz Kopp westchnęła. Miała dziwne wrażenie, że powinna powiązać ze sobą jakieś fakty. Coś już do czegoś pasowało. Jeden z puzzli powinien trafić już na swoje miejsce. Klementyna powinna go dopasować. Cały czas jednak jej się to nie udawało. Widmo jutrzejszych sześćdziesiątych urodzin ciążyło chyba na niej za mocno.

Dobrze, że jutro będzie już po wszystkim.

Hubert Przybylski spojrział na przyszłego teścia z niesmakiem. Chłopak miał tylko cichą nadzieję, że ta niechęć nie maluje się na jego twarzy zbyt wyraźnie. Tym razem Hubert przyszedł do domu Waldemara Gąsiorowskiego sam. Na jego wyraźną prośbę. Przybylski otrzymał rozkaz, żeby nic na ten temat nie wspominać Oliwii.

– No i co, Hubi? – zarechotał Waldemar Gąsiorowski, kiedy tylko Przybylski przekroczył próg jego mieszkania w bloku przy ulicy Wyspiańskiego. – Wezwałem cię do siebie, żeby pogadać. Jak mężczyzna z mężczyzną. Chociaż ty za bardzo nie masz jaj, prawda?

Waldemar czekał chwilę.

– Nic nie mówisz? – drwił. – To chyba raczej się nie mylę. Nie masz jaj, Hubi.

Przybylski wzdrygnął się. Z jakiegoś powodu nie potrafił zdobyć się na odpowiedź. Na sensowną odpowiedź. Nie masz jaj... Gdyby Hubert usłyszał coś takiego od kogokolwiek innego, ziomek musiałby zbierać się już z podłogi. Ten obleśny grubas miał jednak tę przewagę, że był ojcem Oliwii. Hubert pod żadnym pozorem nie chciał zawieść swojej narzeczonej. To dla niej to wszystko znosił.

– No, co powiesz, Hubi? – szydził znowu Waldemar.

Twarz Gąsiorowskiego wykrzywiła się dość makabrycznie. Przybylski mógł z łatwością wyobrazić sobie, jak teść przesłuchuje ludzi. Na pewno był w tym świetny.

– Na razie nie wszystko jest... skończone – zawahał się Hubert.

– Nie wszystko jest skończone? Co to, kurwa, ma znaczyć?! – krzyknął Waldemar Gąsiorowski. – Albo jest zrobione, albo nie jest. Nie ma innej możliwości. No, ale może się mylę? No, co powiesz, Hubi?

Wyglądało na to, że teść naprawdę oczekuje odpowiedzi, więc Hubert Przybylski krótko skinął głową. Słowa znowu uwięzły gdzieś w przetyku.

– To chyba nie było takie trudne? – kontynuował swoją tyradę Waldemar. – No, ale teraz wszystko się skomplikowało,

pedrylu jeden. Nie wiem, co moja córka w tobie właściwie widzi. Psia jego mać.

Tego było za wiele.

– Ja i Oliwia kochamy się – odpowiedział niespodziewanie odważnie Hubert Przybylski. – Czy tego chcesz, czy nie.

Waldemar Gąsiorowski patrzył na Huberta przez chwilę w milczeniu. W zadymionym, dusznym pomieszczeniu czas ciągnął się w nieskończoność. Przybylskiemu udało się jednak nie spuścić wzroku. Tym razem czuł się wygrany.

– Teraz powiem ci jedno, Hubi – Waldemar cedził powoli każde słowo, akcentując poszczególne litery. Kiedy dotarł do zdrobnienia, którego używała Oliwia, prawie już syczał. – I nie będę się powtarzał, rozumiano? Nie będziesz z moją córką, jeżeli nie dokończysz tej sprawy. Rozumiesz to, nieudaczniku pierdolony?

Hubert Przybylski spuścił oczy. Odwaga gdzieś odpłynęła.

– Rozumiesz czy nie?! – wrzasnął Gąsiorowski. – Odpowiadaj!

Hubert Przybylski pokiwał w końcu głową. Waldemar uśmiechnął się zadowolony z siebie. Wygrał kolejne starcie. Niech już teraz będzie po staremu, pomyślał chłopak, ale nadejdzie dzień, kiedy to wszystko się odwróci. Nadejdzie dzień, kiedy to Waldemar Gąsiorowski będzie ostatecznie przegrany. Na razie trzeba zacisnąć zęby i wytrwać.

Dla Oliwii.

– Rozumiem – powiedział Hubert, wpatrując się w wytarte linoleum.

ROZDZIAŁ 8

Breslau.

Środa, 15 stycznia 1851

Adolf Anderssen wszedł do domu. Już od progu czuł zapach pachnidła, którym jak zawsze obficie się skropiła. Młody matematyk wiedział, że to ona. Przecież ani siostra, ani matka nie uważały za stosowne tak podkreślać swojej kobiecości.

Kiedy Adolf wszedł do saloniku, trzy kobiety wstały i dygnęły uprzejmie. Panna Agnes Hoffmann uśmiechała się półgębkiem, jak to miała w zwyczaju. Siostra i matka również wyglądały na kontente.

Anderssen uklonił się grzecznie.

– Ten list trafił do nas. Przez omyłkę chyba – powiedziała Agnes bez wstępów. Podeszła do Adolfa i podała mu korespondencję. – Pan wybaczy, ale niechcący otworzyłam go i przeczytałam. Dopiero później odkryłam pomyłkę, która zaszała. Mam nadzieję, że pan mi wybaczy.

Panna Hoffmann dygnęła niedbale. Anderssen doskonale wiedział, że Agnes nie żałuje ani trochę. Postanowił jednak zagrać w jej grę.

– Ależ nic się, panno Hoffmann, nie stało. – Wziął list i włożył do kieszeni surduta.

– Nie przeczyta pan? – zapytała Agnes i uśmiechnęła się zalotnie. Niewiele sobie robiła z obecności matki i siostry Anderssena.

– Może później – odparł Adolf, unikając jej wzroku.

Zapadło milczenie. Żadna z kobiet nie usiadła z powrotem. Stali więc wszyscy skrzepowani otaczającą ich ciszą.

– Synu, przeczytaj jednak – nalegała Elisabeth Caroline.

W twarzy matki było coś, czego Adolf Anderssen nie potrafił rozszyfrować. Wyjął list z kieszeni. Na papierze też czuć było

perfumy panny Hoffmann. Młody matematyk zerknął w jej stronę. Agnes skinęła powoli głową.

Adolf Anderssen zaczął czytać. Z każdym kolejnym słowem był coraz bardziej zaskoczony.

– Nie może być – mruknął.

Kobiety spojrzały po sobie zadowolone.

– Bardzo panie przepraszam – powiedział Adolf Anderssen, kłaniając się nieznacznie.

Wyszedł z pokoju z listem w dłoniach. Pan Howard Staunton napisał ponownie. Tym razem proponował pokrycie kosztów podróży Anderssena do Londynu, „w razie gdyby Szanowny Pan nie sięgnął po główną wygraną, którą ustaliliśmy na pięćset funtów, co uważam za sumę dość znaczną. Mam nadzieję, że Szanowny Pan zaszczyci nas swoją znakomitą obecnością”.

Adolf Anderssen stał pośrodku hallu, oddychając szybko. Czytał list raz po raz, jakby słowa zupełnie do niego nie docierały. Trudno było uwierzyć w to, co się działo. To było jak cudowne spełnienie marzeń.

– Chyba pan nie odmówi – usłyszał za plecami.

Z saloniku wyszła panna Hoffmann. Jej falbaniasta suknia szeleściła przy każdym ruchu.

– Nie, oczywiście, że nie. Jakżebym mógł odmówić takiej propozycji. Pan Staunton mógłby poczuć się urażony. Nigdy bym tego nie chciał – odparł Adolf Anderssen. – Będę musiał...

– Tak się składa, że i ja jadę pod koniec maja do Londynu. Będę podróżowała z moim ojcem – poinformowała go Agnes lekko. – Mam nadzieję, że spotkamy się tam... a panu poszczęści się w turnieju.

Adolf Anderssen włożył ostrożnie list do kieszeni.

– Czy to pani zawdzięczam... – zaczął.

Dżentelmen nie powinien pytać o takie sprawy, ale Adolf nie potrafił się powstrzymać. Wiedział, że ojciec panny Hoffmann ma wiele znajomości. Bogaty kupiec prowadził rozliczne interesy z podobnymi sobie w stolicy Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii.

– A czy to ważne – odparła panna Hoffmann spokojnie.

ROZDZIAŁ 9

Lipowo, kolonia Żabie Doły i Brodnica.
Środa, 14 maja 2014. Po południu

Starszy sierżant Marek Zaręba ziewnął przeciągle. Zatrzymał radiowóz obok domu, w którym mieszkała Anna Giesa. Wycieraczki pracowały miarowo. Nadal siał delikatny wiosenny deszcz. Na niebie widać już było jednak pierwsze promienie słońca. Młody policjant miał nadzieję, że szybko zrobi się ciepło. Najwyższy czas.

– Zuzia znowu nie daje wam spać? – zagadnęła Emilia Strzałkowska.

Młodsza córka Zaręby skończyła już osiem miesięcy. Marek miał nadzieję, że kolejne przyniosą więcej snu. Zuzia zasypiała właściwie tylko po długich spacerach po lesie. Młody policjant cieszył się, że kupił specjalny wózek do joggingu. Często zabierał córeczkę na wieczorny trening i dzięki temu mogli z Eweliną przespać chociaż pół nocy. Zaręba nie przypominał sobie, żeby z Andżeliką było tyle problemów, kiedy starsza córka była malutka. A może to Marek był młodszy?

– Niestety – przyznał młody policjant. – Ale co zrobić.

– Będzie dobrze – pocieszyła go Emilia i uśmiechnęła się miło.

Niby wszystko było normalnie, ale Marek wyczuł jakąś dziwną nutę w głosie koleżanki. Nie był pewien, o co chodzi. Czy Emilia martwiła się, że Daniel nie dogaduje się z synem? To było prawdopodobne.

Marek kilka razy próbował rozmawiać o tej trudnej relacji zarówno z szefem, jak i ze Strzałkowską, ale oboje unikali tego tematu jak ognia. Zaręba postanowił więc dać im czas. Kiedy nareszcie się zdecydują, żeby porozmawiać otwarcie, on zawsze będzie gotów ich wesprzeć.

– Wszystko w porządku? – zapytał na wszelki wypadek.

– Tak, jasne – odparła odrobinę za szybko Emilia. – Chodźmy porozmawiać z tą Anną Giesą.

Strzałkowska włożyła służbową czapkę i wysiadła na siąpiący deszcz. Marek westchnął. Zamknął samochód i razem podeszli do drzwi jednorodzinne domu, gdzie mieszkała podejrzana. Podejrzana? Tak naprawdę przecież to był czysty przypadek.

Wstępny research, który Marek i Emilia zdążyli przeprowadzić przed przyjazdem tutaj, nie pokazał, żeby cokolwiek łączyło Annę Giesę i Małgorzatę Głuszyńską. Jedyny punkt styczny, który udało im się odnaleźć, był zdaniem Marka dość wątpliwy. Anna Giesa była żoną Ignacego Sikory, redaktora naczelnego „Prawdziwego Głosu”, czyli gazety, gdzie na co dzień pracował wścibiśki Miłosz Janiszewski. Tylko tyle.

Zapukali do drzwi. Otworzył im postawny mężczyzna o nieco ospowatej twarzy.

– Witam, państwo z policji – stwierdził, spoglądając na ich wilgotne od deszczu mundury. – Jestem Ignacy Sikora.

Ignacy Sikora przypominał Zarębie raczej boksera wagi ciężkiej niż redaktora jakiegokolwiek gazety. Nawet brukowca. Gdyby doszło do jakichś przepychanek, Sikora na pewno byłby godnym przeciwnikiem, uznał w duchu młody policjant.

– Ja jestem sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska, a to starszy sierżant Marek Zaręba – przedstawiła ich Emilia. – Przyszliśmy porozmawiać z pańską żoną.

– Czy Anuszka jest o coś podejrzana? – zapytał Sikora niechętnie. – Wolalibyśmy być przy tym przesłuchaniu, jeśli można. Chcę wspierać żonę.

– Proszę się nie martwić. To tylko zwykła rozmowa – zapewnił Marek Zaręba zgodnie z prawdą. – Chcemy tylko ustalić kilka faktów. Nie mają państwo powodu się martwić.

Przynajmniej na razie, dodał w duchu młody policjant. Ignacy Sikora nie za bardzo się Markowi podobał. Z drugiej strony, rozważał Zaręba, to nic dziwnego, że redaktor chce chronić żonę. Gdyby chodziło o Ewelinę, też pewnie chciałby być przy niej w takiej chwili.

– Zapraszam – powiedział Sikora.

Gospodarz zaprowadził Marka i Emilię do niewielkiego pokoju po prawej stronie korytarza. Pomieszczenie pełniło chyba funkcję gabinetu. Wszędzie porozkładane były różnorakie papiery. Na półkach poustawiano segregatory. Obok biurka leżał równy stos kilkudziesięciu numerów „Prawdziwego Głosu”. Już od wejścia Marek zauważył krzykliwe tytuły, które atakowały czytelników z okładki.

– Część materiałów prasowych trzymam tutaj – wyjaśnił Ignacy Sikora nieco lżejszym tonem, kiedy zauważył zainteresowanie Marka. – Chciałem wynająć biura nad naszą redakcją, ale ktoś mnie uprzedził i nic z tego nie wyszło. Dlatego teraz mamy tutaj taki bałagan. Nasza redakcja nie jest zbyt duża. Planowałem rozejrzeć się za czymś większym, ale ciągle nie mam czasu. Proszę usiąść tu na kanapie. Zaraz zawołam żonę.

Emilia i Marek usiedli na dwuosobowej sofie, która stała pod oknem. Krople deszczu nadal stukały o szybę, mimo że słońce zaczynało wychylać się powoli zza chmur.

– Myślisz, że pogoda wreszcie się poprawi? – zagadnęła Strzałkowska. – Może będzie tęcza.

Zanim Marek zdążył odpowiedzieć, drzwi gabinetu otworzyły się nieśmiało. Anna Giesa nie kazała im długo czekać.

– Dzień dobry – przywitała się miło. W jej głosie nie było słyhać ani odrobiny obcych naleciałości. Zaręba nigdy by nie zgadł, że żona Sikory jest z pochodzenia Niemką. – Przepraszam, że włosy mam w takim nieładzie, ale od rana jestem strasznie zajęta.

Anna Giesa była drobną pulchną kobietką o wiecznie roześmianych ustach. Sprawiała przyjemne wrażenie. Markowi trudno byłoby uwierzyć, że ta zabiegana matka trójki dzieci mogłaby zabić kwiaciarkę za pomocą trującego gazu bojowego z czasów pierwszej wojny światowej. To wydawało się zupełnie nieprawdopodobne. Gdyby był tu Paweł Kamiński, pewnie powiedziałby, że po Niemcach wszystkiego można się spodziewać. Marek odetchnął z ulgą, że jest na przesłuchaniu z Emilią. Strzałkowska umiała zachować się o wiele lepiej niż Kamiński.

- Podobno mają państwo do mnie jakieś pytania?
- Tak. To nie potrwa długo – zapewnił Marek Zaręba.
- Oczywiście, proszę pytać.

Anna Giesa odsunęła porozkładane papiery i przysiadła na blacie biurka.

– Gdzie pani była w niedzielę wieczorem? – zaczęła Emilia Strzałkowska.

Już przedtem uzgodnili, że zaczną właśnie od pytania o alibi. Anna Giesa zastanawiała się przez chwilę intensywnie. Zmarszczyła przy tym zabawnie czoło.

– Czy ja wiem? – powiedziała w końcu.

– Proszę się dobrze zastanowić – poradziła Emilia gładko.

– Z tego, co pamiętam, byłam z mężem i dziećmi w domu – wyjaśniła Anna Giesa po chwili. Jej pulchna twarz się rozpromieniła. – Najmłodsze kładę spać zaraz po dobranocce. O! Już pamiętam dokładnie. Była niezła draka przy kąpieli. Zalaliśmy pół łazienki. Potem dzieciaki nie chciały iść spać. Nalatałam się przy nich, że nie wiem! Na razie dzieciaki śpią w jednym pokoju, ale wkrótce trzeba będzie je porozdzielać. Chociaż teraz to nawet jest mi wygodnie, bo mogę się zajmować wszystkimi naraz. Czasem nawet tam z nimi nocujemy, w pokoju dziecięcym. Albo ja, albo mąż... Jak są draki. Co prawda najczęściej ja, bo mąż pracuje, jak państwo wiedzą. Ja jestem kurą domową. Tak to się chyba mówi. Ale dobrze mi z tym. Wcale się tego nie wstydzę. Pani ma dzieci?

Emilia Strzałkowska wyglądała na zaskoczoną tym bezpośrednim pytaniem.

– Tak. Mam syna – odpowiedziała.

– Powinna pani spróbować zostawić na chwilę pracę i zająć się synem. Kiedy kobieta ma dziecko, powinna zostać w domu. Takie jest moje zdanie – wyznała Anna Giesa. O dziwo w jej ustach nie zabrzmiało to ani trochę obcesowo. – Niech ojciec pracuje i was utrzymuje. Tak powinno być. To naturalna kolej rzeczy.

Strzałkowska natychmiast spłoszyła. Marek Zaręba odchrząknął. Anna Giesa nie mogła znać sytuacji rodzinnej Emilii, ale to, co mówiła, mogło w rezultacie doprowadzić do

katastrofy. Trzeba było w porę przerwać tę dyskusję. Nie wiadomo, jak Emilia zareaguje na tego typu nagabywanie, jeżeli potrwa ono dłużej.

– Czy mówi pani coś nazwisko Małgorzata Głuszyńska? – zapytał Marek Zaręba szybko.

Anna Giesa podrapała się po brodzie.

– Czy to matka kogoś z dzieciaków w przedszkolu?

– To ta zamordowana kobieta, o której wspominałem, kiedy rozmawialiśmy przez telefon – wyjaśnił Marek. – Ta, która miała wytatuowane pani nazwisko na ciele.

Gospodyni dotknęła ręką ust.

– Och, przepraszam. Na śmierć zapomniałam! – odparła skruszona. – Nie, nie znałam jej. Zapewniam państwa. Pierwszy raz usłyszałam to nazwisko od pana, kiedy rozmawialiśmy przez telefon.

– Małgorzata Głuszyńska była właścicielką kwaciarni Oleander – podpowiedział Marek. – Zna może pani to miejsce?

– Oleander? Nie wiem, gdzie to jest.

– Przy wyjeździe z Brodnicy. Na Sikorskiego.

– Tam przy stacji Orlen? – upewniła się Anna Giesa.

Marek Zaręba pokiwał głową.

– No wie pan, to po drugiej stronie miasta – powiedziała gospodyni z uśmiechem. – Raczej tam nie jeżdżę. Jeżeli muszę kupić kwiaty, to idę tu koło nas albo do centrum. Dlaczego miałabym jeździć tak daleko?

– Czy ma pani jakiś pomysł, dlaczego pani nazwisko znalazło się na ciele zmarłej?

– Nie. Zupełnie nie wiem. To jest makabryczne – powiedziała Anna Giesa powoli. – Przeraża mnie to. W każdym razie zupełnie nie widzę związku pomiędzy nią a mną. Ja sama nie mam nawet maleńkiego tatuażu. Nie wiem, o co tu może chodzić.

Starszy sierżant Marek Zaręba pokiwał głową i zerknął na Emilię Strzałkowską. Wyglądało na to, że więcej się nie dowiedzą. Młody policjant czuł ogarniającą go frustrację. Przyjazd tu był zwykłą stratą czasu. Tatuaż musiał mieć jakieś inne znaczenie. Trzeba szukać dalej.

Miłosz Janiszewski otworzył folder ze zdjęciami rodzinnymi. Skrót do niego nadal miał na pulpicie swojego komputera. Dawno już miał go wykasować, ale jakoś nie mógł się na to zdobyć. Powiększył pierwsze zdjęcie. Liliana siedziała na pomoście w ośrodku wczasowym Słoneczna Dolina nad Bachotkiem. Jej piaskowe włosy tańczyły na wietrze. Uśmiechała się szeroko.

Miłosz Janiszewski przyglądał się fotografii byłej żony z wściekłością. Kochał Lilianę gorąco przez cały czas trwania ich małżeństwa. Aż do tamtego wieczora. Tego, co zrobiła, w żadnym wypadku nie mógł jej wybaczyć.

– Kurwa jego mać! – wrzasnął dziennikarz na samo wspomnienie.

Sąsiad stuknął w ścianę. Janiszewski nie był pewien, czy dziad chciał go uciszyć, czy to był przypadek. Facet miał chyba ze sto lat i prawdopodobnie żadne hałasy już mu nie przeszkadzały. Miłosz zatęsknił za swoim poprzednim mieszkaniem.

Było za czym. Przed rozwodem mieszkali z Lilianą w pięknym stumetrowym apartamencie w kamienicy przy Dużym Rynku. Dla nich dwojga ten metraż w zupełności wystarczał. Niestety cała rzecz polegała na tym, że mieszkanie należało do Liliany i to on musiał się wyprowadzić, kiedy ich małżeństwo się skończyło. Po tamtej nocy.

– Kurwa jego mać – zaklął znowu Miłosz, ale tym razem ciszej.

Janiszewski brzydził się nawet samego wspomnienia. Liliana, jego żona... nie mógł już o niej w ten sposób myśleć. Teraz była tylko wrogiem i Miłosz był gotów zrobić wszystko, żeby zniszczyć jej życie. Wszystko. Chciał, żeby cierpiała. Chciał, żeby zrozumiała, przez co on przeszedł. Inaczej nic nie miało sensu. Dopiero kiedy doprowadzi ją do upadku, będzie mógł normalnie funkcjonować.

– Człowieku, zacznij żyć – poradził mu kiedyś redaktor naczelny „Prawdziwego Głosu”. – Zapomnij o Lilianie. Znajdź kogoś nowego. Rozwody w dzisiejszych czasach to norma.

Ignacy Sikora mógł sobie gadać. W końcu miał wierną żonę, która dała mu trójkę dzieci. Sikora zawsze wygłaszał tego typu mądrości, czym doprowadzał Janiszewskiego do szewskiej pasji. Niestety był szefem, więc nie można było za bardzo z nim dyskutować.

Miłosz zaśmiał się w duchu. Historia kołem się toczy. To, że żona naczelnego stała się nagle jedną z podejrzanych, było zaskakującym zwrotem akcji, ale niewątpliwie przyjemnym. Niech dla odmiany to Sikora się pomęczy z tą swoją idealną Anną Giesą. Miłosz tylko będzie zacierał ręce.

Głównym wrogiem była bezdyskusyjnie Liliana Brzezińska, ale jeżeli przy okazji Liliana pociągnie za sobą na dno kilka innych osób, to przecież tym lepiej. Cała ta historia ze śmiercią Małgosi Głuszyńskiej mogła przynieść tylko dobre rzeczy, uznał Miłosz Janiszewski.

Pomocnica Małgorzaty Głuszyńskiej, Oliwia Gąsiorowska, wynajmowała pokój w jednym z domów przy ulicy Liliowej. W tej części miasta wiele ulic nosiło nazwy kwiatów. Była tu ulica Bratkowa, Hiacyntowa, Irysowa, Nagietkowa i tak dalej. Młodszy aspirant Daniel Podgórski zaśmiał się w duchu. Kwaciarnia Oleander, która znajdowała się całkiem niedaleko, przy Generała Sikorskiego, doskonale wpisywała się w ten klimat.

Komisarz Klementyna Kopp zapukała mocno do drzwi domu. Otworzyła im chuda starsza pani. Na samym czubku głowy miała upięty imponujących rozmiarów kok, który dominował nad całą jej postacią.

– Tak? – zapytała kobieta nieprzyjaźnie. Kok przekrzywił się jej przy tym nieznacznie. – Czego chcecie, jeżeli można wiedzieć?

Daniel Podgórski zdążył już się przyzwyczać, że wiele osób nie ufało policji albo było wrogo nastawionych do wszelkich kontaktów z funkcjonariuszami. Daniel nauczył się nie oczekiwać zbyt wiele, ale czasami po prostu brakowało mu już cierpliwości.

– Cześć – rzuciła Klementyna, wzbudzając tym jeszcze większą zgrozę gospodyni. – Oliwia jest, co?

Starsza pani spojrzała z niesmakiem na wytatuowane przedramiona komisarz Kopp. Kok przekrzywił się jej jeszcze bardziej, jakby także demonstrował swoje niezadowolenie.

– A ja tam wiem, kiedy one wchodzi, a kiedy wychodzą – odparła gospodyni gderliwie. – Wynajmuję im pokoje, to niech robią, co chcą, póki czynsz płacą.

– Im? – podchwycił Daniel.

Kobieta spojrzała na Podgórskiego niechętnie.

– No im, a komu? Dziewczynom.

– Czeka. Stop. Ile ty masz tu tych dziewczyn, co? – chciała wiedzieć Klementyna.

Policjantka podrapała się po ostrzyżonej na jeża głowie i spojrzała pytająco na starszą panią. Gospodyni poprawiła kok automatycznym ruchem. Misterna fryzura znowu znalazła się na właściwym miejscu.

– No, są trzy dziewczyny – powiedziała w końcu. – Trzy pokoje mam do wynajęcia, więc są trzy dziewczyny. Muszę jakoś dorobić do emerytury. Syn mi ten dom przepisał, a potem wyjechał w świat. Tyle go widziałam niewdzięcznika. Płacę podatki! Nie macie na mnie nic.

Daniel westchnął cicho. Zaczyna się.

– To jest ta Oliwia czy nie, co? – naciskała komisarz Kopp. Na jej twarzy malowało się rozbawienie.

– Normalnie to ona pracuje o tej porze – stwierdziła zaczepnie kobieta. – Pomocnicą w kwiaciarni jest.

– Pytam, czy teraz jest, czy nie ma – nie ustępowała Klementyna. – A nie czy normalnie. Rozumiesz różnicę, co? Nie obchodzi mnie, że oszukujesz urząd podatkowy czy co tam jeszcze. Oczekuję tylko odpowiedzi na proste pytanie. Jest Oliwia czy jej nie ma, co?

– Jest – ustąpiła w końcu gospodyni. – Ale w jej pokoju mi gadać, a nie w salonie, bo jest mój serial i nie zamierzam tracić odcinka. Płaciłam podatki jak każda inna, kiedy pracowałam, więc mi się teraz chyba coś od życia należy.

Daniel uśmiechnął się do Klementyny. Komisarz Kopp też się

uśmiechnęła. Wokół jej wąskich ust pojawiła się sieć drobnych zmarszczek.

– Pierwszy pokój tam w korytarzu – wyjaśniła gospodyni, znowu poprawiając niesforny kok. – Każda ma oddzielny pokój, tylko łazienka i kuchnia są wspólne. Gdybym wiedziała, ile toto siedzi w łazience, tobym chłopom wynajmowała. Z drugiej strony chłop to i nasyfi, i narobi nie wiadomo co. Wiem, bo syna mam. Już mówiłam chyba.

– Tak, wspomniała już pani – odparł Daniel uprzejmie.

Tymczasem Klementyna Kopp ruszyła korytarzem, nie słuchając dalszych wywodów kobiety. Podgórski z rozbawieniem patrzył, jak gospodyni krzywi się przy każdym kroku policjantki stąpającej ciężko w wojskowych butach. Ruszył za koleżanką.

Zapukali do pierwszych z brzegu drzwi.

– Taa? – rozległo się ze środka.

– Pani Oliwia? My z policji – wyjaśnił Daniel przez drzwi. – Rozmawialiśmy przez telefon. Umówiliśmy się na dziś.

– Tak, jasne. Pamiętam – odpowiedziała Oliwia Gąsiorowska, otwierając pomalowane na biało drzwi. – Wchodźcie, zanim ta jędza zacznie zrzedzić.

Oliwia miała niemal hebanową skórę. Policjant nie był pewien, czy to dzieło wielu pobyków w solarium czy samoopalacza. Ze skórą kontrastowały białe, spalone rozjaśniaczem włosy i obcisłe ubranie. Efekt końcowy był niewątpliwie piorunujący.

Klementyna Kopp usiadła na łóżku, nie czekając na zaproszenie Oliwii. Dziewczyna nie okazała najmniejszego zdziwienia.

– Pytajcie, o co tam chcecie. Tylko szybko, bo idę robić tipsy, nie? – poinformowała ich Gąsiorowska i pokazała Danielowi obgryzione na krótko paznokcie. – Za godzinę jestem umówiona do jednej kumpeli w salonie. Nie chcę się spóźnić, nie? Teraz jak na razie Oleander jest zamknięty, to wreszcie będę mogła mieć dłonie jak człowiek. A nie jak jakaś wieśniara. Co prawda już mam narajoną inną robotę, prawie, ale...

Daniel odchrząknął cicho.

– Czy mogłaby pani powiedzieć nam kilka słów na temat swojej pracodawczyni? – przerwał Oliwii. Policjant miał przeczucie, że hebanowa dziewczyna mogła jeszcze długo opowiadać o swoim wyglądzie.

– Mam coś powiedzieć na temat pani Gośki Głuszyńskiej? – upewniła się Oliwia, jakby już zapomniała, jaki był właściwy cel wizyty policji.

Podgórski pokiwał głową.

– Dokładnie tak.

– No, była, jaka była – odparła dziewczyna oględnie. Przez chwilę obgryzała skórkę na kciuku. – Stara babka już. Z osiem dych miała albo coś koło tego. To i tematów wspólnych raczej nie było, nie? Ale jakoś to ciągnęłyśmy. Teraz to nie wiem, kto biznes przejmie. Pani Gośka święta nie była, ale uszła w tłoku, nie?

– Czekaj. Stop. Święta nie była, co? – podchwyciła z miejsca Klementyna Kopp. – Niby czemu? Co masz na myśli?

Oliwia Gąsiorowska wrzuciła ramionami.

– No, swoje miała za uszami, nie?

– A konkretniej, co?

– No, nieraz mi gadała, że się z córką ścięła – wyjaśniła Oliwia Gąsiorowska. – Potem się nie widywały wcale a wcale. Na moje, to tak głupio z rodzicem się ściąć i potem nawet nie zagadać jedno do drugiego. Ja z moim tatusiem mam doskonały kontakt, nie?

– Wie pani, jak się nazywała ta córka? – zapytał Daniel.

Oliwia Gąsiorowska pokręciła głową. Podgórski westchnął zawiedziony. Nie uda im się zyskać na czasie. Trzeba będzie jednak zajrzeć do dokumentacji. Musiał być przecież jakiś ślad tego, że kwiaciarka urodziła dziecko. Tajemnicza córka albo nie wiedziała jeszcze o śmierci matki, albo unikała zgłoszenia się na policję.

Klementyna Kopp sięgnęła do swojego plecaka i wyjęła butelkę coca-coli. Pociągnęła spory łyk i westchnęła błogo.

– Niech pani lepiej uważa z tą colą – poradziła Gąsiorowska, wskazując fałdkę brzucha, wylewającą się z nad paska dżinsowej minispódniczki. – Mnie tak ot tego rozděło, że się

nie mieszczę w większość rzeczy, nie? Tak tylko mówię. Chociaż, jak to tatuś powtarza, kochanego ciała nigdy za wiele. Póki kozaki wcisnę, póty jest gites. Mi to w brzuch raczej idzie niż w nogi...

– Czy Małgorzata Głuszyńska miała jakichś wrogów? – zapytał Daniel Podgórski, przerywając wywody Oliwii. Sam nie czuł się najlepiej z dodatkowymi kilogramami, których przybyło mu od zimy, i wolał nie kontynuować tego tematu.

Oliwia spuściła wzrok. Milczała przez chwilę.

– Ja tam wiem? – odpowiedziała w końcu.

Daniel zerknął na Klementynę. Komisarz Kopp też zauważyła lekkie wahanie w głosie dziewczyny.

– Czekaj. Stop. Zastanów się lepiej dobrze, co? – poradziła policjantka. – Nie chcesz chyba kłopotów, co?

– Może ci z tego Cyngusa, czy czegoś tam, będą wiedzieli lepiej, nie? – odpowiedziała natychmiast Gąsiorowska. – Bo ja to nie wiem.

– Cyngusa? – zapytał Daniel zdziwiony. – Co to takiego?

– No, ja tam nie pamiętam dokładnie, jak to się nazywało. To jakieś towarzystwo ekologiczne czy coś, nie? Pani Gośka Głuszyńska była tam aktywną działaczką – wyjaśniła Oliwia. – Oni powinni coś wiedzieć.

Cyngus. Podgórski zapisał nazwę na kartce.

– Mówi coś pani słowo „gies”? – zapytał dla formalności. Wątpił, że uzyska odpowiedź na to pytanie. – Czy Małgorzata Głuszyńska kiedykolwiek o czymś takim wspominała?

Oliwia Gąsiorowska spojrzała na Daniela zdziwiona.

– Taki owad? Giez?

– Nie chodzi o gza, tylko słowo „gies”. Przez „s” na końcu.

Oliwia Gąsiorowska znowu wzruszyła ramionami.

– Skąd mam niby wiedzieć? – zapytała zaczepnie. – Pierwsze słyszę. Pani Gośka nigdy o czymś takim nie mówiła. Dlaczego pan pyta? To jakiś sprawdzian? Ja już jestem kilka lat po maturze, więc nie do mnie z takimi pytaniami. Późno się zrobiło. Ja już bym spadała, bo te tipsy robię. Już mówiłam, nie?

– Czekaj. Stop. W niedzielę wieczorem to gdzie byłaś, co? –

zapytała Klementyna.

– A tu, w domu – odparła Oliwia bez wahania.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Czy ktoś może to potwierdzić? – dopytywał się młodszy aspirant Daniel Podgórski. Trzeba było sprawdzić, czy alibi Gąsiorowskiej na czas śmierci Małgorzaty Głuszyńskiej jest prawdziwe.

Oliwia Gąsiorowska tylko wzruszyła ramionami.

Barbara Krakowiak wróciła z krótkiej przebieżki. Starła się biegać codziennie. Z reguły robiła sobie jeden dzień przerwy w tygodniu na odpoczynek dla stawów. W końcu nie była już nastolatką. Małgorzata Głuszyńska często się dziwiła, że sąsiadce ciągle chce się żyć tak aktywnie. Barbara Krakowiak nie umiała inaczej.

Barbara weszła pod prysznic, żeby zmyć z siebie zmęczenie. Normalnie byłoby to przyjemne zwieńczenie udanego treningu, ale tym razem jej myśli poszybowały w kierunku Małgorzaty. Barbara Krakowiak wiedziała, że Głuszyńska zawsze miała ją za tę gorszą. Dało się to wyczuć we wszystkim, co mówiła. Za jej słodkimi słówkami zawsze krył się cień kpiny.

Barbara dokładnie umyła twarz. Małgorzata Głuszyńska nie była osobą, z którą ktokolwiek chciałby się przyjaźnić. Przynajmniej nie ona. Cóż, ale o zmarłych nie powinno się źle mówić.

Wyszła spod prysznica i wytarła się puszystym ręcznikiem. Wmasowała w ciało balsam. Czowała, że musi się jakoś rozluźnić. Głuszyńska z jednej strony wywoływała stres, ale z drugiej była też przydatna w takich właśnie sytuacjach.

Barbara Krakowiak poszła do salonu i usiadła przy biurku. To był stary mebel, który odziedziczyła jeszcze po swojej babce. Ta z kolei miała go chyba od prababki. I tak dalej. Barbara nie była pewna, z jakiej epoki mebel faktycznie pochodził. Wszystko to mogło być w końcu zwykłą rodzinną legendą. Biurko równie dobrze mógł zrobić dziadek. Wiek mebla nie był jednak

kluczowy. Najważniejsze było to, że biurko posiadało kilka użytecznych skrytek.

Barbara otworzyła sekretną szufladkę i spojrzała na zawartość. Bardzo potrzebowała rozluźnienia, ale mimo wszystko czuła się z tym, co zrobiła, nie najlepiej. Trochę jak hiena cmentarna, żeby nie powiedzieć czegoś gorszego.

Zamknęła szufladkę z trzaskiem.

– Potrzebuję kieliszeczek czegoś mocniejszego – powiedziała do siebie zrezygnowana. Małgorzata Głuszyńska prześladowała ją nawet po śmierci.

Poszła do kuchni i wyciągnęła z szafki butelkę sambuki. Zdjęła z ociekacza szklaneczkę i wlała alkohol do środka. Dosypała kilka ziarenek kawy i jednym ruchem podpaliła. Patrzyła przez chwilę na płomień, po czym zdmuchnęła go pospiesznie. Upiła łyk napoju.

Przez moment żuła ziarnko kawy w zamyśleniu. Nie sądziła, że śmierć sąsiadki tak nią wstrząśnie. Przecież od dawna skrycie marzyła, żeby coś takiego w końcu się stało. Może chodziło jednak o coś innego? O to, co Barbara zrobiła potem? Chyba tak.

Pani Krakowiak zdjęła okulary i przetała szkła delikatnie. To w tym był problem. To o to chodziło. No bo przecież nie o to, że na świecie nie ma już kogoś takiego jak Małgorzata Głuszyńska? No właśnie. Raczej nie.

Weronika Nowakowska rozłożyła wszystkie składniki na blacie w kuchni. Jajka, mąka, cukier puder, cztery jabłka, cynamon – wyliczała. Ponownie zerknęła do książki kucharskiej, którą kupiła dziś rano w Brodnicy. Potrzebnych było jeszcze kilka rzeczy.

– Kupiłeś śmietanę i ekstrakt wanilinowy? – zapytała Daniela.

– Jasne – uspokoił Weronikę policjant. Na jego twarzy malowało się zadowolenie. – U Wiery zawsze wszystko można dostać, i to o każdej porze. Sama przecież wiesz.

Kiedy tylko Daniel Podgórski powiedział Weronice, że jutro są

sześćdziesiąte urodziny Klementyny Kopp, Nowakowska bez namysłu zaproponowała, że mogą upiec ciasto i zaprosić policjantkę do siebie na niewielkie przyjęcie niespodziankę. Odkąd Podgórski opowiedział Nowakowskiej, że nieprzystępna pani komisarz jest w rzeczywistości niezwykle samotna, Weronika starała się patrzeć na Klementynę nieco inaczej.

– To co? – zapytał z uśmiechem Daniel. – Zaczynamy?

Było już dość późno, ale pomysł upieczenia ciasta dla komisarz Kopp Podgórski przyjął z entuzjazmem. Weronika z rozbawieniem pomyślała, że pewnie odkąd zamieszkał z nią w dworku pod lasem, Danielowi brakowało wspólnego gotowania. Z Marią na pewno spędzał wiele godzin w kuchni. Nigdy nie mówił tego wprost, ale Weronika dobrze wiedziała, że tak naprawdę marzył o tradycyjnej rodzinie i żonie, która będzie na niego czekała z obiadem.

Weronika nijak nie wpisywała się w ten obraz. Kucharka z niej była marna. A może i jeszcze gorzej. Jej specjalnością była herbata i jajecznica, a i to nie zawsze jej wychodziło. Ciasto dla Klementyny miało być próbą... czego? Sprawienia przyjemności Danielowi? Weronika sama nie była pewna.

– Zaczynamy – powiedziała, siłąc się na odwagę.

Raz jeszcze przeczytała przepis. Przez chwilę pracowali w skupieniu.

– Pomóc ci? – zapytał policjant.

– Na razie sama spróbuję – oznajmiła Weronika.

Podgórski przypatrywał się z rozbawieniem, jak po kuchni fruwa mąka. Igor kichnął głośno i poszedł do jadalni niezadowolony. Mimo całej tej idylli Weronika Nowakowska nie mogła przestać myśleć o plotce dotyczącej posterunku w Lipowie. Jeżeli naprawdę zostanie zamknięty, Daniel chyba się nie pozbiera. Nie tylko on. Maria Podgórska, Marek Zaręba, Paweł Kamiński, a nawet zaspany ciągle Janusz Rosół. To będzie cios dla nich wszystkich. Tego Nowakowska była pewna.

Po rozmowie z Emilią Strzałkowską Weronice zrobiło się trochę lżej na duszy. Teraz nie tylko ona знаła niewygodny sekret. Emilia była jedyną osobą, z którą Nowakowska mogła o tym otwarcie porozmawiać. Strzałkowska przecież była

z zewnątrz. Przyjechała do Lipowa dopiero pół roku temu. Mogła spojrzeć na to wszystko obiektywnie.

– Wkładamy już to ciasto do pieca? – zapytał Daniel nieświadomy burzy szalejącej w głowie Weroniki.

– Tak, tak – powiedziała w zamyśleniu.

Daniel uśmiechnął się miło. Weronika poczuła się, jakby go oszukiwała. Nienawidziła takich sytuacji. Sekrety i kluczenie nie były w jej stylu. Z drugiej strony nie chciała, żeby Daniel cierpiał.

– Strasznie się cieszę, że umówiłem się z Łukaszem na jazdę samochodem w weekend – mówił Podgórski, nadal zupełnie nieświadomy tego, o czym myśli Weronika. – Chciałbym się jakoś do niego zbliżyć. Sam nie wiem, jak to najlepiej zrobić. Masz jakieś pomysły?

– Zrób, jak czujesz – poradziła Nowakowska automatycznie. Często powtarzała coś takiego swoim pacjentom.

Zrób, jak czujesz. Szkoda tylko, że Weronika nie za bardzo wiedziała, co ona sama ma czuć. Czy jej uczucia cokolwiek zmieniały? Czy uczucia Daniela i reszty policjantów z Lipowa cokolwiek zmieniały? Jeżeli u góry zapadnie decyzja o likwidacji posterunku w Lipowie, to komisariat zostanie zamknięty. Czy którekolwiek z nich tego chce czy nie.

Komisarz kryminalna Klementyna Kopp zapaliła małą biurkową lampkę. Siedziała w swoim biurze w Komendzie Powiatowej Policji w Brodnicy. Był już późny wieczór. W komendzie została chyba tylko ona i ci, którzy na swoje nieszczęście mieli nocny dyżur.

Klementyna wcale nie miała ochoty wracać do pustego mieszkania. Tam kłębiło się zbyt dużo myśli. O Teresie, o sześćdziesiątych urodzinach i tak dalej. I tak dalej? Sześćdziesiąt lat. Właściwie już samo to wystarczyłoby, żeby przygnębić każdego.

Komisarz Kopp doskonale pamiętała, jak Teresa żartowała sobie z jej wieku. Teresa snuła też wielkie plany, co będą robiły, kiedy Klementyna będzie miała okrągłe urodziny. Teraz Teresy

już nie było. Zmarła dwa lata temu w wieku trzydziestu siedmiu lat. W tym roku miałyby trzydzieści dziewięć i pewnie już rozważałyby, jak spędzą jej własne okrągłe urodziny za rok. Niestety. To już nigdy nie nastąpi. Nigdy. Została tylko Klementyna. Sama. Sześćdziesięcioletnia. Za stara. Trudno było się z tym pogodzić.

Komisarz Kopp wzdrygnęła się na te myśli. Nie pora było za bardzo się rozrzewniać. Na to przyjdzie czas, kiedy policjantka położy się do łóżka, czekając na wiecznie umykający sen. Teraz lepiej było skupić się na pracy.

Klementyna mogła zrobić jedną z dwóch rzeczy – sprawdzić w rejestrach, kim jest córka zamordowanej kwiaciarki, albo zbadać słowa Miłosza Janiszewskiego, który twierdził, że Brod-Dysk jest w jakiś sposób zamieszany w śmierć Głuszyńskiej.

Policjantka zakłęła cicho pod nosem. Postanowiła zacząć od wścibskiego pismaka Miłosza Janiszewskiego i jego rewelacji na temat powiązań Małgorzaty Głuszyńskiej z fabryką. To było wbrew logice i standardowym procedurom. Ale! Nieznana córka musi jeszcze chwilę poczekać.

Klementyna otworzyła stronę internetową „Prawdziwego Głosu”.

– Cholerny pismak – mruknęła przy tym niezadowolona z własnego dziwnego wyboru. – Córkę sprawdzę jutro.

Komisarz Kopp wpisała nazwisko dziennikarza w wyszukiwarkę na stronie brukowca. Na ekranie natychmiast pojawił się spis artykułów napisanych przez Miłosza Janiszewskiego. Było ich bardzo dużo. Widocznie Janiszewski był niezwykle płodnym pismakiem.

Klementyna zaczęła mozolnie przeglądać napisane krzykliwym językiem teksty. Od razu dało się zauważyć, że większość artykułów Janiszewskiego dotyczyła rozmaitych plotek i skandali. Doskonale wpisywało się to w profil wydawniczy „Prawdziwego Głosu”.

– Prawdziwy głos – prychnęła policjantka. Prawdziwy? Czy mogli wybrać nazwę, która mniej pasowałaby do tego steku bzdur?

Komisarz Kopp zjechała myszką w dół strony. Ktoś przeszedł

korytarzem, głośno tupiąc. Policjantka wzdrygnęła się mimowolnie. Przez chwilę zapomniała, że nie jest tu zupełnie sama.

– Co my tu mamy, co? – powiedziała do siebie, wracając do przeglądania artykułów.

Mniej więcej od początku roku reportaże Janiszewskiego zaczęły dotyczyć praktycznie tylko Brod-Dysku. Jakby nagle inne skandale i plotki zupełnie przestały istnieć.

– Ciekawe – mruknęła do siebie Klementyna.

Od początku 2014 roku w każdym tytule artykułu napisanego przez Miłosza Janiszewskiego pojawiała się nazwa Brod-Dysk. Brod-Dysk to, Brod-Dysk tamto. Dlaczego Janiszewski nie pisał o niczym innym? Może szef redakcji przydzielił ten temat pismakowi, zastanawiała się Klementyna.

Policjantka otworzyła pierwszy tekst ze stycznia i przeleciała go wzrokiem. Język, którym operował Janiszewski, był cięty, wręcz jadowity. Niesprecyzowane oskarżenia wobec Brod-Dysku padały niemal w każdym zdaniu. Kolejne artykuły ze stycznia nie były wcale lepsze.

W lutym nastąpił pewien przełom. Janiszewski wreszcie skupił się w swych oskarżeniach na konkretach. Po raz pierwszy zaczął wspominać o wpływie Brod-Dysku na środowisko naturalne. Pismak sugerował, że zakład będzie używał w swojej produkcji niezwykle niebezpiecznego środka, jakim jest fosgen.

– Fosgen – szepnęła Klementyna Kopp zamyślona. – Ciekawe.

Czy pismak sugerował Danielowi Podgórskiemu, że właśnie w Brod-Dysku jest fosgen, którego użyto do zabicia Małgorzaty Głuszyńskiej? Czy o to mu chodziło?

Policjantka przeczytała kolejne artykuły Miłosza. Od lutego kwestia fosgeny pojawiała się już w każdym z nich. Ostatni tekst pochodził sprzed tygodnia. Dziennikarz przytaczał w nim wszystkie wypadki śmiertelne, które były spowodowane wyciekami fosgeny w zakładach chemicznych. Do tekstu dołączono przerażające zdjęcia żołnierzy z czasów pierwszej wojny światowej padających na ziemię po ataku tym trującym

gazem.

Komisarz Kopp zerknęła na zegarek. Była dwudziesta trzecia trzydzieści. Normalni ludzie już śpią czy to jeszcze wczesna pora? Klementyna Kopp wzruszyła ramionami. Wykręciła numer Daniela. Dobrze by było zacząć jutrzejszy dzień od wizyty w zakładzie produkcyjnym Brod-Dysk w kolonii Żabie Doły. Mimo wszystko.

14 maja 2014

Do zainteresowanych:

Mam wyrzuty sumienia.

To prawda.

Z drugiej strony nadal nie czuję, żeby policja deptała mi po piętach. Przynajmniej jeszcze nie. A może zwyczajnie jest na to jeszcze za wcześnie?

Morderstwo. O tym się przecież tylko słyszy w telewizji albo czyta w gazetach. Zupełnie inaczej jest, kiedy to dotyczy ciebie.

Małgorzata Głuszyńska.

To było moje pierwsze morderstwo. Nie boję się już używać tego słowa, chociaż wszystko to wydaje się dość nieprawdopodobne i tak boleśnie nowe.

Czasami w książkach mowa jest o przyjemności z polowania. Zastanawiam się, czy ja coś takiego odczuwam. Chyba nie. Do takiego wniosku dochodzę.

Zresztą to wcale nie jest polowanie. To jest gra. Skomplikowana, ale logiczna. Mająca swoje zasady od bardzo dawna. Ruch, potem kolejny. Ty, przeciwnik, ty, przeciwnik. Aż do momentu, kiedy wszystko się skończy.

Kiedy o tym dużo myślę, znowu zaczyna mnie ogarniać lęk.

Honor.

To o tym muszę pamiętać. To słowo powtarzam sobie od niedzieli wieczorem, kiedy Małgorzata Głuszyńska upadła na ziemię.

Honor. Tylko tyle albo aż tyle.

Poza tym staram się funkcjonować normalnie. Nie chcę, żeby ktokolwiek zauważył zmianę w moim zachowaniu. To mogłoby doprowadzić do zguby. Nie chcę się głupio dać

złapać. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Rozważam jednak możliwość poddania się policji, kiedy będzie już po wszystkim.

W każdym razie na pewno jeszcze nie teraz. Na razie jest na to za wcześnie.

Zamierzam dotrwać do końca.

Na pewno.

ROZDZIAŁ 10

Lipowo, kolonia Żabie Doły i Brodnica.
Czwartek, 15 maja 2014 roku. Rano

Młodszy aspirant Daniel Podgórski czekał na komisarz Klementynę Kopp przy wjeździe do zakładu produkcyjnego Brod-Dysk w kolonii Żabie Doły. Tak ustalili wczoraj wieczorem, kiedy policjantka niespodziewanie do niego zadzwoniła.

Podgórski wysiadł z samochodu. Zrobiło się znacznie cieplej niż wczoraj. Całkiem przyjemnie było odetchnąć pełną piersią i rozkoszować się tym wiosennym porankiem. Po lekkiej zimie wszyscy mieli nadzieję, że i lato szybko przyjdzie. Nic bardziej mylnego. Najpierw przedwiośnie ciągnęło się w nieskończoność, a potem wiosna nie rozpieszczała mieszkańców pojezierza. Może dzisiejszy dzień wreszcie przyniesie odmianę.

Daniel widział już z daleka nadjeżdżającą od strony wsi czarną skodę pani komisarz. Klementyna minęła właśnie dom zamordowanej Małgorzaty Głuszyńskiej i wjechała na polną drogę prowadzącą do fabryki. Za jej autem unosił się tuman kurzu, jakby wczoraj przez cały dzień nie padało.

Komisarz Kopp zaparkowała tuż przed bramą fabryki. Starannie zaciągnęła ręczny hamulec. Klementyna była spokojnym kierowcą, zawsze jeździła według przepisów. Daniel gotów był dać głowę, że policjantka przeczytała instrukcję obsługi czarnej fabii i ani razu nie spóźniła się na przegląd.

– Cześć – rzuciła komisarz Kopp, wysiadając z samochodu.

Jak zwykle ubrana była w przykrótki skórzany żakiet, który odsłaniał jej wytatuowane przedramiona. Wiosna, lato czy zima, Klementyna nosiła go niezależnie od pogody. Rękawy na łokciach poprzecierały się już wyraźnie, co nadawało strojowi

policjantki jeszcze bardziej buntowniczy sznyt.

– Cześć. Wszystkiego najlepszego... – zaczął Daniel.

Podgórski zamierzał złożyć Klementynie życzenia, ale koleżanka zgromiła go natychmiast wzrokiem. Daniel właściwie nie spodziewał się niczego innego. Będzie musiał znaleźć jakiś sposób, żeby przemyścić zaproszenie na dzisiejsze przyjęcie niespodziankę. Nieco kośława tarta z jabłkami, efekt wczorajszych wieczornych zmagania w kuchni, czekała przecież na oporną jubilatkę w lodówce Weroniki.

– Wchodzimy tam, co? – zapytała Klementyna Kopp twardo. Nie pozostawiła najmniejszych wątpliwości, co sądzi o składaniu urodzinowych życzeń. – Jutro rano mamy się spotkać z prokuratorem Gawrońskim, więc lepiej, żebyśmy coś już mieli. Nie znam faceta zbyt dobrze. Nie wiem, czego się po nim spodziewać. Chcę być przygotowana.

– Okej – przytaknął Daniel, głównie po to, żeby powiedzieć cokolwiek.

Podgórski włożył służbową czapkę i podeszli do bramy Brod-Dysku. Na słupie pysznił się domofon wyposażony w wiele rozmaitych przycisków. Obok wisiała równie skomplikowana instrukcja jego obsługi. Daniel obawiał się, że samo zapoznanie się z nią zajmie im sporo czasu. Okazało się jednak, że brama jest otwarta i jego obawy były zupełnie niepotrzebne.

Weszli na teren fabryki. Okna pomieszczeń biurowych wychodziły na podjazd, więc prawdopodobnie wszyscy wiedzieli już o wizycie policji. O ile ktoś tu w ogóle był. Brod-Dysk zdawał się bowiem opustoszały. Robiło to dość nieprzyjemne wrażenie.

– Dzwoniłaś do nich? – upewnił się Podgórski. – Wygląda, jakby nikogo tu nie było.

Klementyna Kopp wzruszyła ramionami.

– Nie lubię się zapowiadać – mruknęła. – Olałam to.

Daniel Podgórski zaśmiał się cicho. Czego innego mógłby się po niej spodziewać? To była przecież Klementyna.

Nagle drzwi budynku otworzyły się i wyszła z nich wysoka blondynka. Ubrana była w wyprasowane w kant spodnie trzy czwarte i skórzane baletki. Jej długie blond włosy opadały na

jedno ramię i sięgały niemal do pasa.

– Dzień dobry. W czym mogę państwu pomóc? – zapytała uprzejmie kobieta.

– Młodszy aspirant Daniel Podgórski i komisarz Klementyna Kopp – przedstawił ich Daniel. – Chcielibyśmy porozmawiać z dyrektorem tego zakładu.

– Liliana Brzezińska. Mój szef jest w tej chwili zajęty, ale ja jestem rzeczniką prasową Brod-Dysku i chętnie odpowiem na wszelkie państwa pytania – zapewniła kobieta. – Jeżeli coś będzie niejasne, wówczas poproszę pana Stanisława Szczepańskiego, żeby do nas dołączył. Czy takie rozwiązanie państwu odpowiada?

– Okej. Spoko – odparła krótko Klementyna Kopp. – Fabryka działa czy nie, co? Trochę tu pustawo się wydaje.

Liliana Brzezińska westchnęła ledwo słyszalnie.

– W dwa tysiące trzynastym działaliśmy przez krótki czas, ale potem niestety pewne... inicjatywy sprawiły, że musieliśmy zamknąć produkcję do wyjaśnienia sprawy – powiedziała Liliana. – Ponownie mieliśmy ruszyć w styczniu tego roku, ale niestety sytuacja się powtórzyła. Mam nadzieję, że najpóźniej w ciągu dwóch tygodni wszystko wróci do normy. Jesteśmy na dobrej drodze.

Brzezińska mówiła płynnie i co jakiś czas uśmiechała się do policjantów. Wyglądało to bardzo profesjonalnie. Daniel musiał przyznać, że jest oczarowany długowłosą blondynką. Zerknął w stronę komisarz Kopp. Co uważała Klementyna, nie wiedział. Jak zwykle.

– Czekaj. Stop. O jakich inicjatywach mówisz, co? – zapytała policjantka, podwijając rękawy skórzanego żakietu.

Liliana spojrzała przelotnie na wytatuowane przedramiona Klementyny.

– Chodzi głównie o działalność Towarzystwa Ekologicznego Cygnus i dziennikarza tabloidu „Prawdziwy Głos” – wyjaśniła, odgarniając włosy na drugie ramię. – Uparli się, że zablokują naszą produkcję. Niestety byli dość skuteczni.

Klementyna Kopp podrapała się po ostrzyżonej na jeża głowie.

– Chodziło o fosgen, co?

Tym razem Brzezińska westchnęła dość głośno. Przez chwilę Liliana i Klementyna patrzyły sobie w oczy.

– Dokładnie – przyznała w końcu rzeczniczka prasowa. – Towarzystwo Ekologiczne Cygnus i Miłosz Janiszewski zarzucali nam, że będziemy do produkcji używali fosgeny. Tak.

– A będą państwo? – wtrącił się Daniel, żeby zaznaczyć swoją obecność.

– Oczywiście, że nie. Te zarzuty są doprawdy śmieszne. Nasz zakład produkuje płyty kompaktowe CD i DVD – wyjaśniła Liliana Brzezińska z lekkim uśmiechem. – Tego typu płyty robi się z poliwęglanów. Poliwęglany zaś często produkowane są poprzez reakcję polikondensacji fosgeny z diolami aromatycznymi. Czyli do produkcji samych poliwęglanów używa się fosgeny. To akurat jest prawda. Istnieje teraz również możliwość produkcji bezfosgenowej. W tym wypadku stosuje się transestryfikację węglanu difenylu. Wiem, że to państwu pewnie niewiele mówi. Najważniejsze jest jednak to, że my kupujemy już gotowe poliwęglany i to z nich robimy płyty kompaktowe. My nie produkujemy poliwęglanów tu na miejscu. Nasz zakład jest nieduży, ale mógłby prężnie funkcjonować, gdyby tylko pewne elementy na to pozwoliły. Nie zagrażamy nikomu.

– Mówiąc „elementy”, ma pani na myśli pana Miłosza Janiszewskiego i Towarzystwo Ekologiczne? – upewnił się Daniel.

Liliana przytaknęła.

– Tak. Dokładnie to mam na myśli.

Daniel podrapał się po brodzie. Małgorzata Głuszyńska podobno należała do Towarzystwa Ekologicznego Cygnus. Towarzystwo pojawiło się w tej układance już po raz drugi. Najpierw wspomniała o nim Oliwia Gąsiorowska, a teraz Liliana Brzezińska. Trzeba będzie dokładniej zbadać ten trop, uznał Podgórski.

– Nasz zakład przeszedł wszelkie kontrole i nie jest w żaden sposób niebezpieczny dla środowiska. Mam na to całą dokumentację, którą chętnie państwu przedstawię –

zapropozowała Brzezińska po chwili. – Inaczej zresztą nie otrzymalibyśmy zgody na zbudowanie Brod-Dysku tak blisko granicy parku krajobrazowego. Powiem więcej. Ekologia jest naszym priorytetem. Nie tylko tu w samym zakładzie. Mamy w planach między innymi współpracę z ornitologami z Wyspy Skarbów na jeziorze Bachotek.

– Tam, gdzie jest ta hodowla ptaków? – upewnił się Podgórski. Na jeziorze Bachotek była wyspa, którą miejscowi zwali Wyspą Skarbów. Mieściła się tam hodowla ptaków ozdobnych Woliera Tadeusza. – Na czym ma polegać ta współpraca?

– Hodowlę na Wyspie Skarbów prowadzą rodzice dyrektora naszej fabryki, pana Stanisława Szczepańskiego – wyjaśniła rzeczniczka prasowa Brod-Dysku. – Są plany, że dzięki wsparciu finansowemu naszej firmy hodowla państwa Hanny i Tadeusza Szczepańskich stanie się też swoistym schroniskiem dla ptaków, które z różnych względów potrzebują pomocy. Być może nawet dla zagrożonych gatunków. Nie rozmawialiśmy jeszcze o szczegółach, ale duża część budżetu na pewno zostanie przeznaczona na tę chlubną działalność.

– Okej. No dobra. A tak może wracając już do tematu, co? – zaproponowała Klementyna Kopp, wypluwając słowa jak karabin maszynowy. – W tym waszym poliwęglanie do płytek CD jest fosgen czy go nie ma?

– Nie rozumiem – odparła Liliana. Wyglądała na zdezorientowaną.

Klementyna Kopp wzruszyła ramionami.

– Spoko. Powiedziałas przed chwileczką, zanim słuchaliśmy tej pięknej przyśpiewki o ptaszkach, że fosgen używany jest do produkcji poliwęglanów. Ale! Jest też produkcja bez fosgeny. Tak czy nie, co?

Brzezińska skinęła głową.

– Tak.

– To w waszym poliwęglanie jest fosgen czy go nie ma, co?

Liliana Brzezińska odwróciła na chwilę wzrok.

– Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie. To naprawdę nic nie zmienia – powiedziała kwaśno rzeczniczka prasowa. Wyglądała

teraz na wyraźnie zniecierpliwioną, mimo maski chłodnego profesjonalizmu. – Same poliwęglany, mimo że do ich produkcji używany jest fosgen, nie są niebezpieczne. Sama pani przecież na pewno używa płyt kompaktowych, prawda? I jakoś pani żyje. Ja mam ich w domu kilkadziesiąt. Co najmniej. Kierowcy Formuły 1 mają robione z poliwęglanów kaski, a w samolotach szybki w oknach są poliwęglanowe. Od tego się nie umiera, pani komisarz.

– Czyli mówi pani, że na terenie waszego zakładu nie ma fosgenu w czystej postaci ani półproduktów, które są używane do jego produkcji? – upewnił się Podgórski.

Liliana Brzezińska znowu poprawiła włosy.

– Oczywiście, że nie ma tu niczego takiego. Już mówiłam – zapewniła. – Przepraszam, ale czy mogę wiedzieć, skąd właściwie te pytania?

– Pokaż no te papiery, co? – ucięła Klementyna Kopp. – Te, co mówiłaś przed chwileczką.

Rzeczniczka prasowa Brod-Dysku odchrząknęła.

– Oczywiście. Zapraszam do środka.

– I tak przyślę tu ludzi, żeby zobaczyli, co i jak – rzuciła Klementyna w kierunku Daniela Podgórskiego. – Przekonamy się, co tu tak naprawdę można znaleźć.

– Nie ma problemu – zapewniła Liliana Brzezińska. – My w Brod-Dysku nie mamy nic do ukrycia. W przeciwieństwie do Towarzystwa Ekologicznego Cygnus. To ich powinniście sprawdzać, nie nas. Nie ciekawi was na przykład, dlaczego tak im zależy, żeby zatrzymać naszą produkcję?

Franciszek Trojanowski otworzył okno w głównej sali klubu szachowego. Stało tu kilka stołów, przy których członkowie klubu rozgrywali partie. Franciszek był bardzo zadowolony z tego reprezentacyjnego pomieszczenia. Udało im się tu nawet zorganizować kilka niewielkich turniejów.

Trojanowski był też dumny ze swoich podopiecznych. Regularnie zdobywali wysokie miejsca na zawodach. I w Polsce, i za granicą. Żałował, że jego mistrzyni już nie żyje

i nie zobaczy nigdy sukcesu jego klubu. Na pewno byłaby szczęśliwa, że zaszedł tak daleko.

Kłopot stanowiła teraz tylko Nikola Szczepańska. Wyglądało na to, że pasierbica nienawidzi Franciszka z całego serca i co gorsza nie ma najmniejszego zamiaru wrócić do gry w szachy. Nikolka była jedną z najzdolniejszych szachistek, jakie kiedykolwiek uczył. Teraz dziewczyna odrzucała cały ten talent.

Trojanowskiemu chciało się płakać, kiedy o tym myślał. Nienawidził marnotrawstwa. Najgorsze było to, że prawdopodobnie to on sam przyczynił się do tej sytuacji. Bo kto inny? Niepotrzebnie związał się z Nadią po jej rozwodzie ze Stanisławem Szczepańskim. Nikolka poczuła się chyba dogłębnie zdradzona. Z jej zaufanego nauczyciela Franciszek zmienił się w ojczyma, który zajął miejsce ojca.

Franciszek Trojanowski wszedł do swojego gabinetu na tyłach głównej sali klubu szachowego. Wczoraj, jak zwykle w środy, pracował w klubie do późna. Na biurku ciągle jeszcze porozkładane były papiery. Szachista nie miał siły sprzątnąć ich wieczorem i teraz piętrzyły się chaotycznie. W całym klubie zresztą było dość brudno, jeżeli już o tym mowa.

Trojanowski usiadł przy biurku i z westchnieniem wygrzebał spod stosu dokumentów staromodny notes. Monika, która zazwyczaj sprzątała klub, zrezygnowała nagle ze swojego stanowiska. Wymówiła się chorobą. W zamian poleciła koleżankę. Franciszek nie lubił, kiedy obcy ludzie chodzili po klubie, ale ktoś musiał tu przecież sprzątać. I tym kimś na pewno nie będzie on. Na to już zupełnie nie miałby czasu.

Szachista wybrał numer.

– Taak? – usłyszał w słuchawce.

Kobieta po drugiej stronie linii wydawała się młoda. Mówiła nieco przeciągle i z przesadną egzaltacją. Franciszek nie lubił takich dziewczyn, ale nie miał wyboru. Nie chciał szukać sprzątaczkę przez ogłoszenia. Ta dziewczyna była przynajmniej z polecenia ich poprzedniej pracownicy.

– Halo, jest tam kto czy nie? – zapytała rozmówczyni, wrywając go z zamyślenia.

– Dzień dobry. Mówi Franciszek Trojanowski. Dzwonię

z klubu szachowego. Dostałem pani numer od Moniki Stańczuk – wyjaśnił. – Podobno byłaby pani zainteresowana podjęciem za nią zastępstwa na czas choroby?

– No przecież. Nareszcie pan dzwoni, nie? – rzuciła dziewczyna zadowolona. – Nawet bardzo chętnie się podejmę. Kiedy mogę zacząć? Potrzebuję pieniędzy, nie? Tam, gdzie pracowałam wcześniej, jest teraz zamknięte.

Było coś dziwnego w jej głosie, ale Franciszek Trojanowski postanowił to zignorować. Sprzątaczką była tu niezbędna. Nie mógł odrzucić tej kandydatki tylko dlatego, że nie podoba mu się jej głos.

– Im szybciej, tym lepiej – powiedział zdecydowanym tonem. Teraz już było za późno, żeby się wycofać. Nie można wpadać w paranoję. – Niech pani przyjdzie po klucze. Wolalbym, żeby pani sprzątała przed otwarciem albo po zamknięciu klubu. Kiedy rozgrywane są partie, musi tu być spokój.

Przed chwilą skończyli wizytę w Brod-Dysku. Komisarz Klementyna Kopp jechała powoli wyboistą drogą prowadzącą obok domu Małgorzaty Głuszyńskiej w kierunku głównej części kolonii Żabie Doły. Daniel Podgórski jechał przodem starym radiowozem należącym do posterunku w Lipowie.

Rozdzielili się, żeby przyspieszyć trochę postępy prac. Daniel miał sprawdzić rewelacje dotyczące Towarzystwa Ekologicznego Cygnus, o których wspomniała Liliana Brzezińska. Klementyna zaś planowała nareszcie ustalić tożsamość córki Małgorzaty Głuszyńskiej. Lepiej późno niż wcale.

Policjantka ominęła głęboką wyrwę pomiędzy wielkimi płytami, z których zbudowano drogę. Czarna skoda fabia i tak podskoczyła. Amortyzatory zatrzęszczały z wyrzutem. Klementyna Kopp przyhamowała natychmiast. Lubiła ten samochód. Ona i czarna skoda pasowały do siebie jak ulał... nawet z tą nieszczęsną sześćdziesiątką na karku.

Komisarz Kopp ostro skrzyła kierownicę i ominęła kolejną dziurę. Jej wzrok padł na zrujnowany budynek naprzeciwko

domu kwaciarki. W czasie ostatniej wizyty na miejscu zbrodni znaleźli tam z Danielem posłanie, na którym prawdopodobnie sypiał jakiś bezdomny. Może lepiej powiedzieć „potencjalny świadek”. Pośród wszystkich przesłuchań porzucili na razie ten trop. Może nie powinni byli tego robić?

Komisarz Kopp dodała gazu. Doszła do wniosku, że córka Głuszyńskiej może jeszcze momencik poczekać, skoro i tak była do tej pory w odstawce. Zanim Klementyna zanurzy się na dobre w rejestrach dotyczących spraw rodzinnych Małgorzaty Głuszyńskiej i skłóconej z nią córki, dobrze by było zasięgnąć języka u miejscowych na temat bezdomnego z rudery. Być może któryś z mieszkańców kolonii Żabie Doły wiedział, kim on jest. To by znacznie ułatwiło sprawę.

Klementyna z ulgą zjechała z podziurawionej drogi prowadzącej do Brod-Dysku i wjechała do centrum popegeerowskiej wsi. Zatrzymała się przy miejscowym sklepiku, gdzie siedziała grupa obskurnych pijaków. Nie trzeba było szukać innych informatorów. Tacy zawsze wszystko wiedzą najlepiej.

– Ta rudera obok domu kwaciarki jest zamieszкана, co? – rzuciła Klementyna bez wstępów. Była pewna, że obleśni menele doskonale wiedzą, o co chodzi.

– A ty, szefowo, to kto, jeśli można? – zapytał typ, który wyglądał na przywódcę śmierdzącej alkoholem bandy.

– Nie twój interes.

Ta odpowiedź zupełnie zasznurowała im usta. Nikt nie odpowiedział.

– Pomieszkuje tam ktoś, co? – spróbowała Klementyna raz jeszcze.

Znowu żadnej odpowiedzi.

Komisarz Kopp wzruszyła ramionami i sięgnęła do kieszeni po blachę. Jak oni tak pogrywają, to ona także wyciągnie cięższą artylerię.

– To wiecie coś na ten temat czy nie, co? – zapytała, pokazując służbową odznakę. – Nie jestem stąd. Ale! Problemów wam narobię, jeżeli będzie trzeba.

– Już dobra, dobra, szefowo. Po co te nerwy? – zapytał pijak.

Wyczuł chyba, że nie powinien z Klementyną za bardzo zadzierać. – Czasem tam taki obcy przesypia noc. Nie znamy typa. Bezdomny jakiś chyba. Prawda, chłopaki?

Reszta bandy pokiwała natychmiast głowami.

– Kiedy był tu ostatnio, co?

– Wziął nogi za pas. – Przywódca meneli zarechotał ochryple. Reszta pijaków poszła w jego ślady. – Nie dziwne. Też bym się zwinął na jego miejscu. Kto by chciał z policją gadać. Kiedyś mieliśmy tu całkiem porządne rządy, ale teraz? Kolonia schodzi na psy. Kręcą się tu ludzie z Lipowa. Kiedyś to było zupełnie inaczej! Ci z Lipowa zupełnie nas nie rozumieją.

Znowu rechot. Komisarz Kopp czuła, że z trudem się powstrzymuje, żeby nie wybuchnąć. Sześćdziesiąte urodziny i jeszcze to. Za wiele jak na jeden dzień.

– Mów, kiedy tu był, bo będą problemy – postraszyła.

Pijacy przez chwilę konferowali ożywni.

– W poniedziałek rano się zmył, jak zaczęliście robić te hece wokół domu starej Głuszyńskiej – powiedział w końcu szef bandy. – Szefowa nie kopsnie kilku zeta na browarka? Za taką pomoc chyba się nam należy!

Komisarz Klementyna Kopp wsiadła do samochodu bez odpowiedzi. Przekręciła kluczyk w stacyjce. Bezdomny, który nocował w ruderze obok domu zamordowanej, mógł coś widzieć. Tym bardziej, jeżeli sypiał tam regularnie. Czy był jedynie świadkiem zdarzenia? Czy może sprawcą? A może nic nie widział? Mimo wszystko Klementyna chciała się dowiedzieć, kim był, i zamienić z nim kilka słów.

Hubert Przybylski szedł przez kolonię Żabie Doły niespiesznym krokiem. Chciał wyglądać normalnie. Młody chłopak w dresie idzie gdzieś bez celu. O taki mniej więcej efekt mu chodziło. A może lepiej inaczej. Młody chłopak w dresie idzie gdzieś w jakimś celu. Zupełnie nieszkodliwym, zbożnym celu. Tak, tak, lepiej.

Chodzenie po wsi bez celu było podejrzane, uznał Hubert. Tak czy inaczej chyba udało mu się wtopić w otoczenie. Wyglądało

na to, że nikt nie zwraca na niego uwagi. Po prostu. Przynajmniej na razie.

To mogła być co prawda tylko kwestia czasu, kiedy ktoś się nim jednak zainteresuje. Przecież Przybylski był w Żabich Dołach właściwie obcy. Nigdy nie sprzedawał w tej okolicy. Głównie przez nią. Stara zajęła całą wieś.

Hubert Przybylski skręcił w ślepą uliczkę, gdzie mieszkała Głuszyńska. Wyjął telefon i przyłożył go do ucha. Udawał, że o czymś intensywnie rozmawia. Tak na wszelki wypadek, gdyby jednak ktoś mu się przyglądał. Z jakiejś przyczyny.

– Tak, mam – powiedział dość głośno.

Numer „na telefon do mamusi” zawsze przechodził. Sprawiał, że Hubert wyglądał na grzecznego chłopca. Nieraz w ten sposób nawet policję wpuścił w niezłe maliny.

Przybylski szedł dalej niespiesznie. Minął dom Małgorzaty Głuszyńskiej, jakby wcale go nie obserwował. Przy wejściu nadal powiewała taśma policyjna. Hubert zastanawiał się przez chwilę, czy może podjąć próbę wejścia do środka w biały dzień. Czy to aby nie byłoby zbyt podejrzane?

Chodził w tę i z powrotem, kopiąc kamień i rozmawiając przez telefon z wymaginowaną matką. Nie umiał się zdecydować, co zrobić. Waldemar Gąsiorowski na pewno by go wyśmiał. Mówiłby mu, że jest partaczem i zerem. Niegodnym jego córki darmozjadem. Hubert czasami sam tak o sobie myślał. Oliwia była wyjątkowa. Dla niej Hubert mógł znieść wszystko. Wszystko! Nawet Waldemara.

Starszy sierżant Marek Zaręba zatrzymał swoją hondę prelude pod studium tatuażu Golden Throne. Daniel Podgórski wziął radiowóz, więc młody policjant musiał pojechać do Brodnicy swoim prywatnym autem.

Marek i Emilia Strzałkowska mieli porozmawiać z tatuażystą, który podobno był ekspertem w swojej dziedzinie. Tak przynajmniej twierdziła Klementyna Kopp. Pani komisarz była zaprzyjaźniona z właścicielem tego przybytku, niejakim Augustusem, i sugerowała, że to właśnie z nim powinni

porozmawiać w sprawie tatuażu zrobionego na piersi Małgorzaty Głuszyńskiej.

– Dlaczego właściwie my się tym zajmujemy? – mruknął Marek do Emilii. – To chyba Klementyna powinna gadać z tym człowiekiem, skoro znają się tak dobrze.

– Widać ten aspekt sprawy nie jest dla pani komisarz aż taki ważny – odburknęła Emilia Strzałkowska. – Moim zdaniem to strata czasu.

Marek zgadzał się z koleżanką. Właściwie na pierwszy rzut oka widać było, że tatuaż na piersi ofiary zrobiony został przez amatora. Zaręba zerknął w stronę Strzałkowskiej. Znowu miał wrażenie, że oprócz irytacji niepotrzebną stratą czasu i decyzjami Klementyny Kopp Emilia denerwuje się czymś jeszcze. Marek postanowił jednak nie naciskać za bardzo.

Weszli do budynku. Studio tatuażu Golden Throne mieściło się w jednym z mieszkań na pierwszym piętrze. Zapukali. Nikt nie odpowiedział. Ze środka dochodziły świdrujące odgłosy maszynki do tatuowania, więc na pewno ktoś musiał być w środku. Zapukali raz jeszcze.

Ponieważ i tym razem nie doczekali się odpowiedzi, Marek spróbował otworzyć drzwi. Ustąpiły bez problemu. Zaręba rozejrzał się po pracowni. Miejsce nie było zbyt imponujące, a właściwie nie wyglądało w najmniejszym stopniu na studio tatuażu. Ot, jeden pokój urządzonej w dość konserwatywnym stylu.

Pod ścianą naprzeciwko drzwi były trzy stanowiska do tatuowania. Przy dwóch pracowali młodzi mężczyźni, którzy całe ramiona mieli pokryte kolorowymi rysunkami. Jeden z nich nosił w uszach wielkie koła. Marek wzdrygnął się na ten widok. Żaden z pracujących nie odwrócił się nawet w stronę gości.

– Przepraszam bardzo – zaczęła Emilia Strzałkowska. – Szukamy Augustusa.

Jeden z tatuatorów wyłączył maszynkę i spojrzał w ich stronę. Jego klient też zlustrował parę policjantów od stóp do głów.

– Chcecie się dziargać? – zapytał młody człowiek z powątpiewaniem. Widać było, że przygląda się ich

mundurom. – Do szefa jest długa kolejka. Nie robi już tyle co dawniej. Może za jakieś pół roku będziecie mieli miejsce.

– Jesteśmy z nim umówieni. Sprawa policyjna – wyjaśnił szybko Marek, przekrzykując drugą maszynkę, która nadal pracowała pełną parą.

Młody człowiek wzruszył ramionami.

– Mieszka nad nami – wyjaśnił. – Musicie wejść piętro wyżej. Mieszkanie numer cztery.

– Dzięki – rzucił Zaręba.

Wspięli się z Emilią Strzałkowską na drugie piętro i zapukali do drzwi. Nie było na nich co prawda numeru, ale lokal znajdował się dokładnie nad studiem. Z pewnością więc trafili pod właściwy adres.

Marek Zaręba cały czas czuł w uszach pulsowanie, mimo że tu panowała względna cisza. Dźwięk maszynki do tatuowania przypominał wiertło dentystyczne. Niezbyt przyjemne skojarzenie. Młody policjant nie wyobrażał sobie, żeby kiedykolwiek miał zrobić sobie chociaż najmniejszy tatuaż. Nie za bardzo miał ochotę wyglądać jak Klementyna Kopp, kiedy będzie w jej wieku.

– Tak? Przychodziecie od Klementyny?

W drzwiach stanął niewysoki siwowłosy mężczyzna. Włosy miał związane nisko w cienką kitkę. Jego twarz była pomarszczona, ale oczy błyszczały jak u młodego chłopaka. Ubrany był w skórzaną kamizelkę i ciężkie buty, które niezbyt pasowały do mężczyzny w jego wieku. Przypominał Zarębie harleyowców z amerykańskich filmów.

– Tak.

– Zapraszam serdecznie – odparł Augustus. – Napijecie się czegoś?

– Nie trzeba – odmówił natychmiast Marek.

Zaręba wolał nie sprawdzać, co ten mężczyzna ma im do zaoferowania. Emilia Strzałkowska uśmiechnęła się pod nosem. Wyglądała na bardziej wyluzowaną. Zaręba postanowił więc wziąć się w garść.

– Przywieźliśmy zdjęcia tego tatuażu, o którym panu mówiliśmy przez telefon – wyjaśniła policjantka tymczasem. –

Będziemy wdzięczni za pana opinię. Chodzi nam głównie o wykonanie. Czy to jest robota amatora, czy profesjonalisty. Jak został zrobiony ten tatuaż i tak dalej. Cokolwiek może nam pan powiedzieć. Wszystko może okazać się istotne.

– Wolalbym zobaczyć ten tatuaż na żywo – stwierdził Augustus.

Marek Zareba westchnął. W sumie zgadzał się, że tak to powinno zostać załatwione. Nie mieli jednak wyboru.

– Niestety to będzie trudne – powiedział. – Ciało jest obecnie w zakładzie medycyny sądowej i...

– Dobra. Pokażcie zdjęcia – przerwał Augustus ze śmiechem.

– Mam do odebrania wnuczki z przedszkola. Szkoda czasu.

Marek podał mężczyźnie zdjęcia. Dziwnie było wyobrazić sobie harleyowca Augustusa w przedszkolu z wnuczkami.

Tatuator przeglądał zdjęcia przez chwilę.

– Osoba, która to dziargała, na pewno nie była profesjonalistą. Przecież to nie jest nawet prawdziwy tatuaż, tylko jakieś gryzmoły – uznał Augustus w końcu. – Podejrzewam, że tego sami mogliście się domyślić. Nic tu po mnie.

Marek pokiwał tylko głową.

– Czyli nie rozpoznaje pan wykonawcy tego napisu? – upewniła się Emilia.

– Niestety w naszym zawodzie mamy wielu, którzy próbują swoich sił. To, co im wychodzi... cóż, w naszym studiu ciągle robimy cover-upy, żeby ukryć takie wątpliwe dzieła. – Augustus zaśmiał się, wskazując zdjęcie. – To by się na pewno kwalifikowało. Taki drobny napis zakryłbym w kilka minut. I po sprawie. Wracając do pani pytania. Nie, nie wiem, kto to mógł zrobić. Szczerze mówiąc, to mógł zrobić ktokolwiek.

Słowo „to” zabrzmiało w jego ustach jak najgorsza obelga. Nie było wątpliwości, co myśli o tatuażu wykonanym przez mordercę.

– Jak to zostało zrobione? – zapytał Marek.

– Chodzi panu o sposób wykonania? Bo nie rozumiem za bardzo pytania.

Zareba zerknął na koleżankę.

– Czy to była profesjonalna maszyna do tatuowania? – przyszła mu z pomocą policjantka. – Czy może coś zbudowanego w warunkach chałupniczych?

Starszy pan zaśmiał się głośno i podwinął rękaw koszuli.

– Zobaczcie tu. To moja pierwsza dziara – wyjaśnił. W jego głosie pobrzmiwała nutka nostalgii. – Chłopaki mi zrobili, jak miałem z siedemnaście lat. Maszynę zrobiliśmy z silniczka do magnetofonu i długopisu. Teraz już nie te czasy. Profesjonalną maszynę można kupić bez problemu.

– Gdzie się taką kupuje?

– Wystarczy zajrzeć do Internetu – odparł Augustus. – Do hurtowni ze sprzętem dla tatuatorów.

Marek spojrzał na mężczyznę wyczekująco.

– Może pan podać nazwę tej hurtowni?

– Raczej tak go nie wyśledzicie – powiedział Augustus. – Przynajmniej ja w to wątpię. Tych hurtowni jest na pęczki. Ba! Facet mógł kupić maszynę i tusz nawet na jakiejś zagranicznej stronie. Tego jest teraz pełno. Sorry, ale ja wam wiele więcej nie pomogę. Ten napis zrobił ktoś, kto niezbyt znał się na robocie. Może zobaczył jakiś filmik na Youtubie. Kupił maszynę i wydziarzał, co umiał. I tyle. Więcej wam nie pomogę. Nie z braku chęci.

Marek Zaręba westchnął. Tak jak podejrzewał, przyjazd tutaj był stratą czasu.

– Może pan ma pomysł, co może znaczyć to GieS? – zapytał młody policjant, żeby do końca spełnić swój obowiązek.

– Giez? – zdziwił się Augustus.

Zaręba wskazał na zdjęcie.

– No ten napis. GieS.

– Gies? Moim zdaniem tu jest napisane zupełnie coś innego – odparł Augustus. – Ale oczywiście z takimi gryzmołami to trudno powiedzieć.

Starszy sierżant Marek Zaręba i sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska spojrzeli na mężczyznę zaskoczeni. Czyżby od początku się mylili?

Weronika Nowakowska odwiesiła siodło na wieszak w siodlarni. Właśnie skończyła kolejną lekcję jazdy z Nikolą Szczepańską. Dziewczyna zaczynała radzić sobie na koniu całkiem nieźle. Kłopot polegał tylko na tym, że w jej ruchach wciąż widać było agresję. Kofi doskonale to wyczuwał. Weronika wiedziała, że jeżeli Nikola nie pozbędzie się negatywnych emocji, nigdy nie osiągnie pełnej harmonii z żadnym koniem.

Nagle usłyszała, że przed stajnią coś się dzieje. Podniesione głosy dochodziły aż do siodlarni. Weronika wyszła szybko na zewnątrz. Zastała tam dziwną scenę. Nikola Szczepańska wpatrywała się w milczeniu w Nadię i Franciszka Trojanowskich. Aż trudno było uwierzyć, że jeszcze przed chwilą coś do siebie krzyczeli.

– Wszystko w porządku? – zapytała Nowakowska ostrożnie.

Nadia Trojanowska uśmiechnęła się przeprasząco.

– Ależ oczywiście, pani Weroniko. Wszystko w jak najlepszym porządku. To była tylko taka drobna sprzeczka – wyjaśniła androginiczna kobieta natychmiast. W jej głosie dało się słyszeć zmęczenie. – Jak pani ocenia postępy Nikolki? Dziś chyba było jeszcze lepiej niż ostatnio, prawda?

– Nic nie jest w porządku – powiedziała Nikola, naśladując głos matki. – Nienawidzę cię, Franciszek, wiesz? Któregoś dnia cię zabiję, wiesz? Wiesz?!

Słowa były tak ostre, że Franciszek Trojanowski niemal się skulił pod gniewem nastolatki. Dziewczyna ruszyła do samochodu, nie odwracając się nawet do Weroniki. Trzasnęła za sobą drzwiami.

– Najmocniej przepraszamy – powiedziała Nadia Trojanowska raz jeszcze. – To już się nie powtórzy. Do zobaczenia następnym razem.

Nadia pobiegła za córką do samochodu. Weronika została sama z Franciszkiem. Trojanowski wyglądał, jakby dostał po twarzy. Właściwie w pewnym sensie tak właśnie było, pomyślała Nowakowska. Nie wiedziała, czy powinna odezwać się pierwsza, czy dać mu jeszcze chwilę na ochłonięcie.

– Nie wiem, co robię źle – powiedział bardzo cicho

Franciszek.

Weronika nie była pewna, czy niepozorny mężczyzna mówi do siebie, do niej czy do świata w ogólności.

– Trzeba dać Nikoli czas – poradziła niezbyt szczerze.

Trudno powiedzieć, czy Nikola Szczepańska kiedykolwiek polubi ojczyma. Weronika zastanawiała się, czy ta dziewczyna lubi kogokolwiek poza sobą samą.

– Przedtem uczyłem Nikolę grać w szachy, wie pani? – zapytał Franciszek tymczasem.

– Coś o tym słyszałam – przyznała Weronika, przestępując z nogi na nogę. Zrobiło się ciepło i wysokie skórzane oficerki coraz bardziej ją uwierały.

– Nikola była naprawdę świetną szachistką. Genialną! Mogła zostać arcymistrzynią – zapewnił Franciszek Trojanowski. – Kiedy ją uczyłem, nasze relacje były wzorowe. Kiedy ją uczyłem... Chociaż pewnie trudno jest pani w to uwierzyć. To była naprawdę słodka dziewczyna. I bardzo zdyscyplinowana. Ten gniew w stosunku do mnie jest nowy. Ja...

Weronika pokiwała tylko głową. Czekała na dalsze słowa.

– Nadia przywoziła Nikolę na zajęcia do mojego klubu szachowego – kontynuował Trojanowski. – Wszystko było w porządku. Idealnie. Nadia oczywiście od zawsze mi się podobała, ale to była raczej taka... no, może nie miłość. Raczej platoniczne zadurzenie. Patrzyłem sobie na nią czasem, kiedy odbierała Nikolę. I tyle. To było wszystko. Wszystko!

Franciszek Trojanowski pogрузzył się w myślach.

– Co się stało potem? – zapytała Weronika delikatnie.

– Potem Nadia wzięła rozwód ze Stanisławem Szczepańskim. Zdradził ją i Nadia nie mogła tego znieść. Dotąd mu zresztą nie wybaczyła – wyjaśnił Franciszek cicho. – Po rozwodzie Nadia nagle zaczęła się mną interesować. To jej zależało na spotkaniach. I jeszcze jedno, i jeszcze jedno. To ona dążyła do jak najszybszego ślubu. Ja jestem człowiekiem raczej spokojnym. Wołałem trochę odczekać. Przynajmniej do turnieju Nikolki. Nadia się jednak uparła. Wzięliśmy ślub przed turniejem i... Teraz mam wrażenie, że Nadia wyszła za mnie tylko na złość Stanisławowi. Nie luję się już, że żona mnie

kocha. A ja niestety ją kocham. To jest właśnie problem. Nikolkę zresztą też kocham. Są moją rodziną...

Weronika znowu zaczęła przestępować z nogi na nogę. Czuła się dosyć dziwnie, słuchając osobistych zwierzeń przed drzwiami stajni. To nie było miejsce na takie rozmowy.

– Panie Franciszku... – zaczęła Nowakowska.

– Wiem, wiem, że smęcę – powiedział Trojanowski z krzywym uśmiechem na nijakiej twarzy. – Chciałem tylko to z siebie wyrzucić. Przepraszam. Wiem, że pani jest psychologiem, więc pewnie umie pani i wysłuchać, i zachować dyskrecję. Tylko o tyle proszę. Powiem jeszcze ze dwa zdania. Dla mojego własnego spokoju. Jeżeli mogę, oczywiście?

Weronika pokiwała głową. Nie była jego terapeutką, ale Franciszek Trojanowski wydawał się naprawdę zdesperowany. Nie chciała odmówić mu tej drobnej przysługi. Zwyczajnej rozmowy.

– Nikolka przegrała ten turniej – wyjaśnił szachista. – Wiem, że zrobiła to na złość mnie. Te głupie ruchy... ona nigdy by nie popełniła takich idiotycznych błędów. Chyba że celowo. Nikolka może grać w szachy z zamkniętymi oczami. To jest prawdziwy talent. I teraz przez to, że związałem się z jej matką, Nikolka to wszystko odrzuci... Ślub z Nadią to był błąd. Mam nadzieję, że nie zapłacę za niego jeszcze więcej niż to, co już mnie spotkało. Dziękuję, że pani mnie wysłuchała, pani Weroniko. Już mi lepiej. Proszę, oto zapłata za dzisiejszą jazdę Nikolki.

Franciszek Trojanowski odwrócił się na pięcie i ruszył do samochodu. Weronika odprowadziła go wzrokiem. Twarze kobiet w samochodzie na pewno nie wyrażały miłości. Tego Nowakowska była pewna.

ROZDZIAŁ 11

Londyn.

Wtorek, 27 maja 1851

Był piękny majowy wieczór. Adolf Anderssen czuł, że przepełnia go prawdziwe szczęście, kiedy tak szedł Oxford Street w towarzystwie panny Agnes Hoffmann. To było cudowne uczucie.

Nie tylko panna Hoffmann przyczyniła się do radości, która rozpieierała młodego matematyka. Dziś rozpoczął się turniej szachowy i Anderssen zdążył już pokonać swojego pierwszego przeciwnika. Był nim Lionel Kieseritzky. Pan Kieseritzky nie przypadł Adolfowi za bardzo do gustu. Miał o sobie zbyt wysokie mniemanie. Co gorsza, okazywał to wyraźnie. Chyba należała mu się drobna nauczka. Anderssen wbrew sobie cieszył się, że to jemu właśnie przyszło zwyciężyć z Francuzem.

Francuzem? Pan Kieseritzky, mimo że mieszkał w Paryżu, pochodził chyba z Inflant, poprawił się w duchu Adolf. Nie pochodzenie przeciwnika było jednakowoż najważniejsze. Najważniejsze było, że Anderssen był o krok bliżej zwycięstwa w turnieju.

Pięćset funtów, przebiegło młodemu matematykowi przez myśl. Taka suma mogła znacznie poprawić stan finansowy jego domu. Musiał przecież myśleć o matce i siostrze. Z pensji profesora w gimnazjum mogli żyć godnie, atoli zawsze istniało ryzyko niespodziewanych wydatków. Siostra jak dotąd nie znalazła kandydata do ożenku, więc trzeba było liczyć się z tym, że pozostanie w domu przy bracie.

Poza tym był przecie także prestiż. Adolf Anderssen pragnął, żeby jego nazwisko wyszło poza Breslau. Nie chciał być tylko autorem problemów szachowych w „Schachzeitung der Berliner Schachgesellschaft”. Chciał czegoś więcej, chociaż

w swej skromności wołał nie przyznawać się nikomu do tych myśli.

Zerknął w stronę Agnes Hoffmann. W szerokiej sukni z krynoliną i gorsetem wyglądała równie modnie i światowo jak mieszkanki Londynu, które przechadzały się po Oxford Street. Żadna z nich nie mogła jednak równać się urodą z panną Hoffmann.

Adolf westchnął. Miał trzydzieści trzy lata i czasem się zastanawiał, czy nie powinien już pomyśleć o założeniu rodziny, o dzieciach... Wiedział jednak, że to mało realne. Miał obowiązki wobec matki i siostry. Odkąd ojciec nie żył, był wszak jedynym mężczyzną, który mógł się nimi zająć.

– Chciałby się pan jutro wybrać do Hyde Parku obejrzeć Wystawę Światową? – zaproponowała nagle Agnes. – Ja byłam tam dzisiaj z ojcem.

Panna Hoffmann spojrzała na Adolfa spod długich rzęs. Jego serce zabiło szybciej, mimo że starał się z całych sił nie ulegać czarowi pięknej Agnes. Anderssen nie wiedział, czym panna Hoffmann barwiła rzęsy, ale wydawały się wyjątkowo ciemne i długie. Zapewne kobieta taka jak ona miała swoje sposoby.

– Nie przyjechałem tu oglądać Wystawy Światowej – uciął odrobinę niegrzecznie młody matematyk. – Przyjechałem tu grać w szachy.

Agnes Hoffmann uśmiechnęła się półgębkiem.

– Niech pan żałuje – powiedziała. Wydawała się niezrażona odmową, ale może tylko udawała. – Można tam teraz ujrzeć prawdziwe cuda. A wszystko to ma miejsce w Kryształowym Pałacu. Nigdy nie widziałam niczego tak pięknego. Ani w Prusach, ani w Cesarstwie Rosyjskim, a wie pan przecie, że podróżuję wiele. Z moim ojcem. Zapewniam pana, że chociażby i sam Kryształowy Pałac warto zobaczyć.

– Doprawdy – mruknął Anderssen.

– Pomyśleli nawet o sprawach... cóż, osobistych, by nie rzec nawet: intymnych – mówiła dalej panna Hoffmann. Ściszyła teraz głos do szeptu. Adolf ledwo ją słyszał w gwarze zatłoczonej ulicy. – W okolicy Wystawy Światowej wybudowano... publiczne toalety.

Adolf Anderssen spojrział na swoją towarzyszkę zaskoczony. Rozejrzał się wokoło. Całe szczęście, że chyba nikt nie rozumiał tu ich języka.

– Słyszałam, że takie rzeczy dzieją się już w Paryżu i w Berlinie – kontynuowała Agnes Hoffmann. – Ciekawe, kiedy przyjdzie czas na Breslau?

Anderssen nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Trudno mu było pojąć, że panna Hoffmann rozmawia z nim o toaletach publicznych, stojąc pośrodku ruchliwej Oxford Street. To zupełnie nie uchodziło.

– Zawsze gra pan tak defensywnie? – zapytała nagle Agnes, zmieniając temat.

– Co pani ma na myśli? – zapytał Adolf Anderssen z ciekawością.

– Widziałam pańską dzisiejszą rozgrywkę z panem Kieseritzkym – oznajmiła panna Hoffmann spokojnie.

Adolf spojrział na Agnes zaskoczony.

– Ależ...

– Proszę się tak nie dziwić. – Agnes Hoffmann uśmiechnęła się figlarnie. – Mój ojciec zna pana George’a Spencera-Churchilla, szóstego diuka Marlborough. To on wprowadził mnie do klubu. Potrafię zachowywać się dyskretnie, chociaż pan zapewne w to wątpi.

Przez chwilę szli dalej w milczeniu.

– Interesują panią szachy? – zapytał Adolf Anderssen ostrożnie.

– Proszę nas odwiedzić na Baker Street – powiedziała tylko enigmatycznie panna Hoffmann. – Mam wrażenie, że o ryzyku nie wie pan zbyt wiele. Tymczasem bez ryzyka nie wygra pan tego turnieju. Proszę zapamiętać moje słowa.

Agnes Hoffmann odwróciła się i odeszła bez pożegnania.

ROZDZIAŁ 12

Lipowo i Brodnica.

Czwartek, 15 maja 2014 roku. Po południu

Młodszy aspirant Daniel Podgórski wyjrzał przez okno swojego gabinetu na posterunku w Lipowie. Słońce świeciło zachęcająco. Opanowało go przyjemne uczucie oczekiwania. Lato zbliżało się przecież wielkimi krokami. Daniel nie mógł się już doczekać, kiedy zabierze Łukasza na spływ Drwęcą. O ile syn będzie chciał... Tego popołudnia Podgórski był jednak dobrej myśli. Miał nadzieję, że ich relacje powoli zaczną się poprawiać. Weekendowa wyprawa samochodowa stanie się pierwszym krokiem do zbudowania zaufania pomiędzy ojcem a synem.

Policjant usiadł przy biurku i włączył komputer. Nie ma co wyprzedzać faktów, upomniał się w duchu. Zobaczymy, jak to będzie, a na razie pora zabrać się do pracy. Daniel zamierzał sprawdzić wszelkie dostępne informacje na temat Towarzystwa Ekologicznego, które Oliwia Gąsiorowska nazwała „Cyngus”, a Liliana Brzezińska „Cygнус”.

Zanim Podgórski zdążył zabrać się do dzieła, drzwi gabinetu uchyliły się lekko. Maria Podgórska stanęła w progu z przepaszającym uśmiechem na ustach.

– Danielku, ja tylko na chwileczkę i już nie przeszkadzam. Wiem, że jesteś zajęty – powiedziała teatralnym szeptem. Jakby to cokolwiek zmieniało. – Masz może ochotę na babkę z wiśniami? Upiekłam wczoraj wieczorem. Jest pyszna. Zobaczysz. Palce lizać. Odkąd mieszkasz z Weroniką, strasznie schudłeś. Niepokoję się.

– Mamo, staram się pracować – odparł Daniel nieco cierpko. Nie miał ochoty wchodzić w dyskusje na temat swojej wagi.

Maria pokiwała poważnie głową.

– No wiem, wiem – powiedziała z namaszczeniem. – Dlatego właśnie mówiłam, że nie zamierzam ci przeszkadzać.

Podgórski westchnął. Zabrzmiało to równie teatralnie jak szept matki przed chwilą. Śmiało mogli ze sobą w tej kwestii konkurować.

– Mamo...

– To ja tylko zostawię tutaj tę babeczkę – oznajmiła Maria, stawiając talerzyk z ciastem na biurku. – Już mnie nie ma. Jak zgłodniejesz, to jeszcze matce podziękujesz. Musisz o siebie dbać.

Maria wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Biuro Daniela wypełnił zapach świeżego ciasta. Policjant zerknął na babkę. Wyglądała naprawdę apetycznie. Podgórski wahał się przez chwilę. W końcu odsunął ciasto od siebie zdecydowanym ruchem. Na mamine wypieki przyjdzie pora, najpierw trzeba sprawdzić Towarzystwo Ekologiczne, postanowił policjant.

Zerknął po raz ostatni na babkę, która pyszniła się na białym talerzu. Może chociaż kawaleczek na dobry początek...

Nagle drzwi uchyliły się znowu.

– Danielku, a może ja ci trochę pomogę w pracy – zaproponowała Maria Podgórska. – Razem na pewno pójdzie szybciej! Na razie nie mam nic do roboty, więc to będzie dla mnie tylko przyjemność, a ty trochę odsapniesz.

Policjant westchnął równie teatralnie jak przedtem. Mógł oczywiście odmówić, ale nie chciał robić matce przykrości. I tak bardzo przeżywała jego wyprowadzkę z domu. Daniel miał z tego powodu wyrzuty sumienia. Z drugiej strony nie mógł przecież mieszkać z matką do końca życia. Trzydzieści trzy lata w jednym domu to chyba i tak za długo.

– No dobrze – zgodził się. – Usiądź tu, mamo.

Daniel wskazał krzesło dla interesantów. Zaskrzypiało, kiedy Maria na nim usiadła.

– Trzeba będzie je wymienić – skomentowała matka. – W końcu stanie się jakieś nieszczęście. Ktoś może upaść.

– Tak, tak – mruknął Daniel. Miał to już zrobić co najmniej od roku. Nigdy jakoś nie było okazji. – Na pewno niedługo je wymienię.

– To czym się teraz zajmujesz, synku?

– Sprawdzam informacje na temat pewnego Towarzystwa Ekologicznego – wyjaśnił Podgórski. – Podobno Małgorzata Głuszyńska była jego aktywną działaczką.

– Jaki to ma związek ze śmiercią kwiaciarki?

– Trzeba sprawdzić otoczenie denatki. Przecież sama wiesz – odparł Daniel, zerkając znowu w kierunku pachnącego ciasta. – Poza tym Liliana Brzezińska z Brod-Dysku zarzucała temu Towarzystwu Ekologicznemu różne rzeczy. Uznaliśmy z Klementyną, że trzeba to sprawdzić.

– Oczywiście, Danielku – poparła syna Maria. – Mają stronę internetową?

Podgórski spojrział na matkę zaskoczony. Maria Podgórska nienawidziła komputerów. Traktowała je jak największych wrogów, mimo że w recepcji musiała z jednego z nich korzystać. Codziennie po południu z ulgą wyłączała piekielną maszynę. Tymczasem teraz pytała z całym spokojem o stronę internetową Towarzystwa Ekologicznego. Jakby nie rozmawiała nigdy o niczym innym. Być może kurs komputerowy, na który Daniel wysłał matkę w kwietniu, rzeczywiście był dobrym pomysłem.

– Tak. Od tego właśnie zacząłem – wyjaśnił policjant. – Wiem już, że towarzystwo nazywa się *Cygnus*, a nie *Cyngus*, jak twierdziła Oliwia Gąsiorowska. Rację miała Liliana Brzezińska.

– *Cygnus*? – zdziwiła się Maria Podgórska. – Co to znaczy? Znowu jakieś dziwne słowo. Najpierw gies, a teraz znowu *Cygnus*.

Daniel zaczął przeglądać stronę internetową Towarzystwa Ekologicznego w poszukiwaniu jakiegoś wyjaśnienia. On także nigdy nie słyszał takiego słowa.

– Tu jest napisane, że *Cygnus* oznacza po łacinie łabędzia – wyjaśnił Podgórski po chwili. – *Cygnus olor* to łabędź niemy, *Cygnus atratus* to łabędź czarny, *Cygnus cygnus* to łabędź krzykliwy, *Cygnus melancoryphus* to łabędź czarnoszyi...

– Pamiętasz, jak karmiliśmy łabędzie nad Bachotkiem, kiedy byłeś jeszcze taki mały? – przerwała mu matka z rozrzewnieniem. – Jeden omal cię nie ukąsił. Tata musiał go

odgonić. Pamiętasz, Danielku?

– Oczywiście, że pamiętam – powiedział Podgórski, starając się zachować cierpliwość. Nie chciał teraz rozmawiać o ojcu. – To Towarzystwo Ekologiczne ma nawet łabędzia w logo. Zobacz.

Maria Podgórska zerknęła na monitor.

– To logo przypomina mi ten znaczek Brodnickiego Parku Krajobrazowego, a tobie? Tylko tam jest jakiś inny ptak w środku – uściśliła starsza pani. – Spróbuj trochę tej babki, synku. Naprawdę jest bardzo dobra. Już pora na podwieczorek. Przeczytałam gdzieś, że powinno się jeść co trzy godziny. Jak ciebie znam, to jadłeś rano i do teraz nic. Co jadłeś na śniadanie? Pomyślałam, że może będę ci przygotowywała posiłki. Wiem, że Weronika nie gotuje...

– Mamo! I tak muszę schudnąć kilka kilo – uciał policjant. Jak tak dalej pójdzie, nie popracuje zbyt wiele. – Zajmijmy się tym Towarzystwem Ekologicznym.

– Danielku – odparła Maria znacząco. – O zdrowie trzeba dbać. Jesteś młody, to jeszcze o tym nie myślisz. Tylko co będzie potem?

Policjant westchnął i zagłębił się w dalszych poszukiwaniach. To chyba było najlepsze wyjście z sytuacji. Znając Marię, wdawanie się w dyskusję na temat zdrowia tylko pogorszy sprawę.

– No proszę! – mruknął zaskoczony, zapominając na chwilę o toczącej się wymianie zdań.

Maria spojrzała na syna zaciekawiona. Ona też zapomniała najwyraźniej o konieczności sprowadzenia syna na ścieżkę zdrowia pełną jej wypieków.

– Co się stało? – zapytała podekscytowana.

– Małgorzata Głuszyńska nie była tylko szeregową działaczką Towarzystwa Ekologicznego Cygnus – wyjaśnił Daniel Podgórski, przeglądając dalej tekst. – Głuszyńska była założycielką Cygnusa. Razem z...

– Z kim? – dopytywała się Maria niestrudzenie.

– Z Barbarą Krakowiak! – wykrzyknął Daniel w podnieceniu. – Towarzystwo Ekologiczne Cygnus założyły we dwie!

– To ta sąsiadka? – upewniła się matka. – Ta, która zawiadomiła nas o śmierci Małgorzaty?

Policjant kiwnął głową i spojrzał na zdjęcia dwóch kobiet umieszczone w zakładce „Zarząd” na stronie internetowej Towarzystwa Ekologicznego Cygnus. Małgorzata Głuszyńska miała gniewny wyraz twarzy, jakby obiecywała odwiedzającym portal, że zdusi w zarodku każdą próbę zanieczyszczenia środowiska. Twarz Barbary Krakowiak zaś, w okrągłych okularach, wyglądała na nieprzeniknioną.

– Kiedy rozmawialiśmy z Barbarą Krakowiak, nie wspomniała ani słowem o Towarzystwie Ekologicznym, ani tym bardziej o tym, że razem z Małgorzatą Głuszyńską były w jego zarządzie. To trochę dziwne. Przedstawiła się tylko jako sąsiadka zmarłej.

– Może to rzeczywiście trochę dziwne – zgodziła się Maria, kiwając głową. Oderwała kawałek babki i sama zjadła trochę. – Poczęstuj się, Danielku. Naprawdę dobrze ci to zrobi. Będzie się nam lepiej myślało.

– Całe jej zachowanie było dziwne – podsumował Daniel Podgórski, ignorując naciski matki. – Najpierw chłód, a potem histeria. Od początku miałem wrażenie, że Barbara Krakowiak coś ukrywa. I, jak widać, miałem rację. Ta rzeczniczka prasowa Brod-Dysku sugerowała, że Towarzystwo Ekologiczne Cygnus miało swój interes w tym, żeby Brod-Dysk nie ruszył. Czyli mamy wyraźny konflikt interesów, a teraz Małgorzata Głuszyńska nie żyje. Dlaczego Barbara Krakowiak nie zająknęła się o tym ani słowem? Przecież doskonale wiedziała, że nie są w dobrych stosunkach z Brod-Dyskiem!

– Jaki Towarzystwo Ekologiczne mogło mieć interes w zatrzymaniu produkcji tej fabryki? No, oprócz ochrony środowiska? – zapytała Maria Podgórska. – Niezbyt to chyba prawdopodobne. Może ta rzeczniczka prasowa cię oszukuje. Jedni rzucają oskarżenia na drugich. Sam wiesz, jak to jest, Danielku. Coś takiego zawsze się zdarza w takich sytuacjach. Nikt nie chce wziąć odpowiedzialności. A już tym bardziej za śmierć Głuszyńskiej.

– Klementyna sprawdzała papiery Brod-Dysku – kontynuował policjant niezrażony. – W tym czasie ja jeszcze

chwilę rozmawiałem z tą Lilianą Brzezińską.

– Domyślam się, że powiedziała coś szczególnego, tak?

Matka oderwała kolejny kawałek ciasta i włożyła sobie do ust. Daniel przełknął ślinę.

– Brzezińska zasugerowała, że powinniśmy sprawdzić udziałowców Dyskografu.

– Co to jest? Jakaś inna fabryka?

Daniel Podgórski pokiwał głową. Zerknął na pachnącą wiśniami babkę raz jeszcze. Znowu przełknął ślinę.

– Tak, mamó. To chyba ten zakład po drugiej stronie Brodnicy. Zaraz sprawdzę.

Daniel wpisał nazwę firmy do wyszukiwarki. Nie mylił się. Dyskograf był niewielką fabryką znajdującą się w miejscowości Strzygi, niecałe czternaście kilometrów za Brodnicą przy drodze numer 560 w kierunku Rypina.

– Fabryka Dyskograf ruszyła na początku tego roku – relacjonował Podgórski treść notatki informacyjnej. – Zgadnij, co produkują w tym Dyskografie?

Maria Podgórska patrzyła na syna wyczekująco.

– Płyty CD i DVD. Czyli Dyskograf i Brod-Dysk to konkurencyjne firmy – powiedział Daniel triumfalnie. – Wygląda na to, że Liliana Brzezińska nas nie okłamała. Towarzystwo Ekologiczne Cygnus mogło próbować opóźnić rozpoczęcie produkcji w Brod-Dysku, żeby Dyskograf wystartował wcześniej i objął prowadzenie na rynku.

– Danielku, poczekaj jeszcze z wnioskami – zaproponowała Maria. – Pamiętaj, co zawsze powtarzał tata.

Daniel Podgórski wolał na razie nie myśleć o ukochanym ojcu. Zimą, kiedy w Lipowie rozgrywały się dramatyczne wydarzenia, policjant dowiedział się kilku rzeczy o Romanie Podgórskim, które nadal mu ciążyły. Dochodzenie zostało wprawdzie umorzone, ale Daniel nadal nie mógł zaakceptować pewnych spraw.

– Chyba nie wyciągam zbyt pochopnych wniosków, mamó – nie zgodził się Daniel. – Nie musiałem nawet zbyt daleko szukać. Tu jest napisane, że właścicielem Dyskografu jest niejaki Bernard Krakowiak.

– Krakowiak? Tak jak ta sąsiadka Małgorzaty Głuszyńskiej? – upewniła się matka.

– Tak. Zbieżność nazwisk? Nie sądzę! Idę o zakład, że Bernard i Barbara są spokrewnieni. To tyle, jeżeli chodzi o poświęcenie dla środowiska. Liliana Brzezińska może mieć rację. Towarzystwo Ekologiczne mogło mieć cele zupełnie niezwiązane z ochroną środowiska.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski triumfalnie sięgnął po kawałek babki z wiśniami. Teraz chyba mu się wreszcie należała. Jadł pospiesznie, jakby to mogło zmniejszyć wyrzuty sumienia, które odczuwał w związku z kolejnym złamaniem obiecaney sobie diety. Rzeczywiście ciasto było wyborne. To musiał przyznać. Jak wszystkie wypieki matki.

Maria Podgórska uśmiechnęła się zadowolona.

Stanisław Szczepański zaparkował samochód na sporej polanie, gdzie latem rozbijali obóz harcerze. Tutaj jego rodzice przygotowali parking dla odwiedzających hodowlę ptaków ozdobnych Woliera Tadeusza. Hodowla mieściła się w dość odosobnionym miejscu, ale mimo to odwiedzających było zawsze sporo. Nie wszyscy oczywiście kupowali ptaki. Większość traktowała wizytę w hodowli jako dobrą rozrywkę. Rodzice umieli na tym niezłe zarobić. Mieli nos do interesów. Zwłaszcza ojciec.

Hanna i Tadeusz Szczepańscy otworzyli hodowlę ptaków kilkanaście lat temu. Nie bez trudu kupili niewielką wysepkę na jeziorze Bachotek. Wszyscy w okolicy romantycznie nazywali ją Wyspą Skarbów, jak z powieści Stevenson.

Mimo położenia na jeziorze i w obrębie parku krajobrazowego państwu Szczepańskim udało się uzyskać zgodę na budowę domu i otaczającej go hodowli oraz prowadzenie działalności. Nie było to łatwe i kosztowało sporo nerwów i pieniędzy, ale się udało. Stanisław zamierzał dopilnować, żeby wszystko nadal działało sprawnie.

Na wyspę można było się dostać niewielkim drewnianym promem. Ojciec Stanisława kupił go za psie pieniądze, kiedy

powstał pomysł założenia tam hodowli ptaków. Prom kursował według ustalonego przez rodziców rozkładu. Zwiedzający musieli więc czekać na odpowiednie godziny, żeby przepłynąć na wyspę. Zwykle przeprawą zajmował się pomocnik rodziców Hubert Przybylski albo sam ojciec, kiedy pomocnik miał wolne. Gdy żadnego z mężczyzn nie było, promem kierowała matka, ale niezbyt to lubiła. Na wyspę można było oczywiście przeprawić się również łódką, kajakiem albo rowerem wodnym.

Stanisław Szczepański stanął przy niewielkim nabrzeżu. O tej porze zwiedzanie hodowli było już zakończone i prom znajdował się po drugiej stronie. Szczepański postanowił, że nie będzie dzwonił do rodziców, żeby po niego wypłynęli. Dotrze na miejsce sam.

Dyrektor Brod-Dysku wszedł między zarośla, gdzie ukryta była mała łódka. Wsiadł do środka, złapał wiosła i przepłynął wąską cieśniną pomiędzy cyplem harcerzy a wyspą. Słysząc już było pokrzykiwania rozmaitych ptaków, a między drzewami Stanisław widział woliery. Niektóre były ukryte w cieniu, inne, wręcz przeciwnie, wystawione na promienie coraz weselszego słońca.

Szczepański zacumował łódkę przy pomoście.

– Stanisław! – krzyknęła matka na jego widok. – Dobrze, że jesteś!

Hanna Szczepańska miała prawie białe włosy i ogorzałą od pracy na powietrzu twarz. Ojciec wyglądał niemal identycznie. Przez całe życie, ku konsternacji wszystkich, często brano ich za bliźnięta.

– I co, ruszycie wreszcie z produkcją? – zapytał Tadeusz Szczepański, wychodząc synowi naprzeciw. – Bardzo liczymy na to wasze wsparcie finansowe. Ptaki potrzebują większych woliery. Chcemy zainwestować w nowe gatunki... Sam przecież wiesz. Poza tym mamy to pole obok cypla harcerzy. Musimy je nawieźć, zanim posiejemy rośliny. Będziemy bardziej samowystarczalni. No, ale na to wszystko trzeba pieniędzy. Sam wiesz.

– Tak, tato – przerwał ojcu Stanisław. – Przecież wiesz, że

robię, co mogę. Więcej już się nie da.

– Zawsze się da, synu. Zawsze – odparł Tadeusz Szczepański.

– Pamiętaj, że w każdej chwili możesz liczyć na moją pomoc.

Stanisław Szczepański westchnął. Ojciec uważał, że wszystko potrafi zrobić najlepiej. Także prowadzić taką firmę jak Brod-Dysk. Stanisław pozwał Tadeuszowi w to wierzyć.

– Zadzwońeś do tego... – zaczęła matka niepewnie. Wyglądała na zestresowaną.

– Tak, już tydzień temu – odpowiedział szybko Stanisław, żeby za bardzo się nie denerwowała. – Chyba wszystko załatwione. A co? Kontaktował się z wami znowu?

Hanna Szczepańska pokręciła głową.

– No widzisz – odparł Stanisław zadowolony z siebie. – A gdzie ten wasz pomocnik?

– Hubert? – zapytała matka. – Wiesz przecież, że on nie przychodzi codziennie. Tylko kiedy może. I tak jest dla nas wielką pomocą. Chłopak naprawdę doskonale opiekuje się naszymi zwierzakami. Dzięki temu Lenka mogła wrócić do pracy w mieście.

Stanisław Szczepański uśmiechnął się na wieść o sukcesie siostry. Lena była o piętnaście lat młodsza od niego. Dyrektor Brod-Dysku zawsze starał się nią opiekować. Może dlatego, że była... inna. Stanisław nie wiedział, jak lepiej to ująć. Lena miała trzydzieści pięć lat i ciągle mieszkała z rodzicami. Matka i ojciec hołubili ją, jak mogli. Szczepański też dodawał swoje trzy grosze do jej utrzymania. Była, jaka była, ale rodzinie się przecież pomaga.

– A gdzie Lena teraz pracuje?

– A, jest jakąś asystentką w gazecie czy coś. – Ojciec wzruszył ramionami. Zapewne uważał, że on lepiej wykonałby pracę Leny. Na pewno. – Nie mówiła dokładnie gdzie. Może w „Czasie Brodnicy”?

Komisarz Klementyna Kopp odłożyła słuchawkę. Przed chwilą dzwonił Daniel Podgórski. Powiedział jej o swoich odkryciach w sprawie Towarzystwa Ekologicznego Cygnus. Policjant

zreferował Klementynie informacje na temat ewentualnego konfliktu interesów i nieczystych intencji Barbary Krakowiak. Wszystko to było dość interesujące. Ale komisarz Kopp cały czas miała wrażenie, że poinformowanie jej o tym było jedynie pretekstem do poruszenia innego tematu.

Nie myliła się. Daniel Podgórski zakończył rozmowę nieśmiałym zaproszeniem na wieczór do dworku Weroniki Nowakowskiej, gdzie teraz mieszkał. Policjant nie powiedział nic więcej. Klementyna była jednak pewna, że zaproszenie może mieć coś wspólnego z jej urodzinami. Sześćdziesiątymi. Rozłączyła się natychmiast.

Przez chwilę Klementyna oddychała ciężko, jak w ataku paniki. Za stara. Oczywiście nie zamierzała pójść. Co to, to nie. Nie zamierzała obchodzić urodzin już nigdy. Nie kiedy nie ma z nią Teresy. Teresa. Tylko ona nadawała jakikolwiek sens tym gównu wartym zwyczajom. Metryka to tylko metryka, co?

Komisarz Kopp zalogowała się do systemu zirytowana. Trzeba było wreszcie sprawdzić, kim jest córka Głuszyńskiej. Nie mogła tego dłużej odkładać. Trzeba było szybko naprawić błąd. Na szczęście w tych czasach sprawdzenie kogokolwiek nie stanowiło dla policji większego problemu. Chyba że ktoś ukrywał się celowo.

– No i proszę – mruknęła Klementyna do siebie.

System komputerowy działał bez zarzutu. Szybko okazało się, że Małgorzata Głuszyńska miała nie jedno, ale nawet dwoje dzieci! Syna Michała, który zmarł w 1965 roku, i córkę Lilianę, która żyła i do tego miała się całkiem dobrze.

– Liliana Brzezińska, co? – warknęła Klementyna Kopp z rosnącą irytacją. – Brzezińska, a nie Głuszyńska. Nazwisko widać jest po tatusiu. Zgadza się.

Klementyna zastanawiała się intensywnie. Elegancka rzeczniczka prasowa Brod-Dysku była córką Małgorzaty Głuszyńskiej. Co to mogło dla nich oznaczać? I ile będzie ich kosztowało niesprawdzenie tego na samym początku?

Klementyna Kopp zakłęła pod nosem. Podrapała się po szyi w miejscu, gdzie miała wytatuowany fragment partytury swojej ulubionej opery. Tylko spokojnie. Wcale nie wiadomo, czy to

nieoczekiwane pokrewieństwo miało jakiś związek ze śmiercią kwiaciarki.

Nie wiadomo. Ale Klementyna i tak czuła się najzwyczajniej w świecie oszukana. Liliana Brzezińska wydawała się policjantce w porządku. Widać komisarz Kopp naprawdę robiła się już za stara do tej roboty. Za stara. Sześćdziesiąt lat...

Ktoś zapukał do drzwi gabinetu Klementyny. W niemal pustym pokoju pukanie rozbrzmiało echem.

– Co? – rzuciła nieprzyjemnie policjantka. Nie lubiła, kiedy jej przeszkadzano. A już zwłaszcza w takiej chwili.

– Klementyna, musimy pogadać.

Komisarz Kopp rozpoznała głos komendanta.

– Wejdz. Co jest? – zapytała bez zbędnych wstępów.

– Jak idzie sprawa tej prokurator?

Klementyna Kopp spojrzała na szefa pytająco.

– Jakiej prokuratorce, co?

– No, tej kwiaciarki – poprawił się inspektor. – Chodzi mi o tę Małgorzatę Głuszyńską. Jak to idzie? Dobrze się współpracuje z Leonem Gawrońskim?

Klementyna Kopp wzruszyła ramionami.

– Jutro mamy z nim odprawę. Potem się wypowiem – oznajmiła. – Ale! Głuszyńska była prokuratorką, co?

Czajkowski pokiwał głową.

– To było ze dwadzieścia lat temu czy więcej. Nie sprawdzaliście jej przeszłości?

Komisarz Kopp powstrzymała się od komentarza. Żadna odpowiedź nie była w tej sytuacji dobra. Kolejny głupi błąd! Za stara. Za stara. Za stara. Może ta sześćdziesiątka to jednak było jakieś fatum? Przejście z dekady do dekady sprawiało, że Klementyna była wprawdzie nadal brzydka, ale już na pewno nie niezawodna.

Szef patrzył na policjantkę pytająco. Klementyna postanowiła, że mimo to nie skomentuje w żaden sposób jego pytania. Tak chyba było najlepiej. Sprawdzi przeszłość Głuszyńskiej później. Lepiej samemu naprawić swój błąd, niż brnąć w to dalej.

– Okej. No dobra. Ale! O co właściwie chodzi? – zapytała Klementyna zaczepnie, żeby ukryć zmieszanie. – Pracuję. Nie

widać, co?

Inspektor odchrząknął i poprawił krawat. W jego ruchach pojawiła się nerwowość.

– Wiem, że dość często współpracujesz z posterunkiem w Lipowie – zaczął powoli. – Nawet i przy tej sprawie.

Klementyna spojrzała na niego uważniej.

– I?

– Pomyślałem, że powiem ci o planach na przyszłość, żebyś potem nie była zaskoczona – wyjaśnił. – Na razie nieoficjalnie, ale być może za rok, dwa już nie będzie posterunku w Lipowie. Tylko mówię: nieoficjalnie.

– Co? – niemal krzyknęła komisarz Kopp.

Olaf Czajkowski spojrzał na Klementynę zaskoczony jej gwałtowną reakcją.

– Powiedzieliście im, co? – zapytała policjantka. Teraz mówiła już ciszej.

Inspektor pokręcił głową.

– Oczywiście, że nie. To są tylko wstępne plany – uściślił. – Na razie dopiero rozważamy, które z tych wiejskich posterunków będziemy likwidować. Część pewnie zostanie, ale nie wiem jeszcze które. Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć... żeby się z nimi za bardzo nie zżywać. Jakby co.

Klementyna Kopp spojrzała na szefa spod oka.

– Zżywać, co? – wycedziła przez zęby.

– Będę wdzięczny, jeżeli na razie nie będziesz im mówiła – poprosił Czajkowski. – Jeżeli ich zlikwidujemy, to prawdopodobnie będziemy chcieli ich włączyć do Brodnicy. Pewnie jakieś miejsca pracy się znajdą. Zobaczymy, jak to wszystko rozwiążemy. Sprawa jest nadal otwarta.

– Zwariowaliście, co? – zapytała komisarz Kopp ostro.

– Klementyna, trochę spokojniej – upomniał ją szef. – Nie podoba mi się twój ton. Jesteś bardzo dobrym śledczym, ale w pewnym momencie to już nie wystarczy. Uważaj, żebyś nie przeholowała. Nie sądzę, żeby gdzie indziej ktoś cię tolerował tak jak ja. Pamiętaj o tym, dobrze? Nieraz były z twojego powodu problemy, które tuszowałem.

– Czekał. Stop. A mnie się nie podoba to, co mówisz –

odparowała. Stara czy młoda. W tym momencie było jej wszystko jedno. – Lepiej tego nie róbcie. Posterunek w Lipowie ma zostać.

Komendant wpatrywał się w policjantkę intensywnie.

– Bo co? – zapytał niemal rozbawiony.

Komisarz Klementyna Kopp wzruszyła ramionami.

– Jeszcze zobaczymy.

Klementyna sama słyszała, że ta groźba nie zabrzmiała zbyt przekonująco. Potrzebowała jakiegoś planu. Czowała, że chociaż tyle jest winna kolegom z Lipowa. Mogli zlikwidować każdy inny komisariat. Ale! Nie komisariat w Lipowie.

Michalina Niewiadomska spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Cera nadal wydawała się ziemista i niezdrowa. Była w tym sanatorium już drugi tydzień i nie widziała najmniejszej poprawy. Mimo że tak bardzo się starała zachować pozytywne podejście do całej tej sytuacji.

A nie było to łatwe. Michalina czuła, że coraz bardziej skrzypią jej kości, a ona jest słaba i bezsilna. Zauważyła też znamię na skórze, które koniecznie musi pokazać jednemu z lekarzy. To przepełniało czarę goryczy.

Niewiadomska opuściła łazienkę i wyszła na taras. Wieczór był wprawdzie całkiem ciepły, ale na wszelki wypadek i tak owinęła się pledem. Usiadła w głębokim fotelu. Nie zamierzała ryzykować przeziębienia. Nie wróci przecież do Brodnicy chora. To by był dodatkowy kłopot dla Igi.

Michalina położyła sobie gazetę na kolanach. „Prawdziwy Głos”. Lubiała to pismo. Przeczytała już co prawda popołudniówkę od deski do deski, ale tytuł na pierwszej stronie ciągle przykuwał jej wzrok.

Osiemdziesięcioczeroletnia kwiaciarka zamordowana!

Kiedy Michalina po raz pierwszy sięgnęła po dzisiejsze wydanie gazety, nie mogła uwierzyć w to, co czyta. Czyżby naprawdę Małgorzata Głuszyńska nie żyła? To by było aż nazbyt piękne. Niewiadomska nie mogła jej wybaczyć pewnych rzeczy. Poprawka. Nie chodziło o to, że nie mogła. Michalina

nie chciała wybaczyć Głuszyńskiej pewnych rzeczy.

– Jak się pani dziś czuje, pani Michalino? – zapytała kierowniczką sanatorium, która miała w zwyczaju przechadzać się wśród gości i rozmawiać z każdym przez chwilę. – Taka pani uśmiechnięta. Jakieś dobre wiadomości?

– Oj tak – przyznała Michalina Niewiadomska z szerokim uśmiechem na twarzy. – Nawet bardzo dobre.

Weronika Nowakowska rozstawiła talerze na drewnianym stole w jadalni starego dworku. Kiedy ponad rok temu kupiła ten dom, wszystko było właściwie zrujnowane. Nowakowska sama odnowiła większość mebli. Właśnie z jadalni była najbardziej zadowolona i dumna.

– Wszystko gotowe! – krzyknęła do Daniela, który przygotowywał w kuchni sałatkę. – Myślisz, że Klementyna przyjdzie?

– Nie mam pojęcia – powiedział Podgórski, oblizując palec z sosu.

– Ej, nie rób tak! – ofuknęła go Weronika, wchodząc do kuchni.

Policjant tylko wzruszył ramionami z uśmiechem.

– Z Klementyną nigdy nie wiadomo – stwierdził. – Mówiła, że jej nie będzie, ale zobaczymy. Najwyżej sami zjemy te specjały. Też dobrze.

Weronika wzruszyła ramionami. Napracowali się bardzo, żeby przygotować dla Klementyny jak najlepsze urodziny. Daniel mógł mówić, co chce, ale ona dobrze widziała, że policjant jest rozczarowany. Sama nie była pewna, jak się zachowa, jeżeli komisarz Kopp zdecyduje się nie przyjść. To by było... Weronika szukała przez chwilę odpowiedniego słowa. Przykre. Co najmniej.

Nagle usłyszeli chrzęst kamyków na szutrowym podejździe. Przed dworkiem zaparkowała mała czarna skoda pani komisarz.

– No i widzisz. – W głosie Daniela łatwo dało się wychwycić nutę ulgi.

Weronika nie za bardzo rozumiała, dlaczego Podgórski tak bardzo lubi tę dziwną policjantkę. Klementyna Kopp nie była raczej osobą, która budziła w kimkolwiek pozytywne emocje. W kimkolwiek oprócz Daniela. Gdyby nie wiek policjantki, Weronika czułaby się chyba nawet trochę zazdrosna.

Pani komisarz wysiadła z samochodu. Jak zwykle szyję miała owiniętą długim szarym szalem, a przykrótki skórzany żakiet odsłaniał wyblakłe tatuaże na przedramionach. Na jej nadmiernie pomarszczonej twarzy malowało się zmęczenie.

Weronika i Daniel wyszli na próg, żeby przywitać Klementynę.

– Bardzo nam miło, że przyszedłeś – zaczął Daniel. – Wszystkiego...

– Posterunek w Lipowie ma zostać zamknięty – ucięła Klementyna Kopp bez wstępów.

Weronika wstrzymała oddech. Od jakiegoś czasu starała się za wszelką cenę ukryć tę informację przed Danielem, a teraz komisarz Kopp wparadowała do jej domu i wygarnęła całą tajemnicę prosto z mostu.

– Co? – wykrztusił Daniel Podgórski. – Jak to zamknięty? O czym ty mówisz, Klementyna?

– Czekał. Stop! Mam już plan.

15 maja 2014

Do zainteresowanych:

Wracam z poczty.

Udało mi się wysłać kolejne zaproszenie do gry. Ciekawe, czy zostanie zaakceptowane.

Mnie się wydaje, że tak. Zadziwiające, ile w tych kanałach jest cichej akceptacji tego, co ma nadejść...

W pewnym sensie nic w tym dziwnego. Wiedzą, że powinni zapłacić za to, co zrobili.

Powtarzam to sobie co jakiś czas.

Wyrzuty sumienia dręczą mnie tylko wtedy, kiedy im na to pozwalam. Przez większą część dnia staram się powtarzać sobie, że robię to wszystko z poczucia obowiązku.

Honor.

Honor. Raz jeszcze to sobie powtarzam.

Prawda.

To kolejne słowo, które mi dzisiaj towarzyszyło.

Swoją drogą, prawda to zadziwiająca rzecz. Potrafi leczyć, ale potrafi też ranić. Tak jest chyba w tym przypadku.

Odkrycie prawdy nie zawsze wyzwala. Mnie jednak chyba wyzwoliło. Tak mi się przynajmniej wydaje. Ich też wyzwoli.

Małgorzata Głuszyńska już jest wolna.

Przygotowuję się psychicznie do kolejnego zabójstwa. To jest jak rozgrzewka.

Zastanawiam się, jaką on będzie miał minę, kiedy zobaczy zaproszenie.

Jaką będzie miał minę, kiedy zobaczy, że nakładam maskę? Czy od razu zrozumie, że to koniec? Czy może zajmie mu to chwilę?

On z pewnością jest znacznie mniej inteligentny od Głuszyńskiej. Mam więc nadzieję, że z nim pójdzie mi jeszcze

łatwiej.

Fosgen jest tak skuteczny, jak o nim mówią.

Patrzenie na śmierć Małgorzaty Głuszyńskiej nie było niczym przyjemnym. Moje poświęcenie nie poszło jednak na marne. Została ukarana, a na drogę w zaświaty dostała książkę. Oby jej towarzyszyła i paliła bardziej niż najniższe kręgi piekieł.

Teraz gniew we mnie buzuje. To sprawia, że wyrzuty sumienia nie są tak dotkliwe.

Może lepiej zdać się właśnie na gniew?

Chociaż ja chyba tak nie potrafię.

W każdym razie będę też patrzeć na jego śmierć. Nie mam wyjścia.

Może on zasłużył jeszcze bardziej niż Głuszyńska?

I dostanie to, na co zasłużył.

Śmierć.

ROZDZIAŁ 13

Lipowo i kolonia Żabie Doły.
Piątek, 16 maja 2014. Rano

Młodszy aspirant Daniel Podgórski czekał na Leona Gawrońskiego przed błękitnym budynkiem komisariatu w Lipowie. Prokurator sam zaproponował, że mogą zorganizować odprawę podsumowującą dotychczasowe osiągnięcia w śledztwie właśnie u nich w Lipowie. Podgórski był mu za to bardzo wdzięczny. Szczególnie po tym, czego dowiedział się od Klementyny Kopp wczoraj wieczorem.

Policjant nie mógł pogodzić się z tym, że być może już za rok, najwyżej dwa, ich komisariatu nie będzie. Tyle lat tradycji i... koniec. Zwyczajnie i po cichu. Błękitny budynek będzie stał pusty albo całkowicie zmieni swoje przeznaczenie. Może nawet ktoś w nim zamieszka. Jak na starej stacji kolejowej w Jajkowie, która została przerobiona na dom jednorodzinny, a o dawnym przeznaczeniu przypominały tylko pozostałości po torach. Co powiedziałyby ojciec, gdyby wiedział, że tak to się skończy?

Podgórski westchnął smutno. Najgorsze ze wszystkiego było chyba to, że Weronika wiedziała o całej sprawie, ale nic mu nie powiedziała. Rozmawiali o tym do późna wczorajszej nocy. Nowakowska tłumaczyła, że chciała go chronić. Tylko że Daniel wcale nie chciał być chroniony. Już nie. I tak za długo był pod nadopiekuńczymi skrzydłami swojej matki.

Daniel czuł, że nie jest już tym samym człowiekiem co jeszcze kilka miesięcy temu. Grudniowe śledztwo w jakiś sposób go wyzwoliło. Teraz miał wrażenie, że poradzi sobie ze wszystkim. Nie zostawi tak tego. Nie pozwoli zamknąć posterunku w Lipowie. Podgórski chciał działać, jeżeli tylko to będzie możliwe. Ale co właściwie można zrobić? Czy jest jakieś

wyjście? Czy plan Klementyny rzeczywiście był dobry? Policjant potrzebował więcej czasu do namysłu.

Rozważania Daniela przerwało przybycie prokuratora. Leon Gawroński podjechał pod budynek komisariatu starym mercedesem. Podgórski ocenił samochód na co najmniej dwadzieścia lat. Mercedes był jednak nadal w doskonałym stanie. Widać było, że prokurator dba o swoje auto i regularnie je remontuje. Chromowane elementy karoserii lśniły, a na lakierze nie było najmniejszego nawet odprysku.

– Piękny samochód – pochwalił Podgórski, kiedy prokurator wysiadł.

Uścisnęli sobie dłonie.

– E250 z osiemdziesiątego ósmego roku – wyjaśnił Leon Gawroński. – Moja duma!

– Nie dziwię się – odparł Daniel z uśmiechem. Czuł, że powoli się rozluźnia. Lubił rozmawiać o samochodach. Na kilka sekund zapomniał nawet o zmartwieniach dotyczących ich małego komisariatu. – Zapraszam w nasze skromne progi.

Prokurator Gawroński otworzył drzwi. Zaskrzypiały jak zwykle, donośnie informując wszystkich, że ktoś nadchodzi. Trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś ucichną na zawsze. Daniel zerknął przelotnie na Leona. Czy prokurator wiedział o planach zamknięcia komisariatu? Czy w ogóle by go to obchodziło?

– Klementyna Kopp już jest? – zapytał Gawroński. – Ta czarna skoda to chyba jej samochód, prawda?

– Tak – powiedział Daniel, kiwając głową. – Wszyscy, którzy biorą udział w śledztwie, są już na miejscu. Proszę za mną.

Podgórski zaprowadził Gawrońskiego do salki konferencyjnej. W powietrzu jak zwykle unosił się zapach ciasta. Na przyjazd prokuratora Maria Podgórska upiekła swoją specjalność, czyli szarlotkę z kruszonką. Ciasto pyszniło się teraz na środku okrągłego stołu.

– Zapraszamy, zapraszamy – powiedziała matka tonem serdecznej gospodyni.

– Jak to miło. – Leon Gawroński uśmiechnął się czarująco. – Tak się pani namęczyła, żeby to wszystko przygotować.

Maria rozpromieniła się momentalnie. Daniel spojrział na prokuratora zaskoczony. Gawroński przypominał raczej amanta filmowego, który oddaje się rozpustnemu życiu wśród pięknych kobiet, niż mężczyznę, który umie czarująco rozmawiać ze starszymi paniami pokroju matki Podgórskiego. A może to wcale się nie wyklucza, zaśmiał się w duchu policjant.

– Zaczynamy, co? – mruknęła Klementyna Kopp nieco zrzędliwie.

Daniel zerknął na starszą koleżankę. Klementyna przedstawiła im wczoraj plan ratowania komisariatu w Lipowie. Podgórski nie był pewien, co właściwie ma o nim myśleć. Plan był trochę szalony. Może lepiej powiedzieć niemoralny. Ale tonący brzytwy się chwyta.

– Oczywiście, oczywiście. Zaraz zaczniemy – zapewnił Leon Gawroński, rozdając uśmiechy na prawo i lewo. – Najpierw jednak chętnie skosztuję tego pysznego ciasta.

Maria Podgórska wyglądała na w pełni szczęśliwą. Daniel uśmiechnął się do prokuratora z wdzięcznością. Policjant początkowo bardzo się bał, jak będzie wyglądała współpraca z Gawrońskim. Przedtem sprawami kryminalnymi zawsze zajmował się Jacek Czarnecki. Na początku roku stary prokurator przeszedł na emeryturę. Czarnecki był bliskim przyjacielem zmarłego ojca Daniela i może właśnie dlatego zawsze pomagał Podgórskiemu, jak tylko mógł. Wraz z objęciem stanowiska przez Gawrońskiego to wszystko mogło się skończyć. Wyglądało jednak na to, że nowy prokurator jest miłym człowiekiem, który nie będzie robił specjalnych trudności.

– No dobrze. To teraz możemy już zaczynać. Co tam macie? – zapytał Gawroński, odsuwając pusty talerzyk po cieście. – Kogo podejrzewamy?

– Może zaczniemy od Marka i Emilii – zaproponował Daniel, wskazując dwójkę policjantów. – Marek i Emilia sprawdzali kwestię tatuażu zrobionego przez sprawcę na piersi Małgorzaty Głuszyńskiej.

– Rozumiem – powiedział prokurator z uśmiechem. – Jak

wygląda sytuacja?

Marek i Emilia wymienili spojrzenia. Daniel poczuł nagle ucisk w gardle. W pewnym momencie będzie musiał powiedzieć Zarębie o planach zamknięcia ich komisariatu. Podgórski nie wiedział, jak młody policjant to zniesie. Mimo że Marek był tylko o pięć lat młodszy od Daniela, Podgórski czuł coś w rodzaju ojcowskiej odpowiedzialności wobec kolegi.

– Początkowo sądziliśmy, że zabójca wytatuował Głuszyńskiej dość dziwne słowo „GieS” – przypomniała tymczasem Emilia Strzałkowska. – Od tego zaczęliśmy.

– Próbowaliśmy znaleźć jakieś znaczenie tego słowa – wtrącił się Marek Zaręba, kiwając głową.

– I jak poszło? – zapytał prokurator. – Znaleźliście coś sensownego? Przyznam, że to słowo nadal nic mi nie mówi.

– Nic, co naszym zdaniem miałoby jakikolwiek związek ze sprawą – wyjaśnił Marek Zaręba. – Jedynym sensownym tropem wydało nam się to, że Gies jest dość popularnym holenderskim nazwiskiem.

– Mamy kogoś o tym nazwisku w Brodnicy? – chciał wiedzieć Gawroński.

– Właśnie nie. Za to mamy jedną Giesę – pospieszyła z wyjaśnieniami Emilia.

Prokurator obdarzył policjantkę zniewalającym uśmiechem. Strzałkowska wyglądała na zachwyconą jego atencjami.

– Anna Giesa. Z pochodzenia Niemka. Wyszła za mąż za Polaka, Ignacego Sikorę. Mają trójkę dzieci – zreferował Marek Zaręba. – W każdym razie to chyba mylny trop. Rozmawialiśmy z nią. Nie wydaje się, żeby Anna Giesa miała jakikolwiek związek ze sprawą. Myślę, że możemy zostawić ją w spokoju.

– Czekał. Stop. Alibi ma, co? – zapytała Klementyna Kopp. Jak zwykle wypluwała słowa jak pociski. – Czy nie ma, co?

– Tak, ma. W noc morderstwa była w domu z dziećmi i mężem – wyjaśnił Marek spokojnie. Daniel widział jednak, że Zaręba i Strzałkowska nadal są nastawieni do Klementyny dość niechętnie.

– I to mąż potwierdził alibi, co? – zadrwiła pani komisarz. –

Młody, chyba nie jesteś aż tak naiwny, co?

Marek Zaręba wzruszył ramionami. Nie wyglądał wcale na zbitego z tropu. Wręcz przeciwnie. Daniel Podgórski nie rozmawiał z Markiem wczoraj wieczorem, więc nie wiedział, jakie są wyniki researchu zrobionego przez Marka i Emilię. Sądząc po wyrazie twarzy Zaręby, Marek prawdopodobnie chował jakiegoś asa w rękawie.

– To i tak nie ma większego znaczenia, bo cały pomysł z napisem „GieS” chyba od początku był chybiony – powiedział Marek powoli, potwierdzając tym samym domysły Daniela. – Myliliśmy się.

– Co masz na myśli, Młody? – zainteresował się Podgórski.

Marek Zaręba wstał od stołu i podszedł do tablicy suchościeralnej. Wziął marker i napisał słowo „GieS”. Obok dopisał „G:e5”. Wszystkie oczy skierowane były teraz na niego.

– Co to ma oznaczać? – zdziwiła się Maria Podgórska. – Gie dwukropek e pięć?

– Prawdopodobnie błędnie odczytaliśmy napis na piersi kwiaciarki – pospieszyła z wyjaśnieniami Emilia. – To wcale nie było „Gies”, tylko „G:e5”.

– Tyle że nadal nie wiemy, co to oznacza – zmartwiła się Maria.

– G:e5 to zapis ruchu szachowego – wytłumaczył krótko Marek Zaręba. On i Emilia wydawali się zadowoleni z efektu, który wywarło ich niespodziewane odkrycie. – Zasugerował nam to Augustus, czyli tatuażysta Klementyny. O maszynie i sposobie wykonania nie specjalnego nie mówił, ale to wydało nam się ważne.

Marek wskazał napisy na tablicy.

– Właśnie – przytaknęła Emilia. – W każdym razie pojechanie do tego studia tatuazu nie było całkiem straconym czasem. Augustus spojrzał na ten napis świeżym okiem. To, co braliśmy za „i”, jest w rzeczywistości koślawym dwukropkiem, a wielka litera „S” to tak naprawdę cyfra pięć. Łatwo było się pomylić, skoro żadne z nas nie interesuje się szachami.

– Zaraz, pamiętam, że na miejscu zdarzenia była szachownica – powiedział prokurator powoli.

Wyjął z teczki zdjęcia z miejsca zbrodni i zaczął je przeglądać.

– Tak. Szachownica stała na stoliku obok sofy, na której siedziała Głuszyńska – potwierdził Daniel. – Tam, gdzie był przygotowany podwieczorek.

Gawroński wybrał odpowiednie zdjęcie i przesunął je na środek okrągłego stołu.

– To może być ważne – stwierdził prokurator, drapiąc się po szyi. – Klementyna, przypomnij mi, co powiedzieli o tej szachownicy technicy?

Komisarz Kopp mruknęła coś bełkotliwie. Podgórski nie był pewien, co takiego policjantka chciała przekazać. Minę miała w każdym razie chmurną. Daniel postanowił więc, że przyjdzie jej z pomocą.

– W partii ustawionej na stoliku obok sofy wykonano tylko trzy ruchy – zaczął Podgórski. – Wyglądało na to, że Małgorzata Głuszyńska grała czarnymi, a jej gość białymi...

– Głuszyńska zrobiła ruch dwoma czarnymi pionkami – przerwała Danielowi Klementyna. Widać odzyskiwała powoli formę. – Z pola e2 na e4 i z pola f2 na f4. Gość zrobił jeden ruch, z e7 na e5. Tak w skrócie. Po stronie białych, czyli po stronie gościa, nie było żadnych odcisków palców. Żadnych, a wiecie chyba, co to może oznaczać? Po stronie czarnych natomiast, czyli po stronie Głuszyńskiej, były dwa zestawy odcisków. Jej samej i kogoś jeszcze. NN.

– Czy te odciski NN z czarnej strony szachownicy pokrywają się z odciskami znalezionymi w domu zabitej? – chciał wiedzieć prokurator Leon Gawroński. – Pamiętam, że w domu znaleziono sporo odcisków.

– Tak, tak. Wszędzie było pełno odcisków. Tylko w sypialni było ich mniej. Tam się powtarzały odciski Głuszyńskiej i kogoś jeszcze. Też NN – przypomniała Klementyna. – Ale! Odciski NN z szachownicy i odciski NN z sypialni nie należą do tej samej osoby. NN z szachownicy nie dotykał niczego w domu Głuszyńskiej.

– Dwa zestawy NN równa się dwóch sprawców? – zastanawiał się głośno prokurator. Nikt nie odpowiedział, więc Gawroński kontynuował: – Ktoś tu wie coś na temat szachów?

Zebrani pokręcili głowami.

– Dobrze by było porozmawiać z jakimś ekspertem o tej rozpoczętej partii – stwierdził prokurator spokojnie. – Zrobiono tylko kilka ruchów, ale nie zaniedbujemy tego tropu. Ten tatuaż, który jest zapisem ruchu szachowego, i rozpoczęta partia to raczej nie jest przypadek, prawda?

Podgórski zastanawiał się przez chwilę.

– Moja Weronika daje lekcje jazdy konnej jakiejś dziewczynie, której ojczym jest szachistą. Facet nazywa się Franciszek Trojanowski. To właściciel tego klubu szachowego w Brodnicy przy Leśnej – wyjaśnił Daniel. – Możemy z nim porozmawiać o tej partii. Może powie nam coś ciekawego.

– Niech tak będzie – zgodził się Leon Gawroński. – Skontaktujecie się z tym Trojanowskim.

– Marek, Emilia, możecie kontynuować ten trop? – zapytał Podgórski. – Dam wam namiary na tego szachistę.

– Nie ma problemu – powiedziała Emilia Strzałkowska.

– Czekaj. Stop. Nikt nie uważa za dziwne, że po stronie białych nie ma odcisków palców, a po stronie czarnych pojawia nam się nagle zestaw NN, co?

– Sprawca mógł grać w rękawiczkach? – zasugerowała Maria Podgórska.

Dzisiaj o dziwo matka nie proponowała nikomu dokładki szarlotki, zauważył Daniel. Może początkowe zainteresowanie okazane przez prokuratora Gawrońskiego wystarczyło jej na czas całej odprawy.

– Okej. No dobra. Ale! Skoro sprawca był taki ostrożny... dlaczego w takim razie miałyby dotyczyć drugiej strony szachownicy i tam zostawiać odciski? – nie ustępowała Klementyna. – Przyznacie, że to trochę dziwne, co?

Na chwilę zapadło milczenie.

– Zostawmy to na razie – zaproponował Leon Gawroński. – Może w pewnym momencie komuś przyjdzie coś do głowy. Co jeszcze mamy oprócz kwestii szachów i tatuażu?

– Ja i Klementyna rozmawialiśmy z Oliwią Gąsiorowską – powiedział Daniel. – To pracownica kwaciarni Oleander, którą prowadziła Małgorzata Głuszyńska.

– I jak?

Daniel Podgórski wzruszył ramionami.

– Dziewczyna twierdzi oczywiście, że była w dobrych stosunkach z kwiaciarką, ale wiecie, jak to bywa. – Zaśmiał się i sam, bez namowy matki, sięgnął po kawałek szarlotki. – Mógł być pomiędzy nimi jakiś zatarg, który Oliwia próbuje teraz zataić. Czasem przecież może pójść nawet o coś zupełnie niewinnego. Pracowały razem, coś mogło się wydarzyć. Ja osobiście miałem wrażenie, że ta dziewczyna coś przed nami ukrywa.

Klementyna Kopp pokiwała głową na poparcie słów Daniela.

– Czy Oliwia Gąsiorowska ma alibi na czas śmierci kwiaciarki? – chciał wiedzieć prokurator.

Komisarz Kopp pokręciła głową.

– Właściwie nie – wyjaśnił natychmiast Daniel.

– Czyli wygląda na to, że jej też nie możemy zupełnie odrzucić – mruknął Marek Zaręba. – Tak jak Barbary Krakowiak.

– Tak. Kolejna sprawa. Oliwia Gąsiorowska wspominała o córce Małgorzaty Głuszyńskiej – ciągnął Podgórski. – Mówiła właściwie to samo co wcześniej Barbara Krakowiak. Małgorzata i jej córka podobno były skłócone do tego stopnia, że nie utrzymywały żadnych kontaktów.

– Rozmawialiście już z tą córką? – zapytał prokurator Gawroński.

– Jeszcze nie – przyznał Daniel.

– Nie rozmawialiście z nią? – nie dowierzał prokurator.

Podgórski pokręcił głową.

– To na co czekacie? – W głosie Leona Gawrońskiego po raz pierwszy zabrzmiała gniewna nuta. – Kłótnie rodzinne to chyba dla was nie pierwszozna. Nie trzeba powtarzać, że właśnie w obrębie rodziny popełnia się najczęściej zabójstw. Wiecie chociaż, kim jest ta córka?

Podgórski zerknął na Klementynę Kopp. To pani komisarz sprawdziła wczoraj tożsamość córki ofiary, więc nie chciał się wcinać.

– Liliana Brzezińska – rzuciła zwięźle Klementyna.

– Przesłuchajcie ją!

Komisarz Kopp wzruszyła tylko ramionami. Mogło to oznaczać wszystko albo nic. Leon Gawroński spojrzął na Klementynę z irytacją.

– Oczywiście, że to zrobimy – wtrącił się Daniel natychmiast. Przecież ten dzień zaczął się tak dobrze. Teraz jednak zły humor Klementyny mógł wszystko zepsuć. – Co ciekawe, Liliana Brzezińska nie pojawia się w tej sprawie po raz pierwszy. Liliana pracuje jako rzeczniczka prasowa w Brod-Dysku. Byliśmy tam wczoraj, żeby sprawdzić powiązania pomiędzy Małgorzatą Głuszyńską a fabryką. Brzezińska ani słowem nie wspomniała o tym, że z kwiaciarką łączyło ją pokrewieństwo. I to tak bliskie. Już nie mówiąc o kłótni.

– To dosyć dziwne – wtrąciła się Maria. Matka wydawała się poruszona.

– Co ma do tego Brod-Dysk? – zapytał tymczasem Leon Gawroński.

– Już tłumaczę – zaoferował się Daniel. – Dziennikarz Miłosz Janiszewski zasugerował mi, że powinniśmy sprawdzić tę fabrykę pod kątem fosgenu...

– Czekał. Stop. Janiszewski to pismak – przerwała mu Klementyna niespodziewanie. – Wymyśla niestworzone historie. Wysłałam chłopaków, żeby sprawdzili ten Brod-Dysk, i nie znaleźli tam ani grama fosgenu. Te jego oskarżenia to jedna wielka bzdura.

– Z drugiej strony to, że w fabryce nie ma fosgenu, nie wyklucza, że właściciele Brod-Dysku mogli mieć w jakiś sposób do niego dostęp – nie zgodził się Daniel. Zerknął nieśmiało na Klementynę, ale policjantka nie wyglądała na przekonaną. – Do produkcji płyt CD Stanisław Szczepański i Liliana Brzezińska wykorzystują materiały, które wytwarzane są właśnie przy użyciu fosgenu. Może w tej fabryce, gdzie zamawiają poliwęglany, mogli zdobyć także i fosgen. Co o tym myślicie?

Nikt nie odpowiedział. Klementyna skinęła tylko nieznacznie głową.

– Dobrze. Czyli na razie nie porzucamy też wątku Brod-Dysku – zdecydował prokurator, przerywając milczenie. –

Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

– Tak – kontynuował Podgórski. – Ale wracając do kwiaciarki i jej powiązań z Brod-Dyskiem. Córka to nie jedyny czynnik łączący ofiarę z fabryką.

– Było coś jeszcze?

Daniel pokiwał głową.

– Małgorzata Głuszyńska założyła Towarzystwo Ekologiczne Cygnus, które aktywnie walczyło z Brod-Dyskiem i próbowało nie dopuścić do tego, żeby zakład rozpoczął produkcję – wyjaśnił policjant. – Wczoraj z mamą... z Marią sprawdzaliśmy trochę to Towarzystwo Ekologiczne i okazało się, że drugą z jego założycielek jest Barbara Krakowiak, czyli sąsiadka zmarłej. Pani Krakowiak jakoś zapomniała o tym wspomnieć, kiedy ją przesłuchiwaliśmy.

– Wygląda na to, że wszyscy w tej sprawie mają kiepską pamięć – zażartowała Emilia Strzałkowska.

Prokurator uśmiechnął się do niej szeroko. Znowu.

– Mnie od początku ta sąsiadka wydawała się dziwna – włączył się do dyskusji Marek Zaręba. – Stała nad ciałem Małgorzaty Głuszyńskiej z takim kamiennym wyrazem twarzy. Jakby w ogóle się nie przejęła.

– Dokładnie – powiedział Podgórski. – Liliana Brzezińska z Brod-Dysku zasugerowała nam, że Towarzystwo Ekologiczne Cygnus ma swój interes w tym, żeby zahamować produkcję Brod-Dysku. Oczywiście może to być przerzucenie piłeczki na drugą stronę barykady, ale okazało się, że faktycznie jej oskarżenia mogą mieć jakąś podstawę. Konkurencyjna dla Brod-Dysku fabryka, niejaki Dyskograf, należy do Bernarda Krakowiaka.

– To jest rodzina tej sąsiadki? – zapytała Emilia Strzałkowska.

Daniel pokiwał głową.

– Jeszcze tego nie sprawdziliśmy, ale zbieg okoliczności chyba nie wchodzi w grę – powiedział Podgórski. – Nie wiem, jak to się łączy, ale może chodzić tu o pieniądze. I to nie tylko z wpływów z produkcji płyt. Pamiętajcie, że sypialnia Małgorzaty Głuszyńskiej została dokładnie przeszukana. Być

może szukali pieniędzy.

– Przesłuchajcie tę sąsiadkę jeszcze raz – zarządził Leon Gawroński. – Nie podoba mi się, że Barbara Krakowiak wciąż się pojawia w tym śledztwie. Jej nazwisko powtarza się niemal przy każdym wątku tej sprawy, a ciągle mało wiemy o niej samej.

– To jeszcze nie wszystko – odezwał się Daniel i zrobił efektowną pauzę.

– Co jeszcze?

– Okazało się też, że Miłosz Janiszewski, czyli ten dziennikarz, jest byłym mężem Liliany Brzezińskiej. W tej sytuacji jednocześnie jest też ekszkiem Małgorzaty Głuszyńskiej – uściślił Podgórski. – Czyli, podsumowując, kwiaciarka współpracowała z Barbarą Krakowiak przeciwko Brod-Dyskowi. Być może chodziło o pokonanie konkurencji dla Dyskografu. W Brod-Dysku zaś pracuje Liliana Brzezińska, która jest córką zmarłej, córką skłóconą z matką. Dziennikarz, który krąży wokół sprawy od samego początku, jest natomiast byłym mężem Liliany i byłym zięciem Głuszyńskiej.

– Jeszcze jedno – wtrąciła się Klementyna. – Janiszewski współpracował też z Towarzystwem Ekologicznym, pisząc teksty przeciwko Brod-Dyskowi do „Prawdziwego Głosu”. Kolejne powiązanie, co?

– Nie podoba mi się to – przyznał prokurator Gawroński. – Wcale a wcale. W tych Żabich Dołach wszyscy zdają się ze sobą związani. Podsumujmy może...

– Czekaj. Stop. Jest jeszcze jedna sprawa.

Pozostali spojrzeli na Klementynę Kopp.

– To znaczy?

Policjantka odchrząknęła. Wyjęła z plecaka butelkę coca-coli i upiła kilka łyków.

– Dowiedziałam się, że Małgorzata Głuszyńska była kiedyś prokuratorem – wyjaśniła Klementyna, chowając butelkę z powrotem do czarnego plecaka. – To było co prawda ponad dwadzieścia lat temu. Szmata czasu. Ale! Chciałabym trochę pogrzebać w jej starych sprawach. Nigdy nie wiadomo.

– Sugerujesz, że to może być zemsta kogoś, kogo Głuszyńska

kiedyś wsadziła za kratki? – zapytał Marek Zaręba.

– Niby czemu nie, co?

– Dobrze. Sprawdźcie jeszcze i ten trop – zgodził się Leon Gawroński. – Teraz podsumujmy dotychczasowych podejrzanych i osoby związane ze sprawą.

Daniel Podgórski wstał i podszedł do tablicy. Starł ją dokładnie i zaczął wypisywać nazwiska oraz powiązania poszczególnych osób z Małgorzatą Głuszyńską:

Barbara Krakowiak – sąsiadka i założycielka Towarzystwa Ekologicznego

Liliana Brzezińska – skłócona córka, rzeczniczka Brod-Dysku

Oliwia Gąsiorowska – pomocnica w kwiaciarni

Miłosz Janiszewski – były mąż córki, współpracuje z Towarzystwem Ekologicznym

Anna Giesa – tatuaż „GieS”?

– Annę Giesę chyba możemy odrzucić. Przecież błędnie odczytaliśmy tatuaż. Zresztą Giesa nie wydawała mi się ani trochę podejrzana – powtórzył młody Marek Zaręba. – Już ten jej mąż jest bardziej szemrany.

– Szemrany? Co masz na myśli? – zdziwił się Daniel.

– Ten Ignacy Sikora wygląda jak Gołota czy inny bokser – zgodziła się Emilia Strzałkowska z lekkim uśmiechem na ustach. – Złamany płaski nos. Wysoki, góra mięśni. Te sprawy. Wygląda jak typ spod ciemnej gwiazdy.

– Dajcie spokój. – Podgórski sięgnął po gąbkę, żeby zetrzeć nazwisko Giesy z listy. – Skreślamy Annę Giesę.

– Czekał. Stop! – zawołała Klementyna. – Na tym etapie nikogo nie odrzucamy, co? Co mi przypomina o jeszcze jednym. Dowiedziałam się od miejscowych menelków, że w ruderze naprzeciwko domu Głuszyńskiej rzeczywiście pomieszkiwał jakiś bezdomniak. Mieliśmy rację.

– Potencjalny świadek? – zapytał Gawroński z nadzieją.

– Może świadek, może sprawca – mruknęła komisarz

Klementyna Kopp. – Jego też chcę spróbować znaleźć.

– Na jakiej podstawie twierdzisz, że ten bezdomny mógł być sprawcą? – zapytał prokurator Leon Gawroński nieco podejrzliwie. – W tym opuszczonym domu były jakieś odciski, które pasowałyby do NN z szachownicy albo NN z sypialni kwiaciarki?

– Chłopaki sprawdzali rudereę i twierdzą, że nie – przyznała Klementyna niechętnie. – Ale! Przecież to o niczym jeszcze nie świadczy.

Oliwia Gąsiorowska dokładnie zamknęła torebkę i przycisnęła ją ręką do boku. Nigdy nie wiadomo. Szła szybkim krokiem przez miasto. Odetchnęła z ulgą dopiero, kiedy weszła na ulicę Wypiańskiego. W dzielnicy, gdzie mieszkał ojciec, chyba wszyscy ją kojarzyli. Raczej nie miała czego się tu obawiać.

Weszła na klatkę schodową. Waldemar jak zwykle czekał już w drzwiach. Oliwia podejrzewała, że wypatrywał jej przez okno. Uścisnęli się mocno.

– I jak, córeńko? – zapytał Waldemar Gąsiorowski, zamykając za Oliwią drzwi.

W mieszkaniu ojca było nieprzyjemnie duszno.

– Tatusiu, powinieneś otwierać okna – upomniała dziewczyna. – Już ci mówiłam, nie?

Waldemar zaśmiał się głośno.

– Wiem, wiem, córeńko. Otworzę, jak zrobi się trochę cieplej. Obiecuję.

Oliwia Gąsiorowska westchnęła głośno. Podeszła do okna i sama je otworzyła. Do pokoju wpadło przyjemne ciepłe powietrze. Odetchnęła głęboko.

– Już jest ciepło, tatusiu – powiedziała. – W maju możesz już otwierać te okna.

– I jak, córeńko? – powtórzył swoje pierwsze pytanie Waldemar, ignorując upomnienia córki na temat okna.

Oliwia doskonale wiedziała, do czego odnosi się ojciec. Nie musiał tłumaczyć. Tym razem w jego głosie pojawiła się twardsza nuta. Nie umknęło to uwadze Oliwii.

– Myślę, że sobie poradziłam – wyjaśniła Gąsiorowska.
– Owinęłaś ich sobie wokół palca?
– Taką mam nadzieję, nie?
– Zuch-dziewczynka. – Waldemar uśmiechnął się szeroko. – Jestem z ciebie dumny. Ale przejdźmy do konkretów. Kto cię przesłuchiwał?

– Jakaś niska babeczka z tatuażami i taki dryblas – wyjaśniła Oliwia niechętnie. Nie miała ochoty rozmawiać o przesłuchaniu. – Nie pamiętam, jak się nazywają.

Waldemar Gąsiorowski pokręcił głową, ale nie wydawał się zdenerwowany. Raczej spoglądał na córkę pobłaźliwie.

– Zawsze powinnaś w takich sytuacjach zapamiętać nazwiska. To się może przydać – pouczył. – Ta niska kobieta była stara? Siwa?

– Tak. Włosy miała obcięte na języka. Wyglądała idiotycznie – wyjaśniła Oliwia. Ogolona na łyso policjantka z pomarszczoną skórą i tatuażami? Masakra! – Miała kilka kolczyków w uszach. I zero, dosłownie zero makijażu. Wyobrażasz to sobie?

– To na pewno Klementyna Kopp – stwierdził Waldemar, ignorując pytanie córki. – Nie pracowałem z nią nigdy osobiście, ale słyszałem plotki, że baba lubi drażnić. Podobno ma niezłe statystyki, dlatego komendant w ogóle ją tu trzyma. Trochę mnie martwi, że to jej przydzielili sprawę Głuszyńskiej. W razie czego będziemy musieli uderzać w tego drugiego. Tego wysokiego. Naprawdę nie pamiętasz, jak on się nazywał?

Oliwia pokręciła głową.

– Już mówiłam, tatusiu. Nie myślałam, że to szczególnie ważne.

– Dobrze. W razie czego podzwonię trochę do chłopaków. Stare chłopy, ale ciągle jeszcze kilku pracuje w komendzie – powiedział Waldemar w zamyśleniu. – Może pogadam z Julkiem Szewczykiem. To niezły pomysł.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski i komisarz Klementyna Kopp wysiedli z radiowozu pod bramą Brod-Dysku w kolonii

Żabie Doły. Tak jak poprzednim razem brama okazała się otwarta. Zanim zdążyli dojść do budynku biurowego, na spotkanie wyszła im elegancko ubrana Liliana Brzezińska. Daniel zastanawiał się, czy cały czas wypatrywała ich przez okno, a może obserwowała ich czujnym okiem kamery przemysłowej.

– Witam. W czym mogę pomóc? – zapytała Liliana.

Daniel miał uczucie *déjà vu*. Kiedy byli tu ostatnio, Brzezińska użyła chyba dokładnie tych samych słów. Rzeczniczka prasowa przypatrywała się im, jakby widziała ich po raz pierwszy w życiu. Policjant nie był pewny, na czym polega ta gra i co właściwie ma na celu. Raczej trudno zapomnieć taką dwójkę jak on i Klementyna, zaśmiał się w duchu. Wytatuowana, ostrzyżona na jeża pani w sile wieku i dwumetrowy pulchny policjant.

– Okłamałaś nas, co? – rzuciła Klementyna Kopp jak zwykle bez wstępów.

– To znaczy? – zapytała rzeczniczka prasowa Brod-Dysku.

Twarz Liliany przyjęła teraz nieprzenikniony wyraz doświadczonego pokerzysty. Rzeczniczka prasowa nie zamierzała im chyba niczego ułatwić.

– Małgorzata Głuszyńska była twoją matką, co? – zaatakowała znowu Klementyna. – Tak czy nie, co?

Panie przez chwilę mierzyły się wzrokiem.

– To nie jest kłamstwo – powiedziała Brzezińska spokojnie. Jej wąskie usta wykrzywiły się w szerokim uśmiechu. – Nigdy nie twierdziłam, że ona nie jest moją matką. To różnica.

Klementyna wzruszyła ramionami. Skórzany żakiet zsunął się trochę. Policjantka poprawiła go szybko.

– Kłamstwo czy przemilczenie – mruknęła. – Dla mnie to jedno i to samo.

– Być może – odparła Brzezińska równie spokojnie jak przedtem.

– To czemu się tak z mamusią Głuszyńską nie lubiłyście, co?

Tym razem Liliana Brzezińska wzdrygnęła się nerwowo.

– To nie wasza sprawa – powiedziała niechętnie.

– Jak najbardziej nasza – wtrącił się Daniel Podgórski. –

Zwłaszcza że pani matka została zamordowana.

Policjant wskazał na widoczny za łąkami zboża dom kwiaciarki. Liliana Brzezińska znowu się wzdrygnęła.

– Nie lubiłyście się z mamuszką, co? – powtórzyła Klementyna twardo, wracając do tematu. – Dlaczego?

– Nie, niezbyt się lubiliśmy. To prawda – przyznała Liliana bez oporów.

Brzmiało to, jakby Brzezińska podjęła jakąś decyzję. Daniel i Klementyna oczekiwali dalszego ciągu, ale kobieta nie powiedziała nic więcej. Komisarz Kopp wpatrywała się w nią bez słowa. Stali tak w milczeniu. Dookoła szumiało dość wysokie już zboże. Na razie kłosa były jeszcze zielone, ale za kilka tygodni będą złote, aż w końcu przyjdzie pora na kolejne żniwa. I tak rok znów zatoczy pełne koło, pomyślał Podgórski. Tylko że ten rok nie będzie taki sam. Miał przecież syna. To znaczy wiedział, że ma syna, poprawił się policjant w duchu.

– O co poszło? – zapytała w końcu Klementyna, przerywając ciszę.

Daniel Podgórski zerknął na koleżankę zdziwiony. Przerywanie milczenia było do niej niepodobne. Klementyna rzadko poddawała się w takich sytuacjach. Potrafiła trwać w ciszy tak długo, jak było to potrzebne. To był nieoceniony atut podczas przesłuchań. Podejrzany wcześniej czy później czuł, że musi coś powiedzieć.

– Dorastałam z despotką i manipulanką – poinformowała ich Liliana natychmiast, jakby doceniła ustępstwo Klementyny.

– Mojej matki inaczej nie można nazwać. Niestety.

– Co pani ma na myśli? – zapytał Daniel łagodnie.

– Nigdy nie byłam wystarczająco dobra. Dla matki – powiedziała cicho Brzezińska. Skuliła się w sobie, jakby znowu była dzieckiem. – Nie mogłam być sobą. Dla mojej matki byłam niczym. Małgorzata kochała tylko mojego brata.

Daniel wiedział od Klementyny, że Małgorzata Głuszyńska oprócz córki Liliany miała jeszcze starszego syna, Michała. Chłopak umarł w wieku piętnastu lat.

– Obwiniła mnie o jego śmierć – dodała Liliana ledwo słyszalnie, nim Podgórski zdążył zadać jakieś pytanie.

– A zabiłaś go, co? – spytała Klementyna.

– Kiedy Michał zginął, miałam trzy lata – powiedziała Liliana równie cicho jak przedtem. – Ja nic nie zrobiłam. Byłam tylko małym dzieckiem. Nie miałam ze śmiercią brata nic wspólnego. Nawet mnie przy tym nie było.

Brzezińska spuściła wzrok. Wpatrywała się intensywnie w skórzane baletki, które nosiła tego dnia.

– Może pani powiedzieć, co się stało? – zapytał Daniel. – Jak umarł pani brat?

Klementyna zdążyła już co prawda sprawdzić okoliczności śmierci Lesława i Michała Brzezińskich, ale Podgórski chciał usłyszeć, co powie na ten temat Liliana. Brzezińska spojrzała w stronę policjanta. Na jej twarzy znowu zagościł spokój. Wyprostowała się.

– Mój ojciec i brat zatonęli. Pewnie dobrze o tym wiecie, zgadza się? – zapytała, poprawiając długie blond włosy. – To było w siedemdziesiątym pierwszym roku. Matka nie mogła tego znieść. Zwłaszcza śmierci mojego brata. Ojciec chyba mniej się dla niej liczył. Matka cały czas dawała mi do zrozumienia, że jej ukochane dziecko nie żyje, a ja, cokolwiek bym zrobiła, nigdy nie zastąpię jej Michałka. Po śmierci brata matka zaczęła mnie też obsesyjnie kontrolować. Dosłownie każdy aspekt mojego życia zależał od niej. A uwierzcie mi, miała swoje metody. Uwielbiała przesłuchania. Jak by tego wszystkiego było mało, matka znalazła mi nawet męża... który też mnie kontrolował. Miłosz Janiszewski i moja matka byli sobie warci. Nienawidziłam jej, ale jednocześnie tak bardzo chciałam, żeby mnie pokochała. Mnie, a nie wspomnienie o Michale. Dopiero niedawno to zrozumiałam. Tak wyglądały w skrócie nasze relacje.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Daniel poczuł się zakłopotany tymi nagłymi wyznaniem. Tym bardziej że wydawały się całkiem szczere.

– Co było dalej, co? – zapytała Klementyna Kopp niespodziewanie miękko.

– W końcu znalazłam sposób, żeby im obojgu zagrać na nosie.

– Liliana zaśmiała się smutno. – Byłam przykładną żoną przez

kilkanaście lat. Żyłam w złotej klatce. Nie umiałam znaleźć w sobie siły, żeby wyrwać się spod wpływu matki i męża. Miłosz był chyba nawet gorszy niż ona. Nigdy mnie nie uderzył, ale znęcał się nade mną psychicznie. To czasem boli bardziej niż pięść, chociaż nie zostawia śladów. Matka tak mnie wytresowała, że byłam wprost idealną ofiarą. W końcu nie wytrzymałam i postanowiłam zrobić coś, co go najbardziej zaboli. Znalazłam w sobie siłę na zemstę.

– Co pani ma na myśli?

– Zdradziłam Miłosza z kobietą i pozwoliłam mu to zobaczyć. Miłosz nie jest zbyt tolerancyjny. Wiedziałam, że tego nie zniesie, że już nigdy nie będzie chciał mnie nawet dotknąć. Że będzie się mną brzydził.

Podgórski zerknął przelotnie na Klementynę. Nadmiernie pomarszczona twarz komisarz Kopp była teraz bez wyrazu.

– Zrobiłam to, żeby mnie wreszcie puścił, żeby pozwolił mi odejść – ciągnęła Liliana. Wyglądało na to, że Brzezińska nie szuka wcale zrozumienia, tylko chce opowiedzieć swoją historię. – Nie jestem z siebie dumna. Użyłam tej dziewczyny jako kary dla męża. Wiem, że to nie było dobre, ale wtedy uważałam, że nie mam innego wyjścia.

– Co było dalej, co? – zapytała Klementyna zimno.

Liliana nie spojrzała nawet w stronę policjantki.

– Kłopot polega na tym, że nie doceniłam Miłosza – wyznała ze smutnym uśmiechem Brzezińska. – Myślałam, że da mi spokój, jeżeli będzie myślał, że jestem lesbijką. Początkowo wydawało się, że plan działa. Mąż pozwolił mi odejść. Do czasu. Potem zaczął mnie prześladować jeszcze bardziej niż za czasów naszego małżeństwa. To wszystko... jego nieustanna walka z Brod-Dyskiem i pomoc Towarzystwu Ekologicznemu Cygnus... Tu nie chodziło tylko o wstrzymanie naszej produkcji i pieniądze, które oni chcieli zarobić na Dyskografie. Tu chodzi też o mnie. To jest osobista wendeta Miłosza. Miłosz chce mnie zniszczyć. Możecie mi wierzyć lub nie, ale jestem pewna, że Miłosz jest gotowy na wszystko, byle to osiągnąć... Nawet żeby zabić moją matkę.

– Czekał. Stop. Przecież twierdziłaś, że pismak i kwiaciarka

byli zaprzyjaźnieni i że to właśnie mamuśka podsunęła ci męża – przypomniała Klementyna podejrzliwie. – Teraz twierdzisz, że pismak miałby ją zabić, co? To wszystko nie trzyma się kupy. Sorki.

Liliana Brzezińska podniosła wzrok znad swoich butów i spojrzała na komisarz Kopp przelotnie.

– Oboje są tak naprawdę bez serca. Miłosz i moja matka. To znaczyli byli bez serca, skoro matka nie żyje – poprawiła się. – Dla nich liczą się tylko oni sami. Nikt inny. Moja matka też nie zawahałaby się zabić Miłosza, gdyby to miało przynieść jej korzyść. Taka właśnie była całe życie. Bez niej świat jest lepszy.

Daniel spojrzał na Lilianę w zamyśleniu. Jej słowa były bardzo mocne. Nikt wcześniej nie wypowiadał się o Małgorzacie Głuszyńskiej tak negatywnie.

– Czyli sugeruje pani, że to Miłosz Janiszewski zabił Małgorzatę Głuszyńską, żeby wrobić panią? – zapytał Podgórski dla pewności. – O to pani chodzi?

Klementyna prychnęła w teatralnym rozbawieniu.

– Wiem, jak to brzmi – przyznała Liliana Brzezińska spokojnie. – Ale wy nie znajecie mojej matki. No i pewnie nie znacie mojego męża. Oni są zdolni do wielu rzeczy.

Daniel przypomniał sobie swoje ostatnie spotkanie z Miłoszem Janiszewskim. Ze słów Liliany można było wywnioskować, że dziennikarz jest psychopatą, który nie cofnie się przed niczym. Podgórski wcale nie odniósł takiego wrażenia. Chociaż może rzeczywiście w spojrzeniu Janiszewskiego coś się czaiło, zastanawiał się Daniel. Na pewno też dziennikarz nie mówił policjantowi wszystkiego. Z pewnością trzeba go będzie jeszcze przesłuchać.

– A ty gdzie byłaś w niedzielę wieczorem, kiedy ktoś kropnął mamuśkę, co? – zapytała Klementyna Kopp tymczasem.

– Nie mam alibi, bo o to chyba chodzi, prawda? – domyśliła się Liliana. – To znaczy nikt nie może potwierdzić mojego alibi, ale to chyba na jedno wychodzi. Pracowałam w domu nad materiałami na stronę internetową Brod-Dysku. W każdym razie to nie ja zabiłam matkę. Macie moje słowo. Zresztą po co miałabym ją teraz zabijać? Teraz było mi właściwie wszystko

jedno. Jeżeli miałabym ją kiedykolwiek zabić, zrobiłabym to już wcześniej. Teraz przecież nie miałyśmy ze sobą żadnego kontaktu. Nie widziałyśmy się od roku, czyli od mojego rozwodu z Miłoszem. Matka była wtedy na rozprawie.

– Czekał. Stop – wtrąciła się Klementyna Kopp. – Próbuje mi wmówić, że codziennie w drodze do pracy przejeżdżałaś obok domu Głuszyńskiej i nigdy nawet jej nie widziałaś, co? Przecież żeby dojechać tu do Brod-Dysku, musiałaś minąć dom matki. Nie ma innej opcji.

Liliana Brzezińska pokręciła przecząco głową.

– Mijałam jej dom, to prawda, ale nie widziałam jej. Przejeżdżając tamtędy, nie patrzę nawet w tę stronę.

Klementyna Kopp wyjęła z plecaka pustawą już butelkę coca-coli i pociągnęła kilka łyków brunatnego płynu.

– Okej. No dobra. Przyjmijmy przez chwilę, że ci uwierzę, że nie patrzyłaś na dom mamuśki, co? – zaczęła tonem pogawędki policjantka. Zakręciła korek i schowała butelkę z napojem z powrotem do plecaka. – Ale! Wróćmy do tego, co mówiłaś nam wcześniej, co? A co mówiłaś? No zobaczmy. Twierdziłaś, że Towarzystwo Ekologiczne Cygnus nie dawało Brod-Dyskowi spokoju. Tak twierdziłaś, co?

– Tak – przyznała Liliana natychmiast.

– Czyli były scysje, tak? – upewniła się komisarz Kopp.

– Tak – powtórzyła Brzezińska. – Wielokrotnie.

– Wiemy też, że Głuszyńska była założycielką i działaczką Cygnusa, tak?

– Tak.

– Świetnie, że tak sprawnie nam idzie – powiedziała Klementyna lekko.

– Do czego pani zmierza? – zapytała Liliana podejrzliwie. Zebrała długie włosy w kucyk i przewiesiła sobie przez ramię.

– Jak były te scysje, to wtedy też matki nie widywałaś, co? – zaatakowała policjantka. – Ani razu?

Rzeczniczka prasowa Brod-Dysku nie wydawała się wcale zbita z tropu.

– Kontaktowałam się z tą drugą. Z Barbarą Krakowiak – wyjaśniła błyskawicznie. – Matka działała chyba na innym

froncie. Zajmowała się mediami i tak dalej. Barbara Krakowiak atakowała bezpośrednio nas. Zresztą nadal to robi. Skoro już o tym mowa.

– Czy Barbara Krakowiak wiedziała, że Małgorzata Głuszyńska była pani matką? – zapytał Daniel. Coś mu tu bardzo nie pasowało, ale nie umiał jeszcze skonkretyzować myśli.

Brzezińska wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – stwierdziła. – Nie rozmawialiśmy o tym. Barbara Krakowiak głównie sączyła jad na Brod-Dysk, żeby Dyskograf mógł rozpocząć wcześniej produkcję. Tak wygląda sprawa. O tym rozmawialiśmy, a nie o moim życiu prywatnym.

Daniel Podgórski rozluźnił trochę kołnierzyk. W pełnym słońcu na środku pola zaczynało mu się już robić gorąco. Było to całkiem przyjemne. Oby pogoda utrzymała się dłużej.

– Okej. No dobra. Zapomnijmy na razie o twoich relacjach z mamuszką, co? – zaproponowała Klementyna Kopp, wracając do lekkiego tonu niezobowiązującej pogawędki. – Mówiłaś, że Głuszyńska nie była milutką osobą. Czy miała w związku z tym jakichś wrogów, co? Oprócz ciebie, oczywiście. No i pismaka, który próbował cię zrobić. Nie zapominajmy o nim.

W ostatnich słowach policjantki pobrzmiwała wyraźna nuta ironii.

– Nie powiedziałabym, że ja byłam jej wrogiem. Raczej ofiarą – uściśliła Liliana Brzezińska, nie spuszczać wzroku z Klementyny.

– Zwał, jak zwał. To miała jakichś wrogów czy nie, co?

Liliana wzruszyła ramionami. Wiatr rozwiał jej długie piaskowe włosy.

– Naprawdę nie wiem. Mówiłam, że się nie kontaktowałyśmy od roku.

– A wcześniej? – zapytał Podgórski.

– Na przykład z czasów, kiedy mamuszka pracowała jeszcze jako prokuratorka – wtrąciła się Klementyna. – Był ktoś, kto zyczył Głuszyńskiej źle, co?

– Nie wiem. To było ponad dwadzieścia lat temu. Zresztą matka nie opowiadała o pracy. Powinniście chyba

porozmawiać z Michaliną Niewiadomską, jeżeli interesują was czasy przed emeryturą matki.

Michalina Niewiadomska. Daniel Podgórski zapisał nazwisko.

– Kto to? – zapytał policjant, wkładając notatnik do kieszeni.

– Nie wiem dokładnie, jakie stanowisko zajmowała Michalina Niewiadomska. Czy była z prokuratury, czy skądinąd – przyznała Liliana Brzezińska. – Wiem tylko, że matka z nią współpracowała. Kiedy byłam jeszcze dzieckiem, Niewiadomska przychodziła czasami do nas do domu. Była nawet miła. Z tego, co pamiętam. Potem chyba się pokłóciły, bo Niewiadomska przestała przychodzić.

– Pokłóciły się? – podchwycił młodszy aspirant Daniel Podgórski.

Liliana znowu wzruszyła ramionami.

– Nic w tym dziwnego – stwierdziła. – Z matką nikt zbyt długo nie wytrzymał. Gdyby mój brat Michał się nie utopił, zapewne też by ją znienawidził. Tyle by miała z ukochanego synka.

ROZDZIAŁ 14

Londyn.

Piątek, 20 czerwca 1851

Turniej szachowy trwał już prawie miesiąc. Tak jak i codzienne spotkania z panną Agnes Hoffmann. Adolf Anderssen nie mógł wyjść z podziwu nad jej grą. Trudno było uwierzyć, że ta piękna młoda kobieta potrafi tworzyć takie strategie. Gdyby była mężczyzną, już dawno pewnie ktoś zauważyłby jej talent. Adolf był pewien, że panna Hoffmann z łatwością mogłaby stanąć w szranki z niejednym z szachistów biorących udział w turnieju, nie wyłączając jego samego.

– Dobrze, że jesteś nadzwyczaj piękną kobietą, Agnes – powiedział pan Hoffmann do córki podczas jednej z partii, którą Adolf i Agnes toczyli w wynajmowanym domu na Baker Street. – Możesz mieć te swoje dziwactwa... Ważne, żebyś w końcu znalazła odpowiedniego męża.

Adolf Anderssen odwrócił głowę. Miał wrażenie, że słowa pana Hoffmanna były skierowane do niego. Były jak ostrzeżenie. Nie masz tu szans, młody człowieku, mówił pan Hoffmann, Agnes nie jest dla ciebie, chociażbyś bardzo tego pragnął.

Adolf Anderssen nie winił pana Hoffmanna za jego nagłą niechęć do siebie. Prawdę mówiąc, nic w tym dziwnego. Ostatnio Adolf i Agnes spędzali wszak ze sobą tyle czasu. Młody nauczyciel matematyki nie miał w planach ożenku. O tym jednak pan Hoffmann nie wiedział. Co miała w planach sama Agnes, trudno powiedzieć. Była nieprzenikniona i nieprzewidywalna. Zupełnie jak jej zaskakująco dobra gra.

To było niemalże nie do pojęcia, wszelako przez ten miesiąc Adolf nauczył się od Agnes tak wiele. Już od pewnego czasu zauważył, że jego partie zaczynają się zmieniać pod wpływem

utalentowanej przeciwniczki. Również te, które Anderssen toczył w ramach Międzynarodowego Turnieju Szachowego. Panowie, którzy zbierali się w klubie na Cavendish Square, nie mogli wyjść z podziwu. Anderssen słyszał, jak o nim mówią. Z mało znanego pruskiego gracza zmieniał się w otaczanego powszechnym szacunkiem profesjonalnego szachistę.

Co najważniejsze, Adolf miał też coraz większe szanse na sięgnięcie po zwycięstwo w całym turnieju. Pokonał już wielu przeciwników. Doskonale zdawał sobie sprawę, że wiele swoich zwycięstw zawdzięcza panie Hoffmann i jej delikatnie podsuwanych wskazówkom i radom. Nikt inny oczywiście nie mógł o tym wiedzieć, ale Adolf i tak niekiedy czuł się zaambarasowany, przyjmując kolejne pochwały.

– Rozmawiałam z panem Kieseritzkym – poinformowała go Agnes tego wieczora. – Zapropnowałam mu, że zagracie raz jeszcze.

Adolf Anderssen spojrział na pannę Hoffmann zdziwiony. Pan Kieseritzky nie brał już udziału w turnieju. Adolf wyeliminował go w pierwszej rundzie. Francuz nadal przebywał jednak w Londynie i obserwował rozgrywki.

– To dobry przeciwnik – kontynuowała panna Hoffmann, widząc zdumienie Anderssena. – Żeby osiągnąć perfekcję, musi pan grać z najlepszymi. No i musi pan poznawać najlepszych. Obracać się wśród nich. Chyba nie chce pan łaski pana Stauntona?

Adolf pokręcił głową. Pan Howard Staunton nie zapłacił za podróż z Breslau do Londynu. Anderssen miał swój honor. Zamierzał wygrać turniej. Mając pięćset funtów, będzie mógł nie tylko sam pokryć koszty pobytu w Londynie, ale i zapewnić rodzinie godziwy byt na dłuższy czas.

– Nie – przyznał szczerze Anderssen. – Nie pragnę niczyjej łaski.

– Dlatego też zagra pan jutro z panem Kieseritzkym w przerwie w turnieju – oznajmiła Agnes. – Ustaliłam już wszystko. Mam tylko jeden warunek.

Adolf Anderssen spojrział na pannę Hoffmann zdziwiony.

– Jaki to warunek?

– Ustaliłam z panem Kieseritzkym, że to pan będzie zaczynał
– wyjaśniła Agnes. – Chcę, żeby zaczął pan od piona na e4. Jeżeli pan Kieseritzky odpowie pionem na e5, chcę, żeby zagrał pan gambit królewski. O tyle tylko proszę. Potem niech pan gra tak jak wtedy, kiedy mierzył się pan ze mną tu na Baker Street. Niech pan się nie boi ryzyka. Tylko w ten sposób sięgnie pan po najwyższą wygraną.

Adolf Anderssen pokiwał głową. Dopiero teraz zauważył, że Agnes Hoffmann wyglądała jakoś inaczej.

– Pani nie będzie jutro w klubie? – zapytał ostrożnie.

Adolf zdążył się już przyzwyczać do dyskretnej obecności panny Hoffmann podczas każdego z jego meczów. Wpływy jej ojca sprawiły, że Agnes była dopuszczana tam, gdzie żadna inna kobieta nie miałaby wstępu.

– Ojciec wysłał mnie z powrotem do Breslau – powiedziała panna Hoffmann cicho. – Pańska gra jutro to będzie ostatnia partia, którą zobaczę.

Adolf Anderssen poczuł, że serce zaczyna bić mu szybciej. Byli sami w pokoju w wynajmowanym przez pana Hoffmanna domu przy Baker Street. Młody matematyk miał teraz wrażenie, że są zupełnie sami w całym budynku. Nie było słyhać nawet służby.

– Dlaczego? – zapytał równie cicho, chociaż domyślał się, jaka padnie odpowiedź.

Agnes spojrzała Adolfowi prosto w oczy. Milczeli.

– Mam poślubić pana Brauna – powiedziała w końcu panna Hoffmann. – To przyjaciel ojca. Jest majątny i ma wysoką pozycję w mieście. Zdaniem ojca to odpowiedni dla mnie mąż. Zna pan pana Brauna?

– Tak. Słyszałem o nim – odparł drżącym głosem Adolf. – Każdy w Breslau zna chyba jego nazwisko.

– Co pan zamierza zrobić? – zapytała Agnes wprost.

Adolf Anderssen nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie wiedział, co może odpowiedzieć. Co chciał powiedzieć, to już zupełnie inna kwestia. Pomyślał o matce i siostrze, o swojej pozycji w gimnazjum. Nie mógł powiedzieć tego, co cisnęło mu się na usta. Nie mógł.

Agnes Hoffmann westchnęła.

– Tak sądziłam – mruknęła.

Wstała i podeszła do Adolfa. Jej suknia szeleściła cicho. Bardzo cicho. Wyciągnęła dłoń w jego stronę i dotknęła jego twarzy. Adolf Anderssen poczuł, że jego ciało tężeje. Wiedział, że kiedyś pożałuje tego, co zaraz miało nastąpić, ale nie potrafił cię cofnąć.

ROZDZIAŁ 15

Lipowo, kolonia Żabie Doły i Brodnica.
Piątek, 16 maja 2014. Po południu

Miłosz Janiszewski przejrzał początkową wersję swojego artykułu na temat śmierci Małgorzaty Głuszyńskiej. Był całkiem zadowolony. Oczywiście tekst nie był jeszcze skończony ani odpowiednio zredagowany, ale dziennikarz chciał już mieć coś do zaproponowania szefowi. Ignacy Sikora będzie musiał w końcu poznać się na tym temacie. Potem, kiedy to wszystko już się skończy, Janiszewski rozbuduje ten pierwotny artykuł w całkiem niezły reportaż. Tego był pewien. Przy okazji pograży Brod-Dysk i Lilianę.

Miłosz włączył drukarkę i wydrukował tekst. Włożył materiały do torby i wyszedł ze swojego skromnego mieszkania przy ulicy Strzeleckiej. Ruszył w kierunku redakcji „Prawdziwego Głosu”, która mieściła się przy ulicy Pocztowej. Z domu do redakcji miał jakieś sto pięćdziesiąt metrów. Nie więcej.

Janiszewski wszedł w ulicę Pocztową. Minął parking przed apteką i budynek Poczty Polskiej. Przed sobą miał kościół Świętej Katarzyny. Skreślił w bramę i wszedł po schodach na piętro. Wystarczyło kilka minut marszu i był na miejscu.

Przy biurkach w redakcji pracowało kilka osób. Głównie freelancerów, którzy przychodzili tu tylko wtedy, kiedy mieli jakiś temat do opracowania. Janiszewski skinął im głową. Zapewne któryś z tych gryziopiórków pracował nad śmiercią Głuszyńskiej. Szef wspominał chyba, że Fredek? Nie szkodzi. Ani Fredek, ani reszta nie stanowiła dla Janiszewskiego najmniejszej konkurencji. Miłosz wiedział, że jest najlepszy.

– Miłosz? – Janiszewski usłyszał za sobą głos szefa.

Sikora stał pod rękę ze swoją żoną Anną Giesą, która dość często odwiedzała Ignacego w redakcji.

– Cześć, szefie – powiedział Miłosz Janiszewski całkiem układnie. Musiał przekonać przecież redaktora naczelnego do swojego tekstu i do powrotu na stanowisko etatowego reportera „Prawdziwego Głosu”. Jeżeli to miało się udać, trzeba było działać subtelnie i powoli. – Pani Aniu, ale pani dziś ładnie wygląda!

– Podlizywanie się mojej żonie nie na wiele się zda, Miłosz – zaśmiał się Ignacy Sikora. – Ale cieszę się, że odzyskujesz dawny dowcip. Z czym przychodzisz?

Miłosz Janiszewski rozejrzał się po pomieszczeniu. Nie chciał, żeby ktoś zgarnął jego newsa.

– Chodzi o Brod-Dysk i fosgen – powiedział cicho.

Na te słowa Ignacy Sikora przejechał ręką po twarzy.

– Miłosz, mówiłem ci chyba wyraźnie, żebyś wyluzował. Puściliśmy już chyba ze dwadzieścia twoich tekstów na ten temat. O ile nie więcej. Lena, ile było tekstów o fosgenie? – rzucił Sikora w kierunku niedawno zatrudnionej recepcjonistki.

Lena Szczepańska zaczęła nerwowo szukać danych w komputerze.

– To było pytanie retoryczne, Lena. Daj sobie spokój – powiedział Ignacy Sikora. – Mam już kogoś innego do tego tematu, Miłosz. Fredek...

– Chodzi o fosgen, ale w kontekście śmierci Małgorzaty Głuszyńskiej – szepnął Janiszewski konspiracyjnie, przerywając szefowi. – Nie chodzi o środowisko naturalne.

– Krążą plotki, że nie jesteś w tej sprawie obiektywny – stwierdził redaktor naczelny z pewną troską. Dziennikarze przerwali stukanie w klawiaturę i zaczęli przyglądać się całej scenie. – Niektórzy mówią nawet, że to ty zabiłeś tę Głuszyńską. Takie plotki krążą. Człowieku, biorąc pod uwagę te twoje teksty... Miłosz, ja nie chcę nic mówić, ale nie wygląda to dobrze.

– Przecież to nie ja ją zabiłem – obruszył się dziennikarz. – To niedorzeczne!

Ignacy Sikora pokiwał głową.

– Znamy się nie od dziś, więc ci ufam, ale... sam nie wiem.

Nie chcę, żeby policja wpakowała się tu do redakcji. Przesłuchiwali już moją żonę. Podobno jej nazwisko było na tatuażu na ciele Małgorzaty Głuszyńskiej. Jeżeli okaże się, że to jest jednak twoja sprawka, to nie będę zadowolony – ostrzegł redaktor. – Jeżeli to ty jesteś mordercą, to chcę, żebyś moją żonę trzymał od tego z daleka. Tak jak i całą naszą gazetę, jeżeli już o to chodzi. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

– Szefie, zapewniam, że ja nie zabiłem Małgosi Głuszyńskiej – powtórzył Miłosz Janiszewski. Na razie nie szło to najlepiej. Pora na cięższą artylerię. – Podejrzewam, że zrobiła to Liliana.

Ignacy Sikorski znowu przejechał ręką po twarzy.

– Twoja była żona? – upewnił się redaktor naczelny. Wyglądał na zmęczonego. – Nie zaczynaj znowu. Miłosz, ty masz obsesję na jej punkcie! Poszukaj sobie innych podejrzanych. Lilianę sprawdza już ktoś inny z redakcji.

Janiszewski poczuł, że jest na granicy wybuchu. Kimś innym z redakcji był zawsze Fredek. Jedyne, który mógł jakkolwiek równać się z Miłoszem.

– Tylko że ten ktoś inny z redakcji nie wie, skąd Liliana Brzezińska wzięła fosgen do zamordowania swojej matki – wycedził Janiszewski przez zaciśnięte zęby. – Ja natomiast wiem. Tym się różnimy ja i „ktoś inny z redakcji”.

Na twarzy Ignacego Sikory wymalowała się teraz nieskrywana ciekawość. Miłosz Janiszewski uśmiechnął się do siebie z satysfakcją. Wiedział, że tak będzie. Szef nie mógł przecież przejść obok takiego newsa obojętnie.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska i starszy sierżant Marek Zaręba jechali do klubu szachowego należącego do Franciszka Trojanowskiego. Mieli porozmawiać z szachistą na temat tatuażu na piersi Małgorzaty Głuszyńskiej i ledwo rozpoczętej partii szachów rozłożonej na stoliku obok sofy, gdzie usadzono ciało kwiaciarki.

Przez całą drogę do klubu Emilia biła się z myślami. Powiedzieć czy nie powiedzieć? Zdradzić Markowi to, co powiedziała jej w sekrecie Weronika Nowakowska, czy może

lepiej nie?

Marek Zaręba próbował rozmawiać, ale Strzałkowska nie potrafiła wydusić nawet jednego sensownego słowa. Policjantka polubiła Marka i teraz miała wrażenie, że go oszukuje, nie zdradzając, że komisariat w Lipowie może zostać zamknięty. Emilia wiedziała, że na miejscu młodego policjanta wpadłaby w furję, gdyby ktoś nie powiedział jej o czymś tak ważnym.

Strzałkowska westchnęła. Chyba nie miała wyjścia. Powie mu, kiedy tylko skończą rozmowę z Franciszkiem Trojanowskim. Podjąwszy decyzję, od razu poczuła się lepiej.

– To jesteśmy – powiedział Marek Zaręba z entuzjazmem, którego prawie nigdy mu nie brakowało. – Znowu na tropie. Tym razem chyba nie dostaliśmy najgorszego kawałka ciasta, prawda? Tatuaż i partia szachów mogą być kluczowym punktem sprawy.

Najgorszego kawałka ciasta? Zazwyczaj to Strzałkowska sypała powiedzonkami jak z rękawa. To była taka mała tradycja rodzinna zainaugurowana przez jej ojca. Tym razem jednak to Marek ją zaskoczył. Fakt, nie dostali najgorszego kawałka ciasta w tej sprawie.

Chociaż Franciszek Trojanowski mieszkał z żoną i pasierbicą w Lipowie, kiedy do niego zadzwonili z prośbą o rozmowę, szachista zaprosił ich do Brodnicy. Być może chciał zachować dystans, zastanawiała się w duchu Emilia. A może po prostu miał nieposprzątane w domu? Czasami najzwyklejsze wyjaśnienia były tymi prawdziwymi.

W klubie panował przyjemny chłód. W głównym pomieszczeniu trwało kilka rozgrywek. Ludzie w różnym wieku pochylali się nad szachownicami w nabożnym niemal skupieniu. Nikt nawet nie podniósł wzroku na dwójkę policjantów. Emilia poczuła się jak wtedy, kiedy weszli do gabinetu tatuażu Augustusa. Tam też nikt nie przerwał pracy na ich widok. Różnica polegała tylko na tym, że w Golden Throne królował świdrujący głos maszynek do tatuowania, a tu, w klubie szachowym, panowała cisza.

– Szukamy pana Franciszka Trojanowskiego – oznajmiła

policjantka.

Emilia postanowiła dobitnie zaznaczyć ich obecność. Jej głos zabrzmiał wyjątkowo głośno. Tym razem niemal wszyscy podnieśli oczy znad szachownic i spojrzeli na Strzałkowską karcąco. Marek parsknął stłumionym śmiechem. Emilia zgromiła kolegę wzrokiem.

– Już do państwa idę – usłyszała z lewej strony. Od jednego ze stołów wstał niski, łysawy mężczyzna. – Ireneuszu, bardzo mi przykro, ale będziemy musieli dokończyć naszą rozgrywkę później.

Przeciwnik Franciszka Trojanowskiego nie wyglądał na zadowolonego z przerwania partii, ale w końcu pokiwał głową bez słowa i z powrotem pochylił się nad szachownicą. Analizował chyba dotychczas wykonane ruchy.

– Zapraszam państwa do mojego biura – powiedział uprzejmie Trojanowski, popychając ich jednocześnie w kierunku drzwi po drugiej stronie sali. Pewnie chciał, żeby jak najszybciej przestali przeszkadzać grającym.

Weszli do niewielkiego gabinetu. Na ścianach wisały grafiki przedstawiające figury szachowe. Na długiej półce ustawiono trofea z turniejów i kilka zdjęć oprawionych w czarne ramki. Biurko stało tyłem do okna, więc kiedy Trojanowski usiadł na krześle, jego twarz zatoneła w cieniu. Strzałkowska czuła się, jakby to Franciszek rozgrywał tu karty, a oni mieli zostać przesłuchani.

– Z czym państwo do mnie przychodzą? – zapytał Trojanowski uprzejmie. Pochylił się w ich stronę. – Muszę przyznać, że byłem dość zaskoczony państwa telefonem. Jak szachy mogą wiązać się z czyjąś śmiercią? Nie za bardzo rozumiem.

Marek Zaręba opowiedział krótko o tatuażu na piersi ofiary i szachownicy z rozpoczętą partią pozostawionej na miejscu zbrodni.

– Straszna sprawa, doprawdy – powiedział Franciszek Trojanowski po wysłuchaniu wszystkich informacji. – Uważam to za skandaliczne, że ktoś wmieszał w zbrodnię taką grę jak szachy. To jest gra dla myślicieli, a nie dla żadnych krwi

raptusów.

– Najwyraźniej jednak jest inaczej – mruknęła Emilia Strzałkowska najciszej, jak umiała, a głośniej dodała: – Może nam pan wyjaśnić, co oznacza zapis G:e5?

Franciszek Trojanowski odchrząknął.

– Zapis G:e5 to przykład tak zwanej szachowej notacji algebraicznej – wyjaśnił krótko. – W ten sposób zapisujemy ruchy szachowe. Na przykład w literaturze czy czasopismach branżowych albo na zawodach.

Emilia zerknęła na Marka. Tyle wiedzieli już wcześniej. Właśnie dlatego przyjechali do Trojanowskiego.

– Co konkretnie oznacza ten właśnie zapis?

– G:e5? – upewnił się Trojanowski, jakby nagle zapomniał, o czym rozmawiają.

Albo jakby chciał zyskać na czasie, pomyślała nagle Emilia Strzałkowska. Czy to możliwe, żeby ten mały niepozorny człowieczek był w jakiś sposób zamieszany w śmierć Małgorzaty Głuszyńskiej? Czy Trojanowski pasował jakoś do tej układanki? A może to Emilia wpadała w paranoję? W tej sprawie za dużo było powiązań wszystkich ze wszystkimi.

– Tak – powiedział Marek zachęcająco.

– W zapisie ruchu szachowego podajemy na początku, jaka figura ma się poruszyć – wytłumaczył w końcu Franciszek Trojanowski. – Potem dodajemy, na jakie pole. Wracając do państwa zapisu, G w notacji algebraicznej oznacza gońca. Czyli to właśnie goniec wykonuje ruch w państwa przypadku.

– A co oznacza dwukropek? – dopytywała się Emilia.

– Dwukropek oznacza bicie bierki przeciwnika – wyjaśnił Franciszek. – W niektórych krajach używa się zamiast dwukropka litery x, ale u nas w Polsce tradycyjnie stosuje się dwukropek, żeby zapisać taki ruch.

– Czyli w naszym przypadku goniec bije figurę na polu e5, tak? – upewniła się Emilia Strzałkowska. – Dobrze zrozumiałam?

Policjantka poczuła nagle, że temat szachów zaczyna ją interesować. Zerknęła na Marka. Zaręba też przypatrywał się gospodarzowi z zaangażowaniem. Niepozorny z wyglądu

Franciszek Trojanowski o szachach mówił ze szczególnym namaszczeniem, które natychmiast udzielało się słuchaczom.

– Tak – potwierdził Trojanowski. – Zapis oznacza dokładnie to, co pani powiedziała.

Emilia pogрузzyła się na chwilę w myślach. Czy zabójca uważał, że Małgorzata Głuszyńska jest figurą szachową, którą należy zbić? Czy on sam uważał siebie za szachowego gońca? Czy to była jakaś chora gra? Śmiertelna partia?

– Na miejscu zbrodni była szachownica z rozpoczętą partią – przypomniał Marek Zaręba, wyrywając Emilię z zamyślenia. – Czy ten zapis, G:e5, może się odnosić właśnie do niej? Przecież w partii, która była rozegrana w domu zamordowanej, poruszono dopiero trzy figury. Czy następnym ruchem mógł być goniec na e5?

– Ma pan zdjęcie tej partii? – zapytał szachista.

Marek podał Trojanowskiemu fotografię zrobioną przez jednego z techników. Szachista przyglądał się jej przez chwilę w skupieniu.

– Będzie chyba łatwiej, jak to sobie zobaczymy na żywo – zaproponował.

Wyjął z szuflady niewielką drewnianą szachownicę i pracowicie rozstawił na niej wszystkie figury. Emilia w skupieniu przypatrywała się jego ruchom.

– W waszej partii mamy dopiero trzy ruchy. Dwa wykonane przez białe i jeden przez czarne – powiedział Franciszek Trojanowski, przesuwając szachownicę w ich kierunku. – Partię rozpoczęły białe. Takie są zasady. Zgaduję, że pierwszym ich ruchem był biały pion z e2 na e4. Wówczas czarne odpowiedziały przesunięciem czarnego piona z pola e7 na e5. Na co białe zrobiły ruch swoim pionem z pola f2 na f4...

– Skąd pan wie, że taka właśnie była kolejność? – zdziwiła się Emilia.

Franciszek Trojanowski uśmiechnął się do policjantki miło. Zauważył chyba, że jej zainteresowanie wychodzi poza sprawę morderstwa.

– W szachach zazwyczaj rozpoczynamy od ruchu białych. Potem dopiero swoją szansę mają czarne. Takie są zasady –

powtórzył Franciszek. – To, co widzicie tu na szachownicy, to tak zwany gambit królewski.

– Co to jest ten gambit królewski? – chciał wiedzieć Marek Zaręba.

– Jest to jedno z otwarć szachowych, czyli inaczej mówiąc, debiut – wyjaśnił Trojanowski natychmiast.

– Rozpoczęcie gry? – podsumowała Emilia.

– Rzeczywiście, można to tak właśnie prosto nazwać – zgodził się Franciszek. – Proszę mi wybaczyć fachowe słownictwo. Siedzę w tym temacie tak długo, że wydaje mi się, że cały świat kręci się wokół szachów.

– Nic się nie stało. Może pan powiedzieć więcej o tym gambicie królewskim?

Szachista pokiwał głową.

– Oczywiście. Gambit królewski jest klasycznym otwarciem, które zaliczamy do debiutów otwartych. Nie będę już wchodził w szczegóły na temat teorii otwarć szachowych...

Trojanowski zaśmiał się przepraszająco. Nagle znowu wydał się mały i niepozorny.

– To nie wydaje się szczególnie skomplikowane – mruknęła Emilia, spoglądając na szachownicę. – Czy teraz czarny pionek z e5 powinien zbić białego pionka z f4?

Strzałkowska pamiętała, że kiedyś gry w szachy próbował nauczyć ją ojciec. To było, zanim król powiedzonek zostawił ją i jej matkę. Potem policjantka już nigdy nie grała. Pionki były na skos. Tyle przynajmniej pamiętała z tej gry.

Franciszek Trojanowski zatarł ręce rozentuzjasmowany.

– Nie tak szybko! Na tym właśnie polega cała rzecz! Gambit można przyjąć lub nie – powiedział z uśmiechem pasjonata. Jego twarz nie wyglądała już teraz niepozornie. Magia szachów znowu zrobiła swoje. – Może powinienem zacząć od początku i wytłumaczyć państwu, co to w ogóle jest gambit.

– Może tak rzeczywiście będzie łatwiej – zgodził się Marek. – Żadne z nas nie gra.

– Gambit to takie otwarcie, w którym gracz poświęca kilka figur – wyjaśnił Trojanowski. – Oczywiście, przynajmniej teoretycznie, taka taktyka pozwala później zyskać przewagę.

W większości gambitów poświęca się właśnie piona. Tak jak tu, w gambicie królewskim. Tak jak pani wcześniej powiedziała. Proszę sobie wyobrazić, że grają państwo czarnymi bierkami.

Franciszek Trojanowski odwrócił szachownicę czarnymi figurami w stronę Emilii i Marka.

– Czyż to nie jest kuszące, żeby czarne zbiły teraz białego pionka na f4? – zapytał Trojanowski słodko. Emilia pokiwała głową w zamyśleniu. – No właśnie. To jest jak w bajce, kiedy zła wiedźma oferuje piękne jabłko królowi. Kusząca propozycja, prawda? Jeżeli czarne, czyli państwo, ulegną pokusie i zbiją białego pionka w czwartym ruchu, w konsekwencji może to doprowadzić do wywarcia przez białe nacisku na centrum w późniejszej fazie gry. Oczywiście wszystko zależy od umiejętności rozgrywających. Po obu stronach szachownicy.

– Czy to otwarcie jest często stosowane? – chciała wiedzieć Emilia.

– Wśród profesjonalistów gambit królewski nie jest już tak popularny jak kiedyś – wyjaśnił Franciszek Trojanowski. – Ciągłe jednak ma swoich zwolenników. Powiem szczerze, że jest też często używany przez amatorów.

– Czyli uważa pan, że to była partia amatorska? – zapytał Marek, wskazując na szachownicę i zdjęcie z domu Małgorzaty Głuszyńskiej.

Franciszek Trojanowski natychmiast pokręcił głową.

– Źle mnie pan zrozumiał. Naprawdę nie umiem powiedzieć, czy tu grali amatorzy, czy profesjonaliści, nie wiedząc, co działałoby się w tej partii dalej – powiedział, przysuwając szachownicę z powrotem do siebie. – Już przecież powiedziałem, że niektórzy profesjonaliści nadal grają tym debiutem. Mogę tu chociażby wymienić Aleksandra Morozewicza, arcymistrza z Rosji. On...

– Jak ma się do tego tatuaż G:e5? – wtrąciła się Emilia Strzałkowska. Nie potrzebowała nazwisk wybitnych szachistów. Chciała zlokalizować tylko tego, który rozegrał ostatnią partię z Małgorzatą Głuszyńską. – G:e5 to jakaś kontynuacja tego gambitu królewskiego?

– No właśnie, wracając też do pana wcześniejszego pytania – odparł Franciszek Trojanowski, kiwając głową w kierunku Marka Zaręby. – Zapytał pan, czy kolejnym ruchem w tej partii mógł być goniec na pole e5. Odpowiadam krótko: nie. Kolejnym ruchem w tej partii nie mógł być goniec na e5.

– Dlaczego?

– To w żaden sposób nie miałyby sensu – stwierdził szachista niemal z rozbawieniem. – Po pierwsze, żaden z gońców nie mógłby na razie wykonać ruchu na pole e5. Druga sprawa. Czwarte posunięcie należy do czarnych. Zwróćcie uwagę na to, że w naszej partii na polu e5 stoi właśnie czarny pionek. Czyli czarne nie mogą w czwartym ruchu zbić własnego pionka. Nie, G:e5 nie mogło być kolejnym ruchem w tej partii. Zdecydowanie nie.

– Czy widzi pan w takim razie jakikolwiek związek pomiędzy tą partią – Emilia wskazała na szachownicę – i zapisem w tatuażu?

Franciszek Trojanowski zastanawiał się przez dłuższy czas. W końcu wzruszył ramionami.

– Być może to jeden z kolejnych ruchów. Nie wiem.

– Zostawię panu te zdjęcia – powiedziała sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska, wręczając Trojanowskiemu fotografie tatuażu zrobionego Małgorzacie Głuszyńskiej i partii szachów z domu zabitej kwiaciarki. – Tu jest też moja wizytówka. Niech pan dzwoni, jeżeli przyjdzie panu coś do głowy. Cokolwiek.

Hubert Przybylski kończył sprzątać wolierę, w której mieszkały czarne łabędzie. Kochał wszystkie ptaki, ale te szczególnie. Ich intensywnie czerwone dzioby pięknie kontrastowały z czarnym upierzeniem. Kiedy unosiły skrzydła, odsłaniały śnieżnobiałe lotki. Cudowne dzieło natury, zachwycał się w duchu Przybylski. Czarne łabędzie miały w sobie pewien majestat i tajemniczość, której brakowało ich białym kuzynom.

Chłopak zamknął wolierę. Patrzył jeszcze przez moment na ptaki. Samiec, którego nazwali Bohun, rozłożył skrzydła

szeroko. Przybylski na chwilę wstrzymał oddech. Uwielbiał patrzeć, jak Bohun się tak popisuje. Pomyślał, że nigdy nie widział czegoś piękniejszego. No, może z wyjątkiem Oliwii, poprawił się od razu.

Hubert żałował, że jego narzeczona nie interesuje się ptakami. Mogliby czasem razem przychodzić na Wyspę Skarbów. Dorabianie w hodowli miało przecież swoje plusy. Hubert mógłby oprowadzać Oliwię po malowniczej wyspie o każdej porze dnia i nocy. Państwo Szczepańscy w pełni mu ufali.

Nagle usłyszał jakieś krzyki. Z westchnieniem zostawił Bohuna i pobiegł w kierunku niewielkiej przystani małego promu, który przywoził na wyspę turystów. Przybylski od razu zrozumiał, że rozgrywa się tam kolejna komedia z rodziną Szczepańskich w roli głównej. Kiedy Hubert przyszedł dziś do pracy i zobaczył, że do dziadków przyjechała Nikola, od razu wiedział, jak to się może skończyć. Z reguły tak właśnie było. Afera, afery, afery.

– Zostaw, kurwa jego mać, moją córkę w spokoju! – krzyczał Stanisław Szczepański, pociągając Nikolę za prawe ramię.

Z drugiej strony dziewczyny stał Franciszek Trojanowski z Nadia, którzy najwyraźniej przyjechali odebrać Nikolę z wyspy. Nadia ciągnęła córkę za lewą rękę.

Hubert zaśmiał się pod nosem. Wszystko to wyglądało naprawdę zabawnie. Jakby mieli rozedrzeć tę rozwydrzoną pannicę na dwie części. Przybylski wcale by się nie zmartwił. Zawsze unikał przychodzenia do hodowli, kiedy Nikola odwiedzała dziadków. Dzisiaj wizyta nie była zapowiedziana, więc chcąc nie chcąc, trafił w sam środek rodzinnych niesnasek.

– Zostawcie mnie wszyscy! – krzyknęła Nikola i pobiegła z powrotem do domu dziadków.

Pani Hanna stała na progu i kręciła głową z niedowierzaniem. Pan Tadeusz wybiegł z domu i stanął obok Stanisława. Dwóch Szczepańskich, ojciec i syn, kontra Nadia i Franciszek Trojanowski. Walki gladiatorów.

– Wynosić się z mojej wyspy – zagrzmiął wiekowy właściciel hodowli ptaków. Tadeusz Szczepański zrobił się przy tym cały

czerwony na twarzy. – Żebyś tu więcej nie widział. Ani ja, ani mój syn nie życzymy sobie waszej obecności. Czekaćcie sobie na cyplu harcerzy albo najlepiej nie przyjeżdżajcie nawet i tam. Nikolka bez problemu wróci sama do domu. Jeżeli trzeba, sam będę ją odwoził. Zresztą ma przecież samochód. Wynoście się!

– Nadia, poczekaj na nabrzeżu – powiedział Franciszek Trojanowski do żony, ale kobieta nie zrobiła ani kroku. – Możemy chyba to załatwić w cywilizowany sposób, prawda? Przy rozwodzie zostało uzgodnione, że Nikolka mieszka ze mną i z Nadią, a Stanisław może się z nią widywać w weekendy. Chyba sprawa jest prosta? Dziś nie jest weekend i Nikola wraca z nami do domu. Nie rozumiem, po co te afery.

Stanisław Szczepański zaśmiał się głośno.

– Trojanowski, podejdz no tu tylko! – Mówiąc to, dyrektor Brod-Dysku zrobił przyzywający ruch ręką w kierunku Franciszka.

Hubert Przybylski westchnął. Znał takie sytuacje ze spotkań z ziomkami. Doskonale wiedział, co teraz nastąpi. Bójka była nieunikniona, tak samo jak to, że po zimie następuje wiosna.

Franciszek Trojanowski zrobił krok w stronę Stanisława Szczepańskiego. Dyrektor Brod-Dysku zamachnął się niewprawnie, ale udało mu się trafić Trojanowskiego w twarz. Szachista zatoczył się do tyłu.

– Brawo, synu! – krzyknął Tadeusz Szczepański zapalczywie. – Tak trzymać!

Hubert Przybylski spojrział na swojego wiekowego szefa zaskoczony. Właściciel hodowli ptaków zazwyczaj był człowiekiem bardzo spokojnym. Wyglądało na to, że Franciszek Trojanowski wyzwala w starszym panu mordercze instynkty.

– Uspokójcie się natychmiast – zażądała Nadia Trojanowska głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Nikola wraca z nami do domu. Mam dosyć tego cyrku. Nikolka i tak spędziła już dużą część dnia tutaj z wami. Nie protestowałam przecież do tej pory, ale uważam, że są pewne granice. Nikola, wracaj tu natychmiast!

– Mam osiemnaście lat i sama decyduję, co, gdzie i kiedy robię! – zawołała Nikola wyzywająco. – Pogódź się wreszcie z tym, że nie masz nade mną żadnej władzy, mamo.

– Będziesz zarabiać na sobie, to będziesz decydować – ucięła Nadia Trojanowska. – Chodź tu natychmiast, bo inaczej porozmawiamy!

Nikola Szczepańska zastanawiała się przez moment, ale w końcu podeszła do matki niechętnie. Rzuciła przy tym mordercze spojrzenia w kierunku Franciszka Trojanowskiego.

Hubert Przybylski wzruszył ramionami i wrócił do woliery, gdzie mieszkał Bohun. Czarny łabędź był o wiele ciekawszy niż kłótnie tych ludzi.

Komisarz Klementyna Kopp wysiadła z radiowozu. Daniel Podgórski zaparkował w cieniu pod rozłożystym kasztanowcem obok domu Małgorzaty Głuszyńskiej w kolonii Żabie Doły. Dopiero co rozmawiali z Lilianą Brzezińską z Brod-Dysku. Ale Klementynie wcale się ta rozmowa nie podobała. Nic a nic. *Null.*

Co więcej, policjantka musiała przyznać sama przed sobą, że czuje jednocześnie niechęć i pewien pociąg do eleganckiej Liliany. To było dość dziwne, zważywszy na fakt, że komisarz Kopp nie gustowała w blondynkach. Może chodziło o historię, którą Brzezińska im opowiedziała? Może.

Klementyna wyobrażała sobie, co Liliana musiała przeżywać z mężem i matką. Wyznania rzeczniczki prasowej brzmiały dość wiarygodnie. Jednocześnie komisarz Kopp nie potrafiła zaakceptować tego, że Brzezińska wykorzystała jakąś Bogu ducha winną dziewczynę tylko po to, żeby zagrać na nosie mężulkowi. Jakikolwiek był. Udawanie zdrady z kobietą, żeby obrzydzić siebie mężowi?

Policjantka wzdrygnęła się nieznacznie. A może Liliana nikogo nie wykorzystała, zastanawiała się dalej Klementyna. Kto wie, jaka była tamta dziewczyna? Może ją też interesował seks tylko na jedną noc?

Nagle Klementyna Kopp poczuła się stara. Za stara. Nie była

pewna, czy nadal rozumie współczesny świat. Z sześćdziesiątką na karku? A co będzie za kilka lat? Jak długo Czajkowski pozwoli jej pracować w komendzie? Czy nie była już tam za długo, co? Gdzie pójdzie potem, kiedy jej miejsce zajmie ktoś młodszy? Gdzie?

– To chodźmy – zaproponował Podgórski, wrywając Klementynę z zamyślenia. Całe szczęście.

W drodze powrotnej z Brod-Dysku mieli porozmawiać z sąsiadką zamordowanej kwiaciarki. I bardzo dobrze. Barbara Krakowiak wydawała się Klementynie podejrzana od pierwszej chwili. Było w tej damskiej wersji Johna Lennona coś sztucznego, jakaś denerwująca maniera.

Daniel poszedł przodem i zapukał do drzwi domu pani Krakowiak. Nie zapowiadali się. Mieli nadzieję, że Barbara będzie w domu. Gdzie miałyby być?

Wyglądało na to, że się mylili. Niestety nikt nie odpowiedział.

– Chyba jej nie ma – stwierdził Daniel bez sensu. – Co robimy?

– Chcę obejść dom – zdecydowała komisarz Kopp.

Ruszyli wzdłuż umiarkowanie zadbanego budynku. Z tyłu był niewielki tonący w kwiatkach ogródek, który sąsiadował z polem. Klementyna rozejrzała się dookoła.

– Czego właściwie szukamy? – zapytał Podgórski.

Klementyna Kopp sama nie wiedziała. Ale nie zamierzała się do tego przyznać. Po prostu miała potrzebę czymś się zająć... i chciała znaleźć coś na tę Krakowiak. Cokolwiek. Lepiej, żeby winna była Barbara niż Liliana. Nie było to zbyt profesjonalne podejście. Klementyna nie zamierzała jednak zbyt długo o tym myśleć.

Niestety ogródek wyglądał całkiem zwyczajnie. Policjantka zajrzała do domu przez okno. Tam też nic ciekawego nie znalazła.

– Okej. No dobra. Wracamy – mruknęła rozczarowana.

Obeszli dom Barbary Krakowiak z drugiej strony i wrócili do radiowozu.

– Spójrz na tę rudere – szepnął Daniel, wskazując ręką opuszczony dom po drugiej stronie drogi. – Chyba ktoś tam

jest! Może to ten bezdomny?

– Idziemy – zarządziła Klementyna Kopp szybko. – Tylko dyplomatycznie. Nie możemy go spłoszyć!

Podeszli ostrożnie do domu. Klementyna poczuła nagle chęć sięgnięcia po broń. Nie był to najlepszy pomysł. Nie lubiła strzelać. Wcale a wcale. Robiła to tylko zmuszona koniecznością. Na przykład niecały rok temu. Jej myśli powędrowały natychmiast do tamtej akcji. Skarciła się w duchu. Teraz trzeba było się skupić na teraźniejszości, a nie wspominać. Czy ma sześćdziesiąt lat, czy nie, jest teraz na służbie i tylko to się liczy.

Obłazące z farby drzwi były uchylone. Weszli więc do rudery niemal bezgłośnie. Na górze rzeczywiście ktoś się poruszał. Słysząc było wyraźne kroki. Klementyna uśmiechnęła się do siebie. Być może nareszcie uda się porozmawiać z bezdomniakiem, który mógł być świadkiem śmierci Małgorzaty Głuszyńskiej. To by mogło znacząco posunąć sprawę naprzód.

Klementyna i Daniel zaczęli wspinać się powoli po schodach. Skrzypnęły cicho pod ciężarem Podgórskiego. Policjantka zakłęła w duchu. Tego im tylko brakowało. To tyle, jeżeli chodzi o element zaskoczenia. Równie dobrze mogli się zapowiedzieć z pełnymi fanfarami.

Zgodnie z obawami komisarz Kopp dźwięki na górze ucichły natychmiast. Klementyna i Daniel czekali w napięciu. Nic się nie działo przez kilka dobrych minut. Ktoś, kto był na górze, najwyraźniej także czekał.

Jeszcze chwilę...

– Jest tam kto? – usłyszeli w końcu z piętra.

Klementyna zerknęła na Podgórskiego. On też zdawał się zaskoczony. Tam na górze... To nie był wcale bezdomny, z którym tak bardzo chcieli sobie porozmawiać. To była Barbara Krakowiak. Równie dobra wiadomość, przeszło komisarz Kopp przez myśl.

– Policja – rzuciła policjantka z satysfakcją. – Proszę tu do nas na dół, co?

Klementyna nie doczekała się odpowiedzi, ale po chwili na

górze rozległy się kroki. U szczytu schodów pojawiła się sąsiadka Małgorzaty Głuszyńskiej.

– Ach, to państwo – powiedziała Barbara Krakowiak z wyraźną ulgą. – Okropnie się przestraszyłam! Nie wiedziałam, kto się tam kręci na dole.

– Co tu robisz, co? – syknęła Klementyna.

Twarz pani Krakowiak momentalnie się zmieniła. Zamiast niewinności pojawił się na niej krzywy uśmieszek złośliwej satysfakcji.

– To ja raczej powinnam państwa o to zapytać.

– Niby czemu, co?

– Ja mogę tu być, kiedy tylko mi się podoba. To mój dom – oznajmiła Barbara Krakowiak zadowolona z siebie. – Właściwie to nie mój, tylko mojego brata, ale na jedno wychodzi. Działka i budynek należą do mojej rodziny. Brat z żoną wyprowadził się stąd dawno temu. Mieszka teraz w Strzygach. To przy drodze na Rypin. W każdym razie dom należy do mojej rodziny, więc mam prawo tu być. Wy raczej nie!

Klementyna Kopp i Daniel Podgórski wymienili szybkie spojrzenia. Rudera należała do właściciela Dyskografu? Komisarz Kopp nie była na razie pewna, czy to ma jakieś znaczenie dla sprawy.

– Czasem nocował tu pewien bezdomny – stwierdziła policjantka, zamiast szukać dziury w całym. Na to przyjdzie czas później. – Pozwalałaś na to, co?

– Wiem, że ktoś tu czasem nocował, ale nie zwracałam na to uwagi – stwierdziła Barbara Krakowiak chłodno. – W końcu dom nie należy do mnie. Tylko do brata. Co się będę mieszała? Poza tym teraz to jest ruina. Nic więcej. Powtarzałam bratu, że trzeba coś z tym wreszcie zrobić, ale nie chciał sprzedać. To teraz ma. Dom stracił na wartości i sypiają tu jacyś menele.

– Czekaj. Stop. Skoro tak ci to wszystko zwisa i powiewa, to czemu tu teraz jesteś, co? Po co się kręciłaś po piętze, co?

Barbara Krakowiak przez moment wyglądała na zakłopotaną. Szybko jednak odzyskała rezon.

– Chciałam sprawdzić, co tu się teraz dzieje – wyjaśniła. –

Jakiś czas temu zastanawiałam się, czyby tu nie urządzić biura, ale w końcu wynajęłam już coś w Brodnicy. Za późno. Brat się będzie musiał sam tym martwić.

– Ano właśnie, ano właśnie. Skoro już o rodzinnych sprawkach mowa – zagadnęła Klementyna. – A ten twój braciszek nie nazywa się przypadkiem Bernard Krakowiak, co?

Barbara spojrzała na policjantkę ostrożnie znad okrągłych okularów.

– Tak. Mój brat nazywa się Bernard – przyznała powoli. – Mogę wiedzieć, o co chodzi? Dlaczego pani pyta o mojego brata?

Klementyna Kopp zaśmiała się ostro.

– Może o to chodzi, że nie powiedziałaś nam wszystkiego, co? – zasugerowała szyderczo. – Już nie płaczesz po Głuszyńskiej jak ostatnio, co? Rozpacz minęła jak ręką odjął, co? Niesłychane!

– Proszę nie drwić!

– Dlaczego nie powiedziała nam pani, że obie panie działałyście w Towarzystwie Ekologicznym Cygnus? – wtrącił się Daniel. – A właściwie że pani i Małgorzata Głuszyńska założyłyście Cygnusa?

Podgórski mówił spokojnie. Nie oskarżał, tylko stwierdzał fakt. To była dobra strategia w tej sytuacji, uznała w duchu komisarz Kopp. Klementyna lubiła współpracować z Danielem. Chociaż był przecież tylko mundurowym, w większości sytuacji umiał się zachować. Co ważniejsze, zawsze łagodził problemy, które Klementyna sama tworzyła. Musiała przyznać, że nieraz bywało to przydatne. Już chociażby dlatego powinna mu pomóc uratować komisariat w Lipowie.

– Nie sądziłam, żeby to miało jakieś znaczenie – odparła Barbara Krakowiak. Mówiła równie spokojnie jak Podgórski.

– Jakies znaczenie, co? – powtórzyła drwiąco komisarz Kopp. – A to dobre! Tak się składa, że wy w Cygnusie mieliście dość napięte stosunki z Brod-Dyskiem, co? To prawda czy nie? Może ustalmy to najpierw.

– Czy to prawda? – niemal krzyknęła Barbara Krakowiak. Nadal stała u szczytu schodów. Patrzyła na parę policjantów

z góry i chyba była z tego powodu zadowolona. Klementyna postanowiła, że na razie jej na to pozwoli. – Napięte stosunki to mało powiedziane. Stanisław Szczepański i ta jego przyboczna Liliana Brzezińska nieraz nas straszili. Grozili nam nawet, ale się nie ugięliśmy. Grozili! Rozumieją państwo?

– Stanisław Szczepański i Liliana Brzezińska grozili paniom?

– upewnił się Daniel, mimo że sąsiadka Głuszyńskiej powtórzyła swoje oskarżenia dwa razy.

Barbara Krakowiak pokiwała głową.

– Tak!

– I to jest właśnie nieważne, co? – zapytała twardo komisarz Kopp.

Sąsiadka kwaciarki skrzyżowała ręce na piersi. Wyglądała teraz na całkiem już rozjuszoną.

– Dla nas każdy szczegół jest ważny – powiedział Daniel Podgórski. Znowu mówił łagodnie. – Być może ma to jakiś związek ze śmiercią pani Małgorzaty Głuszyńskiej. Nie uważa pani? Mogła pani wcześniej o tym wspomnieć.

Barbara Krakowiak uspokoiła się nieco.

– Może ma pan rację – przyznała w końcu powoli. – Musiałam być rozkojarzona. Tak bardzo przejęłam się śmiercią Małgorzaty, że jakoś nie sądziłam, że Cygnus i nasza relacja z Brod-Dyskiem mogą być w jakikolwiek sposób z tym powiązane. Przepraszam, że nie wspomniałam wcześniej o Towarzystwie Ekologicznym. Odpowiem na wszelkie pytania, jeżeli trzeba.

Podgórski skinął głową i uśmiechnął się miło. Jego pulchna twarz wyglądała teraz nad wyraz poczciwie. To musiało zadziałać. Klementyna była tego pewna.

– Dlaczego założyły panie Towarzystwo Ekologiczne? – zapytał policjant na początek.

– Chodziło o fosgen! – zawołała Barbara Krakowiak. – Nie chcę u nas powtórzenia tego, co działo się w Bydgoszczy kilkanaście lat temu. Fosgen to straszna substancja. Nie chcemy jej tutaj.

– Na jakiej podstawie uważacie, że oni w Brod-Dysku mają fosgen, co? – wtrąciła się komisarz Kopp. – Macie na to jakieś

dowody, co?

Pani Krakowiak wzruszyła tylko ramionami zamiast odpowiedzi.

– A nie chodziło przypadkiem o Dyskograf i jego pozycję na rynku, a nie ptaszki i roślinki, co? – zaatakowała znowu Klementyna. – Konkurencyjna do Brod-Dysku fabryczka należy do twojego braciszka, co? Bernarda Krakowiaka?

Sąsiadka zamordowanej kwiaciarki zeszła kilka stopni po starych, skrzypiących schodach. Stała teraz niecały metr od Klementyny Kopp. Policjantka poczuła zapach perfum pani Krakowiak. Miały wyraźną nutę drzewa sandałowego. Klementyna nigdy nie używała perfum. Te znała jednak doskonale. Takich samych używała Teresa...

Komisarz Kopp poczuła nagle wściekłość. Jakby Barbara Krakowiak okradła ją z najważniejszych wspomnień. Teraz to już nie będzie tylko zapach Teresy. Teraz to będzie też zapach tej rozmowy w ruderze. Zapach Barbary Krakowiak.

– Nie mam zbyt częstego kontaktu z bratem – broniła się tymczasem Barbara. – Ja interesuję się powstrzymaniem katastrofy ekologicznej w naszym rejonie, a nie pieniędzmi!

– Doprawdy? – zapytał Daniel. Teraz i jego ton stał się odrobinę ostrzejszy. – Sprawdziliśmy to i okazało się, że zarówno pani, jak i Małgorzata Głuszyńska i pan Miłosz Janiszewski macie udziały w firmie pani brata. Proszę mnie poprawić, jeżeli się mylę, ale wszyscy jesteście żywotnie zainteresowani, żeby tylko Dyskograf produkował płyty w naszym regionie. Brod-Dysk zwyczajnie stoi wam na drodze.

To była prawda, żaden bluff. Klementyna Kopp kazała sprawdzić rewelacje Liliany Brzezińskiej chłopakom z Komendy Powiatowej. Liliana nie kłamała. Przynajmniej w tej sprawie. Główni działacze Towarzystwa Ekologicznego Cygnus, które próbowało doprowadzić do zamknięcia Brod-Dysku, mieli swoje udziały w konkurencyjnej firmie po drugiej stronie Brodnicy.

– To nie ma żadnego związku – zapewniła Barbara Krakowiak, kładąc rękę na sercu. – Zapewniam.

Damska wersja Lennona chciała chyba być przekonująca. Ale

zabrzmiało to dość słabo, a dziecięcy gest przysięgi tylko pogorszył sprawę.

– Doprawdy? – powtórzył Daniel Podgórski.

Czekali przez chwilę w milczeniu. W końcu Barbara Krakowiak westchnęła głośno.

– No dobrze. Zrobiliśmy to specjalnie. Ale nie chodziło wcale o pieniądze. Żle to państwo zrozumieli – oznajmiła zrezygnowana. – Chodziło nam o dalsze osłabienie Brod-Dysku. Dlatego kupiliśmy te akcje w firmie mojego brata.

– A twój brat w Dyskografie to nie zanieczyszcza środowiska, co?

– To jest bezpieczne! – krzyknęła pani Krakowiak. – Mój brat rzeczywiście zajmuje się podobną działalnością co Brod-Dysk, ale on nie używa fosgenu ani nic z tych rzeczy. Kupiliśmy więc trochę akcji w Dyskografie. Wiem, że może nie wygląda to teraz za dobrze, ale cóż. Tak było. Nie zmienię faktów. Nasze poparcie dla Dyskografu oznaczało osłabienie śmiercionośnego Brod-Dysku. Tylko tyle. Nigdy nie chodziło o pieniądze.

– Śmiercionośnego, co? – zadrwiła Klementyna. – Okej. No dobra. Zostawmy to na razie. Ale! Przypomnisz mi, gdzie byłeś w niedzielę wieczorem, co?

Barbara Krakowiak spojrzała komisarz Kopp prosto w oczy.

– Jestem podejrzana?

– Oczywiście – stwierdziła gładko policjantka. – Śmiercionośnie...

– To są jakieś kpiny.

– Czekaj. Stop. Nie chcesz odpowiedzieć, co? – zapytała Klementyna Kopp. – Wolisz, żebyśmy wezwali cię oficjalnie do komendy, co? Mamy tam bardzo przyjemne pokoiki, gdzie można sobie porozmawiać. Będzie miło. Zobaczysz sama.

– Byłam w domu. Już to chyba mówiłam! – krzyknęła Barbara Krakowiak. – Gdybym miała zamordować Małgorzatę, to chyba bym się postarała o lepsze alibi. Nie uważają państwo? Nie jestem skończoną idiotką.

– Chciałbym jeszcze wrócić do tego, co pani mówiła wcześniej – przerwał im Daniel Podgórski zgrabnie. – Wspomniała pani, że dyrektor Brod-Dysku groził pani i Małgorzacie Głuszyńskiej.

Może pani powiedzieć coś więcej o tych groźbach?

– Rzekomych groźbach – dodała komisarz Kopp.

– Klementyna, daj spokój – mruknął Daniel.

– Stanisław Szczepański i ta jego Liliana. Oni oboje nam grozili – uściśliła Barbara Krakowiak. – Mówili, że naślą na nas jakichś zbirów, jeżeli nie przestaniemy blokować ich produkcji. Może w końcu to zrobili? Skoro Małgorzata nie żyje. Może teraz kolej na mnie? Nie chcę umierać!

Barbara Krakowiak skrzyżowała ramiona na płaskiej piersi, jakby to miało zapewnić jej ochronę. Zrobiła jeszcze krok w stronę Klementyny Kopp.

– Wiedziała pani, że Liliana Brzezińska jest córką Małgorzaty Głuszyńskiej? – zapytał znowu Daniel. – I że Liliana jest była żoną Miłosza Janiszewskiego?

Sąsiadka zamordowanej pokręciła głową. Na jej twarzy malowało się zainteresowanie.

– Liliana Brzezińska to córka Małgorzaty? Co pan mówi? – zdziwiła się. Klementyna musiała przyznać, że wyglądało to całkiem autentycznie. – Nie. Małgorzata nigdy o tym nie wspomniała. Ani razu. To dla mnie zupełna nowość!

– A o pismaku wiedziałas, co? – zapytała komisarz Klementyna Kopp. – Nie sądzisz, że Miłosz Janiszewski mógł mieć w dupie kwiatki i ptaszki, co? Może chodziło mu tylko o zemstę na Lilianie?

– Jeżeli chodzi o Miłosza Janiszewskiego, to cóż... tak. Wiedziałam o tym, że Liliana to jego była żona – przyznała pani Krakowiak. – Przymknęłam na to oko, mówiąc szczerze. On jest dziennikarzem. Ma swoje dojścia, więc co z tego, że nienawidzi samej Liliany, skoro to może pomóc ważnej, dobrej sprawie.

– Cel uświęca środki, co? – zapytała komisarz Klementyna Kopp złośliwie.

– Można tak powiedzieć – odparła Barbara. – Cóż, tak w życiu bywa. Teraz czuję się z tym trochę dziwnie... Czuję się oszukana!

Michalina Niewiadomska pożegnała sanatorium i wróciła do domu do Brodnicy. Nie było jej tu dwa tygodnie, ale niewiele się zmieniło. Nie była pewna, czego się spodziewała. Dwa tygodnie to przecież nic w historii tego pięknego miasta.

W domu też wszystko było po staremu. Iga wszystko pięknie wysprzątała. Mieszkały we dwie i dziewczyna zawsze się starała, żeby Michalina była zadowolona. Niewiadomska bardzo doceniała poświęcenie córki.

– I jak się czujesz, mamó? – zapytała Iga, kiedy tylko Niewiadomska przekroczyła próg mieszkania. – Troszeczkę lepiej?

– Oj nie wiem, nie wiem – przyznała Michalina niechętnie. – Kłuje mnie tu coś w boku. Myślałam, że lepiej mi pomogą. Musisz przywyknąć do myśli, że...

Iga westchnęła.

– Jesteś głodna, mamó? – zapytała, nie pozwalając Niewiadomskiej dokończyć myśli.

– Nie, nie, kochanie – zaprzeczyła Michalina szybko. – Pójdę się trochę położyć. Jestem zmęczona po podróży.

– Oczywiście, mamó.

Michalina Niewiadomska poszła do pokoju, który zajmowała. Urządzony był w pastelowych kolorach. Ani śladu przemocy, sama słodycz. Dokładnie tak, jak Michalina chciała. Odciąć się od dawnych czasów. To był jej nadrzędny cel.

Niestety teraz wszystko wróci. Michalina dostała telefon z policji. Chcieli porozmawiać o sprawie śmierci Małgorzaty Głuszyńskiej. Niewiadomska zakłęta w duchu. Cieszyła ją śmierć Małgorzaty, ale nie miała ochoty o tym rozmawiać. Po co? Co tu było do powiedzenia? Michalina wiedziała jednak dobrze, że w żaden sposób nie może się wymigać od tego przesłuchania. To by wyglądało podejrzanie. Lepiej było zacisnąć zęby i jakoś przez to przejść.

– Ciekawe, czy to ja jestem podejrzana? – mruknęła do siebie starsza pani.

Położyła się na łóżku w ubraniu.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski zamknął drzwi komisariatu. Zwykle w dni powszednie wychodził stąd ostatni, ale dziś pod nieco rachitycznym świerkiem obok wejścia do budynku czekał na niego Marek Zaręba. Wyglądało na to, że Marek koniecznie chce pogadać. Daniel ucieszył się na ten widok. Sam też miał do kolegi kilka spraw.

– Młody, masz chwilę? – zaczął Daniel ostrożnie.

– Jasne, szefie – powiedział Zaręba ochoczo.

– Wiesz co? Chodźmy może z powrotem do środka – zaproponował nagle Podgórski, wskazując błękitny budynek komisariatu. Nie chciał rozmawiać na zewnątrz. Nigdy nie wiadomo, co kto usłyszy. Plotka w Lipowie rozchodziła się lotem błyskawicy. – Tam pomówimy spokojnie, okej?

Policjanci weszli do budynku komisariatu i zamknęli drzwi od środka. Interesanci będą musieli poczekać do jutra. Usiedli w salce konferencyjnej.

– Planuję poprosić Weronikę o rękę – powiedział Daniel bez wstępów.

Podgórski chciał zacząć od dobrych wieści. O groźbie wiszącej nad komisariatem w Lipowie porozmawiają potem. Daniel nie zamierzał mieć przed Markiem sekretów. Przyjaźnili się od dawna. Zatajanie takich informacji byłoby nie w porządku.

– To wspaniale. Najwyższy czas, Daniel! – ucieszył się Zaręba.

– Wreszcie zrobisz z Weroniki uczciwą kobietę. Ewelina może ją uczesać na ślub. Będzie świetnie. Zamówiłeś już termin u księdza?

Marek Zaręba, mimo młodego wieku, był mężem fryzjerki Eweliny już od prawie jedenastu lat. Niespodziewana ciąża w ostatniej klasie technikum okazała się początkiem czegoś wspaniałego. Nikt w Lipowie nie wątpił, że Marek i Ewelina pasują do siebie idealnie. Daniel mógł tylko pomarzyć o tym, żeby on i Weronika stworzyli w przyszłości równie udane małżeństwo.

– Jeszcze nie. Najpierw oświadczyny, Młody! Przyznam, że mnie to bardzo stresuje. Planowałem kupić pierścionek, ale jak mamy sprawę tej kwiaciarki, wszystko się przesuwają – wyjaśnił Podgórski. Cieszył się, że może o wszystkim powiedzieć

Zarębie. Teraz chciał zapytać go o najważniejsze. – Będziesz moim świadkiem? Jeżeli oczywiście Weronika mnie przyjmie.

– Jeżeli cię przyjmie? Człowieku! – Młody policjant zaśmiał się wesoło. – Każdy facet boi się zapytać, a potem okazuje się, że nie było czego. Wiesz, jak ja panikowałem, kiedy klękałem przed Ewelinką? Mało nie zemdlałem! Jasne, że będę świadkiem. Zrobię ci taki wieczór kawalerski, że popamiętasz na długo!

Marek Zaręba zatarł ręce.

– Nie wyprzedzajmy faktów – poprosił Daniel. – Poza tym nie wiem, co zrobić z Emilią i Łukaszem...

– Co masz na myśli? – zapytał Zaręba zaskoczony. – Jak to co masz zrobić z Emilią i Łukaszem?

– Może powinienem ożenić się z Emilią – wyrzucił z siebie Podgórski. Męczyło go to od dawna. Co powinien zrobić? Jak zachowałyby się uczciwy mężczyzna? – Przecież to ona jest matką mojego syna.

Marek spojrział na kolegę zdziwiony.

– Z tego, co wiem, Emilia raczej tego od ciebie nie oczekuje – powiedział powoli. – Nie sądzę też, żeby była zadowolona z małżeństwa z rozsądku. Potraktowałyby to jako łaskę. Myślę, że by się wściekla, gdybyś to zaproponował. Emilia to twarda babka. Poza tym w ogóle nie jesteś w jej typie. Sorki, szefie. Skup się lepiej na Weronice.

– Tak myślisz?

– Jasne. Masz już jakieś plany na oświadczyzny?

Daniel pokręcił głową. Nie miał na razie żadnych planów. To było jeszcze bardziej stresujące. Trwało śledztwo w sprawie śmierci Małgorzaty Głuszyńskiej i Podgórski czuł, że planowanie oświadczyzn jest trochę nie na miejscu. Przynajmniej dopóki nie posuną się dalej w całej sprawie. Poza tym była jeszcze kwestia zamknięcia ich komisariatu. To też trzeba będzie jakoś załatwić. A przede wszystkim opowiedzieć o tym Markowi.

– Jest jeszcze coś – zaczął Daniel zamiast odpowiedzi.

– To znaczy? – zapytał młody policjant ostrożnie. Spojrzął na Podgórskiego wyczekująco.

Daniel postanowił, że wyrzuci to z siebie jak najszybciej. Może tak będzie łatwiej.

– Są plotki, że nasz posterunek zostanie zamknięty. W przyszłym roku albo za dwa lata.

Przez chwilę Zaręba nic nie odpowiedział. Daniel bał się na niego spojrzeć.

– Słyszałem – przyznał młody policjant w końcu, przerywając krępujące milczenie. – Właśnie o tym chciałem dziś z tobą porozmawiać. Kamień spadł mi z serca, że już wiesz, szczerze mówiąc. Nie byłem pewien, jak ci o tym powiedzieć.

– Skąd wiedziałeś? – zdziwił się Podgórski. Wyglądało na to, że to on dowiedział się o wszystkim ostatni.

– Emilia powiedziała mi dziś po południu. Ona z kolei dowiedziała się od Weroniki – wyznał Marek. Poczzerwieniał na twarzy, jakby się zawstydział, że wyjawiał zbyt wiele. – Co robimy?

– Klementyna obiecała pomóc – wyjaśnił Daniel.

– Klementyna? – zdziwił się Marek. – Niby jak ona może pomóc?

Podgórski wzruszył ramionami. To, co miał do powiedzenia, było dość krępujące.

– Jej pomysł polega na zaszantażowaniu komendanta – wyjaśnił. – Tak...

Marek Zaręba pokręcił niechętnie głową.

– Chyba żartujesz! Jak widać, ma coraz lepsze pomysły...

Daniel Podgórski też nie był zachwycony pomysłem Klementyny. Z drugiej strony nie za bardzo widział inne rozwiązanie. Nie wyobrażał sobie, żeby ich niewielki komisariat miał zostać zamknięty. To nie wchodziło w grę.

– Klementyna chce znaleźć jakiegoś haka na Czajkowskiego i zagrozić mu, że to ujawni, jeżeli on zamknie nasz komisariat. Tak mniej więcej wygląda sytuacja.

Marek znowu pokręcił głową.

– Haka? – zapytał z niedowierzaniem. – A jest coś takiego? To jakaś ściema. Typowe gadanie Klementyny.

– Klementyna twierdzi, że każdy ma coś za uszami. Jej zdaniem wszyscy kłamią i coś ukrywają.

– Może, ale szantaż? – zapytał Marek, znowu kręcąc głową. – To chyba nie jest nawet w stylu Klementyny. Nie podoba mi się to, Daniel. Zupełnie.

– A masz lepszy pomysł?

Zapadła cisza.

– Cholera, Daniel. To nie jest w porządku – mruknął Marek Zaręba jeszcze raz.

– A jest w porządku, że mają nas zamknąć?

Zaręba nie odpowiedział.

16 maja 2014

Do zainteresowanych:

Jutro nie będę pisać.

Będę się przygotowywać.

Jutro wieczorem on zginie. Taki jest przynajmniej plan, a jak to wyjdzie, zobaczymy! Czuję, że moje mięśnie tężeją na samą myśl.

Boję się, jak to będzie.

To wcale nie jest takie łatwe i oczywiste – pójść i zabić człowieka.

Nawet jeżeli przyjął zaproszenie i sam chce umrzeć. Nawet jeżeli na to zasługuje.

Staram się pamiętać o honorze i o tym, że w gruncie rzeczy robię to dla kogoś innego.

Dzięki temu staje się to odrobinę łatwiejsze.

Boję się o siebie. Mam maskę przeciwwgazową. Po wszystkim otwieram okna, żeby szybciej wywietrzyć truciznę. Z fosgenem nie ma jednak żartów.

Zdjęcia z czasów pierwszej wojny światowej, których sporo jest w Internecie, są przerażające. Żołnierze padający na ziemię po wejściu w chmurę fosgenu.

Nie chcę tak skończyć.

Zdjęcia są okropne. Okropne. Jednak w żadnej mierze nie da się ich porównać z oglądaniem takiej śmierci na żywo. Wiem, że to, co robię, jest dobre, ale i tak włos jeży mi się na głowie na samą myśl.

Kiedy skończę swoje zadanie, postaram się zapomnieć o fosgenie na zawsze.

Na razie jednak fosgen jest moim sprzymierzeńcem. To dzięki niemu zginie kolejna osoba, która na to zasłużyła.

Chcę rozegrać tę partię do końca.

Co będzie potem?

Nie wiem.

Nadal nie wiem.

ROZDZIAŁ 16

Lipowo, kolonia Żabie Doły i Brodnica.
Sobota, 17 maja 2014. Rano

Sobota zaczęła się niezwykle pogodnie. Promienie słońca tańczyły na młodych liściach, a na niebie nie było ani jednej, najmniejszej nawet chmurki. W powietrzu czuło się wyraźnie zapowiedź upału.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski szedł wolnym krokiem do komisariatu w Lipowie. Delektował się tym pięknym wiosennym dniem. Aura niewątpliwie pozytywnie wpływała na nastrój, więc policjant postanowił poddać się chwili i nie myśleć o problemach.

Nie tylko pogoda poprawiała Danielowi humor. Dzisiejszy wieczór Podgórski miał spędzić z synem. Łukasz chyba zapalił się do pomysłu przejażdżki. Dziś rano napisał nawet SMS-a, żeby upewnić się, że to aktualne. Policjant uśmiechnął się do siebie. To była pierwsza wiadomość, jaką dostał od syna. Nie zamierzał jej kasować.

Wśród pozytywnych rozważań Daniel nawet nie zauważył, kiedy dotarł na miejsce. Pod budynkiem komisariatu stała już skoda Klementyny Kopp. Sama pani komisarz siedziała na murku w cieniu i popijała długie łyki z nieodłącznej butelki coca-coli.

– Cześć – rzuciła policjantka, chowając butelkę do plecaka, który nosiła zamiast torebki.

– Cześć – powiedział Daniel wesoło.

Przez chwilę Podgórski miał ochotę zapytać, czy Klementyna może zrobić coś w ich sprawie. W końcu jednak zrezygnował. Tym bardziej że po wczorajszej rozmowie z Markiem Daniel wcale nie był pewien, czy szantaż naprawdę jest dobrym pomysłem. Nawet żeby ratować ich ukochany posterunek.

– Krótka odprawa i ruszamy, co? – zapytała Klementyna.

Daniel pokiwał głową. Weszli do środka. Marek Zaręba i Emilia Strzałkowska już czekali na nich w salce konferencyjnej. Poza nimi w budynku nie było nikogo. Maria Podgórska i Paweł Kamiński mieli wolne, a Janusz Rosół, który zajmował się bieżącymi sprawami, jeszcze nie przyszedł.

– Jak wam wczoraj poszło u tego Trojanowskiego? – zapytał Daniel Podgórski, kiedy cała czwórka usiadła wokół okrągłego stołu. – Powiedział coś interesującego na temat tatuażu i tej partii na szachownicy?

Wczoraj wieczorem nie rozmawiali o tym z Markiem, więc szef komisariatu w Lipowie był bardzo ciekaw, czy nareszcie uda im się zrobić krok naprzód. Daniel bardzo liczył na to, że Trojanowski przybliży ich do rozwiązania zagadki.

Emilia Strzałkowska pokręciła głową.

– Nic, co wносиłoby cokolwiek do sprawy – przyznała niechętnie. – W każdym razie jego zachowanie wydawało się jakieś dziwne.

– Co masz na myśli?

– Tak sobie o tym myślałam wczoraj wieczorem – powiedziała Strzałkowska zamiast odpowiedzi. – Jak uważasz, Marek?

– Sam nie wiem – mruknął Zaręba równie enigmatycznie. – Powiem szczerze, że jestem trochę rozczarowany rozmową z Trojanowskim. Jeżeli chodzi o tę partię... Wiem, że na szachownicy były dopiero trzy ruchy, ale facet nie umiał nawet powiedzieć, czy mamy do czynienia z amatorem czy z profesjonalistą. Nie powiedział właściwie nic. Tylko tyle, że te ruchy tworzą tak zwany gambit królewski. Chyba nic nam to na razie nie daje. Tyle to mogliśmy znaleźć sobie w Internecie.

W głosie Marka pojawiła się niespodziewanie nuta goryczy.

– A powiedział coś o tym tatuażu G:e5? – dopytywał się Podgórski. Wyglądało na to, że nadzieje, które Daniel wiązał z Franciszkiem Trojanowskim, okazały się płonne.

– Niewiele – odparł młody Marek Zaręba, potwierdzając przypuszczenia Daniela. – Tylko tyle, że ten zapis oznacza, że goniec bije piona na polu e5 i że to nie mógłby być kolejny ruch w tej partii. Nic więcej.

– Czekaj. Stop! Czyli to mógłby być jeden z następnych ruchów, co? – wtrąciła się Klementyna.

Emilia i Marek pokiwali jednocześnie głowami.

– Możliwe, ale nie wiadomo. W każdym razie nie mógł to być czwarty ruch. Bła bla bla – powiedziała Strzałkowska, która wydawała się teraz szczególnie zawiedziona wizytą w klubie szachowym. Jej niechęć wobec Klementyny chyba na chwilę się zmniejszyła. – A jak wam poszło z Brzezińską i Krakowiak?

– Liliana Brzezińska nie ma alibi na noc śmierci matki. To znaczy może inaczej. Liliana mówi, że pracowała wtedy w domu, ale nikt nie jest w stanie tego potwierdzić – uściślił Daniel. – Wychodzi na to samo, więc nadal nie możemy jej wykluczyć.

– Czy Liliana przyznała, że były w złych stosunkach z Głuszyńską? – zapytała Emilia. – Czy twierdziła, że mocno się kochały?

– Wręcz przeciwnie. Wyrażała się o matce bardzo negatywnie – wyjaśnił Podgórski. – Bardziej niż ktokolwiek z innych przesłuchiwanym. Nie powiedziała chyba o niej ani jednego dobrego słowa.

– Co o niej myślicie? – chciał wiedzieć Marek. – O tej Lilianie? To ona może stać za tym morderstwem?

Podgórski wzruszył ramionami. Dla niego Liliana Brzezińska stanowiła wielką zagadkę. Nie potrafił jej rozgryźć.

– Trudno powiedzieć. Myślę, że na pewno nie możemy jej wykluczyć. Przynajmniej na razie – powtórzył policjant, zerkając na Klementynę Kopp. – Zgadzasz się ze mną, Klementyna?

– Liliana twierdzi, że Miłosz Janiszewski przyjaźnił się z ofiarą – przypomniała komisarz Kopp zamiast odpowiedzi. – Ale! Nie tylko to. Brzezińska zasugerowała, że pismak mógł zabić jej matkę, żeby zrzucić winę na nią.

– To chyba trochę naciągane – stwierdziła Emilia Strzałkowska, w zamyśleniu stukając paznokciami o blat stołu. Nie patrzyła teraz w stronę Klementyny. – Może i Liliana z Miłoszem byli skłóconym małżeństwem, ale chyba nikt nie zabija tylko po to, żeby zaszkodzić byłej żonie? To mnie

zupełnie nie przekonuje.

– Naciągane czy nie. Ale! Chcę porozmawiać z tym pismakiem na poważnie – stwierdziła komisarz Kopp spokojnie. – Janiszewski kręci się przy tej sprawie od samego początku. Pojawił się, już kiedy przyjechaliśmy na miejsce zbrodni po raz pierwszy. Skąd wiedział, że Głuszyńska nie żyje, co? To przypadek, że się tam znalazł we właściwym czasie, co? To jest dopiero naciągane.

– To mógł być przypadek – stwierdziła Emilia, zerkając zaczepnie w stronę Klementyny. Niechęć pomiędzy obiema paniami najwyraźniej wróciła z pełną siłą.

Komisarz Kopp zaśmiała się głośno.

– Przypadek! Też coś. Nie wierzę w przypadki.

– Może Klementyna ma rację i coś w tym jest – zgodził się Daniel powoli. Spojrzał na Emilię. Strzałkowska zdawała się przewiercać mu głowę wzrokiem. – Z drugiej strony może to wcale nie jest takie dziwne. Miłosz Janiszewski współpracował przecież z Głuszyńską i Krakowiak w Towarzystwie Ekologicznym. Może jechał do nich i zauważył nasze samochody. Wiadomo, że od razu próbował zdobyć newsa.

Komisarz Klementyna Kopp wzruszyła ramionami z posepną miną.

– A właśnie, co z Barbarą Krakowiak? – zapytał Marek Zaręba rzeczowo. Młody policjant przesunął krzesło bliżej Emilii, jakby chciał pokazać, po której stronie barykady stoi. – Sąsiadka ofiary ma alibi?

– Nie. Co więcej, ta konkurencyjna do Brod-Dysku firma, Dyskograf, rzeczywiście należy do brata Barbary – wyjaśnił Podgórski, wzdychając. – Pani Krakowiak kręciła trochę, ale w końcu przyznała, że to prawda. Jak uważacie, chyba powinniśmy przesłuchać tego Bernarda Krakowiaka?

– Na razie się wstrzymajmy, co? Zobaczmy potem – zadecydowała Klementyna.

Daniel spojrział na nią zaskoczony.

– W porządku.

– Czekaj. Stop. Mnie bardziej interesuje co innego – ciągnęła Klementyna. – Barbara Krakowiak twierdziła, że Stanisław

Szczepański z Brod-Dysku straszyl i ją, i Głuszyńską. Właściwie to podobno im groził.

– Ma dowody? – chciała wiedzieć Emilia Strzałkowska. Mówiła tonem dociekliwej nauczycielki, która będzie drażnić tak długo, aż znajdzie luki w wiedzy swojego psotnego ucznia.

– Listy, nagrania, cokolwiek?

Klementyna pokręciła głową.

– Nic. *Null* – przyznała policjantka spokojnie. Uśmiechnęła się przy tym krzywo do Emilii. – Z łatwością można przewidzieć, co będzie dalej. Jeżeli zapytamy o tę sprawę Szczepańskiego, on się wyprze i tak w koło Macieju. Ale! Na pewno coś tu jest grane. Pomiędzy Brod-Dyskiem i tym Towarzystwem Ekologicznym Cygnus.

– To wydaje się dość logiczne – przytaknęła nieoczekiwanie Strzałkowska. – Stanisław Szczepański mógł chcieć zlikwidować problem. Przecież Cygnus stopuje jego produkcję. On i Liliana z łatwością mogli pozbyć się staruszki.

– No i tu wraca sprawa fosgenu, którego użyto jako trucizny – przypomniał młody Marek Zaręba.

– Czekaj. Stop. Fosgenu nie ma w Brod-Dysku – przerwała mu natychmiast Klementyna. – Nasi ludzie to sprawdzili. Ten fosgen w fabryce to bzdura wymyślona przez Janiszewskiego i babki z Towarzystwa Ekologicznego. Jedyne fosgen, z jakim mamy do czynienia, to ten, którym posługuje się zabójca.

Marek pokiwał głową.

– A może ci z Brod-Dysku mają jednak jakiś dostęp do fosgenu? – zasugerował młody policjant. – Przecież działają w tej branży. Szczepański i ta Brzezińska mogą mieć odpowiednie kontakty, żeby coś takiego sobie załatwić. Sposobność też mają. Brod-Dysk jest tak blisko domu Głuszyńskiej. Wystarczy przejechać przez pole i wejść do domu kwiaciarki. Nie byłoby żadnych świadków. Nawet Barbara Krakowiak niczego by nie widziała. Jej dom jest przecież po drugiej stronie.

– Tylko dlaczego Głuszyńska miałaby ich w ogóle wpuścić do swojego domu? – zapytała Emilia zamyślona.

– Co masz na myśli?

– Przecież na drzwiach nie było śladów włamania. Głuszyńska najprawdopodobniej wpuściła sprawcę sama – przypomniała Strzałkowska. – Dlaczego miałyby wpuszczać Stanisława i Lilianę? Przecież kwaciarka była sklócona z córką, a dyrektora Brod-Dysku pewnie też nie darzyła zbyt dużą sympatią. Poza tym wyglądało na to, że u Głuszyńskiej był tylko jeden gość. Pamiętacie ten podwieczorek rozłożony na stoliku?

– Nie możemy być pewni, że był tylko jeden gość, prawda? Przecież mamy dwa zestawy odcisków palców NN. To jedna rzecz – dowodził Marek Zaręba. – Poza tym Małgorzata Głuszyńska mogła ich wpuścić, bo na przykład powiedzieli, że chcą pogadać. Rozwiązać jakoś spór. Może starsza pani im uwiaryła. Różnie mogło być. Szczepański i Brzezińska załatwili swoje, a potem wyszli bez świadków i wrócili do Brod-Dysku. Po sprawie.

– No dobrze, ale dlaczego Głuszyńska miałyby przygotowywać podwieczorek dla tej dwójki? – zapytała Emilia Strzałkowska.

Daniel Podgórski poczuł, że powinien się włączyć.

– Pamiętacie, co powiedziała mama? – zapytał. – Że według niej to nie był prawdziwy proszony podwieczorek. Kto jak to, ale moja matka się na tym zna, sami wiecie. To było coś przygotowane naprędce. Jakby Głuszyńska nie spodziewała się tego gościa... albo gości. Mogła się poczuć zobowiązana do podania czegoś do jedzenia. Moim zdaniem może Młody ma jednak trochę racji.

Marek Zaręba uśmiechnął się z satysfakcją.

– Szkoda tylko, że nie mamy żadnych świadków – powiedział.

– Gdyby ktokolwiek zeznał, że widział, jak Szczepański i Brzezińska wchodzi do domu Głuszyńskiej...

– Może mamy jednego świadka – przypomniał Daniel. – Trzeba znaleźć tego człowieka, który nocował w opuszczonym domu. Chcę, żebyście po odprawie pojechali z Emilią do przytułku i pogadali tam z ludźmi. Może ktoś się orientuje, kto mógł sypiać w ruderze w Żabich Dołach.

– Chodzi ci o ten przytułek na Gajdy w Brodnicy? – upewnił się Marek.

– Czekaj. Stop. Ja tam już byłam – wtrąciła się Klementyna Kopp. – Pojedźcie do tego nowego. Tego nad Niskim Brodnem. To jest bliżej Żabich Dołów. Będziemy mieli większe szanse. Miejsce nazywa się Nowe Horyzonty...

– Oby ten człowiek się znalazł – mruknął Podgórski. – Chociaż nie możemy liczyć na zbyt wiele. Nie wiadomo nawet, czy on cokolwiek widział.

– Ani czy sam nie jest sprawcą – dodała Klementyna Kopp.

Daniel Podgórski pokiwał głową.

– No dobrze. Podsumujmy może – zaproponował szef komisariatu w Lipowie. – Marek i Emilia, wy pojedźcie do Nowych Horyzontów, potem macie wolne. Ja i Klementyna będziemy dziś rozmawiali z niejaką Michaliną Niewiadomską, która pracowała kiedyś z Małgorzatą Głuszyńską. Jeszcze w czasach, kiedy kwaciarka była prokuratorem.

– Skąd macie jej nazwisko? – zapytała Emilia Strzałkowska dociekliwie.

– Dostaliśmy od Brzezińskiej – odparła Klementyna Kopp. Strzałkowska skrzywiła się.

– Od podejrzanej? Nie sądzicie, że...

– Zobaczymy, co powie ta Michalina Niewiadomska – przerwał koleżance młodszy aspirant Daniel Podgórski. – Potem ewentualnie, jeżeli będzie trzeba, poszukamy innych osób z przeszłości Małgorzaty Głuszyńskiej.

Barbara Krakowiak maszerowała szybko przez las. Robiła tak codziennie. Oprócz biegania i pilatesu. Mimo że miała już sześćdziesiąt pięć lat, jej ciało zachowało gibkość, której mogły jej pozazdrościć nawet nastolatki. Barbara była z tego dumna.

Las nabierał już przyjemnego zapachu lata, mimo że była dopiero połowa maja. Normalnie taka przechadzka wprawiałaby panią Krakowiak w doskonały nastrój. Nie tym razem. Barbara była wściekła. Wyszło na jaw, że posiada udziały w Dyskografie. To na pewno zmniejszyło jej wiarygodność. Od początku próbowała tego uniknąć. Niestety nie udało się.

– Trudno – powiedziała do siebie i przyspieszyła kroku. –

Pytanie tylko, co dalej.

Byleby tylko nie dowiedzieli się o tej drugiej sprawie, przeszło jej przez myśl natychmiast. To by było co najmniej krepujące. Poza tym mogło mieć swoje konsekwencje. A tego przecież Barbara nie chciała. Pociuszające było to, że pani Krakowiak pozbyła się już wszystkich dowodów. W żaden sposób nie można jej było powiązać ze śmiercią sąsiadki ani z niczym innym. Barbara obawiała się jednak, że policja może drążyć.

Barbara doszła do mostku nad rzeką pomiędzy jeziorami Bachotek i Strażym. Ostatniego lata zabito tu kogoś. Swego czasu żyła tą sprawą cała okolica. Pani Krakowiak nie orientowała się jednak w szczegółach. Miłosz Janiszewski pewnie wiedziałby więcej.

– On na pewno – mruknęła Barbara pod nosem.

Dziennikarz niewątpliwie był wężycielem. Wszędzie umiał znaleźć informacje, które były mu potrzebne. Nawet te najbardziej poukrywane. Barbara Krakowiak zastanawiała się, ile Miłosz wie na jej temat i czy zna całą prawdę o Małgorzacie Głuszyńskiej.

Ośrodek pomocy bezdomnym Nowe Horyzonty zbudowano niecały rok wcześniej przy ulicy Spacerowej na obrzeżach Brodnicy. Z jego okien widać było urocze jezioro Niskie Brodno. Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska była przyjemnie zaskoczona, że ktoś chciał wybudować schronisko dla potrzebujących w takim pięknym miejscu. W dzisiejszych czasach takie tereny rezerwowano zwykle dla turystyki albo pod budowę drogich apartamentowców. To przecież przynosiło zyski.

– Ziemia należała do jakiegoś bogatego filantropa – wyjaśnił Marek Zaręba, jakby odgadł myśli koleżanki. – Kiedy otwierali ten ośrodek, był tu prawdziwy szum medialny.

– Może to i dobrze, jeżeli komuś w ten sposób pomogą.

– Jasne – zgodził się Zaręba. – Ja nie mam nic przeciwko. W przeciwieństwie do Klementyny nie dostaję piany na ustach na wieść o jakichkolwiek dziennikarzach.

Emilia uśmiechnęła się pod nosem. Cieszyła się, że ustalili z Markiem wspólny front. Miło było móc na kimś polegać.

Wysiedli z radiowozu.

– Budynek jest naprawdę imponujący – stwierdziła Strzałkowska, przyglądając się z uznaniem ośrodkowi. Gmach schroniska Nowe Horyzonty nad Niskim Brodnem wyglądał jak wielka, dobrze utrzymana willa. Wokoło roztaczał się ogromny, obsypany kwiatami ogród. – Spodziewałam się czegoś zupełnie innego. Może jestem przyzwyczajona do przygnębiających noclegowni, które widuje się w Warszawie, ale to... To wygląda raczej jak pięciogwiazdkowy hotel.

– Mówiłem ci, że filantrop nie żałował pieniędzy.

Emilia i Marek weszli do przestronnego holu. Ściany wyłożone były białą boazerią, a przy suficie wisiał efektowny żyrandol. Po dwóch stronach ustawiono szerokie ławy, na których przysiadło kilka osób.

Naprzeciwko wejścia znajdował się niewielki kontuar. Stał przy nim szczupły blady mężczyzna. Ubrany był ubogo, ale schludnie, tak jak pozostałe osoby zgromadzone w pomieszczeniu. Z jakiegoś powodu wyglądał na odpowiedzialnego za cały ośrodek. Emilia ruszyła więc od razu w jego stronę.

Na widok pary policjantów mężczyzna natychmiast zerwał się z krzesła. Na jego twarzy pojawił się zachęcający półuśmiech.

– Witam serdecznie – powiedział. – Zapraszam w nasze skromne progi. W czym mogę państwu pomóc?

– Starszy sierżant Marek Zaręba i sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska – przedstawiła ich policjantka. – Czy możemy gdzieś spokojnie porozmawiać?

– Ależ oczywiście. Zapraszam na taras. Mamy piękny widok na jezioro – zapewnił mężczyzna. – Ja jestem Jan Kowalski. Można powiedzieć, że zarządzam naszym ośrodkiem. Oprócz mnie nie ma tu innego personelu. Wszystko robią nasi pensjonariusze. Jesteśmy niemal samowystarczalni. Pięknie urządziliśmy ogród, prawda?

– Rzeczywiście.

– Z przodu mamy kwiaty, ale z tyłu jest ogródek warzywny

i niewielki sad.

– Wspaniale – stwierdziła Emilia.

Jan Kowalski zaprowadził ich na taras. Strzałkowska głębiej wciągnęła powietrze do płuc. Widok stąd rzeczywiście był oszałamiający. Wokoło rozciągały się pola, a w dole w promieniach słońca mieniło się Niskie Brodno.

Emilia znów odetchnęła głęboko. Poczula zachęcający zapach wody dochodzący od strony jeziora. Przypomniła jej wakacje z dzieciństwa, które zawsze spędzała z matką nad Zalewem Zegrzyńskim.

Na to wspomnienie policjantka zatęskniła nagle za latem. Kochała tę porę roku. Tym razem ona i Łukasz spędzą lato w Lipowie. Emilia obiecała sobie, że codziennie będzie się kąpała w jeziorze Bachotek, które położone było niecałe dwa kilometry od ich domu. Pogoda czy nie, policjantka nie przepuści żadnej okazji. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, Strzałkowska pragnęła, żeby plotka o likwidacji komisariatu w Lipowie była... no właśnie, tylko plotką. Emilia poczuła, że bardzo chce tu mieszkać. Jakby nagle pozbyła się wszelkich wątpliwości.

– Szukamy osoby, która być może zatrzymuje się w państwa ośrodku – wyjaśnił tymczasem Marek Zaręba, przechodząc do właściwego celu ich wizyty w Nowych Horyzontach. – Nie znamy niestety imienia. Wiemy tylko, że jest to mężczyzna, który...

Jan Kowalski odchrząknął głośno, nie pozwalając Markowi skończyć myśli.

– W jakim celu go szukacie, jeżeli mogę wiedzieć? – zapytał podejrzliwe kierownik ośrodka. – Nikt, kto się u nas zatrzymuje, nie ma kłopotów z prawem. To nasza zasada. To miejsce jest azylem dla ludzi, którzy i tak wiele już w życiu przeszli. Nie chcemy kłopotów. Nie ma u nas także ani alkoholu, ani narkotyków.

– Ten mężczyzna być może był świadkiem morderstwa – wyjaśniła Emilia Strzałkowska gładko. – To naprawdę bardzo ważne, żebyśmy mogli z nim jak najszybciej porozmawiać, jeżeli tu jest.

Jan Kowalski patrzył przez chwilę w kierunku jeziora.

– No dobrze – powiedział w końcu. – Z kim państwo chcą porozmawiać? Proszę o więcej szczegółów. Jak się nazywa ten pan, którego szukacie?

– Tak jak już wspominałem, niestety nie znamy jego tożsamości – przyznał Marek Zaręba. – Wiemy tylko, że czasem nocuje w opuszczonym domu w kolonii Żabie Doły. Kilku mieszkańców wsi go widziało.

Klementyna Kopp rozmawiała z pijakami z Żabich Dołów i potwierdziła, że w ruderze rzeczywiście nocował mężczyzna.

– Żabie Doły... – mruknął Kowalski, jakby zastanawiał się, skąd zna tę nazwę.

– To około trzech kilometrów piechotą stąd w kierunku jeziora Bachotek – wyjaśnił Zaręba natychmiast. – Ostatnio nie widać go już w Żabich Dołach. Pomyśleliśmy, że być może nocuje czasami u państwa.

Jan Kowalski podrapał się po brodzie.

– Pytaliście na Gajdy?

– Oczywiście – zapewniła Emilia. – Nasza koleżanka już tam była.

Strzałkowska miała nadzieję, że jej słowa zabrzmiały przekonująco. Nie była wcale pewna, czy Klementyna Kopp naprawdę pojechała do drugiego przytułku. Kiedy miałyby to zrobić? Z tą dziwną policjantką nigdy nic nie wiadomo.

Emilia poczuła ukłucie gniewu. Nie zamierzała jednak opowiadać Kowalskiemu o animozjach, które z jakiegoś powodu dzieliły ich mały zespół. Tym bardziej że nie była nawet do końca pewna, dlaczego Klementyna aż tak bardzo jej przeszkadza. Z reguły Emilia starała się budować dobre relacje. Zwłaszcza ze współpracownikami. Kłótnie nie sprzyjały przecież żadnej pracy, a już na pewno nie policyjnej. W ich zawodzie partnerowi trzeba było ufać w pełni. Czy mogła ufać Klementynie? Może do pewnego stopnia, uznała Emilia, ale na pewno nie całkowicie.

– Ja chyba państwu nie pomogę – stwierdził Jan Kowalski. – Właściwie mamy tylko stałych pensjonariuszy. Jest u nas obecnie pięćdziesięciu pięciu mężczyzn i czterdzieści jeden

kobiet. Ludzie rzadko się tu zmieniają. Ci, którzy tu są, raczej nie rezygnują z miejsca, żeby spędzić kilka nocy w jakimś opuszczonym domu. Chyba państwo widzą, jakie my tu mamy warunki. Nie ma co się oszukiwać, ten ośrodek jest niemal luksusowy. Sami państwo przyznają. No więc... Nie sądzę, żeby to był ktoś od nas.

Nagle usłyszeli szelest. Emilia spojrzała w tamtą stronę. Z okna na piętrze wychylała się jakaś kobieta. Miała wymizerowaną twarz i cienkie brązowe włosy. Wyglądało na to, że słuchała ich rozmowy już od jakiegoś czasu.

– Proszę się nie przejmować. To jest Lola – wyjaśnił Jan Kowalski. – Ona trochę... no, sami państwo rozumieją. Nic nikomu nie powtórz.

– Tylko że nam właśnie chodzi o to, żeby powtórzyła. Ona albo pan. Im więcej osób wie o naszych poszukiwaniach, tym lepiej – zapewniła Strzałkowska, spoglądając na Lolę. Kobieta miała świdrujące niebieskie oczy, które sprawiały, że jej twarz zyskiwała niemal niezemiński charakter. – Musimy znaleźć tego mężczyznę. To naprawdę ważna sprawa.

Spojrzenia Emilii i Loli skrzyżowały się.

– Porozmawiam z naszymi pensjonariuszami – obiecał Kowalski. – Obawiam się jednak, że nikt nic nie wie. Osoba, której państwo szukają, na pewno nie jest od nas.

– Skąd ta pewność? Przecież jeszcze pan z nimi nie rozmawiał – wtrącił się Marek Zaręba. – Żeby oszczędzić panu zbędnych kłopotów, proponuję, żebyśmy to my porozmawiali z pana pensjonariuszami.

Jan Kowalski zrobił minę, jakby propozycja Marka go uraziła.

– To są ludzie skrzywdzeni przez życie. Wielu z nich miało już nieprzyjemności związane z policją. Nie chcę, żeby mieli jeszcze niepotrzebne... stresy, związane z waszą wizytą. Tym bardziej że tu nie ma tego, kogo wy szukacie. Ile razy mogę jeszcze powtarzać?

– Tego pan nie wie – rzuciła Emilia. Zachowanie Kowalskiego zupełnie jej się nie podobało. Dlaczego mężczyzna tak bardzo chciał się ich pozbyć? – Może wolałby pan, żebyśmy przyszli z nakazem przeszukania?

– Przecież już powiedziałem, że z nimi porozmawiam, prawda? O co tyle szumu? – odparł Jan Kowalski natychmiast.

– Jeżeli tu jest mężczyzna, którego państwo szukają, to na pewno oddzwonię. Proszę się nie martwić.

– Zostawię panu wizytówkę – zaproponowała Emilia Strzałkowska, cały czas zerkając w stronę Loli. Policjantka miała wrażenie, że ta dziwna kobieta o świdrujących oczach ma jej coś do powiedzenia. – Mogę porozmawiać chociaż z nią? – Policjantka wskazała kobietę na piętrze. Lola wciąż nie spuszczała wzroku z Emilii.

– To będzie raczej trudne – odparł spokojnie Jan Kowalski. – Lola nie mówi.

– To znaczy?

– Dokładnie to, co powiedziałem – wyjaśnił Kowalski chłodno. – Lola cierpi na mutyzm. Nie powiedziała ani słowa, odkąd tu jest. Nie stwierdzono właściwie żadnych powodów fizycznych, które mogłyby prowadzić do utraty mowy. Słuch ma również nienaruszony. Prawdopodobnie w jej przypadku może więc chodzić o czynniki psychiczne. Psycholog, który do nas przychodzi co jakiś czas, mówi, że Lola może cierpieć na łagodną formę schizofrenii. Obecnie dostaje leki, ale i tak nie ma z nią zbyt wiele kontaktu. Jest zupełnie zagubiona w swoim świecie.

– Mimo wszystko chciałabym jej zadać parę pytań – upierała się sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska. Świdrujące spojrzenie Loli nie dawało policjantce spokoju. – To zajmie dosłownie chwileczkę. Obiecuję jej nie zestresować. Jeżeli Lola nie będzie chciała ze mną rozmawiać, nie będę naciskała.

Jan Kowalski westchnął przeciągle.

– Lola, pozwól tu do nas na dół! – zawołał w końcu.

ROZDZIAŁ 17

Londyn.

Sobota, 21 czerwca 1851

Adolf Anderssen usiadł naprzeciw pana Lionela Kieseritzky'ego przy stole w restauracji Simpson's Grand Divan Tavern. Mieli zmierzyć się po raz drugi. Tym razem nie była to jedna z oficjalnych rozgrywek, a jedynie towarzyska partia podczas przerwy w turnieju. Partia została zaaranżowana przez pannę Agnes Hoffmann.

Wokół panowała cisza. Adolf czuł, że i w nim jest dziwny spokój. Mimo tego, co wydarzyło się wczoraj. A może właśnie dlatego, przeszło Anderssenowi przez myśl.

Młody matematyk poprawił surdut. Czuł się nieco skonfundowany. Rad był, że nikt nie może teraz słyszeć jego myśli. Agnes była tak blisko... Grzech, ale jakże słodki. Adolf wiedział jednakowoż, że to się nigdy nie powtórzy. Nie mogło. Chociażby i z tej prostej przyczyny, że panna Hoffmann wracała dziś do Breslau. Kiedy on sam powróci do miasta, Agnes będzie już panią Braun. To był koniec. Koniec przygody, która i tak ciągnęła się aż nazbyt długo.

Adolf Anderssen wytarł ręce o spodnie. Dłonie miał dziwnie spocone.

– Niech pan zaczyna – poprosił cicho pan Kieseritzky. – Tak przecie ustaliliśmy.

Adolf skinął głową i sięgnął po pionek. Zdecydowanym ruchem przesunął go na pole e4, tak jak obiecał to Agnes. W odpowiedzi Lionel Kieseritzky przestawił swój pionek na e5. Adolf poprawił mankiet koszuli. Wszystko toczyło się tak, jak przewidziała to panna Hoffmann. Może pan Kieseritzky też robił uprzejmość Agnes?

Anderssen rozejrzał się po zgromadzonych wokoło

dżentelmenach. Nigdzie nie widział panny Hoffmann. Może opuściła już Londyn? Może wcale jej tu dzisiaj nie było?

Adolf westchnął. Przesunął drugi pionek na pole f4. Zagrał gambit królewski, tak jak prosiła go Agnes. Znowu rozejrzał się dyskretnie.

W końcu ją zauważył. Natychmiast poczuł, że serce bije mu szybciej. Panna Hoffmann stała nieco z tyłu. W skromnej czarnej sukni wyglądała niemal jak służąca. Skinęła głową ze smutnym uśmiechem. Adolf odpowiedział równie subtelnym ukłonem. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, potem panna Hoffmann odwróciła się i wyszła obejmowana silnym ramieniem swojego ojca. Adolfa ogarnęła nagle dziwna pewność, że już nigdy jej nie zobaczy. Ani tu, w Londynie, ani w Breslau.

Pan Kieseritzky odchrząknął z lekkim niezadowoleniem, ale przyjął gambit, zbijając pionka z f4. Anderssen spojrzał na Francuza. Rozsądek podpowiadał odpowiedzieć na jego zagranie konikiem na pole f3. W ten sposób Adolf zabezpieczyłby się przed atakiem królowej przeciwnika.

Anderssen pokręcił głową. Tej partii tak nie rozegra. Zamierzał porzucić wszelkie konwenanse i wygrać tę rozgrywkę w wielkim stylu. Dla Agnes i dla siebie. Zapewni oglądającym taką grę, że zapamiętają ją na lata. Przesunął gońca na pole c4. Dłoń drżała mu nieznacznie.

Pan Kieseritzky uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie i przestawił swoją królową na pole h4.

– Szach – powiedział Francuz. Na jego twarzy malowało się teraz wyraźne ukontentowanie. Zależało mu pewno na wygraniu tej partii. Zmazałby w ten sposób hańbę przegranej z początku turnieju.

Adolf Anderssen pokiwał głową.

– Tak, tak – mruknął, drapiąc się po brodzie w zamyśleniu. W końcu przesunął swojego króla na pole f1, gdzie nie był już atakowany przez królową przeciwnika.

Pan Kieseritzky znowu się uśmiechnął. Przesunął pionek na pole b5. To był gambit Bryana. Adolf nie spodziewał się niczego innego. Wiedział, że Lionel Kieseritzky lubił to posunięcie.

Anderssen przyjął gambit, zbijając pionka przeciwnika gońcem z pola c4. Pan Kieseritzky skinął głową i przesunął swojego skoczka na f6.

Konik przeciwnika miał teraz w swoim zasięgu pionek Adolfa z pola e4. Anderssen nie zamierzał się tym jednakowoż frasować. Przesunął swojego skoczka na f3 i teraz to on stanowił zagrożenie dla królowej przeciwnika. Pan Kieseritzky nie był chyba gotowy na poświęcenie królowej, szybko bowiem wycofał zagrożoną królową na pole h6, gdzie była bezpieczna.

Anderssen spojrział na szachownicę. Potem podniósł wzrok i jeszcze raz rozejrzał się po sali. Miał wielką nadzieję, że Agnes jednak wróciła. Niestety nigdzie jej nie było. Pan Hoffmann zapewne tego dopilnował.

– I? – zapytał pan Kieseritzky bardzo cicho.

Adolf Anderssen przesunął pionek na pole d3. Tym sposobem otworzył drogę dla gońca i jednocześnie zabezpieczył drugi pionek, który przecie nadal był zagrożony przez skoczka przeciwnika. W odpowiedzi pan Kieseritzky przestawił swojego konika na pole h5.

Adolf spojrział na figury bacznie. Przeciwnik planował pewnie przesunąć w kolejnych ruchach konika na pole g3, żeby znowu z ukontentowaniem powiedzieć: szach. Z drugiej strony skoczek na brzegu szachownicy jest najmniej efektywny, rozmyślał młody matematyk. Jaką strategię teraz obrać?

W końcu Anderssen wzruszył ramionami. Przemieścił swojego konika na pole h4. Pan Kieseritzky szybko przestawił swoją królową na pole g5, atakując skoczka Adolfa. Anderssen nie zamierzał teraz niczego poświęcać. Jeszcze nie teraz. Nie taki był plan. Przesunął swojego konika na pole f5, uciekając przed zachłanną królową przeciwnika.

W odpowiedzi pan Kieseritzky zrobił ruch pionkiem na c6, atakując stojącego obok gońca należącego do Adolfa.

– I? – mruknął znowu Lionel Kieseritzky.

Anderssen popatrzył raz jeszcze na szachownicę. Nie słyszał już odgłosów wypełniających restaurację Simpson's Grand Divan Tavern. Miał wrażenie, że jest w pustym pokoju na Baker Street. Z Agnes. Co ona by zrobiła na jego miejscu? Jak

by zagrała? Powiedziałyby pewnie z lekceważeniem, że w tej sytuacji każdy starałby się chronić gońca. To wszak ważna figura.

Pan Kieseritzky bez wątpienia również nie oczekiwał niczego innego po Adolfie. Anderssen spojrział na przeciwnika. Pan Kieseritzky uśmiechnął się lekko. Francuz zdawał się zadowolony z dotychczasowego przebiegu partii. Teraz był odpowiedni moment na pierwszą niespodziankę.

Wbrew oczekiwaniom przeciwnika Adolf zostawił gońca na swoim miejscu. Zamiast tego przesunął pionek na pole g4. Teraz to on zagrażał konikowi Kieseritzky'ego.

– I? – powiedział tym razem Adolf. Starał się, żeby nie zabrzmiało to jak przechwałka. Takie zachowanie byłoby niegodne dżentelmena.

Pan Kieseritzky wyglądał na niezdecydowanego. Miał teraz dwie możliwości. Mógł położyć się na gońca, który nadal stał jakby nigdy nic na swoim miejscu. Mógł też próbować ratować swojego skoczka. W końcu przeciwnik zdecydował, że nie jest gotowy na poświęcenie konika, bo wycofał go na pole f6.

Wybornie, pomyślał Anderssen. Wybornie. Pan Kieseritzky spodziewał się pewnie, że teraz nareszcie Adolf zajmie się ochroną swojego ciągle zagrożonego gońca. Nic z tych rzeczy, zaśmiał się w duchu matematyk z Breslau. To nie był koniec niespodzianek. Anderssen przesunął wieżę o jedno pole w lewo na g1.

W odpowiedzi pan Kieseritzky uśmiechnął się z pobłażaniem. Zbił gońca swoim pionkiem. Odłożył figurę na bok metodycznym ruchem. Błąd, pomyślał Adolf, popełnił pan błąd, panie Kieseritzky.

Anderssen przesunął swój pionek na h4 z równym namaszczeniem jak wcześniej przeciwnik. Teraz to Adolf się uśmiechnął. Znowu dogonił wiecznie uciekającą królową przeciwnika. Pan Kieseritzky szybko wycofał cenną figurę o jedno pole do tyłu. Adolf bez zwłoki przesunął pionek o kolejne pole, nie rezygnując z polowania.

Przeciwnik rozważał chyba przez moment zabicie upartego pionka. Zauważył jednakże, że natręt jest chroniony przez

pionek z pola g4. W końcu pan Kieseritzky zrobił królową ruch o jedno pole do przodu.

W odpowiedzi Adolf przesunął swoją królową na pole f3. Lionel Kieseritzky przyjrzał się uważniej szachownicy. Na jego twarzy nie malował się już uśmiezek samozadowolenia. Francuz wycofał skoczka na pole g8, żeby zrobić miejsce na ucieczkę dla swojej królowej. Cenna figura znalazła się w potrzasku.

Anderssen zbił tymczasem pionka przeciwnika stojącego na polu f4. Teraz znowu zagrażał królowej przeciwnika. Widząc to, pan Kieseritzky mruknął coś ledwo dosłyszalnie. Chyba po rosyjsku. Wycofał królową na zwolnione przez skoczka pole f6.

Adolf Anderssen uśmiechnął się szerzej. Stracił więcej figur niż przeciwnik, ale prawie wszystkie bierki Lionela Kieseritzky'ego znajdowały się teraz z tyłu szachownicy. To Adolf kontrolował centrum. Przewaga materialna Francuza w takiej sytuacji nie będzie się liczyła. Anderssen nie zamierzał na to pozwolić.

Młody matematyk przesunął swojego skoczka na pole c3, zasłaniając pionek przed atakiem królowej przeciwnika. W odpowiedzi pan Kieseritzky przestawił gońca na c5, wychodząc nareszcie w kierunku środka szachownicy.

Adolf znowu się uśmiechnął. Przesunął swojego konika na d5, znowu atakując królową Francuza. Pan Kieseritzky spojrzął na Anderssena zaskoczony. Przeciwnik spodziewał się pewnie, że Adolf ruszy pionkiem na d4. To byłoby obiektywnie najsilniejsze posunięcie w tej sytuacji. Byłoby. Konik na d5 to doprawdy bardzo ryzykowne posunięcie. Groziło widelkami na c7. Cóż z tego? Adolf nie bał się już ryzyka. Nie po wczorajszej nocy, nie po miesiącu potyczek z panną Agnes Hoffmann.

Niepomny niebezpieczeństwa, pan Kieseritzky z uśmiechem zrobił ruch swoją królową na pole b2, zbijając niechronionego teraz pionka Adolfa.

– I? – powiedział swoim zwyczajem Francuz.

Anderssen bez słowa przesunął gońca na pole d6. Teraz czarny i biały goniec stały obok siebie. Lionel Kieseritzky mógł z łatwością skorzystać z okazji i pozbawić Adolfa kolejnej

figury. Anderssen tylko na to czekał. Jeżeli przeciwnik się skusi, otworzy mu drogę do zwycięstwa.

Pan Kieseritzky zastanawiał się przez chwilę. Miał trzy możliwości. Gońcem mógł zbić gońca Adolfa lub wieżę po prawej stronie. Królowa zaś stanowiła zagrożenie dla wieży po lewej stronie szachownicy. Przeciwnik podrapał się po brodzie w zamyśleniu. Zastanawiał się pewnie, co teraz począć. Na jego twarzy malowało się wyraźne niezdecydowanie. Pewnie Francuz podejrzewał już, że Anderssen ma jakiś plan w tej szaleńczej grze.

W końcu Lionel Kieseritzky przesunął gońca na pole g1, zbijając wieżę Adolfa po prawej stronie szachownicy. Zły ruch, pomyślał Anderssen z zadowoleniem. Zły ruch. Gdyby Kieseritzky zdecydował się zbić drugą wieżę za pomocą wiecznie czmychającej królowej, sytuacja byłaby o wiele trudniejsza dla Adolfa. Anderssen miał wielką ochotę się uśmiechnąć. Aliści postarał się o to, żeby przeciwnik nie zauważył jego zadowolenia.

Anderssen przesunął swój pionek na pole e5. Pan Kieseritzky znów spojrzął na młodego matematyka zaskoczony. Spodziewał się pewno raczej ruchu wieżą. Przeliczył się. Królowa Francuza nie mogła teraz zawrócić, żeby bronić króla.

W końcu pan Kieseritzky zdecydował się zbić wieżę po prawej stronie. Spojrzął na Adolfa zadowolony ze swojej decyzji. Anderssen nie miał już dwóch wież. Przewaga materialna Kieseritzky'ego była niezaprzeczalna.

– Szach – powiedział Francuz. Po raz drugi w tej partii. Restaurację Simpson's Grand Divan Tavern wypełniło pełne aprobaty westchnienie.

Anderssen pokiwał tylko głową. Wycofał się królem na pole e2. W odpowiedzi pan Kieseritzky przeskoczył konikiem na pole a6. Adolf wziął swojego konika i zbił pionka przeciwnika z pola g7.

– Szach – powiedział.

Wokół nastąpiło drobne poruszenie.

Pan Kieseritzky wycofał szybko swojego króla na pole d8, jakby chciał wymazać hańbę, póki ktokolwiek zorientuje się, co

właśnie zaszło. Adolf Anderssen uśmiechnął się do siebie. Francuz spojrział mu w oczy. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. W oczach pana Kieseritzky'ego nie było już przechwałki. Raczej podziw.

Adolf skinął głową. Jeżeli wszystko pójdzie tak, jak to sobie planował, do zwycięstwa brakowało mu już tylko dwóch ruchów. Przesunął królową na pole f6. Zrobił to, mimo że tu cenna figura mogła zostać z łatwością zbita przez skoczka przeciwnika.

– Szach – powiedział znowu Anderssen.

Tym razem w sali nie podniósł się pomruk zadowolenia. Wszyscy wpatrywali się w szachownicę w milczącym skupieniu. Emocje malowały się na twarzach zebranych, ale nikt nie odważył się wydać najcichszego nawet dźwięku.

Adolf rozejrzał się raz jeszcze. Cały czas miał niemądrą nadzieję, że panna Agnes Hoffmann nagle się pojawi. Bardzo chciał, żeby to zobaczyła. To był jego triumf. Nasz triumf, poprawił się w duchu matematyk z Breslau. Partia, której nikt nigdy nie zapomni.

Pan Kieseritzky zbił tymczasem skoczkiem królową Adolfa. Tak jak się Anderssen spodziewał. Kolejny błąd przeciwnika. Na tym właśnie polegał cały plan. Anderssen poświęcił królową, ale w ten sposób odsłonił sobie pole e7 dla gońca.

Adolf Anderssen w skupieniu przesunął figurę.

– Szach-mat – powiedział spokojnie.

Lionel Kieseritzky wpatrywał się w szachownicę jak urzeczony. Adolf poświęcił obie wieże, gońca i królową, a mimo to wygrał. Pan Kieseritzky stracił tylko trzy pionki, a teraz musiał poradzić sobie z porażką.

– Cudowna gra – powiedział Francuz z uznaniem. – Doprawdy cudowna.

ROZDZIAŁ 18

Lipowo i Brodnica.

Sobota, 17 maja 2014. Po południu

Hubert Przybylski trzasnął drzwiami. Zostawił mieszkanie Waldemara Gąsiorowskiego za sobą. To był niemal symboliczny gest. Chłopak po raz pierwszy odważył się na coś takiego. Zrobił to nie bez powodu. Relacje Huberta i Waldemara były trudne, ale dzisiejszy dzień przelał wypełnioną po brzegi czarą goryczy. Miłość do Oliwki czy nie, trudno, uznał Hubert. Nie będzie dłużej znosił tego obleśnego grubasa. Dość!

Oliwia Gąsiorowska wybiegła za nim na schody. Wyglądała na mocno zaaferowaną. Oddychała szybko.

– Hubi, no co ty! – zawołała piskliwie. – Tatuś...

– Sorki, Oliwka, ale nie zdzierzę dłużej twojego starego – przerwał jej Hubert. – Idziemy stąd czy nie?

Przybylski starał się mówić zdecydowanym tonem, ale czuł, że mimo wszelkich starań głos mu trochę drży. Oliwia spojrzała na swojego narzeczonego dziwnie. Wytrzymał. Dziś nie zamierzał przeproszać. O nie. Niech ona sama wybierze.

Trwali tak przez kilka chwil w milczeniu, jakby oboje zapadli w stuletni sen. Hubert czuł, że zaczyna się czerwienić, ale postanowił, że wytrzyma. Za wszelką cenę. Kilka pięter wyżej trzasnęły jakieś drzwi. To chyba przerwało czar, bo Oliwia poprawiła nerwowo tlenione na biało włosy i spuściła wzrok.

– Poczekaj, Hubi, tylko się z tatusiem pożegnam, nie? – powiedziała bardzo cicho. – Zaraz idziemy.

Hubert zszedł po schodach. Oliwia wybrała jego, nie Waldemara! Chłopak czuł się lekko jak nigdy dotąd. Prawie jakby mógł wzlecieć w powietrze. Brakowało mu tylko czarnych skrzydeł z białymi lotkami, takich jakie miał Bohun w hodowli

państwa Szczepańskich.

Przybylski wyszedł na dwór, trzaskając drzwiami od klatki schodowej. Były starego typu. Dało się to zrobić bez problemu. Przyniosło mu to jeszcze większą satysfakcję. Począł na Oliwię na zewnątrz.

Dziewczyna wyszła z bloku po dobrych pięciu minutach. Hubert zdążył w tym czasie wypalić papierosa i kopnąć kilka kamyków do celu.

– Tatus jest zły – wyjaśniła Oliwia od razu. Nadal zdawała się trochę naburmuszona. – Sam wiesz dlaczego. Zachowałeś się nieodpowiednio. Kto to widział tak krzyżeć!

Hubert poczuł, że dłużej tego nie wytrzyma. Jeszcze jedno słowo na temat Waldemara i będą kłopoty.

– Skończmy rozmowę o twoim starym, bo mnie zaraz coś pierdolnie – powiedział najspokojniej, jak mógł. – W dupie mam starego buca. Niech się pieprzy.

Oliwia Gąsiorowska pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Hubi, nie mów tak. Tatus chce tylko jak najlepiej dla mnie, nie? Chyba ty też chcesz dla mnie dobrze, prawda? – zapytała ze słodkim uśmiechem. – Zrozum. Bez błogosławieństwa tatusia i tak nie weźmiemy ślubu, nie? Chciałabym mieć wszystko jak na filmie. Tatus musi mnie poprowadzić do ołtarza. Inaczej się nie liczy. Musicie się jakoś pogodzić. Chyba dasz radę, prawda, Hubi? Dla swojej Oliweczki byś miał nie dać rady, co?

– Chodź, odprowadzę cię do domu – powiedział Hubert Przybylski, unikając dalszej dyskusji na ten temat.

– Proszę siadać. Zapraszam! – powiedziała córka Michaliny Niewiadomskiej, Iga. – Napiją się państwo czegoś?

– Spoko, nie trzeba – mruknęła komisarz Klementyna Kopp.

– To ja już nie będę przeszkadzała. Jeżeli będę potrzebna, to jestem w kuchni.

– Bardzo dziękujemy – zapewnił Daniel Podgórski.

Klementyna i Daniel usiedli na morelowej kanapie, ustawionej naprzeciwko staromodnego telewizora. Nad

wielkim kineskopem wisiała ręcznie tkana makatka. Obok ustawiono meblościankę z dość tandetnej sklejki, która nieudolnie starała się imitować sosnowe drewno. Ściany miały miętowy odcień, który nijak nie pasował do reszty wystroju. Komisarz Kopp miała dziwaczne wrażenie, jakby wsiadła do wehikułu czasu i przeniosła się kilkanaście lat wstecz. Ciekawe, czy to mieszkanie remontowano od czasów Polski Ludowej.

Na drugim końcu morelowej kanapy przysiadła Michalina Niewiadomska. Kobieta wyglądała na schorowaną. Podkrążone oczy i wychudła twarz sprawiały, że komisarz Kopp zrobiło się nieprzyjemnie. Wróciły myśli o Teresie. Pod koniec ona również tak wyglądała. Teresa...

– Czyli ty i Małgorzata Głuszyńska pracowałyście razem, co? – zapytała komisarz Kopp, żeby jakoś zacząć. Lepsze to niż nic.

– Tak, ale to było bardzo dawno temu. Teraz to już minęło chyba ze czterdzieści lat – wyjaśniła Michalina Niewiadomska, kiwając głową. – Ja byłam strażniczką w bloku żeńskim w Zakładzie Karnym w Starych Świątkach. Pani prokurator Małgorzata Głuszyńska czasami bywała u nas na przesłuchaniach. To były jeszcze czasy poprzedniego systemu. Dawne dzieje. Teraz wszystko wygląda zupełnie inaczej.

Kobieta poprawiła granatową spódnicę wychudłą ręką.

– Miałycie kontakt, od kiedy Głuszyńska przeszła na emeryturę, co?

– Raczej nie. Zresztą w ogóle nie miałyśmy zbyt wiele kontaktu. Nawet przedtem – uściśliła Niewiadomska. – Ja byłam zwykłą strażniczką. Czasem mijałyśmy się na korytarzu i tyle. Nie byłyśmy przyjaciółkami, jeżeli o to chodzi.

– Czekaj. Stop – przerwała jej Klementyna. – Córka Głuszyńskiej twierdzi co innego. Podobno ty i kwaciarka, to znaczy prokuratorka, się przyjaźniłyście. Według Liliany odwiedzałaś Głuszyńską w domu. Dzieciak cię zapamiętał.

Michalina Niewiadomska wzruszyła ramionami i znowu wygładziła spódnicę.

– Może na początku – przyznała. – W latach siedemdziesiątych. Potem nasze drogi się rozeszły właściwie na dobre.

– Dlaczego? – podchwycił Daniel Podgórski.

– Nie wiem. Może dlatego, że nie byliśmy z tego samego świata – zgadywała Michalina Niewiadomska. – Ja byłam tylko strażniczką. Zwykłą mundurową. Małgorzata Głuszyńska była natomiast prokuratorem. W tamtych czasach to był ktoś ważny. Za wysokie progi dla mnie i tyle. Tak podejrzewam.

– Jaką ona była osobą? – chciał wiedzieć Daniel.

– Prokurator Głuszyńska? Chodzi panu o charakter?

Policjant pokiwał głową.

– Nie znałam jej za dobrze – powtórzyła Michalina Niewiadomska z naciskiem. – Przykro mi. Wiele nie pomogę.

– Czekaj. Stop – przerwała jej Klementyna. – Chyba cokolwiek to o niej wiesz, co? Wysił się troszeczkę, co?

Niewiadomska pogrążyła się w myślach.

– Myślę, że Małgorzata Głuszyńska mogła wydawać się nieprzystępna i chłodna. Tyle mogę powiedzieć – wydusiła w końcu. – Jeżeli chcecie wiedzieć więcej, to powinniście porozmawiać z Waldemarem Gąsiorowskim. On znał ją chyba lepiej niż ja. Waldemar był milicjantem w Brodnicy. Wiem, że sporo razem pracowali.

Klementyna dała Danielowi znak, żeby zapisał to nazwisko. Waldemar Gąsiorowski. Zupełnie jak cycata blondi z solarium, Oliwia Gąsiorowska, która pomagała Głuszyńskiej w kwaciarni, pomyślała Klementyna. Ciekawe.

– Czy przypomina sobie pani jakieś szczególnie trudne sprawy w karierze pani Głuszyńskiej? – drażył dalej Daniel.

– W jakim sensie? – zapytała Niewiadomska lekko, jakby chciała się tylko upewnić. Klementynie wydawało się jednak, że kobieta chce zyskać na czasie. A to była przecież znacząca różnica.

– Okej. No dobra. Postawmy sprawę jasno, co? – stwierdziła komisarz Kopp, przyglądając się Michalinie jeszcze uważniej. – Chodzi nam o to, czy jest możliwe, że Głuszyńska narobiła sobie wrogów, kiedy pracowała jeszcze jako prokurator, co? Wiesz coś o tym, co?

– Skąd ja mogę coś o tym wiedzieć? – obruszyła się Niewiadomska. – Nie znam wszystkich spraw, które ona

prowadziła. Nie mnie powinniście o takie rzeczy pytać. Od dawna nie miałam z nią kontaktów. Żadnych.

– A w tych czasach, kiedy panie się znały? – zapytał delikatnie Daniel. – Przychodzi pani do głowy jakaś szczególnie trudna sprawa? A może kłopotliwy więzień?

– Nie wiem – odparła twardo Michalina Niewiadomska. – Waldemar Gąsiorowski powinien wiedzieć lepiej. Jego zapytajcie.

Przez chwilę panowało milczenie. Michalina Niewiadomska znowu wygładziła staromodną spódnicę.

– Zresztą Waldemar Gąsiorowski chyba pokłócił się z panią prokurator. Tak wracając do poprzedniego pytania – dodała po chwili namysłu schorowana kobieta. – Takie plotki przynajmniej słyszałam.

Waldemar Gąsiorowski pokłócił się z Głuszyńską? Kolejny wróg? Klementyna Kopp wyciągnęła z plecaka butelkę coca-coli i napiła się trochę. Cukier zawsze dobrze jej robił.

– No widzisz, jak dobrze nam idzie, co? – powiedziała policjantka, chowając butelkę. – O co się pokłócili Głuszyńska i ten Gąsiorowski?

Gospodyni odchrząknęła.

– Podobno pani prokurator obiecała Gąsiorowskiemu, że pomoże mu w awansie. On się jej podlizywał od dłuższego czasu, żeby wkraść się w jej łaski. Był na każde jej skinienie. Ludzie się z niego śmiali, że taki podnózek, ale Waldemar twierdził, że z czasem to on na tym zyska. – Niewiadomska wyrzała przez okno. Wyglądało jednak na to, że nic nie widzi, a jedynie tonie we wspomnieniach. – Niestety potem Małgorzata Głuszyńska wybrała zupełnie kogoś innego na swojego protegowanego i umieściła go na wysokim stołku zamiast Waldemara. Podobno Gąsiorowski był wściekły. Tak słyszałam. Nie dziwię się, że był zły. Miał prawo. Całe to podlizywanie poszło na marne – i tak skończył w Komendzie Powiatowej na niezbyt ważnym stanowisku.

Waldemar Gąsiorowski, powtórzyła sobie w myślach Klementyna Kopp. Nie kojarzyła jakoś tego nazwiska. Ale! Jedno było pewne. Trzeba było z facetem pogadać. Szybko.

– Dziękujemy pani. W razie czego się z panią skontaktujemy – powiedział Daniel Podgórski, kończąc przesłuchanie. – Zobaczymy.

– Nie będzie mnie w Brodnicy – oznajmiła Michalina Niewiadomska.

– Czekaj. Stop! A gdzie będziesz, co?

– Wyjeżdżam na działkę – wyjaśniła Niewiadomska spokojnie. – To niedaleko Rypina. Właściwie całkiem blisko Starych Świątek. Takie działeczki pracownicze. Odpoczywam tam lepiej niż tu w mieście. Jakby co, to tam mnie szukajcie.

Nikola Szczepańska wemknęła się do klubu szachowego. Przychodziła tu tylko wtedy, kiedy nie było Franciszka Trojanowskiego. Zdradził ją i nienawidziła go za to z całego serca. Chciała go za wszelką cenę ukarać.

Dziewczyna wiedziała, że najboleśniej zrani ojczyrna, przestając grać w szachy. Problem polegał na tym, że Nikola kochała tę grę i wprowadzenie tego planu w życie jej również sprawiało ból. Nie była już pewna, co jest ważniejsze, zemsta czy przyjemność z układania szachowych strategii. Póki nie zdecyduje, co dalej, pozostawało jej granie z przyjaciółmi i zakradanie się do klubu pod nieobecność Trojanowskiego.

W soboty wieczorem Franciszek z reguły nie przychodził, a klub był pod opieką jego partnera szachowego Ireneusza Cieślaka. Ireneusz rozumiał chyba, jak skomplikowane relacje łączą teraz mistrza i uczennicę, więc nie zdradzał Franciszkowi, że Nikola ciągle grywa.

– Cześć, Irek – rzuciła Szczepańska.

– Cześć, Nikolka.

– Co dzisiaj tak pusto? – zagadnęła dziewczyna.

W soboty wieczorem zwykle przychodziło kilku stałych graczy. Nikola Szczepańska miała swoich ulubionych przeciwników. Dziś nie było prawie nikogo.

Ireneusz Cieślak wzruszył ramionami.

– Możemy zagrać we dwójkę – zaproponował. – Wiem, że nie jestem na takim poziomie, do jakiego jesteś przyzwyczajona,

ale...

– Dziękuję, Irek. Chętnie zagram mimo wszystko – zapewniła Nikola. – Ale nie mam wiele czasu. Tata pojechał do Brod-Dysku coś załatwić, a potem mnie odbierze i jadę do niego do domu. Jestem u niego w weekendy.

Ireneusz Cieślak rozłożył szachownicę. Nikola poczuła znajomy dreszczyk emocji. Żadnej gry nie dało się porównać z szachami. W jej głowie zrodził się już pomysł, jak poprowadzić dzisiejszą rozgrywkę.

– Białe czy czarne? – zapytał Ireneusz.

To pytanie było właściwie zupełnie zbędne. Szczepańska nie grała z Ireneuszem zbyt często. Może dlatego w ogóle je zadał. Nikola zawsze grała białymi. Wolała nie myśleć, że tego nauczył ją ojczym. Grała czarnymi, tylko jeżeli ktoś bardzo ją o to prosił, a ona z jakiegoś powodu miała ochotę ustąpić.

– Białe, oczywiście – powiedziała.

Ireneusz Cieślak rozstawił figury i przesunął szachownicę w stronę dziewczyny.

– Zaczynaj.

Nikola Szczepańska spojrzała na szachownicę i zrobiła pierwszy ruch. Biały pion z e2 na e4.

Sobotni wieczór był przyjemnie ciepły i pogodny. Idealny na szybką jazdę samochodem. Mimo to młodszy aspirant Daniel Podgórski czuł, że się denerwuje. Głośne bulgotanie silnika błękitnego subaru, które zazwyczaj przynosiło ulgę, tym razem wcale nie uspokajało.

Policjant wytarł spocone dłonie o spodnie. Był pełen obaw co do zbliżającego się wieczoru z Łukaszem. Czy syn nareszcie go zaakceptuje? Czy nielegalne wyścigi po lesie to rzeczywiście dobry przykład dla nastolatka? Daniel zaklął cicho pod nosem.

Chwilę temu podjechał pod dom Emilii Strzałkowskiej, ale nadal nie odważył się wysiąść. Nagle usłyszał za sobą głośny terkot silnika hondy prelude Marka Zaręby. Za późno, żeby się wycofać.

Daniel wyjął kluczyki ze stacyjki i wysiadł z samochodu.

Zerknął w stronę Zaręby. Marek z uśmiechem pokazał Podgórnemu dwa kciuki skierowane w górę.

– Będzie dobrze – powiedział młodszy kolega bezgłośnie.

Daniel odetchnął głęboko i zapukał do drzwi domu wynajmowanego przez Strzałkowskich. Otworzyła mu Emilia.

– Cześć – powiedziała policjantka, mimo że już się dzisiaj widzieli.

Strzałkowska również wyglądała na spiętą, chociaż cały czas uśmiechała się miło, jak to miała w zwyczaju. Zaczesała włosy za ucho.

– Cześć – odpowiedział Daniel. – No to jestem. Łukasz gotowy?

– Spróbuj tego nie spieprzyć, okej? – mruknęła Emilia cicho.

– Łukasz może ci tego nie okaże, ale jest zachwycony wizją nielegalnych wyścigów. Naoglądał się tych wszystkich filmów o samochodach i myśli teraz, że jest szybki i wściekły. Tylko z łaski swojej nie zabij mi syna, dobrze?

Podgórnemu uśmiechnął się do Emilii. Strzałkowska odwzajemniła uśmiech. Przez chwilę Danielowi wydawało się, jakby czas się cofnął i znowu byli w szkole policyjnej w okolicach Warszawy. Młodzi, bez zobowiązań. Bez Weroniki i bez Łukasza.

Stali przez chwilę w kłopotliwym milczeniu.

– Nie zapytasz, jak nam poszło w tym ośrodku pomocy Nowe Horyzonty? – zapytała Emilia, przerywając ten dziwny moment podróży w czasie.

– A jak poszło?

– Próbowaliśmy rozmawiać z niejaką Lolą – wyjaśniła policjantka. – Szło to jak po grudzie. Tym bardziej że ta kobieta jest niemową i podobno ma schizofrenię. Mimo wszystko mam wrażenie, że trochę do niej dotarłam.

– Dowiedzieliście się czegoś? – zapytał Daniel z nadzieją. Czuł, że zaczyna się trochę rozluźniać.

– Nie – przyznała policjantka niechętnie. – Jednak moim zdaniem ta Lola coś wie. Przez moment chyba chciała coś powiedzieć, ale w końcu nic z tego nie wyszło. Ale prawie do niej dotarłam. Naprawdę.

– Prawie do niej dotarłaś?

– Lola ma jakieś zaburzenia emocjonalne i odmawia kontaktu z kimkolwiek. Szef ośrodka nie wytłumaczył tego zbyt dokładnie – wyjaśniła Strzałkowska raz jeszcze. – W każdym razie wydaje mi się, że ta cała Lola wie, kto nocował w tej ruderze naprzeciwko domu Małgorzaty Głuszyńskiej. Tylko nie chce albo nie umie nam powiedzieć. Facet z Nowych Horyzontów obiecał, że spróbuje z nią jeszcze porozmawiać. Twierdził, że ona czasem przez kilka dni jest zupełnie bez kontaktu, a potem niespodziewanie budzi się z letargu. Zobaczmy, co z tego wyniknie.

W korytarzu pojawił się Łukasz.

– O czym gadacie? – zapytał chłopak.

– O niczym szczególnym – odparła ze śmiechem Emilia Strzałkowska. – Jedźcie już, tylko bądźcie ostrożni!

Komisarz Klementyna Kopp nie była do końca pewna, jak to się stało. Pewne było jednak, że się stało. Leżała w łóżku z kobietą u boku. Pierwszy raz od śmierci Teresy.

To było bardzo dziwne uczucie, znowu czuć ciepło ludzkiego ciała tuż obok siebie. Oddech po drugiej stronie łóżka. Spokojne odgłosy obecności drugiej osoby w pustym, małym mieszkanku. Dopiero teraz Klementyna poczuła, jak bardzo tego pragnęła i jak bardzo za tym tęskniła. Jak bardzo to ciepło było jej potrzebne.

Wszystko pięknie, skarciła się w duchu komisarz Kopp. Naprawdę pięknie. Zdradziła Teresę dla odrobiny ludzkiego ciepła. Tak się sprawy miały. Ale! Nie to chyba było najgorsze. Był jeszcze jeden drobny, mały właściwie kłopot. Kobieta, która leżała obok Klementyny w łóżku, była jedna z podejrzanych w sprawie śmierci Małgorzaty Głuszyńskiej. Nic nieznacząca drobnostka, co?

Jakoś samo do tego doszło... Wcześniej tego wieczoru Klementyna wyszła z budynku Komendy Powiatowej Policji w Brodnicy. Pani komisarz była w podłym nastroju. Tylko tak można to było określić. Podły nastrój. Po powrocie

z przesłuchania Michaliny Niewiadomskiej, kiedy komenda prawie już opustoszała, komisarz Kopp starała się wprowadzić w życie swój plan ratowania posterunku w Lipowie.

Klementyna z reguły nie przejmowała się konwenansami. Grzebiąc w starych aktach, czuła jednak, że zachowuje się jak szczeniak. Grzebanie w przeszłości komendanta, szantaż? Odkrywanie dawno poupychanych po kątach spraw? Policjantka była zdania, że każdy coś ukrywa. Mniejszego lub większego. Nie spodziewała się jednak znaleźć takiej historii w życiu komendanta. Nie wiedziała jeszcze, co ma właściwie o tym myśleć. Czy to się w ogóle przyda, żeby uchronić komisariat w Lipowie?

Klementyna poszperała jeszcze trochę. Nie potrafiła na razie ocenić historii z przeszłości szefa jednoznacznie. Musiała dowiedzieć się więcej. Ale w archiwach nie było wystarczająco dużo danych. Czy miała zmęczone od czytania starych dokumentów. Sześćdziesiątka to sześćdziesiątka, co? Za stara.

Komisarz Kopp odłożyła w końcu akta i wyszła z Komendy Powiatowej niezadowolona. W podłym nastroju ruszyła ulicą Zamkową w kierunku swojego domu. Nagle poczuła jednak, że nie zniesie samotności swojego mieszkania. Nie zniesie tej ciszy.

Uczucie nagłej paniki było nieporównywalne z tym, co czuła kiedykolwiek do tej pory. Komisarz Kopp postanowiła więc, że usiądzie gdzieś wśród ludzi, żeby się trochę uspokoić. Ze zdziwieniem zrozumiała, że gwałtownie potrzebuje obecności innych.

Policjantka skręciła w Podzamcze i dotarła na Mały Rynek. Ruszyła szybko ulicą Hallera w stronę Dużego Rynku. Z jednej z piwnic usłyszała muzykę. Pub. Ludzie plus anonimowość. Tego jej było trzeba. Idealnie.

Pub znajdował się w podziemiu, poniżej poziomu ulicy. Klementyna zeszła na dół po wąskich schodkach. Strzyknęło jej coś w kolanie. Ból zniknął jednak tak szybko, jak się pojawił. Weszła do środka. Niskie pomieszczenie wypełniały riffy gitarowe. Jakiś zespół rozpoczynał właśnie koncert na żywo. Młody wokalista machał głową w rytm muzyki. Jego długie

ciemne włosy plątały się wokół twarzy.

– Często tu przychodzisz? – usłyszała Klementyna Kopp za plecami.

Odwróciła się szybko. Tuż za nią z butelką jasnego piwa w dłoni stała Liliana Brzezińska. Kołnierzyk eleganckiej koszuli miała rozpięty, a długie piaskowe włosy nieco potargane, jakby to ona występowała przed chwilą na scenie w głębi lokalu. Nie wyglądała już tak szykownie jak przed budynkiem Brod-Dysku.

– Niezbyt często – przyznała policjantka, przekrzykując muzykę.

– Wyjdziemy stąd? – zaproponowała Liliana gładko.

Komisarz Kopp przytaknęła wbrew sobie. Było coś takiego w twarzy Brzezińskiej, że nie potrafiła odmówić. Wspięły się po wąskich schodkach i wyszły na ulicę. Tutaj muzyka była znowu przytłumiona. Wciąż jednak dobrze słyszalna. Młody wokalista krzyczał ile sił w płucach.

– Przejdziemy się? – zapytała znowu Liliana.

Klementyna Kopp miała niejasne uczucie, że od tej odpowiedzi wiele zależy. Było jej wszystko jedno. Brzezińska mogła sobie zamordować Małgorzatę Głuszyńską. Ale! Była jedynym kompanem do rozmowy w to smętne popołudnie.

No i tak to się stało... Krok za krokiem, słowo za słowem, piwo za piwem, Brzezińska trafiła do łóżka policjantki. Klementyna zerknęła na śpiącą obok Lilianę. To wszystko zdawało się dosyć nierealne.

Komisarz Kopp poważnie się teraz zastanawiała, czy przypadkiem nie postradała już wszystkich zmysłów. Czuła się zupełnie inaczej niż kilka godzin temu przed pubem na Hallera. Wcale nie było jej już wszystko jedno. Seks z Lilianą, żeby uciszyć narastającą panikę i tęsknotę za Teresą... to był błąd. Błąd przez duże „B”.

– Kopp, już raz zrobiłaś z siebie idiotkę – mruknęła pod nosem policjantka. Cichuteńko, żeby nie obudzić Liliany.

Głupia stara baba. Już sprawa z Danielem kilka miesięcy temu była głupotą. Klementyna nie chciała tego doświadczenia powtórzyć. Tylko że... Drobnutki, malutki kłopotek. Niezaprzeczalnie właśnie spała z jedną z podejrzanych.

Szukanie haków na komendanta zakończyło się tym, że teraz to ją samą można było z łatwością złowić na wędkę.

Klementyna jeszcze raz spojrzała na śpiącą Lilianę. Powinna wyrzucić ją stąd już teraz. Natychmiast. Tylko że wcale nie chciała.

– Na to będzie czas jutro – mruknęła komisarz Klementyna Kopp i zasnęła szybciej niż kiedykolwiek.

17 maja 2014

Do zainteresowanych:

Piszę, chociaż tego nie było dzisiaj w planach. Nie mogę się jednak powstrzymać. To i tak bez różnicy. Jedna kartka więcej czy mniej. To czyni powiedzą za siebie, nie słowa.

Jest późno. Bardzo późno. W zasadzie to nie wiem, czy jeszcze jest sobota, czy może już niedziela. Pewnie niedziela. Nie mam ochoty patrzeć na zegarek, żeby to sprawdzić.

Czuję dziwne odrętwienie, mimo że udało mi się przeprowadzić kolejną rozgrywkę.

On już nie żyje. Nie żyje. Fosgen znowu zrobił swoje.

Ciekawe, kiedy ktoś go znajdzie.

Poszło dość łatwo. Nicco trudniej niż z Małgorzatą Głuszyńską, ale się udało.

Czuję satysfakcję.

Niestety razem z nią znowu pojawiają się te nieproszone wyrzuty sumienia. Znowu powtarzam sobie, że tak było trzeba, że to jedyne wyjście. Te zapewnienia niewiele pomagają.

Mam nadzieję, że wytrwam do końca.

Tak przecież było trzeba.

Tak trzeba było.

Poza tym on przecież przyjął zaproszenie. Sam wybrał śmierć, prawda?

Podaję, że osobie postronnej trudno to zrozumieć, ale chyba tak właśnie jest.

Zaraz położę się do łóżka, ale nie wiem, czy uda mi się zasnąć.

Emocje nadal są zbyt silne.

Co będzie dalej?

Nie wiem.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 19

Kolonia Żabie Doły i Brodnica.
Niedziela, 18 maja 2014. Rano

Młodszy aspirant Daniel Podgórski jechał do Brodnicy, pogwizdując wesoło. Razem z Klementyną Kopp mieli dziś przesłuchać Waldemara Gąsiorowskiego. Ojciec Oliwii podobno znał dobrze Małgorzatę Głuszyńską, więc mógł być cennym świadkiem. Albo nawet podejrzanym, poprawił się w duchu Daniel, jeżeli wierzyć zapewnieniom Michaliny Niewiadomskiej.

Był niedzielny poranek, a Daniela czekał cały dzień pracy. Policjant nie przejmował się tym jednak za bardzo. Miał powody do radości. Podgórski był prawie pewien, że wczoraj, podczas wieczornej przejażdżki samochodowej, nawiązał wreszcie pierwszą nić porozumienia z Łukaszem. W tej sytuacji weekend w pracy i przesłuchanie Waldemara Gąsiorowskiego nie mogły popsuć Podgórskiemu humoru.

– Może jeszcze wszystko się jakoś ułoży – powiedział policjant do siebie z zadowoleniem. – Wszystko będzie dobrze.

Nagle nawet sprawa ewentualnego zamknięcia komisariatu w Lipowie, chociaż nadal niewątpliwie bolesna, zeszła na drugi plan. Wszystko się jakoś ułoży, powtórzył sobie Daniel w duchu. Zawsze może przecież pracować w Brodnicy. A może nawet przeniesie się do Warszawy? Tylko co wtedy z Weroniką,

Emilią i Łukaszem? Podgórski poczuł, że dobry humor pryska jak bańka mydlana.

Zaparkował błękitne subaru pod niepozorną szarą kamieniczką niedaleko skrzyżowania ulic Podzamcze i Świętego Jakuba. Tu mieszkała Klementyna Kopp. Policjantka czekała już na niego przed budynkiem. Jedną obutą w ciężki wojskowy trzewik stopę opierała niedbale o mur. Na drugiej kiwała się w przód i w tył. Wyglądało to, jakby miała zaraz upaść, ale zawsze niemal cudem odzyskiwała równowagę.

– Cześć! – zawołał Daniel, uchylając szybę.

Komisarz Kopp tylko kiwnęła głową i wsiadła do samochodu bez słowa. Podgórski zerknął na koleżankę. Policjantka wydawała się dziś jakaś inna. Daniel mógłby nawet zaryzykować twierdzenie, że Klementyna była rozpromieniona. Takim epitetem nie można jej było zazwyczaj obdarzyć.

– Ten pismak znowu uderzył – oznajmiła komisarz Kopp nieświadoma chyba rozważań Daniela.

– Co masz na myśli?

Klementyna wyjęła z plecaka pomiętą gazetę.

– Ten cholerny „Prawdziwy Głos” opublikował artykuł, który rzuca oskarżenia na Lilianę Brzezińską – wyjaśniła policjantka i zmięła gazetę w kulkę. Rzuciła ją ze złością na tylne siedzenie.

– Co masz na myśli? – powtórzył Daniel. – Przecież sama mówiłaś, że oni cały czas publikują coś przeciwko Brod-Dyskowi.

– Tu nie chodzi o fabrykę. Oni twierdzą, że wiedzą, skąd Liliana Brzezińska wzięła fosgen do zabicia mamuśki. Według nich to rzeczniczka Brod-Dysku jest morderczynią. Ciekawe, co? Jak myślisz?

– Kto to napisał? – zapytał Podgórski, chociaż domyślał się odpowiedzi.

– A jak myślisz, co? – prychnęła komisarz Kopp, jakby Daniel zadał jej najgłupsze pytanie na świecie.

– Miłosz Janiszewski?

Na dźwięk tego nazwiska twarz Klementyny wykrzywił natychmiast grymas wściekłości. To chyba była najlepsza odpowiedź.

– Jedźmy już – warknęła Klementyna.

Podgórski włączył silnik. Pojechali ulicą Świętego Jakuba i włączyli się do ruchu na ulicy Kościelnej. Jakiś nieuważny kierowca w czerwonym oplu astrze omal nie obtarł Danielowi drzwi. Policjant przez chwilę rozważał zatrzymanie go, ale w końcu zrezygnował. Nic się przecież nie stało, a oni powinni skupić się na sprawie śmierci Małgorzaty Głuszyńskiej, a nie zajmować się piratami drogowymi.

– Idiota – mruknęła komisarz Kopp.

Daniel Podgórski nie był do końca pewien, czy policjantka miała na myśli jego, czy też drugiego kierowcę. Z Klementyną wszystko było możliwe. Tymczasem czerwona astra zniknęła już za rogiem.

– Skąd według Miłosza Janiszewskiego Brzezińska miała fosgen? – zapytał Daniel, kiedy emocje po niedosłej stłuczce opadły.

– Napisał, że Liliana Brzezińska korespondowała z właścicielem jakiejś fabryki w Chinach – wyjaśniła Klementyna Kopp. – Stamtąd ci z Brod-Dysku zamawiają te całe poliwęglany do produkcji płytek CD. Podobno stamtąd również Liliana miała mieć fosgen. Tak twierdzi pismak.

Daniel skręcił w Henryka Sienkiewicza.

– Już coś takiego rozważaliśmy na odprawie – przypomniał i zerknął przelotnie na koleżankę. Skrzywiła się wyraźnie. – Nie wydajesz się przekonana?

Klementyna wzruszyła ramionami.

– Nie ufam temu pismakowi.

– Dlaczego właściwie tak go nie lubisz? – zaryzykował Daniel.

– Tak naprawdę Miłosz Janiszewski na razie wcale nam nie przeszkadza...

Klementyna Kopp mruknęła coś niezrozumiałego.

– Co mówiłaś?

– „Prawdziwy Głos” cały czas publikuje jakieś wysrane z palca bzdury – mruknęła po chwili Klementyna już bardziej zrozumiale. – Rozwalili mi już kilka śledztw. Nie mam powodu, żeby im wierzyć. To kłamcy, którzy wydrukują wszystko, byle zwiększyć nakład.

– Chyba mimo wszystko powinniśmy to sprawdzić – zasugerował Daniel. Komisarz Kopp poczerwieniała na twarzy ze zdenerwowania. Podgórski rzadko ją taką widywał. – Przecież nadal nie możemy tego wykluczyć. Brzezińska miała motyw i sposobność, żeby zabić matkę. Przy tym nie ma też wiarygodnego alibi.

– Oczywiście sprawdzimy to w swoim czasie. Ale! Moim zdaniem to nic niewarte wymysły. Zwykle bzdury.

Daniel skręcił w ulicę Czwartaków i zatrzymał się na czerwonym świetle. Klementyna Kopp irytowała się na samo tylko wspomnienie Miłosza Janiszewskiego. Pora chyba zmienić temat na bezpieczniejszy.

– Umówiłaś się z tym Waldemarem Gąsiorowskim? On wie, że przyjedziemy? Czy jedziemy w ciemno?

– Tak, tak. Umówiłam się z nim – odparła Klementyna ku zaskoczeniu Podgórskiego. – Tym razem nie chciałam ryzykować, że faceta nie będzie. Ma na nas czekać. Rozmawiałam z nim wczoraj od razu po rozmowie z Niewiadomską.

Pojechali dalej ulicą 18 Stycznia i skręcili w Ceglana.

– Świetnie. Jesteśmy na miejscu.

Waldemar Gąsiorowski mieszkał w jednym z podobnych do siebie bloków przy ulicy Wyspiańskiego. Podgórski zaparkował przed budynkiem. Nagle zauważył, że w jednym z mieszkań na piętrze pootwierane są wszystkie okna. Klementyna Kopp też patrzyła w tę stronę.

– Nie podoba mi się to – powiedział Podgórski cicho.

Nie musiał tłumaczyć. W domu Małgorzaty Głuszyńskiej też były pootwierane wszystkie okna po zachodniej stronie domu. Chociaż z drugiej strony może nie było jeszcze powodów do paniki. Nie mieli nawet pewności, że mieszkanie z otwartymi oknami należy właśnie do Gąsiorowskiego. Robiło się już ciepło i ktoś mógł chcieć przewietrzyć mieszkanie. Najzwyklejszy powód pootwieranych okien. Daniel czuł jednak, że serce zaczyna mu bić szybciej, a w żyłach krąży adrenalina.

Weszli po schodach na górę. Klementyna Kopp zadzwoniła kilka razy do drzwi mieszkania Waldemara. Nikt nie

odpowiedział. Policjantka wyciągnęła telefon z kieszeni skórzanego zakietu.

– Okej. No dobra. Zadzwońię do faceta, co? Może wyszedł.

Podgórski pokiwał głową. Zaczynał odczuwać jeszcze większe napięcie. Klementyna chodziła w tę i z powrotem z telefonem przy uchu.

– I? – zapytał Daniel, mimo że widział doskonale, że policjantka nie połączyła się z Gąsiorowskim.

Klementyna pokręciła głową.

– Co teraz?

Komisarz Kopp nie odpowiedziała. Wyjęła z plecaka rękawiczki i ostrożnie nacisnęła kławkę. Drzwi mieszkania Waldemara Gąsiorowskiego otworzyły się nieznacznie.

– Nie powinniśmy kogoś wezwać? – szepnął młodszy aspirant Daniel Podgórski. – Jeżeli tam jest fosgen... Możemy się potruć.

– Daj spokój, Daniel – odparła komisarz Kopp. – Przecież doktorek mówił, że ten cały fosgen nie jest trwały, co?

Mimo pozorów pewności Daniel usłyszał w głosie Klementyny delikatną nutkę wahania. Postanowił natychmiast ją wykorzystać. Nie zamierzał wchodzić do tego mieszkania, dopóki ktoś, kto się na tym zna, nie stwierdzi, że jest to bezpieczne.

– Zadzwońmy lepiej po kogoś, kto się zna na takich substancjach – zaproponował młodszy aspirant Daniel Podgórski gładko. – Niech oni najpierw tam wejdą.

Klementyna Kopp niespodziewanie pokiwała głową na znak zgody.

Barbara Krakowiak czuła się bardzo zmęczona. Przez całą noc nie mogła spać. Gdyby Małgorzata Głuszyńska żyła, pewnie mogłyby szybko temu zaradzić. Ale sąsiadka nie żyła! Barbara Krakowiak musiała sobie radzić sama.

Wyszła pospacerować, ale niesmak nie mijał. Nie pomogła nawet przebieżka po lesie.

– Wszystko na nic – mruknęła Barbara, wracając do domu

zniechęcona.

W końcu postanowiła, że najlepiej będzie, jeśli pojedzie do Brodnicy posprzątać trochę w nowym biurze Towarzystwa Ekologicznego Cygnus. Była dumna z Cygnusa. Nagle zaśmiała się gorzko. Towarzystwo Ekologiczne? Być może. Tak naprawdę jednak każdy miał tu jakieś swoje cele. Własne.

Barbara Krakowiak wyjrzała przez okno. Znowu zobaczyła tego chłopaka. Kręcił się w pobliżu domu Małgorzaty Głuszyńskiej już kolejny raz.

Ciekawe. Ciekawe.

Komisarz Klementyna Kopp podeszła do ciała. Przed chwilą z mieszkania Waldemara Gąsiorowskiego wyszli specjaliści od chemii. Policjantka nie знаła ich osobiście, ale kojarzyła mętnie niektóre twarze. Na miejscu zjawił się też szef techników kryminalnych ze swoim zespołem i nowy prokurator. Tych znała aż nazbyt dobrze.

Teraz prowincjonalny amant Leon Gawroński pochylał się nad trupem. Na jego przystojnej twarzy malował się nieodgadniony wyraz. W końcu Gawroński wstał i rozejrzał się po pokoju uważnie.

– Znowu jest szachownica – powiedział. Jakby Klementyna sama jej nie zauważyła. – To nie może być przypadek.

Rzeczywiście na kanapie obok ciała Waldemara Gąsiorowskiego leżała szachownica. Figury starannie ułożono w równej odległości od siebie.

– Wszystko wygląda tak jak w przypadku partii rozpoczętej w domu Małgorzaty Głuszyńskiej – stwierdził Leon Gawroński. – I tu, i tam zrobione zostały tylko trzy ruchy.

Klementyna Kopp zerknęła zaciekawiona. Gambit królewski. Tak to się chyba nazywało. Biały pionek przeskoczył z pola e2 na e4, potem czarny pionek odpowiedział skokiem z pola e7 na e5. Ostatni ruch należał do białego pionka z pola f2, który przeniósł się na f4. Taki scenariusz proponował szachista Franciszek Trojanowski. Być może miał rację.

Klementyna przeniosła wzrok na drugą ofiarę. Waldemar

Gąsiorowski okazał się niedomytym grubasem. Biały poplamiony podkoszulek opinał się na wielkim bebechu, a spocone włosy przyklepione były do czaszki. Komisarz Kopp skrzywiła się z niechęcią.

– I jest tatuaż – kontynuował prokurator Gawroński. Jakby nikt inny nie widział świeżej dziary na włochatej piersi zamordowanego. – G:f4. Tym razem chyba nie ma mowy o pomyłce. Też widzicie tu G:f4?

Kilka osób pokiwało głowami.

– Raczej nie ma mowy o pomyłce – zgodził się Daniel Podgórski, który stał nieco dalej. – Pismo jest trochę wyraźniejsze. Poza tym wiemy już, o jaki kontekst chodzi, więc jest łatwiej.

– O ile pamiętam wasze tłumaczenia, to znaczy tłumaczenia tego waszego eksperta od szachów, taki zapis oznacza, że...

– Goniec bije pionka na polu f4 – przerwała prokuratorowi Klementyna. – Przy Głuszyńskiej było G:e5. Na e5 stoi czarny pionek. Ale! Nie mógłby go zbić żaden z gońców, bo nadal są zablokowane przez inne figury. Teraz mamy „goniec na f4”. Na f4 stoi biały pionek. Ale! Nadal wszystkie gońce są zablokowane. To nie ma sensu. Za każdym razem ma bić goniec i za każdym razem nie może tego zrobić.

Klementyna Kopp zakłęła pod nosem. Nikt nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

– Będziecie musieli chyba porozmawiać z tym szachistą jeszcze raz, ale to w swoim czasie – oznajmił prokurator Leon Gawroński. Wyglądał na zamyślonego. – Sprawdźcie na początek, czy sąsiedzi czegoś nie widzieli. To jest blok. Ktoś się tu musiał kręcić. Zawiadomcie też rodzinę Gąsiorowskiego. Jutro rano widzimy się na odprawie i ustalimy, co dalej.

– Czy znowu mamy do czynienia z fosgenem? – usłyszeli z korytarza.

Klementyna Kopp tym razem powstrzymała cisnące się na usta przekleństwa. Nikt nie mógł jej nic zarzucić.

– Proszę tu nie wchodzić! – zawołał jeden z techników, ale Miłosz Janiszewski i tak wdarł się do pokoju. W ręce trzymał swój nieodłączny aparat. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować,

dziennikarz zrobił kilka szybkich ujęć trupa.

– Miłosz Janiszewski, „Prawdziwy Głos” – powiedział pismak, pstrykając kolejne zdjęcie. – Co tu się dzieje?

Klementyna poczuła, że nie zniesie tego ani minuty dłużej, mimo że obiecała sobie, że zachowa spokój.

– Oddawaj aparat – rozkazała.

Miłosz Janiszewski schował aparat do kieszeni skórzanej kamizelki i związał długie włosy w kucyk.

– Moi czytelnicy mają prawo wiedzieć, co tu się dzieje – powiedział twardo. – Co wy ukrywacie? Czy znowu mamy do czynienia z fosgenem?

– Musimy skonfiskować aparat – stwierdził Leon Gawroński z uśmiechem George’a Clooneya. – Bardzo mi przykro.

Bardzo mi przykro? Słowa prokuratora zabrzmiały niespodziewanie szczerze. Gdyby Janiszewski był kobietą, z pewnością zmiękłby przy Gawrońskim, zaśmiała się w duchu Klementyna Kopp. Prowincjonalny amant czasem się jednak przydawał.

– Nie zamierzam niczego oddawać – odpowiedział spokojnie Janiszewski. – To moje narzędzie pracy. Odbieracie mi chleb. Chyba nie chce pan mieć mnie na sumieniu, prawda?

– Z tobą to i tak sobie musimy jeszcze pogadać, co? – rzuciła komisarz Kopp twardo. Zerknęła na Gawrońskiego. Prokurator skinął głową. – Zapraszam do nas do komendy dziś o piątą.

– Dlaczego? – obruszył się dziennikarz. – Wykonuję tylko swoją pracę.

– Wszystko sobie wtedy wyjaśnimy.

Hubert Przybylski znowu zastosował taktykę „na telefon do mamy”. Ostatnio zadziałała idealnie, więc nie zamierzał niczego zmieniać. Rozejrzał się uważnie, jednocześnie mówiąc coś do wymagowanej rodzicielki. Wyglądało na to, że nikogo w pobliżu nie ma.

Przybylski zastanawiał się krótko. To, że Waldemar Gąsiorowski nie żyje, nie oznacza, że trzeba zrezygnować z planu. Wręcz przeciwnie. Zamierzał udowodnić Oliwii, że

potrafi doprowadzić sprawę do końca.

– Tak, tak, mamusiu – perorował dalej chłopak, grając swoją rolę zapamiętane.

Przeszedł się raz jeszcze wzdłuż drogi i stanął pod rozłożystym kasztanowcem. Na ziemi leżały białe kwiatki. Nikt ich nie zamiótł. Nic w tym dziwnego. W końcu Małgorzata Głuszyńska nie żyła. Chłopak schylił się i wziął jeden z kwiatków do ręki.

Kwaciarki już nie było. Było w tym coś niesamowitego. Taka ostateczność, o której Hubert Przybylski wolał nie myśleć. Był młody i jego śmierć przecież nie dotyczyła. Rzucił kwiatek z powrotem na ziemię.

Zgodnie z życzeniem prokuratora młodszy aspirant Daniel Podgórski zapukał do drzwi sąsiada zabitego Waldemara Gąsiorowskiego. W bloku przy ulicy Wyspiańskiego na każdym piętrze były tylko dwa mieszkania. Z punktu widzenia śledczych stanowiło to spory problem. Oznaczało bowiem znacznie mniej potencjalnych świadków. Z drugiej strony wszyscy pewnie lepiej się znali. To mogło z kolei oznaczać więcej ciekawskich spojrzeń.

O dziwo, mimo poruszenia, które zapanowało na korytarzu od przybycia policji na miejsce, mieszkaniac sąsiedniego lokalu nie wychylił nawet nosa przez swoje drzwi. Teraz też nie spieszył się z otwieraniem. Daniel zapukał jeszcze raz głośno. Klementyna Kopp przestępowała z nogi na nogę zniecierpliwiona.

W końcu ktoś wyjrzał przez wizjer. Na wszelki wypadek Daniel pokazał swoją odznakę. Zamki szczęknęły i drzwi otworzyły się nieznacznie. Sąsiad Waldemara Gąsiorowskiego był drobnej postury. Miał zaczesane na prawy bok siwe włosy i niewielki wąsik.

– W czym mogę pomóc? – zapytał.

Starszy mężczyzna zachowywał się tak, jakby za plecami Daniela i Klementyny nie było wchodzących i wychodzących z mieszkania Waldemara techników kryminalnych i ekipy z zakładu medycyny sądowej. Ot, najzwyczajsza w świecie

niedziela. Nic się nie dzieje.

– Musimy pogadać, co? – rzuciła Klementyna i bez pytania weszła do mieszkania.

– Czy coś się stało? – zapytał elegancki starszy pan, cały czas niepomyślnie na zamieszanie panujące na klatce schodowej.

Daniel wszedł za Klementyną do mieszkania. Było skromnie urządzone, ale niewątpliwie schludne.

– Twój sąsiad nie żyje. Oto co się stało – rzuciła Klementyna Kopp. – A ty sobie tu leżakujesz. Ładnie to tak, co?

Starszy pan wyglądał na zszokowanego.

– Waldemar nie żyje?

– Bardzo nam przykro – dodał Daniel, żeby zatrzeć nieco brutalny wydźwięk słów Klementyny. – Czy może nam pan poświęcić chwilę? To bardzo ważne.

– Ależ tak, oczywiście – zapewnił sąsiad zabitego. – W takiej sytuacji! Coś nieprawdopodobnego. Niesłychane! Waldemar Gąsiorowski nie żyje?

– Tak. Zabity – mruknęła Klementyna Kopp.

Nie było sensu ukrywać przyczyny śmierci Waldemara Gąsiorowskiego. Na stronie internetowej „Prawdziwego Głosu” pojawiła się już notatka na ten temat. Miłosz Janiszewski nie próżnował. Zapewne wkrótce pojawią się dalsze teksty. Daniel widział już przed blokiem wóz transmisyjny lokalnej telewizji.

– Tuż obok mnie? – dziwił się dalej starszy pan. – Jak zadzwonię do córki, to mi nie uwierzy. Czy muszę iść zidentyfikować Waldemara?

– To nie będzie potrzebne – zapewnił Daniel.

Identyfikacja dokonała się niejako przypadkiem. Jeden z techników znał Waldemara Gąsiorowskiego z czasów, kiedy ten pracował jeszcze w komendzie. W mieszkaniu były też dokumenty zmarłego. Nie było żadnych wątpliwości, kto siedzi nad szachownicą. Pozostawało tylko kluczowe pytanie: kto i dlaczego go zabił?

– Ach, tak – powiedział sąsiad Gąsiorowskiego. – Myślałem, że takie są procedury.

– Okej. No dobra. Przejdźmy już może do rzeczy, co? Musimy pogadać jeszcze z całym blokiem – wtrąciła się komisarz

Klementyna Kopp. – Widziałeś może coś podejrzanego wczoraj wieczorem, co?

– Co to znaczy wieczorem? – chciał wiedzieć starszy pan.

Klementyna wyglądała na zirytowaną. Rzuciła mężczyźnie mordercze spojrzenie.

– Czy widział pan coś szczególnego przez cały wczorajszy dzień i wieczór? – zapytał Daniel, żeby ułatwić wszystkim sprawę. – Cokolwiek. Może działo się coś innego niż zazwyczaj?

– Kładę się spać dość wcześnie, bo około dwudziestej pierwszej – wyjaśnił starszy pan. – Wtedy to nic się nie działo. Wcześniej natomiast słyszałem krzyki. Tylko że to nie było wieczorem. Raczej po południu.

– Czekał. Stop! Jakie krzyki, co?

Starszy pan zerknął na Daniela. Podgórski uśmiechnął się zachęcająco.

– Nie żebym podsłuchiwał, ale... po prostu zawsze ich słychać, jak się kłócą – powiedział. – Ściany są cienkie, a drzwi nie lepsze. Jak żyła jeszcze mojej świętej pamięci małżonka, to nasze kłótnie też wszyscy słyszeli. Taki już jest ten nasz blok.

– Jaśniej i do rzeczy! – zażądała Klementyna Kopp. – Oni, czyli kto, co? Kto krzyczał?

– Mój sąsiad, Waldemar, zawsze kłócił się z narzeczonym swojej córki. Chyba niezbyt się lubią. Tak mi się przynajmniej wydaje – wyjaśnił starszy pan cierpliwie. – Często się nie zgadzali, ale wczoraj była szczególnie dynamiczna wymiana zdań, powiedziałbym. Potem ten młodzieniec i córka Waldemara wyszli.

– Jak się nazywa ten narzeczony, co?

– Nie wiem – odparł sąsiad denata, kręcąc głową. – Córka nazywa się Oliwia. To taka blondynka mocnej budowy. Zawsze taka była. Od małości. Moja małżonka mówiła, że winne są grube kości. Ja tam nie wiem. Żona moja też była raczej grubokoścista...

– Czy ten... – Daniel zawahał się na chwilę – młodzieniec jeszcze tu wrócił wczorajszego popołudnia? Albo później, już wieczorem?

– Nie widziałem – przyznał starszy pan. – Ale, tak po

prawdzie, to potem oglądałem serial. Niezbyt go lubię, ale moja małżonka zawsze go oglądała, więc już mi tak zostało. Jak tam się gdzieś kiedyś spotkamy, to jej opowiem, co się w serialu wydarzyło, kiedy jej na ziemi zabrakło. Chociaż może ona to i tak już wszystko wie...

– A po serialu co pan robił? – zapytał Podgórski najdelikatniej, jak potrafił. Wolał sam przerwać starszemu panu, niż pozwolić na to Klementynie.

– Po serialu przeczytałem gazetę. I właściwie to tyle – odparł sąsiad zabitego. – Krzyków już w każdym razie więcej nie słyszałem. Jeżeli Oliwia i jej narzeczony wrócili, to już byli cicho. Potem położyłem się spać, a muszę państwu powiedzieć, że śpię jak kamień. Zawsze tak było. Mój świętej pamięci ojciec zawsze powtarzał, że...

– Czekaj. Stop. Na pewno nie wiesz, jak się nazywa ten młodzieniec, chłopak Oliwii, co? Żadnych pomysłów?

– Nie orientuję się niestety – powtórzył starszy pan. – Tylko tyle wiem, że to narzeczony córki sąsiada. On z kolei jest raczej chudy. Chodzi poubierany tak jak to teraz młodzież. Czapka, luźne spodnie. Nie jest zbyt elegancki.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski i komisarz Klementyna Kopp wymienili spojrzenia. Wyglądało na to, że w całej sprawie pojawia się nowy gracz. Narzeczony Oliwii Gąsiorowskiej. Z córką Waldemara i tak będą musieli porozmawiać. Choćby po to, żeby poinformować ją o śmierci ojca. Od niej będą musieli dowiedzieć się więcej. O ile dziewczyna będzie chciała mówić. A jeżeli nie będzie chciała współpracować... Cóż, i tak znajdzie się sposób.

Była niedziela i Stanisław Szczepański zamierzał spędzić cały dzień z Nikołą. Nic nie mogło mu przeszkodzić, oprócz atakujących z każdej strony informacji o śmierci Waldemara Gąsiorowskiego.

Stanisław przeczytał w internetowym wydaniu „Prawdziwego Głosu”, że emerytowanego policjanta znaleziono rano martwego. Informacja płynęła w dzisiejszych czasach chyba

szybciej niż światło. W jednej chwili człowieka mordowano, a w drugiej można było przeczytać o tym w Internecie, prasie i zobaczyć w telewizji.

– Tato, jedziemy? – spytała Nikola Szczepańska.

– Oczywiście, córeczko – zapewnił Stanisław, chociaż zupełnie nie mógł się skupić. Myślał o rodzicach. Jak oni sobie poradzą? – Już jestem gotowy.

Szczepański obiecał córce wyjazd do Torunia. Mieli kupić dla niej kilka sukienek. Robiło się coraz cieplej, więc trzeba było odświeżyć garderobę po zimie. Stanisław zamierzał zresztą zrobić to samo. Odświeżenie garderoby zawsze poprawiało nastrój. Nie tylko kobietom.

Już sama myśl o zakupach trochę Szczepańskiego uspokoiła. Lubił kupować z córką. Zawsze to Nikolka najlepiej Stanisławowi doradzała. Ona i Nadia, poprawił się Szczepański. Jego myśli poszybowały do byłej żony. Z Nadią ciągle mogło się jeszcze ułożyć. Taką przynajmniej dyrektor Brod-Dysku miał nadzieję. Trzeba byłoby się tylko pozbyć z tej rozgrywki Franciszka Trojanowskiego.

Wszystko po kolei, upomniał się w duchu Stanisław Szczepański. Nie można wybiegać za daleko w przyszłość. Na razie trzeba się martwić o to, żeby policja nie znalazła żadnych powiązań pomiędzy nim a Waldemarem Gąsiorowskim.

Przez chwilę Stanisław rozmyślał z drżeniem o tamtej rozmowie telefonicznej. To był najsłabszy punkt. Mogli przecież sprawdzić billingi. Zapewne zawsze to robili. Chociaż może nie było co się bać? Rozmowa miała miejsce już jakiś czas temu. Raczej tak daleko się nie dokopią. Nie ma co panikować.

Chyba...

Po rozmowie z najbliższym sąsiadem Waldemara Gąsiorowskiego młodszy aspirant Daniel Podgórski i komisarz Klementyna Kopp przesłuchali metodycznie pozostałych mieszkańców bloku przy ulicy Wyspiańskiego. Żadna z rozmów nie przyniosła nic nowego, mimo że wśród rozmówców znalazł się też okryty złą sławą były gangster Dybu. Wobec braku

jakichkolwiek nowych informacji Daniel i Klementyna postanowili więc porozmawiać wreszcie z córką zabitego.

Oliwia Gąsiorowska siedziała przed nimi skulona. Była cała zapłakana. Daniel Podgórski czuł, że i jego na ten widok ogarnia przygnębienie. Nawet komisarz Klementyna Kopp zdawała się gotowa dać Oliwii moment na wypłakanie się.

Tusz do rzęs spływał tlenionej blondynce po policzkach. Łzy złościły długie leje w zbyt ciemnym podkładzie, który nałożyła na twarz. Daniel zastanawiał się przez chwilę, czy nie położyć jej pocieszająco ręki na ramieniu. Chociaż tyle.

– No nic – powiedziała w końcu Oliwia Gąsiorowska, ocierając twarz. Resztki makijażu były już teraz zupełnie rozmazane. – Płacz mi tatusia nie przywróci. Pytajcie, o co musicie. Wiem, że tatuś by tak chciał. Też kiedyś był policjantem, nie?

– Jeszcze raz szczerze wyrazy współczucia – powiedział Daniel Podgórski, przybierając oficjalny ton. – Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby znaleźć mordercę pani ojca. Dopilnuję tego osobiście.

Obietnica nie była czcza. Daniel rzeczywiście tak czuł. Waldemar Gąsiorowski był już na emeryturze, ale kiedyś pracował przecież jako policjant. Był kolegą, bez względu na to, jakim był człowiekiem. Mundur zawsze zbliża ludzi.

Nie tylko Daniel Podgórski tak uważał. Na wieść o śmierci Waldemara Gąsiorowskiego w Komendzie Powiatowej w Brodnicy zawrzało. Formalnie sprawą nadal zajmował się prokurator Leon Gawroński ze swoim małym zespołem, ale do śledztwa zgłosiło się natychmiast wielu ochotników gotowych pracować nawet po godzinach.

Stanowiło to wielką różnicę w stosunku do śmierci kwiaciarki Małgorzaty Głuszyńskiej. Emerytowaną panią prokurator mało kto się przejął. Może dlatego, że minęło zbyt wiele czasu, zastanawiał się Podgórski. Małgorzata Głuszyńska zdjęła toę ponad dwadzieścia lat temu.

– Gdzie byłaś wczoraj wieczorem, co? – rzuciła komisarz Klementyna Kopp, nie siląc się już na delikatność.

Oliwia Gąsiorowska wyglądała przez chwilę, jakby znowu

miała się rozpląkać. Otarła oczy, rozmazując resztkę maskary po policzkach.

– Byłam z moim narzeczonym – wyjaśniła powoli dziewczyna. Stopniowo jej głos stawał się spokojniejszy. – Spędzaliśmy romantyczną noc, nie?

– Jak się nazywa pani narzeczony? – podchwycił Daniel. Był najwyższy czas, żeby wreszcie wyjaśnić tę kwestię.

Oliwia spojrzała na Podgórskiego zaskoczona.

– Nazywa się Hubert Przybylski, a co?

Daniel zauważył, że przez twarz Klementyny Kopp przemknął cień. Policjant nie był pewien, co to może oznaczać. Czy zauważyła coś, co on przeoczył?

– Twój tatuś i Hubercik nie za bardzo się lubili, co? – zaatakowała policjantka.

Klementyna mówiła teraz z furją, która zaskoczyła Podgórskiego. Nie miał pojęcia, co właściwie tak ją zdenerwowało.

– Wręcz przeciwnie, bardzo się lubili – oznajmiła Oliwia Gąsiorowska, ale nawet bez informacji uzyskanych od sąsiada Waldemara widać było, że dziewczyna kłamie.

– Mamy świadków, że się bardzo nie lubili, więc mam taką prośbę: przestań już z łaski swojej zmyślać, co?

– Tatuś bywał szorstki – przyznała dziewczyna, rozcierając znowu makijaż po twarzy. – Z drugiej strony bardzo mnie kochał. Chyba nie sądzicie, że ja albo Hubi mieliśmy coś wspólnego ze śmiercią tatusia? To straszne, że go nie ma! Proszę dać mi już spokój! Muszę ułożyć sobie życie na nowo! Mieliśmy z Hubim brać ślub, nie? Nie wiem, co teraz będzie z tym wszystkim. Masakra jakaś, nie?

– Wiemy, że wczoraj miała miejsce kłótnia pomiędzy pani ojcem a pani narzeczoną – powiedział Daniel powoli, wracając do sedna sprawy. – O co się pokłócili?

– Nie pamiętam. Chodziło pewnie o jakieś duperele. To straszne. Naprawdę. Ostatni raz się widzieli i nie rozstali się w pokoju. – Oliwia Gąsiorowska umilkła natychmiast, jakby zorientowała się, że powiedziała trochę za dużo. – To znaczy to nie była wcale poważna kłótnia. Takie tam sprzeczki teścia

z zięciem. Za kilka dni znowu by się kochali. Tatuś już taki był. Szorstki, nie?

Młodszy aspirant Daniel Podgórski był pewien, że Oliwia nie mówi im wszystkiego. Nie wyglądało jednak na to, żeby dziewczyna miała zamiar być bardziej wylewna. Policjant miał tylko nadzieję, że Hubert Przybylski okaże się rozmowniejszy. Chociaż doświadczenie kazało policjantowi wątpić.

ROZDZIAŁ 20

Breslau.

Niedziela, 4 września 1870

Adolf Anderssen spacerował pod rękę z siostrą. Niedawno wrócił do Breslau z wygranego turnieju w Baden-Baden. Dzień był przyjemny i ciepły. Przechadzali się powolnym, leniwym krokiem wzdłuż Odry. Woda płynęła spokojnie, jakby i rzeka zasypiała. W tej chwili trudno było uwierzyć, że gdzieś tam, wcale nie tak daleko, trwa wojna francusko-pruska.

– Adolfie, obacz no – szepnęła siostra. – Przecież to panna Hoffmann. To znaczy pani Braun. Od dawna jej nie widziałam.

Panna Hoffmann? Adolf Anderssen poczuł, że serce bije mu szybciej. To było znajome uczucie wyczekiwania. Nie widział Agnes od 1851 roku. Ciągłe jednak pamiętał jej ostatnie, pełne aprobaty spojrzenie, które rzuciła mu, wychodząc z londyńskiej restauracji Simpson's Grand Divan Tavern. Długie dziewiętnaście lat. Tyle przez ten czas się zmieniło, ale nie niemądre sentymenty Adolfa.

Szachista spojrział w kierunku wskazanym przez siostrę. Rzeczywiście z tamtej strony nadchodziła rodzina Braunów. Agnes Braun opierała się na ramieniu męża. Pan Braun, dużo starszy od żony, był już teraz siwym starcem. Poruszał się chwiejnym krokiem, opierając ciężar ciała na zdobionej laseczce.

Adolf odważył się spojrzeć na panią Braun dopiero po chwili. Trudno było uwierzyć, ale Agnes nie zmieniła się wiele przez te dziewiętnaście lat. Jej twarz była tylko trochę pełniejsza, a włosy poprzetykały gdzieniegdzie nitki uroczej siwizny.

Po drugiej stronie Agnes szła młoda dziewczyna w błękitnej sukni z modną krynoliną. Wyglądała jak panna Hoffmann w młodości. To było niesamowite uczucie.

Adolf Anderssen skłonił się nadchodzącym. Pan Braun uniósł lekko rondo kapelusza, a obie kobiety dygnęły.

– To mój mąż – odezwała się Agnes Braun, wskazując na starca. Pan Braun zdawał się niewiele słyszeć. Patrzył niewidzącym spojrzeniem na mętne wody leniwej dziś Odry. – A to nasza córka, Isabel.

Adolf Anderssen zerknął na młodą kobietę. Isabel odwzajemniła odważnie jego spojrzenie. Podejście do życia odziedziczyła najwyraźniej po matce. Nasza córka, kołatało się po głowie szachisty. Tak powiedziała Agnes. Nasza córka. Czy to mogło oznaczać...

Adolf spojrział pytająco na Agnes. Pani Braun skinęła głową ledwo dostrzegalnie. Anderssen zerknął nieco trwożnie na męża panny Hoffmann, ale pan Braun nie zareagował w żaden sposób. Dlaczego miałyby coś podejrzewać? Słowa Agnes mogły zaiste oznaczać wszystko albo nic.

– Uszanowanie – powiedziała tymczasem siostra, kłaniając się grzecznie.

Adolf drgnął zaskoczony. Niemal zapomniał o jej obecności.

– Gratuluję udanego występu na turnieju w Baden-Baden – powiedziała pani Braun. – Rada byłam niezwykle przeczytać o pana zwycięstwie, panie Anderssen.

Adolf skłonił się uprzejmie.

– Powiodło mi się, dziękuję – przyznał skromnie. – Mniemam, że znajduję państwa w dobrym zdrowiu?

– Oczywiście – odezwał się po raz pierwszy pan Braun. Mówił skrzekliwym, starczym głosem. – Pan był ostatnio w Baden-Baden?

– To jest Adolf Anderssen – powiedziała z naciskiem Agnes. – Mistrz szachowy. Czytałeś o nim niedawno, drogi mężu. Duma naszego Breslau.

– Kto?

– Adolf Anderssen – krzyknęła niemal pani Braun.

Kilku przechodniów odwróciło się w ich stronę. Adolf niepomny był jednakże zainteresowania niedzielnych spacerowiczów. Isabel Braun wpatrywała się w Anderssena intensywnie. Czy Agnes powiedziała córce prawdę, zastanawiał

się Adolf gorączkowo. Czy Isabel wie, że jest jego córką? To było teraz najważniejsze.

Pan Braun zbył żonę ręką.

– Jak linia frontu? – zapytał głośno. Nie wyglądał na zainteresowanego turniejem szachowym. – Wie pan może co?

– W mieście słyhać było strzały artyleryjskie – przyznał Adolf Anderssen. Starał się patrzeć na pana Brauna, ale jego spojrzenie ciągle wracało do Isabel. – Mój imiennik, młody pan Adolf Stern, został nawet zmobilizowany do wojska po czwartej rundzie turnieju. Nie mógł kontynuować rozgrywek. To było bardzo niefortunne.

– Miejmy nadzieję, że tu u nas, w Breslau, spokojnie przeczekamy – wtrąciła się siostra. – Oby tylko walki do nas nie dotarły.

– Czytałam opis pana partii w „La Régence” – powiedziała tymczasem Agnes Braun. Nie musiała mówić, do której partii się odnosi. Adolf Anderssen wiedział. To była ich partia. Nigdy o tym nie zapomniał. – Doprawdy imponująca rozgrywka.

– Czy mówi pani o partii z Londynu z pięćdziesiątego pierwszego roku? – zapytała siostra. – Mój drogi brat wspaniale to rozegrał, nieprawdaż? Jeżeli chodzi o szachy, nikt mu nie dorówna. Teraz w Baden-Baden udowodnił to jednoznacznie. Czy wiedziała pani, że pan Falkbeer nazwał partię z Londynu nieśmiertelną? To wielkie wyróżnienie.

Siostra była wyraźnie dumna. Adolf Anderssen poczuł się nagle skonfundowany tymi pochwałami.

– Wiem. Czytałam o tym z dużym ukontentowaniem – powiedziała Agnes Braun. – Cóż, do widzenia.

Zanim Adolf Anderssen zdążył cokolwiek powiedzieć, Agnes pociągnęła męża i córkę za sobą. Staruszek ledwo nadązał za żoną.

– Panna Hoffmann zawsze była dziwna – mruknęła siostra, kiedy rodzina Braunów odeszła na bezpieczną dla plotki odległość. – Dobrze, że wyszła tak majątnie za męża. Kto by chciał kogoś takiego jak ona? Nie poszłoby jej tak łatwo, gdyby nie koneksje jej ojca.

Adolf Anderssen westchnął tęsknie.

ROZDZIAŁ 21

Lipowo, Stare Świątki i Brodnica.
Niedziela, 18 maja 2014. Po południu

Michalina Niewiadomska włożyła słomkowy kapelusz i wyszła z letniego domku. Rozejrzała się po swojej działce. Po zimie trzeba tu będzie nieźle posprzątać. Tyczyło się to nie tylko samego domku, ale i całej parceli. Trawa wyrosła już wielka, a wśród krzewów królowały wszędobylskie chwasty.

– Wszystko w swoim czasie – mruknęła do siebie Niewiadomska.

Zakasała rękawy. Była pewna, że praca na działce może zdziałać cuda dla jej nadszarpniętego zdrowia. W przeciwieństwie do sanatorium. Planowała pobyc tu jakieś dwa tygodnie. Może nawet trochę dłużej, czemu nie? Miała tu wszystko, czego potrzebowała, a na emeryturze człowiek nie musi się przecież nigdzie spieszyć. Iga też pewnie chciałaby od Niewiadomskiej odpocząć. Może córka zacznie się wreszcie spotykać z mężczyznami? Z matką wiszącą jak kamień u szyi randkowanie raczej było trudne.

– Do dzieła – powiedziała do siebie Michalina.

To nie był czas na rozważania o życiu sercowym córki. Bez Michaliny z pewnością doskonale sobie poradzi. Teraz trzeba się bezwzględnie zabrać do uporządkowania działki. Pracę należy dobrze rozplanować. Niewiadomska wiedziała, że nie zrobi wszystkiego naraz. Nie z tym zdrowiem. Po chwili namysłu postanowiła, że zacznie od skoszenia trawy. To od razu znacząco poprawi wygląd otoczenia.

Wyjęła starą kosiarkę z szopki za domkiem. Maszyna pamiętała chyba jeszcze czasy Polski Ludowej, jak prawie wszystko, co Niewiadomska posiadała. O ile Michalina dobrze liczyła, ta kosiarka mogła mieć ze czterdzieści lat. Co najmniej.

Teraz to już był właściwie zabytek. Dobra socjalistyczna maszyna. Prawie nigdy się nie psuła. Miała też jednak swoje złe strony. Była głośna i niesamowicie ciężka.

– Jak cholera – mruknęła Niewiadomska z wysiłkiem i uruchomiła sprzęt.

Silnik kosiarki pracował tak głośno, że Michalina niemal nie słyszała własnych myśli. Może to i lepiej. Kosiała przez chwilę, zatopiona w wyzwalającym hałasie. Niestety po kilku minutach niechciane myśli znowu zaczęły wypełniać jej skołatany umysł. Niewiadomska miała nieprzyjemne wrażenie, że głowa pęknie jej zaraz od nadmiaru trosk. Czy nie powiedziała policji zbyt dużo? Nie chciała, żeby grzebali i odkryli jej rolę w tym wszystkim. Co teraz będzie?

Tak czy siak Waldemar Gąsiorowski nie żył. To był fakt. Niezaprzeczalny. Iga zadzwoniła przed chwilą i powiedziała, że przeczytała o tym na stronie internetowej „Prawdziwego Głosu”. To całkiem niezłe pismo. Michalina Niewiadomska bardzo je lubiła. Zawsze byli na bieżąco. Nie trzeba było zbyt długo czekać. Tak samo i tym razem...

Niewiadomska skupiła się na koszeniu, porzucając te rozważania. Chciała wyczyścić umysł. Będzie dobrze. Byłe tylko nikt nie grzebał w jej sprawach. Zwłaszcza policja.

Prokurator Leon Gawroński i młodszy aspirant Daniel Podgórski prowadzili rozmowę o niczym. Komisarz Klementyna Kopp nie mogła powstrzymać narastającej szybko fali irytacji, która lada chwila mogła przerodzić się w niekontrolowaną złość.

– Zimy w tym roku prawie nie było. Ciekawe, jakie będzie lato – mówił właśnie Gawroński. – Liczę na ładną pogodę. Przeprowadziłem się do Brodnicy w grudniu, więc nie miałem jeszcze okazji popływać w tych waszych jeziorach.

– Słyszałem, że ma być ciepło, ale zobaczymy – odparł Daniel, wyglądając przez okno. – Robi się coraz ładniej, więc może to rzeczywiście prawda. Zapraszam do nas nad Bachotek. Latem jest naprawdę cudownie, a z Brodnicy będziesz miał niedaleko.

Klementyna Kopp westchnęła głośno. Byli w jej gabinecie i czekali na Miłosza Janiszewskiego. Policjantka odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Przez chwilę rozważała, czy usiąść przy biurku, ale w końcu zrezygnowała. Była na to nadal zbyt poruszona. Przeszępowwała z nogi na nogę i raz po raz zerknęła na zegarek. Dochodziła siedemnasta i zaraz mieli rozpocząć przesłuchanie pismaka. Miłosz Janiszewski ciągle się jednak nie zjawiał.

– Klementyna, a ty masz jakieś plany na wakacje? – zagadnął ją prokurator. Nie wiedział chyba, na jakie niebezpieczeństwo się naraża.

Komisarz Kopp odetchnęła głęboko. Lepiej nic nie mówić. Wyciągnęła notes z plecaka i zaczęła go przeglądać, udając, że zastanawia się nad sprawą. Nie miała ochoty na pogawędkę. Najmniejszej.

Policjantka była wściekła. Rozmowa z Hubertem Przybylskim zupełnie wytrąciła ją z równowagi. Hubert Przybylski? To brzmiało dla Klementyny jak obraza. Teresa nazywała się Przybylska. To było jej nazwisko. Klementyna doskonale zdawała sobie sprawę, że Przybylskich w Polsce jest wielu. Ale irracjonalny gniew nie pozwalał jej się skupić na niczym innym. Zaklęła cicho.

– Coś mówiłaś, Klementyna? – zapytał Leon Gawroński i uśmiechnął się szarmancko.

– Gdzie ten pieprzony pismak, co?! – zawołała komisarz Kopp.

– Spokojnie, jeszcze jest trochę czasu – powiedział prokurator lekko, zerkając na zegarek. – Podejrzewam, że Janiszewski nie będzie chciał sobie robić problemów i zaraz przyjdzie. Nie martw się.

– Spokojnie, co? – rzuciła Klementyna zaczepnie.

Policjantka wiedziała, że wszczynanie kłótni z nowym prokuratorem do niczego dobrego nie doprowadzi. W tym momencie nie mogła się już jednak powstrzymać. Nienawidziła, kiedy ktoś ją uspokajał, gdy była zdenerwowana. Spokojnie. To słowo działało na Klementynę jak płachta na byka.

– Miłosz Janiszewski już chyba idzie – wtrącił się dyplomatycznie Daniel, który nadal wyglądał przez okno. – Właśnie przeszedł przez bramę.

Rzeczywiście wkrótce zadzwonił telefon na biurku komisarz Kopp. Recepcjonista informował, że pan Miłosz Janiszewski stawiał się na przesłuchanie wyznaczone na godzinę siedemnastą.

– Zaprowadźcie go do dwójki – rozkazała Klementyna. – Zaraz tam będę.

Policjantka odłożyła słuchawkę i wyszła ze swojego biura, zostawiając tam prokuratora Gawrońskiego i Daniela Podgórskiego. Usłyszała, że drzwi jej gabinetu zamknęły się, a potem otworzyły i znowu zamknęły. Nie odwróciła się. Wyglądało jednak na to, że mężczyźni ruszyli za nią. Już nie rozmawiali o pogodzie. Ich szczęście.

Dotarli pod pokój przesłuchań numer dwa w dziwnej milczącej procesji. Już wcześniej prokurator zgodził się, żeby to Klementyna przesłuchiwała pismaka Janiszewskiego. Towarzyszyć policjantce miał Daniel Podgórski. Sam Gawroński planował wszystko obserwować z salki za lustrem weneckim.

Klementyna i Daniel weszli do pokoju. Miłosz Janiszewski siedział już przy metalowym stole. Bawił się długopisem i notesem. Zeszyt miał pogiętą brązową okładkę, jakby często służył jako przedmiot do zajęcia dłoni w stresującej sytuacji.

– Witam ponownie – powiedział dziennikarz na ich widok. Oprócz nerwowej zabawy notesem i długopisem Janiszewski zdawał się całkiem opanowany. – Załatwmy to szybko. Pragnę podkreślić, że przyszedłem i chcę współpracować. Nie macie mi nic do zarzucenia.

– Czekał. Stop. Nie mamy ci nic do zarzucenia, co? – zadrwiła Klementyna. Nienawidziła tego człowieka. – O tym to się dopiero przekonamy, co?

– Usiądźmy może – zaproponował Daniel łagodnie.

Policjant zajął miejsce naprzeciwko przesłuchiwanego. Spojrzał wyczekująco na komisarz Kopp. Klementyna nie usiadła. Wolą krążyć po pokoju przesłuchań. Nadal była zbyt

niespokojna, żeby siedzieć.

Podgórski westchnął i włączył dyktafon. Wyrecytował formułkę informującą o czasie, celu i miejscu przesłuchania oraz obecnych osobach.

– Zgaduję, że chcecie pytać o moją byłą żonę – zaczął Miłosz Janiszewski, zanim Daniel zdążył o cokolwiek zapytać. – Chodzi wam o Lilianę Brzezińską, tak? O to cała ta heca? Dobrze myślę?

Klementyna Kopp złapała się na tym, że czuje dziwne mrowienie w całym ciele za każdym razem, kiedy ktoś wymienia nazwisko Liliany. Teraz stało się to samo. Policjantka dotknęła szybko szczęśliwego tatuażu. Oby to chociaż trochę pomogło. Najlepiej trzymać się od Liliany jak najdalej.

Ta noc z Brzezińską to był niewątpliwie błąd. Komisarz Kopp czuła wściekłość na siebie za każdym razem, kiedy o tym myślała. Seks z podejrzaną? Nie powinna była do czegoś takiego dopuścić. Wyglądało na to, że im jest starsza, tym bardziej głupieje. Odwrotnie niż cała reszta ludzkości. A może to już demencja, co? Jakby sprawa z Danielem kilka miesięcy temu jej nie wystarczyła. Jesteś głupią, starą babą, Kopp.

Tymczasem Janiszewski zaczął metodycznie zakładać i zdejmować skuwkę od długopisu. Wyglądało na to, że za fasadą względnego spokoju coś się jednak kryło.

– Chodzi wam o Lilianę? – upewnił się raz jeszcze dziennikarz.

– Okej. No dobra. Możemy od tego zacząć – powiedziała komisarz Kopp wspaniałomyślnie. Niech pismak straci na chwilę choć trochę czujności. Już ona znajdzie lukę w jego wersji wydarzeń. – Napisałeś w tym twoim... brukowcu, że Liliana Brzezińska zamawiała fosgen z Chin, co? Tak było, co?

– Dokładnie tak – odparł Miłosz Janiszewski. Wyglądał teraz na ożywionego. – Opowiem może wszystko po kolei. Wy potem możecie sami połączyć fakty.

– Świetnie – wysyczała komisarz Kopp.

– Sprawa wygląda tak. Małgorzata Głuszyńska zginęła zatruta fosgenem. Zgaduję, że Waldemar Gąsiorowski również. Czy może się myłę?

Ani Klementyna, ani Daniel nie odpowiedzieli. Dziennikarz pokiwał głową, jakby taka odpowiedź mu wystarczyła.

– No nic. W każdym razie moja była żona, Liliana, zamawiała fosgen z Chin – kontynuował Janiszewski. – Miała go z fabryki, gdzie ona i Stanisław Szczepański kupują poliwęglany na te swoje płyty CD w Brod-Dysku. Uważam, że to niezwykle ważny ślad. Dlatego podzieliłem się nim z moimi czytelnikami. Uważam, że ludzie powinni wiedzieć, z kim mają do czynienia. Liliana Brzezińska jest niebezpieczna.

– Skąd ma pan informacje na temat zamawiania fosgenu z Chin przez panią Brzezińską? – zapytał Daniel Podgórski. – Jeżeli ma pan rację i rzeczywiście ludzie z Brod-Dysku zamawiali fosgen w celu popełnienia morderstwa, to pani Brzezińska pewnie raczej się z tym nie obnosi. Trudno mi sobie wyobrazić, skąd wziął pan takie informacje.

W głosie Daniela rzadko pojawiała się sarkastyczna nuta. Ale tym razem nie dało się jej nie usłyszeć. Klementyna uśmiechnęła się pod nosem.

– Oczywiście, że się nie obnosi – zachnął się Miłosz Janiszewski. – Proszę tak nie żartować. Liliana nie jest głupia. Niestety jest wręcz przeciwnie! Moja była żona jest niezwykle przebiegła. Zresztą tak jak i jej matka.

– Czekaj. Stop. Co masz na myśli, co? – podchwyciła Klementyna Kopp. Im więcej mieli informacji na temat Małgorzaty Głuszyńskiej, tym lepiej.

Dziennikarz zaśmiał się cicho.

– Tylko tyle, że Małgorzata Głuszyńska i Liliana Brzezińska są z jednej krwi. Dosłownie i w przenośni. Tylko tyle – powiedział, przelękając głośno ślinę. – W każdym razie, wracając do pana pytania, skąd wiem o całej sprawie. Otóż jeszcze za czasów naszego z Lilianą małżeństwa odkryłem jej hasło do poczty mailowej...

– Odkryłeś, co? Dobre sobie!

Miłosz Janiszewski spojrział na Klementynę wściekle.

– Proszę mówić dalej – poinstruował Daniel Podgórski, jak zawsze gotów ratować sytuację.

– Oczywiście nigdy się nie zdradziłem z tym, że znam hasło –

kontynuował Janiszewski, co jakiś czas zerkając niechętnie w stronę komisarz Kopp. – Po rozwodzie Liliana nie zmieniała go, więc nadal mogłem zaglądać do jej skrzynki mailowej. Co czyniłem od czasu do czasu, przyznaję szczerze. Moja słabość. Ale wiecie przecież, że ja i Liliana nie rozstaliśmy się w przyjaznych stosunkach.

– Coś nam się obilo o uszy – stwierdziła Klementyna, nie wchodząc w szczegóły.

Miłosz Janiszewski znowu spojrzął na policjantkę niechętnie. Komisarz Kopp zaśmiała się cicho. Daniel odchrząknął, sprowadzając ich na ziemię.

– Proszę mówić dalej.

– Tak więc któregoś razu zalogowałem się do skrzynki Liliany i, ku mojemu najwyższemu zdziwieniu, znalazłem wymianę maili na temat fosgenu – zakończył swoją opowieść dziennikarz. – Przyznam, że byłem dość zaskoczony, że Liliana załatwiała fosgen w ten sposób. Przecież maile można wyśledzić. No, ale cóż...

– Tak. Maile można wyśledzić, więc z pewnością nasz informatyk wszystko dobrze sprawdzi – zapewniła Klementyna Kopp lekko. Obserwowała pismaka uważnie, ale Janiszewski nie spuścił wzroku ani w żaden inny sposób nie zareagował na tę zawołaną groźbę. Albo Miłosz mówi prawdę, albo zupełnie nie docenia policji. – Okej. No dobra. Teraz kolejna kwestia. Twoja znajomość z Głuszyńską. Co o tym powiesz, co?

Miłosz Janiszewski wzruszył ramionami.

– A co miałbym powiedzieć?

– Podobno państwo znali się dość dobrze – powiedział Daniel. – Pan i pani Małgorzata Głuszyńska. To prawda?

– Można chyba tak powiedzieć – przyznał dziennikarz. – Małgosia była moją teściową. Znałem ją dłużej niż Lilianę. Poznałem Małgosię jakieś szesnaście, może siedemnaście lat temu. Głuszyńska była prokuratorem jeszcze kilka lat po przejściu na emeryturę. W tym czasie prowadziła już tę swoją kwiaciarnię, ale chyba brakowało jej dawnego życia. W każdym razie zgodziła się ze mną współpracować.

– Na czym dokładnie polegała ta współpraca?

– Małgosia Głuszyńska tłumaczyła mi różne kwestie prawne i karne – wyjaśnił Miłosz Janiszewski. – Byłem wtedy kimś w rodzaju dziennikarza śledczego. Korzystałem z jej porad i informacji. No i tak się złożyło, że to właśnie przez nią poznałem Lilianę. Po moim ślubie z Brzezińską ja i Małgosia spotykaliśmy się oczywiście również w sytuacjach rodzinnych.

– Nadal pomagała ci przy tej twojej pisaninie, co? – zapytała Klementyna złośliwie.

– Czasami.

– Jak pan ocenia relacje matki i córki? – zapytał Podgórski. – W jakich stosunkach były Małgorzata Głuszyńska i Liliana Brzezińska?

Miłosz Janiszewski znowu zaczął bawić się długopisem. Klementyna Kopp podeszła do niego i zabrała mu przedmiot. Nie mogła już znieść tego monotonnego pstrykania. Dziennikarz tylko uśmiechnął się pod nosem, jakby to on wygrał tę potyczkę.

– Odpowiadaj – rzuciła komisarz Kopp cicho.

– Relacje Liliany i Małgorzaty zawsze były napięte – stwierdził Janiszewski. Uśmiezek nadal wykrzywił mu usta. – Liliana miała matce za złe, że zawsze bardziej kochała jej zmarłego brata. Chłopak nazywał się bodajże Michał. Z tego, co mi wiadomo, utopił się podczas jakiegoś rejsu. On i ojciec Liliany. Małgosia nigdy się z tym nie pogodziła. W każdym razie musicie wiedzieć, że Liliana bywa chorobliwie zazdrosna. Nie tylko o brata. Mówię ogólnie.

– Co było potem?

– No, a potem... cóż, ja i Liliana rozstaliśmy się. Wtedy Liliana zerwała też stosunki z matką. Z tego, co wiem, nie utrzymywały kontaktów od czasu naszego rozvodu.

– Czy po rozwodzie z Lilianą widywał się pan z byłą teściową? – chciał wiedzieć Daniel.

Miłosz Janiszewski położył ręce na metalowym blacie stołu. Pocił się. Na lśniącym metalu pozostały wilgotne plamy w kształcie jego dłoni.

– Widywaliśmy się sporadycznie. Do momentu, kiedy dowiedziałem się o powstaniu Brod-Dysku i zacząłem badać

sprawy dokładniej. Okazało się, że Małgosia Głuszyńska też była przeciwko Brod-Dyskowi. Założyła Towarzystwo Ekologiczne Cygnus razem z Barbarą Krakowiak. To już pewnie wiecie, prawda? Dołączyłem do nich – wyjaśnił dziennikarz. – No więc w ten sposób zaczęliśmy znowu częściej się spotykać. Ja i Małgosia ponownie zwarliśmy szyki w ramach Towarzystwa Ekologicznego. Tym razem przeciwko zanieczyszczeniu środowiska, a nie przeciw kryminalistom. Ekologia to jest niezwykle ważny temat. Nie możemy ignorować...

– Czekał. Stop – przerwała mu komisarz Kopp. – Wszystko pięknie. Ptaszki ćwierkają i tak dalej. Cudownie. Ale! Na jakiej podstawie twierdziliście, że w Brod-Dysku w ogóle jest ten fosgen, co? Zakład przeszedł wszystkie testy, atesty itd., itp. Coś mi tu nie pasuje. Sorki.

Miłosz Janiszewski skrzyżował ręce na piersi.

– Nie wiem, czy pani się orientuje, pani komisarz, ale do wyrobu poliwęglanów potrzebny jest fosgen.

Klementyna Kopp podeszła do stołu i usiadła na krześle obok Daniela. Spojrzała na Janiszewskiego spod oka.

– Okej. No dobra. Znowu wszystko pięknie – zaśmiała się. – Ale! Oni w Brod-Dysku nie produkują poliwęglanów. Oni korzystają z już gotowych materiałów, które nie są niebezpieczne. Wiesz o tym, co? Coś mi mówi, że ta krucjata na rzecz środowiska to była tak naprawdę twoja prywatna potyczka z byłą żoną, co?

– Moi czytelnicy mają prawo wiedzieć, co się dzieje – powtórzył Miłosz Janiszewski swoją mantrę, jakby nie dosłyszał, co powiedziała Klementyna przed chwilą.

– Niewątpliwie. Niewątpliwie – zapewniła natychmiast komisarz Kopp. – Kłopot w tym, że to, co ty wypisujesz w tym swoim żalonym brukowcu, jest gównem, co? Same kłamstwa w „Prawdziwym Głosie”. Nic więcej.

Daniel Podgórski odchrząknął. Znowu.

– Czy przychodzi panu do głowy ktokolwiek, kto mógłby być wrogiem pani Małgorzaty Głuszyńskiej? – wtrącił się policjant.

– Liliana Brzezińska – odparł Miłosz Janiszewski bez

wahania.

– A oprócz niej?

Dziennikarz zastanawiał się przez chwilę.

– Może ta Barbara Krakowiak – powiedział w końcu.

– Sąsiadka Głuszyńskiej, co? – podchwyciła Klementyna Kopp.

Barbara Krakowiak nie podobała jej się od początku. Była znacznie lepszą kandydatką na morderczynię niż Liliana. Tym razem policjantka miała ochotę posłuchać tego pismaka nieco uważniej.

– Tak. Ona też mogła źle życzyć Małgosi.

– Niby czemu, co? Szczegóły! To mnie interesuje.

Dziennikarz pokiwał głową.

– Już mówię o szczegółach, pani komisarz. Na jednym ze spotkań Cygnusa widziałem, jak Barbara Krakowiak dosypała coś Małgosi do herbaty – wyjaśnił Janiszewski głośno i wyraźnie. – Potem moja teściowa nie czuła się najlepiej. Miała biegunkę i torsje.

– I nic pan nie zrobił? – zapytał Podgórski. – Nie poinformował pan nikogo?

– Co miałem niby zrobić według pana? Głuszyńska nie umarła przecież od tego, prawda? Nie chciałem się wtrącać. Poza tym w tamtym momencie, kiedy widziałem, co robi Barbara, nie skojarzyłem, że coś się dzieje. Dopiero potem, kiedy Małgosia źle się poczuła, pomyślałem, że to było trochę dziwne. Mówię o tym tylko dlatego, że pan zapytał – podkreślił dziennikarz. – Nadal uważam, że to Liliana Brzezińska zabiła matkę i teraz Waldemara Gąsiorowskiego. Z tego, co widziałem dziś na miejscu zbrodni, u Gąsiorowskiego wszystko było tak jak u Głuszyńskiej. Czy może się myłę?

– A no właśnie, właśnie – podchwyciła Klementyna Kopp. – Jak to się dzieje, kochasiu, że znajdujesz się we wszystkich miejscach zbrodni, co?

Dziennikarz zaśmiał się ostro.

– Pani komisarz, jakby to było takie trudne. Słucham was na waszej własnej częstotliwości. Wszyscy to robią. Aż dziwne, że inni dziennikarze nie zlecieli się od razu jak muchy. Co prawda

to tym lepiej dla mnie. Ja zawsze byłem pierwszy na miejscu. To fakt. To nie czyni ze mnie jeszcze mordercy – dodał Miłosz Janiszewski na wszelki wypadek. – Te insynuacje są śmieszne. Wiem, że pani mnie nie lubi, pani komisarz, ale żeby mnie teraz wrabiać? Nie, tego już za wiele. Może napiszę nawet o tym artykuł do „Prawdziwego Głosu”. Myślę, że mój szef bez problemu zgodzi się na publikację.

– Wtedy prawdopodobnie stanie przed sądem za zniesławienie. Komisarz Kopp wykonuje tylko swoją pracę – wtrącił się Daniel. Klementyna wzdygnęła się. Podgórski zawsze starał się być rycerski. Czasem miała już tego dosyć. Na przykład teraz. – Wróćmy może do Waldemara Gąsiorowskiego. Znał go pan?

– Trochę – przyznał dziennikarz. – Wiem, że Gąsiorowski przez kilka lat pracował tu w policji, a przedtem był milicjantem. Raz czy dwa może rozmawiałem z nim w jakiejś sprawie, o której pisałem jakiś artykuł. Nie pamiętam dokładnie.

– Podobno on i Małgorzata Głuszyńska znali się dość dobrze?

– Nie wiedziałem, ale to oczywiście niczego nie wyklucza. Od kiedy ja znam Małgosię, nie utrzymywała chyba kontaktów z Waldemarem.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Dyktafon na metalowym stole pracował miarowo. Miłosz Janiszewski w skupieniu oglądał swoje dłonie. W końcu spojrzał na Daniela.

– W każdym razie, wracając jeszcze do pana wcześniejszego pytania. Tego o wrogów Małgosi – zaczął dziennikarz, przerywając milczenie. – Teraz pomyślałem, że przecież jest jeszcze Stanisław Szczepański. To jest dyrektor Brod-Dysku.

– Wiemy, kim on jest – ucięła Klementyna Kopp.

– A wiedzieliście, że Szczepański groził zarówno mnie, jak i wszystkim z Towarzystwa Ekologicznego Cygnus? – zapytał Miłosz Janiszewski triumfalnie. – Chciał kogoś na nas nasłać, jeżeli nie przestaniemy hamować produkcji Brod-Dysku. Co powiecie na to?

Barbara Krakowiak twierdziła dokładnie to samo. Klementyna Kopp pamiętała to doskonale. Czy oboje kłamali? Czy dyrektor Brod-Dysku naprawdę im groził?

– Czekaj. Stop. To poważne oskarżenia. Zwłaszcza w tej sytuacji. Masz jakiś dowód, co?

Janiszewski pokręcił głową.

– Muszę z przykrością stwierdzić, że nie – powiedział dziennikarz. – To się stało co prawda tylko raz. Nie spodziewałem się, że Szczepański powie coś takiego. Dlatego nie byłem przygotowany. Nie włączyłem dyktafonu. Niestety. Proszę zauważyć też, że dlatego właśnie nie wspomniałem o tym w moim artykule. Ja publikuję tylko sprawdzone informacje i takie, na które mam twarde dowody. Wbrew temu, co pani twierdzi, pani komisarz. To, co napisałem o Lilianie i fosgenie, jest prawdą. Nie jestem tylko pewien, czy Brzezińska działa sama, czy do spółki ze Stanisławem Szczepańskim. W każdym razie to Liliana zamówiła fosgen. Prawdopodobnie po to, żeby zabić znenawidzoną matkę i przy okazji sprawić, że produkcja w Brod-Dysku ruszy.

– Okej. No dobra. Znowu wszystko pięknie i cacy – zapewniła Klementyna. – Opracowałeś świetny motyw. Ale! Masz jakieś wyjaśnienie, dlaczego Liliana Brzezińska miałaby zabijać Waldemara Gąsiorowskiego, co?

– Czyli potwierdza pani, że Waldemar Gąsiorowski zginął dokładnie w ten sam sposób co Małgosia! – wykrzyknął dziennikarz z satysfakcją. – Miałem rację!

– Proszę dać spokój. Był pan na miejscu – stwierdził spokojnie Daniel Podgórski. – Niech pan lepiej odpowie na pytanie. Czy pana żona była w jakikolwiek sposób związana z Waldemarem Gąsiorowskim? Mogła mieć jakikolwiek motyw, żeby go zabić?

Miłosz Janiszewski pokręcił głową. Wyglądał na zawiedzionego.

– Nic o tym nie wiem, ale to jeszcze niczego nie wyklucza – zapewnił. – Liliana musiała mieć jakiś powód, żeby zabić Gąsiorowskiego. W końcu to ona zamówiła ten fosgen. Są maile na potwierdzenie.

– Nasi informatycy na pewno to sprawdzą – zapewniła komisarz Klementyna Kopp raz jeszcze. – Tym to się nie martw, co?

Hanna Szczepańska wyłączyła komputer i wyszła przed dom. Tadeusz pracował przy woliarach z czarnymi łabędziami.

– Tadeusz! – zawołała do męża. – Tadek!

Mąż wyszedł z woliery i zamknął wejście za sobą. Włosy miał zmierzwiłone, a twarz zaczerwienioną od słońca. Robiło się naprawdę ciepło. Prawie letnio. Natura gwałtownie budziła się do życia. W hodowli ptaków ozdobnych nigdy nie było piękniej niż wiosną.

– Co się dzieje? – odkrzyknął Tadeusz Szczepański.

Hanna rozejrzała się dookoła. Po hodowli kręciło się kilkoro zwiedzających. Hubert Przybylski przyszedł dopiero chwilę temu i teraz cierpliwie oprowadzał ciekawskich z Brodnicy. Były to chyba dwie rodziny z dziećmi, o ile Hanna mogła ocenić. Malcy biegali zafascynowani kolorowymi ptakami. Szczególnie spodobała im się rozella żółtolica. Parka tych papużek niedawno zamieszkała przy samym wejściu do hodowli.

Nie, Hanna raczej nie powinna krzyczeć do męża, kiedy wokół było tylu ludzi. Zrobiła przyzywający gest ręką.

Pan Szczepański wzruszył ramionami niechętnie, ale zaczął iść w jej kierunku. Wyglądał na zmęczonego. Może byli już za starzy do tej pracy? Szkoda, że Stanisław zajmuje się Brod-Dyskiem, a Lena poszła do pracy w Brodnicy. Przydaliby się tu w hodowli.

– Co się dzieje? – powtórzył mąż.

– Przed chwilą przeglądałam stronę internetową „Prawdziwego Głosu” – wyjaśniła cicho Hanna. – Podobno Waldemar Gąsiorowski nie żyje! Musiałam ci to powiedzieć natychmiast.

Hanna Szczepańska spojrzała na męża wyczekująco. Tadeusz jednak nie zareagował w żaden sposób na tę poruszającą nowinę. Nie tego się spodziewała.

– Wiesz, o kogo chodzi, prawda? – upewniła się Hanna.

– Oczywiście, że tak. Jak mógłbym nie wiedzieć, o kim mówisz.

Hanna Szczepańska pokiwała głową.

– No więc on podobno nie żyje.

– Tym lepiej, prawda? – odparł Tadeusz twardo i obrócił się na pięcie.

Hanna Szczepańska nie zamierzała pytać o nic więcej.

Od razu po przesłuchaniu Miłosza Janiszewskiego prokurator Leon Gawroński wysłał młodszego aspiranta Daniela Podgórskiego i komisarz Klementynę Kopp do Liliany Brzezińskiej. Po rewelacjach Janiszewskiego na temat zamawiania fosgeny musieli przynajmniej sprawdzić alibi Liliany na czas śmierci Waldemara Gąsiorowskiego. Kwestią rzekomych e-maili zajmą się jutro z samego rana informatycy z Komendy Powiatowej.

Kamienica, gdzie mieszkała rzeczniczka prasowa Brod-Dysku, znajdowała się przy samym rynku i była pięknie odnowiona. Z pewnością robiła wrażenie. Mimo że zapadał już wieczór, po mieście nadal kręciło się sporo ludzi. Może dlatego, że pogoda tak bardzo dopisywała. Część osób siedziała w porozstawianych naprędce restauracyjnych ogródkach. Inni przechadzali się po rynku bez celu. Kilkoro nastolatków popijało piwo na ławce, spoglądając arogancko dokoła. Interwencja raczej nie była potrzebna. Zachowywali się spokojnie.

Daniel jeździł przez chwilę wokół rynku w poszukiwaniu miejsca parkingowego. W końcu wcisnął się pomiędzy dwa krzywo zaparkowane pojazdy i wyłączył silnik. Zerknął na koleżankę. Klementyna od rana wyglądała na spiętą, ale teraz było chyba jeszcze gorzej.

– Wszystko w porządku? – upewnił się Podgórski, wysiadając z samochodu.

– Idziemy – rzuciła policjantka szorstko, unikając odpowiedzi.

Z furią zatrzasnęła drzwi błękitnego subaru i ruszyła w kierunku kamienicy, gdzie mieszkała Liliana Brzezińska. Daniel poszedł za komisarz Kopp zaskoczony. Klementyna zachowywała się dziwnie. Nawet jak na siebie.

Drzwi do budynku okazały się zamknięte. Podgórski wybrał więc na domofonie numer mieszkania Liliany.

– Słucham? – rozległ się zniekształcony przez mechanizm głoś Brzezińskiej.

– Jesteśmy z policji – wyjaśnił Daniel. – Rozmawialiśmy już z panią w Brod-Dysku, ale wynikły pewne nowe okoliczności i...

– Chodzi o artykuł mojego męża? – zgadywała Liliana.

– Możemy wejść? – zapytał policjant zamiast odpowiedzi.

Rozległo się brzęczenie i drzwi otworzyły się z trzaskiem. Klementyna Kopp weszła szybko na klatkę schodową i ruszyła po schodach na górę. Daniel nie mógł za nią nadążyć. Przypomniało mu się nagle, jak byli w pewnej starej kamienicy, kiedy pracowali nad sprawą Motylka. Wtedy również Klementyna pędziła po schodach, nie zważając na niego.

Liliana Brzezińska czekała na nich w otwartych drzwiach mieszkania. Ubrana była w eleganckie spodnie i wyprasowaną bluzkę. Wyglądało na to, że rzeczniczka prasowa Brod-Dysku nigdy nie chodzi w poplamionym dresie. Nawet w domu. Chyba że zdążyła się przebrać, kiedy wchodzili po schodach, zastanawiał się Daniel.

– Zapraszam – powiedziała Liliana, uśmiechając się uprzejmie.

Daniel wszedł do środka, oddychając ciężko. Powinien bardziej zadbać o kondycję. Kiedy skończy się to śledztwo, może wreszcie zacznie ćwiczyć.

Liliana zamknęła za nimi dwuskrzydłowe drewniane drzwi. Podgórski rozejrzał się dookoła. Mieszkanie było przestronne i dobrze oświetlone. Mimo zapadającego zmierzchu do środka nadal dostawało się sporo światła. Meble zrobiono z jasnego drewna, a wszędzie dominowała biel, czerń i szarości. Podgórskiemu od razu przypomniało się mieszkanie Małgorzaty Głuszyńskiej w kolonii Żabie Doły. Było urządzone bardzo podobnie. Matka i córka, mimo wzajemnych animozji, musiały chyba jednak mieć ze sobą coś wspólnego. A przynajmniej lubiły ten sam styl urządzenia mieszkania, poprawił się w duchu Podgórski.

– Proszę siadać – powiedziała Brzezińska.

Daniel usiadł na szarej sofie, ale Klementyna nadal stała. Zupełnie jak podczas przesłuchania Miłosza Janiszewskiego.

– Napiją się państwo czegoś? – zapytała Liliana równie uprzejmie jak przedtem.

Podgórski nie był pewien, ale wydawało mu się, że Brzezińska wymówiła słowo „państwo” ze szczególną starannością. Daniel zerknął na Klementynę Kopp, żeby sprawdzić, czy i ona to zauważyła. Policjantka odwróciła się i podeszła do okna, unikając jego wzroku. Wyjrzała na rynek, jakby cała ta wizyta jej nie dotyczyła.

– Nie trzeba. Bardzo dziękujemy – odpowiedział szybko Daniel w imieniu ich obojga. – Wiemy, że jest niedziela po południu, ale... no tak, jak mówiłem. Wynikły nowe okoliczności i musimy wyjaśnić z panią kilka kwestii. Postaramy się załatwić to jak najszybciej.

– Wiem, że chodzi o ten artykuł Miłosza w „Prawdziwym Głosie” – stwierdziła Liliana Brzezińska spokojnie. – Zastanawiam się poważnie nad tym, żeby pozwać mojego byłego męża do sądu. Mam już powoli dosyć tego, że Miłosz ciągle szkaluje moje dobre imię. Teraz wymyślił, że sprowadzam fosgen, żeby zabijać ludzi. To jest niedorzeczne. Ja i moja matka miałyśmy trudne stosunki, już mówiłam coś na ten temat, kiedy rozmawialiśmy ostatnio. To nie znaczy, że ją zabiłam. Ale wymyślanie tych historii z zamawianiem fosgenu mailem z Chin to szczyt wszystkiego. Bzdury wyssane z palca. Brod-Dysk nie jest zakładem chemicznym. My tylko chcemy produkować zwykłe płyty. Nie ma w tym nic złego. Ludzie kochani.

Teraz Liliana nie wyglądała już wcale na spokojną. Oddychała prawie równie szybko jak Daniel po pokonaniu schodów przed chwilą.

– Wyjaśnijmy sobie wszystko po kolei. Czy korzystają państwo z usług fabryki w Chinach, którą wymieniono w artykule?

Liliana Brzezińska pokiwała głową.

– Korzystamy. To znaczy korzystalibyśmy, gdybyśmy tylko nareszcie rozpoczęli produkcję. Co, mam nadzieję, stanie się

już wkrótce. Kupujemy od nich gotowe materiały do produkcji płyt. Tylko tyle.

– Będziemy musieli sprawdzić pani korespondencję mailową – uprzedził Podgórski.

Liliana prychnęła głośno.

– To już w ogóle jest śmieszne.

– Przykro mi, nie mamy wyjścia.

– Nie o to mi chodzi – powiedziała Brzezińska z szerokim uśmiechem. – Sprawdzajcie sobie te moje maile. Tylko że ja od dawna już nie korzystam z tej skrzynki, o której pisze Miłosz. Wiedziałam, że Miłosz odkrył hasło. To znaczy zgadywałam, że to pewnie on. Kiedy tylko zorientowałam się, że coś takiego mogło się zdarzyć, zaczęłam korzystać tylko z adresu służbowego. Do niego Miłosz nie ma dostępu.

– Sprawdzimy to wszystko – odezwała się po raz pierwszy Klementyna. Nadal wyglądała przez okno. – A Waldemara Gąsiorowskiego znasz, co?

Brzezińska uśmiechnęła się znowu. Spokojnie.

– Chyba był jednym z policjantów, z którymi kiedyś współpracowała moja matka – wyjaśniła Liliana. – Kojarzę jego nazwisko. Dlaczego o niego pytacie?

– Podobno czytasz gazety – syknęła Klementyna.

Liliana spojrzała na policjantkę dziwnie.

– Rano przeczytałam, co wypisywał Miłosz, a potem już nigdzie nie zaglądałam. Wnioskuje, że Gąsiorowski też nie żyje. Dlatego tu jesteście?

Daniel Podgórski pokiwał głową.

– Jeden ze świadków zeznał, że Waldemara Gąsiorowskiego i pani matkę łączyły kiedyś bliższe stosunki zawodowe. – Podgórski nie zamierzał wymieniać nazwiska Michaliny Niewiadomskiej, mimo że to właśnie Liliana poradziła im, żeby porozmawiali ze schorowaną starszą panią. – Tak było aż do momentu, kiedy pani matka odmówiła załatwienia Gąsiorowskiemu obiecane awansu. Słyszała pani może o tej sprawie?

Brzezińska zastanawiała się przez chwilę.

– Chyba coś o tym słyszałam, nie jestem pewna – stwierdziła

w końcu rzeczniczka Brod-Dysku. – Nie wiem dokładnie, o co chodziło. Matka nie wtajemniczyła mnie w swoje życie zawodowe. Już chyba o tym mówiłam. Mówi pan, że najpierw obiecała awans, a potem go nie załatwiła? To by było w jej stylu. Najpierw coś obiecać, a potem zrobić coś zupełnie innego. Lubiła znęcać się nad ludźmi w każdy możliwy sposób.

– Gdzie pani była wczoraj wieczorem? – zapytał Daniel delikatnie. Nadeszła pora, by przejść do sprawdzenia ewentualnego alibi.

Liliana Brzezińska milczała przez chwilę.

– Ja go nie zabiłam – powiedziała w końcu zamiast odpowiedzi. – Nie zabiłam Waldemara Gąsiorowskiego.

– Proszę powiedzieć, gdzie pani była – poprosił Podgórski raz jeszcze.

– Z Klementyną – oznajmiła Liliana, spoglądając w kierunku komisarz Kopp. – Spędziłyśmy razem noc.

Podgórski spojrział na Klementynę zaskoczony. Starsza koleżanka nadal wyglądała przez okno, jakby widziała tam coś niezwykle ciekawego.

– Klementyna, to prawda? – zapytał Daniel z naciskiem. Trudno było mu uwierzyć, że komisarz Kopp mogłaby zrobić coś takiego.

Policjantka nie odpowiedziała.

– Klementyna!

– Byłyśmy razem od jakiejś dwudziestej trzeciej, to prawda – powiedziała w końcu komisarz Kopp. – Co się działo przedtem, tego nie wiem. Równie dobrze Liliana mogła zabić Gąsiorowskiego wcześniej. Zobaczmy, co powie doktorek po sekcji.

Jej słowa zabrzmiały twardo. Nawet dla Daniela. Liliana Brzezińska zdawała się jednak nieporuszona. Uśmiechnęła się nawet do Klementyny. Młodszy aspirant Daniel Podgórski nie umiał rozszyfrować, co ten uśmiech mógł oznaczać.

18 maja 2014

Do zainteresowanych:

Waldemar Gąsiorowski nie żyje.

Fosgen poradził sobie z nim równie szybko jak z Małgorzatą Głuszyńską.

Fosgen nie ma miłosierdzia dla nikogo.

Ja żyję nadal i zapisuję po kolei swoje myśli. To mnie uspokaja. Dodaje sił. Ciągle walczę z wyrzutami sumienia.

Czasem nie wiem, czy sprostam zadaniu.

Teraz pojawiło się coś nowego.

Wyrzuty sumienia pomieszane są z dziwnym spokojem. Spokojem, który towarzyszy wykonaniu ważnego zadania.

Uda mi się!

Przecież wiem, że robię dobrze. Świat jest zdecydowanie lepszy bez Głuszyńskiej i Gąsiorowskiego. Prawda?

Mam teraz trochę czasu, żeby odpocząć i zebrać siły na ostatnie zadanie.

Najważniejsze zostało na koniec.

Na razie jednak staram się o tym nie myśleć.

Jest jeszcze trochę czasu, żeby wszystko zaplanować i przeprowadzić.

Mam nadzieję, że wszystko się uda.

Co będzie potem?

Nieważne.

ROZDZIAŁ 22

Kolonia Żabie Doły i Brodnica.
Poniedziałek, 19 maja 2014. Rano

Odkąd pracowała w komisariacie w Lipowie, sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska była w Komendzie Powiatowej Policji w Brodnicy dosłownie kilka razy. Mogła je policzyć na palcach jednej ręki. O dziwo nie czuła się tu jednak obco ani przez chwilę. Może dlatego, że budynek przypominał Komendę Rejonową, w której Strzałkowska pracowała w Warszawie. To było dziwne uczucie. Jakby wróciła na stare śmieci, jak to mawiał jej ojciec, zanim wziął nogi za pas. Pewnie z kolejnym powiedzonkiem na ustach. Tego jednak policjantka nie mogła być pewna. Ojciec ulotnił się bowiem w środku nocy.

Zaczynał się właśnie ósmy dzień śledztwa, a oni nie byli ani o krok bliżej schwytania mordercy. Co więcej, zginęła kolejna osoba. Wszystko wskazywało na to, że mają do czynienia z tym samym sprawcą. Jakby tego było mało, druga ofiara była emerytowanym policjantem. Z tego właśnie powodu prokurator Leon Gawroński zarządził odprawę. Emilia musiała przyznać, że wyglądało to znacznie bardziej profesjonalnie niż ich ostatnie spotkanie w lipowskim komisariacie.

Sala konferencyjna w Komendzie Powiatowej była bardzo nowoczesna. Szklane ściany, rzutnik, płaski ekran monitora, okrągły stół z przygotowanymi dla zebranych butelkami wody. To wszystko prezentowało się naprawdę dobrze. Emilia złapała się jednak na tym, że tęskni za kameralną atmosferą komisariatu w Lipowie.

Strzałkowska usiadła pomiędzy Markiem Zarębą a Danielem Podgórskim. Chciała znaleźć się jak najdalej od komisarz Kopp. Prokurator Leon Gawroński zajął miejsce u szczytu stołu. Emilia zauważyła, że przystojny prokurator zerka w jej stronę.

Na poprzednim spotkaniu zachowywał się podobnie. Policjantka nie wiedziała, jak ma to rozumieć.

– Wkrótce dołączy do nas ktoś od kryminalistyków i powie nam, co znaleziono w mieszkaniu Waldemara Gąsiorowskiego. A właściwie czy coś znaleziono – wyjaśnił tymczasem Gawroński, nadal uśmiechając się do Emilii. – Na razie jednak proponuję zacząć bez nich.

Wszyscy pokiwali głowami na znak zgody.

– Mamy dwoje zabitych – stwierdziła sentencjonalnie Klementyna Kopp.

Ostrzyżona na języka policjantka położyła niedbale nogi na blacie stołu i kiwała się na krześle. Strzałkowska zerknęła na Klementynę zirytowana. Nie mogła zrozumieć, dlaczego właściwie wszyscy tolerują dziwne zachowania komisarz Kopp. Czy sławna w okolicy skuteczność policjantki wystarczyła, żeby usprawiedliwiać niegrzeczne, a czasem nawet bezczelne zachowanie?

– Sekcja jeszcze nie zrobiona – kontynuowała Klementyna. – Ale! Na razie wygląda na to, że metoda jest ta sama.

– Fosgen? – upewnił się Marek.

Wczoraj Emilia i Marek mieli wolne, więc Zaręba zdawał się głodny nowych wyzwań. Strzałkowska natomiast bardzo się cieszyła, że mogła spędzić niedzielę z synem.

– Doktorek się jeszcze wypowie oficjalnie – powiedziała komisarz Kopp, zerkając na Strzałkowską spod oka. Emilia wytrzymała jej spojrzenie. – Ale! Wczoraj doktorek sugerował, że to znowu może być fosgen. Pomijając fosgen, mamy też drugi tatuaż. Było G:e5 i teraz mamy G:f4. Trudno to nazwać przypadkiem. Moim zdaniem mamy jednego sprawcę.

– Zgadzam się – odparł prokurator Gawroński z kolejnym uśmiechem. Strzałkowska miała teraz wrażenie, że mężczyzna patrzy tylko na nią. Poczula, że się rumieni. – Emilia z Markiem zdaje się poprzednio rozmawiali z tym ekspertem od szachów, z tym Trojanowskim. Kontaktowaliście się z nim wczoraj?

Emilia Strzałkowska pokiwała głową. To była jedyna rzecz związana z pracą, którą policjantka wykonała poprzedniego

dnia. Kiedy tylko otrzymała informację od Daniela na temat nowego tatuażu, zadzwoniła do Franciszka Trojanowskiego, żeby zapytać go o znaczenie kolejnego zapisu. Właściwie chciała się upewnić co do jego znaczenia. Po dość obszernym wykładzie, którego udzielił im Trojanowski ostatnio, Emilia była prawie pewna, co oznacza G:f4: goniec bije figurę na polu f4. Nie pomyliła się.

– Tak. Rozmawiałam z Franciszkiem Trojanowskim, ale niestety nie powiedział nic szczególnego. Nic nowego – poprawiła się Emilia natychmiast. Język zaczął jej się plątać po kolejnym uśmiechu Gawrońskiego. – Mówił to samo co przedtem. Niestety. W tej kwestii zabrnęliśmy chyba w ślepią uliczkę.

Uśmiech prokuratora wprawiał policjantkę w zakłopotanie. Emilia dyskretnie rozejrzała się po pokoju. Miała nadzieję, że nikt inny nie zauważył nagłej uwagi Leona Gawrońskiego.

– Nie szkodzi – zapewnił prokurator. – W takim razie omówmy po kolei to, co mamy. Nie chcę popełnić błędu. To powiem wam szczerze. To moja pierwsza większa sprawa tu w Brodnicy. Jak dotąd zdawałem się na was. Ja nie jestem stąd. Wy znacie realia lepiej. Mam nadzieję, że razem jakoś to pociągniemy.

– Pomożecie? Pomożemy! – mruknęła Klementyna Kopp ledwo słyszalnie, naśladując głos Gawrońskiego.

Marek Zaręba zaśmiał się cicho. Prokurator zdawał się nie zwracać uwagi na to, co powiedziała Klementyna.

– Zacznijmy może od tego, kto mógł chcieć zabić zarówno Małgorzatę Głuszyńską, jak i Waldemara Gąsiorowskiego – zaproponował Leon Gawroński rzeczowo. – Ktoś ma może jakieś pomysły?

– Moim zdaniem dobrym kandydatem jest Hubert Przybylski – odezwał się Daniel. – Z przesłuchań sąsiadów z bloku przy ulicy Wyspiańskiego wynika, że Waldemar Gąsiorowski kłócił się przed śmiercią z Przybylskim. Wiemy też, że Hubert jest narzeczonym Oliwii Gąsiorowskiej, czyli córki zabitego. Oliwia była też pomocnicą w kwaciarni Oleander należącej do Małgorzaty Głuszyńskiej.

– No dobrze, czyli wiemy, że Hubert był w domu drugiej ofiary i się z nią kłócił. Czy mamy jakichkolwiek świadków, którzy mogą potwierdzić, że ten Przybylski bywał w okolicach domu pierwszej ofiary? – zapytał Leon Gawroński spokojnie. – Jeżeli nikt go tam nigdy nie widział, trudno nam będzie cokolwiek udowodnić.

– Najlepiej będzie porozmawiać na ten temat z Barbarą Krakowiak – zaproponował Daniel. – Ona mieszka najbliżej. Może coś widziała. Możemy wziąć zdjęcie Huberta.

Gawroński pokiwał głową na znak zgody.

– Jeżeli chodzi o Barbarę Krakowiak, to myślę, że nie powinniśmy jeszcze o niej zapominać – mówił dalej Daniel.

– Myślałam, że ustaliliśmy, że jest jeden sprawca – wtrąciła się Emilia Strzałkowska. – Dlaczego Barbara Krakowiak miałyby zabijać tego Gąsiorowskiego? Są jakoś powiązani?

Daniel Podgórski wzruszył ramionami.

– Nie wiem – przyznał. – Z drugiej strony wczoraj Miłosz Janiszewski zeznał, że widział, jak na jednym ze spotkań Towarzystwa Ekologicznego Cygnus pani Krakowiak dosypywała coś do herbaty Małgorzaty Głuszyńskiej. Głuszyńska czuła się potem niezbyt dobrze. Chyba warto sprawdzić ten wątek. To mogła być pierwsza próba zabójstwa. Pamiętajcie też o dziwnym zachowaniu Barbary Krakowiak. A może raczej o zmianach w jej zachowaniu. Od zupełnego braku reakcji na śmierć sąsiadki do udawanej rozpaczki.

– Wiadomo, co Barbara Krakowiak dosypała do tej herbaty? – podchwycił Marek Zaręba. – Myślisz, że to była trucizna?

– Niestety nie wiemy, Młody – wtrąciła się Klementyna Kopp. – Ale! Ta Krakowiak mnie też się nie podoba. Od samego początku.

Komisarz Kopp zdjęła nareszcie stopy ze stołu. Na drewnianym blacie zostało odrobinę piasku. Emilia z trudem stłumiła chęć zwrócenia uwagi Klementynie. Nie chciała powodować niepotrzebnych starć. Mimo wszystko.

– Emilia zadała ważne pytanie – stwierdził prokurator Gawroński. Znowu uśmiechnął się do Strzałkowskiej. – Ja może powtórzę je raz jeszcze: czy Barbara Krakowiak jest

jakkolwiek związana z Waldemarem Gąsiorowskim? Chyba nie. Bardzo proszę, nie szukajmy wiatru w polu. Jeżeli zakładamy, że jest jeden zabójca, panią Krakowiak na razie chyba odrzucamy.

– Zamierzam ją przesłuchać – oznajmiła Klementyna, ignorując słowa prokuratora. – O tym, czy i jak jest związana z denatem numer dwa, też sobie z nią pogadamy, co?

Prokurator Leon Gawroński pokiwał lekko głową. Przez jego twarz przemknął cień rezygnacji.

– Dobrze. Niech tak będzie. Jak wam poszło przesłuchanie Brzezińskiej? – zapytał. – Oskarżenia rzucane przez Miłosza Janiszewskiego i „Prawdziwy Głos” są dość mocne. Zleciłem już informatykom sprawdzenie tej korespondencji elektronicznej z zakładem chemicznym w Chinach. Niedługo powinny być wyniki. Zobaczmy, skąd były wysyłane te maile i do kogo. Czy Brzezińska ma alibi na czas drugiego morderstwa?

– Liliana ma alibi od godziny dwudziestej trzeciej – poinformowała Klementyna Kopp odrobinę zbyt szybko.

Prokurator spojrzął na policjantkę, ale komisarz Kopp nie wyjaśniła nic więcej. Emilia miała wrażenie, że dzieje się coś dziwnego. Zerknęła na Daniela. Podgórski odwrócił wzrok niemal natychmiast. Strzałkowska była pewna, że ta dwójka coś ukrywa.

– Co robiła wcześniej? – zapytał Marek Zaręba, który najwyraźniej doszedł do podobnych wniosków.

– Co robiła przedtem, nie wiemy. Ma alibi od dwudziestej trzeciej – powtórzyła Klementyna. – Zobaczmy, co powie doktorek o czasie zgonu. Jeżeli Gąsiorowski umarł po dwudziestej trzeciej, Liliana jest czysta.

– Pamiętajcie, że Liliana Brzezińska nie ma alibi na śmierć Głuszyńskiej – przypomniała Emilia. Mówiła na złość komisarz Kopp. To był fakt. – Mogła zabić także Waldemara.

Leon Gawroński skinął głową.

– W ten sposób wracamy do poprzedniego pytania – powiedział prokurator. – Czy Liliana Brzezińska jest jakoś związana z Waldemarem Gąsiorowskim? Jeżeli zakładamy, że jest jeden zabójca, to jakieś powiązanie musi istnieć.

– Waldemar Gąsiorowski był znajomym Małgorzaty Głuszyńskiej – powiedziała Emilia. – Czyli Liliana jest powiązana z Gąsiorowskim przez matkę. Może jeszcze o czymś nie wiemy.

– Nieważne – warknęła niemal Klementyna. – Najbardziej ze wszystkich nie podoba mi się ten pismak. Janiszewski za szybko był na miejscu obu zbrodni. Na obu miejscach. Nawet jeżeli ma podsłuch na nasze radio. Coś tu nie gra.

– Chwileczkę – powiedział spokojnie Leon Gawroński. – Wiemy, jak Miłosz Janiszewski mógł być związany z Małgorzatą Głuszyńską, ale czemu dziennikarz miałby zabijać Waldemara Gąsiorowskiego?

– Kilkanaście lat temu Miłosz Janiszewski zaczął korzystać z ekspertyz Głuszyńskiej, która była już wówczas na emeryturze. W tym samym okresie Janiszewski kontaktował się także z Gąsiorowskim – pospieszył z wyjaśnieniami Daniel Podgórski. – Myślę, że jego też nie możemy wykluczyć. Przypominam, że on również nie ma alibi. Na żadne z morderstw.

– Słuchajcie. To wszystko niezbyt mnie satysfakcjonuje – powiedział Leon Gawroński przyjaźnie. Prokurator mówił teraz jak dobrotliwy starszy pan, mimo że wyglądem zupełnie takiego nie przypominał. – Na razie nikogo nie możemy wykluczyć? Nie przypuszczam, żeby to się spodobało komukolwiek w sądzie. Chcę, żebyście trochę bardziej się postarali. Naprawdę nie mamy zupełnie nic nowego?

– Czekaj. Stop. Jest jeszcze jedna rzecz. W tym bloku na Wyspiańskiego, gdzie mieszkał Gąsiorowski – wtrąciła się Klementyna Kopp – mieszka też Dybu. Tego jeszcze nie braliśmy pod uwagę.

– Czyli? – zapytał Gawroński. – Kto to jest Dybu?

Emilia Strzałkowska też pierwszy raz o kimś takim słyszała. Spojrzała zaciekawiona na Klementynę Kopp. Zapomniała na chwilę o negatywnych emocjach.

– Dybu to taki nasz lokalny mafioso – wyjaśnił Marek Zaręba. – Może nie jakiś ważny, ale też nie płotka. Obecnie podobno jest na emeryturze. Chociaż oni chyba nigdy nie przestają

działać, prawda?

– Sugerujecie, że ten emerytowany gangster może być jakoś zamieszany w naszą sprawę? – zapytała Emilia.

– Dlaczego ten Dybu jeszcze nie został przesłuchany? – zainteresował się prokurator. Po raz pierwszy w jego głosie pojawiła się wyraźna nutka irytacji. – O takich rzeczach powinniście mi mówić wcześniej.

– Właściwie to go przesłuchiwaliśmy – uściślił Daniel Podgórski. – Rozmawialiśmy z nim wczoraj krótko, kiedy przesłuchiwaliśmy mieszkańców bloku przy Wyspiańskiego. Zaraz po odkryciu ciała Waldemara Gąsiorowskiego.

– I jak poszło?

– Dybu wydawał się chętny do współpracy, ale nie powiedział też nic szczególnego. Tak jak reszta sąsiadów Gąsiorowskiego.

– Przesłuchajcie go dokładniej – zarządził prokurator Gawroński. – Chcę też, żebyście sprawdzili billingi Waldemara Gąsiorowskiego. Mam już raport w sprawie rozmów Małgorzaty Głuszyńskiej. Tam nic szczególnego nie było, ale może tym razem nam się poszczęści.

– Marek i Emilia się tym zajmą – obiecał Daniel natychmiast. Strzałkowska skinęła głową.

– Okej. No dobra. Nie wiem, czy to specjalnie, czy przypadkiem. Ale! Cały czas umniejszamy wagę faktu, że Głuszyńska i Gąsiorowski byli starymi znajomkami.

Wszystkie oczy skierowały się na Klementynę. Policjantka wyjęła z plecaka butelkę coca-coli i przez chwilę delectowała się napojem, ignorując ich zainteresowanie.

– Kontynuuj – poprosił Leon Gawroński z westchnieniem. On też chyba był już zmęczony zachowaniem komisarz Kopp.

– Chciałabym jeszcze raz pogadać z tą Michaliną Niewiadomską – stwierdziła Klementyna w końcu. – Ona przecież знаła ich oboje w dawnych czasach. Słusznie minionych, czy jak to zwał. Możliwe, że nasze ofiary miały jakiegoś wspólnego wroga jeszcze sprzed lat.

– Tak sugerowała Michalina Niewiadomska, kiedy ją przesłuchiwaliście? – zainteresował się prokurator.

– Niewiadomska mówiła tylko, że był pomiędzy tą dwójką

zatarg o kwestię awansu – przypomniał Daniel. – Liliana Brzezińska także o tym wspominała. Powinniśmy chyba dokładniej zbadać sprawę tego awansu. Dowiedzieć się, o co właściwie w tym chodziło.

– Nie wiem, czy tu motywem może być jakaś stara sprawa. Jeżeli chodzi o ten awans, dlaczego sprawca miałby zacząć zabijać akurat teraz? – zapytała Emilia Strzałkowska sceptycznie. Nagle poczuła przemożną chęć, żeby dobrze wypaść przed prokuratorem Gawrońskim. – Dlaczego ta osoba miałaby czekać ileś lat, żeby uderzyć? I kto to miałby być? Jeżeli to Gąsiorowski nie dostał awansu, to raczej on mógłby się mścić. Tymczasem nie żyje.

Daniel Podgórski wzruszył ramionami.

– To tylko taka luźna propozycja – wycofał się. – Podsumowując naszych obecnych podejrzanych, w przypadku Głuszyńskiej byli to: Barbara Krakowiak, Liliana Brzezińska, Miłosz Janiszewski i Oliwia Gąsiorowska.

Wszyscy pokiwali głowami.

– W wypadku Gąsiorowskiego na razie wspomnieliśmy o Hubercie Przybylskim, Lilianie Brzezińskiej i Miłoszu Janiszewskim. Czyli dwa nazwiska nam się pokrywają, ale nadal mamy tylko poszlaki.

– W sumie to pokrywają się trzy. Hubert Przybylski i Oliwia Gąsiorowska są przecież zaręczeni – zauważyła Emilia. – Przy tym założeniu możemy uznać, że Hubert i Oliwia mogli współpracować w obu przypadkach.

– Racja – zgodził się prokurator Gawroński. Znowu uśmiechnął się do Strzałkowskiej.

Do szklanych drzwi salki konferencyjnej zapukał mężczyzna, którego Strzałkowska rozpoznała jako szefa techników kryminalnych. Nie pamiętała, jak kryminalistyk się nazywa, ale widziała go już w Lipowie podczas zimowego śledztwa.

– Dzień dobry – powiedział technik, zaglądając do środka. – Mogę?

– Oczywiście, zapraszamy – odparł Leon Gawroński zachęcająco. – My na razie nie za wiele uradziliśmy. A co wy macie?

Technik rozejrzał się po sali. Obok Klementyny Kopp było wolne miejsce. Mężczyzna zignorował je ostentacyjnie i nadal stał tuż przy drzwiach. Kolejna osoba, która nie darzy pani komisarz zbytnią sympatią, zaśmiała się w duchu Strzałkowska.

– Przeszukaliśmy już całe mieszkanie Waldemara Gąsiorowskiego – powiedział niezbyt przyjaźnie szef techników. – Raport ma pan na biurku, panie prokuratorze. Pani Kopp, pani również, oczywiście.

Na te słowa pomarszczoną twarz Klementyny wykrzywił dziwny grymas, ale policjantka nic nie powiedziała.

– Niech pan nam powie w skrócie o wynikach – poprosił Leon Gawroński. – Jesteśmy wszyscy razem, więc skorzystajmy z okazji.

Technik rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby czegoś szukał. W końcu skupił wzrok na przeciwległej ścianie.

– Zaczęliśmy od szachownicy, ponieważ była również na pierwszym miejscu zbrodni – poinformował mężczyzna, nadal nie patrząc na nikogo.

– I jakie efekty?

– Takie same jak za pierwszym razem – wyjaśnił krótko technik. – To znaczy po stronie białych jest zupełnie czysto, a po stronie czarnych mamy odciski ofiary i jeszcze jeden zestaw odcisków NN. Uprzedzając państwa pytania, tak, to ten sam zestaw odcisków NN co na pierwszej szachownicy.

– Czy pojawił się gdzieś w mieszkaniu ten drugi zestaw NN? Ten, który był w sypialni Małgorzaty Głuszyńskiej?

– Nie.

– Tak czy inaczej, powinniśmy chyba pobrać odciski od naszych dotychczasowych podejrzanych – zasugerował Marek Zaręba. – W ten sposób przynajmniej moglibyśmy kogoś wykluczyć.

– Zobaczmy – odparł prokurator. – Chciałbym zebrać jeszcze nieco mocniejsze dowody. Nie chcę, żeby ktoś potem podważył nasze działania.

– Jeżeli nie mają nic do ukrycia, to dlaczego mieliby nie zgodzić się na porównanie odcisków palców? – zapytała Emilia

Strzałkowska.

– Dobrze. Może i racja. Sprawdźcie odciski Lilianny Brzezińskiej, Barbary Krakowiak, Miłosa Janiszewskiego, Huberta Przybylskiego i Oliwii Gąsiorowskiej – wyliczył prokurator Gawroński. – Na razie po dobroci. Nie wiemy jeszcze, czy te odciski NN na szachownicy należą do zabójcy. Czy one powtórzyły się gdzie indziej w mieszkaniu?

Technik pokręcił głową.

– Nie. W żadnym z mieszkań ich nie było. Ani u Głuszyńskiej, ani u Gąsiorowskiego. Były tylko na obu szachownicach i nigdzie poza tym. Trudno powiedzieć, żeby to był przypadek. Zgadza się z panem Zarębą. W każdym razie jest jeszcze jedna ciekawa rzecz.

– To znaczy? – rzuciła komisarz Kopp. – Możesz jaśniej, co?

W głosie policjantki pobrzmiwało wyraźne rozdrażnienie. Czyli, jak Emilia zdążyła zauważyć, stan normalny dla tej dziwnej kobiety.

– Oczywiście, pani Kopp. Już przechodzę do rzeczy – obiecał technik. – Kiedy sprawdzaliśmy mieszkanie Waldemara Gąsiorowskiego, zauważyłem czarne pióro. Leżało na półce w salonie. Przypomniało mi się wtedy, że w domu Małgorzaty Głuszyńskiej też było takie pióro. Nie wiem, czy pani pamięta, ale pióro leżało wśród rzeczy w sypialni.

Technik wyjął z teczki przezroczystą torebkę na dowody. W środku było zabezpieczone czarne pióro. Mężczyzna położył je na stole z powagą. Wszyscy przyglądali się przedmiotowi uważnie.

– Czyli oprócz szachownicy jest coś jeszcze, co łączy oba zabójstwa – powiedział prokurator Gawroński z wyraźnym zadowoleniem. – To może być nasza szansa. Chcę, żebyście porozmawiali z kimś, kto się zna na ptakach. Na początek dowiedzmy się, co to za pióro. Interesuje nas gatunek ptaka. Może to ma jakieś znaczenie dla sprawcy. Po nitce do kłębka.

– Na Wyspie Skarbów jest hodowla ptaków – przypomniał Marek Zaręba. – Możemy tam podjechać. To tuż przy Lipowie. Oni powinni coś wiedzieć.

– Czeka. Stop. Nie zapominajmy, że ta hodowla należy do

Szczepańskich, co? – przerwała Markowi Klementyna Kopp. – Szczepańscy są rodzicami Stanisława Szczepańskiego z Brod-Dysku. Nadal nie możemy wykluczyć jego zaangażowania w sprawę. Zapomnieliśmy o nim na chwilę, co? Nieładnie.

Emilia i Marek wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Czy Stanisław Szczepański ma jakiś związek z Waldemarem Gąsiorowskim? – zapytał prokurator. – Przyjmujemy, że jest jeden morderca, który miał powód, żeby zabić dwie osoby, prawda? Trzymajmy się tego, co sobie założyliśmy, inaczej zajdziemy nie wiadomo dokąd. Co nie zmienia faktu, że musimy znaleźć kogoś innego, kto zna się na ptakach.

– Mówiliśmy o podobieństwach. Ja chciałbym jednak zwrócić jeszcze uwagę na różnice pomiędzy tymi dwoma miejscami zbrodni – przerwał im szef techników kryminalnych. – Jeżeli można.

– Co masz na myśli, co?

– Chodzi mi głównie o fakt, że dom Małgorzaty Głuszyńskiej został przeszukany. Przypominają sobie państwo sypialnię? – zapytał technik. – Wyglądało to jak klasyczne włamanie. Tymczasem mieszkanie Waldemara Gąsiorowskiego jest zupełnie nieruszone. Nikt tam niczego nie szukał. Oczywiście ja nie jestem od tego, żeby cokolwiek tu interpretować, ale moim zdaniem nie powinniście o tym zapominać. To taka mała sugestia.

Na moment zapadła cisza, jakby wszyscy rozważali, dlaczego zabójca za pierwszym razem przeszukiwał mieszkanie swojej ofiary, a za drugim zadowolili się tylko zabójstwem. Emilia Strzałkowska zgadzała się z szefem kryminalistyków, że to może być ważna kwestia. Szukając podobieństw, nie powinni też zapominać o znaczących różnicach.

– No i dlaczego akurat fosgen? – zapytała Strzałkowska na głos, kontynuując swoje rozważania.

– Emilio? – zapytał zaskoczony Leon Gawroński.

Strzałkowska zarumieniła się lekko.

– Zastanawiam się po prostu, dlaczego sprawca wybrał akurat taką metodę zabójstwa – wyjaśniła policjantka szybko. – Ten fosgen jest zupełnie nie z tego świata, że tak powiem. Dlaczego

zabójca nie użył noża albo pistoletu czy jakiegokolwiek broni, która dostępna jest znacznie łatwiej niż gaz bojowy?

– Czekał. Stop! Nie wiemy, czy dla zabójcy fosgen nie jest przypadkiem łatwo dostępny – nie zgodziła się Klementyna. – To, że dla zwykłego szaraczka to jest coś abstrakcyjnego, nie znaczy, że dla naszego sprawcy tak jest.

Strzałkowska nie była pewna, czy w głosie komisarz Kopp nie pojawiła się przypadkiem nutka szyderstwa. Całkiem możliwe. Z drugiej strony Emilia musiała przyznać, że pani komisarz miała trochę racji. Może zbyt się spieszyła z wyciąganiem wniosków.

– Co na razie wiemy o naszym sprawcy, co? – zapytała Klementyna, wyjmując znowu butelkę coca-coli. – Może tak powinniśmy do tego podejść. Tylko szczegóły. Szczegóły!

– Sprawca wszedł do domu Małgorzaty Głuszyńskiej, a ona ugościła go podwieczorkiem – powiedział Marek Zaręba ochoczo. – O ile założymy, że to dla niego był przygotowany podwieczorek. To może oznaczać, że kwaciarka znalazła swojego oprawcę. Co więcej, dodatkowo wiemy, że to kwaciarka otworzyła sprawcy drzwi. Nie było przecież śladów włamania.

– Tak – zgodził się szef techników. – Na drzwiach nie było nic niepokojącego. Zamek jest zatraskowy, dlatego drzwi były zamknięte, kiedy rano zjawiała się sąsiadka pierwszej ofiary.

– No właśnie. Czy w mieszkaniu Waldemara Gąsiorowskiego były ślady włamania?

– Nie – przyznał technik. – Do mieszkania Gąsiorowskiego również się nie włamano. To jest kolejne podobieństwo.

– Czyli możemy chyba założyć, że zarówno Małgorzata Głuszyńska, jak i Waldemar Gąsiorowski znali zabójcę – zakończył triumfalnie Marek Zaręba.

– Czekał. Stop. Młody, nie galopuj tak, co? Już o tym mówiliśmy wcześniej. Powtarzasz się – przerwała mu Klementyna Kopp. – Poza tym niczego nie możemy założyć. Równie dobrze mogło być tak, że sprawca z jakiegoś powodu budził zaufanie lub był obiektywny powód, żeby go wpuścić do mieszkania. Niekoniecznie musieli go znać.

– A, to coś nowego – podchwycił prokurator Gawroński. –

Kontynuuj, Klementyna.

– Nie ma nic do kontynuowania – ucięła policjantka. – Po prostu musimy zostawić sobie otwartą możliwość, że sprawca to zupełnie inna osoba, niż podejrzewamy. Z drugiej strony nie możemy podejrzewać całego świata. Zbyt mało praktyczne, co? Więc skupmy się może na tym, żeby sprawdzić tych, których podejrzewamy dotychczas. Ale! To tylko moja propozycja.

Liliana Brzezińska siedziała w swoim biurze w Brod-Dysku. Próbowwała bezskutecznie skupić się na pracy. Wkrótce miała ruszyć produkcja i spraw do załatwienia z pewnością nie brakowało. Trzeba było na przykład popracować nad promocją ich produktów. To na początek. Potem na pewno będzie znacznie więcej do zrobienia.

Formalnie Liliana miała funkcję rzeczniczki prasowej, ale tak naprawdę zajmowała się wszystkim po trochu. Była odpowiedzialna za kontakty z prasą, reklamę, sprawy kadrowe i wiele innych rzeczy. Właściwie robiła dużo więcej niż Stanisław Szczepański.

Nie narzekała. W rzeczywistości bardzo jej to odpowiadało. Liliana nie lubiła nudy i była dumna ze swojego pracoholizmu. Kłopot polegał tylko na tym, że teraz Brzezińska miała na głowie tyle spraw wcale niezwiązanych z pracą. Zamiast pracować, myślała o matce, o Waldemarze Gąsiorowskim i... o tej cholernej Klementynie Kopp. Zwłaszcza o niej. Zwłaszcza o tym, jak policjantka ją potraktowała.

Liliana była pewna, że Klementyna zapewni jej alibi. Przecież były razem. Pani komisarz upierała się jednak przy kwestii godziny. Jakby minuty miały tu jakieś znaczenie.

– Pani Lilianko, dzwonią z...

Do gabinetu zajrzała jej asystentka. Dziewczyna była tu od niedawna. Na razie jej obecność była właściwie niepotrzebna. To się jednak zmieni, kiedy produkcja ruszy na dobre.

– Za chwileczkę – zbyła ją Liliana Brzezińska. Musiała ochłonąć.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski zaparkował pod rozłożystym kasztanowcem obok domu Małgorzaty Głuszyńskiej. Próbowali skontaktować się z Hubertem Przybylskim, ale na razie narzeczony Oliwii Gąsiorowskiej nie odpowiadał na telefony. Daniel i Klementyna Kopp postanowili więc zacząć dzisiejsze przesłuchania od Barbary Krakowiak. Tak oto znaleźli się znowu w kolonii Żabie Doły.

Sąsiadka zamordowanej kwiaciarki czekała na nich na ganku swojego betonowego domku. Ubrana była w zwiewną, niemal letnią sukienkę, która eksponowała jej żylaste, umięśnione ramiona. Jej ubranie jak najbardziej pasowało do aury. Pogoda nadal była przecież całkiem niezła. Wciąż było ciepło, mimo że słońce schowało się dzisiaj za szarymi chmurami. Być może po południu czekał ich deszcz.

Na widok Daniela i Klementyny Barbara Krakowiak wstała i podeszła do płotu szybkim krokiem.

– Ile jeszcze razy będą mnie państwo przesłuchiwać? – zapytała bez ogródek siwowłosa kobieta, poprawiając okrągłe okulary. Nie zabrzmiało to jak wyrzut. Raczej jak dociekliwość. Jakby pani Krakowiak badała ciekawą kwestię naukową.

– Tyle ile będzie trzeba – ucięła Klementyna natychmiast.

Komisarz Kopp nadal zdawała się podenerwowana. Prawdopodobnie nie była zadowolona, że Daniel dowiedział się o nocy, którą policjantka spędziła z Lilianą Brzezińską. Podgórski starał się nie osądzać koleżanki. Był jednak zaskoczony, że Klementyna pozwoliła sobie na coś takiego. Zaskoczony i... zawiedziony. Czy to właśnie odczuwał? Zawód?

Daniel musiał przyznać, że Liliana rzeczywiście była atrakcyjna. W pewien chłodny i elegancki sposób. Zupełnie odmienny niż ognista Weronika Nowakowska, która tak podobała się Podgórskiemu. Atrakcyjność Liliany nie mogła być jednak usprawiedliwieniem dla Klementyny. Przecież rzeczniczka prasowa Brod-Dysku była ciągle jedną z podejrzanych. Miała zarówno motyw, jak i sposobność, żeby zabić swoją matkę.

Podgórski próbował zamienić kilka słów z komisarz Kopp na

temat Liliany, ale Klementyna unikała tej kwestii, okazując Danielowi niezadowolenie, jakby to on był winien jej błędu.

– Tyle ile będzie trzeba? A to ciekawe – mruknęła Barbara Krakowiak. Wyglądała teraz na równie zniesmaczoną jak Klementyna.

– Wynikły pewne nowe kwestie – wtrącił się Daniel, żeby zatrzeć nieco złe wrażenie. Wchodziło mu to w nawyk. – Możemy porozmawiać?

Barbara Krakowiak rozejrzała się dookoła.

– Tutaj, na koniec wsi, nikt się nie zapuszcza. Możemy porozmawiać tu.

Zabrzmiało to bardzo kategorycznie. Podgórski pokiwał głową. Nie miał ochoty na dalsze kłótnie. Nawet jeżeli oznaczało to kolejne przesłuchanie na wolnym powietrzu. Zaczynał się już do tego przyzwyczajać. Do tego też.

Mieli do Barbary Krakowiak kilka pytań. Daniel postanowił zacząć od śmierci emerytowanego policjanta. Trzeba było przynajmniej wstępnie ustalić, czy sąsiadka zabitej kwiaciarki знаła drugą ofiarę.

– W porządku. Możemy porozmawiać tu – zgodził się Daniel.

– Przejdźmy w takim razie do rzeczy. Czy znała pani Waldemara Gąsiorowskiego?

– Coś mi mówi to nazwisko... – zastanawiała się przez chwilę pani Krakowiak. Zdjęła okrągłe okulary i przetarła je automatycznym ruchem. Bez lenonek jej twarz wyglądała dziwnie pusto. – Nie. Nie wiem. Nie mogę sobie przypomnieć. Kto to?

– W gazetach teraz o nim pełno – syknęła Klementyna.

– Ach, to ten, co go zabili w niedzielę! Rzeczywiście o tym czytałam! – wykrzyknęła Barbara Krakowiak w nagłym olśnieniu. Kobieta przyjrzała się Danielowi uważniej. – Chyba nie sugerujecie, że to ja mogłam zabić tego człowieka? To już byłaby przesada. Nie znałam go nawet.

– Wszystko świetnie. Niewiniątko z ciebie. Ale! Jeden z naszych świadków twierdzi, że mogłaś próbować zabić Głuszyńską – zaatakowała komisarz Kopp ponownie, odchodząc od tematu śmierci Waldemara Gąsiorowskiego.

– To śmieszne. Dobrze sobie! Dlaczego miałabym to robić? – zapytała Barbara Krakowiak, kręcąc głową. – Ktoś widział, jak atakuję Małgorzatę trującym gazem? To doprawdy niedorzeczne. Co to za świadek?

– Miłosz Janiszewski widział, jak wsypywała pani coś do szklanki Małgorzaty Głuszyńskiej na spotkaniu Towarzystwa Ekologicznego Cygnus – powiedział Daniel. Nie powinien być może zdradzać tożsamości świadka, ale imię dziennikarza samo jakoś pojawiło mu się na ustach. – Może pani to wyjaśnić?

Barbara Krakowiak westchnęła głośno i znowu poprawiła okrągłe okulary.

– To nie ma związku.

– Czekaj. Stop. To już my zdecydujemy, co? – mruknęła komisarz Kopp. – O co chodziło, co? Tylko ze szczegółami.

Sąsiadka kwaciarki zastanawiała się przez chwilę.

– Zwykła głupota i infantylne zachowanie – oznajmiła w końcu pani Krakowiak. – Muszę o tym mówić? Czuję się skrępowana.

– Skrępowana to będziesz za kratkami, co? – zakpiła Klementyna.

Daniel nie był pewien, co może zrobić, żeby trochę ostudzić gniew koleżanki. Z dalszych drwin na pewno nie wyniknie nic dobrego.

– Proszę mówić – powiedział zachęcająco.

Barbara Krakowiak pokiwała głową.

– Ostrzegam tylko, że to zupełna głupota. Zachowałam się jak dziecko – stwierdziła. Była wyraźnie zażenowana. – Małgorzata lubiła wszystkim zarządzać. Prawdziwa przodowniczka z czasu PRL. Towarzystwo Ekologiczne Cygnus było moim pomysłem, a i to chciała mi odebrać. Denerwowało mnie to. To ja powinnam wszystkim zarządzać, a tymczasem ona... Powiedziałam jej kiedyś podczas zwykłej rozmowy, że chcę założyć Cygnusa. Ona na siłę się w to wepchnęła.

– Nie lubiłaś jej, co? – podchwyciła Klementyna Kopp. Ku uldze Daniela policjantka mówiła już trochę delikatniej.

– Czy ja wiem, czy nie lubiłam... To chyba nie jest

najszcześniejsze określenie. Małgorzata potrafiła być miła. Niemal słodka, kiedy tylko zechciała – stwierdziła sąsiadka kwiaciarki. – Podkreślam: kiedy tylko chciała. Przez resztę czasu była prawdziwą jędzą. I tyle. Nie powinno się może źle mówić o zmarłych, ale nie zamierzam się już więcej powstrzymywać. Skoro i tak mnie podejrzewacie.

Kolejna osoba, która nieprzychylnie wypowiadała się o Małgorzacie Głuszyńskiej. Obraz zabitej kwiaciarki zaczynał się powoli klarować. Ktoś z przesłuchiwanym powiedział, że nie była świętą. Daniel nie pamiętał teraz kto. Wyglądało na to, że ta osoba miała rację.

– Wróćmy może do tamtej sytuacji, kiedy wrzuciła pani coś do herbaty Małgorzaty Głuszyńskiej – poprosił Podgórski. – Co to było?

Policjant nie był pewien, czy to wydarzenie ma jakikolwiek związek ze śmiercią Głuszyńskiej spowodowaną przecież zatruciem fosgenem. Nie zamierzał jednak rezygnować.

– Zebraliśmy się, żeby omówić różne kwestie i zdecydować, kto będzie nas reprezentował przed władzami miasta – wyjaśniła Barbara Krakowiak. – Chodziło o przedstawienie drobnej prezentacji na temat niebezpieczeństw związanych z Brod-Dyskiem i fosgenem. Już mówiłam o tych sprawach.

– Do rzeczy, co? – ponagliła Klementyna.

Pani Krakowiak spojrzała na komisarz Kopp ostro.

– Sama chciałam to zaprezentować – powiedziała piskliwie sąsiadka pierwszej ofiary. – Miałam dosyć tego, że Małgorzata wszędzie musi wsadzić ten swój kartoflowaty nos. Towarzystwo Ekologiczne Cygnus to było moje dziecko! A nie jej. To ja miałam prawo prezentować nasze racje przed władzami miasta! Nie ona!

Barbara oddychała teraz szybko. Jej opanowanie znowu zniknęło.

– I? – rzuciła beznamiętnie Klementyna.

– Dosypałam Małgorzacie środków przeczyszczających do herbaty. Wiem, że to nieco infantylne – powtórzyła pani Krakowiak. Nie wyglądało jednak na to, żeby żałowała swojego postępowania. – Podziała. Małgorzata nie była w stanie

prezentować i zrobiłam to ja. Poszło mi naprawdę dobrze. W każdym razie to były tylko środki przeczyszczające. Nic wielkiego. Przecież nie to ją zabiło. Nie możecie mnie podejrzewać o podwójne zabójstwo tylko dlatego, że zachowałam się jak dzieciak. To był głupi dowcip, ale przecież nieszkodliwy. Nikt jeszcze nie umarł od odrobiny środków przeczyszczających. Prawda?

Wyglądało na to, że Barbara Krakowiak oczekuje potwierdzenia swoich słów. Ani Daniel, ani Klementyna nie zamierzali jednak spełnić jej życzenia.

– Kiedy miało miejsce to... niefortunne zdarzenie? – zapytał Podgórski.

– Jakiś tydzień przed śmiercią Małgorzaty – poinformowała ich sąsiadka zabitej. – Przecież to nie ma żadnego związku z fosgenem i całą resztą. Mówiłam już. A już na pewno nie ma związku ze śmiercią tego... jak on się nazywał?

– Waldemar Gąsiorowski?

– Tak! To nie ma związku.

Daniel Podgórski musiał przyznać, że chyba rzeczywiście zabrnęli w ślepy zaułek. Minęło zbyt dużo czasu. Nie mogli w żaden sposób potwierdzić albo obalić zeznań pani Krakowiak na temat środków przeczyszczających dosypanych do herbaty z zazdrości o pozycję w Towarzystwie Ekologicznym. Danielowi nie przychodziły do głowy żadne nowe pytania w tej kwestii. Postanowił więc przejść do kolejnej sprawy.

– Poznaje pani tego mężczyznę? – zapytał policjant, wyciągając zdjęcie Huberta Przybylskiego. Zgodnie z zaleceniem prokuratora Leona Gawrońskiego mieli sprawdzić, czy narzeczony Oliwii Gąsiorowskiej był w okolicach domu Małgorzaty Głuszyńskiej. – Proszę się dobrze przyjrzeć.

Barbara Krakowiak rzuciła szybko okiem na fotografię. Zdjęcie, którym dysponowali, zostało zrobione Hubertowi Przybylskiemu podczas zatrzymania kilka lat temu. Kiedy policjanci szukali informacji na temat nieuchwytnego na razie narzeczonego Oliwii, okazało się, że Hubert zajmował się przez pewien czas rozprowadzaniem miękkich narkotyków

w Brodnicy i okolicach. Był drobnym dilerem. Nikim szczególnym, ale wpadł kilkakrotnie.

– Chyba go tu widziałam – stwierdziła w końcu pani Krakowiak. – Ten chłopak kręcił się tu i rozmawiał przez telefon. Zwróciłam na niego uwagę, bo z reguły nikt po naszej ślepej uliczce nie chadza ot tak.

– Kiedy to było, co? – wtrąciła się Klementyna Kopp.

– Wydaje mi się, że zaraz po śmierci Małgorzaty. Później chyba też. Czy podejrzewacie tego chłopaka?

W głosie Barbary Krakowiak pojawiła się nutka nadziei.

– To już nie twoja sprawa – ucięła Klementyna.

Telefon młodszego aspiranta Daniela Podgórskiego rozdzwonił się nagle. Policjant odszedł kawałek i odebrał połączenie. Dzwonił Hubert Przybylski. Nareszcie. Daniel umówił się na spotkanie z chłopakiem Oliwii. Rozmowa z nim była konieczna. Kłótnia z Waldemarem tuż przed jego śmiercią musiała przecież coś znaczyć.

Oliwia Gąsiorowska patrzyła, jak Hubert kończy połączenie. Chłopak nacisnął czerwoną słuchaweczkę niemal z namaszczeniem. Nadal posługiwał się staromodną nokią z zielonym wyświetlaczem i powycieranymi klawiszami. Uważał ją chyba za niezniszczalną. Może rzeczywiście taka była.

– Byłeś bardzo dzielny, Hubi. Naprawdę, nie? – zapewniła narzeczonego Oliwia. – Dobrze, że zadzwoniłeś. W końcu i tak byś musiał pogadać z policją. Nie ma innej opcji. Lepiej to zrobić teraz i mieć już za sobą.

Hubert Przybylski pokiwał głową. Nie wyglądał jednak na przekonanego.

– Jakoś to przejdziemy we dwójkę. Zobacysz – obiecała Oliwia. Wiedziała, że Hubert jest w gruncie rzeczy bardzo wrażliwy i bez niej sobie w życiu nie poradzi. Wsparcie mu się zresztą należało. Bądź co bądź byli już prawie małżeństwem. – Teraz, jak tatusia nie ma... to... chcesz kontynuować?

Dziewczyna czuła, że głos jej drży. Śmierć ojca była dużym

ciosem, ale Waldemar wychował ją przecież na twardą laskę. Nie byłby zadowolony z jej łez. Oliwia postanowiła sprostać oczekiwaniom ojca najlepiej, jak będzie potrafiła.

– Tak. To nie jest zły pomysł – mruknął Hubert, chowając telefon do kieszeni spodni. – Mam nadzieję, że wszystko się uda.

– Ja też, nie? Tylko tak bez tatusia to...

Hubert Przybylski podszedł do Oliwii i objął ją mocno. W męskich ramionach od razu poczuła się lepiej.

ROZDZIAŁ 23

Breslau.

Piątek, 1 sierpnia 1877

Isabel Schmidt stała przy grobie matki. Pogrzeb odbył się wczoraj. Agnes Braun zmarła we śnie w środę. Teraz zdawało się to całą wieczność temu. Isabel miała nadzieję, że matka nie cierpiała. Przynajmniej fizycznie. Emocje to już zupełnie inna sprawa. Pan Anderssen nie odwiedził Agnes ani razu podczas choroby, mimo że matka tak na niego czekała. To musiało ją bardzo zranić.

Adolf Anderssen nie przyszedł także na wczorajszy pogrzeb. Jeżeli już o tym mowa. Isabel Schmidt czuła narastającą złość, kiedy o tym myślała. Co on sobie wyobrażał? Matka kochała go przez całe życie, a on nie był gotów poświęcić jej nawet chwili? Przecież stary pan Braun nie żył od roku. Zachowywanie pozorów nie było już potrzebne.

– Witam panią – usłyszała Isabel za plecami.

Odwróciła się natychmiast. Była szczęśliwa, że nie włożyła strojnej kreacji, tylko skromniejszą dzienną sukienkę. Teraz miała zamiar nosić tylko takie. Nie ugnie się przed modą ani przed nikim. Już nigdy.

– Panie Anderssen – powiedziała Isabel, dygając sztywno. Nie zamierzała go oszczędzać. – A więc jednak pan przyszedł.

Adolf Anderssen nie odpowiedział. Stali przez chwilę w ciszy.

– Dlaczego nie było pana wczoraj? – zaatakowała znowu Isabel.

– Ja... Nie wiedziałem... dopiero wróciłem z turnieju z Leipzig – wyjaśnił szachista słabo. Głos wyraźnie mu drżał. – Był zorganizowany specjalnie, żeby uczcić pięćdziesiątą rocznicę mojej gry w szachy. Ja... Nie wiedziałem, że Agnes... że pani Braun nie żyje. Nie wiedziałem nawet, że podupadła na

zdrowiu.

W oczach Adolfa pojawiły się łzy. Podeszedł do kamiennego nagrobka i dotknął go delikatnie dłonią. Jego żal zdawał się szczerzy. Isabel postanowiła zatem, że da mu chwilę na pożegnanie się z Agnes.

Oddaliła się o kilka kroków od grobu matki. Obserwowała Anderssena uważnie. Nie widzieli się siedem lat. Jego ciemne włosy zrobiły się przez ten czas mlecznobiałe. Wydawał się starym, zmęczonym życiem mężczyzną. To była zaiste przygnębiająca konstatacja.

W końcu Adolf Anderssen odwrócił się od nagrobka i podeszedł do niej.

– Mniemam, że dobrze poszło panu na turnieju – zagadnęła Isabel.

Starła się mówić obojętnym tonem, ale w rzeczywistości była bardzo ciekawa. Obie z matką śledziły każdą partię pana Anderssena. Matka szczególnie upodobała sobie rozgrywkę z 1851 roku. Wierzyła, że Adolf rozegrał tę partię dla niej. Isabel też chciała w to wierzyć. W końcu tamtej nocy jej dusza znalazła drogę na ziemię. Za sprawą grzechu dwojga młodych ludzi.

– Tak, dziękuję pani – powiedział Adolf Anderssen, kłaniając się nieco sztywno. – Zająłem drugie miejsce. Pokonał mnie pan Paulsen. To był wspaniały turniej. Mam nadzieję, że znajduję panią w dobrym zdrowiu?

– Tak.

– Rad jestem to słyszeć.

Stali przez chwilę w milczeniu. Isabel zastanawiała się gorączkowo, co zrobić.

– Dwa lata temu wyszłam za mąż za pana Schmidta – powiedziała w końcu. – Urodziłam córkę. Nazywa się Angela.

Adolf Anderssen wyglądał na wzruszonego. Przetarł ukradkiem oczy.

– Czy może mógłbym...

Isabel Schmidt pokiwała głową. Nie chciała ukrywać Angeli przed panem Anderssenem. Matka też by tego nie chciała. Miłowała przecie Adolfa przez całe życie.

– Możemy pojechać kawałek tym nowym tramwajem konnym. Nie miałam jeszcze okazji nim jechać. Jestem bardzo ciekawa. Co pan na to powie? – zaproponowała Isabel. – Mieszkamy z mężem niedaleko ogrodu zoologicznego. Tramwaj tam się zatrzymuje.

– Bardzo dziękuję – odpowiedział Adolf Anderssen cicho.

ROZDZIAŁ 24

Lipowo, Sokołowo i Brodnica.

Poniedziałek, 19 maja 2014. Po południu

Nadia Trojanowska i Nikola Szczepańska wsiadły do samochodu. Dzisiaj miały pojechać na lekcję jazdy konnej do Weroniki Nowakowskiej tylko we dwie. Bez Franciszka. Może to i lepiej, uznała Nadia, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Prawda była taka, że od czasu ślubu matki Nikolka zupełnie nie dogadywała się z Franciszkiem. Mimo że przecież mąż tak bardzo się starał. Mąż, pomyślała Nadia Trojanowska z drwiną. Franciszek to twój mąż, sama tego chciałaś, kochana. Nikolka miała rację, kiedy to powiedziała. Sama tego chciałaś.

Tak, Franciszek był jej mężem. Nadia Trojanowska nie potrafiła jednak wykrzesać w sobie ani odrobiny większych emocji wobec szachisty. Mimo że kilka razy nawet próbowała. Ten ślub był błędem. Dużym błędem.

– Mam dosyć Franciszka – powiedziała Nikola, jakby odgadła myśli matki. – Któregoś dnia pozbędę się go na dobre.

Groźba córki wisiała przez chwilę w powietrzu. Nadia Trojanowska poczuła, że mimo wszystko powinna jakoś zareagować.

– Nie wolno tak mówić, Nikolka – mruknęła, włączając klimatyzację. Wnętrze samochodu nagrzało się w popołudniowym słońcu. – To już przesada. Naprawdę. Uważaj na słowa. Jesteś już prawie dorosła, więc coś takiego zupełnie ci nie uchodzi.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i wpatrzyła się w drogę przed nimi.

– Kiedy to prawda. Tak to się skończy – ostrzegła Nikola. – No, chyba że to Franciszek wykończy najpierw mnie. Jedno z dwojga. Albo ja, albo on.

Zabrzmiało to tak ostatecznie, że Nadia Trojanowska nie wytrzymała i wybuchnęła histerycznym śmiechem. Remedia Małgorzaty Głuszyńskiej przydałyby się teraz bardzo. Koły nerwy. Niestety kwiaciarki już nie było i Nadia musiała jakoś poradzić sobie sama.

Komisarz Klementyna Kopp nadal nie mogła przezwyciężyć irytacji. Spojrzała na nadgarstek, gdzie niecały rok temu wytatuowała sobie imię Teresy. Zrobiła to, żeby już nigdy nie zapomnieć, do kogo powinno należeć jej serce. Niestety znowu zblądziła. Wylądowanie w łóżku z Lilianą Brzezińską było wyjątkowo nie na miejscu... o ile można to tak nazwać. Zarówno wobec Teresy, jak i śledztwa. Klementyna, zamiast być niezawodna, była nie na miejscu. Jak zwykle coś nie tak, jak trzeba. Nie na miejscu i za stara.

A teraz jeszcze ten wyrostek o nazwisku Teresy. Hubert Przybylski był jak wyrzut sumienia, który gnębił Klementynę. Może Teresa, gdziekolwiek teraz była, mściła się na policjantce za tę nieoczekiwaną słabość do Liliiany.

Chociaż to chyba niemożliwe, uznała komisarz Kopp z lekkim rozbawieniem. Przecież Teresa nigdy nie bywała ani odrobinę zazdrosna. Była raczej delikatna i nieskończenie wyrozumiała. To Klementyna była tą bardziej zaborczą. Może dlatego, że Teresa była piękna, a Klementyna brzydka i stara?

– Jak wyglądały pana relacje z Waldemarem Gąsiorowskim?
– zapytał Daniel Podgórski, wrywając Klementynę z jałowych rozważań.

Policjantka odchrząknęła, żeby dodać sobie animuszu. Hubert Przybylski mieszkał w jakiejś ciasnej norze przy ulicy Wincentego Witosa. Siedzieli teraz w maleńkiej kuchni, która przypominała schowek na szczotki.

– No właśnie. No właśnie – powiedziała Klementyna, rozglądając się wokół. – Co na to powiesz, co?

Hubert Przybylski wyglądał na spłoszonego. To było chyba najlepsze słowo. Grdyka chodziła mu szybko w górę i w dół. Oczy zdawały się rozbiegane, jakby chłopak szukał

jakiegokolwiek drogi ucieczki z tej ciasnej kuchni.

– Waldemar był moim teściem. No, może prawie – wydusił w końcu Przybylski. – Było w porzo. Nie wiem, co więcej mogę powiedzieć.

– W porzo, co? – powtórzyła za nim Klementyna. – Nasz świadek twierdzi coś zupełnie innego.

Hubert Przybylski odwrócił wzrok. Czekali.

– Niby co? – zapytał chłopak w końcu.

– Na przykład to, że pokłóciłeś się z Waldemarem Gąsiorowskim po południu, a w nocy twój teściu już nie żył. Nie najlepiej to wygląda. Oj nie – zaatakowała Klementyna. Miała ochotę wyżyć się na kimś. Ten typ nadawał się do tego wprost idealnie. – O co poszło, co? Mów natychmiast!

Dresiarz wzruszył ramionami i poprawił czapkę. Nie zdjął bejsbolówki ani na chwilę, mimo że siedzieli przecież w domu. Prawdopodobnie chodziło o modę. Z drugiej strony komisarz Kopp nigdy nie ufała ludziom, którzy noszą nakrycie głowy w pomieszczeniach. Stare przyzwyczajenie, którego nie mogła się wyzbyć. Zresztą i bez przesądów widać było, że Przybylski kłamie.

– Możesz być ociupinkę bardziej dokładny, co? Szczegóły!

– O nic nie chodziło – upierał się Hubert. Bawił się nerwowo rękawem szeleszczącej bluzy.

– Okej. No dobra. Zacznijmy może inaczej – zaproponowała Klementyna lekko. Pilnowała, żeby każda sylaba na pewno trafiła na swoje miejsce. – To może powiesz nam, gdzie byłeś w nocy z soboty na niedzielę, co?

– Pani mnie pyta o alibi? – zapytał Przybylski. Teraz wydawał się jeszcze bardziej spłoszony niż przedtem.

– Patrz, Daniel. Co za niesamowity intelekt – zadrwiła komisarz Kopp. – A o co niby pytam, co? To gdzie byłeś? Mów wreszcie.

– Z Oliwią. Byłem z Oliwią. Ona na pewno potwierdzi – powiedział szybko Hubert Przybylski. – Ja nie zabiłem Waldemara.

Daniel Podgórski chciał chyba coś powiedzieć, ale Klementyna tym razem nie zamierzała dopuścić go do głosu.

Sama chciała pytać.

– Wiele nam to nie daje. Ale! Jak już sobie tam wolisz. Twoja sprawa. Żebyś tylko potem nie żałował – zablefowała. Czasem to działało dużo lepiej niż prawda. – Możesz mieć z tego powodu kłopoty, i to niedługo.

Hubert Przybylski oparł się wygodniej o oparcie starego plastikowego krzesła, na którym siedział. Nagle wydał się spokojniejszy. Klementyna Kopp poczuła, że ogarnia ją gniew. Musiała nad sobą zapanować. Niepotrzebne emocje sprawiały, że zaczynała tracić trzeźwość osądu.

– Nie zabiłem Waldemara – powtórzył chłopak. Głośno i wyraźnie.

– Okej. No dobra. A skąd znałeś Małgorzatę Głuszyńską, co?

– Ja? – zdziwił się Hubert Przybylski.

– No, a kto niby, co? – zapytała Klementyna sarkastycznie. – Nikogo poza tobą w tej kuchni nie ma.

Przybylski otworzył szerzej oczy.

– No, Oliwka pracowała z nią w kwiaciarni – powiedział. – W Oleandrze. Stąd znałem panią Małgośkę.

– Widywaliście się z Głuszyńską poza kwiaciarnią, co?

– No nie.

– No nie?

– No nie.

Klementyna Kopp uśmiechnęła się cierpko na tę odpowiedź.

– Co w takim razie robiłeś koło jej domu w kolonii Żabie Doły, co?

– Ja?

– Nie. Święty Tomasz – zakpiła znowu Klementyna Kopp. – Kto jak nie ty, co?

Hubert Przybylski zdjął wreszcie czapkę. Włosy miał ogolone na krótkiego języka. Zupełnie jak pani komisarz. Policjantka odruchowo dotknęła ręką głowy. Niedługo będzie musiała skrócić włosy. Odrosły już trochę.

– A co, to już nie mogę tamtędy przechodzić? – zapytał chłopak zaczepnie. – Chyba nie ma tam zakazu wstępu?

– A dokąd to tak tamtędy szedłeś, co? To jest ślepa uliczka. Dalej jest już tylko fabryka Brod-Dysk. Tam chyba nie szedłeś,

co?

W jednej chwili Klementyna zrozumiała, że popełniła błąd. Hubert Przybylski spojrział na nią zadowolony. Wyczuł chyba swoją szansę.

– Właśnie że tam szedłem – powiedział. Jego słowa wręcz ociekały satysfakcją.

– Czemu, jeśli można wiedzieć, co? – brnęła dalej Klementyna.

– Dorabiam przy hodowli ptaków państwa Szczepańskich – wyjaśnił Przybylski. Był już zupełnie rozluźniony. – Pan Stanisław z Brod-Dysku to syn moich pracodawców, pana Tadeusza i pani Hanny. Byłem w pobliżu i postanowiłem odwiedzić pana Stanisława... no tak, właśnie. Tak to było. Pewnie wtedy ten wasz świadek mnie widział.

– Chciałeś odwiedzić Stanisława Szczepańskiego, co? – zapytała Klementyna podejrzliwie. Te mętne tłumaczenia były... no, mętne. Policjantka nie wierzyła w ani jedno słowo dresiarza. Ale nie mogła też ich podważyć. – Dyrektor Brod-Dysku to potwierdzi, co?

– Raczej nie, bo ostatecznie to tam nie poszedłem – stwierdził Hubert Przybylski i z powrotem włożył czapkę.

– Tylko gdzie poszedłeś, co?

– No, do domu – odparł chłopak, wzruszając ramionami. – Myślałem, że podejść do Brod-Dysku, ale potem zmieniłem zdanie. To właśnie robiłem obok domu Małgorzaty Głuszyńskiej. Co innego miałbym tam robić?

– O to się właśnie pytam.

– No to ja odpowiadam.

Komisarz Klementyna Kopp zakłęła pod nosem z irytacji. To przesłuchanie zmieniało się w farsę. Nie dowiedzieli się niczego istotnego.

Sierzant sztabowa Emilia Strzałkowska nie mogła przestać myśleć o tym, że prokurator Leon Gawroński najwyraźniej ją podrywał. Co lepsze, robił to zupełnie otwarcie podczas oficjalnej odprawy w sprawie podwójnego morderstwa.

Wiele osób uznałoby to zachowanie za niestosowne, ale Emilia musiała przyznać, że było w tym również coś podniecającego. Nie potrafiła właściwie określić co. Może chodziło o zakazany owoc. A może o to, że Strzałkowska nigdy nie należała do kobiet, które podobają się mężczyznom. Policjantka nie była zbyt atrakcyjna. Twarz miała w najlepszym razie pospolitą, a kilka kilo nadwagi zgromadziło się dość niefortunnie wokół bioder. Mimo tych mankamentów Leon Gawroński rzucał jej powłóczyste spojrzenia i uśmiechy, których nie sposób było inaczej interpretować. Podobała mu się. Atencja mężczyzny takiego jak prokurator Gawroński chyba każdej kobiecie mogła poprawić samoocenę. Emilia też czuła, że chce więcej. Chyba nie było w tym nic złego?

Przez chwilę Strzałkowska rozważała, czy nie zapytać o zdanie Marka Zaręby. Uznała jednak w końcu, że to nie jest temat, który może poruszyć z kolegą. Lubiła Marka, ale nie znali się chyba aż tak dobrze. A może? Strzałkowska mieszkała w Lipowie od grudnia. Przez tych kilka miesięcy zdążyła już zaprzyjaźnić się z Zarębą. Młody policjant miał w sobie coś takiego, że człowiek od razu miał wrażenie, że zna go od lat.

– Chyba się zgubiliśmy – poinformował ją Marek tymczasem.
– Ten cholerny GPS nie wziął pod uwagę objazdu.

Krążyli już jakiś czas wokół Golubia-Dobrzynia i nie mogli znaleźć wsi, gdzie mieszkał ornitolog polecony przez prokuratora Gawrońskiego. Mieli porozmawiać z nim o czarnym piórze pozostawionym prawdopodobnie przez sprawcę w domu Małgorzaty Głuszyńskiej i w mieszkaniu Waldemara Gąsiorowskiego.

– Jak się nazywała ta wieś? – zapytała Strzałkowska.

Musiała się skupić na pracy, a nie myśleć o Leonie Gawrońskim. Zresztą to nie był dobry czas na romansowanie. Był przecież Łukasz i jego problemy z Danielem. Była sprawa o podwójne zabójstwo!

– Sprawdź na kartce. Jest w schowku – wyjaśnił Marek.

– Może coś źle wpisałeś do nawigacji – zasugerowała Emilia.

Młody policjant wyglądał na zawstydzonego. Emilia dobrze wiedziała, że Marek uważał się nie tylko za dobrego kierowcę,

ale też za specjalistę od wszystkich spraw związanych z samochodami. Od znajdowania drogi pewnie także.

– Niemożliwe – odparł Marek natychmiast.

Emilia Strzałkowska przez całe swoje życie zawodowe współpracowała głównie z mężczyznami i doskonale wiedziała, jaką awersję potrafią mieć do przyznawania się do błędu. Zaręba nie stanowił tu wyjątku.

Policjantka wydobyła ze schowka karteczkę z nazwą miejscowości, do której chcieli dotrzeć.

– Rzeczywiście źle wpisałeś – powiedziała najdelikatniej, jak umiała, i wpisała poprawne dane do nawigacji. – Prokurator pisze trochę niewyraźnie. Miałeś prawo się pomylić. Zobaczmy, jak teraz nas pokieruje.

– Skręć w lewo. Skręć w lewo – poinformowała nieco histerycznie nawigacja, kiedy tylko Emilia skończyła wprowadzać nowy adres.

Marek Zaręba wykonał szybki manewr, powodując przy tym niemałe zamieszanie na drodze. Ktoś zatrąbił rozeźlony.

– Jedź prosto – brzmiał kolejny komunikat.

Nawet zwykła samochodowa nawigacja miała całkiem seksowny głos, doszła do wniosku Emilia. Westchnęła. Tego policjantka zupełnie nie mogła powiedzieć o sobie. We wszystkim była zwykła. Nie różniła się niczym od tysięcy kobiet w Polsce. Nawet jej głos się nie wyróżniał. Prawdopodobnie uwagę prokuratora po prostu sobie wymyśliła. Łatwo o nadinterpretację, kiedy jest się zgłodniałym czyjejs uwagi.

– Skręć w prawo – poinstruowała ich znowu nawigacja głosem spikerki z sekstelefonu. – Za dwieście metrów osiągniesz cel.

– No widzisz, jak byliśmy blisko – powiedział Marek Zaręba.

– Niewiele się pomyliłem. Byłem w Golubiu-Dobrzyniu kilka razy, żeby oglądać turniej rycerski. To znaczy na zamku golubskim. W tym roku chyba też się wybierzemy z Ewelina i dziećmi. Jak chcesz, to możesz wziąć Łukasza i też się zabrać. Fajnie to wygląda.

– Może – odparła Emilia nieco wymijająco. Nie miała teraz

ochoty snuć planów na przyszłość. – To chyba ten dom.

Policjantka wskazała budynek przy końcu miejscowości, do której dotarli. Wieś nazywała się Sokołowo. Same ptaki, zaśmiała się w duchu Emilia. Prokurator Gawroński, zabity Waldemar Gąsiorowski. A teraz ornitolog o nazwisku Bocian w miejscowości Sokołowo. Sporo tego było.

Wysiedli z samochodu i nacisnęli dzwonek przy furtce. Drzwi domu otworzyły się po chwili. Na próg wyszedł mężczyzna w kraciastej koszuli.

– Zapraszam, zapraszam. Furtka jest otwarta! – zawołał. – Mateusz Bocian. Kłaniam się.

Nazwisko Bocian bardzo pasowało do ornitologa. Mężczyzna był wysoki i kościsty. Miał długą szyję i niewielką głowę z cofniętym nieco podbródkiem.

– Zapraszam do domu – powiedział raz jeszcze.

– Dziękujemy.

Policjanci weszli za ornitologiem do środka.

– Zapraszam do mojego gabinetu na górze – powiedział Mateusz Bocian znowu. – Żona i dzieci oglądają telewizję. Niech sobie odpoczną. My porozmawiamy w gabinecie. Tam nie będziemy nikomu przeszkadzać ani nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Weszli po schodach na piętro. Najwyraźniej to tu znajdowało się królestwo Mateusza Bociana. Każdy wolny fragment ścian zajmowały zdjęcia i ilustracje przedstawiające rozmaite ptaki. Na półkach poukładane były pióra, ptasie kości i modele. Robiło to dość niesamowite wrażenie.

– Proszę mi pokazać państwa znalezisko – poprosił pan Bocian.

Wyglądało na to, że ornitolog aż rwie się do pracy. Marek Zaręba wyjął torebki na dowody, w których były zabezpieczone dwa czarne pióra. Mateusz Bocian wyciągnął po nie ręce. W jego ruchach czaiła się dziwna zachłanność.

– Proszę spocząć, a mnie dać chwilę czasu na obejrzenie eksponatów – rzekł ornitolog, nie patrząc już nawet na dwójkę policjantów. – Czy mogę ich dotykać?

Strzałkowska pokiwała głową.

– Tak, oczywiście. Technicy sprawdzili już pióra, ale nie znaleźli na nich żadnych interesujących śladów.

Emilia i Marek usiedli na kanapie przy oknie. Czekali w ciszy na wyniki oględzin. Nie chcieli przeszkadzać. Po jakimś czasie, który dłużył się Strzałkowskiej niemiłosiernie, ornitolog wstał od biurka i podszedł do nich z jednym z piór w ręce.

– *Cygnus atratus* – oznajmił Mateusz Bocian, gładząc delikatnie pióro.

Emilia Strzałkowska i Marek Zaręba zerknęli po sobie.

– Proszę wybaczyć, ale chyba żadne z nas nie zna łaciny – powiedziała policjantka z uśmiechem.

– Łabędź czarny – pospieszył z wyjaśnieniem ornitolog. – Piękny ptak. Nie wiem, czy mieli państwo okazję widzieć go kiedyś na żywo. O, tu mam zdjęcie.

Kościsty mężczyzna wskazał róg pokoju. Fotografia, która wisiała tam na honorowym miejscu, przedstawiała parę czarnych łabędzi. Ich wygięte szyje tworzyły razem kształt serca. Było to całkiem romantyczne, pomyślała Emilia z uśmiechem. Pocztówkowe zdjęcie na walentynki.

– Chyba nigdy takiego nie widziałem na żywo. Czy u nas czarne łabędzie w ogóle występują w naturze? – zapytał Marek bardziej rzeczowo. – Nad naszymi jeziorami widziałem chyba tylko białe.

– *Cygnus atratus* pochodzi z Australii – wyjaśnił Mateusz Bocian. – Rzeczywiście nie występuje u nas w warunkach naturalnych. U nas się go tylko hoduje.

– Czy to rzadki ptak? – chciała wiedzieć Emilia. – Chodzi mi o to, czy sprawca mógł mieć trudności ze zdobyciem takiego pióra.

Mateusz Bocian pokręcił głową.

– Raczej nie – stwierdził powoli. – W naszych hodowlach łabędź czarny jest nawet dość popularny, bo nie przysparza zbyt wielu problemów. Jest odporny. Nawet na przymrozki. Przy łagodnych zimach może spędzać czas na dworze, mimo że pochodzi z antypodów... Proszę mi wybaczyć. Tak zwykle nazywać Australię. Mimo że właściwie Australia to nie są antypody w stosunku do nas...

– Czyli nie byłoby trudno zdobyć takie pióra? – upewniła się Emilia, przerywając geograficzne rozważania ornitologa.

– Ani trochę – zapewnił Mateusz Bocian raz jeszcze. – Zwłaszcza jeżeli ktoś prowadzi na przykład hodowlę albo taką odwiedzi. Oczywiście jeżeli nie mamy dostępu do hodowli, to już byłoby trudniej, ale to pewnie też nie jest niemożliwe.

Emilia Strzałkowska chciała właśnie zadać kolejne pytanie, ale zadzwoniła jej komórka.

– Przepraszam – zwróciła się do Mateusza Bociana i wyciągnęła telefon. Dzwonił Franciszek Trojanowski, specjalista od szachów. Ciekawe. – Pan wybaczy, muszę odebrać to połączenie. To ważne.

– Oczywiście, proszę sobie nie przeszkadzać – powiedział ornitolog i wrócił do dokładnego oglądania pióra.

– Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska – przedstawiła się policjantka, naciśnawszy zieloną słuchaweczkę w ostatniej chyba chwili.

– Pani Emilio? – odezwał się Franciszek Trojanowski.

– Tak, to ja.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam...

– Proszę mówić – zachęciła go policjantka.

– Rozmawialiśmy wczoraj o tym nowym tatuażu...

Szachista zamilkł na dłuższą chwilę. Marek Zaręba spojrzął na Emilię pytająco. Pokręciła głową na znak, że na razie nie wie, o co chodzi.

– Jest pan tam, panie Franciszku? – upewniła się policjantka.

– Tak, tak. Przepraszam. Zastanawiałem się nad czymś – stwierdził Franciszek Trojanowski. – Po prostu coś mi przyszło do głowy. Najpierw G:e5, a potem G:f4... to raczej zgadywanie i nie wiem, czy to w ogóle ma dla państwa jakieś znaczenie, ale... słyszała pani o „nieśmiertelnej partii”?

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska słuchała bardzo uważnie.

Stanisław Szczepański wszedł do domu rodziców na Wyspie Skarbów. Czuł się niespodziewanie lekko. Przynajmniej

zważywszy na okoliczności. Produkcja w Brod-Dysku miała wkrótce ruszyć, więc w tej kwestii wszystko szło ku dobremu. Teraz jedyną zadrą był Waldemar Gąsiorowski, a właściwie jego śmierć. Trochę niefortunnie to się wszystko złożyło.

Ptaki w wolierach hałasowały jak zwykle. Stanisław często odwiedzał rodziców, ale nie potrafił przywyknąć do tego harmidru.

– Dobrze, że jesteś, synku – powiedziała matka. Od razu dało się zauważyć, że Hanna była przejęta. – Tata zarządził naradę kryzysową. Najwyższy czas. Od kiedy tylko się dowiedziałam, próbowałam przemówić mu do rozsądku.

– Przesadzacie – mruknął Stanisław Szczepański. – Nie stało się nic takiego.

Hanna odwróciła się bez słowa. Stanisław poszedł za matką do kuchni. Tu było znacznie ciszej niż po drugiej stronie domu. Okna wychodziły na jezioro Bachotek. Zachodzące słońce tańczyło na wodzie. Wyspa Skarbów potrafiła jednak być malownicza.

Ojciec siedział już przy stole z chmurną miną na opalonej twarzy.

– Leny nie ma? – zapytał Stanisław zaskoczony. Kiedy rodzice zamierzali omówić jakiś problem, z reguły chcieli, żeby obecni przy tym byli i syn, i córka.

– Mówiliśmy ci przecież, że twoja siostra dostała pracę w gazecie.

– A właściwie w jakiej gazecie Lena pracuje? – zapytał Stanisław. Był naprawdę ciekawy. Do tej pory nikt nie chciał mu tego powiedzieć. Szczepański miał dziwne wrażenie, że rodzice unikają tego tematu. – Nie wspominaliście. W „Czasie Brodnicy”?

– Zresztą nie trzeba jej niepokoić – mruknął Tadeusz Szczepański wymijająco. Znowu. – Powiedz lepiej, co zrobimy z kwestią śmierci Waldemara Gąsiorowskiego?

– Jaką kwestią? – zbył ojca Stanisław. – Nie ma żadnej kwestii. Niepotrzebnie panikujesz, tato.

– Ja jestem innego zdania – powiedział Tadeusz Szczepański twardo.

– Zgadzam się z tatą – odparła Hanna. – Ktoś może powiązać Waldemara Gąsiorowskiego z nami. Wiesz, jak oni czasem wężą. Strasznie się denerwuję. Co wtedy będzie?

Stanisław Szczepański musiał przyznać, że rodzice mogą mieć trochę racji. Pora chyba wyłożyć na stół wszystkie karty. Lepiej, żeby rodzice dowiedzieli się o jego własnych powiązaniach z Waldemarem teraz, kiedy Stanisław sam kontroluje sytuację.

– Nie powiedziałem wam wszystkiego... – zaczął dyrektor Brod-Dysku.

Po zakończonym przesłuchaniu Huberta Przybylskiego młodszy aspirant Daniel Podgórski postanowił pojechać z komisarz Klementyną Kopp z powrotem do Komendy Powiatowej Policji w Brodnicy. Kiedy oni zajmowali się przesłuchaniami, kilku ochotników sprawdzało billingi Waldemara Gąsiorowskiego. Podobno były już jakieś wyniki tych poszukiwań. Daniel był bardzo ciekawy, czy wreszcie znajdą coś, co pozwoli im zrobić krok do przodu.

– Moglibyśmy zatrzymać się na chwilę przy rynku? – zapytał policjant cicho, kiedy jechali ulicą 18 Stycznia. – Chciałbym coś szybko załatwić, zanim pojedziemy do komendy.

– Co? – rzuciła Klementyna.

Tym razem dla odmiany komisarz Kopp zachowywała się całkiem przyjaźnie. Wyglądało na to, że zdenerwowanie nareszcie trochę z niej opadło.

Daniel poczuł, że się czerwieni.

– Chciałbym odwiedzić jubilera – wyjaśnił równie cicho jak przedtem.

Klementyna Kopp zagwizdała.

– To jest to, co myślę, co? – zapytała z uśmiechem. Jej przedwcześnie postarzałą twarz przecięła sieć zmarszczek.

– Zamierzam poprosić Weronikę o rękę – oznajmił Daniel Podgórski z nową odwagą. – Chciałem poczekać, aż zakończymy sprawę i rozwiążemy kwestię plotek o zamknięciu naszego komisariatu, ale pomyślałem, że może jednak nie warto czekać... A właśnie, znalazłaś może coś w naszej sprawie?

Klementyna Kopp skrzywiła się nieco.

– Nie – odparła spokojnie. – Nic nie znalazłam.

Daniel Podgórski miał wrażenie, że Klementyna Kopp nie mówi mu całej prawdy. Wyglądało raczej na to, że policjantka zmieniła zdanie i nie zamierza już wprowadzać w życie szalonego planu szantażowania komendanta. Daniel poczuł ulgę. Szantaż nie za bardzo mu się podobał. Będzie, co ma być. No, chyba że Klementyna znowu zmieni zdanie... albo plotki okażą się nieprawdziwe i komisariatowi w Lipowie zupełnie nic nie grozi. Przecież ostatecznej decyzji jeszcze nie ma, pocieszył się w duchu policjant.

– No, w każdym razie chciałbym to zrobić teraz – zakończył Daniel nieco nieporadnie. – Oczywiście do oświadczyn potrzebuję pierścionka. Sklep jubilerski w pasażu handlowym powinien być jeszcze czynny.

Klementyna Kopp pokiwała głową. Zaparkowali przy Dużym Rynku. W poniedziałkowe popołudnie nie było o dziwo kłopotów ze znalezieniem miejsca. Ruszyli do pasażu obok domu towarowego.

Butik jubilera rzeczywiście nie był jeszcze zamknięty. Daniel poczuł się trochę niezręcznie, kiedy wreszcie stanęli przy szklanej gablocie z pierścionkami. Wystrojona w falbaniastą bluzkę sprzedawczyni spoglądała na nich spod oka.

– Może w czymś pomóc? – zapytała, mierząc Daniela od stóp do głów podejrzliwym spojrzeniem.

– Szukam pierścionka zaręczynowego – wyjaśnił drżącym głosem policjant.

Odchrząknął, żeby ukryć zdenerwowanie. Nie podejrzewał, że tak go ten zakup wzruszy. Cieszył się, że Klementyna przyszła tu razem z nim.

– Może niech narzeczona sama wybierze – powiedziała sprzedawczyni i spojrzała wymownie na komisarz Kopp.

– Że ja jestem panną młodą, co? – zapytała Klementyna i zaczęła się głośno śmiać.

Wesołość komisarz Kopp była zaraźliwa. Daniel poczuł, że schodzi z niego napięcie. Śmiali się we dwójkę rozbawieni.

– Bardzo przepraszam. Myślałam... Jaki rozmiar pana

interesuje? – zapytała sprzedawczyni. Wyglądała teraz na mocno zakłopotaną. – Mamy spory wybór, tylko musimy znać rozmiar.

Teraz z kolei to Podgórskiego ogarnęło zażenowanie. Przyszedł zupełnie nieprzygotowany. Spontaniczne zakupy to nie był chyba jednak zbyt dobry pomysł.

– Wrócę później – obiecał Daniel i pociągnął Klementynę za sobą.

Wyszli z powrotem na rynek.

– Jedziemy do komendy, co? – zapytała komisarz Kopp, dyplomatycznie nie wracając do tematu zaręczyn.

19 maja 2014

Do zainteresowanych:

Przygotowuję się.

Mam kolejne pióro. To jest moje zaproszenie do gry. Można je przyjąć albo nie. Tak mam to zaplanowane.

Nie ma co się oszukiwać. Wiem, że w praktyce oni nie mają jak odmówić. Może nawet nie rozumieją przesłania. Nie szkodzi. A może nawet tym lepiej.

Ciekawe, czy policja powiązała już szachownice, które zostawiam, z piórami.

Byłoby dobrze.

Z drugiej strony to chyba już nieważne. Każda z opcji jest równie dobra. Nie obchodzi mnie to.

Nie boję się. Teraz.

Mój strach przed policją (lub jego brak) zależy od nastroju. Raz czuję, że robię dobrze, a raz rozsadzają mnie niemal wyrzuty sumienia.

Powtarzam sobie, że ich śmierć była potrzebna. Nie dla mnie.

Czasem to pomaga, a czasem...

Zemsta czy honor?

Czy to jakakolwiek różnica?

Właściwie zemsta brzmi równie dobrze. Słodko, ale też i odrobinę gorzko.

Zemsta.

ROZDZIAŁ 25

Lipowo, kolonia Żabie Doły i Brodnica.
Wtorek, 20 maja 2014. Rano

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska przyjechała do Komendy Powiatowej Policji w Brodnicy ze starszym sierżantem Markiem Zarębą. Marek zatrzymał samochód na parkingu przed komendą. Emilia wykorzystała moment jego nieuwagi, żeby spojrzeć na siebie w bocznym lusterku. Czowała się przy tym trochę głupio.

Dziś rano Strzałkowska podjęła wysiłek i pomalowała rzęsy. Nie należała do kobiet, które przesadnie się malują. Właściwie to lepiej powiedzieć, że należała do kobiet, które w ogóle się nie malują. Dziś czekała ją jednak kolejna odprawa z prokuratorem Gawrońskim. Z tego właśnie powodu Emilia nie chciała wcale wyglądać jak szara myszka albo przykładna matka Polka, która stara się zrobić karierę w męskim świecie. Chciała wyglądać atrakcyjnie.

Jak to zazwyczaj bywa, podjęcie decyzji o zrobieniu makijażu było łatwiejsze niż samo jego wykonanie. Pierwszym kłopotem był niezaprzeczalny brak materiałów. Znalezienie maskary w jej skromnym wynajętym domku graniczyło z cudem. Emilia przeszukała łazienkę, ale nie przyniosło to oczekiwanych efektów. Przez chwilę żałowała, że Łukasz nie jest zbuntowaną nastolatką. Przynajmniej miałyby komu podkradać kosmetyki.

W łazience nie było żadnych kosmetyków do makijażu. Strzałkowska nie zamierzała poddać się jednak tak łatwo. Poszła do sypialni i kontynuowała poszukiwania. W końcu z okrzykiem radości znalazła opakowanie na wpół zaschniętego wodoodpornego tuszu do rzęs. Leżało na dnie torby podróżnej, której Emilia nie rozpakowała jeszcze od przyjazdu do Lipowa w grudniu.

Strzałkowska stanęła przed lustrem z maskarą w dłoni i zaczęła metodycznie ją nakładać. Po chwili namysłu zrezygnowała z malowania dolnych rzęs. Górne i tak stanowiły nie lada wyzwanie. Policjantka studiowała przez chwilę swoje odbicie w lustrze. Była całkiem zadowolona z efektu, który osiągnęła. Oczy zrobiły się jakby większe i bardziej wyraziste.

– No to jesteśmy – powiedział młody Marek Zaręba, wyrывая Strzałkowską z zamyślenia. – Co myślisz o tym nowym prokuratorze?

Emilia odchrząknęła. Czy Marek zadał to pytanie zupełnie przypadkiem? Czy może coś zauważył? Popadam chyba w paranoję, skarciła się w duchu Strzałkowska. Przecież to pytanie było całkiem normalne. Rozmawianie o współpracownikach w gronie znajomych było całkiem normalne. Wszyscy tak robili.

– Chyba jest w porządku – stwierdziła neutralnie.

– Też tak myślę. Zostawia nam sporo samodzielności. No i w ogóle wziął nas do śledztwa – mówił Marek dalej. – Bałem się, że jak Jacek Czarnecki odejdzie, to już nikt nas nie będzie brał do poważnych spraw... matko, mam tylko nadzieję, że te plotki o zamknięciu naszego komisariatu to nieprawda. Wszystko się przecież tak dobrze układa.

Zamknięcie komisariatu w Lipowie? Emilia nie myślała o tym ostatnio zbyt wiele. Za bardzo pochłonęło ją śledztwo. I nagła atencja prokuratora Gawrońskiego.

– Zobaczymy – mruknęła.

– Coś mało jesteś dziś rozmowna – zażartował Marek.

– Daj spokój, chodźmy.

Weszli do budynku Komendy Powiatowej i udali się na piętro do sali konferencyjnej, gdzie miała się odbyć kolejna odprawa. Daniel Podgórski i Klementyna Kopp byli już na miejscu. Rozmawiali z prokuratorem. Leon Gawroński uśmiechnął się na widok Emilii. Strzałkowska miała tylko nadzieję, że nie jest cała czerwona z emocji.

– Dzień dobry – powiedział prokurator. – Dobrze, że państwo już są. Zaczynamy. Rozmawiałem wcześniej z doktorem Zbigniewem Koterskim. Zrobił już sekcję zwłok Waldemara

Gąsiorowskiego.

– I? – zapytała Klementyna Kopp.

– Sytuacja ma się podobnie jak w przypadku Małgorzaty Głuszyńskiej – wyjaśnił Leon Gawroński, zerkając do raportu, który miał przed sobą. – Przyczyną śmierci również był tu fosgen. Interesujące jest to, że znowu mamy zjawisko wędrowania plam opadowych. Zupełnie jak przy śmierci kwiaciarce.

– Czyli ciało Waldemara Gąsiorowskiego zostało przemieszczone? – upewnił się Daniel.

Leon Gawroński przytaknął i rzucił krótkie spojrzenie w kierunku Emilii.

– Tak – powiedział, jakby mówił tylko do Strzałkowskiej. – Waldemar Gąsiorowski najpierw przez jakiś czas leżał. Prawdopodobnie na podłodze, gdzie umarł. A potem został posadzony na sofie, gdzie go znaleźliście. Sprawca z jakiegoś powodu sadza swoje ofiary. Jakies pomysły, dlaczego to robi? Dlaczego to jest dla niego takie ważne?

– Może to jakiś rytuał – zaproponowała Emilia, ponieważ czuła się w obowiązku coś powiedzieć. – Czy na ciele są jakieś ślady... przemocy?

Gawroński pokręcił głową.

– Nie. Tylko tyle szkód, ile wyrządził atak fosgenem – wyjaśnił prokurator. – Oprócz tego mamy oczywiście świeży tatuaż. Poza tym nic. Żadnej walki. Nic. Ani pierwsza, ani druga ofiara się nie broniła.

– Zastanawiam się, jak to mogło wyglądać – powiedział Daniel Podgórski zamyślony. – Sprawca wchodzi do domu swojej ofiary. Przynajmniej na początku musi być ubrany całkiem normalnie. Inaczej przecież wzbudziłby podejrzenia. Co się dzieje potem?

– Nagle wyciąga fosgen – zaproponował Marek Zaręba. – Tylko w czym sprawca go w ogóle przynosi?

– Zdaniem doktora Koterskiego sprawca rozpyła fosgen prosto w twarz ofiary – pospieszył z wyjaśnieniami Leon Gawroński. – Steżenie musi być bardzo duże, inaczej śmierć nie nastąpiłaby od razu. Prawdopodobnie ofiara nie broni się

właśnie z tego powodu. Nie ma jak. Umiera w męczarniach prawie natychmiast.

– Czyli sprawca rozpyła fosgen w stronę ofiary. To chyba oznacza, że w międzyczasie musi jakoś ochronić siebie – kontynuował swój wywód Podgórski. Emilia spojrzała na Daniela zainteresowana. Na chwilę zapomniała nawet o prokuratorze. – Jak to robił? Przecież sam mógł się zatruć, gdyby nie przedsięwziął jakichś środków ostrożności.

– Użył maski gazowej? – zastanawiała się Strzałkowska.

– Tak po prostu wyjął maskę gazową i ją włożył? Czy ofiara by się nie zdziwiła?

Przez chwilę wszyscy zastanawiali się nad słowami Daniela.

– Może Małgorzata Głuszyńska i Waldemar Gąsiorowski nie widzieli, jak sprawca wkłada maskę – zaproponował Marek Zaręba powoli.

– Co masz na myśli, Młody?

– Mogli być ogłuszeni – zasugerował Zaręba.

– To nie wchodzi w grę. Tak jak mówiłem, doktor Koterski nie zauważył żadnych urazów – przypomniał prokurator Gawroński. – Głuszyńska i Gąsiorowski nie zostali uderzeni w głowę ani nic takiego. W ich krwi nie było też śladów intoksykacji. Wygląda na to, że w chwili kiedy sprawca przyskał im w twarz fosgenem, byli całkowicie przytomni. Co więcej, mieli też otwarte oczy. Według raportu w ich oczach widać duże podrażnienie spojówek, które nastąpiło właśnie w wyniku działania fosgeny. Ofiary nie były ogłuszone. To musiało się odbyć jakoś inaczej.

W sali konferencyjnej znowu zapadła cisza. Za szklanymi ścianami przemykali zabiegani funkcjonariusze Komendy Powiatowej. Wielu zaglądało ciekawie do sali. Emilia Strzałkowska wiedziała, że wielu z nich zgłosiło się na ochotników, żeby pomagać przy sprawie śmierci Gąsiorowskiego. Solidarność zawodowa.

– Okej. No dobra. A czas zgonu, co? – odezwała się komisarz Klementyna Kopp, przerywając milczenie. – Kiedy konkretnie umarł Gąsiorowski, co?

– Prawdopodobnie emerytowany policjant został

zaatakowany między godziną dwudziestą pierwszą a dwudziestą trzecią – oznajmił Leon Gawroński. Emilia Strzałkowska miała wrażenie, że komisarz Kopp wzdygnęła się na te słowa. – Potem w ciągu kilku godzin działo się coś, o czym nie wiemy. Ofiary leżały w pierwotnej pozycji wystarczająco długo, żeby uformowały się pierwsze plamy pośmiertne. Potem oba ciała zostały przemieszczone do pozycji, w której je znaleźliście. Stało się to, zanim plamy opadowe zastygły do końca.

– Co sprawca z nimi robi przez ten czas? – zastanawiał się głośno Daniel.

– Nasuwa się samo, że sprawca chce usadzić swoje ofiary przy partii szachów – powiedział Marek Zaręba. – Już o tym mówiliśmy.

– Tylko dlaczego nie robi tego od razu? Przecież mógł zabić i potem od razu przenieść ciało. Dlaczego czeka?

– Delektuje się ich śmiercią? – zasugerował Marek. – Przecież są różni zbrojeńcy.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Wróćmy może do podejrzanych – zaproponował Leon Gawroński po chwili. – Ta Liliana Brzezińska. Zaczniemy może od niej. Mówiliście, że rzeczniczka prasowa Brod-Dysku ma alibi od godziny dwudziestej trzeciej, prawda? Dobrze pamiętam?

– Tak – przyznał Daniel, zerkając na Klementynę Kopp przelotnie.

Emilia też spojrzała na policjantkę, ale nie umiała nic wyczytać z jej pomarszczonej twarzy. Ekscentryczna pani komisarz zachowywała się dziś wyjątkowo spokojnie.

– Co to właściwie jest za alibi? – zapytał prokurator Gawroński. Przekartkował papiery, które miał przed sobą na stole. – Nie zaznaczyliście tego w raporcie.

Podgórski odchrząknął.

– Sprawdziliśmy to z Klementyną. Liliana Brzezińska była z... z kimś od godziny dwudziestej trzeciej. Ta osoba to potwierdza – wyjaśnił enigmatycznie policjant. – Nie wiemy natomiast, co Liliana robiła wcześniej, czyli przed dwudziestą trzecią.

Brzezińska nie ma też alibi na czas śmierci swojej matki.

– Jeżeli bierzemy pod uwagę, że ciało Waldemara Gąsiorowskiego zostało przemieszczone, to chyba Liliana nie mogła go zabić – wtrącił się Marek Zaręba i sięgnął po butelkę wody stojącą na stole. – To znaczy nie mogła chyba przemieścić ciała i robić, cokolwiek tam sprawca robi, skoro ma alibi na późniejsze godziny.

Klementyna Kopp pokiwała bez słowa głową.

– Na to wygląda – zgodził się Daniel. – Chyba że Brzezińska zabiła Waldemara o dziewiątej. Wtedy miałyby dwie godziny na przemieszczenie ciała. Z drugiej strony doktor Koterski wspominał chyba, że plamy pośmiertne potrzebują trochę czasu, żeby w ogóle powstać, więc... – Podgórski zawiesił głos.

– Jest jeszcze możliwość, że Liliana nie działała sama – wtrąciła się Strzałkowska. – Tego przecież też nie możemy wykluczyć.

– Masz kogoś konkretnego na myśli?

– Nie wiem. Mogła na przykład współpracować z tym Stanisławem Szczepańskim. Przecież im obojgu zależało na śmierci Głuszyńskiej.

– Tylko dlaczego mieliby zabijać Gąsiorowskiego?

– Nie wiem – przyznała Emilia. – W każdym razie interesuje mnie też relacja pomiędzy Lilianą Brzezińską a Miłozem Janiszewskim. Może to ta dwójka działa razem.

– Raczej nie – nie zgodził się Marek Zaręba. – Przecież wiemy, że oni się nienawidzą.

– Może – mruknęła Strzałkowska. – Z drugiej strony wiemy to tylko od nich samych. To może być element ich planu. Zastanawialiście się nad tym?

– Ktoś chyba potwierdził, że między nimi nie jest dobrze – nie zgodził się znowu Marek. – Już nie pamiętam kto. Chyba ten Ignacy Sikora z „Prawdziwego Głosu”.

– Może też wiedział to od Liliany i Miłozsa – kontynuowała Emilia niezrażona. – Może idę już za daleko, ale skoro szukamy ewentualnych współników dla Liliany... były mąż jest równie dobry jak obecny szef.

Przez chwilę znowu wszyscy pograżyli się w myślach.

– Podoba mi się ten pomysł – stwierdził Leon Gawroński i uśmiechnął się do Strzałkowskiej miło. – Niemniej kłopot polega na tym, że nie sprawdzimy, jak jest naprawdę. Jeżeli ta dwójka chce nas oszukiwać, to nic przeciw nim nie wskóramy. Zostawmy to na chwilę i przejdźmy może do następnej sprawy. Emilio, ty i Marek byliście w Golubiu-Dobrzyniu u eksperta od ptaków. Co wiemy o tych czarnych piórach?

Marek Zaręba wyjął torebki na dowody, w których były zabezpieczone dwa pióra znalezione w domach ofiar.

– Oba pióra należą do tego samego gatunku ptaka. Do łabędzia czarnego – oznajmiła Emilia. – U nas nie występuje, ale jest dość często hodowany jako ptak ozdobny.

– Wracamy do tematu hodowli ptaków na Wyspie Skarbów – powiedział Daniel. – Prowadzą ją starzy Szczepańscy.

– Dokładnie – zgodził się natychmiast Marek Zaręba. – Czyli przy okazji wracamy też do Stanisława Szczepańskiego z Brod-Dysku.

– Czy ci Szczepańscy hodują czarne łabędzie? – chciał wiedzieć prokurator Gawroński.

– Nie wiem – przyznał Marek.

– Sprawdźcie to – zarządził prokurator. – Jeżeli starzy Szczepańscy mają w hodowli czarnego łabędzia, to dyrektor Brod-Dysku mógł z łatwością zdobyć pióro, odwiedzając rodziców. Już ustaliliśmy, że śmierć Małgorzaty Głuszyńskiej była Stanisławowi bardzo na rękę. Nie wiemy na razie, jakie miał związki z Waldemarem Gąsiorowskim. To trzeba jeszcze ustalić...

– Czekaj. Stop! – wtrąciła się Klementyna Kopp. – Jest maleńki, drobniutki związek.

– To znaczy?

Klementyna rozejrzała się po zebranych.

– Rozmawiałam z chłopakami, którzy sprawdzali billingi Gąsiorowskiego. Stanisław Szczepański dzwonił do Waldemara – wyjaśniła policjantka powoli. – Raz, jeden.

– Kiedy? – zapytała Emilia Strzałkowska, zapominając już prawie zupełnie o swojej niechęci do komisarsz Kopp.

– Siódmego maja.

– Waldemar Gąsiorowski umarł siedemnastego maja – odezwał się prokurator Gawroński. W jego głosie dało się słyszeć wyraźną nutkę ekscytacji. – Czyli telefon Stanisława Szczepańskiego do Gąsiorowskiego miał miejsce aż dziesięć dni przed zabójstwem.

– To było jeszcze nawet przed śmiercią Małgorzaty Głuszyńskiej – przypomniał Daniel Podgórski. – Głuszyńska umarła jedenastego maja.

Leon Gawroński pokiwał głową.

– Jeden telefon może nie mieć znaczenia – stwierdził prokurator. – To mogła być pomyłka. Takie rzeczy się zdarzają.

– Czekaj. Stop. To raczej nie była pomyłka. Rozmowa trwała prawie dziesięć minut – oznajmiła Klementyna Kopp. – Przez tyle czasu raczej nie konferowali o niczym, co? Czyli jakiś związek pomiędzy nimi musi być. Ale! To oczywiście nie oznacza jeszcze, że Stanisław Szczepański jest automatycznie naszym zabójcą.

– Czy wy w ogóle z nim rozmawialiście do tej pory?

– Nie – przyznał Daniel.

– To przesłuchajcie go! I to jak najszybciej. To duże niedopatrzenie, że jeszcze tego nie zrobiliście – upomniał policjantów prokurator Gawroński. – Sprawdźcie koniecznie, czego dotyczyła ta rozmowa z siódmego maja i skąd Stanisław Szczepański i Waldemar Gąsiorowski się znali. Sprawdźcie też, czy w hodowli Szczepańskich w ogóle są czarne łabędzie.

– Wracając jeszcze do piór – wtrącił się ostrożnie Podgórski.

– Pamiętacie, że w logo Towarzystwa Ekologicznego jest łabędź? Samo towarzystwo nazywa się Cygnus, co oznacza po łacinie łabędzia. Przy ofiarach zostawiono łabędzie pióra. Myślicie, że to jest przypadek?

– To już chyba przesada – mruknął prokurator w zamyśleniu.

– Chociaż może nie? Nadal mamy przecież na liście podejrzanych tę Barbarę Krakowiak z Cygnusa.

– Czekaj. Stop! – wykrzyknęła nagle Klementyna Kopp. – Hubert Przybylski!

Wszystkie oczy skierowały się na panią komisarz.

– Spokojnie. Jego też bierzemy nadal pod uwagę – stwierdził

Leon Gawroński zaskoczony tym nagłym wybuchem. – Jak poszło wczorajsze przesłuchanie?

– Hubert pomaga w hodowli ptaków Szczepańskich – ciągnęła komisarz Kopp, nie zwracając na nikogo uwagi. – Jeżeli tam są czarne łabędzie, to on mógł zdobyć pióra. Poza tym Barbara Krakowiak widziała Huberta w okolicach domu Głuszyńskiej. To ustaliliśmy ostatnio.

– Kiedy go widziała?

– Wydawało jej się, że Hubert był w kolonii Żabie Doły kilka razy – wyjaśnił Daniel Podgórski. – Już po śmierci Małgorzaty Głuszyńskiej.

– Jeżeli przyjmiemy, że to on jest naszym sprawcą... Dlaczego miałby się tam kręcić, skoro zrobił już swoje? – zastanawiał się Marek Zaręba. – Jak on sam to wyjaśnił?

– Hubert tłumaczył się dość mętnie, Młody – powiedziała Klementyna. – Mówił coś, że chciał odwiedzić Stanisława Szczepańskiego w Brod-Dysku. Ale! Potem zrezygnował. Sranie w banię. Ściema jak nic. On miał kontakt z obiema ofiarami. Przez Oliwię Gąsiorowską. Hubert... Przybylski... tkwi w tym po uszy.

Emilia Strzałkowska miała wrażenie, że Klementyna z trudem wymawia nazwisko podejrzanego. Pani komisarz mówiła teraz jeszcze bardziej niewyraźnie niż zazwyczaj.

– Na razie wszyscy wyglądają na zamieszanych w tę sprawę – stwierdził spokojnie prokurator Leon Gawroński. – Musimy działać metodycznie i unikać zbędnej ekscytacji kolejnymi możliwościami. W każdym razie ja chciałbym jeszcze wrócić do oskarżeń Miłosza Janiszewskiego w stosunku do Liliany Brzezińskiej. Chodzi o te oskarżenia, że Liliana zamawiała fosgen.

– I? – zacięła się Klementyna od razu.

– Informatycy sprawdzili tę korespondencję mailową, o której Janiszewski napisał w „Prawdziwym Głosie”. To wszystko zostało wysłane z jednego IP. I te maile od Liliany, i odpowiedzi „z Chin”.

Prokurator zrobił palcami symbol cudzysłowu.

– Niech zgadnę. Pismak wysyłał te maile sam do siebie, co? –

domyśliła się Klementyna Kopp. Na jej twarzy malowała się wyraźna satysfakcja. – Czyli albo jest głupi, albo faktycznie ma obsesję na punkcie Liliany. Nie sądzę, żeby ta dwójka współpracowała.

Pani komisarz spojrzała ostro na Strzałkowską. Emilia poczuła, że cała jej niechęć do Klementyny wraca ze zdwojoną siłą.

– To był tylko taki pomysł – mruknęła Strzałkowska.

Klementyna Kopp wzruszyła ramionami.

– Kiepski, jak się okazuje – stwierdziła sarkastycznie. Wstąpiła w nią chyba nowa energia. – Wygląda na to, że pismak za wszelką cenę próbuje wrobić w całą sprawę Lilianę Brzezińską. Co oczywiście nie wyklucza winy ani Liliany, ani samego Janiszewskiego. Tu się zgodzę...

– Jest jeszcze jedna sprawa – przerwała policjantce Emilia. Skoro Klementyna może wszystkim wchodzić w słowo, to Strzałkowska też nie zamierzała się powstrzymywać.

– Co? – zaatakowała komisarz Kopp.

Emilia uśmiechnęła się półgębkiem. Nie pozwoli się stłamsić Klementynie.

– Dzwonił do mnie wczoraj Franciszek Trojanowski, czyli ten szachista. Rozmawiałam z nim telefonicznie w niedzielę, już po odkryciu ciała Gąsiorowskiego – przypomniała Strzałkowska, odważnie patrząc pani komisarz w oczy. – Wtedy nic nowego nie powiedział. Potwierdził tylko, że G:f4 oznacza, że goniec bije pionka na polu f4. To już wiedzieliśmy.

Klementyna westchnęła głośno i demonstracyjnie przewróciła oczami.

– A wczoraj powiedział coś więcej, co? Czy będziemy w kółko mówić to samo, co?

Strzałkowska rozejrzała się po zebranych. Marek Zaręba lekko skinął głową, jakby chciał dodać jej otuchy. Jak dotąd Emilia opowiedziała rewelacje szachisty tylko jemu. Młody policjant wiedział więc, czego oczekiwać.

– Franciszek Trojanowski podejrzewa, że następny tatuaż to będzie S:g7 – powiedziała Strzałkowska w skupieniu. Ciekawe, co na to powie Klementyna. – Skoczek zbija pionka na polu g7.

– S: g7? – powtórzył prokurator. Na jego twarzy malowało się zdziwienie.

– Czekaj. Stop. Następny tatuaż? – zapytała dość sceptycznie Klementyna Kopp. – Na jakiej podstawie Trojanowski twierdzi, że będzie kolejna ofiara, co?

Przez chwilę obie policjantki patrzyły sobie w oczy. Emilia wytrzymała spojrzenie Klementyny. Komisarz Kopp zdawała się tym niemal zaskoczona.

– Trojanowski podobno zastanawiał się nad tym wszystkim bardzo długo. Nad tym gambitem królewskim, który był rozłożony na szachownicach w obu miejscach, i nad tymi tatuażami – wyjaśniła Emilia. – Przypomnę może wszystko od początku. Za pierwszym razem, po śmierci Małgorzaty Głuszyńskiej, pytaliśmy Trojanowskiego, czy kolejnym ruchem na szachownicy mógłby być goniec na e5. Pamiętacie, że to było niemożliwe, bo wszystkie gońce były jeszcze zablokowane. Goniec na f4, jak u Gąsiorowskiego, też nie mógł być kolejnym ruchem na szachownicy. Z tego samego powodu.

Komisarz Kopp ziewnęła przeciągle.

– Czekaj. Stop. Długo jeszcze, co?

– Klementyna, daj spokój – poprosił cicho Daniel.

Emilia uśmiechnęła się do Podgórskiego. Była mu wdzięczna za tę drobną interwencję. Strzałkowska nie była pewna, jak długo jeszcze wytrzyma odzywki Klementyny. Miała już zdecydowanie dosyć. Wybuch gniewu i potyczki słowne nie wchodziły jednak w grę. Emilia nie chciała wypaść nieprofesjonalnie. Zwłaszcza w obecności prokuratora.

– Niby z czym mam dać spokój, co? – stwierdziła komisarz Kopp. – Już to wszystko przecież wiemy. Niech dziewczyna przejdzie do rzeczy, co?

Emilia nie spojrzała nawet w stronę Klementyny.

– W każdym razie Franciszek Trojanowski powiedział, że po naszej drugiej rozmowie coś mu nie dawało spokoju – kontynuowała Strzałkowska jakby nigdy nic. Klementyna znowu przewróciła oczami. – Zaczął analizować znane partie szachowe, które rozpoczynają się od otwarcia gambitem królewskim.

– I?

– Jest ich trochę – referowała dalej Emilia. Profesjonalizm profesjonalizmem, ale nie mogła się powstrzymać, żeby nie mówić teraz wolno i metodycznie. – W końcu Franciszek Trojanowski znalazł taką, która go zainteresowała. Rozgrywka, o którą chodzi, nazywana jest w historii szachów „nieśmiertelną partią”.

Emilia sięgnęła do notatek, które zrobiła wczoraj podczas rozmowy z Trojanowskim.

– „Nieśmiertelna partia” to dość dawne dzieje. Rozegrano ją w tysiąc osiemset pięćdziesiątym pierwszym roku podczas turnieju szachowego w Londynie – referowała policjantka. – Grał Adolf Anderssen i Lionel Kieseritzky.

Strzałkowska zerknęła w stronę prokuratora. Ten jak na złość znowu się uśmiechnął, wybijając ją tym trochę z rytmu. Emilia odwróciła się natychmiast. Jej spojrzenie padło na komisarz Kopp. Klementyna wyglądała już na porządnie rozzłoszczoną.

– I?

– Anderssen grał białymi, a Kieseritzky czarnymi – mówiła dalej Emilia. – Podobno to jedna z bardziej znanych partii szachowych w dziejach. Wygrały białe, czyli Adolf Anderssen, mimo że straciły o wiele więcej figur niż czarne. Białe zaczęły partię właśnie od gambitu królewskiego, który czarne przyjęły.

– Jeżeli dobrze wszystko zrozumieliśmy, to nasz sprawca gra białymi – stwierdził powoli Daniel. – Co dalej? Jak ta „nieśmiertelna partia” ma się do naszej sprawy?

Emilia pokiwała głową.

– Już do tego dochodzę – obiecała. Znudziło jej się robienie na złość Klementynie. – Jak już powiedziałam, białe spektakularnie poświęciły sporo figur, żeby ostatecznie zwyciężyć. Czarne natomiast straciły w tej rozgrywce tylko trzy pionki.

– Podejrzewam, że czarne straciły swoje pionki właśnie w ruchach G:e5, G:f4 i S:g7? – zgadywał prokurator Leon Gawroński. – Tatuaz Głuszyńskiej, tatuaz Gąsiorowskiego i... ten trzeci, tak?

Emilia pokręciła głową.

– Nie do końca.

– Czekał. Stop. Jak to nie do końca, co? – Teraz dla odmiany komisarz Kopp wyglądała na zaciekawioną. Po poprzedniej kpinie nie było nawet śladu.

Strzałkowska nie wiedziała, jak to rozumieć.

– Chodzi o ten pierwszy tatuaż – wyjaśniła. – Od początku mieliśmy problemy z odcyfrowaniem tych gryzmołów. Najpierw myśleliśmy, że sprawca napisał „GieS”, potem, że „G:e5”. Tak trafiliśmy na zapis szachowy. Kłopot polega na tym, że chyba znowu się pomyliliśmy.

Marek Zaręba pokiwał głową.

– To małe „e” to tak naprawdę jest litera „b”... – powiedział młody policjant do zebranych. – Zostawiliśmy Trojanowskiemu zdjęcie tego tatuażu podczas naszej wizyty w klubie szachowym. To Trojanowski odkrył nasz błąd. Według niego pierwszy tatuaż to G:b5.

– Przyglądałam się temu napisowi i teraz mnie też się wydaje, że to jest małe „b”, a nie „e”. Sami zobaczcie.

Strzałkowska wyciągnęła kopię fotografii tatuażu zrobionego przez sprawcę na piersi Małgorzaty Głuszyńskiej. G:e5 czy G:b5? Zastanawiali się nad tym z Markiem Zarębą już wczoraj po telefonie Trojanowskiego, kiedy wracali z Sokołowa. Trudno było dojść do jakichś wniosków. Prawdę mówiąc, trzeci znak w feralnym napisie wyglądał jak nieokreślony zawijas. Trzeci znak to brzusek, który miał niewielką linię z lewej strony. Mogła to być równie dobrze górna część litery „b”, jak i dolna część litery „e”. W zależności od interpretacji.

– Co o tym myślicie? – zapytała Emilia niecierpliwie. – To jest małe „e” czy małe „b”?

– Rzeczywiście trudno powiedzieć – zgodziła się w końcu Klementyna Kopp łaskawie. – Gdyby ta dziara to nie była taka amatorszczyzna, mielibyśmy pewność.

Prokurator Leon Gawroński pokiwał głową.

– Macie rację. Nie potrafię teraz powiedzieć, czy to jest „b”, czy „e”. W każdym razie jest pytanie, czy to ma dla nas jakiegokolwiek znaczenie? Bo na razie go nie widzę.

– Tak, to ma dla nas bardzo duże znaczenie! – wykrzyknęła

niemal Emilia Strzałkowska. – Jeżeli zabójca rzeczywiście odtwarza „nieśmiertelną partię”, to Małgorzata Głuszyńska i Waldemar Gąsiorowski mogą symbolizować dwa pionki, które czarne straciły w piątym i piętnastym ruchu – G:b5 i G:f4. Kłopot polega na tym, że w dwudziestym pierwszym ruchu ginie kolejny czarny pionek – S:g7. Jeżeli sprawca rzeczywiście odtwarza „nieśmiertelną partię”, to będzie trzecie zabójstwo.

Na te słowa sala konferencyjna znowu pograżyła się w ciszy.

– Okej. No dobra. Powiedzmy, że Trojanowski ma rację i mądrze to wszystko wykoncypował – mruknęła Klementyna Kopp, przerywając ciszę. – Sprawca odtwarza partię szachową sprzed ponad stu pięćdziesięciu lat. Po co?

Znowu nikt nie odpowiedział. Emilia Strzałkowska miała nieprzyjemne wrażenie, że coś jej umyka. Czy to było coś, co powiedziała przed chwilą komisarz Kopp?

– To chyba jakiś wielbiciel staroci. Partia szachów z lat pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, trucizna z czasów pierwszej wojny światowej... Musimy w tym znaleźć jakiś sens – kontynuowała Klementyna bez cienia sarkazmu. – Zawsze jest jakaś logika. Chociażby najbardziej spaczona. Ale! Jakaś jest.

Leon Gawroński pokiwał głową.

– Na pewno. Jeżeli ma być trzecia ofiara, to tym bardziej musimy się pospieszyć – podsumował prokurator. – Co z tą Michaliną Niewiadomską? Rozmawialiście z nią drugi raz? Trzeba sprawdzić kwestię tego awansu, którego nie załatwiła Gąsiorowskiemu, i ewentualnych tego konsekwencji.

– Jedziemy do Michaliny Niewiadomskiej dzisiaj – poinformował Daniel.

– Co z odciskami palców, które mieliście zebrać do porównania z tym zestawem NN po czarnej stronie szachownicy? – pytał dalej prokurator.

– Nie zrobiliśmy tego jeszcze – przyznał znowu Podgórski.

Leon Gawroński nie wyglądał na zadowolonego.

– Dobrze. Może zrobimy to inaczej. Zlecę to ochotnikom z komendy – powiedział prokurator. – Wy skupcie się na tym, co macie do zrobienia. To mi przypomina o jeszcze jednej

sprawie: co z tym Dybu, tym emerytowanym mafioso, który mieszka w bloku Gąsiorowskiego?

– Pogadamy sobie z nim – obiecała Klementyna Kopp. – Coś jeszcze, co?

Zabrzmiało to dość obcesowo.

– Na razie to wszystko – stwierdził prokurator spokojnie. – Dziękuję. Działajcie!

Klementyna Kopp wstała natychmiast od stołu i wyszła z salki konferencyjnej bez słowa. Daniel i Marek ruszyli w jej ślady, kiwając na pożegnanie Gawrońskiemu. Prokurator zaczął metodycznie zbierać papiery, które porozkładał przed sobą na stole podczas odprawy.

Emilia Strzałkowska wstała, ale ociągała się nieco z wyjściem. Sama nie wiedziała dlaczego ani na co właściwie liczy. W końcu ruszyła do drzwi za kolegami z posterunku.

– Emilio, mogę prosić na chwilę – powiedział Leon Gawroński, kiedy Strzałkowska stała już w drzwiach.

Policjantka poczuła, że serce zaczyna bić jej szybciej.

– Oczywiście – odparła.

– Ja też mam zostać? – zapytał Marek Zaręba, który zawrócił z korytarza.

– Nie trzeba. Mam krótką sprawę do Emilii – wyjaśnił Leon Gawroński, przyjmując profesjonalny ton. – To zajmie tylko chwileczkę.

Zaręba zamknął za sobą drzwi.

– Emilio, powiem chyba wprost – oznajmił prokurator, rezygnując z oficjalnego tonu. – Masz może czas dzisiaj wieczorem?

Strzałkowska była pewna, że tym razem jej twarz jest zupełnie czerwona.

– Co masz na myśli?

– Pomyślałem, że może byśmy gdzieś wyskoczyli – stwierdził Leon Gawroński lekko. – Przyjechałbym po ciebie tam do tego waszego Lipowa. Co ty na to? Będzie miło. Mam bilety do kina w Toruniu.

– W Toruniu... – powtórzyła Emilia.

– To przecież nie tak daleko. Godzinka i jesteśmy – zapewnił

Gawroński. – Pomyślałem, że taki wypad dobrze by nam zrobił. Trochę byśmy się rozluźnili. Co ty na to?

– Dobrze.

Dobrze? Tak powiedziały usta Emilii Strzałkowskiej, chociaż ona sama nie była pewna, czy randka z Leonem Gawrońskim to taki dobry pomysł. Co powie na to Łukasz? Najpierw zafundowała synowi nieznanego dotąd ojca w postaci Daniela Podgórskiego, a teraz kolejnego mężczyznę.

– Będę o dziewiętnastej – zapowiedział prokurator Leon Gawroński.

– Świetnie.

Chyba zwariowałam, pomyślała sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska.

Hubert Przybylski rozejrzał się po mieszkaniu Waldemara Gąsiorowskiego. Wcale nie chciał tu być, ale musiał pomóc Oliwii posprzątać. Wszędzie widać było ślady policyjnego przeszukania. Technicy zdjęli chyba odciski palców z każdego przedmiotu.

Przybylski czuł odrazę zarówno do tego miejsca, jak i do zmarłego teścia. Niemal widział tłuste ciało Waldemara na podłodze, chociaż przecież już dawno je stąd zabrano.

– O czym tak myślisz, Hubi? – zapytała Oliwia, układając pozdejmowane z półek książki i filmy. Waldemar okazał się zaskakująco odczytany jak na byłego zomowca.

– O niczym – skłamał Przybylski.

Hubert cieszył się, że policja nie może mu nic zarzucić. Jego odciski palców miały prawo przecież tu być. Odwiedzał przysłego teścia i dotykał wszystkiego. Normalna sprawa. Tylko ta kłótnia ostatniego dnia mogła stanowić problem. Niefortunnie się złożyło, że ktoś ją usłyszał.

– O czymś jednak myślisz, nie? – powtórzyła Oliwia Gąsiorowska z naciskiem. – Cholera jasna, jak mi się nie chce tego wszystkiego sprzątać. Mimo że to rzeczy tatusia. Ty pobieraj te książki. Ja sprzątanina to mam po dziurki w nosie w tym klubie. Już lepiej było pracować dla pani Małgośki, nie?

– Tylko że stara wykitowała – powiedział Hubert Przybylski. Wyszło to ostrzej, niż zamierzał. – Nie ma powrotu do Oleandra.

Oliwia Gąsiorowska spojrzała na Huberta, jakby zaraz miała się rozpląkać. Przybylski szybko podszedł do narzeczonej. Trzeba było być delikatniejszym. To przecież nadal była jego mała Oliwka. Jego ukochana przyszła żona. Teraz, bez Waldemara, nic już nie stało na przeszkodzie ich szczęściu.

– Jakoś to będzie – powiedział Hubert, kołysząc Oliwię w ramionach. Nie mogła widzieć, że się nie uśmiechał.

Marek Zaręba wyłączył silnik i zaciągnął hamulec ręczny. Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska wysiadła z samochodu. Było ciepło. Dojechali właśnie na polanę, gdzie latem swoje obozy rozbijali harcerze, a właściciele hodowli ptaków Woliera Tadeusza na Wyspie Skarbów zrobili parking dla odwiedzających ich przybytek.

Wyspa Skarbów znajdowała się niedaleko od lądu. Nawet tu, na cyplu, słyhać był donośne pokrzykiwania jakiegoś egzotycznego ptaka.

– O czym rozmawiałaś z Gawrońskim? – zapytał Zaręba, wysiadając z samochodu.

Emilia wiedziała, że to pytanie będzie musiało w końcu paść. Policjantka i tak była zdziwiona, że Marek wytrzymał tak długo. Przez całą drogę z Brodnicy do Lipowa nie wrócił do tej sprawy ani razu.

Strzałkowska zastanawiała się przez chwilę, czy nie skłamać. Uznała jednak w końcu, że pewnie nie ma to większego sensu. I tak wszyscy w Lipowie zauważą wieczorem, jak pod jej dom podjeżdża samochód prokuratora.

– Gawroński zaprosił mnie na randkę – wyjaśniła Emilia szybko. – Dziś wieczorem mamy pojechać do kina w Toruniu.

Marek zagwizdał.

– No, no, no! Niegrzeczna z ciebie dziewczynka. Zgodziłaś się?

– Tak – powiedziała Emilia. Czowała się nieco speszona. –

Pomyślałam, że to chyba nic nie zaszkodzi.

– Pewnie, że nie zaszkodzi – poparł ją Marek. – Randka to przecież nie zbrodnia.

Randka to przecież nie zbrodnia. Zaręba miał rację. Strzałkowska uśmiechnęła się z ulgą. Tak bardzo potrzebowała, żeby ktoś ją o tym zapewnił. Zaręba znowu zagwizdał. Szturchnęła go lekko, żeby nie pozwalał sobie na zbyt wiele.

– Może jednak skupimy się na sprawie – upomniała kolegę. – Myślisz, że rodzice dyrektora Brod-Dysku są w to jakoś zamieszani?

Marek wzruszył ramionami.

– Wszystko po kolei – powiedział. – Sprawdźmy najpierw, czy oni w ogóle mają czarne łabędzie w tej hodowli. Potem zobaczymy, jak to wygląda. Myślę, że najlepiej na razie pogadać niezobowiązująco. Dodzwoniłaś się do Szczepańskiego?

– Ojca czy syna?

Ustalili z Danielem Podgórskim i Klementyną Kopp, że Emilia i Marek zajmą się sprawdzeniem hodowców ptaków i ich syna. Niestety dyrektor Brod-Dysku nie odpowiadał na telefony. Dlatego właśnie postanowili zacząć od rozmowy z jego rodzicami.

– Do Stanisława.

– Nadal nic. Jego asystentka twierdzi, że na razie Stanisława nie ma – wyjaśniła Strzałkowska. – Może po rozmowie z hodowcami zadzwonię jeszcze raz do tego Brod-Dysku. Miejmy nadzieję, że Stanisław zjawi się w końcu w pracy.

Zeszli z niewielkiego wzgórza nad jezioro. Woda pluskała wesoło w słońcu. Musiało być koło dwudziestu stopni. Emilię ogarnęło nagle dziwne rozleniwienie. W tym otoczeniu czuła się zupełnie jak na wakacjach. Może dlatego, że przez całe życie mieszkała w Warszawie i wypad nad jezioro kojarzył jej się tylko z czasem wolnym.

– Jak my się tam przeprawimy? – zapytała, wskazując wyspę.

W tym miejscu Wyspa Skarbów mogła być oddalona od brzegu o jakieś dwadzieścia metrów. Może niewiele więcej. Po drugiej stronie przesmyku, przy niewielkiej przystani, zacumowany był mały drewniany prom.

– Nie martw się, gdzieś tu powinna być łódka. Z reguły jest. No, chyba że ktoś ją pożyczycy – Marek wszedł między szuwary.
– Jest! Chodź!

W gąszczu szuwarów rzeczywiście kryła się mała drewniana łódka. Marek wszedł do środka i pomachał przyzywająco ręką. Emilia ruszyła za nim. Łódka zachwiała się, kiedy policjantka wsiadła do środka. Nie bała się. Falowanie było łagodne i przyjemne. Wakacyjne.

Marek zaczął wiosłować miarowo i po chwili przybili do przystani po drugiej stronie wąskiego przesmyku. Wyszli na brzeg i młody policjant przywiązał łódkę do pomostu.

– Chyba jest jakaś wycieczka – powiedział.

Rzeczywiście wśród mniejszych i większych woliery przechadzała się grupka ludzi. Rozmawiali głośno i śmiali się donośnie.

– Chodźmy tam za nimi – zaproponował Marek. – Możemy się najpierw rozejrzeć, a potem poszukać Szczepańskich.

– Jasne.

Zaczęli przechadzać się po terenie pozornie bez celu. Znalezienie dość dużej woliery z czarnymi łabędziami nie zajęło im zbyt wiele czasu. Większy z ptaków ruszył w ich stronę zaciekawiony.

– To jest Bohun – usłyszeli za plecami.

Emilia odwróciła się natychmiast. Za nimi stała niewysoka starsza pani. Ubrana była w robocze ogrodniczki i zielone kalosze. Mimo że do lata brakowało jeszcze trochę, jej twarz była już mocno opalona, a włosy całkowicie białe. Wyglądało na to, że przez całe życie dużo czasu spędzała na dworze.

– Piękny ptak – powiedziała Emilia Strzałkowska z uznaniem. Naprawdę tak uważała. Czarny łabędź zrobił na niej duże wrażenie.

– To nasza duma – przyznała kobieta. – Jestem Hanna Szczepańska. Państwo są z policji, prawda?

– Starszy sierżant Marek Zaręba i sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska – przedstawiła ich Emilia. – Możemy chwileczkę porozmawiać?

– Oczywiście. Usiądźmy tu z boku na ławce – zaproponowała

Hanna Szczepańska. – Będzie spokojniej.

Usiedli na drewnianej ławce wśród krzewów. Wokół unosił się słodkawy zapach kwitnących bzów.

– Czy zastaliśmy może pani męża i syna? – zapytał Marek Zaręba. – Z nimi też chętnie byśmy zamienili kilka słów.

– Stanisław pojechał z Tadeuszem do Warszawy – powiedziała Hanna.

Emilia Strzałkowska westchnęła cicho. Wyglądało na to, że nie uda im się dziś przesłuchać dyrektora Brod-Dysku. Daniel Podgórski, Klementyna Kopp i prokurator Leon Gawroński pewnie nie będą zbyt zadowoleni.

– Kiedy wracają?

– Jutro. Tadeusz ma badania – poinformowała ich Hanna, mimo że nikt nie prosił o wyjaśnienia. – Jestem na gospodarstwie sama, ale sobie radzę. Po południu może wpadnie nasz pomocnik. Córnka też wróci z pracy, więc jakoś do jutra wytrzymam. Choć z Tadeuszem na miejscu zawsze jednak czuję się pewniej.

Strzałkowska przez chwilę zastanawiała się, co dalej. Wiedzieli już, że w hodowli na Wyspie Skarbów są czarne łabędzie. Trzeba było teraz ustalić, kto mógłby mieć dostęp do ich piór. Oprócz samych Szczepańskich i Huberta Przybylskiego oczywiście. Nie można było przecież wykluczyć, że ktoś inny zdobył pióro.

– Dużo tu mają państwo odwiedzających? – zapytała Emilia neutralnie.

– Sporo – odparła Hanna Szczepańska. Jej opaloną twarz rozjaśnił uśmiech. – Powinniśmy chyba liczyć sobie za wstęp. Nasza hodowla to właściwie takie małe zoo. Z drugiej strony ludzie przychodzą, oglądają, a potem kupują. Mamy dużo małych ptaków. Takie częściej znajdują dom. Takie ptaki jak Bohun zostają raczej z nami. Sprzedajemy młode innym hodowcom albo wielbicielom tych ptaków.

– Czy ktoś ostatnio kupował od państwa czarnego łabędzia? – dopytywał się Marek Zaręba.

– Nie. Raczej nie – powiedziała starsza pani, kręcąc głową. – Pora lęgowa już minęła. Mamy młode łabędzie do sprzedania,

ale jeszcze nie znaleźliśmy kupców. Muszę państwu powiedzieć, że uwielbiam łabędzie. Łączą się w pary na całe życie. To bardzo romantyczne. Nasza Klara i Bohun są zawsze razem. Niektórzy hodowcy twierdzą, że poza porą lęgową powinniśmy trzymać je oddzielnie, ale ja nie mam na to serca.

– Co państwo robią z piórami? – zapytała Emilia delikatnie.

Na razie informacja o tym, że sprawca zostawił na miejscu zabójstw czarne łabędzie pióra, nie wyciekła do prasy. Nawet wścibski Miłosz Janiszewski niczego nie odkrył, a przynajmniej o tym nie napisał.

– Chciałaby pani jedno? – zapytała Hanna Szczepańska. – Nie ma problemu. Przy wolierych i basenie jest ich sporo. Zwykle je sprzątamy i układamy w koszykach. Dzieciaki często je biorą. Podobają im się kolorowe pióra naszych papug, ale te czarne też mają swoich amatorów.

– Czyli każdy może je wziąć? – upewnił się Marek.

Hanna Szczepańska spojrzała uważniej na młodego policjanta. Wydawała się zaskoczona jego pytaniem.

– Tak, oczywiście. Nie widzę powodu, dlaczego miałabym komuś zabraniać.

Hanna wstała i podeszła do woliery. Sięgnęła po pióro i podała je Emilii.

– O tu, bardzo proszę.

– Dziękuję.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska uśmiechnęła się do Hanny Szczepańskiej. Kobieta wydawała się naprawdę przemiała. Przypominała policjantce jej własną matkę. Emilia bardzo za swoją rodzicielką tęskniła. Matka mieszkała w Warszawie. Może udałoby się ją ściągnąć do Lipowa. O ile tu nadal będzie praca...

Barbara Krakowiak wróciła właśnie z nowego biura w Brodnicy. Mieściło się praktycznie w samym centrum miasta przy ulicy Pocztowej. Doskonała lokalizacja. Cena wynajmu też była całkiem do przyjęcia. Dzięki udziałom w Dyskografie Towarzystwo Ekologiczne Cygnus miało swoje fundusze. Pani

Krakowiak była pewna, że nowe biuro tylko jeszcze poprawi sytuację. Nowe biuro w centrum miasta oznaczało bowiem status. Status z kolei oznaczał, że wszyscy będą się bardziej z Towarzystwem Ekologicznym liczyli.

Barbara zaczęła przechadzać się po domu. Czekwała. Nie wiadomo tylko właściwie na co. Nalała sobie trochę likieru do kieliszka, mimo że właściwie było jeszcze całkiem wcześnie i nie dało się tego w żaden sposób usprawiedliwić. Znowu przyszło jej do głowy, że w tej sytuacji Małgorzata Głuszyńska byłaby nad wyraz pomocna.

Pani Krakowiak nie była pewna, co powinna zrobić. Miała doprawdy nieprzyjemne wrażenie, że policja podejrzewa ją o morderstwo. Może nawet o dwa.

– To nie są żarty – stwierdziła Barbara Krakowiak.

Pilnie potrzebowała jakiegoś pomysłu, żeby przekonać policję o swojej niewinności. Nie była jeszcze pewna, co mogłaby zrobić. Usiadła przy stole w kuchni. Chyba najlepiej by było skierować podejrzenie na kogoś innego.

Tylko na kogo? I jak?

ROZDZIAŁ 26

Lipowo i Stare Świątki.

Wtorek, 20 maja 2014. Po południu

Komisarz Klementyna Kopp maszerowała dziarsko pomiędzy ogródkami działkowymi. Wokół unosił się zapach świeżo skopanej ziemi. W wielu ogródkach ludzie zaczęli już chyba intensywne pozimowe porządki. Klementyna myślała, że moda na wyjazdy na działkę już minęła. Wyglądało jednak na to, że nie. Może nawet było wręcz przeciwnie, sądząc po liczbie osób pracujących wokół w pocie czoła.

Zostawili samochód na parkingu przy wjeździe na teren ogródków działkowych w Starych Świątkach i teraz krążyli z Danielem Podgórskim w poszukiwaniu działki należącej do Michaliny Niewiadomskiej.

Nie było to wcale takie łatwe, jak mogłoby się z początku wydawać. Teren działek pracowniczych był ogromny. Przypominał niekończący się labirynt altanek i niewielkich podjazdów prowadzących do pomalowanych na jaskrawe kolory furtek. Na niektórych działkach ludzie pobudowali nawet murowane domki, w których można było mieszkać cały rok.

– Czekaj. Stop. Tu już chyba byliśmy – stwierdziła Klementyna, wskazując na jedno z takich domostw. – Zaczynam mieć tego dosyć. Kręcimy się w kółko. Nie ma tu jakiegoś planu, co?

– Mieliliśmy skrócić w czwartą alejkę. Może to tu? – zastanawiał się Daniel. – Tylko nigdzie nie widzę numerów działek.

W ich stronę zmierzała jakaś kobieta. Komisarz Kopp podeszła do niej zdecydowanym krokiem. Miała dosyć błędzenia.

– Szukam działki Michaliny Niewiadomskiej. Wiesz może, gdzie to jest, co?

Kobieta spojrzała na policjantkę zaskoczona. Cofnęła się nieco, jakby chciała ominąć Klementynę szerokim łukiem. Obecność umundurowanego Daniela chyba ją jednak uspokoiła, bo w końcu przystanęła kilka kroków dalej.

– Jeszcze dwie alejki i w lewo – wyjaśniła, nadal przyglądając się Klementynie podejrzliwie. – Jesteśmy sąsiadkami. Michasia jest na działce. Przyjechała...

– Wiemy, że jest – przerwała jej komisarz Kopp.

Nie miała zamiaru wdawać się w niepotrzebne rozmowy z nieznaną działkowiczką. Ruszyła we wskazanym kierunku, zostawiając Danielowi obowiązek podziękowania tej kobiecie.

Skręcili we wskazaną alejkę. Tu dla odmiany numery działek były wyraźnie wymalowane na ozdobnych tabliczkach. Ku uldze Klementyny bez problemu znaleźli ogródek należący do Michaliny Niewiadomskiej.

Działka była niezwykle wręcz zadbana. Każda roślina została równo przycięta, a na kwietniku nie było najmniejszego nawet chwastu. Komisarz Kopp lubiła ładne miejsca. Ale! Zbyt perfekcyjna nigdy nie budziła jej zaufania.

Weszli z Danielem na działkę. Furtka nie zaskrzybiała ani odrobinę. Wyglądało na to, że Niewiadomska regularnie ją oliwi. Gospodyni siedziała przy swojej letniej chałupce opatulona w sweter. Przeglądała gazetę. Klementyna od razu zauważyła, że był to „Prawdziwy Głos”. Splunęła na trawę zniesmaczona. Niewiadomska nie wydawała się zbyt zadowolona z tej profanacji. Nie skomentowała jednak zachowania policjantki.

– Dzień dobry – powiedziała za to z wystudiowaną uprzejmością. – A więc państwo przyjechali. Myślałam, że już rozmawialiśmy o wszystkim. Nie wiem, co więcej miałabym powiedzieć.

– Skoro czytujesz tego szmatławca, na pewno wiesz, że Waldemar Gąsiorowski nie żyje, co? – zapytała Klementyna, wskazując gazetę na kolanach Michaliny. – Rozmawialiśmy o nim ostatnio. Pamiętasz, co? Mówiłaś nam wtedy, że

Gąsiorowski to wróg Głuszyńskiej.

Michalina Niewiadomska złożyła gazetę na pół i położyła obok siebie na trawie.

– Nadal tak mówię. Nic się nie zmieniło – powiedziała, patrząc Klementynie prosto w oczy. Jej twarz wydawała się szara. Choroba, z którą się zmagала, chyba zaczynała zwyciężać.

– Pani prokurator Głuszyńska i Waldemar Gąsiorowski nie przepadali za sobą. Przynajmniej z tego, co ja wiem. To, że on umarł, nie zmieniło mojego zdania.

Komisarz Kopp pokiwała głową. Jej myśli poszybowały do Teresy. Pod koniec jej skóra też była taka szara. Życie uciekało szybciej, niż obie z Klementyną mogły to zaakceptować. W końcu komisarz Kopp została sama...

– Możesz nam coś więcej powiedzieć na temat Głuszyńskiej, co? – zapytała szybko Klementyna. Nie chciała się dłużej nad sobą rozczulać. To już minęło. Nic nie przywróci Teresy. – Był ktoś jeszcze, kto jej nie lubił, co? A najlepiej ich obydwój? W końcu Gąsiorowskiego też ktoś kropnął.

Michalina Niewiadomska zastanawiała się przez chwilę.

– Powiedziałam już chyba wszystko. Nic więcej nie przychodzi mi do głowy – oznajmiła w końcu, sięgając znowu po gazetę.

– Nic?

– Nic nie przychodzi mi do głowy. Nie wiem, czego państwo oczekują? – zapytała Niewiadomska wyraźnie zirytowana. – Mogę tylko dodać, że Małgorzata Głuszyńska miała tu kiedyś działkę, ale w drugim końcu ogródków. Nie widywałyśmy się. Nie wiem, czy nadal tu przyjeżdżała. Może już dawno pozbyła się działki. To chyba nie ma żadnego znaczenia, ale ja naprawdę nic więcej nie wiem.

Klementyna Kopp zerknęła na Daniela. Skinął głową ledwo zauważalnie. Michalina Niewiadomska cała się nastroszyła. Wyglądało na to, że najchętniej pozbyłaby się dwóch niechcianych gości jak najszybciej.

– Nikt nie przychodzi ci do głowy, co? – upewniła się komisarz Klementyna Kopp. – Żaden inny wróg tej dwójki?

– Nie, droga pani – powiedziała Michalina Niewiadomska twardo. Teraz nie patrzyła już Klementynie w oczy. – Dla mnie

śmierć Małgorzaty Głuszyńskiej to sprawa zamknięta. Znałyśmy się kiedyś, dawno temu. Pracowałyśmy razem. Potem nie utrzymywałyśmy kontaktów i tyle. Waldemara Gąsiorowskiego nie znałam praktycznie w ogóle. Nie mam nic do dodania. Wołałabym, żebyście państwo już mnie nie nachodzili.

Miłosz Janiszewski jechał za samochodem komisarz Klementyny Kopp od Brodnicy. Utrzymywał sporą odległość. Kilka razy pozwoił się wyprzedzić innym pojazdom. Był pewien, że ani ta pomarszczona baba, ani ten wysoki policjant ze wsi nie zauważyli, że ktoś ich śledzi. Janiszewski wiedział, że jest dobry w tym, co robi. Nie wahał się ani przez moment. Dziennikarstwo śledcze to było całe jego życie. Od dawna.

Temat już miał. Musiał się tylko dowiedzieć, co planuje policja. Nie jechali przecież na zwyczajną przejażdżkę.

– Ogródki działkowe? – mruknął do siebie zaskoczony.

Miłosz Janiszewski zaparkował niedaleko samochodu policjantów na parkingu przed rozległym terenem ogródków działkowych w Starych Świątkach. Nie bał się, że go zauważą. Nie sądził, żeby skojarzyli szarego forda focusa z jego osobą. Po polskich drogach jeździło tysiące takich samochodów.

Dziennikarz szedł ostrożnie za Klementyną Kopp i Danielem Podgórskim, kiedy policjanci błakali się po pracowniczych ogródkach działkowych. Janiszewski nadal nie był pewien, dokąd zmierzają.

W końcu weszli na jedną z działek. Spędzili tam trochę czasu. Rozmawiali z jakąś starą wymizerowaną kobietą. Miłosz obserwował wszystko z pewnej odległości. Czuł, że serce zaczyna bić mu coraz szybciej. To było właśnie to uczucie. Intuicja. Każdy dziennikarz kiedyś to poczuł. Janiszewski był całkowicie pewny, że musi porozmawiać z tą kobietą.

Miłosz poczekał, aż para policjantów skończy przesłuchanie. Patrzył, jak odchodzili równym krokiem. Wyglądało na to, że wcale nie wracają do samochodu. Dziennikarz stracił jednak zainteresowanie tą dwójką. Teraz liczyła się tylko ta stara

kobieta na działce. Tak właśnie podpowiadała mu intuicja.

Dziennikarz podszedł do świeżo odmalowanej furtki. Teraz była kolej na niego. Janiszewski wiedział, że jest lepszy od policji. On umiał pytać, a przede wszystkim umiał słuchać. Starsze panie go uwielbiały. A jak urok osobisty nie zadziała, Janiszewski zawsze mógł im obiecać prenumeratę „Prawdziwego Głosu”. Ignacy Sikora nigdy nie miał nic przeciwko. To była niska cena za zdobycie dobrego newsa.

– A pan do kogo? – zawołała gniewnie wymizerowana starsza pani.

Chyba policja nieźle ją rozeźliła. Może to i lepiej, uznał Miłosz Janiszewski. Teraz wystarczy rzucić tylko kilka nieprzychylnych komentarzy w kierunku funkcjonariuszy i umiejętnie pożałować, czego tam tylko ta kobieta chciała żałować. Współczuć. Pytać i słuchać. Potem znowu współczuć. I gotowe. Kobieta wyzna mu wszystko jak na spowiedzi.

– Miłosz Janiszewski, „Prawdziwy Głos” – przedstawił się dziennikarz bardzo uprzejmie. – Ma pani może chwileczkę?

Działka Małgorzaty Głuszyńskiej znajdowała się na drugim końcu rozległego terenu pracowniczych ogródków działkowych. Po skończeniu przesłuchania emerytowanej strażniczki więziennej Michaliny Niewiadomskiej młodszy aspirant Daniel Podgórski i komisarz Klementyna Kopp postanowili obejrzeć tę działkę. Nie wiązali z tym żadnych szczególnych nadziei. Ot, zwykłe miejsce, gdzie kwaciarka pewnie co jakiś czas przyjeżdżała. Skoro już jednak tu byli, równie dobrze mogli rzucić okiem, jak się sprawy mają.

– Co myślisz o tej Niewiadomskiej? – zagadnął Daniel, kiedy szli długą, otoczoną krzewami bzu alejką.

Klementyna Kopp wzruszyła ramionami.

– Ona umiera – oznajmiła policjantka zamyślona.

Daniel nie był pewien, jak to ma się do całej sprawy, więc skinął tylko głową. On sam miał wrażenie, że emerytowana strażniczka więzienna coś ukrywa, a przynajmniej nie mówi im wszystkiego. Postanowił jednak nie denerwować więcej

komisarz Kopp. Policjantka nie miała chyba ochoty na pogawędkę.

Działkę Małgorzaty Głuszyńskiej udało im się zlokalizować dopiero trzydzieści minut później. Podgórski czuł, że zaczynają go już boleć nogi od krążenia w tę i z powrotem po pięknych, ale dość monottonnych alejkach.

– Wchodzimy? – zapytał policjant, kiedy wreszcie znaleźli się na miejscu. Zaburczało mu w brzuchu. Już dawno powinni byli coś zjeść. – Czy wzywamy techników?

Klementyna kiwnęła głową.

– Skoro już tu jesteśmy, to i tak nie mamy nic lepszego do roboty, co? – powiedziała, wypływając słowa jak karabin maszynowy. – Wchodzimy. Zresztą i tak pewnie nic tu nie ma. Miejsce wygląda na opuszczone, co?

To była prawda. Działka Małgorzaty Głuszyńskiej nie była nawet w połowie tak zadbana jak ogródek Michaliny Niewiadomskiej. Idąc wzdłuż zarośniętej wysokimi chwastami alejki, Daniel nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to miejsce zupełnie nie pasuje do kwaciarki. Nigdzie nie było ani jednego symbolicznego nawet kwiatka. Krzewy rosły na wszystkie strony niepoprzącinane od bardzo dawna. Może Głuszyńska wcale tu nie przyjeżdżała? A może wystarczyło jej pracy z roślinami w kwaciarni Oleander?

Pośrodku działki stał pomalowany na czerwono domek. Częściowo ukryty był za bujnymi krzakami. Wyglądało na to, że czasy świetności miał już dawno za sobą. Tylko jedno od razu rzucało się w oczy. W drewnianych drzwiach lśnił zupełnie nowy zamek.

– Dziwne – mruknęła Klementyna Kopp bełkotliwie. – Chałupa wygląda na opuszczoną. Ale! Tu mamy nowiuteńką gerdę.

Policjantka wyjęła z plecaka rękawiczki i nacisnęła klamkę. Drzwi były jednak zamknięte. Spróbowała raz jeszcze, ale nowy zamek spełniał swoje zadanie nad wyraz dobrze. Klementyna zaklęła pod nosem.

– Spróbuję zajrzeć do środka – zaproponował Podgórski.

Policjant podszedł do okna. Zasłonięte było firanką, poza tym

przez przybrudzoną szybę i tak trudno było cokolwiek zobaczyć. Podgórski przetarł szybę rękawem.

– Klementyna, chodź tu na chwilę! – zawołał nagle. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. – Tam, w tym pokoju w głębi. Na końcu korytarza, gdzie są uchylone drzwi. Widzisz to co ja?

Klementyna przysunęła twarz do szyby.

– Obejdźmy domek – rzuciła. – Może z tyłu zobaczymy lepiej. Oby tam było okno.

Poszli na drugą stronę, deptając królujące wokół chwasty. Z drugiej strony domku rosły gęste krzewy, niemal zasłaniając okno pokoju, który ich interesował. Przedarli się z trudem do ściany budynku. Spróbowali zajrzeć przez okno. Było równie brudne jak to z przodu, ale widzieli już dokładnie, co ukrywała Małgorzata Głuszyńska.

– No nieźle, nieźle – podsumowała Klementyna Kopp, uśmiechając się krzywo. – Zadzwońię po chłopaków.

Jechali samochodem ojca. Stary dżip podskoczył na nierówności drogi. Tadeusz Szczepański skrzywił się niezadowolony i jeszcze bardziej zwolnił. Ojciec ma samochód terenowy, a uważa na każdą, nawet najmniejszą koleinę. Zupełne przeciwieństwo Liliany, uznał Stanisław Szczepański. Mimo wszystko z dwojga złego dyrektor Brod-Dysku wolał styl jazdy ojca.

– Policja próbuje się ze mną skomunikować. Chcą mnie przesłuchać – poinformował ojca Stanisław. – Dzwonili do fabryki, ale moja asystentka ich spławiła. Nie mogę ich unikać w nieskończoność.

– Wiem. Matka dzwoniła, że byli u nas w hodowli – przypomniał Tadeusz Szczepański z niesmakiem. – Czy te drogi u nas nigdy nie będą lepsze? Człowiek nie może spokojnie się poruszać po tym sicie. Po każdej zimie jest pełno dziur. Ciekawe, za co ja płacę całe życie podatki? Chyba za dziurawy asfalt!

Jechali przez chwilę w milczeniu. Dyrektor Brod-Dysku postanowił dać ojcu trochę czasu na uspokojenie się. Droga

zaraz powinna być lepsza.

– Myślisz, że mama dała radę? – zapytał Stanisław, ostrożnie wracając do interesującego go tematu.

– Jeden dzień? – zachnął się Tadeusz. – Przecież Hanna nieraz zostawała w hodowli sama. Jestem pewien, że sobie świetnie poradziła. Zresztą po południu miał być Hubert. Lena też mamie pomoże, jak wróci z pracy.

– Mówię o rozmowie z policją – wyjaśnił Stanisław niecierpliwie. – Nie o tym, czy poradziła sobie z ptakami.

– Wiem przecież, o czym mówisz – powiedział ojciec i ponownie zaklął cicho. Samochód znów podskoczył na kolejnym wyboju. – Jestem pewien, że tak. Znasz matkę. Zawsze dobrze sobie radzi. Z Waldemarem Gąsiorowskim jakoś sobie przecież poradziła.

– Może powinienem był jednak porozmawiać dzisiaj z policją? – zastanawiał się Stanisław Szczepański. – Może im się wydawać, że ich unikam. Mogą uznać to za podejrzone. Tego byśmy przecież nie chcieli, prawda?

– Mogą pomyśleć, że ich unikasz? Dobre sobie. A co niby robisz? Unikasz ich oczywiście – stwierdził ojciec i skręcił w boczną drogę. – Jesteśmy na badaniu lekarskim i tyle. Tu nie ma powodów do podejrzeń. Jestem starszym człowiekiem. Każdy starszy człowiek ma badania od czasu do czasu. Przekonasz się o tym, jak będziesz w moim wieku.

Stanisław Szczepański wzruszył ramionami. Sam miał okrągłe pięćdziesiąt lat i czuł, że nie jest już tym młodzieńcem co dawniej. Nie był jeszcze stary, ale nie był też młody. Tak przynajmniej się dziś czuł. Zmęczony życiem. Markowe garnitury i dobra fryzura mogły zdziałać wiele, ale czasu i tak nie da się oszukać. Tak jak i sprawiedliwości. Zadrżał.

– No to jesteśmy – powiedział ojciec krótko. – Zakłady Chemiczne Grabowski.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska spojrzała na siebie krytycznie w lustrze. Może nie wyglądała jak modelka, ale nie było wcale tak źle. Wyszła z łazienki całkiem zadowolona

z efektu swoich starań. Było jeszcze lepiej niż rano, kiedy szykowała się na odprawę.

Emilia miała antytalent, jeżeli chodzi o używanie maskary, błyszczyków, różu i tak dalej. Randka z prokuratorem Gawrońskim wymagała jednak szczególnej oprawy. Tym razem Strzałkowska postanowiła, że skorzysta wreszcie z książki, którą kupiła sobie kilka lat temu w przypływie nagłego entuzjazmu do kobiecości. *Jak się malować* – brzmiał dumny tytuł. Policjantka postępowała krok w krok za instrukcjami w poradniku i ostatecznie osiągnęła chyba umiarkowany sukces.

– Łukasz, niedługo będę wychodziła! – zawołała do syna. Żadnej odpowiedzi. Łukasz miał czternaście lat i chyba zaczął przechodzić bunt nastolatka. – Łukasz!

Emilia poszła długim korytarzem ich wynajętego domu. Korytarz zawsze przypominał jej wagon kolejowy albo tramwaj. Cały dom nie był zbyt dobrze pomyślany. Strzałkowska zdążyła już jednak do niego przywyknąć.

Zajrzała do pokoju syna.

– Hej – powiedziała miękko.

Łukasz siedział przy komputerze z nieodłącznymi słuchawkami na uszach. Nie odwrócił się w jej stronę ani nie przestał stukać systematycznie w klawiaturę.

– Niedługo będę wychodziła – powtórzyła Emilia. – Poradzisz sobie?

– Jasne – odparł Łukasz bez najmniejszych nawet emocji.

Emilia miała nadzieję, że ta beztroska jest prawdziwa i syn nie ma jej za złe randki z prokuratorem Gawrońskim. Nie wiedziała dokładnie, jak ma Łukaszowi wytłumaczyć, że potrzebuje tego spotkania. Nie była pewna, czy syn zrozumie, że Emilia jest kobietą, a nie tylko matką. Prokurator Gawroński... cóż, drugiej takiej szansy może nie być.

– To ja idę – zakomunikowała policjantka, starając się, żeby prośba w jej głosie nie była zanadto słyszalna. – Masz pizzę w lodówce. Odgrzejesz sobie, jak zgłodniejesz?

– Taa – odburknął chłopak, nie odwracając się nawet w jej stronę.

Łukasz nie patrzył na Emilię od momentu, kiedy oznajmiła mu po powrocie do domu, że Leon Gawroński zaprosił ją na wyjazd do Torunia. Ożywił się tylko, kiedy prokurator zadzwonił, że się spóźni ze względu na odkrycie Daniela Podgórskiego i Klementyny Kopp na działce pracowniczej Małgorzaty Głuszyńskiej. Kiedy tylko okazało się, że spotkanie nie zostanie jednak odwołane, chłopak wrócił do swojego letargu.

– Jesteś pewien, że wszystko w porządku? – zapytała Emilia niepewnie.

Tak bardzo chciała, żeby syn powiedział z uśmiechem: „Tak, mamo, możesz iść. Cieszę się twoim szczęściem. Ja sobie tutaj poradzę. Nic się nie martw”. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Może za wiele wymagała.

– To ja wychodzę – oznajmiła Emilia twardo. Łukasz z obojętną miną wpatrywał się w ekran. Nie zareagował w żaden sposób. – Jakby co, to jestem pod telefonem. Zadzwoń, jak będziesz czegoś potrzebował.

Wyszła przed dom, żeby odetchnąć świeżym powietrzem i się uspokoić. Noce były jeszcze chłodne, mimo że dni zaczynały już przypominać lato. Emilia przez chwilę oddychała głęboko. Miała przecież prawo wyjść. Łukasz był jej synem, ale ona też miała swoje życie!

Przed jej furtką zatrzymał się stary bordowy mercedes prokuratora. Leon Gawroński wysiadł z samochodu z szerokim uśmiechem na ustach.

– Przepraszam za spóźnienie i za strój. Nie zdążyłem się przebrać – powiedział. – Dopiero co wróciłem z okolic Starych Świątek. Tak jak ci mówiłem przez telefon, sprawdzaliśmy z Danielem i Klementyną działkę Małgorzaty Głuszyńskiej.

– Co tam było? – zainteresowała się Emilia Strzałkowska.

Na chwilę zapomniała o niepokojącym pożądaniu, które powoli zaczynało ją ogarniać.

– Nie rozmawiajmy o pracy – poprosił Leon Gawroński. – Wszystko przedyskutujemy jutro na odprawie, dobrze? Potrzeba nam trochę relaksu. Zapraszam do samochodu.

– No dobrze – zgodziła się policjantka, wsiadając do

mercedesa.

Leon Gawroński przekręcił kluczyk i ruszyli.

– Ten teatr i tak nam przepadł.

– A nie kino?

Prokurator uśmiechnął się pod nosem.

– Obawiam się, że przez to moje spóźnienie nie zdążymy niestety do Torunia na czas.

– Nic się nie stało – zapewniła Strzałkowska.

– Nadrobimy to kiedy indziej – obiecał Gawroński z kolejnym czarującym uśmiechem. – A dziś co powiesz na to, żebyśmy poszli do jakiejś restauracji tu, w Brodnicy?

– Nie ma problemu – odparła Emilia natychmiast. – Tylko gdzie? Ja nic tu nie znam. Mieszkam w Lipowie dopiero od grudnia.

– Ja też nie jestem z Brodnicy – wyznał Leon Gawroński. – Przyjechałem tu z Krakowa. Nie wiem, czy już wspominałem.

– Piękne miasto – skłamała Strzałkowska. Była chyba jedyną osobą w Polsce, która nigdy nie odwiedziła Krakowa.

– Prawdopodobnie. Ja mam stamtąd trochę złych wspomnień – powiedział prokurator Leon Gawroński enigmatycznie. – Pojedźmy na rynek, może tam coś znajdziemy.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska bardzo chciała zapytać, o jakie złe wspomnienia chodzi, ale zrezygnowała. Trzeba było powstrzymać wrodzoną ciekawość. Każdy miał przecież prawo do prywatności.

Liliana Brzezińska znów odwiedziła pub na ulicy Hallera. Miała nadzieję, że Klementyna Kopp tam będzie. Nie wyglądała co prawda na stałą bywalczynię tego miejsca, ale warto było spróbować. Kiedy spotkały się tu ostatnio, policjantka była wyraźnie zdezorientowana. Nie czuła się tam najlepiej. Liliana rozpoznała to od razu.

Pub wypełniała przyciszona muzyka. Wciąż jeszcze było za wcześnie na koncert *live*. Tego wieczoru miał zapewne wystąpić jakiś zespół, ponieważ ludzie zaczęli już się powoli zbierać. Liliana rozluźniła kołnierzyk eleganckiej koszuli. Garsonka

i spodnie od kostiumu niezbyt pasowały wśród poubieranych na czarno młodych ludzi, ale Liliana właściwie nie miała innych rzeczy. Postanowiła się więc nie przejmować.

Klementyna Kopp siedziała przy kontuarze. Brzezińska w pierwszej chwili jej nie zauważyła. Wytatuowane ramiona i skórzana kurtka sprawiały, że pani komisarz z łatwością wtopiła się w tłum zbuntowanej młodzieży.

Liliana podeszła niespiesznym krokiem.

– Zrobiłaś to, co? – zapytała policjantka bez żadnych wstępów.

Liliana Brzezińska nie odpowiedziała. To nie miało sensu. Czują, że cokolwiek teraz powie, nie zabrzmie to dobrze.

– Jest coś między nami – powiedziała w końcu, unikając odpowiedzi. – Nie mów, że tego nie czułaś tamtej nocy, Klementyna.

– Jestem z kimś – oznajmiła komisarz Kopp natychmiast. – W moim życiu nie ma miejsca dla ciebie.

Rzeczniczka prasowa Brod-Dysku uśmiechnęła się pod nosem. W słowach policjantki dało się wyczuć pewien żal. Brzezińska była pewna, że Klementyna mija się z prawdą. Z kim mogła się spotykać? Liliana widziała przecież jej puste mieszkanie. Był tam tylko smutek.

– Kłamiesz – stwierdziła spokojnie.

Klementyna Kopp spojrzała na Lilianę znad szklanki z brunatnym napojem, który chyba był zwyczajną coca-colą.

– A nawet jeżeli kłamię, to co? – syknęła. – Ty też nie mówisz mi prawdy, co? Jestem stara. Wiem swoje o życiu. Takiej jak ja nie nabierzesz gładkimi słowami. Sorry.

– Nawet nie próbuję – zapewniła Liliana. – Ja też swoje przeszałam i dzierlatką nie jestem.

Klementyna Kopp spojrzała na nią uważnie. Jej twarz się wyostrzyła.

– Czekaj. Stop! Czegoś tu nie rozumiem – powiedziała policjantka bardzo wolno. – Czego ty właściwie ode mnie chcesz, co? Kolejnego szybkiego numerka, żeby zapewnić sobie alibi, co? Kogo jeszcze chcesz zabić?

– Nie potrzebuję alibi – odparła Liliana. – Chcę ci tylko coś

powiedzieć.

Klementyna czekała, popijając napój bezalkoholowy. Wokół zrobiło się już naprawdę tłoczno. Na scenę wszedł zespół. Pierwsze gitarowe riffy przecięły powietrze.

– Wiem, z kim możecie porozmawiać o mojej matce – oznajmiła Liliana Brzezińska. – Oprócz Michaliny Niewiadomskiej.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski usiadł do stołu zmęczony. Nie był jeszcze w stanie ocenić, czy to, co odkryli na działce Małgorzaty Głuszyńskiej, ma jakieś znaczenie dla śledztwa czy nie. Na pewno czuł się zaskoczony. To, co znaleźli, nie pasowało za bardzo do dotychczasowego obrazu zabitej kwiaciarki, który policjant powoli malował sobie w głowie. Z drugiej strony co do tego obrazu właściwie pasowało? Co tak naprawdę wiedzieli o Małgorzacie Głuszyńskiej? Czy mogli wierzyć w to, co mówiła o kwiaciarence jej córka? Czy mogli wierzyć w to, co mówiła im sąsiadka zamordowanej, Barbara Krakowiak? Czy mogli wierzyć komukolwiek?

– Daniel, weź się rozchmurz – powiedziała ciepło Weronika Nowakowska. Delikatnie pogładziła Podgórskiego po twarzy. – Chcesz pogadać o śledztwie?

– Wiesz, że nie mogę – odparł Daniel. – Tajemnica śledztwa...

– Chyba mnie znasz – zażartowała Weronika. – Poza tym teraz przecież jestem prawie policjantką... w końcu pomagam w komendzie. A właśnie. Jest coś nowego w sprawie... no, tych plotek o naszym komisariacie?

Trudno było w to uwierzyć, ale Daniel prawie zapomniał, że są plany zamknięcia jego ukochanego komisariatu w Lipowie. A może wolał o tym zapomnieć?

– Nie wiem, ale myślę, że rezygnujemy z planu Klementyny – poinformował Weronikę. – Szantaż to jednak nie jest to, w co chciałbym wchodzić. Zresztą Klementyna ostatecznie chyba też nie bardzo. Chociaż wydaje mi się, że coś tam znalazła w przeszłości komendanta. Takie odniosłem wrażenie, kiedy z nią rozmawiałem.

– Ciekawe, co ta Klementyna wynalazła? – zastanawiała się Weronika.

– Nie mam zielonego pojęcia. Nic nie powiedziała.

Podgórski czuł niemal ulgę, że nie wie. Po ostatnim śledztwie w sprawie Trzydziestej Pierwszej wiedział, jak może się czuć człowiek, który zna tajemnicę. Lepiej nie grzebać w przeszłości komendanta, jakakolwiek ona była.

Telefon Daniela zadzwonił głośno, przerywając jego rozważania.

– Mówi Barbara Krakowiak – usłyszał po odebraniu połączenia.

– Dobry wieczór. Czy coś się stało? – zapytał Podgórski.

Po drugiej stronie linii przez chwilę panowała cisza. Policjant był zupełnie zaskoczony tym nagłym telefonem. Zostawił wprawdzie swoją wizytówkę sąsiadce Małgorzaty Głuszyńskiej, kiedy rozmawiał z nią po raz pierwszy. Do tej pory jednak pani Krakowiak nie zadzwoniła ani razu.

– Halo! Jest tam pani? – zawołał policjant. – Czy coś się stało?

– Nie jestem pewna – przyznała Barbara Krakowiak w końcu.

– Wydaje mi się, że ktoś się kręci po domu Małgorzaty.

– Ktoś wszedł do domu pani Głuszyńskiej?

– Widziałam chyba błysk latarki w oknie. Nie wiem, czy mam tam pójść... chyba już tam nikogo nie ma. To było jakiś czas temu.

– Zaraz tam przyjadę – obiecał Podgórski szybko. – Proszę zostać u siebie w domu.

Daniel przerwał połączenie i wstał od stołu.

– Muszę pojechać do Żabich Dołów – poinformował Weronikę. – Wezmę chyba Marka Zarębę.

Zanim Nowakowska zdążyła cokolwiek powiedzieć, usłyszeli pukanie do drzwi. Spojrzeli po sobie zaskoczeni. Nie spodziewali się nikogo. Zwłaszcza o tej porze.

Weronika poszła otworzyć. W drzwiach stał Łukasz Strzałkowski z dość niewyraźną miną.

– Mogę z wami trochę posiedzieć? – zapytał chłopak. – Moja mama wyszła i...

Łukasz rozplakał się nagle, jakby coś w nim pękło. Może miało to związek z tym, co nastolatek przeżył ostatniej zimy, a może było zupełnie inaczej. Daniel Podgórski podbiegł do syna i objął go trochę niezdarnie. Pamiętał, jak kiedyś w ten sposób pocieszał go ojciec. Wymienił spojrzenia z Weroniką. Nie mógł teraz zostawić Łukasza, nawet jeżeli to oznaczało zaniedbanie śledztwa.

– Zadzwoń do Marka – zaproponowała cicho Nowakowska.
– Niech on sam pojedzie.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski skinął tylko głową, cały czas ściskając w ramionach nastoletniego syna.

20 maja 2014

Do zainteresowanych:

Na razie daję sobie spokój z wyrzutami sumienia. Odwieszam je na wieszak. Zapominam. Takie jest moje postanowienie.

Myślę tylko o tym, co jeszcze przede mną. Myślę o mojej misji. O zadaniu. O honorze i zemście.

Przygotowuję już maszynkę do tatuowania. Na początku wydawało mi się, że tatuowanie będzie trudniejsze, ale wszystko udało się bez problemu. Zadziwiające, ile informacji można znaleźć w Internecie.

Tuszu ciągle mam aż nadto. Zrobienie trzech małych napisów to przecież nic. Reszty trzeba się będzie później pozbyć.

Właściwie to nie napisy, to oznaczenia, to znamiona. Tego nie pozbędą się nigdy, aż do momentu, kiedy ich ciało zgnije.

Honor i zemsta. Teraz właściwie to dla mnie jedno.

Czuję tylko gniew. Pielęgnuję go w sobie z dumą.

Zemsta.

Została jeszcze tylko jedna osoba.

Myślę, że czarne pióro już dotarło. Wygląda na to, że zaproszenie do śmiertelnej partii zostało już przyjęte. Ofiara nie miała wyjścia.

Wiem, że to będzie ostatnia śmierć.

Czuję ulgę.

Mam też nadzieję, że tym razem będzie dużo łatwiej.

Tu hańba jest największa.

Zemsta i honor to teraz dla mnie jedno.

ROZDZIAŁ 27

Lipowo, kolonia Żabie Doły i Brodnica.
Środa, 21 maja 2014. Rano

Młodszy aspirant Daniel Podgórski cały czas myślał o wczorajszym wieczorze. Łukasz spędził z nim i Weroniką kilka godzin. Obejrzelik jakiś przydługi film, jednocześnie grając w karty. Śmiali się głośno, mimo że właściwie nie było z czego. Później Daniel odprowadził syna do domu. Podgórski miał wrażenie, że Łukasz dobrze się bawił. Najwyraźniej fakt, że Emilia wyszła na randkę, okazał się nieoczekiwane punktem przełomowym w jego relacji z synem.

Odprawa w Komendzie Powiatowej w Brodnicy powinna była zacząć się już kilka minut temu. Ciągłe jednak czekali na jeszcze jedną osobę. Dziś miał im towarzyszyć aspirant sztabowy Juliusz Szewczyk. Szewczyk od wielu lat pracował w wydziale prewencji w Komendzie Powiatowej i był znajomym Waldemara Gąsiorowskiego. Teraz Juliusz stanął na czele grupy ochotników, która wspierała śledztwo w sprawie śmierci kolegi. To właśnie ich miał reprezentować Szewczyk na dzisiejszej odprawie.

Drzwi sali konferencyjnej otworzyły się w końcu. Do środka wszedł rażno krępej budowy mężczyzna. Musiał mieć niecałe metr sześćdziesiąt wzrostu i tyle samo szerokości. Wyglądał, jakby w całości składał się z monstrualnie wielkich mięśni. Podgórski nie mógł oprzeć się wrażeniu, że przy tak niskim wzroście nadmierna muskulatura Szewczyka wyglądała wręcz karykaturalnie. Daniel zerknął na Marka Zarębę. Młody policjant również był dobrze zbudowany i wysportowany, ale daleko mu było do tego, co osiągnął w tym względzie nowo przybyły.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział aspirant sztabowy

Juliusz Szewczyk. – Byłem jeszcze u techników.

– Zaczynamy – zarządził prokurator Leon Gawroński.

Od czasu, kiedy zgromadzili się na odprawie, Leon Gawroński ani razu nie spojrział w stronę Emilii, mimo że wcześniej ciągle się do niej uśmiechał. Podgórski zastanawiał się, co też mogło się wydarzyć podczas wczorajszej randki. Czy coś poszło nie tak?

Daniel zerknął na Strzałkowską zaciekawiony. Policjantka także nie patrzyła na Gawrońskiego. Zachowywała się, jakby wcale nie spędziła wczorajszego wieczoru z przystojnym prokuratorem.

– Juliuszu, mieliście zebrać odciski palców od naszych dotychczasowych podejrzanych i porównać je z NN z szachownicy – przypomniał Gawroński. – Mamy jakieś wyniki? Jest zgodność?

Aspirant sztabowy Juliusz Szewczyk odchrząknął cicho. Jego służbowa koszula była napięta na potężnych mięśniach, jakby za chwilę miała pęknąć w szwach. Ciekawe, czy swój mundur Szewczyk szył na zamówienie, zastanawiał się Daniel z niejakim rozbawieniem. Trudno było sobie wyobrazić, żeby którykolwiek z gotowych rozmiarów pasował na tego strongmana.

– Miałem pobrać odciski palców od kilku osób – powiedział powoli Szewczyk. Wyjął z kieszeni karteczkę. – Tu mam nazwiska. Liliana Brzezińska, Miłosz Janiszewski, Barbara Krakowiak, Hubert Przybylski i Oliwia Gąsiorowska. To byli wasi dotychczasowi podejrzani, tak?

– Są jakieś trafienia, co? – chciała wiedzieć Klementyna. Dziś komisarz Kopp była w całkiem dobrym humorze. – Ktoś z nich dotykał szachownicy, co?

– Kłopot w tym, że nie udało mi się pobrać odcisków od wszystkich – przyznał Szewczyk z pewną skruchą w głosie.

Dobry humor Klementyny prysł w jednej chwili jak bańka mydlana.

– To znaczy? – zapytała ostro.

– To znaczy, że pobrałem je dopiero od Liliany Brzezińskiej i Barbary Krakowiak – przyznał Szewczyk. – Ich odciski palców

nie zgadzają się z tymi NN z czarnej strony szachownicy. Ale to nie wszystko...

– To znaczy? – syknęła znowu komisarz Kopp.

– Ta Barbara Krakowiak...

– Co z nią?

– No bo był jeszcze ten zestaw odcisków NN, które technicy znaleźli w sypialni Małgorzaty Głuszyńskiej – przypomniał Juliusz Szewczyk. Nieśmiałość, która pojawiła się w jego głosie, niezbyt pasowała do jego aparycji. – Sypialnię ktoś przeszukał i...

– Odciski NN z sypialni należą do Barbary Krakowiak? – zapytał prokurator. Wyglądał na zaskoczonego.

Juliusz Szewczyk pokiwał głową.

– Tak. Jej odciski były w sypialni Głuszyńskiej, ale nie było ich na szachownicy – wyjaśnił raz jeszcze. – Trudno powiedzieć, co to może oznaczać...

– To Barbara Krakowiak przeszukała sypialnię kwiaciarki? – zastanawiał się głośno Daniel Podgórski. – Dlaczego miałyby to robić? Jej odcisków nie było w domu Gąsiorowskiego, prawda?

– Nie – zgodził się Leon Gawroński. – Pamiętajcie, że mieszkania Waldemara w ogóle nie przeszukano. Tak się zastanawiam, może to są dwie zupełnie odrębne sprawy? Przesłuchajcie Barbarę Krakowiak w sprawie tych odcisków. Zobaczemy, co ma do powiedzenia.

– Tak naprawdę Barbara Krakowiak może powiedzieć, że zwyczajnie odwiedzała sąsiadkę i stąd jej odciski w domu Głuszyńskiej – mruknęła Emilia Strzałkowska. – Niczego jej nie udowodnimy.

– Mimo wszystko przesłuchajcie ją – zarządził Leon Gawroński, nadal unikając patrzenia na Emilię. – Juliusz, a co z pozostałymi osobami, od których miałeś pobrać odciski? Dlaczego tego nie zrobiliście?!

– Miłosza Janiszewskiego złapałem dopiero wieczorem, więc nie mam jeszcze gotowego porównania – przyznał potężny Juliusz Szewczyk. Wyglądał na autentycznie zmartwionego swoją opieszalnością. – Przykro mi, że nie wniosłem za dużo. Waldemar był moim dobrym znajomym. Chciałbym zrobić, ile

się da, żeby złapać skurwysyna, który go zabił.

Wyznanie zabrzmiało prosto i szczerze. Podgórski natychmiast poczuł nić sympatii do Szewczyka.

– Moim zdaniem te odciski na szachownicy to jakaś ściema – odezwała się Klementyna Kopp, w typowy dla siebie sposób wypluwając słowa. – Już o tym rozmawialiśmy. Ale! Powtórzę raz jeszcze. Zabójca gra białymi figurami. Po stronie białych nie ma żadnych odcisków. Ofiara gra czarnymi figurami. Po stronie czarnych mamy odciski ofiary i NN. Gdzie w tym sens, co? Dlaczego sprawca miałby tracić czujność i dotykać drugiej strony szachownicy, co? Skoro tak dba o to, żeby biała strona była dokładnie wyczyszczona.

– Tego nie wiemy – przyznał prokurator Gawroński.

– No właśnie.

– Co sugerujesz?

– Czekaj. Stop. Niczego nie sugeruję – zaprzeczyła Klementyna bezzwłocznie. – Może tylko tyle, żebyśmy jakoś szczególnie nie odlatywali na punkcie tych odcisków NN z szachownicy. Moim zdaniem sprawca bawi się z nami w kotka i myszkę.

Leon Gawroński spojrział na Klementynę uważnie.

– Czyli twoim zdaniem mamy sobie całkowicie darować sprawdzanie odcisków z szachownicy? – zapytał prokurator sarkastycznie. – Pozwolisz, że przypomnę, że to ja jestem odpowiedzialny za to postępowanie wstępne, moja droga.

Gawroński i komisarz Kopp przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Daniel przyglądał się temu z pewną dozą dziwnej fascynacji. Jak do tej pory nowy prokurator wykazywał się dużą cierpliwością zarówno w stosunku do Klementyny, jak i do nich. Czy teraz to się zmieni? Gawroński wydawał się spokojnym i opanowanym człowiekiem. Dlaczego teraz zaczynał tracić głowę? Czy chodziło o stres związany ze śledztwem? Czy może... Podgórski znowu pomyślał o Emilii. Coś się stało na tej randce?

– Rozmawiałam wczoraj z Lilianą Brzezińską – oznajmiła tymczasem Klementyna. Nadal nie spuszczała wzroku z prokuratora.

– Przesłuchiwałaś ją znowu? – zapytał Leon Gawroński, kontynuując wojnę spojrzeń.

– Rozmawialiśmy nieformalnie – powiedziała lekko komisarz Kopp.

Klementyna odwróciła wzrok i sięgnęła do plecaka po butelkę coca-coli. Upiła kilka łyków i postawiła butelkę na stole z głośnym stuknięciem.

– Nieformalnie? – powtórzył Leon Gawroński spokojnie. – Co to ma znaczyć? Bo nie za bardzo rozumiem.

Wszyscy zebrani odwrócili się w stronę Klementyny. Daniel próbował wyczytać coś z twarzy koleżanki, ale zrezygnował. Jak zwykle była trudna do rozszyfrowania. Na razie nikt poza nim nie wiedział chyba, że komisarz Kopp spędziła już raz noc z Lilianą. Czy teraz Klementyna zrobiła to znowu? W co ona grała? Przecież Liliana Brzezińska nadal nie została wykluczona z grona podejrzanych.

– Co powiedziała Liliana? – chciała wiedzieć Emilia.

Pytanie jakby nieco rozładowało atmosferę. Wszyscy odetchnęli.

– Liliana twierdzi, że przypomniała sobie, z kim powinniśmy porozmawiać w sprawie przeszłości jej matki. Oprócz Niewiadomskiej oczywiście.

– Z kim?

– Nazywa się Katarzyna Piotrowska – poinformowała ich Klementyna Kopp. – Piotrowska też pracowała w prokuraturze. Zdaje się, że to równolatka Małgorzaty Głuszyńskiej. Umówiłam się z nią na dziś po południu. Może to nam pozwoli dowiedzieć się trochę więcej na temat tej kłótni pomiędzy Głuszyńską a Gąsiorowskim o awans albo znaleźć ich ewentualnych wspólnych wrogów. Jedno z dwojga byłoby okej, co?

– Tak się zastanawiam... – zaczęła Emilia Strzałkowska powoli.

– Co? – rzuciła Klementyna ostro.

Wyglądało na to, że relacje pomiędzy dwiema funkcjonariuszkami wcale się nie poprawiły. Daniel westchnął. Komisarz Kopp nie była łatwa we współpracy. Policjant miał

jednak nadzieję, że Emilia w pewnym momencie ją zaakceptuje.

– Myślicie, że możemy ufać tej Lilianie? – zapytała Emilia niezrażona.

Daniel spojrzął na Klementynę.

– Jasne, że nie możemy jej ufać. To chyba jasne, co? – stwierdziła komisarz Kopp twardo. – Ale! W jakiej kwestii konkretnie, co?

– No, tego nazwiska z przeszłości. Już raz nam podała nazwisko Michaliny Niewiadomskiej. Może Liliana nami jakoś steruje? Podstawia nam osoby, z którymi mamy rozmawiać – tłumaczyła Emilia dość nieskładnie. Wyglądała na zamyśloną.

– Może powinniśmy przesłuchać kogoś zupełnie innego?

– Dziękuję za niezwykle cenną sugestię – odparła Klementyna drwiąco. – Kogo proponujesz na początek, co? Zrobiłaś już dla nas listę nazwisk?

Emilia spojrziała na Klementynę gniewnie, ale nic nie powiedziała.

– Jak będzie trzeba, to porozmawiamy z kimś jeszcze. Zaczniemy jednak od tego, co mamy, czyli od tej Katarzyny Piotrowskiej. Przesłuchajcie ją – powiedział prokurator Leon Gawroński. Teraz znów mówił łagodnie. – No dobrze. Przejdźmy może do waszego wczorajszego znaleziska na działce Małgorzaty Głuszyńskiej w Starych Świątkach.

– Co wy tam znaleźliście? – zapytał Marek Zaręba z zainteresowaniem. – Ja nic nie wiem.

Młody policjant rzucił Danielowi wymowne spojrzenie. Podgórski czuł, że Marek ma mu za złe, że o niczym mu nie powiedział. Daniel miał na swoje usprawiedliwienie jedynie sytuację rodzinną. Chyba.

– Przesłuchiwaliśmy Michalinę Niewiadomską. Pojechaliśmy do niej na działkę. To ona powiedziała nam, że Małgorzata Głuszyńska też miała w okolicy ogródek – wyjaśnił szybko Daniel. – Postanowiliśmy sprawdzić to miejsce. Tak na wszelki wypadek. Działka Głuszyńskiej wyglądała na zupełnie opuszczoną, ale okazało się, że z domku ktoś korzystał.

– Co w tym dziwnego? – zapytała Emilia. Teraz Strzałkowska

unikala też patrzenia w oczy Podgórskiemu.

Daniel westchnął.

– W domku na działce urządzona była mała hodowla marihuany – oznajmił bez dalszej zwłoki.

Marek Zaręba spojrział na Podgórskiego z niedowierzaniem. Przysadzisty Juliusz Szewczyk z przejęciem drapał się po policzku.

– Naprawdę? – nie mógł uwierzyć Zaręba. – Małgorzata Głuszyńska hodowała marihuanę na swojej działce? Ona? W tym wieku? Przecież miała ponad osiemdziesiąt lat.

– Naprawdę, Młody – zapewnił Daniel. – Jak widać, nie ma granicy wiekowej w tych sprawach. Jest równouprawnienie.

Podgórski doskonale rozumiał niedowierzanie Marka Zaręby. Daniel także w pierwszym momencie nie mógł uwierzyć, kiedy zauważył hodowlę przez zakurzone okno domku działkowego emerytowanej kwiaciarki.

– Czekał. Stop – wtrąciła się Klementyna natychmiast. Daniel spodziewał się tego od początku. Rozmawiali już trochę na ten temat wczoraj, kiedy wracali z okolic Starych Świątek. Policjant znał opinię komisarz Kopp. – Nie zakładajmy niczego, co? To, że hodowla była u Głuszyńskiej na działce, jeszcze nie znaczy, że to ona dilowała, co? Tu wracamy do Huberta Przybylskiego!

Klementyna wymówiła to nazwisko z wyraźną odrazą.

– Tak. Wiemy już, że Hubert Przybylski był swego czasu drobnym dilerem – przypomniał Daniel. – Wiemy też, że Hubert miał z Małgorzatą Głuszyńską kontakt przez Oliwię Gąsiorowską, która pracowała w kwiaciarni.

– Sugerujecie, że to była hodowla Huberta Przybylskiego, a Małgorzata Głuszyńska tylko użyczyła mu działki? – zapytał Marek Zaręba. – Muszę przyznać, że to brzmi trochę lepiej.

Klementyna otworzyła usta, żeby coś powiedzieć.

– Porozmawiajcie z Hubertem Przybylskim jeszcze raz – zarządził prokurator Leon Gawroński, nie dopuszczając policjantki do głosu. – Przybylski był blisko z obiema ofiarami. Trzeba dobrze mu się przyjrzeć. Co mamy dalej?

– Mnie zastanawia kwestia tego tatuażu. Właściwie tych dwóch tatuaży – wtrącił się nieśmiało potężny Juliusz

Szewczyk. – Jeżeli można...

– Oczywiście – odparł prokurator z uśmiechem. – Co chciałbyś dodać, Juliuszu?

– Przeczytałem z chłopakami dotychczasowe raporty – powiedział muskularny policjant i skinął głową w stronę Daniela i Klementyny. – Zwyczajnie tak się zastanawiałem. Gość chce nam coś przekazać i tatuuje... ofiarom napisy G:e5 i G:f4.

– G:b5 – poprawiła Emilia Strzałkowska odruchowo.

– Przepraszam. No wiem, tatuuje im G:b5 i G:f4 – poprawił się Juliusz Szewczyk. – Dlaczego sprawca nie napisał tego zwykłym markerem? Przecież też byśmy przeczytali. Po co się męczyć z tatuowaniem ofiar po zabójstwie? Nie wiem, czy mój pomysł ma jakikolwiek sens...

Przez chwilę w sali konferencyjnej panowała cisza.

– No właśnie. Jest jeszcze jedna sprawa. À propos G:e5 i G:b5 – powiedział Marek Zaręba, przerywając milczenie. – Dla mnie to jest trochę dziwne, że ten Franciszek Trojanowski tak od razu zorientował się, że na tym pierwszym tatuażu to jest „b5”, a nie „e5”. Wiem, że te tatuáže są wyjątkowymi gryzmołami, ale... no sam nie wiem... On tak po prostu wiedział, że tam nie jest napisane „e”, tylko „b”, mimo że żadne z nas tego nie zauważyło...

– Czekał. Stop. Młody, sugerujesz, że ten szachista Trojanowski może być jakoś zamieszany w śmierć Głuszyńskiej i Gąsiorowskiego?

Marek Zaręba wzruszył ramionami.

– Prawdę powiedziawszy, to tylko taki ślepy strzał – odparł. – Może dlatego, że przy obu ciałach były te szachownice. Trojanowski jest właścicielem klubu szachowego, więc jego nazwisko samo się nasuwa.

– Uważam, że to wartościowa obserwacja – powiedział Leon Gawroński. – Pozostaje pytanie, czy nasz sprawca musi być znawcą szachów, żeby robić swoje inscenizacje z szachownicami i tatuażami? Czy to może być osoba, która w ogóle się na szachach nie zna, ale z jakiegoś powodu zdecydowała się używać tej... stylistyki?

Emilia Strzałkowska po raz pierwszy zerknęła ukradkiem na prokuratora.

– Właściwie to nie potrzeba wielkiej wiedzy o szachach, żeby ustawić na szachownicy gambit królewski i zrobić te zapisy – powiedziała ostrożnie.

– No właśnie. Przeglądałem trochę strony w Internecie – powiedział prokurator. – Szukałem informacji na temat tej „nieśmiertelnej partii”, o której mówił wam Franciszek Trojanowski. Pełno jest stron i blogów, gdzie jest zapis całej partii. Nie trzeba nawet nic z tego rozumieć. Tylko wybrać na chybił trafił jakiś ruch i zapisać go na ciele ofiary. Co jeżeli ta szachownica nie ma żadnego znaczenia i sprawca chce nas tylko zmylić? To też jest przecież jakaś możliwość.

– Zasłona dymna – powiedział Marek.

Wszyscy spojrzeli na Zarębę.

– Też się sporo nad tym zastanawiałem – mówił dalej młody policjant ośmielony zainteresowaniem pozostałych. – Może te dwa zabójstwa jednak nie są ze sobą powiązane? Na przykład ten Dybu z bloku Waldemara Gąsiorowskiego. Może wykorzystał śmierć Małgorzaty Głuszyńskiej, żeby z jakiegoś powodu zabić Waldemara Gąsiorowskiego.

– Po kolei – poprosił Leon Gawroński. – Przyznam, że trochę się pogubiłem w tych wszystkich pomysłach. Jak się ma do tego ten mafioso z bloku Gąsiorowskiego?

– Zastanawiam się, czy nie ma dwóch sprawców – wyjaśnił Marek Zaręba z entuzjazmem. – Przyszło mi to do głowy wczoraj, kiedy pojechałem do domu kwiaciarki.

– Pojechałeś do domu Małgorzaty Głuszyńskiej, co? – podchwyciła Klementyna zaskoczona. – Po co, jeśli można wiedzieć, co?

Zaręba zerknął na Daniela pytająco. Podgórski uśmiechnął się do młodego policjanta. Dzięki temu, że Marek wziął wezwanie na siebie, Daniel mógł spędzić wczorajszy wieczór z synem. Gotów był ponieść konsekwencje. Gdyby sytuacja się powtórzyła, zrobiłby to samo jeszcze raz.

– Było wezwanie od Barbary Krakowiak – wyjaśnił Podgórski.

– Pani Krakowiak poinformowała mnie, że widziała, jak ktoś

kręcił się po mieszkaniu zamordowanej.

– Dlaczego nikt mi nic o tym nie powiedział? – zapytał Leon Gawroński. Jego głos znowu zabrzmiał ostro.

– Wydawało mi się, że jesteś zajęty. Nie chciałem przeszkadzać – odparował Daniel Podgórski, zerkając w stronę Emilii. Strzałkowska znowu odwróciła wzrok. – Ja nie mogłem pojechać na miejsce ze względów osobistych. Marek zgodził się przyjąć wezwanie za mnie.

– Tak. Pojechałem do kolonii Żabie Doły. Wszystko tam wyglądało w porządku. Drzwi były zamknięte. Cisza i spokój – podjął Marek. – Tylko że tam jest ten samozatrząskowy zamek i pomyślałem, że może dziś pojechałby tam któryś z techników, żeby sprawdzić, czy jednak na drzwiach nie ma jakichś śladów włamania.

– Wy sobie chyba żartujecie – stwierdził Leon Gawroński bardzo powoli. – Powiedziałem przecież, że wszystko ma być wykonane na tip-top! O czymś takim powinniście mnie byli od razu zawiadomić! To chyba jasne, prawda?

Klementyna zaśmiała się cicho pod nosem.

– Lipowa nie pokonasz – mruknęła.

– Nie chcę, żeby coś takiego się powtórzyło – powiedział prokurator twardo, ignorując komentarz komisarz Kopp.

Daniel Podgórski sam dobrze wiedział, że powinien był zawiadomić Leona Gawrońskiego już wczoraj. Wiedział też, że powinien był pojechać z Markiem na miejsce i dokładniej wszystko sprawdzić. Łukasz okazał się jednak ważniejszy. Zdecydowanie ważniejszy. Daniel nie żałował swojej decyzji.

– W każdym razie – wrócił jakby nigdy nic do swoich rozważań Marek Zaręba – jeżeli ktoś się rzeczywiście włamał wczoraj do Małgorzaty Głuszyńskiej, to by było już drugie włamanie do jej domu. Pamiętajcie, że jej sypialnia była dokładnie przeszukana. Być może przez Barbarę Krakowiak, skoro są tam jej odciski palców. W każdym razie, zakładając, że pani Krakowiak nie kłamie, teraz ktoś znowu próbował coś znaleźć u Głuszyńskiej. Pamiętajcie, że u Waldemara Gąsiorowskiego nie było włamania. Tu wracamy do tego, co chciałem przekazać wam chwilę temu. Tego z tym Dybu.

Zastanawiam się...

– Czy ktoś nie upozorował śmierci Gąsiorowskiego tak, żeby wyglądała jak śmierć Głuszyńskiej. Kolejne dzieło szaleńca, a tymczasem to zwykle porachunki – dokończyła za Marka Klementyna Kopp. – To niegłupi pomysł, Młody. Ale! Nie możemy też odrzucać wersji o tym, że mamy tego samego zabójcę. Tym bardziej że wszystko inne, oprócz braku włamania, się zgadza. Jedyna różnica to kwestia włamania. Jedyna.

– I podwieczorku – mruknęła Emilia. – Waldemar Gąsiorowski nie zaserwował mordercy ciasteczek.

Klementyna Kopp wzruszyła ramionami.

– Dobrze. Spróbujmy podejść do tego metodycznie i naprawić ewentualne szkody spowodowane waszym brakiem profesjonalizmu – powiedział prokurator Gawroński. – Po pierwsze, trzeba pojechać do domu Małgorzaty Głuszyńskiej i sprawdzić, czy nic nie zginęło. Najlepiej, żeby pojechała tam osoba, która była w jej domu już na początku śledztwa. Porównajcie wszystko z dokumentacją fotograficzną z pierwszego dnia. Jeżeli coś zginęło, musimy o tym wiedzieć.

Wszyscy pokiwali głowami.

– Już mówiliśmy, że trzeba by przesłuchać tego waszego Dybu. W jednym bloku z ofiarą numer dwa mieszka znany kryminalista. Nawet jeżeli emerytowany – mówił dalej Gawroński. – Juliuszu, skoro znałeś Waldemara, kojarzysz może, czy on zajmował się jakąś sprawą związaną z tym typem spod ciemnej gwiazdy? Waldemar wpakował Dybu do więzienia albo inne takie? Czy jest możliwe, że to Dybu zabił Waldemara?

Aspirant sztabowy Juliusz Szewczyk wydawał się trochę zmieszany, ale może Daniel tylko to sobie wyobraził. Sam już nie był pewny.

– Nie – powiedział potężny policjant. – Ale za to jak tylko przeczytałem o tych Szczepańskich z Wyspy Skarbów, to...

– To co? – podchwyciła Klementyna Kopp.

– To przypomniałem sobie, że Waldek Gąsiorowski trochę napsuł tym hodowcom krwi jakieś kilka lat temu – powiedział

Szewczyk nieśmiało. – Szczepańscy nie mieli jakichś tam pozwoleń, żeby mieć tę swoją hodowlę ptaków. Oni to potem załatwili, ale dłużej to trwało. Nie wiem dokładnie, jak to się odbyło.

– To znaczy Tadeusz i Hanna Szczepańscy dali Gąsiorowskiemu w łapę, co? – bardziej stwierdziła, niż zapytała, Klementyna Kopp. – Żeby się odczepił. Dobrze rozumiem to twoje mętne tłumaczenie, co?

Szewczyk nie odpowiedział.

– Juliuszu, teraz nie jest pora, żeby cokolwiek ukrywać – przypomniał Leon Gawroński. – Co było, to było. Waldemarowi Gąsiorowskiemu żadna kara już nie zagrozi. Teraz szukamy mordercy, więc proszę o szczerą. Wszystko może mieć znaczenie.

Mięśnie muskularnego karku Szewczyka napięły się wyraźnie.

– Człowiek musi jakoś żyć. Ja tam nie oceniam Waldka – powiedział cicho. – W każdym razie rzeczywiście trochę od tych hodowców ptaków podobno dostał. Chyba go za bardzo nie lubili. Żywili do niego urazę. Śmiał się z tego kilka razy.

– Czyli znowu wracamy do rodziny Szczepańskich – podsumował Daniel Podgórski. – Stanisław Szczepański miał motyw, żeby pozbyć się Małgorzaty Głuszyńskiej. Chciał, żeby Brod-Dysk mógł wreszcie ruszyć z produkcją. Poza tym wiemy, że Stanisław rozmawiał z Waldemarem przez dziesięć minut siódmego maja. Teraz okazuje się, że rodzice Szczepańskiego mogli mieć powód do niechęci wobec Waldemara Gąsiorowskiego.

– Przesłuchaliście Stanisława Szczepańskiego? – upewnił się Leon Gawroński.

Emilia Strzałkowska i Marek Zaręba jednocześnie pokręcili głowami.

– Byliśmy tam w hodowli, ale rozmawialiśmy tylko z Hanną Szczepańską – przyznał Marek. – Stanisław podobno pojechał z ojcem na jakieś badania do Warszawy. Dzisiaj ma być dostępny, więc na pewno go przesłuchamy...

Prokurator westchnął głośno, jakby brakowało mu już sił.

– A co z tym czarnym łabędziem? Mają je w hodowli?

– Mają dwa czarne łabędzie, ale to niewiele nam daje – powiedziała Emilia. – Właściwie każdy, kto chce, może odwiedzić hodowlę i wziąć sobie dowolne pióro. To jest ślepa uliczka. Niestety.

– Podsumujmy, co mamy jeszcze do zrobienia – zaproponował prokurator Leon Gawroński, składając papiery. – Sprawdzicie dom Małgorzaty Głuszyńskiej pod kątem włamania. Przesłuchajcie tę Katarzynę Piotrowską w sprawie przeszłości Małgorzaty Głuszyńskiej i Waldemara Gąsiorowskiego oraz w sprawie kwestii tego awansu, którego ostatecznie nie było. Oczywiście porozmawiajcie koniecznie ze Stanisławem Szczepańskim i z tym Dybu. Swoją drogą to dość idiotyczne przezwisko.

– Facet nazywa się Cyryl Dybiński – wyjaśniła Klementyna Kopp. – Dybu.

Gawroński pokiwał głową, jakby wszystko stało się jasne. Młodszy aspirant Daniel Podgórski uśmiechnął się pod nosem.

– Niech Barbara Krakowiak wyjaśni, skąd wzięły się jej odciski palców w sypialni kwaciarki. Nie pokładam w tym wielkich nadziei, ale nigdy nie wiadomo – dokończył prokurator. – Jeżeli dziś zdążycie, to porozmawiajcie jeszcze z Hubertem Przybylskim. Ta marihuana na działce Głuszyńskiej to może być jego sprawka. Może poszło o pieniądze. Mogli mieć jakiś układ z Głuszyńską.

Miłosz Janiszewski zawiesił torbę na ramieniu. Wczorajsza rozmowa z Michaliną Niewiadomską bardzo wiele przyniosła. Starsza pani ani się obejrzała, a zdradziła dziennikarzowi tyle, ile potrzebował, żeby rozpocząć dalsze poszukiwania na własną rękę.

Niewiadomska początkowo mówiła półsłówkami, ale magia „Prawdziwego Głosu” zawsze wcześniej czy później działała na takie jak ona. W pewnym momencie wymknęło jej się odrobinę za dużo. Miłosz Janiszewski od razu to wyczuł. Instynkt podpowiadał mu, że w tym temacie kryje się coś naprawdę interesującego. I miał zamiar wykorzystać to do

swoich celów.

Dziennikarz zamierzał zacząć od wizyty w bibliotece. Miał nadzieję, że będą tam mieli to, czego teraz potrzebował. Potem poszpera trochę w Internecie. Był pewien, że wyprzedza policję o krok. O ile nie więcej. Na przykład o całą długość toru.

Miłosz Janiszewski zamierzał to dobrze wykorzystać.

Komisarz Klementyna Kopp uparła się, że to ona i Daniel Podgórski pojedą porozmawiać ze Stanisławem Szczepańskim. Wczoraj mieli to zrobić Marek i Emilia. To był błąd. Może i dobrze, że nic z tego nie wyszło, stwierdziła w duchu policjantka. Dyrektor Brod-Dysku mógł być zbyt twardym zawodnikiem dla tej dwójki nieopierzonych młodzików. Choćby nie wiadomo jak entuzjastycznie byli nastawieni do czekającego ich zadania. Zaręba i Strzałkowska zostali oddelegowani do sprawdzenia ewentualnego włamania do domu kwiaciarki i porozmawiania z Barbarą Krakowiak na temat odcisków palców.

Tym sposobem Klementyna i Daniel znowu znaleźli się przed bramą Brod-Dysku. Komisarz Kopp wołała nie myśleć o tym, że gdzieś tam w budynku administracji fabryki siedzi Liliana Brzezińska. Lepiej trzymać się od niej jak najdalej.

Dziś Brod-Dysk wyglądał zupełnie inaczej, niż kiedy byli tu ostatnio. Po terenie niewielkiej fabryki kręciło się teraz sporo osób. Zakład nie przypominał już w niczym wymarłego domu duchów, którym zdawał się przedtem.

– Chyba niedługo naprawdę zaczną produkcję – skomentował Daniel, kiedy szli do budynku administracji. Robotnicy nie zwracali na nich najmniejszej uwagi.

– Dzień dobry – przywitała ich uprzejmie recepcjonistka. Z rudymi warkoczami po dwóch stronach piegowatej twarzy wyglądała bardziej jak wyrosnięta Pippi Pończoszanka niż przedstawicielka nowo powstałej fabryki. – W czym mogę państwu pomóc?

Klementyna Kopp natychmiast straciła zainteresowanie Pippi i rozejrzała się po recepcji Brod-Dysku. Nigdzie nie było Liliany

Brzezińskiej. Ale! Niby dlaczego miałyby tu być? Pewnie siedziała w biurze.

– Jesteśmy umówieni z panem Stanisławem Szczepańskim – odpowiedział recepcjonistce Daniel. – Mam nadzieję, że go zastaliśmy?

– Tak. Już czeka na państwa – wyjaśniła dziewczyna. – Zapraszam. To trzecie drzwi po lewej. Zaprowadzić państwa?

– Nie trzeba. Na pewno trafimy.

Poszli za wskazówkami rudowłosej recepcjonistki. Klementyna otworzyła drzwi gabinetu bez pukania. Nie było na to czasu. Pippi pewnie i tak zawiadomiła szefa, że już przyszedli.

Weszli do biura. Stanisław Szczepański siedział odwrócony do nich plecami i wyglądał przez okno. Odwrócił się nagle na obrotowym krześle. Jego twarz wyrażała dziwną mieszaninę trudnych do uchwycenia uczuć.

– Jak tam badania w stolicy, co? – rzuciła Klementyna Kopp z miejsca. – Tatuś cały i zdrowy, co?

– Tak. Dziękuję – powiedział dyrektor Brod-Dysku. – Wszystko poszło dobrze.

Teraz Stanisław Szczepański nie wydawał się już zmieszany. Wręcz przeciwnie. Był całkiem pewny siebie. Elegancki biznesmen. On i Liliana pasowali do siebie z tymi kostiumikami w kant, pomyślała Klementyna jadownicę.

Szczepański patrzył na parę policjantów wyczekująco. Nie poprosił, żeby usiedli. Klementyna rozejrzała się dookoła. Gabinet był prawie zupełnie pusty. Stało tam tylko biurko i obrotowe krzesło, na którym siedział Stanisław.

– Widzę, że już zaczynają państwo produkcję – zagaił Daniel.

Na te słowa Stanisław Szczepański wyraźnie się rozpromienił.

– Rzeczywiście. Całe szczęście! Jak to mówią, szczęście w nieszczęściu – poprawił się biznesmen. – W końcu to matka mojej rzeczniczki prasowej nie żyje, więc oczywiście to nie jest powód do radości.

– Przejdźmy może do rzeczy, co? – zaproponowała Klementyna. – Gdzie byłeś wieczorem z jedenastego na dwunastego maja i z siedemnastego na osiemnastego maja, co?

Stanisław Szczepański zaśmiał się cicho. Nie było w tym

śmiechu ani odrobiny wesołości. Dyrektor Brod-Dysku skrzyżował ręce na piersi.

– Od razu z grubej rury – powiedział. – Nie mam alibi, jeżeli o to chodzi. Ale jestem niewinny. Myślę, że gdybym to ja ich zabił, spróbowałbym znaleźć sobie jakieś alibi, nieprawdaż? Tak zawsze jest na filmach.

Klementyna Kopp pokiwała głową. Słyszała już ten tekst jakiś milion razy. Z drugiej strony to, że Stanisław Szczepański nie miał alibi, nie musiało jeszcze nic znaczyć.

– Już my o tym zdecydujemy, co? – podsumowała na wszelki wypadek komisarz Kopp.

Stanisław spojrział na policjantkę zaciekawiony, jakby studiował jakiś rzadki okaz. Klementyna była do tego przyzwyczajona. Nie zamierzała za bardzo się przejmować. Jej tatuaże, ogolone niemal na łyso włosy, wojskowe buty i skórzana marynarka zawsze budziły niezdrowe zainteresowanie.

– O czym zdecydujecie? – zaciekawił się przedsiębiorca.

– O tym, czy jesteś winny, czy nie. Powiedziałeś, że to nie ty ich zabiłeś – stwierdziła Klementyna Kopp spokojnie. – Co ma oznaczać „ich”, co?

– Lubi pani łapać za słówka, prawda? Niech pani da już spokój. Wszyscy w tym mieście czytują „Prawdziwy Głos” – stwierdził biznesmen, wruszając ramionami. – Wiem, że drugi zamordowany nazywał się Wiktor Gąsiorowski. Nie mylę się chyba, prawda?

– Waldemar – poprawił Daniel Podgórski. – Waldemar Gąsiorowski.

– Waldemar – zgodził się Szczepański. – Wiktor czy Waldemar. Wszystko jedno. Nie znałem tego człowieka.

Oczywiste kłamstwo. To słychać było w każdej ociekającej fałszem sylabie. Klementyna Kopp uśmiechnęła się szeroko. To mógł być pierwszy tak duży błąd Szczepańskiego. Jeżeli był niewinny, nie powinien tak kłamać.

– Nie znałeś, co? – podchwyciła natychmiast pani komisarz.

– A co powiesz o rozmowie, którą z nim odbyłeś siódmego maja tego roku, co?

– Jakiej rozmowie? – zapytał spokojnie Stanisław Szczepański. Biznesmen wcale nie zdawał się zbity z pantałyku.

– A no tej, którą mamy w billingach Gąsiorowskiego i twoich... Nie te czasy, mój drogi, nie te czasy, co?

Stanisław odchrząknął cicho.

– Nie dzwoniłem do Gąsiorowskiego.

– Ach tak?

W biurze zapanowała cisza. Klementyna Kopp poczuła, że bolą ją nogi od tego stania. Ta sześćdziesiątka na karku chyba sprawiła, że policjantka zaczynała się powoli rozsypywać. Przynajmniej takie miała wrażenie. Nieprzyjemne.

– Rozmowa trwała dziesięć minut – powiedział w końcu Daniel, przerywając ciszę. Jego głos zabrzmiał miękko. – Proszę więc nie mówić, z łaski swojej, że to była pomyłka. Przy tak długiej rozmowie to chyba nie wchodzi w grę, prawda?

– Nie wiem, o czym mówicie – upierał się Stanisław Szczepański.

Klementyna szukała na twarzy Szczepańskiego oznak, że przedsiębiorca kłamie. Ale! Stanisław oblicze miał zgoła kamienne. Nagle twarz Szczepańskiego jakby się rozjaśniła.

– O który telefon państwu chodzi? – dopytywał się dyrektor Brod-Dysku z nagłym zainteresowaniem. Uśmiechał się szeroko, jakby zrozumiał, że zyskał przewagę. – O stacjonarny czy komórkę?

Daniel Podgórski przeczytał numer telefonu z kartki.

– To mój telefon komórkowy – potwierdził Stanisław Szczepański triumfalnie.

– I? – mruknęła Klementyna. – Skąd to zadowolenie, co?

– Ja żadnej takiej rozmowy nie odbyłem. Nie dzwoniłem do Gąsiorowskiego. Niby po co?

– Czy ktoś inny ma dostęp do twojego telefonu, co? – dopytywała się Klementyna, chociaż podejrzewała już, że Szczepański znalazł właśnie jakieś dobre wyjście z sytuacji. Jego uśmiezek mówił sam za siebie.

Szczepański zastanawiał się przez chwilę. Albo udawał, że się zastanawia.

– Nikt nie przychodzi mi do głowy – powiedział w końcu

biznesmen z zadowoleniem.

– Czyli nie ma innej opcji i to ty uciąłeś sobie miłą pogawędkę z denatem – stwierdziła Klementyna Kopp. Poczula się naprawdę zmęczona. Chyba powoli robiła się za stara do tej roboty. Za stara. Naprawdę. – Jest inne wyjaśnienie, co?

– Wyjaśnienie jest proste. Żadnej takiej rozmowy nie było – powtórzył Stanisław Szczepański. Jak zacięta płyta w gramofonie. Teraz chyba miał zamiar wyłożyć swoje znaczone karty na stół. – Już mówiłem, że nie znam nawet tego człowieka. Zaraz, chyba zaczynam rozumieć, co mogło się stać... proszę mi przypomnieć, kiedy miała miejsce ta rzekoma rozmowa?

– Siódmego maja – powiedział Daniel.

Biznesmen uśmiechnął się znowu. Szeroko.

– Chwileczkę, muszę pomówić z Lilianą – mruknął. – Może ona będzie pamiętała.

Stanisław Szczepański podniósł słuchawkę telefonu stacjonarnego i wykręcił numer wewnętrzny.

– Liliana, pozwól tu na momencik – powiedział do telefonu. Nadal uśmiechał się do policjantów. – Mam do ciebie jedną sprawę.

Liliana Brzezińska pojawiła się w gabinecie po krótkiej chwili. Klementyna Kopp poczuła niejasne poruszenie w całym ciele. Jesteś głupią starą babą, Kopp.

– Czy coś się stało? – zapytała Liliana, nie patrząc na Klementynę. – Za dziesięć minut mam rozmowę z przedstawicielem „Czasu Brodnicy”.

– Tak, tak. Wiem – zapewnił Stanisław Szczepański. – Liliana, pamiętasz, jak mi ukradli telefon?

Brzezińska spojrzała na szefa uważnie.

– Kiedy to było? – zastanawiał się Szczepański. – Czy to nie było siódmego maja? Kiedy ja szedłem wymienić kartę na nową?

Liliana Brzezińska spojrzała na swojego szefa raz jeszcze. Potem odwróciła się bardzo powoli w stronę Klementyny. To jest ten moment, pomyślała komisarz Kopp. Wóz albo przewóz. Jeżeli Liliana teraz skłamie, Klementyna przynajmniej będzie

wiedziała, że już nigdy nie może zaufać tej kobiecie. O ile kiedykolwiek w ogóle mogła jej ufać.

Oliwia Gąsiorowska zamknęła się w toalecie. Płakała cicho. Nadal nie mogła się pogodzić z tym, że jej ojciec musiał umrzeć. To było niesprawiedliwe. Dlaczego właśnie on? Przecież równie dobrze to mógłby być ktokolwiek inny.

Oliwia rozważała przez chwilę, żeby nie iść do pracy, ale w końcu uznała, że mimo wszystko da radę. Musi. Nie mogła stracić tej fuchy. Sprzątanie w klubie to była nowa rzecz i nikt nie zaakceptuje jej nieobecności w pierwszych dniach pracy. Nie mogła ryzykować zwolnienia. Hubi obiecywał wiele, ale Oliwia czuła, że to ona musi wziąć sprawy w swoje ręce. Przybylski bywał zbyt delikatny.

Z Hubertem nie widzieli się od wczoraj. Oliwia z jednej strony potrzebowała bliskości narzeczonego. Z drugiej jednak, po śmierci ojca, zaczęła też czuć do Hubiego dziwną niechęć. To było okropne uczucie. Jakby przez tę niesprawiedliwą śmierć straciła ich obu naraz.

Oliwia nie wiedziała, jak sobie z tym wszystkim poradzić. Dotychczas jej życie kręciło się wokół solarium, tipsów, farbowania włosów i wypadów z dziewczynami na miasto. Musiała przyznać, że właściwie nie miała do tej pory zbyt wielu zmartwień. Teraz było inaczej. Zupełnie inaczej. Miała wrażenie, że musi nagle dorosnąć i stawić czoło temu wszystkiemu. Miała dwadzieścia pięć lat i w sumie chyba najwyższy czas, nie?

Dlatego właśnie ruszyła do klubu. Niech będzie, co ma być.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska nie mogła skupić się na oględzinach mieszkania Małgorzaty Głuszyńskiej, ponieważ cały czas myślała o poprzednim wieczorze. Prokurator był z nią zupełnie szczerzy. W zamian prosił o dyskrecję i niezdradzenie nikomu jego tajemnicy.

Leon Gawroński opowiedział o wszystkim już na początku

kolacji, którą jedli w przytulnej restauracyjce niedaleko rynku. Strzałkowska starała się udawać, że nie zrobiło to na niej większego wrażenia. Nie była pewna, czy jej się udało. Prokurator też wydawał się spięty. Może nawet bardziej niż Emilia. Trudno się dziwić. Szczerłość czasem buduje jeszcze wyższe mury niż kłamstwo. Dziś było jeszcze gorzej. Ona i Leon Gawroński unikali się nawzajem. Tajemnice. Tajemnice. Dlaczego nie mogę trafić na normalnego faceta, zastanawiała się Strzałkowska.

– Emilia, skup się – powiedział Marek Zaręba. – Wyglądasz, jakbyś myślni była zupełnie gdzie indziej, a mamy robotę do zrobienia.

Właśnie wyszli z domu Barbary Krakowiak. Rozmawiali z sąsiadką zabitej kwiaciarki prawie godzinę, ale nie przyniosło to właściwie żadnych rezultatów. Pani Krakowiak zachowała się tak, jak podejrzewali. Twierdziła, że obecność jej odcisków palców w sypialni Małgorzaty Głuszyńskiej to nic zaskakującego.

– Ostatnio pomagałam Małgorzacie w porządkach – wyjaśniła Barbara Krakowiak, kiedy zadali kolejny raz to samo pytanie. – Ile razy mogę to powtarzać? Małgorzata robiła się coraz starsza i często jej pomagałam. Dotykałam wszystkiego w jej domu. To chyba oczywiste. To żadna tajemnica.

Nie było możliwości, żeby potwierdzić albo zaprzeczyć słowom Barbary Krakowiak, więc Strzałkowska i Zaręba w końcu zrezygnowali.

– Nie ma co się załamywać – pocieszył Emilię Marek, jakby pełne uników zeznania Barbary Krakowiak były teraz największym problemem policjantki. – Chodźmy sprawdzić dom Głuszyńskiej. Może uda się nam ustalić, czy coś zginęło. Przynajmniej przyjazd do Żabich Dołów nie będzie zupełnie stracony.

Emilia ruszyła posłusznie za Markiem, chociaż wciąż nie mogła skupić się na pracy. Przy drzwiach do domu kwiaciarki pracował jeden z techników.

– Już coś wiadomo? – zagadnął go Marek Zaręba.
Technik pokiwał głową.

– Tak. Są ślady włamania – potwierdził mężczyzna, zbierając swój sprzęt. – To jest zamek samozatraskowy, dlatego drzwi były zamknięte, kiedy pan wczoraj tu przyszedł, ale wcześniej ktoś na pewno go otworzył.

Emilia z trudem skupiła się na pracy. Wiedzieli już, że ktoś włamał się do domu Małgorzaty Głuszyńskiej. Przynajmniej w tej kwestii Barbara Krakowiak nie kłamała. Ktoś włamał się do domu kwiaciarki dziesięć dni po jej śmierci. To był fakt. Teraz pytanie. Jeżeli założymy, że włamania dokonała ta sama osoba, która zabiła Głuszyńską i Gąsiorowskiego, dlaczego ta osoba wróciła do domu pierwszej ofiary po tak długim czasie?

– Jeżeli sprawca tu wrócił, to by oznaczało, że za pierwszym razem nie znalazł tego, czego szukał – zastanawiał się głośno Marek Zaręba, jakby odgadł, o czym myśli Strzałkowska. – Co o tym sądzisz?

Emilia przytaknęła. Weszli do salonu i zaczęli dokładnie oglądać pomieszczenie. Porównywali je ze zdjęciami zrobionymi na miejscu w dniu, kiedy odkryto ciało Małgorzaty Głuszyńskiej.

– Co takiego było tu schowane, że trzeba było tu wrócić? – kontynuował swój wywód Marek. – Chyba nie marihuana z tej niewielkiej hodowli? Czy ktoś zabiłby dla kilku gramów zioła? Przecież nie mogły być aż tyle warte.

– Młody, sam wiesz, jak to jest. Nie za takie drobne sumy ludzie zabijali.

– Ale w tak wymyślny sposób? – zapytał Zaręba sceptycznie.

– Kto dla kilku gramów zioła chciałby zadawać sobie tyle trudu? To bez sensu. Po co ten fosgen, szachownica i tak dalej?

– Może masz rację – zgodziła się Emilia w zamyśleniu. Przeglądała zdjęcia z miejsca zbrodni, próbując wypatrzeć jakikolwiek szczegół, którym różniłoby się od stanu obecnego.

– Szukamy igły w stogu siana. Możemy tego czegoś szukać godzinami. Przecież to może być coś bardzo małego. Możemy to całkowicie przeoczyć.

– Wiem. Żmudna robota – stwierdził Marek. W jego głosie nie słyhać było jednak niezadowolenia. Zaręba jak zwykle tryskał energią do działania. – Jak było na randce

z prokuratorem? No powiedz.

– W porządku – odparła Emilia niechętnie.

Chciała mieć jeszcze trochę czasu do namysłu. Leon Gawroński miał swój bagaż doświadczeń. Strzałkowska nie była pewna, czy chce wchodzić w taki związek. O ile w ogóle można było mówić o jakimkolwiek związku. Spędzili przecież razem tylko jeden wieczór, a atmosfera była przez większą część czasu napięta. Z drugiej strony policjantka musiała docenić szczerotę prokuratora. Co by było, gdyby zdążyła się zaangażować, a on wyznałby jej prawdę dopiero potem? Byłoby jeszcze trudniej.

– Ale jesteś rozmowna – zażartował Zaręba.

Emilia wzruszyła ramionami i sięgnęła po kolejne zdjęcie.

– Nie przespałam się z nim, bo pewnie o to ci chodzi – powiedziała, żeby zamknąć koledze usta.

– Ej, Emilia – zaśmiał się Marek Zaręba. – Przecież nie to miałem na myśli.

Nagle Strzałkowska coś zauważyła. Wróciła natychmiast do poprzedniego zdjęcia i rozejrzała się po salonie.

– Czekaj – rzuciła policjantka.

– Co?

Sierzant sztabowa Emilia Strzałkowska rozglądała się po salonie. Może to zostało przestawione? Jeszcze raz uważnie spojrzała na zdjęcie. Wiedziała już, co zabrał z domu Małgorzaty Głuszyńskiej tajemniczy nocny gość.

Nikola Szczepańska zrzuciła talerz na ziemię. Rozbił się w drobny mak. Zupa rozprysnęła się po podłodze w kuchni.

– Przepraszam – powiedziała z krzywym uśmiechem na twarzy.

Wiedziała, że oni wiedzą, że zrobiła to specjalnie.

– Nic się nie stało, Nikolka. Wypadki chodzą po ludziach – powiedział Franciszek Trojanowski ugodowo. – Najważniejsze, że w końcu udało nam się wspólnie zjeść obiad. Nie chciałabyś rozegrać małej partyjki, jak skończymy jeść? Zanim wyjdę do klubu?

– Wal się – rzuciła Nikola ostro.

– Nikolka – upomniała córkę Nadia Trojanowska. – Nie będziesz używała takiego słownictwa w mojej obecności. Należy mi się chyba trochę szacunku. Jestem twoją matką.

– Nie mówiłam do ciebie – odparowała Nikola.

– Wszystko jedno.

Nikola zerknęła na matkę, ale nie zobaczyła w jej twarzy wyrzutu. Raczej nić porozumienia. Obie miały chyba dość tego nieszczęsnego Franciszka. Jego przeproszające spojrzenie aż prosiło się o siarczysty policzek.

– Posprzątaj tę supę – rozkazał Franciszek Trojanowski niespodziewanie twardo.

– A co mi zrobisz? – zadrwiła Nikola. – Będziesz pieprzył moją matkę? Już to zrobiłeś, tatusiu!

– Nikolka – upomniała córkę Nadia Trojanowska.

Dziewczyna znowu nie zobaczyła w twarzy matki nagany. To dodało jej siły.

– Sam sobie posprzątaj – warknęła. – Ja wychodzę spotkać się z tatą. On przynajmniej jest normalny.

– Dzisiaj nie jest jego dzień – zaoponował Trojanowski. – Zostajesz w domu.

– Franciszku, daj spokój – mruknęła Nadia Trojanowska. – Ty i tak będziesz dziś do późna pracował w klubie. Niech Nikolka idzie do Stanisława.

Nikola Szczepańska nie zamierzała słuchać ich rozmowy. Wyszła z kuchni, nie oglądając się za siebie.

ROZDZIAŁ 28

Brodnica. Niedziela,
21 czerwca 1964 roku

Gabriela Gałązka spojrzała na chłopców, którzy siedzieli przed nią przy stole. Od jakiegoś czasu prowadziła dla nich lekcje szachów. To przynosiło jej niemal tak wielką satysfakcję jak gra w międzynarodowych turniejach. Miała przecież w ten sposób możliwość kształcić nowe pokolenie polskich graczy. Z ich talentem ci dwaj malcy, Franio Trojanowski i Bolek Szumiński, niewątpliwie mieli szansę zostać kiedyś wielkimi szachistami.

Lekcje z tymi chłopcami miały jeszcze jedną wymierną korzyść. Dzięki nim syn Gabrieli miał teraz towarzystwo dzieci, które były zainteresowane grą w szachy. To było niewątpliwie dobre dla jego rozwoju jako zawodnika.

Gabriela bardzo pragnęła, żeby syn w przyszłości został znaczącym graczem. Widziała już jednak, że jego zainteresowanie szachami jest raczej umiarkowane. Nie chciała naciskać na syna. To mogło zniszczyć całą jego przyjemność płynącą z gry. Tego na pewno nie chciała.

– Pani Gabrielo, opowie nam pani jeszcze raz – poprosił Bolek Szumiński.

– Tak, niech pani opowie jeszcze raz – dołączył się Franio Trojanowski.

Gabriela spojrzała na syna. Tylko on nie poprosił, żeby powtórzyła swoją opowieść o „nieśmiertelnej partii”. Synek był już wyraźnie zmęczony rozważaniami dotyczącymi strategii i ruchów, które wykonał sto trzynaście lat temu Adolf Anderssen podczas pierwszego międzynarodowego turnieju szachowego.

Szachistka westchnęła znowu. Nie zmusi przecież syna do

zainteresowania się grą. Pora była zaproponować dzieciom coś innego.

– Idźcie się pobawić w ogrodzie, chłopcy. Będziemy analizować tę partię jeszcze nie raz – obiecała z uśmiechem Gabriela. – Korzystajcie z lata.

Dzieci wybiegły do ogrodu. Pogoda była tego dnia wyjątkowo piękna. Cudowna wręcz. Słońce świeciło na błękitnym niebie. Nie było ani jednej chmurki. Gabriela często zastanawiała się, jaka pogoda była w Londynie, kiedy mistrz Anderssen rozegrał swoją słynną partię. Czy też było gorąco? Czy ocierał pot z czoła chusteczką z monogramem?

– Kochanie, czy wszystko w porządku?

Gabriela odwróciła się do męża.

– Martwię się, że nasz syn może...

– Że nie jest tak dobry w szachy jak pozostali chłopcy? – dokończył mąż. – Nie dla wszystkich szachy to całe życie, kochanie. Musisz to zrozumieć.

– Nie o to chodzi. Nie chcę, żeby myślał, że... – Gabriela poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

– Że co?

– Że go nie kocham... Że...

Gabriela wyjęła chusteczkę z kieszeni i przetarła twarz.

– Nie bądź głupia, kochanie. Oczywiście, że tak nie pomyśli. Nie znam nikogo, kto by był tak zapatrzony w matkę jak on. Nasz syn doskonale wie, że bardzo go kochasz.

Gabriela pokiwała głową. Chciała w to wierzyć. Spojrzała na męża. Chyba już pora porozmawiać z nim o kolejnej ważnej sprawie.

– Chciałam zacząć pracę nad książką o szachach... – powiedziała ostrożnie Gabriela Gałązka.

– Kochanie, Gałązeczko ty moja, już o tym rozmawialiśmy – uciał mąż. Mówił pozornie delikatnym tonem, ale w jego czułych słowach czaiła się groźba. – I tak dużo wyjeżdżasz. Nasz syn potrzebuje matki. Sama przed chwilą mówiłaś. Nie sądzę, żebyś miała czas dla niego, jeżeli jeszcze zajmiesz się pisaniem rozprawy.

Gabriela westchnęła. Czowała, że ma wiele do przekazania, jeżeli

chodzi o teorię i strategię gry w szachy. Bardzo chciała napisać tę książkę. Mąż zauważył chyba zawód malujący się na jej twarzy. Pochylił się w jej stronę.

– Chodź tu – poprosił.

Usiedli na błękitnej sofie w salonie. Mąż wziął Gabrielę za rękę.

– Może i masz rację, może powinnam jeszcze trochę poczekać

– powiedziała niechętnie.

Mąż uśmiechnął się pod nosem.

– Co? – zapytała Gabriela.

– Niech chłopcy trochę podrosną, potem będziesz zajmowała się pisaniem tej rozprawy – powiedział mąż. – A tymczasem mam niespodziankę.

Gabriela Gałązka znowu westchnęła. Mąż sięgnął do kieszeni i wyciągnął dwa bilety do kina.

– Świeżuteńkie! – zapewnił. – *Żona dla Australijczyka*. Wiem, że podobał ci się ostatni film Barei, dlatego kupiłem. Co powiesz?

Gabriela uśmiechnęła się smutno.

– Wychowasz naszego syna, potem zajmiesz się książką – powtórzył mąż. – Ale na razie będziemy oddawać się kinowej rozpuście w „Moskwie”. Skoro i tak musimy jechać do Warszawy.

Gabriela Gałązka przytuliła się do męża. Może i miał rację. Poczeka jeszcze kilka lat. Tymczasem zacnie już powoli zbierać materiały. To przecież nie zaszkodzi.

ROZDZIAŁ 29

Lipowo, Brodnica, Stare Świątki i Grudziądz.
Środa, 21 maja 2014. Po południu

Młodszy aspirant Daniel Podgórski wspiął się po schodach bloku przy ulicy Wyspiańskiego. Cyryl „Dybu” Dybiński mieszkał dwa piętra wyżej niż Waldemar Gąsiorowski. W bloku nie było windy, więc wspinaczka była nieunikniona.

Klementyna Kopp tym razem nie pędziła przed siebie jak szalona. Szła za Danielem i wyglądała na zamyśloną. Podgórski podejrzewał, że zna przyczynę. Liliana Brzezińska. Podgórski nie pochwalał podwójnej gry Klementyny. Z drugiej strony policjant nie miał żadnego pomysłu, co mógłby w tej niejasnej sytuacji zrobić. Postanowił więc, że przynajmniej na razie nie będzie się wtrącał.

Dotarli na odpowiednie piętro i zapukali do drzwi. Rozmawiali z eksgangsterem już w dniu odkrycia ciała Waldemara Gąsiorowskiego. Przesłuchiwali Dybu na takich samych zasadach jak pozostałych mieszkańców bloku. Efekty ich starań można było z łatwością przewidzieć jeszcze przed rozpoczęciem rozmowy. Dybu nic nie widział i nic nie słyszał.

Daniel szczerze wątpił, żeby dziś dowiedzieli się czegoś więcej. Tacy jak Dybu nie zdradzali policji niczego na żaden temat. Dla zasady. Ich światy były zupełnie różne. Biegły równolegle i nigdy się nie stykały. Z drugiej strony Cyryl Dybiński nie oponował przed ponownym spotkaniem, co już samo w sobie było dość dziwne. Podgórski podejrzewał, że były gangster ma w tym przesłuchaniu jakiś swój cel.

Daniel próbował przedyskutować swoje wątpliwości z Klementyną, ale komisarz Kopp zajęta była własnymi myślami i ignorowała wszelkie próby podjęcia tematu.

Wyglądało na to, że Podgórski zdany był tylko na siebie.

Cyryl Dybiński otworzył drzwi już po pierwszym dzwonku. Podczas poprzedniego przesłuchania był w domu sam. Tym razem towarzyszyła mu dość młoda kobieta o delikatnie skośnych oczach i długich prostych włosach w kolorze hebanu. Stała tuż za nim, ubrana w zwiewną sukienkę o orientalnym wzorze.

– To moja żona – wyjaśnił Dybu bez przywitania.

Dybiński był wysokim, tyczkowatym mężczyzną, który zupełnie nie wyglądał na byłego gangstera. Miał niewielkie okulary w kształcie półksiężyca i siwe włosy zaczesane elegancko na prawy bok.

– Huan Yue jest Chinką – kontynuował Dybiński. – Nie mówi po polsku.

Daniel uśmiechnął się do skośnookiej kobiety. Odwzajemniła uśmiech. Powiedziała coś do męża cicho i zniknęła w kuchni. Kiedy tylko zostali sami, wyraz twarzy Cyryla Dybińskiego zmienił się zupełnie.

– Myślałem, że wszystko już sobie wyjaśniliśmy – powiedział ostro. W jego słowach czaiła się groźba. – O co wam jeszcze chodzi? Już od dawna nie siedzę w tym biznesie. Próbuję żyć normalnie. Huan Yue nie wie nawet o mojej przeszłości. Przeszłości, powtarzam!

Podgórski mimowolnie poczuł pewien respekt przed Dybińskim.

– Powiedz, co wiesz, to zostawimy cię w spokoju z największą przyjemnością, co? – poradziła Klementyna Kopp w odpowiedzi.

Policjantka mówiła równie twardo jak były gangster. Wyglądało na to, że pokaz siły zademonstrowany przez Dybu nie zrobił na Klementynie najmniejszego wrażenia.

– Nie mam nic do powiedzenia – odparł Dybiński spokojnie.

– Większość z was tak mówi – stwierdziła komisarz Kopp. – Właściwie to są chyba słowa, które słyszę najczęściej. Nie mam nic do powiedzenia. Nie mam nic do powiedzenia. Zapytam jeszcze raz: Czy jest coś, co powinniśmy wiedzieć na temat twój i Waldemara Gąsiorowskiego, co? Powinieneś uważać,

żebyśmy nie zaczęli grzebać głębiej i sprawdzać, czy ta twoja emeryturka to prawda.

– A jeżeli nadal się tym zajmuję, to co? – zapytał gangster spokojnie. – Wtedy raczej się nie muszę was bać. Nie uważasz?

Pytanie zabrzmiało jak kolejna źle skrywana groźba, ale Klementyna nadal nie wyglądała na przestraszoną. Daniel osobiście wolał nie mieć tego typu na karku. Słyszał o Dybu to i owo. Jeżeli plotki były prawdziwe, to piękna Huan Yue także wcale nie była taka delikatna, na jaką wyglądała.

– Jak tylko przyszlście do mnie w niedzielę, żeby wypytywać o śmierć Waldemara, wiedziałem, że wcześniej czy później wrócicie i będziecie chcieli mnie w to wciągnąć – powiedział Cyryl Dybiński z westchnieniem. Znowu wydawał się dobrotliwy. – Postarałem się o bardzo dobre alibi. Powiem to szczerze. Nie podważycie go w żaden sposób, więc od razu możecie sobie darować. Nie jest mi potrzebne, bo go nie zabiłem, ale tacy jak ja nie ryzykują. Kilka osób potwierdzi, że było ze mną. W razie potrzeby nawet kilkadziesiąt. Możecie dać sobie spokój. Nie wrobiecie mnie.

– Co wiesz o Gąsiorowskim, co? – drążyła Klementyna, nie komentując słów byłego gangstera. – Wiesz, kto go zabił, co? Orientujesz się przecież w tym biznesie.

– Dlaczego miałbym wam w czymkolwiek pomagać? – Dybu roześmiał się nieprzyjemnie.

– Też mam swoje sposoby, żeby uprzykrzyć ci życie – szepnęła komisarz Kopp.

Jej słowa były ledwo słyszalne, ale Dybiński wyglądał na przekonanego. Westchnął znowu. Tych dwoje najwyraźniej znało się lepiej, niż Podgórski początkowo sądził. Postanowił nie mieszać się w tę rozmowę.

– Dlaczego musimy sobie to utrudniać, co? – zapytała znowu Klementyna. – Powiesz, co wiesz, i damy ci spokój. Umowa stoi, co?

– Waldemar Gąsiorowski to była mała plotka już dawno temu, a teraz tym bardziej. Był na emeryturze i niewiele mógł – stwierdził Cyryl Dybiński zamiast odpowiedzi. – Co innego, gdyby dostał tamten awans w dawnych czasach, ale... No nic.

Nie dostał. Mieszkaliśmy w jednym bloku i tyle. Nic więcej nie wiem.

– Awans. Powiedz nam o tym – podchwyciła Klementyna. – O co chodziło w tej sprawie z awansem, co?

Cyryl Dybiński wzruszył ramionami.

– Nie wiem dokładnie. Słyszałem tylko o tym. Nieźle się uśmiełem, powiem szczerze – odparł gangster. – Podobno Gąsior lizał dupę jednej takiej prokuratorce. Zresztą tej, którą ostatnio ktoś stuknął. Jak ona się nazywała?

– Małgorzata Głuszyńska – podpowiedział Daniel, mimo że obiecał sobie, że nie odezwie się już w tej rozmowie ani razu.

Dybu skinął głową.

– Tak. Małgorzata Głuszyńska. Racja. Głuszyńska wykiwała Waldemara. Jak przyszło co do czego, to na intratny stółek wpakowała kogoś innego. Kogoś, kto jej bardziej pasował. Rozumiem. Biznes to biznes, ale pośmiać się można.

– Czekał. Stop. To wszystko już wiemy. Szczegóły!

– To znaczy? Mówiłem przecież, że nie znam żadnych szczegółów. Życie gliniarzy mnie nie interesuje.

Klementyna Kopp zaśmiała się głośno.

– Oboje wiemy, że to ściema – stwierdziła policjantka, teatralnie ocierając łzy, które rzekomo napłynęły jej do oczu z rozradowania. – Wiesz chociaż, kim była ta osoba, która dostała awans zamiast Gąsiorowskiego, co? Po co ja w ogóle pytam, co? Wiem, że wiesz.

Cyryl Dybiński uśmiechnął się pod nosem.

– Dobra, stara Klementyna. Powinniśmy chyba częściej się spotykać? – powiedział powoli były gangster. Daniel znowu miał wrażenie, że w głosie Dybińskiego czai się zawołowana groźba. – Nie pamiętam, jak się nazywała ta kobieta. Miała jakieś takie zabawne nazwisko. Wiem, że przedtem pracowała w więzieniu w Starych Świątkach. Na damskim.

Daniel Podgórski i Klementyna Kopp wymienili spojrzenia.

– Michalina Niewiadomska? – zapytała policjantka powoli.

Dybu pokiwał głową.

– A tak. Niewiadomska, rzeczywiście. To ona dostała stółek zamiast Gąsiorowskiego. Pogadajcie sobie z nią. Nie znam

szczegółów. Tylko takie ploty krążyły po mieście. Raczej taka anegdotka. Komiczna, bo komiczna, ale anegdotka.

Michalina Niewiadomska usiadła przed swoim domkiem na terenie ogródków działkowych w Starych Świątkach. Jej działka nareszcie wyglądała idealnie. Michalina bardzo się postarała, żeby tak było. To pomagało zapomnieć o chorobie i... o innych sprawach.

Niewiadomska nie mogła sobie darować rozmowy z tym dziennikarzem. Miłosz Janiszewski tak ją zagadał, że chyba w końcu powiedziała mu trochę zbyt wiele. Próbowwała teraz analizować rozmowę z dziennikarzem, ale nie pamiętała, jakich właściwie słów użyła. Nie była więc pewna, co Janiszewski może z tego wszystkiego wywnioskować. To potęgowało jeszcze strach.

– Może nie będzie tak źle – mruknęła do siebie Michalina Niewiadomska pocieszająco.

Przecież nie mogli jej w żaden sposób powiązać z tymi zabójstwami. W żaden sposób. Przynajmniej na śmierć Małgorzaty Głuszyńskiej Niewiadomska miała idealne alibi. Sanatorium. Z tym nie dało się dyskutować.

Katarzyna Piotrowska, którą mieli wypytać o przeszłość Małgorzaty Głuszyńskiej i Waldemara Gąsiorowskiego, mieszkała w otoczonym kwiatami domu przy ulicy Wiejskiej w Brodnicy. Całkiem niedaleko szpitala regionalnego.

Droga nie była trudna, ale komisarz Klementyna Kopp nie mogła się skupić na prowadzeniu samochodu. W głowie miała gonitwę myśli. Słowa Liliany walczyły o lepsze z tym, co powiedział im Dybu.

– Nie wydaje ci się to dosyć dziwne? – zagadnął Daniel Podgórski z siedzenia pasażera.

– Co? – spytała Klementyna machinalnie.

Myśli policjantki znowu poszybowały do ich dzisiejszej wizyty w Brod-Dysku. Stanisław Szczepański próbował im wmówić, że

dokładnie siódmego maja zgubił telefon. Billingi może i nie kłamały, ale to nie on dzwonił do Waldemara Gąsiorowskiego z tego numeru. Komisarz Kopp była pewna, że dyrektor Brod-Dysku kłamał. Ale! To mogli łatwo sprawdzić. Jeżeli rzeczywiście ukradziono mu telefon, Szczepański prawdopodobnie zgłosił to do swojego operatora. Jeżeli nie, cel jego telefonu do Waldemara nadal nie był jasny.

Nieważne. Dla Klementyny dużo istotniejsze było to, co powiedziała Liliana. Brzezińska ani nie potwierdziła kłamstwa swojego szefa, ani mu nie zaprzeczyła. Rzeczniczka prasowa Brod-Dysku powiedziała, że nie pamięta. Tyle.

Klementyna nie była pewna, co o tym myśleć. Czy Lilianie Brzezińskiej można było jednak zaufać? Przed oczami stanęła policjantce ich jedyna wspólna noc. Komisarz Kopp od dawna nie czuła się taka szczęśliwa jak wtedy. A może lepiej powiedzieć taka spokojna. Bliskość drugiej osoby była nieodzowną częścią życia. Mimo że od śmierci Teresy Klementyna wmawiała sobie, że jest inaczej.

– Mówię o tym, co zeznał Dybu – wyjaśnił Daniel, wrywając Klementynę z zamyślenia. – Chodzi mi o to, że Michalina Niewiadomska sama powiedziała nam o tym awansie, kiedy rozmawialiśmy z nią po raz pierwszy. Pamiętasz? Mam to zapisane tu w notesie. Niewiadomska powiedziała wtedy, że Waldemar Gąsiorowski liczył na awans, który miała mu załatwić Małgorzata Głuszyńska, a w końcu dostał go ktoś inny. Ku wściekłości Waldemara. Pamiętasz? Tak mówiła Niewiadomska.

Komisarz Kopp prychnęła z irytacją.

– Jasne, że pamiętam – mruknęła rozeźlona. – Może i mam sześćdziesiąt lat. Ale! Pamięć mi na razie nie szwankuje. Zapewniam.

– Przecież tylko zapytałem – bronił się Daniel. – Nie miałem nic złego na myśli.

Znali się coraz lepiej i Klementyna musiała przyznać, że lubi pracować z Podgórskim. Było jej znacznie wygodniej niż z Cybulskim, z którym współpracowała zazwyczaj. Może likwidacja posterunku w Lipowie to nie był jednak zły pomysł,

przyszło jej nagle do głowy. Może udałoby się wkrócić jakoś Daniela do policji kryminalnej. To mogłoby być bardzo wygodne, a wcale nie wydawało się niemożliwe. Prokurator Jacek Czarnecki już przedtem oferował, że to załatwi. Teraz był wprawdzie na emeryturze, ale Klementyna podejrzewała, że nadal miał doskonałe stosunki z komendantem.

– Nie uważasz, że to dziwne? – Daniel wrócił do swojego pierwszego pytania. – Michalina Niewiadomska opowiedziała nam tę historię o awansie. Wcale jej nie ukrywała, ale jednocześnie nie zdradziła, że to ona zabrała miejsce Waldemarowi Gąsiorowskiemu. Dlaczego w takim razie nie przemilczała tej sprawy całkowicie, skoro nie chciała ujawniać swojego w niej udziału? Po co w ogóle o niej wspominała?

– Niewiadomska mogła się spodziewać, że i tak do tego dojdziemy – zgadywała Klementyna, chociaż jej również wydawało się to dziwne. Łagodnie mówiąc. – Trzeba sobie będzie pogadać z tą Niewiadomską raz jeszcze. Na razie skupmy się na Katarzynie Piotrowskiej, co?

Klementyna wskazała tonący w pelargonjach dom, przed którym się zatrzymali.

– Co wiemy o tej Piotrowskiej? – zapytał Daniel. – Sprawdzalaś ją?

Komisarz Kopp pokiwała głową.

– Tak. Wczoraj, po tym, jak Liliana rzuciła mi to nazwisko, trochę poszperałam – wyjaśniła policjantka, wysiadając z samochodu. Daniel zamknął ostrożnie drzwi skody. – Katarzyna Piotrowska chyba rzeczywiście może nam się przydać. Też była kiedyś prokuratorką. Pracowały razem z Głuszyńską. Chyba nawet są równolatkami.

Zapukali do drzwi ukwieconego domu Katarzyny Piotrowskiej. Uchyliły się leciutko, zatrzymane łańcuchem zabezpieczającym przed włamaniem. W szparze zamajaczyła postać starszej kobiety. Jej długie, potargane czarne włosy straszyły dziesięciocentymetrowym odrostem siwizny. Gospodyni patrzyła na nich podejrzliwie.

Podgórski uśmiechnął się szeroko. Miał do tego talent. Mieszkanie z matką przez trzydzieści trzy lata życia chyba

wykształciło w nim szczególny zmysł, który pozwalał mu na natychmiastowe nawiązanie kontaktu ze starszymi od siebie kobietami. A może miała coś do tego jego tusza. Kto by się bał nieszkodliwego grubaska?

– Dzień dobry pani. Jesteśmy z policji – wyjaśnił Daniel, wskazując swój mundur. Nadal uśmiechał się zachęcająco. – Koleżanka rozmawiała z panią wcześniej przez telefon. Uzgodniłyście, że przyjdziemy dziś trochę porozmawiać.

Klementyna Kopp zdobyła się na uśmiech, który, miała nadzieję, był zachęcający. Rzadko tak się starała, ale żal jej się zrobiło tej kobiety. Piotrowska wyglądała dość nędznie.

– Wchodźcie – rzuciła Katarzyna Piotrowska.

Zwolniła łańcuch i otworzyła im drzwi. W środku unosił się duszący zapach amoniaku. Po korytarzu dumnie przechadzały się koty. Klementyna nie była pewna, ile ich tu właściwie jest. Naliczyła minimum dwadzieścia. Mimo że było ich tak dużo, zwierzaki wydawały się zadbane. Piotrowska musiała poświęcać im wiele czasu.

Jeden z kotów syknął w stronę policjantki, kiedy go mijała. Komisarz Kopp wzdrygnęła się zaskoczona.

– To moje dzieci – powiedziała z dumą Katarzyna Piotrowska.

– Ten tu to Łosiek. Nie lubi obcych. Niech pani mu wybaczy to zachowanie.

Klementyna wzruszyła ramionami. Znowu zrobiło jej się żal tej kobiety. O ile koty wyglądały na całkiem zadbane, o tyle ich właścicielka przedstawiała obraz nędzy i rozpacz. Piotrowska miała na sobie ubranie, które pewnie kiedyś było eleganckie. Może nawet emerytowana pani prokurator nosiła je pod togą. Teraz garsonka i spódnica wisiały na Piotrowskiej w strzępach. Sprawiało to przygnębiające wrażenie.

– Piękne koty – powiedział Daniel Podgórski miękko.

Policjant pochylił się i pogłaskał jednego ze zwierzków. Klementyna nie umiała się na to zdobyć. Mimo całej sympatii dla pogrążonej w zapomnieniu Piotrowskiej. Komisarz Kopp lubiła zwierzęta. Ale kotów z jakiegoś powodu się bała. Były takie... złowieszcze.

– Usiądźmy w salonie – zaproponowała tymczasem

gospodyni. – Przez telefon nie za bardzo zrozumiałam, o co chodzi. Słabo słyszę, kiedy rozmawiam telefonicznie. Niestety nie te lata. Może wyjaśnicie mi całą sprawę dokładniej.

Mimo odstrasżającego wyglądu głos Katarzyny Piotrowskiej brzmiał teraz całkiem rzeczowo. Jakby na nowo obudziła się w niej dawno zapomniana dusza prokuratora.

– Jak może pani wie, mieliśmy dwa przypadki zabójstw w ostatnim czasie – zaczął Daniel. – Zginęła Małgorzata Głuszyńska i Waldemar Gąsiorowski. Głuszyńska pracowała z panią w prokuraturze, prawda?

– Tak. Pracowałyśmy razem wiele lat.

Daniel skinął głową.

– Waldemar Gąsiorowski najpierw pracował w milicji, a po zmianie systemu został na kilka ostatnich lat policjantem. Jego też pani знаła, prawda?

Katarzyna Piotrowska poprawiła sfilcowane włosy.

– Tak, tak. Widzicie, ja dopiero od was się dowiedziałam, że oni nie żyją. W ogóle nie czytuję gazet ani nie oglądam telewizji – przyznała emerytowana pani prokurator. – Przez całe dni zajmuję się kotkami.

Na chwilę zapadła cisza. Jeden z kotów zamiauczał głośno. Był czarny i niepozorny. Siedział skulony na najwyższej półce odrapanego regału. Kocur, który zaatakował Klementynę na początku wizyty, wdrapał się szybko na meblościankę i podszedł do czarnego krewniaka. Wyglądało na to, że jego intencje nie są najlepsze.

– Łosiek! Zostaw go! – upomniała niegrzecznego podopiecznego Katarzyna Piotrowska. – Ten czarny jest nowy. Musi się jeszcze dotrzeć ze stadem.

Klementyna i Daniel wymienili spojrzenia.

– Wiem, co o mnie myślicie. Myślicie, że nie widzę waszych spojrzeń? – stwierdziła smutno gospodyni. – Zwariowana starucha, która ma stado kotów. Cóż, coś w tym jest. Ludzie mi je podrzucają, a ja nie mam serca oddać ich do schroniska. Staram się zapewnić im dobry dom i utrzymać chociaż pozory normalności. Tylko że to nie jest łatwe. Rzadko kiedy rozmawiam z ludźmi. Zwykle czas spędzam z kotami albo

z moimi pelargoniami na balkonie. Dlatego bardzo się cieszę, że nareszcie mam gości. Chętnie wam pomogę, jeżeli tylko będę umiała.

Klementyna Kopp pokiwała głową. Doskonale wiedziała, jak to jest być inną. Niemile-widzianą. Zawsze.

– Możesz nam coś powiedzieć o relacjach pomiędzy Głuszyńską a Gąsiorowskim, co? – zapytała policjantka. – Jak to wyglądało?

Katarzyna Piotrowska usiadła wygodniej na poprutej kanapie. Agresywny Łosiek zeskoczył z regału i włożył jej na kolana. Gospodyni zaczęła głaskać niesfornego kocura po grzbiecie. Wyglądał na zadowolonego. Przymknął oczy i mruczał głośno.

– Przez długi czas ich relacje były nawet bardziej niż poprawne – zaczęła Katarzyna Piotrowska. – Waldemar Gąsiorowski często współpracował z Małgorzatą przy sprawach i przesłuchaniach. Tak było aż do momentu, kiedy Małgorzata obiecała Waldemarowi awans, a potem załatwiła go komuś innemu. To było jakoś w dziewięćdziesiątym trzecim albo czwartym, o ile dobrze pamiętam. Niedługo przed moją emeryturą.

Klementyna Kopp ziewnęła. Tyle to już wiedzieli.

– Jak Waldemar Gąsiorowski na to zareagował? – zapytał Daniel.

– A jak pan by zareagował? – odpowiedziała pytaniem Katarzyna Piotrowska. – Powiedzieć, że Gąsiorowski był wściekły, to za mało. Bardzo liczył na ten awans. Zależało mu na tym, żeby być jak najwyżej w hierarchii. To się dla niego najbardziej liczyło. Chyba bardziej niż pieniądze. Zwłaszcza że tak długo starał się Małgorzacie przypodobać. Moim zdaniem Gąsiorowski ją znienawidził. Możliwe, że nigdy Małgorzaty nie lubił. Tylko myślał, że dobre z nią stosunki załatwią mu dojścia. Ta sprawa z awansem go... Nienawidził jej z pewnością.

– Czekaj. Stop. Tak bardzo, że Waldemar mógłby chcieć zabić Głuszyńską, co?

Piotrowska pokiwała głową.

– Na pewno – zgodziła się. – Ale przecież mówicie, że Gąsiorowski też nie żyje? Myślicie, że ją zabił, a potem popełnił

samobójstwo?

Klementyna postanowiła, że nie będzie oszukiwać tej kobiety. Nie było już zresztą sensu. Miłosz Janiszewski i tak opisał to wszystko w tym swoim brukowcu.

– Nie. Oboje zostali otruci fosgenem – wyjaśniła komisarz Kopp, nie wdając się w dalsze rozmowy. – Samobójstwo nie wchodzi w grę. Przy ciele nie było fosgenu.

– Interesujące – mruknęła emerytowana pani prokurator pod nosem.

– Dlaczego? – podchwycił Daniel Podgórski.

– Tak mi się powiedziało – odparła Katarzyna Piotrowska wymijająco. – Gadanie starszej baby.

Podgórski chciał coś powiedzieć, ale Klementyna spojrzała na niego wymownie. Trzeba było dać Piotrowskiej czas do namysłu. Może powie im więcej. Czekali. Niepozorny czarny kot poruszył się niespokojnie wysoko na regale. Bał się chyba zejść na dół. Agresywny Łosiek łypnął w tamtą stronę krzywo.

– Swego czasu była kwestia fosgenu – powiedziała w końcu Katarzyna Piotrowska.

– To znaczy?

– No, doszły mnie takie słuchy. Ja już byłam na emeryturze – zaznaczyła gospodyni. – Zresztą Małgorzata Głuszyńska też. Byłyśmy na takim spotkaniu dawnych i obecnych pracowników prokuratury. Są organizowane co roku, ale ja od dawna już na nie nie jeżdżę. Nieważne. W każdym razie na jednym z takich spotkań ktoś wspomniał o tym, że jest taki zakład chemiczny, gdzie można kupić różne rzeczy.

– Różne rzeczy, co?

Piotrowska pokiwała głową.

– Wydaje mi się, że wymieniono wtedy fosgen – wyjaśniła kobieta. – Ta nazwa mi się kojarzyła, bo mój świętej pamięci małżonek interesował się historią. Zwłaszcza okresem pierwszej wojny światowej i często mówił o broni chemicznej. Dlatego zapamiętałam, że tam w tym zakładzie można nielegalnie kupić fosgen.

Klementyna Kopp poczuła, że serce zaczyna jej szybciej bić. Do tej pory nie udało im się ustalić, skąd mógł pochodzić

fosgen, którego użyto do ataku na Głuszyńską i Gąsiorowskiego. Może wreszcie zrobią krok do przodu. Trzeba było tylko trochę zawęzić pole poszukiwań.

– Pamiętasz, o jaki zakład chemiczny chodziło, co? – zapytała policjantka ostrożnie.

Katarzyna Piotrowska pokręciła głową.

– Niestety nie – odparła. Wyglądała na zawiedzioną. – Ta rozmowa miała miejsce z piętnaście lat temu. Nie pamiętam nawet, przy okazji jakiej sprawy to wypłynęło ani kto w ogóle mi o tym mówił. To mogło być gdziekolwiek w Polsce. Przykro mi.

– Jakby pani sobie przypomniała, proszę do nas jak najszybciej zadzwonić – poprosił Daniel, wręczając kobiecie wizytówkę.

– Oczywiście.

Łosiek zeskoczył z kolan gospodyni i znowu wdrapał się na regał, by zastraszać czarnego niepozornego kota.

– Łosiek! – upomniała go ponownie Piotrowska.

– Okej. No dobra. Wróćmy jeszcze do tej kwestii awansu – powiedziała Klementyna Kopp. Z trudem oderwała wzrok od sytuacji rozgrywającej się na górnej półce regału. – Wspomniałaś, że awans dostał ktoś inny, a nie Gąsiorowski. Kto to był ten ktoś inny, co?

Jeżeli Dybu ich nie oszukał, znali już odpowiedź na to pytanie. Nie zaszkodziło jednak sprawdzić.

– Ta kobieta nazywała się chyba Niewiadomska. Imienia nie pamiętam – stwierdziła emerytowana pani prokurator, potwierdzając zeznania gangstera. – Wiem, że to była jakaś strażniczka więzienna. Czy coś takiego. Możliwe, że pracowała w Zakładzie Karnym w Starych Świątkach, zanim dostała awans.

– Niewiadomska i Głuszyńska dobrze się znały? – zapytał Daniel. – Dlaczego to Niewiadomska ostatecznie dostała awans zamiast Gąsiorowskiego?

– Powiem tak. Ja nie znałam tej Niewiadomskiej zbyt dobrze. Widziałam ją kilka razy, jak jeździłam na przesłuchania do Starych Świątek – wyjaśniła Katarzyna Piotrowska. – Kiedy

Małgorzata załatwiła jej awans i Niewiadomska przeniosła się do nas, to odniosłam wrażenie, że one dwie znały się dość dobrze. Chyba Małgorzata wspomniała nawet, że współpracowały trochę kilka lat wcześniej. Czy coś takiego. Potem straciły kontakt, aż do momentu tego awansu. Chyba tak to było, o ile mnie pamięć nie myli.

– Czekał. Stop! A Waldemar Gąsiorowski cały czas kręcił się przy Głuszyńskiej, co? – wtrąciła się Klementyna Kopp. – Dlaczego Głuszyńska załatwiła ten awans babie, z którą nie widziała się kilka lat, a nie swojemu lizusowi, co?

Katarzyna Piotrowska wzruszyła chudymi ramionami.

– Mnie też to wydało się dość dziwne, ale nie wnikałam. Miałam swoje sprawy.

– Jak się potem potoczyły relacje Głuszyńskiej i Niewiadomskiej?

– Po tym awansie?

– Tak.

– Szczerze mówiąc, nie wiem – przyznała Katarzyna Piotrowska. – Ja już przygotowywałam się do odejścia na emeryturę. Wydaje mi się, że nic szczególnego się między nimi nie działo. Nie spędzały razem czasu, ale też się nie unikały. Podejrzewacie tę Michalinę Niewiadomską?

Teraz to Klementyna wzruszyła ramionami. Rozmawiali co prawda z emerytowaną prokuratorką. Ale aż tyle komisarz Kopp nie zamierzała zdradzać. Kwestia Niewiadomskiej była ciągle otwarta.

– To chyba wszystko na dzisiaj. Gdyby przypomniała sobie pani, jak się nazywa ten zakład chemiczny, gdzie można zdobyć nielegalnie fosgen, to proszę o telefon – przypomniał Daniel. – Będziemy zobowiązani.

Koty na regale zaczęły walczyć. Pokój wypełniły przeciągłe wrzaski.

– Nie chce pan adoptować kota? – zaproponowała Katarzyna Piotrowska, zachowując całkowity spokój. – Ten czarny chyba niezbyt tu pasuje. Łosiek go nie akceptuje.

– Niestety, ja i moja...

Klementyna nie wiedziała, co ją właściwie do tego skłoniło,

ale nagle jej usta same ułożyły się w słowa. Wyraźne i wcale nie bełkotliwe.

– Ja chętnie adoptuję tego czarnego – oznajmiła.

Daniel Podgórski i Katarzyna Piotrowska spojrzeli na nią zaskoczeni.

– Często nie ma mnie w domu. Ale! Kotu to chyba nie przeszkadza, co? – upewniła się komisarz Klementyna Kopp.

Nadia Trojanowska siedziała w kuchni w domu teściów na Wyspie Skarbów. Właściwie byłych teściów. Rozmawiała ze swoją eksteściową przy kubku mocnej herbaty. Nadia zawsze lubiła Hannę Szczepańską i nawet po rozwodzie ze Stanisławem odwiedzała ją od czasu do czasu. Trojanowska przyjeżdżałaby na Wyspę Skarbów nawet częściej, gdyby nie to, że w hodowli ptaków mogła też spotkać Tadeusza.

Nadia nie lubiła spotykać się z byłym teściem. Nie chodziło o to, że Tadeusz był złym człowiekiem. Raczej o to, że ich relacje zawsze były zadziwiająco wręcz dobre. Lepsze nawet niż z Hanną. Do momentu, kiedy małżeństwo Nadii i Stanisława dobiegło końca. Teraz było zupełnie inaczej. Tadeusz stanął murem za swoim synem i to Nadię winił za rozwód. Nie przyjmował do wiadomości, że to jego syn był wszystkim winien. Nadia westchnęła. Woląла o tym za wiele nie myśleć.

– No to mów, co u ciebie? – zapytała Hanna, popijając herbatę.

Zza okna dobiegał śpiew jednego z ptaków. Nadia nie była pewna którego.

– W porządku – odparła Trojanowska. Miała nadzieję, że teściowa nie będzie drążyła tego tematu.

– Nie kłam – poprosiła Hanna Szczepańska. – Ze mną możesz być przecież całkiem szczerą. Tadeusz wyszedł czyścić basen Bohuna. To mu trochę zajmie. Jest po drugiej stronie wyspy. Możemy normalnie, otwarcie porozmawiać. Powiedz mi, jak naprawdę jest?

Nadia Trojanowska westchnęła ciężko. Poddała się.

– Nikolka nienawidzi Franciszka – wyznała. – To jest nasz główny problem.

Hanna Szczepańska przyglądała się Nadii przez chwilę. Trojanowska spuściła wzrok zawstydzona. Czuła się, jakby wszystkie karty zostały odkryte.

– Chyba głównym problemem jest to, że ty także go nie lubisz – powiedziała w końcu Hanna. – Prawda?

Trojanowska pokiwała głową. Była teściowa zawsze potrafiła wyczytać z twarzy Nadii jej prawdziwe uczucia. To się nie zmieniło.

– To prawda – przyznała nieco opornie Trojanowska. – Okropnie się z tym czuję. Franciszek jest przecież moim mężem... Nie lubię własnego męża. Nie wspomnę już nawet o miłości... Nie chodzi o to, że go nienawidzę. Jest mi zwyczajnie obojętny. To jest właśnie najgorsze. Obojętność.

Przez moment nic nie mówiły.

– Ciągłe kochasz naszego Stanisława? – zapytała Hanna Szczepańska, przerywając milczenie.

Nadia Trojanowska przez chwilę nie potrafiła dobrać odpowiednich słów. Jej była teściowa pytała, czy Nadia kocha nadal swojego byłego męża. Każdy chyba poczułby się w tym momencie zagubiony.

– Tak – przyznała w końcu.

Szczera odpowiedź była chyba najlepsza. Hannie mogła przecież ufać.

– Gdyby tylko ten idiota, mój syn, cię nie zdradził, złotko – powiedziała Hanna Szczepańska z westchnieniem. – Wszystko byłoby inaczej. Nie chcę nawet pytać, czy nie dałabyś mu jeszcze jednej szansy. To już sprawa między wami.

– Co u niego? – odważyła się spytać Nadia.

– Brod-Dysk rusza lada chwila – wyjaśniła teściowa z uśmiechem. – Teraz, jak ruszy produkcja, pieniędzy by wam nie zabrakło. Nikolka byłaby szczęśliwa, że jesteście znowu razem. Przemysł to, złotko.

– Co zrobić z Franciszkiem? – sprzeciwiła się Nadia Trojanowska. – To nie jest takie proste, Haniu!

– Ależ to jest bardzo proste. Sama przecież wiesz.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska była podekscytowana. Zapomniała nawet na moment o swoich rozważaniach na temat prokuratora Leona Gawrońskiego i jego tajemnicy. Śledztwo pochłonęło ją teraz bez reszty. To właśnie lubiła w swojej pracy.

– Niesamowite, że zauważyłaś brak tego zegara – powiedział Marek Zaręba z uznaniem. – Nareszcie wiemy, co zostało ukradzione!

– E tam – odparła Emilia skromnie, mimo że tak naprawdę słowa Zaręby mile połechtaly jej próżność. – To samo rzucało się w oczy.

Salon Małgorzaty Głuszyńskiej urządzone był w prostym stylu. Dominowały czernie, biele i szarości. Jedyne, co nie pasowało do tego ascetycznego wystroju, to kolorowy porcelanowy zegar. Na zdjęciach z pierwszego dnia oględzin domu zabitej kwiaciarki pastelowy zegar stał dumnie na komodzie. Teraz go tam nie było.

Emilia i Marek przeszukali resztę domu. Być może któryś z techników przestawił przedmiot podczas zbierania materiału dowodowego. Zegara jednak nigdzie nie było. Najwyraźniej to on był celem włamania. Pozostawało pytanie: dlaczego? Co takiego było w tym zegarze? I kto mógł go ukraść?

Ani Strzałkowska, ani Zaręba nie znali się na czasomierzach. Zaginiony zegar wydawał im się brzydki. Tylko tyle mogli o nim powiedzieć. To było zdecydowanie za mało. „Z domu Małgorzaty Głuszyńskiej zginął brzydki zegar”. Emilia nie chciała referować jutro tej sprawy w ten sposób. Zwłaszcza przed Klementyną Kopp i prokuratorem Gawrońskim. Klementyna na pewno wyśmiałaby Emilię bez żadnych skrępułów.

Biorąc to wszystko pod uwagę, podjęli z Markiem Zarębą szybką decyzję. Postanowili nie informować nikogo o odkryciu, tylko samemu sprawdzić, co to może znaczyć. Wyniki swoich poszukiwań zaprezentują na jutrzejszej odprawie.

Specjalistę od zegarów udało im się znaleźć w Grudziądzu. Pojechali tam samochodem Marka Zaręby od razu z kolonii Żabie Doły. Młody policjant prowadził pewnie, ale jechał

o wiele za szybko i Emilia kilka razy zwróciła mu na to uwagę. Nie lubiła się wlec, ale życie było jej jeszcze miłe. Z miejsca opanowały ją też wyrzuty sumienia. Strzałkowska wolała nie myśleć, że pozwoliła Łukaszowi na sobotnie przejażdżki z Danielem i Markiem. Z taką prędkością?

Marek zaparkował swoją hondę prelude przed sklepem z zegarami. Przy chodniku stał znak B-35 zakazujący postoju. Emilia i Marek postanowili go zignorować, ponieważ nigdzie indziej nie mogli znaleźć miejsca.

– Straszny tłok – mruknął Marek. – Mam nadzieję, że koledzy z Grudziądza w razie czego okażą się wyrozumiali. Nie mam ochoty się kłócić.

– Chodź. Szybko to załatwimy – przekonywała Emilia. – Nikt nawet nie zauważy. Zresztą to jest sprawa służbowa. Tak czy nie?

Weszli do pawilonu. Sklepek pełen był różnorodnych zegarów. Ich równomierne tykanie spowodowało, że Strzałkowskiej przez chwilę zakręciło się w głowie. Policjantka odetchnęła głęboko i rozejrzała się dookoła. Wszystkie zegary wskazywały idealnie tę samą godzinę. Sprawiało to dość upiorne wrażenie. Niezależnie od problemów z parkowaniem Emilia i tak miała ochotę jak najszybciej stąd wyjść.

Przy ladzie stał młody mężczyzna. Niemal chłopak. Policjantka oceniła go na maksymalnie dwadzieścia pięć lat. Zupełnie nie wyglądał na eksperta. W żadnej dziedzinie.

– Czy pan Wojciech Kucharski? – zapytał Marek Zaręba. Na twarzy młodego policjanta również malowało się źle skrywane powątpiewanie w kompetencje mężczyzny.

– Tak. To ja – potwierdził Kucharski niewzruszony. – To państwo do mnie dzwonili?

Zegary doszły do pełnej godziny. Część z nich zaczęła miarowo bić. Emilia Strzałkowska poczuła, że robi jej się gorąco.

– Może porozmawiamy gdzie indziej? – zaproponowała. Starła się mówić normalnie, ale pot zaczynał spływać jej po twarzy.

Marek spojrzał na koleżankę zaniepokojony.

– I tak już zamykam. Proponuję, żebyśmy przeszli do kawiarni – powiedział Wojciech Kucharski ku uldze policjantki. – Jest tuż za rogiem.

Specjalista od zegarów zamknął swój sklep i zaprowadził ich do niewielkiej restauracji. Tu było znacznie przyjemniej. Emilia zaczynała się powoli uspokajać. Usiedli przy stoliku obok okna. Mimo że był już wieczór, ciągle panował szary półmrok. Dni były coraz dłuższe. Kolejny znak, że lato zbliżało się wielkimi krokami.

– Przez telefon wspominali państwo, że mają zdjęcie zegara – zagadnął Kucharski. – Chętnie je obejrzę.

Emilia Strzałkowska wyciągnęła fotografię zegara z domu Małgorzaty Głuszyńskiej.

– Niesamowite cacko – powiedział Wojciech Kucharski natychmiast. Nie zajęło mu to więcej niż kilka sekund.

– To jest coś warte? – zapytał Marek z niedowierzaniem.

– Czy to jest coś warte? – oburzył się Wojciech Kucharski, naśladując ton Zaręby. – Pan chyba raczej żartować. Ostatnio sprzedawałem podobny. To był królewski zegar z porcelany miśnieńskiej. Jeżeli zegar ze zdjęcia to oryginał, to mówimy o kwocie rzędu dziewięćdziesięciu tysięcy złotych.

– Dziewięćdziesięciu tysięcy złotych?!

Kucharski pokiwał głową.

– Ja mój egzemplarz sprzedałem za osiemdziesiąt siedem tysięcy. Zszedłem z ceny po twardych negocjacjach. To nie są przelewki. To jest sztuka. Przez duże S – zapewnił ich zegarmistrz. – To jest sztuka nie tylko zegarmistrzowska. Porcelana z Miśni w ogóle jest niezwykle droga. To państwo pewnie wiedzą.

Emilia Strzałkowska zerknęła rozbawiona na Marka Zarębę. Młody policjant puścił do niej teatralnie oko. Wojciech Kucharski chyba jednak niczego nie zauważył.

– Oczywiście – zapewniła Emilia, powstrzymując uśmiech. W ogóle nie знаła się na tych sprawach. – Jest pan pewien, że ten zegar jest aż tyle wart?

– Rzecz jasna musiałbym zobaczyć go na żywo – orzekł Wojciech Kucharski. – Tak jak już mówiłem. Musiałbym

sprawdzić, czy to oryginał. Ze zdjęcia trudno wyczytać wszystko. Jeżeli to jest oryginał, to cena jest jak najbardziej taka.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska spojrzała zdumiona na Marka Zarębę. Czy zabójcy od początku chodziło o ten cenny zegar? Jeżeli tak, to dlaczego wrócił po niego dopiero dziesięć dni po śmierci kwiaciarki? Dlaczego nie wziął go od razu? Przecież zegar stał w centralnym miejscu salonu. Nie było mowy o tym, żeby sprawca go nie zauważył za pierwszym razem.

No i jeszcze jedna sprawa. Jeżeli od początku liczył się tylko ten zegar, dlaczego Waldemar Gąsiorowski musiał umrzeć? Czy z jego domu też zniknęło coś cennego? O co w tym wszystkim chodziło?

Franciszek Trojanowski odłożył słuchawkę. Był zadowolony, ponieważ rozmowa przebiegła dobrze. Odetchnął głęboko i sięgnął po segregator z dokumentacją. Klub szachowy o tej porze był pusty i Franciszek mógł spokojnie popracować nad papierami i księgowością. Nikt mu nie będzie przeszkadzać.

Szachista zaczął przeglądać najnowsze faktury. Nie mógł jednak skupić się na pracy. Wokół panowała cisza, to prawda. Przeszkadzać mogły mu tylko jego własne myśli. Te z kolei krążyły natrętnie wokół Stanisława Szczepańskiego.

Franciszek Trojanowski nie był głupi. Właściwie to wręcz przeciwnie. Od zawsze był bardzo inteligentny. W szachach nie było miejsca dla głupców, a on grał od najmłodszych lat. Trojanowski dobrze wiedział, że Nadia została jego żoną tylko na złość Szczepańskiemu. To był fakt. Co gorsza, Nadia nie liczyła się zupełnie z tym, że Franciszek zdążył ją pokochać.

– To się tak nie skończy – mruknął do siebie szachista.

Franciszek Trojanowski zamierzał walczyć o małżeństwo z Nadią wszelkimi sposobami. Nawet jeżeli łączyło się to z zagranem poniżej pasa. To nie miało teraz znaczenia. W takich sytuacjach honor gracza się nie liczył. Liczyła się wygrana.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski i Weronika Nowakowska leżeli na łóżku. Nadzy. Przed chwilą kochali się długo i namiętnie. Daniel był romantykiem i taki seks odpowiadał mu najbardziej. Miał nadzieję, że Weronice także. Policjant spojrzął na nią. Chyba nie narzekala. Podgórski czuł, jak stres minionego dnia powoli opuszcza jego ciało.

– Jak ci minął dzień? – spytała Weronika, jakby słyszała myśli Daniela. Przysunęła się do niego bliżej.

Podgórski zastanawiał się przez chwilę, co właściwie ma powiedzieć. W śledztwie pojawiło się sporo nowych faktów. Nie to jednak wydawało mu się najważniejsze. Zaśmiał się głośno.

– Co? – zapytała Weronika zaskoczona. – Z czego się tak śmiejesz?

– Klementyna adoptowała kota – wyjaśnił Daniel rozbawiony.

Weronika Nowakowska też się roześmiała. Przez chwilę śmiali się tak we dwojkę. Policjant czuł się wspaniale. Igor podniósł głowę wybudzony nagle ze snu. Stęknął głośno obrażony i zamknął z powrotem oczy.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski uznał, że życie jednak potrafi być piękne i nieskomplikowane. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, wróci jutro do jubilera przy rynku i kupi pierścionek dla Weroniki. Nie było co zwlekać z tym dłużej.

21 maja 2014

Do zainteresowanych:

To będzie ostatni raz.

Ostatni raz!

Uwieram się. Przygotowuję sobie wszystko.

Jestem dobrej myśli.

Dostanę się do środka bez problemu.

Wiem, że ON tam będzie. Taki ma zwyczaj. Na to liczę. To musi stać się dziś.

Czuję, że dam radę, ale i tak dłonie mam spocone, kiedy to piszę.

To będzie ostatnie zabójstwo.

Ostatnia śmierć, żeby zemście stało się zadość.

Honor i zemsta to dla mnie jedno.

Musi mi się udać.

To będzie ostatni raz.

Potem będę się zastanawiać, co dalej.

CZEŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ 30

Lipowo, kolonia Żabie Doły i Brodnica.
Czwartek, 22 maja 2014. Rano

Komisarz Klementyna Kopp zatrzymała swoją małą czarną skodę przed blokiem na ulicy Wincentego Witosa. Był wczesny ranek. Uzgodnili jednak z Danielem Podgórskim, że przesłuchają Huberta Przybylskiego jeszcze przed poranną odprawą. Nie zdążyli tego zrobić wczoraj. Klementyna czuła jednak, że nie powinni zaniedbywać tego tropu.

Komisarz Kopp zauważyła błękitne subaru Daniela zaparkowane po drugiej stronie na chodniku. Podgórski chyba też ją zauważył, bo wysiadł z samochodu. Poprawił pasek od spodni i ruszył w stronę Klementyny.

– Cześć – zawołał wesoło.

– Idziemy gadać z Hubertem... Przybylskim... i spadamy na odprawę – rzuciła Klementyna dość ostro, chociaż naprawdę ona też była w dobrym nastroju.

Dobry humor policjantki miał swoje powody. Przez dużą część wieczoru Klementyna obserwowała uważnie swojego nowego współlokatora. Nie myślała ani o Teresie, ani o Lilianie. Nie myślała o swoim wieku. Nie myślała nawet o pracy. To była nowość.

Komisarz Kopp z naukowym niemal zainteresowaniem patrzyła, jak czarny kot poznaje metodycznie każdy zakamarek jej małego mieszkanka. Teraz nie wydawało się już wcale takie

puste. Czarny kot wypełniał przestrzeń, mimo że był przecież taki drobny i niepozorny.

Niepozorny? Od kiedy wyrwał się spod wpływu diabolicznego Łośka i gromady innych kotów przygarniętych przez Katarzynę Piotrowską, wcale nie zdawał się już taki drobnutki. Spacerował po mieszkaniu Klementyny, dumnie się preżąc.

Niewiele myśląc, policjantka nazwała go Don José. Głównie dlatego, że uwielbiała *Carmen* Bizeta. To było dość idiotyczne imię dla kota, więc Klementyna szybko zaczęła nazywać go Józek. Józkowi chyba było wszystko jedno. Łaskawie akceptował oba imiona.

– Poradziłaś sobie z kotem? – zapytał Podgórski.

– Taa.

Klementyna i Daniel weszli do klatki schodowej bloku, w którym mieszkał Przybylski. Drzwi nie były zamknięte. Mieli nadzieję, że zastaną Huberta w domu. O tej porze chłopak chyba powinien tam być, uznała komisarz Kopp.

– O wilku mowa – mruknęła policjantka.

Hubert Przybylski schodził właśnie pospiesznie po schodach. Wyglądał na zaskoczonego wizytą pary policjantów.

– O – wykrztusił na ich widok. Umilkł szybko, ale jego usta zastygły w komicznie okrągłym dzióbku.

– Możemy chwileczkę porozmawiać, co? – zapytała Klementyna słodko.

– Spieszę się – odparł Hubert natychmiast. Na jego czole pojawiły się krople potu.

– To zajmie tylko moment – obiecał Daniel Podgórski.

– Możemy usiąść u mnie w samochodzie. Stoi bardzo niedaleko – zaproponowała Klementyna Kopp równie słodko jak przedtem. – Nie będziesz musiał nawet wracać na górę. Zobacz, jak bardzo idziemy ci na rękę, co?

Hubert Przybylski rozejrzał się, jakby oczekiwał, że nagle pojawi się pomoc.

– Dobrze, ale mam tylko chwilę – zastrzegł w końcu dresiarz. Otarł pot z czoła. Chciał chyba, żeby wypadło to naturalnie, ale Klementyna wiedziała swoje. Hubert się bał.

Poszli do małej czarnej skody Klementyny w zupełnym

milczeniu. Policjantka kazała Przybylskiemu usiąść obok siebie z przodu. Chciała widzieć jego twarz podczas przesłuchania. Daniel z pewnym trudem zajął miejsce za komisarz Kopp. Długie nogi policjanta ledwo mieściły się pomiędzy siedzeniami. Komisarz Kopp nie zamierzała jednak przesuwać swojego fotela. To zajmie w końcu tylko kilka minut.

– Jak tam twój mały biznesik, co? – zagadnęła Klementyna, zerkając w stronę Przybylskiego.

– Nie rozumiem – wydusił Hubert. – O czym pani mówi? Jaki biznesik?

– Nadal dilujesz trawką, co?

Przybylski pokręcił głową. Trochę się już uspokoił.

– Oczywiście, że nie – zapewnił. – To skończony temat. Już od dawna się tym nie zajmuję. Przysięgam.

– Doprawdy – stwierdziła komisarz Kopp spokojnie. – A co powiesz o swojej współpracy w tej kwestii z Małgorzatą Głuszyńską, co?

Blef. Ale Klementyna Kopp była prawie pewna, że Małgorzata Głuszyńska nie wpadła na pomysł założenia hodowli marihuany sama. Eksprokuratorka czy nie, Głuszyńska była w końcu tylko starszą pani. Starsze panie nie zakładają nagle w zmięchu swojego życia hodowli trawki. Klementyna Kopp niejedno widziała. Czegoś takiego jednak jeszcze nie.

Hubert Przybylski głośno przełknął ślinę. Jego wydatne jabłko Adama poruszyło się wyraźnie.

– W tej kwestii? – powtórzył słabym głosem. – Co pani ma na myśli?

– Hodowaliście razem ziolo, co? – zaatakowała Klementyna znowu. – Znaleźliśmy to wszystko zostawione na jej działce w Starych Świątkach. Nawet tam nie pojechałeś pochować tego po jej śmierci. Głupota, kochaneczku. Wcześniej czy później ktoś musiał to odkryć.

Hubert znowu pokręcił głową.

– Nie miałem z tym nic wspólnego. Przysięgam.

O dziwo zabrzmiało to całkiem wiarygodnie. Klementyna Kopp postanowiła nie mówić. Milczenie jest złotem. Minęło kilka minut w zupełnej ciszy. Słysząc było tylko coraz szybszy

oddech Huberta.

– Kiedyś w jakiejś rozmowie poddałem pani Małgoście ten pomysł, ale potem to ona sama już robiła – powiedział niemal płacząco Przybylski, przerywając milczenie. – Wygryzła mnie z rynku w tej części miasta. Naprawdę. Dlatego zupełnie rzuciłem dilerkę i teraz pracuję w hodowli ptaków. Już się tym nie zajmuję. Dajcie mi spokój, i tak mam zawiąsy.

– Pomożesz nam, to my może nie będziemy tacy surowi, co? – zaśmiała się Klementyna.

– Niby czemu macie w ogóle być surowi, skoro ja już nie diluję? – zapytał chłopak, ocierając pot z czoła. – Dajcie mi już spokój. Nawet nie paliłem ostatnio. Jestem zupełnie czysty. Nic na mnie nie macie. Możecie sobie przeszukać i mnie, i moje mieszkanie. Nie mam ani gieta zioła.

– Czyli według ciebie Głuszyńska sama sprzedawała, co? – zapytała komisarz Kopp zamiast odpowiedzi. Przybylski znowu otarł pot z czoła. – Ciepło, co?

– Dobrze. Miejmy to już za sobą. Pani Małgośka miała głowę na karku – zaczął dresiarz. – Nazywała gandzię „zielem na smutek”. Ziele na smutek to był dobry chwyt marketingowy. Pod tą nazwą sprzedawała marihuanę swoim klientkom.

– Dużo ich miała?

– Trochę.

– Jak to się odbywało?

– Pani Małgośka często robiła to w kwaciarni – wyjaśnił Hubert. – Przychodziła taka czy inna kobieta, niby żeby kwiatki kupić. A pani Małgośka spod lady dawała inne towary. Tyle wiem. Moja Oliwia nie brała w tym udziału, ale widziała swoje. Reszty się domyślała.

Na chwilę znowu zapadła cisza.

– Pani Trojanowska powinna coś o tym wiedzieć – dodał po chwili Hubert Przybylski. – Jej zapytajcie, jak to się odbywało.

– Nadia Trojanowska? – odezwał się z tylnego siedzenia Daniel.

Hubert energicznie pokiwał głową.

– Tak, właśnie ona – zapewnił gorąco. – Nadia Trojanowska kupowała od pani Małgośki na potęgę. Chciała pewnie się

rozluźnić po tym rozwodzie.

– Skąd wiesz, co?

– No wiem, bo pracuję przecież u pani Hanki i pana Tadeusza Szczepańskich w hodowli ptaków – przypomniał Przybylski. – Trojanowska tam często przyjeżdża z tą swoją rozwydrzoną córeczką Nikolą. No więc kojarzę ją dobrze. Oliwia mi mówiła, że często podjeżdżała do pani Małgośki do kwaciarni po towar. Więcej nie wiem. Ludzie...

Nagle zadzwoniła komórka Klementyny. Komisarz Kopp sięgnęła po telefon. Zerknęła na wyświetlacz. Dzwonił prokurator Leon Gawroński. Przez chwilę policjantka chciała zignorować połączenie. W końcu jednak z irytacją nacisnęła zieloną słuchaweczkę.

– Jestem z Danielem na przesłuchaniu – rzuciła, nie czekając, aż prokurator się odezwie. – Porozmawiamy później. Pa!

– Klementyna! Nie odkładaj słuchawki!

– Przecież nie odkładałam. O co chodzi, co?

– Przyjeżdżajcie natychmiast – oznajmił Leon Gawroński. – Mamy kolejne ciało. Jestem już na miejscu z Emilią Strzałkowską i Markiem Zarębą. Przyjeżdżajcie jak najszybciej.

Miłosz Janiszewski rozważał przez moment, czy nie pójść do redakcji „Prawdziwego Głosu” i nie przedstawić Ignacemu Sikorze swojego materiału już teraz. Dziennikarz uznał jednak, że najpierw musi zebrać więcej dowodów. W ten sposób będzie miał większą siłę przebicia.

A siły przebicia Miłosz bardzo potrzebował. Jego ostatni artykuł na temat Liliany okazał się fiaskiem. Janiszewski głupio się łudził, że jego pomysł z korespondencją e-mailową przejdzie. Niestety policja łatwo się we wszystkim połapała. W rezultacie redaktor naczelny był wściekły i znowu twierdził, że nie opublikuje niczego, co wyszło spod pióra Miłosza.

Tym razem potrzebne będą twardsze dowody i Janiszewski zamierzał takie zdobyć. Z twardymi dowodami się nie dyskutuje. Dziennikarz był już naprawdę blisko. Tych kilka słów, które rzuciła mu Michalina Niewiadomska pomiędzy

wierszami, wystarczyło, żeby złapać trop. Szedł do przodu, krok za krokiem, i miał nadzieję, że już wkrótce zakończy całą sprawę.

Potem upora się raz na zawsze z Lilianą.

– To przecież jest najważniejsze – mruknął Miłosz Janiszewski do siebie. Nie potrafił zapomnieć byłej żonie zdrady.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska stała pośrodku głównej sali klubu szachowego. Dzisiaj nie było tu skupionych na grze szachistów. Był tylko zdruzgotany Ireneusz Cieślak, prawa ręka właściciela klubu. To właśnie Ireneusz miał dziś rano otworzyć klub i spokojnie przygotować go do codziennych zmagañ. Zamiast tego, ku swojemu największemu przerażeniu, Cieślak znalazł ciało Franciszka Trojanowskiego.

Emilii nie dziwił szok, który przeżył Ireneusz Cieślak. Policjantka weszła przed chwilą do gabinetu Trojanowskiego. Czowała, że długo nie będzie mogła zapomnieć tego widoku. Franciszek siedział na swoim krześle. Głowa opadła mu na pierś bezwładnie. Przez to szachista wyglądał, jakby tylko spał. Złowieszczo spokojnie.

– Okna znowu są pootwierane – mruknął Marek Zaręba. – Pewnie sprawca także tym razem użył fosgenu i próbował wywietrzyć gabinet.

Strzałkowska tylko pokiwała głową. Śmierć Franciszka Trojanowskiego bardzo nią wstrząsnęła. Właściwie nie wiedziała dlaczego. Przecież nie był to pierwszy trup w jej policyjnej karierze. Może chodziło o to, że tak niedawno go przesłuchiwała? A może o jego charyzmę, kiedy mówił o szachach?

– Co pan może powiedzieć o... sytuacji? – zapytał patologa prokurator Leon Gawroński.

Doktor Zbigniew Koterski już od jakiegoś czasu pracował przy ciele Franciszka Trojanowskiego. Podniósł się teraz i z trzaskiem rozprostował palce.

– Znowu mamy wędrówkę plam opadowych – stwierdził

lekarz sądowy. – Szachista najpierw leżał. Być może upadł. Tak jak poprzednie ofiary. Potem został posadzony na tym krześle.

Do gabinetu wszedł Daniel Podgórski w towarzystwie Klementyny Kopp.

– Jest dziara, co? – rzuciła Klementyna na wstępie.

– Tak.

Na piersi szachisty rzeczywiście był tatuaż. Kiedy Emilia Strzałkowska zobaczyła go po raz pierwszy, od razu zrobiło jej się słabo. To było S:g7. Trzeci zbity pionek w „nieśmiertelnej partii”. Zupełnie tak, jak przewidział to Franciszek Trojanowski, kiedy policjantka rozmawiała z nim przez telefon. Szachista miał rację. Nie przypuszczał chyba tylko, że to na jego piersi zostaną zapisane te znaki. Było w tym coś strasznego. Gorszego nawet niż sam widok ciała zmarłego.

Emilia westchnęła. Nie mogła się powstrzymać.

– Trzymasz się? – zapytał cicho Marek Zaręba. On też nie wyglądał zbyt dziarsko, ale z całej siły starał się trzymać fason.

– Tak – skłamała policjantka, chociaż zapewne jej blada twarz mówiła sama za siebie. – Wszystko okej.

Na biurku Franciszka stała szachownica z rozpoczętą partią. Znowu gambit królewski, o ile Emilia mogła się zorientować. Po raz trzeci. Po co sprawcy taki podpis? Czy gambit królewski ma dla niego jakieś szczególne znaczenie? Czy wybrał to otwarcie szachowe zupełnie przez przypadek? Dlaczego zabił Franciszka Trojanowskiego?

Klementyna zerknęła w stronę Emilii. Strzałkowska przygotowała się na kolejny nieprzyjemny komentarz. Całe jej ciało się spięło. Nie ręczyła teraz za siebie.

– Wyjdźmy z gabinetu. Niech chłopaki tu w spokoju wszystko przejrzą, co? – zaproponowała Klementyna nieoczekiwanie. – My poczekajmy w głównej sali, co?

Emilia skinęła Klementynie głową. Komisarz Kopp odwróciła się bez słowa i wyszła.

– Pomóc ci? – zapytał cicho Marek.

– Wszystko w porządku – zapewniła raz jeszcze Strzałkowska, wychodząc z gabinetu.

Klementyna przysiadła na jednym ze stolików. Emilia nie była

pewna, czy powinna podejść do komisarz Kopp. W końcu zdecydowała się usiąść trochę dalej. Żadna z nich nie powiedziała ani słowa. Patrzyły w milczeniu, jak zespół z zakładu medycyny sądowej wynosi zabezpieczone już ciało Franciszka Trojanowskiego.

– Mam coś! – zawołał jeden z techników z gabinetu.

Komisarz Kopp poderwała się natychmiast z miejsca i poszła do biura. Emilia ruszyła za nią z pewnym ociąganiem. Weszła ostrożnie do gabinetu. Jej wzrok automatycznie podążył do fotela, na którym siedział przedtem Trojanowski. Teraz, kiedy nie było tu ciała, gabinet nie wydawał się już tak przygnębiający. Policjantka przekroczyła próg pomieszczenia z nową siłą.

– W szufladzie biurka jest koperta. Sprawca musiał ją przeoczyć! – powiedział technik, nie mogąc powstrzymać ekscytacji. – W środku jest czarne pióro!

Entuzjazm technika udzielił się chyba wszystkim. Podeszli najbliżej, jak się dało. Emilia stała za plecami Daniela, więc nie widziała zbyt dobrze. Czowała jednak, że niemoc zaczyna ją opuszczać.

– Co najważniejsze, na kopercie są znaczki i adres – mówił dalej przejęty technik.

Znaczki i adres? Emilia Strzałkowska uśmiechnęła się w duchu. Dotychczas policjanci nie wiedzieli, w jaki sposób sprawca dostarcza czarne pióra na miejsce zdarzenia. Nie rozmawiali o tym zbyt dużo, ale chyba wszyscy założyli, że morderca przynosi je ze sobą. Teraz okazało się, że wysyłał je pocztą. To mógł być przełom w śledztwie. Poczta oznaczała ślady.

– Gdzie to zostało nadane? – zapytał prokurator Leon Gawroński.

Technik ostrożnie odwrócił kopertę.

– Nadane u nas, w Brodnicy – ucieszył się. – Jest pieczęć z naszej poczty!

Przez wszystkie twarze przebiegł uśmiech. Nareszcie mieli jakiś punkt zaczepienia.

Barbara Krakowiak przeglądała gorączkowo internetowe wydanie „Prawdziwego Głosu”. Jakiś reporter pod pseudonimem Fredek opisywał tam kolejne zabójstwo z użyciem fosgeny. *Makabryczna śmierć w klubie szachowym. Kto zginie następny?* – brzmiał tytuł tekstu.

Pani Krakowiak podeszła do barku i nalała sobie sambuki. Pokruszyła biszkopt i dodała do likieru. Zniosła szklankę do kuchni i dołąła zimnej herbaty. Wypiła wszystko niemal jednym haustem.

– Tego już za wiele – powiedziała do siebie. Starła się oddychać głęboko.

Barbara Krakowiak czuła, że to wszystko zaczyna wymykać jej się spod kontroli. Była tylko policja nie zaczęła grzebać. Ale przecież oni od tego właśnie są, powiedział jakiś głos w jej głowie.

Zebrali się na spóźnionej odprawie w sali konferencyjnej w Komendzie Powiatowej Policji w Brodnicy. Młodszy aspirant Daniel Podgórski czuł, że rośnie w nim nadzieja na schwytanie mordercy. Koperta z czarnym piórem znaleziona w gabinecie Franciszka Trojanowskiego mogła ich nareszcie do niego doprowadzić.

– Jeżeli Franciszek Trojanowski miał rację, nie powinno być więcej morderstw – powiedziała cicho Emilia Strzałkowska. – W „nieśmiertelnej partii” zbito trzy czarne pionki. Popełnione zostały trzy zabójstwa. Miejmy nadzieję, że to koniec.

Policjantka wyglądała na wyjątkowo przejętą śmiercią szachisty. Twarz miała bladą, a ręce wyraźnie jej się trzęsły. Daniel obiecał sobie, że po odprawie zamieni ze Strzałkowską chociaż kilka słów. Może uda mu się jakoś podnieść ją na duchu.

Prokurator Leon Gawroński skinął głową w skupieniu. Dziś nie unikał patrzenia w stronę Emilii. Może wszystko już sobie wyjaśnili, a może sprawa śmierci Trojanowskiego słusznie okazała się ważniejsza niż problemy osobiste?

– Rzeczywiście Franciszek Trojanowski przewidział, że następny tatuaż to będzie S:g7, czyli skoczek zbija pionka z pola g7 – powiedział Gawroński. – Wygląda na to, że zabójca naprawdę odtwarza tę „nieśmiertelną partię”. Szachista najwyraźniej miał rację. Niestety Trojanowski sam został wciągnięty w tę chorą grę... a my nie powstrzymaliśmy w porę zabójcy. Takie są fakty i nie uciekniemy przed nimi.

Daniel poczuł wstyd, że jeszcze przed chwilą tak się cieszył. Klementyna odchrząknęła głośno, niezrażona przemową prokuratora.

– Zamiast wpadać w szumne tony, skupmy się może na kopercie, co? – powiedziała najspokojniej w świecie komisarz Kopp. – Wiemy już, że list z czarnym piórem został nadany z poczty na ulicy Pocztowej 5. Powinniśmy zacząć tam. Emilia, przeżywać i płakać możesz potem, co?

Strzałkowska rzuciła Klementynie mordercze spojrzenie, ale nic nie powiedziała. Komisarz Kopp wzruszyła tylko ramionami.

– Zgadzam się, że powinniśmy zacząć działać, i to na poważnie – oznajmił Leon Gawroński. – Juliuszu, chcę, żeby twoi ludzie z grupy ochotników przejrzeni kamery monitoringu z okolic poczty i przesłuchali urzędników. Trzeba się dowiedzieć jak najwięcej. Może uda się ustalić, kto nadał tę przesyłkę.

Monstrualnie umięśniony aspirant sztabowy Juliusz Szewczyk skinął głową. Po raz kolejny uczestniczył w odprawie, reprezentując grupę ochotników pomagających znaleźć sprawcę śmierci Waldemara Gąsiorowskiego.

– Zrobimy to oczywiście – zapewnił nieśmiało. – Mam też wyniki kolejnych porównań odcisków palców. Porównań z tymi odciskami NN na szachownicach. Nie wiem, czy teraz powinienem...?

– Proszę, mów – rzucił Leon Gawroński.

– Udało mi się sprawdzić i porównać odciski Miłosza Janiszewskiego.

– I? – rzuciła Klementyna Kopp.

W głosie policjantki pobrzmiwała nuta nadziei. Daniel był

tym zaskoczony. Przecież Klementyna sama twierdziła, że odciski NN na szachownicach są tylko chorą grą, którą prowadzi z nimi morderca, i nie mają większego znaczenia dla sprawy. Skąd ta nagła odmiana?

Juliusz Szewczyk pokręcił głową.

– Odciski dziennikarza nie pasują do tego nieznanego zestawu na szachownicach – poinformował przewodniczący grupy ochotników. – Nie sprawdziliśmy jeszcze nadal Oliwii Gąsiorowskiej i Huberta Przybylskiego. Przykro mi bardzo... chłopaki muszą też równolegle pracować przy innych sprawach i interwencjach... Tak że dość wolno nam to idzie.

Prokurator Leon Gawroński gwałtownie poczerwieniał. Daniel Podgórski uzmysłowił sobie, że chyba widzi go tak zdenerwowanego po raz pierwszy.

– Nie rozumiem, co się z wami dzieje! To jest nie do uwierzenia. Musimy wziąć się do tej sprawy na poważnie – zagrzmiał Gawroński. Gniew wykrzywił jego przystojną twarz.

– Trzeba sprawdzić jeszcze odciski Stanisława Szczepańskiego. Od tej chwili chcę też, żebyście pobierali odciski od każdej z przesłuchiwanych osób. Nie podoba mi się, że jeszcze nic nie mamy. Dosłownie nic. Zresztą nie tylko mnie to się nie podoba! Góra też jest niezadowolona. Już nie wspomnę o nagonce prasowej. Nic nie mamy, ludzie!

– Czekał. Stop. Trochę jednak mamy – nie zgodziła się Klementyna Kopp. – Ja i Daniel rozmawialiśmy z Katarzyną Piotrowską.

– Tą od przeszłości Głuszyńskiej i Gąsiorowskiego? – upewnił się Marek Zareba, który dotychczas siedział cicho i popijał wodę drobnymi łykami. – Co wam powiedziała?

– Piotrowska wspomniała, że jest gdzieś w Polsce jakiś zakład chemiczny, gdzie można dostać różne rzeczy.

– Jakiś zakład chemiczny? Różne rzeczy? – powtórzył Leon Gawroński, jakby nie wierzył w to, co słyszy. – Jakie różne rzeczy? Klementyna, dajże spokój.

Komisarz Kopp wzruszyła znowu ramionami.

– Wiesz przecież, o co chodzi – mruknęła policjantka niewyraźnie. – Podobno w tym zakładzie można dostać fosgen.

Do tej pory nie ustaliliśmy, skąd sprawca bierze truciznę. Teraz jesteśmy na dobrej drodze.

Prokurator przejechał ręką po twarzy.

– Macie nazwę tego miejsca?

Klementyna pokręciła głową.

– Nie mamy... Ale! To jeszcze nie wszystko, co wiemy – mówiła dalej komisarz Kopp. Zignorowała gniewne spojrzenie, które rzucił jej prokurator. – Od Huberta Przybylskiego wiemy na przykład, że Głuszyńska sprzedawała trawkę ze swojej hodowli na działce w Starych Świątkach. Jej klientką była między innymi Nadia Trojanowska. Czyli mamy brakujące połączenie pomiędzy Nadią a kwiaciarką. Teraz umarł mąż Nadii, więc...

Klementyna nie dokończyła.

– Żonę i pasierbicę Franciszka Trojanowskiego musicie przesłuchać już dzisiaj. Od tego zaczynicie – zarządził Leon Gawroński. – Trzeba ustalić, jakie były pomiędzy nimi relacje.

Daniel Podgórski odchrząknął cicho. Postanowił podzielić się z kolegami spostrzeżeniami Weroniki na temat Nikoli, Franciszka i Nadii. Nowakowska wielokrotnie opowiadała mu o tym, jak dziwne relacje łączą tę trójkę.

– Ich stosunki chyba nie były zbyt dobre – powiedział Daniel ostrożnie. – Moja Weronika uczy Nikolę Szczepańską jazdy konnej. Weronika sporo widziała. Nikola i Franciszek nie lubili się za bardzo. Właściwie to źle się wyraziłem. Nikola zdawała się nienawidzić ojczyma. Weronika mówiła mi, że Nikola często prowokowała starcia.

– Czyli już coś wiemy – odparł prokurator, zerkając na Daniela z uznaniem. – Przesłuchajcie i matkę, i córkę. I zdejmijcie im odciski palców. A właśnie. Skoro już mówimy o odciskach palców. Rozmawialiście z Barbarą Krakowiak? Jak ona wyjaśniła obecność swoich odcisków w sypialni Małgorzaty Głuszyńskiej?

Marek Zaręba pokręcił głową.

– Tak, jak się obawialiśmy – przyznał młody policjant. – Twierdziła, że pomagała Małgorzacie Głuszyńskiej w sprzątanii. Ja w to nie wierzę, ale nie mamy jak podważyć jej

zeznania.

– No dobrze, zostawmy to na razie. Co mamy dalej?

– Wiemy już, kto dostał awans zamiast Waldemara Gąsiorowskiego w dziewięćdziesiątym czwartym roku – poinformował zebranych Daniel. Nadal miał przed oczami wnętrze domu wypełnione kotami. – Katarzyna Piotrowska zeznała, że to Michalina Niewiadomska zajęła wtedy miejsce Waldemara. Niewiadomska nie wspomniała o tym podczas przesłuchania.

– Weźcie ją w obroty jeszcze raz – poprosił Leon Gawroński.

– Trudno stwierdzić, jaki miałyby mieć motyw, żeby zabijać, skoro to ona dostała ten awans... No nic, zobaczymy, co powie.

– My też coś odkryliśmy – odezwała się Emilia Strzałkowska. Spojrzała przy tym ostrożnie w stronę prokuratora. – Wiemy już, co zginęło z domu kwaciarki.

– Tak? – zapytał Gawroński.

Emilia przeniosła wzrok na Marka, jakby prosiła, żeby to on o wszystkim opowiedział.

– Wiemy, że z domu Małgorzaty Głuszyńskiej zniknął niezwykle cenny zegar – wyjaśnił Zaręba. Młody policjant wyglądał na dumnego. – Mówimy o sumie rzędu nawet kilkudziesięciu tysięcy złotych.

– To wszystko do siebie nie pasuje – nie zgodził się Daniel. – Z klubu szachowego Franciszka Trojanowskiego nie zniknęły pieniądze, które były w kasie. Z domu Waldemara Gąsiorowskiego też nic nie zginęło. Tylko Małgorzata Głuszyńska wyłamuje się z tego schematu. Jej dom najpierw przeszukano, a potem sprawca wrócił, żeby zabrać zegar.

– Też się nad tym zastanawialiśmy – przyznała Emilia Strzałkowska. – Nie rozumiem, dlaczego morderca miałby wracać do domu Głuszyńskiej po zegar. Przecież mógł go wziąć za pierwszym razem.

– Czekaj. Stop. Może nie mówimy o tej samej osobie – wtrąciła się Klementyna Kopp, wypluwając słowa. – Może kto inny kradnie, a kto inny zabija. Już nieraz mieliśmy do czynienia z takimi hienami cmentarnymi. Zgoda, nie sprawdzimy zeznań Barbary Krakowiak. Przecież to jej odciski

były w sypialni kwiaciarki. Już to ustaliliśmy. Może to ona ukradła zegar. Ale! Kto inny zabijał.

– Słusznie – zgodził się prokurator. – Zastanawia mnie ta Barbara Krakowiak. To ona na samym początku zawiadomiła nas o śmierci Małgorzaty Głuszyńskiej. Przedtem prawdopodobnie przeszukała jej sypialnię. Nie wiemy, w jakim celu. To nie koniec jej udziału w sprawie. Potem zawiadomiła nas o tym, że ktoś rzekomo kręci się po domu Głuszyńskiej. Znika zegar.

– Myślisz, że Barbara Krakowiak może być jednak morderczynią? – zapytała Emilia Strzałkowska.

– Ale przecież to nie jej odciski są na szachownicach – wtrącił się nieśmiało muskularny aspirant sztabowy Juliusz Szewczyk. – Sprawdziliśmy to.

– Czekaj. Stop! To jeszcze niczego nie wyklucza, co? – nie zgodziła się Klementyna Kopp. – Ciągłe nie wiemy, jakie znaczenie mają te odciski NN na szachownicy. Ja nadal nie jestem nawet pewna, czy należą do sprawcy.

– Ale mogą należeć – odparł Szewczyk z niespotykanym dla siebie uporem. – Nie wiem, czemu pani komisarz komplikuje sprawę?

Klementyna Kopp rzuciła mu ostre spojrzenie.

– Niczego nie komplikuję. Chcę tylko dojść do prawdy, co? To różnica.

Mięśnie na szerokim karku Juliusza Szewczyka napięły się wyraźnie.

– Dajcie już spokój. Skupmy się na sprawie – upomniał ich prokurator Leon Gawroński. – Chcę, żebyście sprawdzili członków klubu szachowego. Może któreś z nich miało jakiś zatarg z szefem. Trzeba też sprawdzić billingi Franciszka Trojanowskiego. Spotykamy się jutro. Tym razem nie chcę żadnych wymówek. Wszystko ma być zrobione.

Całe biurko Liliany Brzezińskiej pokryte było papierami. Produkcja miała ruszyć już w poniedziałek, ale dziś pracowała tylko ona. Sama. Stanisław Szczepański był nieosiągalny.

Właściwie można było to zrozumieć. Zważywszy na to, że Franciszek Trojanowski nie żył.

– Chcę być teraz przy mojej rodzinie – tłumaczył przez telefon Stanisław. – Mam nadzieję, że to rozumiesz, Liliana. Wiem, że teraz wszystko jest na twojej głowie, ale postaram się wynagrodzić ci to później.

– Nic się nie martw. Nie ma problemu – zapewniła Brzezińska, odkładając słuchawkę. – Poradzę sobie.

Rodzina. Po rozmowie ze Szczepańskim Liliana zaczęła zastanawiać się nad tym, czy ona ma właściwie teraz kogokolwiek, kogo mogłaby nazwać rodziną. Przedtem była matka, mimo że przecież znienawidzona. Był też mąż.

– A teraz? – szepnęła Liliana do siebie. – Kto jest teraz?

Matka nie żyła, a Miłosz jej nienawidził. Zostało jedynie puste mieszkanie. I wspomnienie Klementyny Kopp.

Klementyna Kopp... To wszystko wymykało się Lilianie z rąk. Zdrada, której się dopuściła, żeby doprowadzić do rozwodu z Miłoszem... to była tylko gra. Ale czy teraz to także jest gra? Ile naprawdę znaczyła dla Liliany policjantka?

Brzezińska nie była tego pewna. Wiedziała natomiast jedno. Póki sprawa się nie skończy aresztowaniem kogoś innego niż ona sama, komisarz Kopp się z nią nie spotka. Nie popełni kolejny raz tego samego błędu. Na pewno.

Jakkolwiek Liliana by próbowała.

ROZDZIAŁ 31

Drezno.

Poniedziałek, 14 grudnia 1970

Gabriela Gałązka wyszła z hotelu. Przed chwilą udało jej się porozmawiać z mężem. Rozmawiali przez telefon w recepcji. Międzynarodowe połączenie nie było wcale takie łatwe, ale się udało. Mąż mówił, że od czasu, kiedy dwa dni temu ogłoszono podwyżkę cen produktów żywnościowych, w kraju zawrzało. Zwłaszcza na północy. Mąż sugerował nawet, bardzo ostrożnie i oględnie, że Władysław Gomułka może mieć problemy.

Gabriela słuchała męża niezbyt uważnie. Zawirowania polityczne w Polsce były niewątpliwie bardzo ważne, ale jedyne, o czym Gabriela teraz myślała, to spotkanie z Charlotte Schneider. Szachistka ciągle nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Kto by pomyślał? Charlotte była praprawnuczką jednego z największych szachistów na świecie. Mistrza, którego Gabriela całe życie starała się dogonić. Ręce drżały jej z emocji na samą myśl o zaszczycie, który miał ją niedługo spotkać.

Wszystko zaczęło się od tego, że Gabriela pojechała we wrześniu obserwować dziewiętnastą olimpiadę szachową mężczyzn w Siegen. Prawie cały miesiąc spędziła w Niemczech. Oglądała doprawdy niesamowite partie. Na przykład tę pomiędzy Borysem Spasskim a Bobbym Fischerem. Niezapomniane przeżycie.

W kularach rozmawiała z niezwykle utalentowanymi szachistami. Spędzała z nimi czas. Jeden wspomniał to, drugi tamto. Gabriela ze zdziwieniem odkryła w sobie smykałkę detektywistyczną. Pytała coraz więcej. W końcu dotarła do informacji, że być może Adolf Anderssen wcale nie umarł bezdzietnie, jak wielu sądziło. Krążyły różne plotki, których

podobno sam mistrz za życia nie dementował. Słowo układało się do słowa. Tak Gabriela trafiła do Drezna.

Gałązka poprawiła apaszkę i wełniany żakiet. Włożyła płaszcz, futrzaną czapkę i okręciła szyję grubym szalem. Wyszła z hotelu na mróz. Od rana padał gęsty śnieg. Chodniki były niemal całkiem zasypane. Szachistka szła szybkim krokiem, nie zważając na to, że stopy drętwiały jej z zimna.

Wsiadła do przepełnionego autobusu, który miał ją dowieźć na miejsce. Nie widziała mijanych budynków. Nie podziwiała architektury. Myślała tylko o Charlotte Schneider. Jaka będzie? Czy również gra w szachy? Czy pielęgnuje należycie pamięć o swoim wielkim przodku?

Gabriela omal nie przegapiła przystanku, na którym według porad hotelowej recepcjonistki miała wysiąść. Przecisnęła się pomiędzy pasażerami i wyskoczyła z autobusu, kiedy drzwi były już prawie zamknięte. Kierowca zatrąbił zirytowany. Kilku pasażerów rzuciło w jej stronę nieprzyjemne epitety. Szachistka dobrze знаła język niemiecki, więc nie miała problemów z ich zrozumieniem.

Gabriela poprawiła płaszcz i rozejrzała się dookoła. Znalazła się gdzieś na niemal zupełnym odludziu na krańcach Drezna. Domy były tu piękne, ale w większości biedne i zaniedbane. Szachistka ruszyła opustoszałą ulicą, brnąc w głębokim śniegu.

W końcu trafiła na odpowiedni adres. Tabliczka z numerem domu wisiała smętnie na jednym gwoździu. Gabriela odetchnęła głębiej zaskoczona. Jej oddech momentalnie zmienił się w parę. Budynek, w którym mieszkała Charlotte, był chylącą się ku niechybnemu upadkowi ruiną. Większość okien pozabijano deskami. Tylko w jednym pokoju na parterze paliło się światło.

Gabriela Gałązka weszła ostrożnie do ogródka. Spod śniegu wystawały nieregularne kształty porozrzucanych śmieci. Szachistka wyciągnęła notes z torebki i raz jeszcze sprawdziła adres. To tu. Nie było wątpliwości.

Podeszła do drzwi i zapukała dwa razy. Przystępowała z nogi na nogę, drżąc z zimna. W końcu drzwi się otworzyły. Stała w nich wymizerowana młoda kobieta. Miała podkrążone oczy,

zakryte niemal przez przydługą grzywkę. Kości policzkowe sterczały z chudej twarzy. Sprawiało to dość nieprzyjemne, niepokojące wrażenie. Jej długie jasne włosy spływały do pasa brudnymi strakami. Kobieta ubrana była w powłóczystą sukienkę w stylu tych, które były teraz coraz bardziej modne.

– *Guten Morgen. Ich bin Gabriela Gałazka*¹ – przedstawiła się szachistka po niemiecku. – Szukam Charlotte Schneider.

Młoda kobieta pokiwała głową.

– To ja – powiedziała zachrypniętym głosem. – Zapraszam.

Weszły do środka. Nie było tu wcale cieplej niż na dworze, ale przynajmniej nie wiało i śnieg nie sypał prosto w twarz. Gospodyni zaprowadziła Gabrielę do pokoju po prawej stronie. Reszta domu wyglądała na zupełnie opuszczoną.

– Zapraszam – powtórzyła Charlotte. – Przygotowałam pamiętki po dziadku...

Pani Schneider wskazała sofę przykrytą fantazyjnie tkanym kocem. Gabriela posłusznie tam usiadła. Na stoliku obok kanapy stało duże kartonowe pudło.

– Mogę? – zapytała szachistka nieśmiało.

Charlotte pokiwała głową i natychmiast zaniósła się kaszlem.

– Nie powinna się pani cieplej ubrać? – zapytała bardzo ostrożnie Gabriela.

Charlotte zrobiła wymijający gest ręką. Szachistka pożałowała swojego pytania. Wyglądało na to, że gospodyni nie ma wiele więcej niż tę swoją zwiewną letnią sukienkę. Gabriela zdjęła okrycie i podała je pani Schneider. Charlotte włożyła płaszcz natychmiast. Bez wahania. Musiała być na skraju zupełnego wyczerpania. Nie było tu już miejsca na wstyd.

– Dziękuję – powiedziała bardzo cicho Niemka.

– Nie ma problemu. Może pójdziemy napić się czegoś ciepłego do kawiarni? – zaproponowała Gabriela, dogłębnie poruszona stanem gospodyni. Bardzo chciała przejrzeć rzeczy dotyczące Adolfa Andersena, ale nie mogła patrzeć na cierpienie Charlotte.

– Nie wiem. Ja...

– Zapraszam panią – nalegała Gabriela. – I tak zrobiła pani

1 Dzień dobry. Jestem Gabriela Gałazka.

dla mnie wiele. Zgodziła się pani na spotkanie i pokazanie mi tego wszystkiego. Chociaż tak mogę się odwdziaczyć.

Charlotte skinęła głową, znowu zapominając o wstydzie.

– Naprawdę chce pani napisać książkę o dziadku? – zapytała.

– Nie tylko o Adolfie Anderssenie – przyznała Gabriela Gałązka. – O szachach. O teorii i strategii, o problemach szachowych. Ale o pani prapradziadku będzie tam na pewno wiele. Potrzebuję tylko materiałów i będę mogła zacząć pisać.

Obie spojrzały na kartonowe pudło leżące na stoliku.

– Coś pani pokażę – powiedziała Charlotte z nagłą energią.

Wyjęła z pudła oprawiony w skórę album. W środku były wycinki ze starych gazet. Gospodyni wskazała jeden z nich. Gabriela odetchnęła głęboko.

– „Nieśmiertelna partia” – powiedziała z zachwytem.

– To artykuł z tysiąc osiemset pięćdziesiątego pierwszego roku z „La Régence” – wyjaśniła Charlotte Schneider. – Tu jest tego więcej. Sama pani zobaczy.

Gabriela chciała sięgnąć po album, ale znowu poczuła wyrzuty sumienia.

– Najpierw pójdziemy napić się czegoś ciepłego – zarządziła.

– Przy ciepłej herbacie opowie mi pani wszystko, co wie o dziadku. Może zjemy też obiad.

Charlotte Schneider uśmiechnęła się słabo. W jej oczach zapalił się jednak nowy błysk.

– Słyszała pani o Agnes Hoffmann? – zapytała. – O niej też powinna pani napisać w swojej książce. Nikt o niej nigdy nie mówi.

ROZDZIAŁ 32

Lipowo, kolonia Żabie Doły i Brodnica.
Czwartek, 22 maja 2014. Po południu

Młodszy aspirant Daniel Podgórski nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Nadia Trojanowska nie wygląda wcale na poruszoną śmiercią Franciszka. Wdowa po szachiście ubrana była co prawda w czarną garsonkę, ale Daniel nie widział na jej twarzy większych emocji.

Początkowo Daniel i Klementyna Kopp planowali, że pojadą odwiedzić wdowę w jej domu w Lipowie, ale niespodziewanie Nadia Trojanowska oznajmiła, że woli przyjechać do Komendy Powiatowej do Brodnicy.

– Byłam w zakładzie pogrzebowym – wyjaśniła wdowa, kiedy tylko dotarła na miejsce. – Postanowiłam od razu do państwa przyjść. Wolałam z tym nie czekać. Kiedy będę mogła odebrać ciało męża? Chciałabym jak najszybciej go pochować.

Siedzieli w bezosobowym gabinecie Klementyny Kopp. Zrezygnowali z sali przesłuchań, ponieważ chcieli, żeby ta rozmowa wyglądała neutralnie. Nie jak przesłuchanie w sprawie morderstwa, tylko jak dialog z pogrążoną w smutku wdową. Kłopot polegał na tym, że Nadia Trojanowska nie udawała nawet łez.

– To jeszcze trochę potrwa. Patolog musi zrobić sekcję – wyjaśniła cierpko Klementyna Kopp. – Gdzie byłaś wczoraj wieczorem, co?

Nadia Trojanowska nie wyglądała na zaskoczoną tym pytaniem. Wręcz przeciwnie. Spodziewała się go chyba.

– Najpierw byłam u byłych teściów w hodowli ptaków na Wyspie Skarbów, a potem pojechałam do domu – wyrecytowała. – Czekałam na córkę. Nikolka była na spotkaniu z ojcem.

– Ze Stanisławem Szczepańskim, tak? – upewnił się Podgórski.

– Tak.

– Nie zastanawiała się pani, gdzie jest mąż i dlaczego nie wraca do domu? – zdziwił się Daniel. – Przecież w końcu zrobiło się późno, a Franciszka nadal nie było.

Nadia Trojanowska pokręciła głową.

– Nie, nie zdziwiłam się. Franciszek miał pracować w klubie do późna – wyjaśniła cierpliwie wdowa. – Czasami tak robił. Tak więc nie martwiłam się. Po prostu poszłam spać, kiedy nie wrócił. Byłam zmęczona.

– Pani córka już była w domu, kiedy pani kładła się spać? – pytał dalej Daniel.

– Tak. Powiedziałyśmy sobie z Nikolką dobranoc, jeżeli o to chodzi. – W głosie Nadii Trojanowskiej pojawiła się teraz gorycz.

– Czekał. Stop. Czy ktoś o tym wiedział, co? – wtrąciła się Klementyna Kopp.

Nadia spojrzała na policjantkę zaskoczona.

– O tym, że powiedziałam córce dobranoc? – zapytała z niedowierzaniem.

– O tym, że twój mężulek ma być w klubie do późna – poprawiła ją Klementyna. – Właśnie o tym. Czy ktoś wiedział, co?

Trojanowska pokiwała głową.

– Pewnie tak. Z reguły Franciszek zostawał w klubie do późna właśnie w środy. Nie krył się z tym – oświadczyła. – Zresztą często zostaje... a właściwie zostawał w klubie na noc. Szachy to była jego wielka pasja. Jego całe życie.

Nadia Trojanowska zakryła twarz dłońmi, ale nie wyglądało na to, żeby płakała. Siedzieli przez chwilę w ciszy.

– Układała się pani z mężem? – zapytał Podgórski ostrożnie, kiedy wyglądało już na to, że Nadia doszła do siebie.

Wdowa spojrzała na policjanta spod oka.

– Panie Danielu, przecież wiem, że pani Weronika na pewno wszystko panu powtarzała o naszej rodzinie – stwierdziła z lekką drwiną. – Bywało trudno. Nikolka miała problemy,

żeby zaakceptować Franciszka w nowej roli. Kiedyś uczył ją grać w szachy, potem stał się jej ojczymem. Moja córka poczuła się chyba zdradzona.

– Czyli przyznajesz, że twoja córeczka nie za bardzo lubiła Franciszka, co?

Twarz Nadii Trojanowskiej wykrzywił grymas.

– Nikolki proszę w to nie mieszać – rzuciła ostro.

– Sorki. Ale! Nie omieszkamy jej w to wmieszać – odparła Klementyna spokojnie. – Dziś twoja córeczka musi stawić się na przesłuchaniu.

– Nie zgadzam się!

– Zdaje się, że córeczka ma już osiemnaście lat i jest pełnoletnia, co? – zapytała komisarz Kopp niewinnie. – Twoja zgoda nie jest nam za bardzo potrzebna, wiesz? Powiedz nam lepiej o twojej relacji z Małgorzatą Głuszyńską, która też leży martwa. Tak się jakoś składa.

Nadia zerknęła na Daniela, jakby u niego szukała pomocy. Podgórski odwrócił wzrok. Nie chciał, żeby wdowa myślała, że jest po jej stronie.

– Nie wiem, o czym pani mówi – zapewniła Nadia Trojanowska szybko. – Nie znam żadnej Małgorzaty Głuszyńskiej...

– Czekaj. Stop – przerwała jej komisarz Klementyna Kopp. – Wiemy już, że kupowałaś od niej trawę, więc możesz od razu zacząć się z tego tłumaczyć. Stracimy trochę mniej czasu. To jak to było, co?

Nadia Trojanowska rozważała przez moment, co ma powiedzieć.

– To było... ja... potrzebowałam się rozluźnić – przyznała w końcu wdowa. – Nie możecie mi nic zrobić. Nie zostałam zatrzymana z narkotykami. To było tylko do mojego użytku. Zresztą nic mi nie udowodnicie.

– Już chłopaki mają swoje sposoby – zapewniła Klementyna złośliwie. – Ale! Mnie to nie interesuje. Zażywaj, co tam chcesz, ja się tym nie zajmuję. To kto zabił Franciszka, ty czy córeczka, co? To mnie interesuje znacznie bardziej. Jak pójdiesz siedzieć za morderstwo, kilka gramów marychy to będzie twój

najmniejszy problem.

Nadia Trojanowska dopiero teraz zaczęła wyglądać na wytrąconą z równowagi.

– Nikolka nic nie zrobiła! – zawołała.

– A ty, co?

Nadia Trojanowska nic nie odpowiedziała.

– Na korytarzu czekają panowie, którzy pobiorą twoje odciski palców – oznajmiła komisarz Klementyna Kopp głosem nieznoszącym sprzeciwu. – A kwestię miękkich dragów zostawiam innym.

Hubert Przybylski przyjechał do Oliwii, kiedy tylko zadzwoniła. Czyli z samego rana. Hubert już od dobrych kilku godzin próbował rozmawiać z narzeczoną, ale było to bardzo trudne. Oliwia była zupełnie roztrzęsiona.

– Cały czas widzę, jak on tam siedzi – powiedziała dziewczyna przez łzy. – Ten Franciszek Trojanowski. Nie mogę go zapomnieć!

Hubert Przybylski przytulał dziewczynę mocno. Czuł, że jej opalone na głęboki brąz ciało drży w jego uścisku.

– Ciii – próbował ją uspokoić. – Zapomnisz. Zobaczysz.

– To nie o to chodzi – rzuciła Oliwia Gąsiorowska gniewnie. – Gorzej, jeżeli policja dowie się, że ja tam byłam. Nie chcę iść do więzienia. Tatuś opowiadał mi o Starych Świątkach straszne rzeczy. Masakra jakaś, nie?

– Niby dlaczego mieliby się dowiedzieć. Dajże spokój, Oliwka! – przekonywał ją Hubert zapamiętane.

Kłamał. Przybylski wiedział tak samo dobrze jak jego narzeczoną, że wcale nie byli w dobrej sytuacji. Sam czuł oddech policji na karku.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu.

– Nie możemy stąd wyjechać? – zapytała Oliwia niemal błagalnie.

– Jeszcze nie, Oliweczko – odpowiedział cicho Hubert. – Teraz to by było bardzo podejrzane. Zrozum. Sama przed chwilą mówiłaś. Nie możemy rzucać się w oczy.

Oliwia Gąsiorowska westchnęła głośno. Hubert Przybylski czuł jednak, że dziewczyna jest już znacznie spokojniejsza. Szeptał jej do ucha słodkie obietnice. Wiedział, że Oliwia mu wierzy. Dlaczego miałyby nie wierzyć? Przeprowadził przecież wszystko tak, jak to sobie Waldemar Gąsiorowski zaplanował. Przyszły teść w niego nie wierzył, a tu proszę. Hubert niemal żałował przez chwilę, że Waldemar nie żyje i nie może zobaczyć jego sukcesu. Ciekawe, co by powiedział!

Waldemar Gąsiorowski nie zaplanował tylko jednego, że sam teraz będzie martwy. Hubert Przybylski nie mógł się powstrzymać, żeby nie uśmiechnąć się pod nosem. Ot, ironia losu.

Komisarz Klementyna Kopp wyglądała przez okno swojego gabinetu w Komendzie Powiatowej Policji w Brodnicy. Ona i Daniel niedawno skończyli rozmawiać z Nadią Trojanowską. Teraz czekali na jej córkę, osiemnastoletnią Nikolę Szczepańską.

Nagle Klementyna zauważyła Nadię. Trojanowska stała na parkingu przed komendą i rozmawiała przez telefon. Wkrótce na parking wjechał mały czerwony fiat 500. Samochód zatrzymał się tuż obok wdowy. Nadia rozłączyła się i schowała telefon do torebki. Z czerwonego fiacika wysiadła Nikola Szczepańska. Matka i córka pogrążyły się w rozmowie. Komisarz Kopp była bardzo ciekawa, o czym też mogły tak deliberować.

W końcu Nikola kiwnęła matce głową i ruszyła z nonszalancją w stronę budynku.

– Chyba zaraz będziemy mieć przyjemność pogadać z Nikolą Szczepańską – oznajmiła Klementyna.

Daniel wydawał się zamyślony. Zniknęła gdzieś poranna beztroska i radość, które malowały się na jego twarzy, kiedy szli przesłuchać Huberta Przybylskiego.

– W samą porę – mruknął Podgórski.

Chwilę później recepcjonista zawiadomił Klementynę, że istotnie przybyła pasierbica zamordowanego Franciszka

Trojanowskiego. Komisarz Kopp zaprosiła ją do gabinetu. Woliała rozmawiać tutaj. Jak z Nadią.

– Gdzie byłaś wczoraj wieczorem, co? – zaczęła policjantka, kiedy tylko Nikola Szczepańska przestąpiła próg gabinetu.

– A co? – odparła dziewczyna butnie.

Osiemnaście lat. Nikola właściwie nie była jeszcze kobietą. Była nastolatką. Klementyna Kopp woliała nie pamiętać siebie w tym wieku. Policjantka była wówczas zupełnie inną osobą. Nie chciała myśleć o tym, co sprawiło, że stała się tym, kim jest teraz. To był zamknięty rozdział, który został tylko niepotrzebnie rozdrapany, kiedy pracowali z Danielem nad sprawą Zabójcy Dziewic prawie rok temu. Klementyna zaśmiała się gorzko w duchu. Zabójca Dziewic. Ta nazwa nadal wydawała jej się okropnie pretensjonalna.

– A to, że jeżeli nie masz alibi, to masz problem – odparła Klementyna, naśladując zblazowany ton dziewczyny.

Nikola Szczepańska zastanawiała się przez chwilę. Przejechała ręką po lśniących, wyprostowanych na gładko włosach.

– Byłam z tatą – powiedziała w końcu dziewczyna, potwierdzając tym samym słowa matki sprzed kilkunastu minut.

– Cały wieczór byłaś ze Stanisławem Szczepańskim? – upewnił się Daniel.

– Tak – odparła Nikola bez wahania.

– Co robiliście, co? – chciała wiedzieć Klementyna. – Szczegóły. Szczegóły. Szczegóły.

Dziewczyna wzruszyła nieznacznie ramionami. Po jej twarzy przebiegł lekki skurcz. To nie musiało nic oznaczać. Ale mogło też oznaczać bardzo wiele.

– Nic takiego.

– Możesz sprecyzować, co?

Nikola znowu wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Nic takiego – powtórzyła. – Gadaliśmy. Oglądaliśmy telewizję. Takie rzeczy. Potem wróciłam do domu.

– Jechałaś swoim samochodem czy tata cię odwiózł? – chciał wiedzieć Podgórski.

– Jechałam swoim. Od miesiąca mam prawo jazdy –

wyjaśniła z niejaką dumą Nikola Szczepańska. Na chwilę zapomniała chyba o kontrolowaniu się. – Co prawda nie jeżdżę zbyt często. Głównie dlatego, że moja mama wołała, żebyśmy wszędzie jeździły z Franciszkiem. Teraz będzie inaczej. Skoro go nie ma.

– Łatwiej, co? – podchwyciła Klementyna.

– Może – odparła Nikola Szczepańska enigmatycznie. – Nie jestem głupia, wie pani? Podejrzewacie mnie, prawda? Pobrali mi odciski palców, jak tu wchodziłam. Myślicie, że to ja zabiłam Franciszka?

Komisarz Kopp wzruszyła ramionami z wystudiowaną precyzją. Raz. Potem drugi. Interpretuj to sobie, jak chcesz, dziewczynko.

– Nie lubiłaś Franciszka, prawda? – zapytał Daniel cicho.

– Wiadomo – odparła równie cicho Nikola. – To był zdrajca.

– Co masz na myśli?

Nikola Szczepańska westchnęła.

– Przyjaźniliśmy się – powiedziała po chwili. – Ufałam mu... a jemu od początku chodziło tylko i wyłącznie o to, żeby przespać się z moją matką... A co ze mną w tym wszystkim?

Komisarz Klementyna Kopp wyczuła gorycz w głosie dziewczyny. Czy to możliwe, że pilna uczennica podkochiwała się potajemnie w swoim mistrzu szachowym? Pomiedzy miłością a nienawiścią jest przecież zadziwiająco cienka granica. Czy ta nastolatka ją przekroczyła? Hormony buzujące w jej ciele spowodowały, że zazdrość stała się silniejsza niż rozum? Czy sprawiły, że Nikola Szczepańska nie mogła już dłużej znieść odrzucenia?

Michalina Niewiadomska rozpakowywała swoje rzeczy. Wróciła do Brodnicy wczoraj wieczorem. Nie mogła przecież siedzieć na działce po rozmowie z Miłozsem Janiszewskim. Nie wytrzymałaby. Zresztą to w mieście wszystko się rozgrywało. Niewiadomska chciała jednak trzymać rękę na pulsie.

Z pewną ulgą przyjęła śmierć Franciszka Trojanowskiego. Miała nadzieję, że to wydarzenie odciągnie policję od rejonów,

których wolą brać jak rozjuszona locha młodych. O tak. Była jak rozjuszona locha. Podobało jej się to porównanie.

Śmierć Trojanowskiego była jej na rękę.

Właściwie.

Chociaż? Coś nie dawało jej spokoju. Błąkało się gdzieś po głowie. Może śmierć Trojanowskiego w niczym nie pomoże? Może pociągnie ją na dno?

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska jechała z Markiem Zarębą do domu Barbary Krakowiak. Znowu. Można nawet powiedzieć, że sąsiadka Małgorzaty Głuszyńskiej powróciła w wielkim stylu.

Emilia i Marek przez dużą część dnia pracowali z grupą ochotników w Komendzie Powiatowej. Zaczęli od sprawdzenia billingów Franciszka Trojanowskiego, tak jak kazał prokurator Gawroński. Szachista rozmawiał dużo i numerów do porównania było sporo. Większość wydawała się niepowiązana ze sprawą. W końcu jednak trafili nieoczekiwanie na coś interesującego.

Wieczorem 21 maja Barbara Krakowiak zadzwoniła do Franciszka Trojanowskiego. Było to niedługo przed tym, jak ktoś go zamordował. Rozmowa trwała kilka minut. Patolog nie podał im jeszcze szacowanej godziny śmierci szachisty, ale istniało duże prawdopodobieństwo, że Barbara Krakowiak była ostatnią osobą, która rozmawiała z Trojanowskim przed jego śmiercią. Wyłączając zabójcę. Chyba że to właśnie sąsiadka Małgorzaty Głuszyńskiej była tym, kogo tak pilnie szukali.

Trudno było na razie określić, jaki Barbara Krakowiak mogłaby mieć motyw, żeby zamordować Franciszka Trojanowskiego, ale sprawa była nadal otwarta. Być może kolejne przesłuchanie przyniesie jakieś odpowiedzi.

Emilia Strzałkowska bardzo chciała się przekonać, jaka jest sąsiadka kwiaciarki. Dotychczas policjantka nie miała jeszcze okazji jej przesłuchiwać. Barbara Krakowiak czekała na nich przy płocie, jakby nie miała ochoty wpuszczać policjantów do domu. Była dość wysoka i koścista. Siwiejące włosy dodawały

jej lat.

– Witam – powiedziała pani Krakowiak, poprawiając okrągłe okulary w stylu Johna Lennona.

– Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska – przedstawiła się policjantka. – To jest starszy sierżant Marek Zaręba.

– Tak. Tak. Pamiętam pana – odparła Barbara, kiwając głową Markowi. – Pan tu był z tym wysokim policjantem, kiedy znalazłam Małgorzatę martwą. Coś się stało?

Emilia pokiwała głową i dała znak Markowi, żeby to on zaczął.

– Przeglądaliśmy billingi pana Franciszka Trojanowskiego, który również został zamordowany... – oświadczył Zaręba. – Słyszała może pani o tym?

– Tak – potwierdziła pani Krakowiak. – Była o tym mowa w prasie i naszej telewizji lokalnej. Co ja mam z tym wspólnego? Bo nie za bardzo rozumiem. Nie znałam pana Trojanowskiego.

– Chcielibyśmy, żeby pani nam to wyjaśniła – powiedziała Strzałkowska lekko. – W jaki sposób jest pani z tym wszystkim związana?

– Nie rozumiem.

Marek Zaręba odchrząknął cicho.

– Jak już powiedziałem, przeglądaliśmy billingi Franciszka Trojanowskiego – przypomniał młody policjant. – Okazało się, że rozmawiała pani z ofiarą przez kilka minut około godziny dwudziestej w środę, czyli wczoraj. Niedługo potem pan Trojanowski został zabity.

Barbara Krakowiak poruszyła się nerwowo na te słowa.

– Czego dotyczyła ta rozmowa? – zapytała Emilia ostro.

– Nie ma chyba sensu zaprzeczać, że z nim rozmawiałam? – zapytała Barbara Krakowiak zrezygnowana.

– Z pewnością. Proszę powiedzieć prawdę.

– Sprawa jest prosta – zaczęła pani Krakowiak. – Dzwoniłam do Franciszka Trojanowskiego z ramienia naszego Towarzystwa Ekologicznego Cygnus. Małgorzata nie żyje, ale to nie jest czas na żałobę. To jest wojna. Przecież dbać o środowisko należy zawsze. Brod-Dysk ma ruszyć lada chwila. Zdaje się, że na poniedziałek planują rozpoczęcie produkcji.

Nie chcę do tego dopuścić. Boję się, co to może znaczyć dla naszego rejonu. Nasz ekosystem...

To wszystko nie brzmiało szczerze. Emilia miała ochotę potrząsnąć rozmówczynią, żeby wreszcie wydobyć z niej coś więcej niż tylko te banały.

– Proszę przejść do meritum – poprosiła, starając się ukryć irytację. – Czego dotyczyła państwa rozmowa w środę wieczorem?

– Chciałam poprosić pana Trojanowskiego o dotację dla Cygnusa – powiedziała Barbara Krakowiak. Tym razem Emilia była skłonna jej uwierzyć. – Już kilka razy nas wspierał. Wiem, że ekologia jest... była dla niego ważna. Pan Trojanowski pochodził z dość majątnej rodziny. Z tego, co wiem, rodzice zostawili mu w spadku sieć cukierni i piekarni. Z samych szachów by się przecież nie utrzymał. Stać go było na inwestowanie w ekologię.

– Czy jego wsparcie dla Towarzystwa Ekologicznego nie było może podyktowane względami osobistymi? – zaryzykował Marek Zaręba, uśmiechając się krzywo. – Przecież Stanisław Szczepański z Brod-Dysku jest byłym mężem Nadii Trojanowskiej.

Barbara Krakowiak powoli pokiwała głową.

– Możliwe – zgodziła się. – Wiem, jak to wygląda. Układy, układziki i tak dalej. Ale to dla mnie nieważne. Tak jak z Miłozhem Janiszewskim. Ważne, że te osobiste pobudki mają dążyć do czegoś dobrego dla środowiska. Cel uświęca środki, jak to mówią. *Exitus acta probat.*

Pobudki osobiste? Prawdopodobnie. Emilia Strzałkowska zaśmiała się w duchu. Pani Krakowiak też miała przecież swoje osobiste powody, żeby zastopować produkcję w Brod-Dysku, chociaż tak bardzo usiłowała im wmówić, jak ważne jest dla niej środowisko. Udziały w firmie brata, Dyskografie, były całkiem dobrym powodem. Cel uświęca środki.

– Jak pani w takim razie wyjaśni, że po rozmowie z panem Trojanowskim zadzwoniła pani niemal od razu do pana Stanisława Szczepańskiego?

Po odkryciu, że Franciszek Trojanowski odbył rozmowę

z Barbarą Krakowiak, ekipa policyjna postanowiła sprawdzić również billingi sąsiadki pierwszej z ofiar. Okazało się, że równo osiem minut po rozmowie z szachistą Barbara zadzwoniła do dyrektora Brod-Dysku.

– Jak to pani wyjaśni? – powtórzyła pytanie Emilia.

– Ja... – zaczęła pani Krakowiak z wahaniem.

– Pani... – pomogła jej Strzałkowska. Nie podobała jej się ta kobieta. Była fałszywa do szpiku kości.

Barbara nie dokończyła.

– Dlaczego zadzwoniła pani do Stanisława Szczepańskiego? – nalegał Marek Zaręba.

– Chciałam go trochę nastraszyć – przyznała Barbara niechętnie. – Franciszek Trojanowski zgodził się nas wesprzeć, więc... no, nie mogłam się powstrzymać. Zdaję sobie sprawę, że to bardzo infantylne. Podobnie jak te środki przeczyszczające, które dosypałam Małgorzacie... cóż. Z drugiej strony Stanisław Szczepański też nas straszył. Nie chciałam być mu dłużna. Chciałam, żeby się mnie bał.

– W jaki sposób chciała pani nastraszyć dyrektora Brod-Dysku? – spytał Zaręba. – Co pani dokładnie powiedziała Szczepańskiemu?

Barbara Krakowiak spojrzała w kierunku mającej wśród pól fabryki.

– Nic specjalnego.

– Prosiłbym jednak o to, żeby przypomniwała sobie pani szczegóły – nalegał młody policjant. Emilia z miejsca wyobraziła sobie Klementynę Kopp z jej bełkotliwym żądaniem „szczegóły, szczegóły, szczegóły”. – To leży w pani interesie. Inaczej możemy wyciągnąć błędne wnioski. A to z kolei może się różnie skończyć.

– Cóż, skoro pan tak stawia sprawę – mruknęła Barbara Krakowiak wściekle. – Powiedziałam Szczepańskiemu, że zadzwoniłam do Franciszka Trojanowskiego do klubu i że Trojanowski zgodził się dać Towarzystwu Ekologicznemu dotację, która pomoże mi ostatecznie zastopować Brod-Dysk.

Emilia zastanawiała się przez chwilę gorączkowo. Czy Barbara Krakowiak podpisała swoim telefonem wyrok śmierci na

szachistę? Czy mordercą był Stanisław Szczepański? A może jednak to wiecznie mijająca się z prawdą pani Krakowiak zabiła?

– Skąd pani wiedziała, że Trojanowski jest w klubie szachowym? – zapytała Emilia, chwytając się szczegółu. Może Klementyna miała rację, że to właśnie szczegóły są najważniejsze? – Dzwoniła pani przecież na komórkę.

Barbara Krakowiak poprawiła siwe włosy.

– Nie rozumiem.

– Powiedziała pani przed momentem, że zadzwoniła pani do Franciszka Trojanowskiego do klubu – przypomniała Strzałkowska. – Pytam, skąd pani wiedziała, że Trojanowski jest właśnie tam, a nie w domu albo gdzieś indziej?

– Czy wiedziała pani, że Franciszek Trojanowski był w klubie podczas waszej rozmowy? – poparł Strzałkowską Marek Zaręba.

– Uczepili się państwo strasznie tego klubu. Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie – mruknęła Barbara gniewnie. – Tak mi się tylko powiedziało. Nie wiem, gdzie on był. Ja...

Kobieta zamilkła. Wpatrywała się w dom zabitej kwiaciarki. Emilia i Marek czekali. W zawodzie policjanta liczyła się cierpliwość. Nieskończone pokłady cierpliwości.

– To wiedziała pani, gdzie on był, czy nie? – nie wytrzymał w końcu Marek.

– Zgadywałam – przyznała pani Krakowiak w końcu. – Franciszek Trojanowski często zostawał w klubie do nocy. Zwłaszcza w środy. Taki miał zwyczaj, jak zdążyłam się zorientować. Nie znałam go aż tak dobrze. Rozmawialiśmy kilkakrotnie przez telefon.

– Co pani zrobiła po rozmowie ze Stanisławem Szczepańskim?

– Odpoczywałam w domu – odpowiedziała Barbara natychmiast.

– Ktoś może to potwierdzić? – zapytała sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska.

Barbara Krakowiak pokręciła tylko głową.

Hanna i Tadeusz Szczepańscy nakarmili już wszystkie ptaki. Dzień chylił się powoli ku zachodowi. O tej porze w hodowli ptaków ozdobnych panował zazwyczaj największy spokój. Dzisiaj jednak zwierzęta były dziwnie pobudzone. Może wyczuwały nastrój swoich opiekunów?

– Myślisz, że teraz Stanisław zejdzie się z Nadią i znowu będzie normalnie? – zastanawiał się Tadeusz. – Skoro nie ma już Franciszka?

Hanna usłyszała w głosie męża wyraźną radość. Było to niepokojące. Miała nadzieję, że Tadeusz nie zrobił nic głupiego.

– Wiesz, że teraz policja podejrzewa ich wszystkich, Stanisława, Nadię i Nikolę – przypomniała z naganą. – Jak się dowiedzą, że należałeś do klubu szachowego, to i ciebie mogą zacząć podejrzewać. I dopiero będziesz miał się z pyszna. To nie jest pora na radość.

Tadeusz Szczepański spojrział na Hannę z rozbawieniem.

– Podejrzewać mnie? – zapytał. – Żartujesz chyba, kochanie. Nic się nie martw, Haneczko. Czy ja cię kiedykolwiek zawiodłem?

– Zastanawiam się, jak sobie z tym wszystkim radzi Nikolka – mówiła dalej Hanna Szczepańska, ignorując pytanie męża. – Próbowałam się do niej dodzwonić, ale była na przesłuchaniu.

– Teraz pojechał do nich nasz Stanisław. Poradzą sobie jakoś – zapewnił Tadeusz. – Nie martw się, Haneczko kochana.

Hanna Szczepańska spojrzała na męża. Oby Tadeusz miał rację!

Młodszy aspirant Daniel Podgórski wyszedł z Komendy Powiatowej w towarzystwie komisarz Klementyny Kopp.

– Wracasz do domu? – zagadnął ostrożnie koleżankę.

Daniel obiecał sobie, że dziś kupi pierścionek zaręczynowy dla Weroniki. Mimo trzeciego zabójstwa policjant postanowił, że nie zrezygnuje ze śmiałych planów uporządkowania swojego życia. Teraz był pewien swej decyzji bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Może dlatego, że śmierć Franciszka Trojanowskiego jeszcze dobitniej pokazywała, jak kruche potrafi być życie. Nie

można zwlekać.

Podgórski kochał Weronikę i zamierzał się oświadczyć. Koniec kropka. Kłopot polegał tylko na kupnie odpowiedniego pierścionka. Policjant wiedział, że czułby się znacznie pewniej, gdyby ktoś mógł mu doradzić. Nawet jeżeli miałyby to być Klementyna.

– Idę jeszcze do marketu. Muszę kupić żarcie dla Józka – oznajmiła komisarz Kopp.

– Józka?

– No, dla kota – wyjaśniła krótko Klementyna. – A co?

Daniel uśmiechnął się na myśl o Klementynie z małym czarnym kotem na kolanach. Cieszył się, że policjantka ma wreszcie jakieś towarzystwo.

– Trochę głupio mi prosić – mitygował się Podgórski. – Zwłaszcza po tym, co było ostatnio...

– Czekaj. Stop. Przejdź już może do sedna, co? – rozkazała Klementyna swoim zwyczajem.

Policjant pokiwał głową.

– Miałabyś chwilę, żeby skoczyć ze mną do jubilera? – zapytał szybko. – Tu niedaleko jest jeden nowy salon. Widziałem...

Klementyna Kopp przypatrywała się Danielowi przez chwilę.

– Jasne – mruknęła w końcu.

– Tylko nie mów Weronice – poprosił Podgórski. – To ma być niespodzianka.

– Okej. No dobra.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski uśmiechnął się szeroko. Czuł się szczęśliwy. Nieważne, czy posterunek w Lipowie będzie nadal działał. Ważne, żeby on i Weronika mogli być razem. Zawsze mógł przecież znaleźć pracę w Brodnicy albo... Warszawa w końcu też nie była złym pomysłem. Wszystko się jakoś ułoży.

22 maja 2014

Do zainteresowanych:

Mam nadzieję, że tym razem piszę po raz ostatni.

Myślę, że moja misja jest nareszcie zakończona.

Zemsta na pewno się dokonała.

*Małgorzata Głuszyńska, Waldemar Gąsiorowski
i Franciszek Trojanowski nie żyją.*

Cieszę się z tego jak dziecko.

*To jest jak prezent, chociaż taki nieco gorzki. I nie taki,
jakiego się oczekuje.*

Dlaczego?

*Otóż dlatego, że ulga, której się można było spodziewać,
wcale nie nadeszła.*

Nie nadeszła.

Czuję wyrzuty sumienia. Palą jak rozżarzone żelazo.

Co będzie dalej?

Nie wiem.

Wiem tylko tyle, że już nikogo nie zabiję...

Co będzie dalej ze mną?

Nie wiem.

ROZDZIAŁ 33

Kolonia Żabie Doły i Brodnica.
Piątek, 23 maja 2014. Rano

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska przyjechała do Komendy Powiatowej w Brodnicy razem z Markiem Zarębą. To już weszło im chyba w zwyczaj. Daniel Podgórski przyjeżdżał sam, ponieważ później z reguły jeździł na przesłuchania z Klementyną Kopp. W rezultacie Emilia i Marek spędzali ze sobą coraz więcej czasu. Strzałkowska nie narzekała. Lubiła Zarębę.

Emilia i Marek weszli do budynku, pozdrawiając funkcjonariusza, który siedział w recepcji. Strzałkowska zaczynała się tu czuć jak w domu. Poszli prosto do sali konferencyjnej. Prokurator Leon Gawroński już tam na nich czekał. Uśmiechnął się nieśmiało na widok policjantki. Emilia odpowiedziała mu tym samym, mimo że jeszcze nie była pewna, co będzie między nimi dalej. Tajemnica Gawrońskiego nadal nie dawała jej spokoju.

Wkrótce do sali konferencyjnej weszła komisarz Klementyna Kopp w towarzystwie młodszego aspiranta Daniela Podgórskiego i przedstawiciela ochotników aspiranta sztabowego Juliusza Szewczyka. Szewczyk zdawał się wypełniać całą framugę drzwi swoją nadmiernie muskularną postacią.

– Zaczynamy – zaproponował Leon Gawroński, odwracając się od Strzałkowskiej odrobinę za szybko. – Rozmawiałem z doktorem Koterskim. Przeprowadził już sekcję zwłok Franciszka Trojanowskiego.

Wszyscy zajęli miejsca przy stole. Klementyna Kopp wyciągnęła ze swojego czarnego plecaka butelkę coca-coli i postawiła ją z hukiem na blacie. Pozostali spojrzeli w jej

stronę. Nie wyglądało na to, żeby policjantka w ogóle to zauważyła. Napila się słodkiego napoju spokojnie i schowała butelkę z powrotem do plecaka.

– Co powiedział doktorek, co? – zapytała nieco bełkotliwie Klementyna.

Leon Gawroński odchrząknął, żeby ukryć zakłopotanie.

– Sytuacja wygląda zupełnie jak w przypadku Małgorzaty Głuszyńskiej i Waldemara Gąsiorowskiego – poinformował prokurator. – Po raz trzeci użyto fosgeny. To była bezpośrednia przyczyna śmierci szachisty.

– Wędrówka plam opadowych też jest. To już doktorek mówił, kiedy pojechaliśmy obejrzeć ciało. A czas zgonu, co?

Leon Gawroński pokiwał głową.

– Tak. Rzeczywiście da się zauważyć wędrówkę plam opadowych. Tak jak w poprzednich przypadkach. Według lekarza sądowego ciało najpierw przez jakiś czas leżało, a potem zostało usadzone przy biurku w gabinecie klubu szachowego – podsumował prokurator. – Jeżeli chodzi o czas zgonu, to śmierć nastąpiła mniej więcej około godziny dwudziestej drugiej. Może odrobinę później.

– Czy Trojanowski zmarł właśnie w gabinecie? – zapytał Daniel. – Jesteśmy tego pewni?

– Technicy i patolog zgadzają się, że raczej tak. Fosgen został rozpylony w twarz ofiary, która zapewne stała. Po ataku fosgenem Franciszek Trojanowski upadł na ziemię i tak zmarł – mówił dalej Gawroński. Co jakiś czas zerkał w kierunku Emilii. – To jest chyba najbardziej prawdopodobne rozwiązanie.

– Zgadzam się – poparł go młody Marek Zaręba. – Tylko wciąż pozostaje pytanie, dlaczego sprawca usadzał swoje ofiary.

– Młody, już chyba ustaliliśmy, że chodziło o tę inscenizację z szachami – wtrąciła się Emilia. – Miało to wyglądać, jakby właśnie rozgrywali partię.

Wszyscy pokiwali głowami. Emilia sporo o tym myślała. Powód, dla którego morderca usadzał swoje ofiary przy szachownicy, był dla niej dość jasny – zbudowanie makabrycznej dekoracji na potrzeby jego własnego chorego

teatru. Niejasne pozostawało natomiast to, dlaczego dla zabójcy tak bardzo istotne było zainscenizowanie partii szachowej. I to nie byle jakiej partii. Jeżeli Franciszek Trojanowski miał rację, chodziło konkretnie o „nieśmiertelną partię” rozegraną aż sto sześćdziesiąt trzy lata temu przez Adolfa Anderssena i Lionela Kieseritzky’ego. Dlaczego akurat ta partia była taka ważna?

– Jeżeli chodzi o przeszukanie samego klubu szachowego – mówił dalej Gawroński, wrywając Strzałkowską z zamyślenia. – Sami wiecie, że znaleźliśmy kopertę z czarnym piórem. Poza tym nic wielkiego. W klubie bywało wiele osób. Trudno w takiej sytuacji cokolwiek ustalić.

Aspirant sztabowy Juliusz Szewczyk odchrząknął znacząco.

– Czy mógłbym... chodzi o klub szachowy...

– Tak, oczywiście – zapewnił Leon Gawroński.

Juliusz Szewczyk podrapał się po szerokim karku.

– Porozmawialiśmy z tym Ireneuszem Cieślakiem, tak jak pan prokurator poprosił po odprawie – powiedział przedstawiciel ochotników. – No, z tym facetem, który znalazł ciało Franciszka Trojanowskiego w klubie. Cieślak jest członkiem klubu. Tak jakby zastępcą Trojanowskiego...

– Wiemy, kim jest Ireneusz Cieślak – przerwała mu Klementyna Kopp. – Przejdź do rzeczy, co? Cieślak powiedział coś ciekawego, co?

– Sam Ireneusz ma niepodważalne alibi na czas śmierci Trojanowskiego – poinformował zamiast odpowiedzi Juliusz Szewczyk. – Sprawdziliśmy to dokładnie. Odwiedzał matkę w szpitalu. Widziało go kilka osób.

– Świetnie. Ale! Co on w takim razie takiego powiedział, co? – zapytała ostro Klementyna Kopp.

Emilia spojrzała na komisarz Kopp przelotnie. Nie podobała jej się ironia i sarkazm, których policjantka nadużywała. Cała niechęć do Klementyny wróciła ze zdwojoną siłą. Strzałkowska dziwiła się przyjaźni Daniela i Klementyny. Pani komisarz nie należała do osób, które dało się lubić.

Juliusz Szewczyk znowu podrapał się po karku.

– No więc Ireneusz Cieślak przypomniał sobie, że kiedy

przyszedł do klubu tego ranka, to drzwi były zamknięte – powiedział przedstawiciel ochotników powoli. – Pamięta to dokładnie, bo długo szukał klucza, żeby je otworzyć. Podobno wpadł mu za podszewkę kurtki.

Muskularny policjant zamilkł na chwilę i rozejrzył się nieśmiało po zgromadzonych. Oczekiwał chyba jakiejś reakcji.

– Proszę, mów dalej, Juliuszu – zachęcił Leon Gawroński.

Szewczyk pokiwał głową.

– Tak sobie pomyślałem, że to chyba trochę dziwne, że drzwi klubu były zamknięte – powiedział cicho. – Jeżeli zabójca wszedł do środka, zabił Franciszka Trojanowskiego i wyszedł. To jak to możliwe, że drzwi były zamknięte na klucz?

Przez chwilę w sali konferencyjnej panowała cisza.

– Nie ma tam zamka z zatrzaskiem? – upewnił się Leon Gawroński. – Podobna sytuacja miała miejsce w domu Małgorzaty Głuszyńskiej. Drzwi też były zamknięte po wyjściu sprawcy.

– Nie, panie prokuratorze. Tutaj tak nie mogło być – odparł Szewczyk. – W drzwiach klubu szachowego jest niezwyklejszy zamek. Tak mi z tego wychodzi, że morderca musiał sam zamknąć drzwi na klucz. Tylko skąd by go miał? Klucz samego Franciszka Trojanowskiego nadal był przy nim w gabinecie, więc morderca nie ukradł go swojej ofierze.

– Możliwe, że sprawca jest członkiem klubu szachowego – głośno myślał Daniel Podgórski. – Jak sądzicie? Mógł mieć własny klucz.

– Coś w tym jest – zgodziła się Klementyna. – Trzeba dokładnie sprawdzić członków tego klubu, co?

– Może Emilia i Marek się tym zajmą – zaproponował Daniel. – Wy już tam byliście. Znacie temat.

Emilia Strzałkowska pokiwała głową, chociaż wcale nie chciała wracać do klubu szachowego. Nadal miała przed oczami ciało Franciszka Trojanowskiego. Przeszył ją dreszcz.

– Ja i chłopaki mieliśmy też sprawdzić kwestię monitoringu z poczty, gdzie nadano kopertę z tym czarnym piórem – przypomniał Juliusz Szewczyk. – Chodzi o Urząd Pocztowy Brodnica 1, na Pocztovej 5. Przy kościele Świętej Katarzyny.

– Było tam coś interesującego, co? – chciała wiedzieć Klementyna Kopp.

Wszyscy zebrani spojrzeli na Juliusza Szewczyka wyczekująco. Emilia złapała się na tym, że zaciska kurczowo kciuki. Dawno zapomniany zwyczaj powrócił nagle ze zdwojoną siłą. List z czarnym piórem mógł nareszcie zbliżyć ich do sprawy.

Szewczyk pokiwał głową z powagą.

– Przyniosłem nagranie, żebyście mogli sami zobaczyć – powiedział.

Muskularny policjant wstał i podszedł do ustawionego w kącie sali konferencyjnej sprzętu audio-wideo. Włożył taśmę do odtwarzacza i wcisnął przycisk play. Włączył rzutnik. Przeciwległa ściana rozjaśniła się. Przez chwilę nic więcej się nie działo, ale wkrótce pojawiło się na tym prowizorycznym ekranie nieco ziarniste nagranie z monitoringu miejskiego.

– To jest nagranie z kamery na ulicy Pocztowej. Tuż przy samej poczcie – wyjaśnił Szewczyk. – Kamera obejmuje akurat obszar, gdzie jest skrzynka pocztowa, do której prawdopodobnie zabójca wrzucił kopertę z piórem. Tu macie fragment nagrania z interesującego nas przedziału czasowego. Chwileczkę... O! Zobaczcie teraz, kto nadchodzi od strony ulicy Strzeleckiej.

Obraz był rozmyty, ale można było wyraźnie zobaczyć mężczyznę idącego w kierunku poczty. Miał długi kucyk i skórzaną kamizelkę.

– Czekaj. Stop. To Miłosz Janiszewski! – krzyknęła niemal Klementyna Kopp. – To ten cholerny pismak!

Juliusz Szewczyk zatrzymał nagranie na chwilę, żeby wszyscy mogli dokładniej zobaczyć, że w kierunku poczty nadchodził właśnie Miłosz Janiszewski. Prokurator Gawroński i Daniel Podgórski pokiwali głowami. Na ich twarzach malowała się ekscytacja. Emilia puściła kciuki. Dłonie miała spocone.

– To jeszcze nie wszystko. Niech pani poczeka, pani komisarz – poprosił Szewczyk. – Zaraz będzie się działo.

Emilia wpatrywała się w obraz na ekranie w skupieniu. Dziennikarz szedł co prawda w kierunku kamery monitoringu,

ale nie podszedł do skrzynki pocztowej. Minał ją. W sali konferencyjnej dało się słyszeć jęk zawodu.

– To nie on... – powiedział Marek Zaręba niechętnie.

– Poczekajcie – poradził Juliusz Szewczyk. – Popatrzcie dalej na nagranie.

Miłosz Janiszewski mija skrzynkę pocztową. Podnosi rękę w geście pozdrowienia.

– Kogoś zauważył? – powiedziała do siebie Emilia Strzałkowska.

– Cholera jasna, dlaczego tej osoby nie widać! – mruknął pod nosem prokurator Leon Gawroński.

Miłosz Janiszewski zatrzymuje się. Kamera ledwo go obejmuje. Widać tylko tył jego pleców. Dziennikarz stoi w jednym miejscu przez kilka minut.

– Chyba z kimś rozmawia – mruknął Daniel, werbalizując myśli wszystkich zebranych.

– Do takiego właśnie wniosku doszliśmy z chłopakami, którzy to znaleźli – powiedział Juliusz Szewczyk. – Tylko że osoba, z którą Janiszewski rozmawia, niestety jest poza kadrem kamery. Nie wiemy, kto to. Ale zobaczcie, co będzie dalej!

Miłosz Janiszewski odwraca się i idzie z powrotem w kierunku skrzynki pocztowej. Znowu jest w obrębie kamery. Dziennikarz niesie plik kopert. Podchodzi do skrzynki i otwiera klapkę. Wrzuca po kilka kopert naraz. Janiszewski wraca do osoby, z którą rozmawiał przed momentem, a po chwili wychodzi poza kadr kamery.

– Czekaj. Stop. Musimy wiedzieć, z kim Janiszewski rozmawiał! Nie ma tam jakiejś drugiej kamery, co? – zapytała natychmiast Klementyna Kopp. – Takiej, która obejmowałaby dalszą część ulicy? Trzeba sprawdzić, kto dał pismakowi te listy! Wśród nich mogło być pióro!

– Nawet na pewno wśród nich była ta koperta z piórem – zaczął Juliusz Szewczyk. – Jeżeli chodzi o kamerę... To właśnie w tym cały problem. Pomyśleliśmy oczywiście z chłopakami, żeby sprawdzić nagranie z drugiej kamery... Jest jeszcze jedna kamera na końcu Pocztowej od strony Farnej... ona objęłaby ten fragment ulicy...

– Objęłaby? – zapytał powoli prokurator Gawroński.

– Tak jak mówię. Mamy problem... – wyjaśnił Szewczyk. – Wandale zniszczyli tę drugą kamerę i jeszcze nie została uruchomiona ponownie. Nie możemy więc ustalić, z kim rozmawiał dziennikarz.

– Myślicie, że to ma ze sobą jakiś związek? – zapytał natychmiast Marek Zaręba. – Nasz zabójca ją rozwalił, żeby nie można było ustalić jego tożsamości?

– Wątpię – nie zgodził się Daniel Podgórski. – Jeżeli to sprawca zniszczył kamerę na Farnej, to zniszczyłby również tę przy samej poczcie. Przecież ta kamera przy poczcie była nawet ważniejsza, a mamy z niej nagranie.

Juliusz Szewczyk pokiwał głową.

– To prawda – zgodził się przedstawiciel ochotników. – Tylko że tamta kamera z Farnej nie obejmowałaby z kolei skrzynki pocztowej. Żeby zobaczyć wszystko, musielibyśmy mieć nagranie z obu kamer. Tymczasem dysponujemy tylko jedną. Wiemy, że to Miłosz Janiszewski wrzucił listy do skrzynki, ale nie wiemy, kto mu je dał.

– Jedyna możliwość, żeby się dowiedzieć, kto przekazał dziennikarzowi listy, to go przesłuchać – zarządził prokurator Gawroński. – Zróbcie to jak najszybciej. Chcę wiedzieć, kto mu dał te listy.

– Taa... jasne – zaśmiała się Klementyna. – Na pewno pismak wyzna nam wszystko jak na spowiedzi. To oślisły typ. Poza tym swoją kopertę i tak mógł mieć przy sobie. Nie możemy tego wykluczyć, co?

– Przesłuchajcie go – uciął prokurator. – Co mamy dalej?

– Znowu jest kwestia Barbary Krakowiak – zaczęła Emilia Strzałkowska. – Pani Krakowiak zeznała nam wczoraj, że Franciszek Trojanowski wspierał finansowo Towarzystwo Ekologiczne Cygnus. Prawdopodobnie na złość byłemu mężowi Nadii. Chciał osłabić Stanisława.

– Ci z Brod-Dysku umieją sobie zjednywać ludzi – zażartował Marek. – Stanisław Szczepański i Liliana Brzezińska mają strasznie dużo wrogów.

– A jednak to oni żyją, a ich wrogowie nie – mruknęła Emilia.

Dopiero teraz ją to uderzyło. Wszyscy wrogowie Stanisława i Liliany powoli umierali.

– Tak naprawdę to Towarzystwo Ekologiczne Cygnus i sama Barbara Krakowiak cały czas pojawiają się podczas tego śledztwa – przypomniał Daniel. – Pamiętajcie też o tym, że ich znakiem jest łabędź, a na miejscu zbrodni zostawiane były czarne łabędzie pióra.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– W każdym razie według billingów Barbara Krakowiak zadzwoniła do Franciszka Trojanowskiego o godzinie dziewiętnastej pięćdziesiąt pięć. Rozmawiali przez pięć minut – kontynuowała Emilia, przerywając milczenie. – Kolejna ciekawostka. Zaraz potem, dokładnie o dwudziestej osiem, Barbara Krakowiak zadzwoniła do Stanisława Szczepańskiego. Rozmawiali cztery minuty. Pani Krakowiak twierdzi, że dzwoniła do dyrektora Brod-Dysku, żeby go nastraszyć. Z pieniędzmi od Franciszka Trojanowskiego miała zastopować ostatecznie produkcję w fabryce.

– Myślicie, że naprawdę właśnie o tym rozmawiali, co?

Strzałkowska pokiwała głową. Sprawdziła to oczywiście. Wiedziała, że Klementyna Kopp wcześniej czy później o to zapyta.

– Dzwoniłam do Stanisława Szczepańskiego – wyjaśniła Emilia. – Według niego Barbara Krakowiak bełkotała coś bez sensu, ale ogólnie chodziło o zatrzymanie produkcji w Brod-Dysku. Szczepański nie przypominał sobie, żeby pani Krakowiak wspominała o pieniądzach od Franciszka Trojanowskiego. Moim zdaniem Barbara Krakowiak mówi prawdę, a Stanisław kłamie. Zastanawiam się, czy...

– Czy Stanisław Szczepański nie zabił Franciszka Trojanowskiego zaraz po zakończeniu rozmowy z Barbarą Krakowiak – dokończył za Strzałkowską Daniel.

– Trojanowski zmarł między dwudziestą drugą a dwudziestą trzecią – zastanawiał się głośno prokurator Leon Gawroński. – Zobaczmy...

Gawroński podszedł do białej tablicy, która wisiała na ścianie. Zaczął rozpisywać godziny poszczególnych wydarzeń.

19.55–20.00 Barbara Krakowiak rozmawia z Franciszkiem Trojanowskim

20.08–20.12 Barbara Krakowiak rozmawia ze Stanisławem Szczepańskim

22.00–23.00 Franciszek Trojanowski umiera

– Pytanie, czy te dwa telefony mają związek ze śmiercią szachisty? – zapytał Gawroński, odkładając czarny marker.

– Stanisław Szczepański doskonale pasuje na naszego zabójcę – powtórzył Daniel Podgórski. – Szczepański miał motyw, żeby zabić zarówno Małgorzatę Głuszyńską, jak i Franciszka Trojanowskiego. Głuszyńska przeszkadzała mu w pracy, a Trojanowski w życiu prywatnym i, jak teraz się okazuje, w pracy także.

– Waldemara też mógł chcieć zabić – przypomniał Juliusz Szewczyk. – Mówiłem wam przecież, że Gąsiorowski swego czasu utrudniał życie państwu Szczepańskim. Robił im trudności przy tej hodowli ptaków na Wyspie Skarbów.

– No i był ten telefon siódmego maja od Stanisława Szczepańskiego do Waldemara Gąsiorowskiego. To było, jeszcze zanim zaczęło się to wszystko – przypomniała Emilia Strzałkowska. – Chodzi mi o tę rozmowę, której dyrektor Brodysku tak bardzo się wypiera.

– Jak wygląda sytuacja z alibi Stanisława Szczepańskiego na czas śmierci Franciszka Trojanowskiego? – zapytał prokurator.

– Nikola Szczepańska utrzymuje, że spędziła ten wieczór z ojcem. Ale! To też nic nie znaczy – stwierdziła Klementyna Kopp. – Dziewucha mogła kłamać. Odniosłam wrażenie, że to nie byłby jej pierwszy raz.

– Może podsumujmy wszystkich podejrzanych – zaproponował Daniel.

Emilia Strzałkowska zdążyła już zauważyć, że Podgórski bardzo lubił takie zestawienia. I chyba rzeczywiście były pomocne. Daniel wstał i podszedł do tablicy.

– Moge? – zapytał, wskazując na rozpiskę godzinową, którą zrobił przed chwilą na tablicy Gawroński.

Prokurator pokiwał głową.

– Śmiało.

Daniel starł tablicę i sięgnął po marker. Zaczął rysować tabelkę. Wszyscy przyglądali mu się w skupieniu.

Małgorzata Głuszyńska

Waldemar Gąsiorowski

Franciszek Trojanowski

Barbara Krakowiak

Tak

?

Tak

Liliana Brzezińska

Tak

Tak

?

Miłosz Janiszewski

Tak

Tak

?

Stanisław Szczepański

Tak

Tak

Tak

Oliwia Gąsiorowska

Tak

Tak

?

Hubert Przybylski

Tak

Tak

?

Nadia Trojanowska

Tak

?

Tak

Nikola Szczepańska

?

?

Tak

Tadeusz i Hanna Szczepańscy

Tak (przez syna?)

Tak

Tak

Michalina Niewiadomska

Tak

Tak

?

X

?

?

?

– Zapisalem na koncu X, poniewaz nadal nie mozemy wykluczyc mozliwosci, ze sprawca jest ktos inny – wyjasnil Daniel, odkladajac marker. – „Tak” oznacza, ze dana osoba miala jakikolwiek zwiazek z konkretna ofiara lub motyw, zeby ja zabiec. U gory mamy ofiary, a z lewej strony naszych podejrzanych. Barbara Krakowiak wspolpracowala z Malgorzata Gluszynska w Towarzystwie Ekologicznym

Cygnus i była jej sąsiadką. To ona znalazła ciało kwiaciarki. Rozmawiała też z Franciszkiem Trojanowskim niedługo przed jego śmiercią. Liliana Brzezińska jest córką Małgorzaty Głuszyńskiej. Panie były skłócone. Liliana знаła Waldemara przez matkę, z którą emerytowany policjant kiedyś współpracował. Nie wiemy jeszcze, czy rzeczniczka prasowa Brod-Dysku miała jakiś związek z Franciszkiem Trojanowskim. Miłosz Janiszewski był na miejscu zdarzenia bardzo szybko zarówno przy pierwszej, jak i przy drugiej ofierze. Zauważcie jednak, że nie było go na miejscu, kiedy badaliśmy klub szachowy.

– Całe szczęście – mruknęła Klementyna Kopp. – Ale! Masz rację. Nie pomyślałam o tym dotychczas. Dlaczego go nie było, co? Co się zmieniło?

Nikt nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Daniel Podgórski pokiwał tylko głową.

– Kontynuując, Miłosz Janiszewski jest byłym mężem Liliany Brzezińskiej. Współpracował zarówno z Małgorzatą Głuszyńską, jak i z Barbarą Krakowiak w Towarzystwie Ekologicznym. Z Waldemarem Gąsiorowskim też miał kiedyś kontakty. Pamiętam, że dziennikarz zeznał, że poznał Waldemara przez Głuszyńską. Stanisław Szczepański, jak już powiedzieliśmy, miał właściwie związek ze wszystkimi ofiarami. Jako jedyny z wymienionych osób. Oliwia Gąsiorowska i Hubert Przybylski łączą się nam z Małgorzatą Głuszyńską i Waldemarem Gąsiorowskim. Oliwia była córką zabitego, a Hubert przyszłym zięciem. Oliwia współpracowała z kwiaciarką, a Hubert... też, ale inaczej. Nie zapominajmy o kwestii tej małej hodowli marihuany na działce Głuszyńskiej, którą Przybylski prawdopodobnie pomagał kwaciarczy rozkręcić.

Podgórski odkaslnął i sięgnął po butelkę wody.

– Nadia Trojanowska mogła chcieć zabić obecnego męża, żeby wrócić do Szczepańskiego – przyszła mu z pomocą Emilia.

– Wiemy też, że Nadia kupowała trawkę od Małgorzaty Głuszyńskiej. To też jest jakiś związek.

– Dokładnie – zgodził się Daniel. – Jak na razie nie wydaje

się jednak, żeby Nadia Trojanowska była jakoś związana z Waldemarem Gąsiorowskim.

– Czekaj. Stop! Chyba że przez Stanisława Szczepańskiego i jego rodzinę – wtrąciła się Klementyna Kopp. – Nie zapominajmy o tym, co?

Podgórski pokiwał głową.

– Hanna i Tadeusz Szczepańscy też wydają się interesujący – mówił dalej policjant. – Mogli mieć za złe Waldemarowi, że utrudniał im życie w sprawie hodowli ptaków, tak jak mówi Juliusz. Mogli też chcieć pomóc synowi w kwestii Brod-Dysku i pozbyć się Małgorzaty Głuszyńskiej, a potem zlikwidować Franciszka Trojanowskiego, żeby Stanisław Szczepański mógł wrócić do Nadii i Nikoli.

– No i mamy jeszcze Michalinę Niewiadomską – zakończył prokurator Leon Gawroński.

– Postać nader dziwna – zgodziła się Klementyna Kopp.

– Tak. Niewiadomska współpracowała z Głuszyńską i to ona dostała awans zamiast Gąsiorowskiego. Nadal nie wiemy, dlaczego tak się stało – przypomniał Daniel. – Czyli Michalina łączy się nam z dwiema pierwszymi ofiarami, ale nie widać związku pomiędzy nią a szachistą, czyli naszą ostatnią ofiarą.

– Biorąc pod uwagę, że praktycznie nikt nie ma alibi na żadne morderstwo, jesteśmy w dupie – powiedział Juliusz Szewczyk. Zaraz jednak rozejrzał się po sali, jakby poczuł, że posunął się odrobinę za daleko.

– Okej. No dobra. My tu gadu-gadu. Wszystko pięknie. Rozpiska i te rzeczy. Ale! Mnie nadal interesują związki pomiędzy samymi ofiarami – odezwała się nagle Klementyna.

– Wiemy już, że coś było pomiędzy Gąsiorowskim a Głuszyńską. Ja się pytam teraz, jak się ma do tego Trojanowski, co? Coś musi łączyć tę trójkę. Musi być jakiś klucz...

– Zauważcie też – wtrąciła się Emilia – że tylko Franciszek Trojanowski jest jakoś związany z szachami. A inscenizacja partii szachowej wydaje się ważna dla sprawcy.

Leon Gawroński uśmiechnął się znowu do Emilii. Strzałkowska doszła nagle do wniosku, że chyba powinna dać

mu szansę. Przynajmniej żeby wszystko jeszcze raz wyjaśnił. Może policjantka nie powinna od razu wyrzucać go ze swojego życia tylko dlatego, że Leon ma za sobą kłopotliwe przejścia.

– Jest jeszcze jedna rozbieżność pomiędzy ofiarami – powiedział Marek Zaręba, który przez dłuższy czas siedział cicho. – Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale zobaczcie, że Małgorzata Głuszyńska i Waldemar Gąsiorowski zostali zabici w weekend. Głuszyńska w niedzielę wieczorem jedenastego maja, a Gąsiorowski w sobotę wieczorem siedemnastego maja. Tylko Trojanowski umiera w środę wieczorem. Dwudziestego pierwszego maja. Dlaczego?

– Może tak było sprawcy wygodniej. Pamiętaj, że Franciszek Trojanowski miał w zwyczaju zostawać w klubie dłużej właśnie w środy wieczorem – przypomniała sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska.

– W ten sposób wracamy do klubu szachowego i osób, które mogły wiedzieć o przyzwyczajeniach Franciszka – stwierdził Gawroński. – Musicie sprawdzić ten klub i jego członków.

– No i nie zapominajmy o tym drogim zegarze – powiedział Marek Zaręba. – Tylko dom Głuszyńskiej został przeszukany, a później zniknął z niego zegar. To już zupełnie nie pasuje do niczego. Pozostałym ofiarom niczego przecież nie ukradziono.

Liliana Brzezińska zatrzymała samochód przed domem matki w kolonii Żabie Doły. Nie była pewna, dlaczego to zrobiła. Właściwie powinna jechać prosto do Brod-Dysku. W związku z tym, że produkcja miała ruszyć już w poniedziałek, było bardzo dużo rzeczy do zrobienia. Nie powinna niepotrzebnie tracić czasu.

Nie powinna, a jednak to zrobiła. Zaparkowała swoje volvo przed domem matki, zamiast jechać do pracy.

– Idiotka ze mnie – mruknęła do siebie Liliana.

Wysiadła z samochodu i spojrzała w kierunku fabryki. Brod-Dysk nie ucieknie, uznała w końcu. Ruszyła w stronę domu Małgorzaty Głuszyńskiej. Nie była tam od rozwodu z Miłoszem, ale w torebce nadal nosiła klucz.

Weszła na ganek i otworzyła drzwi. Kątem oka zobaczyła poruszenie w domu obok. Ta wścibska Barbara Krakowiak pewnie znowu podgląda zza zasłony. Sąsiadka matki zawsze tak robiła. Mieszła się w nie swoje sprawy.

Brzezińska z trudem powstrzymała się, żeby nie zrobić jakiegoś obscenicznego gestu w stronę domu sąsiadki. Zamiast tego weszła jednak do przedpokoju i szybko zamknęła za sobą drzwi. W domu matki panował nieprzyjemny zaduch. Mimo to Liliana odetchnęła głęboko. W powietrzu unosił się jeszcze zapach Małgorzaty. Było tu jednak jeszcze coś. Zapach śmierci. Liliana była tego pewna. Nie dało się tego pomylić z niczym innym.

Brzezińska poczuła, że dłużej tego nie zniesie. Pootwierała okna. Dom szybko wypełnił się zapachem nadchodzącego lata. Od razu zrobiło się znacznie przyjemniej. Liliana wiedziała, że musi podjąć jakieś działanie. Przecież po śmierci Małgorzaty dom należał do niej.

Zaczęła przechadzać się bez celu. Nic się tu nie zmieniło, oceeniła szybko. Oprócz tego, że teraz panował tu straszny bałagan. Policja najwyraźniej dokładnie przeszukiwała dom.

Liliana weszła do sypialni matki. Tu było jeszcze gorzej niż w salonie. Rzeczy Małgorzaty leżały w całkowitym nieładzie. Brzezińska zaczęła bezwiednie porządkować pokój.

– Posiedzę tu chwilę i zaraz jadę do firmy – powiedziała nie wiadomo do kogo.

Czas płynął, a Liliana nie potrafiła przestać układać znajomych przedmiotów. Wreszcie skończyła sprzątać sypialnię i wróciła do salonu. Cały czas nie mogła się zdecydować na opuszczenie domu. To było dziwne uczucie. Przecież przez tyle lat marzyła tylko o tym, żeby tu nie wracać...

Przejechała palcami po grzbietach książek ułożonych równo na jednej z półek w salonie. Tytuły, które pamiętała od zawsze. Nagle jej ręka zatrzymała się.

– Dziwne – powiedziała do siebie. – Bardzo dziwne.

Zdjęła książkę z półki i zaczęła ją kartkować.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska siedziała przy biurku Franciszka Trojanowskiego w biurze klubu szachowego. Przyniosła sobie krzesło z sali głównej. Nie było przecież mowy, żeby siedziała na fotelu, w którym znaleziono Trojanowskiego. Na samą myśl policjantka zadrżała. Marek Zaręba dotknął delikatnie jej ramienia.

– Wszystko w porządku? – zapytał młody policjant gładko.

Emilia pokiwała głową.

– Jasne. Tylko... no, sam wiesz... Dobra, skupmy się na sprawdzeniu członków klubu – zdecydowała Strzałkowska, biorąc się w garść. – Panie Ireneuszu, mógłby nam pan wskazać odpowiedni plik?

Ireneusz Cieślak siedział z nimi w gabinecie. Wyglądało na to, że on również zaczyna już dochodzić do siebie po znalezieniu ciała szefa.

– Oczywiście.

Ireneusz otworzył plik z listą nazwisk.

– Kto z członków klubu miał dostęp do kluczy od drzwi wejściowych? – zapytała Emilia, przeglądając listę.

– Klucze miał tylko Franciszek, ja, no i sprzątaczką – wyjaśnił Ireneusz Cieślak. – Pozostałe osoby przychodziły już, kiedy klub był otwarty.

– Czyli są tylko trzy komplety kluczy? – upewnił się Marek.

– Tak.

– Koś mógł dorobić klucz – zastanawiała się Strzałkowska, dalej przeglądając plik z nazwiskami. – No proszę, Marek, zobacz tu.

– Tadeusz Szczepański?

Strzałkowska pokiwała głową. O tym, że Nikola Szczepańska należy do klubu szachowego, wiedzieli od początku. Jednak fakt, że dziadek Nikoli, właściciel hodowli ptaków ozdobnych, również należał do klubu, był całkowitą nowością.

– Tak. Pan Tadeusz Szczepański formalnie należy do klubu – potwierdził Ireneusz Cieślak, widząc ich zainteresowanie. – Ale on rzadko do nas przychodzi. Kiedy Nikola grała profesjonalnie, bywał tu często. Od ślubu Franciszka Trojanowskiego z Nadią nie przychodził do nas wcale. Chyba

się obraził.

– Jest pan pewien? – zapytał Marek.

Ireneusz pokiwał głową.

– Najzupełniej. Ja tu jestem praktycznie codziennie i go nie widziałem.

– Czy Tadeusz Szczepański mógł mieć klucz od klubu?

Ireneusz Cieślak wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ale szczerze wątpię. Myślę, że nawet Nikola nie miała swojego klucza.

– No, chyba że wzięła go od Franciszka – zastanawiał się głośno Marek Zaręba. – Przecież mieszkali w jednym domu.

Emilia pokiwała głową. Wyglądało na to, że sprawa kluczy to kolejna ślepa uliczka w ich śledztwie. Nawet jeżeli przesłuchaliby Tadeusza Szczepańskiego, on i tak nie przyznałby się, że dysponuje kluczem od klubu szachowego.

– Wspomniał pan, że tu jest jakaś sprzątaczką – przypomniał Marek Zaręba. – Ona ma trzeci komplet kluczy, tak? Jak ona się nazywa?

– Tak, sprzątaczką ma trzeci komplet – zgodził się Ireneusz Cieślak. – Nazywa się Oliwia Gąsiorowska.

Oliwia Gąsiorowska. Emilia Strzałkowska i Marek Zaręba spojrzeli po sobie. Córka Waldemara Gąsiorowskiego i pomocnica Małgorzaty Głuszyńskiej pracowała teraz jako sprzątaczką w klubie szachowym, gdzie umarła kolejna ofiara. Czy to mógł być zbieg okoliczności?

– Czy ta Oliwia pracuje tu u was od dawna? – zapytał ostrożnie Zaręba.

Ireneusz pokręcił głową.

– Nie. To znaczy może inaczej. Właściwie to pani Oliwia w ogóle nie pracuje u nas na stałe. Zastępuje tylko koleżankę, która gdzieś wyjechała. Z tego, co ja wiem – wyjaśnił Cieślak. – Tak wspominał chyba Franciszek. Pani Oliwia jest z nami jakiś tydzień czy coś koło tego. Może trochę dłużej. Daliśmy jej klucz, żeby mogła sprzątać rano albo wieczorem. Kiedy jej wygodnie. Nie baliśmy się, że coś ukradnie, bo jest z polecenia naszej stałej sprzątaczką.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska znowu wymieniła

spojrzenia z Markiem Zarębą. Z Oliwią Gąsiorowską należało raz jeszcze porozmawiać. Policjantka postanowiła niezwłocznie poinformować o nowym odkryciu Daniela i Klementynę. Prawdopodobnie to oni będą chcieli przesłuchać córkę Waldemara. Emilia nie chciała im wchodzić w drogę. Wystarczyło jej już kłótni z Klementyną.

Miłosz Janiszewski zerknął na wyświetlacz. Znowu dzwoniła do niego ta komisarz Kopp. Nie zamierzał teraz odbierać. To nie był moment na rozmowy z policją.

Janiszewski wiedział już właściwie wszystko, czego potrzebował. Sam nie mógł uwierzyć, że to się akurat tak potoczyło. Niemniej zamierzał wykorzystać to jak najlepiej. Nowe informacje bez wątpienia pomogą mu dalej dążyć do pogrążenia Liliany. O tak.

Telefon znowu zawibrował. Dziennikarz włożył go ze złością do kieszeni. Po chwili wyjął go i wyłączył. Tak było najlepiej. Teraz mógł spokojnie działać dalej.

A działać musiał! Miłosz Janiszewski był pewien, że ta sprawa to temat jego życia.

ROZDZIAŁ 34

Lipowo i Brodnica.

Piątek, 23 maja 2014. Po południu

Komisarz Klementyna Kopp wykręciła numer Miłosza Janiszewskiego. Po raz kolejny włączyła się poczta głosowa. Policjantka zakłęła pod nosem. Próbowwała dodzwonić się do pismaka już wielokrotnie tego dnia. Dziennikarz wciąż nie odbierał. Teraz najwyraźniej wyłączył telefon. W co on grał?

– Może sprawdzimy w redakcji „Prawdziwego Głosu” – zaproponował Daniel Podgórski. – Miłosz Janiszewski może tam być.

– Okej. No dobra. Zadzwonię do tego szmatławca, kiedy skończymy rozmawiać z Oliwią Gąsiorowską, co? – zaproponowała Klementyna Kopp. – Pismak nie może mnie unikać cały czas. To miasto jest za małe, żeby się przede mną ukrył.

Oliwia Gąsiorowska czekała już na nich w sali przesłuchań numer dwa. Nie było mowy o swobodnej pogawędce w gabinecie. Tym razem komisarz Kopp chciała, żeby wszystko wyglądało jak najbardziej formalnie. Metoda zdawała się działać, bo dziewczyna wyglądała na zupełnie roztrzęsioną.

– No więc tak. Znowu się spotykamy, co? – zaczęła Klementyna.

Policjantka nie usiadła. Nie należała do zbyt wysokich, a teraz chciała górować nad Oliwią. Wszystkie chwytły dozwolone w tym zawodzie. Daniel włączył dyktafon, podał datę i cel przesłuchania oraz osoby, które biorą w nim udział.

– Podobno od niedawna sprzątasz w klubie szachowym, co? – zapytała komisarz Kopp, kiedy tylko Daniel skończył. – Ledwo Głuszyńska umiera, ty od razu pędzisz do nowej pracy, co? I niespodzianka. Twój kolejny szef umiera! Dobrze sobie!

Oliwia zadrżała.

– Miałam taką możliwość, więc postanowiłam ją wykorzystać. Nie wszyscy są bogaci, nie? – powiedziała nerwowo Gąsiorowska. Skubała niespokojnie tlenione włosy. Klementyna miała wrażenie, że słyszy dźwięk łamania spalonych utleniaczem końcówek. – Moja przyjaciółka nie może tam na razie pracować, więc dała mi możliwość zarobku. Co miałam robić? Odrzucić?

– Dysponowałaś kluczem od klubu, prawda? – zapytał Daniel. Jak zwykle mówił dużo łagodniej niż Klementyna.

– Tak, miałam klucz... ale to nie ja zabiłam pana Trojanowskiego – zawyła niemal Oliwia. – Przysięgam!

Nagle dziewczyna zaczęła głośno płakać. Łzy spływały po jej twarzy, tworząc głębokie bruzdy w grubej warstwie ciężkiego podkładu. Wyglądało na to, że córka Waldemara Gąsiorowskiego zupełnie straciła nad sobą kontrolę. Klementyna liczyła, że tak się stanie. Ale nie spodziewała się, że pójdzie to tak szybko. Widocznie stres ostatnich dni sprawił, że dziewczyna od dawna była na skraju załamania. Przesłuchanie w komendzie przepełniło tylko czarę goryczy.

– To nie ja zabiłam Franciszka Trojanowskiego! – krzyczała Oliwia zupełnie już wytrącona z równowagi. – To nie ja! To nie tak było!

– Więc jak było, co? Powiedz po kolei.

– Przyszłam do klubu rano i go znalazłam – chlupała Oliwia Gąsiorowska. – Nie żył. Wpadłam w panikę. Nie wiedziałam, co mam robić... zadzwoniłam do Huberta, a on powiedział, żebym stamtąd wyszła i zamknęła drzwi. Tak właśnie zrobiłam! Jak tam weszłam, Trojanowski już był martwy.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś do nas? – zapytał Daniel.

Oliwia zaśmiała się gorzko.

– Miałam zadzwonić na policję? Teraz? Ja? Chyba nie jestem głupia, nie? Przecież wiem, że podejrzewacie mnie i Hubiego.

– Okej. No dobra – powiedziała Klementyna spokojnie. Te pokazy hysterii zaczynały ją już męczyć. Ale nerwy trzeba było trzymać na wodzy. – Załóżmy na chwilę, że ci wierzymy, co?

Oliwia pokiwała głową. Na jej twarzy pojawiła się nadzieja.

– Mówisz, że zamknęłaś za sobą drzwi na klucz. Ale! Jak przyszedłaś rano do klubu, to drzwi były otwarte czy zamknięte, co? – zapytała komisarz Kopp. – Zastanów się dobrze.

Ciałem Oliwii Gąsiorowskiej zaczęły wstrząsać spazmatyczne szlochy. Klementyna Kopp odchrząknęła głośno.

– Co ja teraz zrobię, jak tatusia już nie ma! – zawołała Gąsiorowska. – Ja...

– Drzwi były otwarte czy zamknięte, co? – nalegała policjantka. Czuła, że za chwilę straci panowanie nad sobą. Nienawidziła takich scen.

– Chyba otwarte – wykrztusiła w końcu Oliwia. – Tak, na pewno były otwarte, jak tak teraz o tym myślę. Pamiętam, że się trochę zdziwiłam, nie? Dopiero kilka razy tam byłam, ale nikt nie przychodził do klubu przed jedenastą. Zresztą tak mi mówiła ta znajoma, nie? Że nie muszę się zrywać skoro świt, bo tam i tak zwykle rano nikogo nie ma.

– Czyli jak rano przychodziłaś, to normalnie drzwi były zamknięte. Ale! Tym razem były otwarte. Tak czy nie, co?

Oliwia pokiwała głową.

– Trzeba mówić, nie kiwać. Musi się nagrać – poinstruowała Klementyna, wskazując na dyktafon.

– Tak – odpowiedziała słabo dziewczyna.

Klementyna Kopp czuła, że wielbicielka solarium nie kłamie. Nie zamierzała jednak rezygnować z przyciśnięcia jej jeszcze bardziej.

– A ty gdzie byłaś wczoraj wieczorem, co? Alibi masz?

Oliwia Gąsiorowska znowu zaczęła płakać.

– Klementyna... – zaczął Daniel Podgórski.

– Gdzie byłaś? – zapytała jeszcze raz twardo komisarz Kopp, ignorując Daniela.

– Byłam z Hubim... to znaczy z Hubertem Przybylskim – poprawiła się Oliwia Gąsiorowska przez łzy. – My... ja... on ukradł coś z domu Małgorzaty Głuszyńskiej i zastanawialiśmy się, co z tym zrobić.

Niespodziewane wyznanie wisiało przez chwilę w powietrzu. Dziewczyna znowu zaczęła płakać.

– Nie chcę iść do więzienia!

– Co to było? – wykrztusił Daniel. – Co ukradliście kwiaciarce?

– Taki okropnie brzydki zegar... – wyjaśniła Oliwia przez łzy.

– Tatuś mówił, że ten zegar jest cenny. Jeszcze zanim umarł...

Znowu płacz.

– Czyli to Waldemar Gąsiorowski powiedział wam o zegarze, co? – zapytała Klementyna. – Skąd wiedział, że kwiaciarka go ma?

Oliwia Gąsiorowska znowu pokiwała głową. Policjantka rzuciła jej wymowne spojrzenie.

– Trzeba mówić – przypomniała.

– Tak – poprawiła się zaraz dziewczyna. – Tata znał kiedyś panią Małgoškę i wiedział, że ona ma ten zegar. Podpowiedział nam, że gdybyśmy go wzięli, tobyśmy byli ustawieni z Hubim na długo, nie? Masakra jakaś. Nie chcę iść do więzienia za ten zegar. On nie jest nawet ładny.

– Zeznawaj grzecznie, to może pójdziemy na jakiś układ – rzuciła Klementyna. Pewnie pozostali nie będą zbyt zadowoleni, że sama podejmuje takie decyzje. Ale komisarz Kopp nie przejmowała się tym zanadto. Nie chciała tracić więcej czasu na histerie tej laluni. – Oddajecie zegar i zeznajesz grzecznie, to może jakoś z tego wyjdziecie z Hubertem... Przybylskim... co?

Znowu to nazwisko. Teresa...

– Dziękuję pani, dziękuję – zaczęła płaczliwie Oliwia. Chciała chwycić Klementynę za rękę. Policjantka odtrąciła ją jednak z niesmakiem.

– To jak to było, co? – zapytała ostro. – Zacznijmy od tego, kiedy Waldemar powiedział wam o zegarze, co?

– Tatuś wymyślił kradzież tego zegara z pół roku temu – przyznała Oliwia Gąsiorowska. – Ja pracowałam w kwaciarni Oleander już jakiś czas. Tylko nie było okazji ukraść tego zegara. Tak się trochę czailiśmy z Hubertem, nie? Hubi czasem tak musi się namyślić, zanim zacznie działać. Tatuś się z Hubim droczył na ten temat... Ano tak, o to się właśnie pokłócili przed śmiercią tatusia, że Hubi tak zwleka z tą kradzieżą. To teraz się zdobył na odwagę. Dopiero jak tatuś już

umarł. Masakra jakaś, nie?

– Pobierzemy sobie odciski palców, co?

– Ja nikogo nie zabiłam! My tylko chcieliśmy ukraść ten zegar! Oddamy go. Obiecuję!

Komisarz Klementyna Kopp czuła, że dziewczyna mówi prawdę. Przynajmniej jedna tajemnica została wyjaśniona, co nie oznaczało jednak, że Hubert... Przybylski... na pewno jest niewinny.

– W sypialni kwaciarki gmeraliście, co?

– Co? Nie! Hubi tylko wszedł po zegar... umie otwierać zamki... nic więcej nie zabrał. Oddamy zegar, obiecuję, nie? Czyli nie pójdziemy do więzienia?

– Zobaczmy – mruknęła Klementyna. – Hubert też ma się stawić na pobranie odcisków. Potem zobaczymy.

– Zaraz go zawiadomię. Wszystko zrobimy. Tylko nie będzie konsekwencji, nie? Oddamy ten ohydny zegar!

Komisarz Klementyna Kopp wzruszyła ramionami.

Stanisław Szczepański siedział w kuchni domu Franciszka Trojanowskiego. Mimo wszystko było to dziwne uczucie. Jakby wszedł na teren zakazany i w każdej chwili mógł ponieść za to karę. Dyrektor Brod-Dysku odgonił te natrętne myśli. Franciszek Trojanowski już przecież nie żył.

Właściwie Stanisław Szczepański powinien być w Brod-Dysku, ale przestało go to interesować. Nikola i Nadia były teraz zdecydowanie ważniejsze. Tym bardziej że w obliczu śmierci Franciszka Trojanowskiego Nadia najwyraźniej wybaczyła Stanisławowi błąd z kochanką. A przynajmniej nie patrzyła już na Szczepańskiego spod oka. Stanisław gotów był nawet zaryzykować twierdzenie, że była żona patrzyła na niego jak dawniej. O Nikoli nie trzeba było nawet wspominać. Córka zawsze była po jego stronie. Teraz znowu byli we trójkę. Tak jak powinno być.

– Myślałem nad tym – powiedział Stanisław, kiedy usiedli wszyscy razem. – Nadia, myślę, że powinniśmy do siebie wrócić. Dać sobie jeszcze jedną szansę. Co o tym myślisz?

Możemy nawet znowu wziąć ślub. Tym razem taki z prawdziwego zdarzenia. Obiecuję.

Ich pierwszy ślub nie był zbyt okazały. Powód był prozaiczny: brak funduszy. Stanisław zaczynał wówczas swoją przygodę z biznesem, a rodzice inwestowali wszystko, co mieli, w hodowlę ptaków. Z konieczności uroczystość zaślubin była niezbyt okazała. Teraz sprawy miały się zupełnie inaczej. Szczepański był człowiekiem dobrze sytuowanym, a Nadia odziedziczyła majątek Franciszka Trojanowskiego. Byli bogaci.

– Część pieniędzy moglibyśmy zainwestować w Brod-Dysk – mówił dalej Szczepański. Wiedział, że Nadia domyśla się, że chodzi mu o majątek Franciszka. – Dostałabyś oczywiście dużą część udziałów w fabryce. Możemy też zarządzać razem tymi cukierniami Trojanowskiego i jego rodziców. Przejmiemy też klub szachowy. Nikolka mogłaby wrócić do gry.

– No nie wiem... – odparła Nadia Trojanowska. Wyglądała na zamyśloną. – Już raz mnie zdradziłeś. Nie wiem, czy mogę ci ufać.

– To się nie powtórzy – obiecał Szczepański. – Jestem już teraz innym człowiekiem.

– Mamo, daj tacie szansę. Z tym ślubem byłoby ekstra! – krzyknęła Nikolka. – Moglibyśmy gdzieś wyjechać na wasz miesiąc miodowy. Byłoby super. Myślałam o Tajlandii! Albo może Baleary? Ekstra!

Stanisław Szczepański uśmiechnął się szeroko. Oby tylko policja nie grzebała za głęboko, wszystko miało nareszcie szansę się ułożyć.

Zrobiło się już całkiem późno. Szef techników kryminalnych robił właśnie porównanie ostatniego zestawu odcisków palców z zestawem NN powtarzającym się na trzech szachownicach pozostawionych przez mordercę.

Technik przyjrzał się odbitkom linii papilarnych nieznannej osoby zebranych z trzech szachownic. Odciski palców charakteryzują się tak zwaną zasadą 3N. Są niezmiennie, nieusuwalne i niepowtarzalne. Linie papilarne w nieznanym

zestawie należały do najczęściej występującego wzoru zwanego pętlicowym, gdyż miały tylko jedną deltę.

Technik zerknął na wyniki analizy.

Zgodność.

Liczba punktów wspólnych pomiędzy zestawem NN z szachownic a zestawem pobranym od jednej z podejrzanych osób przekroczyła magiczną granicę piętnastu. Technik wiedział już, do kogo należały odciski palców z szachownic.

Mężczyzna zerknął na zegarek. Było już naprawdę późno. Zastanawiał się, czy zadzwonić do prokuratora Leona Gawrońskiego albo do komisarz Klementyny Kopp teraz, czy może poczekać z tym do rana. Przecież przez noc chyba nic wielkiego się nie stanie. A może?

Po namyśle technik wybrał numer prokuratora Gawrońskiego. Czekał chwilę, ale nikt nie odbierał. Spróbował telefonu Klementyny, ale również bez powodzenia. W końcu postanowił, że przejdzie się do gabinetu pani Kopp. Policjantka z reguły pracowała w Komendzie Powiatowej do późna.

Technik szedł niechętnie pustym korytarzem. On i Klementyna Kopp nie przepadali za sobą. Trudno powiedzieć dlaczego, ale tak właśnie było. Wcale nie miał ochoty z nią rozmawiać. Mimo to zapukał do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Technik nacisnął klamkę, ale gabinet był zamknięty.

Cóż. Sprawa będzie musiała poczekać do jutra. Byle tylko nic nowego się nie stało.

Michalina Niewiadomska wpatrywała się w telefon. Komórka zawsze wydawała jej się zdradzieckim wynalazkiem. Człowiek w każdej chwili mógł zostać wysłyszony i podsłuchany. Czasem się jednak przydawała. Na przykład dziś. Michalina rozmawiała z Miłoszem Janiszewskim. Z tego, co się zorientowała, dziennikarz zdawał się wszystko już wiedzieć.

A więc to koniec...

Niewiadomska zamknęła się w swoim pokoju. Umierała. Czowała to całą sobą. Choroba robiła szybkie postępy. Niewiadomska nie zamierzała jednak dopuścić do tego, żeby te

ostatnie chwile były gorzkim pobytem w więzieniu, gdzie kiedyś pracowała jako strażniczka. Nie wróci do Starych Świątek w kajdankach. Zrobi wszystko, żeby tego uniknąć.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska spojrzała na swoją twarz w lustrze. Miała podkrążone oczy i zapadnięte nieco policzki. Kiedy to się stało? Śmierć Franciszka Trojanowskiego bardzo ją przybiła. Tym bardziej że policjantka miała wrażenie, że jest jedyną osobą, która przejmuje się odejściem szachisty.

Był piątkowy wieczór. Emilia zgodziła się na kolejne spotkanie z prokuratorem Leonem Gawrońskim. Poszli do tej samej restauracji co wcześniej. To nie była randka, to był czas na rozmowę. Rozmowa to przecież nic zdrożnego, mimo tajemnicy, którą prokurator ukrywał.

To nic zdrożnego... Tak się Strzałkowskiej przynajmniej wydawało. Jednak przy pierwszej możliwej okazji policjantka wymknęła się do toalety. Czuła się winna. W stosunku do syna, którego znowu zostawiła w domu. W stosunku do siebie i do świata w ogólności. Wiedziała, że taplanie się w poczuciu winy jest bez sensu, ale nie potrafiła przestać.

Emilia wyszła z kabiny i stanęła przed lustrem. Wyjęła z torebki telefon i przez chwilę obracała go w dłoniach. Strzałkowska poprosiła Daniela Podgórskiego, żeby spędził ten wieczór z Łukaszem. Nie chciała powtórki z ostatniego razu. Daniel wydawał się zachwycony pomysłem spędzenia czasu z synem. O dziwo Łukasz także nie narzekał. W jakiś sposób im Emilia była dalej, tym bardziej ojciec i syn się do siebie zbliżali.

Nagle poczuła ukłucie zazdrości. Łukasz był jej synem. To ona nosiła go w sobie przez dziewięć miesięcy i to ona go wychowała. Ona! Nie Daniel! Emilia wybrała numer Łukasza, ale szybko się rozłączyła. Chyba lepiej im nie przeszkadzać. Swoją idiotyczną zazdrością pomieszaną z wyrzutami sumienia mogła zniszczyć coś i tak bardzo kruchego. Trzeba się wziąć w garść.

Emilia westchnęła i spojrzała na siebie w lustrze. Kłopot polegał na tym, że nie była pewna, jak się zachowa, kiedy wróci

teraz do stolika. Do Leona Gawrońskiego.

– Weź się w garść – rozkazała sobie cicho. – Cholera, weź się w garść!

Kobieta, która malowała się przy sąsiednim kranie, zerknęła na Emilię spod oka.

– Gdybym ja przyszła tu z takim ciachem, nie siedziałabym w kiblu – skomentowała od niechcenia. – Nie każdej się trafia ktoś taki.

Emilia Strzałkowska spojrzała na kobietę zaskoczona. Nieznajoma miała trochę racji. Prokurator Gawroński z pewnością był przystojny. Nawet bardzo. Zdawał się też uprzejmy i miły. Jednak skrywał sekret, który Emilii trudno było zaakceptować. Tego ta kobieta nie mogła przecież wiedzieć.

Policjantka odwróciła się od niej i wyszła z łazienki bez słowa. Mogli przynajmniej pogadać.

– Wszystko w porządku? – zapytał prokurator, kiedy Strzałkowska usiadła z powrotem przy stoliku.

Leon Gawroński ubrany był w dżinsy i rozpiętą pod szyją granatową koszulę. Emilia nie uważała się za znawczynię mody, ale podobał jej się taki niezobowiązujący styl.

– Tak, jasne. Jestem tylko trochę zmęczona. To wszystko.

– Emilia – zaczął prokurator z tym swoim zniewalającym uśmiechem. – Naprawdę cię lubię, mimo że nie znamy się zbyt długo. Myślę, że chciałbym cię bliżej poznać. Dlatego właśnie nie chcę cię oszukiwać. Dlatego powiedziałem ci prawdę o sobie.

– Wiem. Dzięki – odparła Emilia. Upiła łyk czerwonego wina, które podano im do kolacji. – Jestem tylko trochę zaskoczona. Nie codziennie spotyka się takie historie. Po prostu nie wiem, co o tym myśleć.

Leon Gawroński pokiwał powoli głową, jakby ją rozumiał.

– Chciałabyś się ze mną spotykać mimo to? – zapytał ostrożnie.

Emilia spojrzała na prokuratora. Serce biło jej szybciej. Bardzo chciała dzielić życie z jakimś mężczyzną, ale musiała przecież myśleć o Łukaszu. Przede wszystkim była matką. Na

drugim miejscu policjantką. Dopiero na trzecim kobietą.

– Emilia?

Strzałkowska pokiwała powoli głową.

– Możemy spróbować. Tylko pamiętaj, że ja też wchodzę w to z bagażem doświadczeń – powiedziała. – Mam syna, który dopiero kilka miesięcy temu dowiedział się, kto jest jego ojcem. To nie jest łatwa sytuacja. Teraz ty miałbyś wejść w życie Łukasza... wiem, że okazjonalne randki to nie jest jeszcze ślub i zobowiązanie na całe życie. Tylko wiesz...

Siedzieli przez chwilę w ciszy.

– Potrzebuję czasu. Chciałabym, żebyś to uszanował – dokończyła Emilia po chwili. – Mój syn też potrzebuje czasu.

Gawroński pogłaskał ją po policzku.

– Oczywiście – zapewnił. – Rozumiem to.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska spojrzała na Leona Gawrońskiego uważnie. Prokurator uśmiechnął się serdecznie. Z mroczną tajemnicą czy bez wydawał się dobrym człowiekiem.

Tadeusz Szczepański usiadł nad dokumentami. Miał przed sobą podwójny zestaw ksiąg rachunkowych hodowli i drugi taki sam zestaw dla Brod-Dysku. Zanim założył hodowlę ptaków, przez wiele lat był księgowym w wielkim zakładzie produkcyjnym. Wiedział, jak się do tego zabrać.

Tadeusz zapisał ostatnie zakupy, które zrobili z synem w Zakładzie Chemicznym Grabowski. Działali z synem na granicy prawa, ale Szczepański był bardzo zadowolony z oszczędności, które dzięki temu poczynili.

– Tak trzymać – mruknął do siebie.

Usłyszał, że nadchodzi Hanna. Schował księgi szybko. Żona bywała dociekliwa, ale też zadziwiająco naiwna. Właśnie dlatego Tadeusz Szczepański nie mówił jej o wszystkim. Za bardzo by się denerwowała. Wystarczyło jej tej historii z Waldemarem Gąsiorowskim. O wizycie w Grabowskim Hanna wiedziała, ale tylko tyle, ile było trzeba. Tak powinno zostać.

Komisarz Klementyna Kopp usiadła przy stole w swoim pustym małym saloniku, który był właściwie jedynym pokojem w jej mikroskopijnym mieszkanku. Włączyła laptop. Józek przeszedł po blacie, podnosząc wysoko ogon. Jego kroki były zwinne i delikatne. Ledwo słyszalne. Jakby Don José płynął, a nie szedł.

Klementyna obserwowała przez chwilę czarnego kota z dziwnym rozczuleniem. Józek zupełnie ignorował jej zainteresowanie. Pokręcił się po stole, po czym najspokojniej usiadł na klawiaturze laptopa. Zaczął głośno mruczeć. Wyglądał na zachwyconego swoim nowym siedziskiem.

– Józek, złaź, co? – rozkazała Klementyna z rozbawieniem. Kot nie zareagował.

Klementyna Kopp uśmiechnęła się szeroko. Czuła się lekko. Zazwyczaj o tej porze siedziała samotnie w komendzie i pracowała nad czymś. Czymś. To było dobrze powiedziane. Zawsze potrafiła znaleźć coś, nad czym mogłaby popracować. Nawet jeżeli aktualnie nie prowadziła żadnej ważniejszej sprawy. Robiła wszystko, byle tylko nie wrócić do domu.

A teraz? Policjantka wyłączyła telefon i delektowała się czyjąś obecnością w swojej samotni. Chociażby kocią. Dobrze było dla odmiany posiedzieć z kimś w domu. Klementyna od razu pomyślała o Lilianie. Nie ma mowy, Kopp, upomniała się w duchu. Póki trwało śledztwo, Klementyna nie zamierzała poświęcać Lilianie ani jednej myśli. Chyba że jako podejrzonej w sprawie, poprawiła się policjantka. Klementyna nie chciała popełniać już więcej głupich błędów.

– Józek, złaź! – poprosiła znowu komisarz Kopp.

Don José ani myślał się ruszyć, więc zdjęła go ostrożnie z klawiatury. Kot wyglądał na zniesmaczonego takim nietaktem. Odszedł z godnością i wskoczył na parapet. Usadowił się wygodnie i zaczął wyglądać przez okno. Jego ogon poruszał się rytmicznie.

– Tam możesz siedzieć – powiedziała Klementyna, żeby ugruntować swoją pozycję w tym niewielkim stadzie. Mina zwierzaka wskazywała jednak na to, że już uważał się za

właściciela całego mieszkania. To on łaskawie zezwalał Klementynie siedzieć przy stole. – Niech ci będzie. A teraz zabieramy się do pracy, co?

Komisarz Kopp otworzyła plik, w którym spisała wszystkich podejrzanych i robiła notatki na ich temat. Przy nazwisku Miłosza Janiszewskiego nadal było zadziwiająco mało faktów. Przez cały dzień próbowała się z nim skomunikować, żeby umówić się na przesłuchanie. Ale pismak nie odbierał. W końcu Klementyna zdobyła się na telefon do redakcji „Prawdziwego Głosu”. Brzydziła się tym szmatławcem. Wyglądało jednak na to, że nie ma innego wyjścia.

Kiedy komisarz Kopp wyjaśniła niezbyt rozgarniętej recepcjonistce, z czym dzwoni, dziewczyna połączyła ją z redaktorem naczelnym. Dobrze i to. Niestety Klementyna musiała po raz kolejny wytłumaczyć powód swojego telefonu. Wprawilo ją to w jeszcze większą irytację.

– Szukam Janiszewskiego – powiedziała przez zaciśnięte zęby pani komisarz. Żałowała, że nie może pomachać swoją policyjną odznaką. To zwykle działało. – Jest tam może u was, co? To ważne.

– Miłosz Janiszewski już u nas nie pracuje – wyjaśnił redaktor naczelny Ignacy Sikora. Mówił cierpliwie, jakby powtarzał to już kilkakrotnie.

– Czekał. Stop – przerwała mu Klementyna. – Jak to u was nie pracuje, co? Przecież kilka dni temu puściliście jego artykuł o tym, że Liliana Brzezińska zamawia fosgen mailem, co?

Ignacy Sikora westchnął.

– Właśnie między innymi z tego powodu już go u nas nie ma – wyjaśnił Sikora. – Chciałem dać mu szansę. To był kiedyś wspaniały dziennikarz śledczy. Niestety od pewnego czasu miał prawdziwą obsesję na punkcie tego całego Brod-Dysku i swojej byłej żony. Pisał tylko o tym. Naszym czytelnikom się to przejadło, więc powiedziałem, żeby Miłosz poszedł na urlop i odpoczął od ciągłego myślenia o Lilianie i zemście na niej. Potem wrócił do mnie z tym materiałem o fosgenie zamawianym mailem z Chin. Wydawał się przekonany o prawdziwości swoich twierdzeń. Przekonał także i mnie, więc

to puściłem. Wydawało mi się to dość mocne. Po waszej interwencji zostaliśmy jednak wyśmiani. Nie mam ochoty na dalszą współpracę z Miłozsem. Przynajmniej dopóki trochę nie ochłonie.

Klementyna parsknęła śmiechem.

– Pismak sfabrykował dowody. Też mi wyczyn. Chyba nie powinno wam to przeszkadzać, co? I tak wypisujecie całkowite brednie.

– Pani komisarz – obruszył się Ignacy Sikora. – Piszemy o tym, o czym nasz czytelnik chce czytać i tyle. Taka jest nasza rola.

– Czyli nie wiesz, gdzie jest Janiszewski, co? – wróciła do tematu komisarz Kopp. – Ani jak mogę się z nim skomunikować, co?

– Nie ma go tu. Po tej aferze ze sfabrykowaniem materiału do artykułu już się ze mną nie kontaktował – wyjaśnił Sikora. – To znaczy może źle mówię. Nie widziałem Miłozsa twarzą w twarz, że tak się wyrażę.

– Czyli?

Ignacy Sikora westchnął głośno.

– Miłoz Janiszewski zadzwonił dziś do mnie, że ma coś jeszcze lepszego niż te maile – poinformował redaktor naczelny. – Twierdził, że to temat jego życia.

Klementyna mocniej przycisnęła telefon do ucha.

– To znaczy co? – dopytywała się. – Mówił o szczegółach, co?

– Nie wiem, o co chodziło. Rozumie pani chyba, że tym razem byłem dość sceptycznie nastawiony do jego kolejnych rewelacji – odparł redaktor naczelny. – Nie chciałem drugiej takiej wpadki jak z tymi mailami Liliany do Chin. Nie wykazałem zainteresowania, więc Miłoz niczego nie wyjaśnił. Powiedział, że zbierze więcej dowodów i jeszcze się ze mną skontaktuje.

– Zadzwonił potem, co? – chciała wiedzieć Klementyna.

– Nie.

– Masz jego adres, co?

– Tak. Miłoz od rozwodu z Lilianą mieszka na Strzeleckiej, tu niedaleko.

Policjantka zapisała adres Janiszewskiego i rozłączyła się bez

pożegnania. Zastanawiała się, czy pismak naprawdę coś odkrył. Nagranie z kamery monitoringu sugerowało, że Miłosz Janiszewski mógł mieć coś wspólnego z wysyłaniem czarnych piór do ofiar. Jeżeli sam nie był mordercą, mógł przynajmniej wiedzieć, kto te pióra wysłał.

– Czy to o tym chciał pisać teraz, co? – zapytała Klementyna czarnego kota siedzącego na parapecie.

Don José spojrział na policjantkę z politowaniem. Komisarz Kopp postanowiła zostawić na razie kwestię Miłosza Janiszewskiego. Tym zajmie się jutro z samego rana. Może nawet pójdzie do mieszkania dziennikarza i sobie z nim pogada. Tak chyba będzie najlepiej. Pismak nie może jej unikać bez końca.

Policjantka zamknęła plik z notatkami na temat podejrzanych i otworzyła drugi, z informacjami o ofiarach. Chciała poszukać jakiegoś związku pomiędzy Franciszkiem Trojanowskim a Małgorzatą Głuszyńską i Waldemarem Gąsiorowskim. To mogło być kluczem do rozwiązania całej sprawy. Tak podpowiadała Klementynie intuicja.

Franciszek Trojanowski nadal stanowił zagadkę. Szachista nie pasował do obrazka, który tworzyły dwie pierwsze ofiary. Dlaczego Trojanowski zginął? Żeby odpowiedzieć sobie na to pytanie, Klementyna potrzebowała więcej danych. Zaczęła szukać informacji o Trojanowskim w ogólnodostępnej przeglądarce. To na początek. Może nie było to całkiem wiarygodne i wyczerpujące źródło, ale czasem okazywało się całkiem przydatne.

Komisarz Kopp klikała przez chwilę wśród wyników wyszukiwania. Szachista miał nawet swój wpis na Wikipedii. Klementyna przejrzała go szybko. Zagwizdała, budząc tym zainteresowanie Józka. Wyglądało na to, że w dziedzinie szachów Franciszek Trojanowski rzeczywiście całkiem dużo osiągnął. Policjantka zjechała kursorem niżej i przeczytała biografię szachisty.

– Najlepiej, gdyby się okazało, że on też jest byłym funkcjonariuszem jakichkolwiek służb. Pasowałby wtedy do Głuszyńskiej i Gąsiorowskiego – poinformowała kota. – Ale!

Nie ma tak łatwo. Trojanowski całe życie zajmował się szachami.

Czarny kot zignorował słowa Klementyny. Policjantka czytała dalej. Rzeczywiście wyglądało na to, że Trojanowski całe życie zajmował się szachami. Utrzymywał się zaś z sieci cukierni, które należały do jego rodziców.

Komisarz Kopp weszła na stronę rodzinnej firmy Trojanowskich. Rodzice Franciszka żyli i mieli się dobrze. Byli jednak poza podejrzeniami, jeżeli chodzi o śmierć syna. Już po południu Klementyna zleciła Juliuszowi Szewczykowi i jego ekipie ochotników przesłuchanie państwa Trojanowskich. Oboje mieli alibi na czas śmierci syna.

Policjantka przejrzała stronę firmy Trojanowskich dokładnie. Rodzice Franciszka byli właścicielami kilku cukierni. Pierwsza założona została jeszcze w 1958, głosiła dumna informacja wyróżniona złotymi literami i fantazyjną czcionką. Od tamtej pory było już tylko lepiej. Widać zawirowania i zmiany systemów politycznych nie przeszkadzały ludziom jeść ciastek.

Komisarz Klementyna Kopp zamknęła ze złością klapę laptopa. Cały czas czuła, że coś ważnego przeoczyła. To było bardzo nieprzyjemne uczucie.

CZEŚĆ CZWARTA

ROZDZIAŁ 35

Lipowo i Brodnica.
Sobota, 24 maja 2014. Rano

Młodszy aspirant Daniel Podgórski i Weronika Nowakowska usiedli przy drewnianym stoliku obok padoku. Zrobiło się całkiem ciepło, więc postanowili zjeść śniadanie na dworze i popatrzeć, jak Lancelot i Kofi przechadzają się wśród wysokich już traw pastwiska. Igor położył się obok i zerkał tęsknie na stół z przysmakami. Co jakiś czas machał swoim złotym ogonem.

– Kiedy zamierzasz spróbować wsiąść na Kofiego? – zapytała z rozbawieniem Weronika.

Daniel uśmiechnął się przepaszająco.

– Może jeszcze trochę poczekam – stwierdził policjant. – Muszę przywyknąć do tej myśli. Nastawić się psychicznie. Sama rozumiesz.

Nowakowska zaśmiała się głośno. Konie na padoku zastrzygły uszami.

– Daj spokój, Daniel – powiedziała z rozbawieniem. – Kofi jest znacznie spokojniejszy od Lancelota. Nic ci nie będzie. Dzisiaj chyba macie wolne, to może chciałbyś spróbować? Wszystko ci pokażę. Zobaczysz, będzie fajnie. Potem będziemy mogli jeździć we dwójkę po lesie. W ogóle nie wykorzystujesz tego, że mieszkasz na tak pięknym terenie.

Daniel spojrział na konie delektujące się świeżą trawą. Może

Weronika miała rację? Rzeczywiście dzisiaj mieli mieć wolny dzień. Pierwszy od rozpoczęcia śledztwa w sprawie śmierci Małgorzaty Głuszyńskiej. Podgórski odetchnął pełną piersią. Postanowił sobie, że dziś wieczorem zdobędzie się na odwagę i poprosi Weronikę o rękę.

Nagle cały spokój go opuścił. Na samą myśl o oświadczeniach mięśnie mu stężały. Daniel starał się wmówić sobie, że wszystko między nimi było wspaniale. Weronika nie miała żadnego powodu, żeby mu odmówić.

– To jak? – zaczęła go znowu Weronika. Jej rude włosy tańczyły na lekkim wietrze.

Zanim Daniel zdążył cokolwiek odpowiedzieć, zadzwoniła jego komórka. Nowakowska spojrzała na telefon ze złością.

– Musisz odbierać? Miałeś mieć wolne.

Podgórski zerknął na wyświetlacz.

– To Klementyna.

– Mieliśmy dziś spędzić cały dzień razem – przypomniała Weronika. – Sam to obiecywałeś.

Podgórski doskonale wiedział, co chciała mu przekazać. Powinien zignorować ten telefon. Daniel czuł jednak, że nie może. Klementyna Kopp nie dzwoniłaby przecież, żeby sobie tak po prostu pogadać. To nie było w jej stylu. Skoro pani komisarz dzwoniła, oznaczało to, że działo się coś ważnego w śledztwie. Nie można było tego telefonu zignorować. Podgórski odebrał połączenie. W ten sposób nie było już odwrotu.

– Cześć, Klementyna – rzucił, spoglądając przepaszająco na Weronikę.

Nowakowska wstała ze złością i ruszyła w kierunku stajni. Igor poszedł za swoją panią, jakby też obraził się na Daniela. Podgórski westchnął przeciągle.

– Jesteś w Lipowie, co? – zapytała tymczasem komisarz Kopp. W pierwszej chwili nie zrozumiał nic z jej bełkotu.

– Co mówisz?

– Jesteś w Lipowie, co?

– Tak. Jestem w domu. Co się dzieje?

– Jedź do domu Trojanowskich i aresztuj Nikołą Szczepańską.

Jesteś najbliżej ze wszystkich. Prokurator chce, żebyśmy działali natychmiast.

– Ale dlaczego? Co się dzieje?

Klementyna Kopp warknęła coś niezrozumiale. Daniel wychwytał tylko słowa „strata czasu”.

– Możesz mówić trochę wolniej? Słabo cię słyszę.

– Odciski palców NN z czarnej strony szachownic zgadzają się z odciskami palców Nikoli Szczepańskiej – wyjaśniła Klementyna wolniej. – Prokurator chce, żebyśmy zatrzymali dziewczynę przynajmniej do wyjaśnienia całej sprawy. Pospiesz się z łaski swojej, co?

– Odciski Nikoli były na tych trzech szachownicach? – dopytywał się Daniel zaskoczony. – Ten zestaw, którego nie mogliśmy do nikogo dopasować?

– Daniel! Tak. Ile razy mam powtarzać, co? – zapytała komisarz Kopp gniewnie. – Zatrzymaj dziewczynę. Nie jestem pewna, czy to ona. Ale! Robimy, jak chce Gawroński, i tyle. Więc dupa w troki i jazda, co? Przywieź Nikolę Szczepańską do komendy.

Klementyna Kopp rozłączyła się natychmiast. Młodszy aspirant Daniel Podgórski zerknął w kierunku Weroniki, która zamiatała wejście do stajni. Jej ruchy były gniewne. Wyglądała na obrażoną.

W kieszeni spodni Daniel poczuł ciężar pierścionka. Mógł powiedzieć Klementynie, że dziś ma wolne. Mógł. Przecież komisarz Kopp mogła wysłać kogoś innego. Mogła.

Z drugiej strony dom Franciszka Trojanowskiego, gdzie mieszkały Nikola i Nadia, był przecież po drugiej stronie Lipowa. Daniel rzeczywiście miał bardzo blisko. Pojedzie po Nikolę, potem zawiezie dziewczynę do Brodnicy i wróci do domu. To nie potrwa długo. Podgórski był jednak pewien, że Weronika wcale się nie ucieszy z tego planu.

Liliana Brzezińska usiadła przy stole w kuchni. Położyła książkę przed sobą na pomalowanym na biało drewnianym blacie. Sama nie wiedziała, dlaczego wzięła tę książkę z domu

matki. Może dlatego, że tam zupełnie nie pasowała, a może dlatego, że matka zginęła w tak szczególny sposób i ta obca książka zdawała się z tym jakoś związana.

Liliana przekartkowała stare wydanie. Pochodziło z 1975 roku. Gdyby matka miała tę książkę tak długo, Brzezińska na pewno by o tym wiedziała. Zawsze dużo czytała, uciekając przed matką i jej nadmierną miłością do zmarłego syna.

– Tylko co teraz? – powiedziała do siebie Liliana.

Nie była pewna, co właściwie ma zrobić. Może ta książka nie miała żadnego znaczenia? Liliana próbowała zadzwonić do Klementyny, żeby o tym porozmawiać, ale policjantka raz po raz odrzucała jej połączenia.

Liliana Brzezińska raz jeszcze przekartkowała książkę i odłożyła ją na bok. Może to wcale nie miało znaczenia. Żadnego.

Komisarz Klementyna Kopp szła piechotą z Komendy Powiatowej Policji w Brodnicy. Zrobiło się bardzo ciepło, ale mimo to policjantka nie zamierzała zdejmować skórzanego zakietu. To ona decydowała, w co się ubiera, a nie pogoda.

Prokurator Leon Gawroński sam przesłuchiwał Nikołą Szczepańską, której odciski znaleziono na wszystkich trzech szachownicach. Klementyna nie miała ochoty w tym uczestniczyć. Od początku uważała, że te odciski to tylko gra. Nie zmieniła zdania.

Z tego, co widziała przez lustro weneckie, Leon Gawroński niewiele wskórał. Rodzice dziewczyny zażądali adwokata, a właściwie sprowadzili swojego. Zapewne suto opłacanego. Sama Nikola Szczepańska uparcie milczała. Komisarz Kopp postanowiła zostawić ten bałagan prokuratorowi. Przecież po to tu był, a zatrzymanie Nikoli było jego pomysłem.

Klementyna wyszła z komendy i ruszyła szybkim krokiem ulicą Zamkową. Najbardziej gryzła ją sprawa Miłosza Janiszewskiego. Bardzo możliwe, że pismak wiedział, kto jest zabójcą. Ba! Prawdopodobnie sam wrzucił do skrzynki pocztowej kopertę z czarnym piórem. Tym powinni się

zajmować. Prokurator Gawroński za bardzo był chyba zajęty podrywaniem Emilii Strzałkowskiej, żeby prowadzić to postępowanie, jak trzeba.

Klementyna wyciągnęła telefon z plecaka i wstukała numer dziennikarza. Dzwoniła do niego osiemdziesiąty trzeci raz. Dokładnie. Janiszewski znowu nie odpowiadał. Komisarz Kopp podjęła decyzję w jednej chwili. Nie było co dłużej zwlekać. Odwiedzi pismaka w jego własnym domu. Śledztwo z dostawą do domu.

Policjantka minęła swój dom i poszła dalej ulicą Świętego Jakuba. Zastanawiała się, czy Don José za nią tęskni. Czarny kot zdawał się ponad to. Chociaż z drugiej strony przez całą noc spał ułożony w zagłębieniu jej szyi. Klementyna bała się ruszyć, żeby Józek nie zmienił zdania. Przez to była teraz cała zdrętwiała. Czuła jednak niezwykły spokój.

Skreśliła w ulicę Kościelną i minęła Duży Rynek. Z Kościuszki weszła w ulicę Strzelecką. Już z daleka zobaczyła, że jedno z okien w niewielkiej kamieniczce, w której mieszkał Janiszewski, jest otwarte na oścież.

– Otwarte okno! – krzyknęła komisarz Kopp, oddychając coraz szybciej. Natychmiast przyspieszyła kroku. Jej ciężkie, wojskowe buty stukały głośno o płyty chodnika.

– Wszystko w porządku, proszę pani? – zapytała jakaś kobieta.

Otwarte okno. W tym przecież nikt nie widział nic złego. Przechodnie patrzyli na Klementynę zaskoczeni jej gwałtowną reakcją. Komisarz Kopp nie przejmowała się tym zanedo. Biegła z przekleństwami na ustach. Powinna była przyjść do mieszkania dziennikarza już wczoraj, zamiast zwlekać z tym tak długo.

Klementyna dobiegła do kamienicy najszybciej, jak mogła. Próbowwała otworzyć drzwi do budynku, były jednak zamknięte. Szarpnęła klamkę ze złością. Ani drgnęła. Zadzwoiła domofonem pod numer Janiszewskiego. Nikt nie odpowiedział. Komisarz Kopp wybrała numer innego mieszkania i czekała. Po dłuższej chwili odebrał jakiś starszy mężczyzna.

– Co? – powiedział.

– Otwieraj, policja! – rzuciła Klementyna, nie siląc się na wyjaśnienia.

Człowiek zwlekał chwilę. W końcu jednak domofon zabrzączał i drzwi otworzyły się z cichym trzaskiem. Komisarz Klementyna Kopp przeszła przez wąski korytarz i ruszyła do mieszkania Miłosza Janiszewskiego. Zapukała głośno. Zero reakcji. Nacisnęła łokciem klamkę. Nie chciała zniszczyć ewentualnych odcisków. Drzwi otworzyły się powoli.

Hubert Przybylski sprzątał wolierę Bohuna. W sumie wszystko dobrze się skończyło, uznał chłopak. Pomysł Waldemara Gąsiorowskiego z kradzieżą zegara był idiotyczny. Hubert cieszył się, że się skończyło, jak się skończyło. Oliwia miała jednak głowę na karku, żeby tak poukładać się z policją. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Przybylski zebrał czarne pióra rosłego łabędzia i odłożył na bok. Dzieci będą miały z nich uciechę. Nagle usłyszał, że za wolierą ktoś rozmawia. Hubert wyjrzał ostrożnie zza klatki. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczył, że pan Tadeusz Szczepański rozmawia przyciszonym głosem ze swoją córką Leną.

Lena Szczepańska była w hodowli rzadkim gościem, odkąd dostała pracę w redakcji jakiejś gazety w Brodniczy. Nigdy nie wyjawiała w jakiej. Może to w ogóle jakaś ściema, zastanawiał się Przybylski. Z tego, co Hubert wiedział, początkowo Lena miała pracować u Stanisława w Brod-Dysku, ale brat ostatecznie delikatnie jej podziękował. Lena w ogóle nie przypominała przebojowego Stanisława i pewnie nie nadawałaby się do pracy w fabryce. Hubert z trudem mógł sobie wyobrazić, żeby powolna Lena nadawała się do czegokolwiek.

Hubert zrobił jeszcze kilka kroków, żeby lepiej słyszeć wymianę zdań pomiędzy panem Tadeuszem a Leną. Stał nieostrożnie. Pękła gałązka. Tadeusz Szczepański odwrócił się nagle. Gniew zatańczył w jego niebieskich oczach.

– Tak? – zapytał ostro właściciel hodowli ptaków.

Hubert Przybylski wycofał się pospiesznie. Miał już serdecznie dosyć tego wszystkiego. Gdyby nie Bohun, nie przychodziłby na Wyspę Skarbów wcale.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski wszedł do mieszkania Miłosza Janiszewskiego. Komisarz Klementyna Kopp już tam na niego czekała. Daniel przywiózł Nikolę Szczepańską na przesłuchanie i wracał właśnie do Lipowa, kiedy Klementyna do niego zadzwoniła. Policjant zawrócił z westchnieniem. Co miał zrobić? Nie mógł przecież odmówić. Weronika oczywiście nie będzie zadowolona. Łagodnie mówiąc.

– Dobrze, że już jesteś, Daniel – powiedział prokurator Leon Gawroński, który też chyba właśnie przyjechał. – Zobaczmy, jak to wygląda.

Klementyna Kopp stała w rogu pokoju. Skinęła Danielowi lekko głową.

– Janiszewski nie żyje – poinformowała ich krótko. – Ale! Nie ma szachowej inscenizacji.

Podgórski rozejrzał się po pomieszczeniu. Miłosz Janiszewski leżał na boku na podłodze. Pokój był na tyle niewielki, że ciało zamordowanego dziennikarza zajmowało prawie całą wolną przestrzeń.

– Nie ma szachownicy? – upewnił się prokurator.

– Nie. Ale! Okno było otwarte, więc znowu może chodzić o fosgen – powiedziała komisarz Kopp. – To już doktorek się wypowie, jak przyjedzie.

– Możemy zaczynać, panie prokuratorze? – zapytał szef techników kryminalnych.

– Tak. Zabierajcie się do pracy.

– Chyba przyjechał już doktor Koterski – powiedział Daniel, wyglądając przez otwarte nadal okno.

– Dlaczego tym razem nie ma inscenizacji, co? – mruknęła pod nosem Klementyna.

– Może zabójca nie zdążył – zasugerował Daniel.

– Porozmawiajcie z sąsiadami – zdecydował Leon Gawroński. – To nie jest mały budynek. Miejmy nadzieję, że

tym razem ktoś coś widział. Powinno wam pójść szybko. Potem spotykamy się na odprawie.

– Oczywiście.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski westchnął. Czyli z wolnego dnia nici. Policjant sięgnął do kieszeni. Pierścionek zaręczynowy nadal tam był. Może powinien z tym poczekać? To chyba nie był jeszcze ten wielki dzień. Weronika była obrażona. Jak się dowie, że Daniel znowu nie pojawi się w domu do wieczora, będzie tylko gorzej.

– Idziemy, co? – rzuciła Klementyna Kopp.

– Jasne – odparł Daniel.

Michalina Niewiadomska przeglądała pamiątki z czasów, kiedy była jeszcze strażniczką więzienną w Zakładzie Karnym w Starych Świątkach. Generalnie dobrze wspominała ten okres. Z jednym wyjątkiem.

Westchnęła i odłożyła rzeczy do pudełka. Miłosz Janiszewski nie żył. Powiedzieli o tym przed chwilą w lokalnej telewizji. Michalina nie była pewna, co właściwie powinna w tej sytuacji zrobić.

Czy powinna się ukrywać? Czy wręcz przeciwnie? Przecież kiedyś, dawno temu, miała ideały. Czy już o nich zapomniała? Choroba chyba odbierała jej resztki rozumu. A może wcale nie była chora? Może tylko to sobie wmawiała, jak twierdził tamten młody lekarz? Może wystarczyłaby wizyta u psychologa? Kto wie?

Michalina Niewiadomska ponownie westchnęła. Te rozważania nie pomagały.

Co teraz?

ROZDZIAŁ 36

Brodnica.

Wtorek, 25 marca 1975

W domu Gabrieli Gałązki zgromadzili się goście. Była tam jej rodzina, przyjaciele i uczniowie. Niemal nie można było przecisnąć się przez salon, mimo że pomieszczenie było przecież dość przestronne.

Gabriela czuła, że wypełnia ją niesamowita radość i duma. Dziś świętowali wydanie jej rozprawy *O szachach*. To było cudowne uczucie móc podzielić się ze światem swoim spojrzeniem na tę wspaniałą grę.

Szachistka rozłożyła książki na honorowym miejscu na stole. To było kilka egzemplarzy, które dostała od wydawcy. Nie zamierzała ich nigdy sprzedać. Zostaną w jej domu na pamiątkę. Może kiedy jej syn założy kiedyś rodzinę, przekaze je swoim dzieciom. Miał już dwadzieścia lat, więc mogło się to stać lada chwila, zaśmiała się Gabriela w duchu. W tych czasach, kiedy młodzież była taka wyzwolona, wszystko mogło się przecież zdarzyć.

Jej najbliżsi uczniowie podeszli do niej ze swoimi egzemplarzami książki.

– Gratulacje, pani Gabrielo – powiedział Franciszek Trojanowski. Wyrósł na niepozornego młodzieńca, ale nadrabiał szachowym talentem.

– Bardzo prosimy o podpisy – wtórował mu Bolesław Szumiński.

Bolesław, w przeciwieństwie do Franciszka, był równie wysoki jak syn Gabrieli, ale dziwna choroba skóry sprawiała, że na jego głowie powstały niewielkie łyse placki. Nie wyglądało to dobrze. Gałązka próbowała z nim o tym rozmawiać. Czuła się w obowiązku. Wyglądało jednak na to, że chłopak nie

przejmował się zbyt swoim wyglądem. Żył tylko szachami. Rozumiała go doskonale.

Gabriela spojrzała na swoich uczniów z uśmiechem. Trudno było uwierzyć, że przez te lata tak się zmienili. Nie byli już dziećmi. Byli młodymi mężczyznami, którzy zaczęli odnosić pierwsze znaczące sukcesy w turniejach szachowych.

– Chłopcy, nie żartujcie ze mnie – powiedziała ze śmiechem Gabriela Gałązka.

– Kochanie – przerwał jej głos męża. – Pozwól tu na chwilę. Rozmowa międzynarodowa.

– Przepraszam, chłopcy – powiedziała Gabriela Gałązka. – To może być Charlotte.

Franciszek i Bolesław pokiwali głowami ze zrozumieniem. Mistrzyni opowiedziała im wszystko o praprawnuczce Adolfa Anderssena. Chłopcy bardzo chcieli ją poznać, ale Charlotte ciągle z jakiegoś powodu wzbraniała się przed przyjazdem. Gałązka nie rozumiała dlaczego. Przecież przekroczenie granic Polski Ludowej i Niemieckiej Republiki Demokratycznej nie było aż takie trudne. To nie była podróż na Zachód.

Gabriela podeszła do telefonu.

– Halo – powiedziała, przyciskając słuchawkę do ucha.

– Tu mówi Charlotte.

– Witaj, kochana Charlotte.

– Dzwonię, żeby podziękować za egzemplarz książki, który mi przesłałaś – powiedziała Charlotte po niemiecku. – Nie rozumiem z niej ani słowa, ale widziałam tam nazwisko dziadka. Jestem bardzo szczęśliwa. Naprawdę.

Obie się roześmiały.

– Dziękuję... za wszystko – powiedziała już poważniej Charlotte Schneider. – Gdyby nie ty... tamtej zimy pewnie bym umarła...

– Ależ... – zaczęła Gabriela.

– Dziękuję – przerwała jej Charlotte. – Nigdy tego nie zapomnę. Ani ja, ani moja rodzina. Postaram się o to.

Przez chwilę w słuchawce słychać było trzaski.

– Czy wszystko u ciebie w porządku? – zapytała Gabriela. Miała wrażenie, że w głosie rozmówczyni było coś dziwnego.

– Tak. Czuję się wspaniale – powiedziała Charlotte. –
Będziemy mieli drugie dziecko.

– To cudownie – ucieszyła się Gabriela Gałązka. – Naprawdę.
Przyjedź do nas, kiedy tylko będziesz mogła. Moi uczniowie
umierają z ciekawości. Bardzo chcieliby cię poznać.

– Zobaczymy. Dziękuję.

ROZDZIAŁ 37

Lipowo i Brodnica.

Sobota, 24 maja 2014. Po południu

Odprawa rozpoczęła się później, niż początkowo zakładali. Przesłuchania sąsiadów Miłosza Janiszewskiego zajęły znacznie więcej czasu, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. W niewielkiej kamienicy, gdzie mieszkał dziennikarz, nie było wielu lokatorów. Ale każdy miał coś do powiedzenia od siebie. Głównie na temat opieszałości policji. Nic nowego. Komisarz Klementyna Kopp wcale nie była tym zaskoczona.

Tym razem usiedli w sali konferencyjnej tylko we trójkę. Prokurator Leon Gawroński, młodszy aspirant Daniel Podgórski i Klementyna. Zdecydowali, że wiedzą jeszcze za mało, by wzywać Emilię Strzałkowską i Marka Zarębę.

– Okej. No dobra. Myślałam o tym – zaczęła Klementyna Kopp. Chciała przejść do rzeczy, zanim mężczyźni zaczną dyskutować o pogodzie, samochodach albo innych takich. – I doszłam do kilku wniosków.

– Podziel się nimi z nami – poprosił prokurator.

Klementyna nie była pewna, wydawało jej się jednak, że słyszy w głosie Leona Gawrońskiego sarkastyczną nutę. Postanowiła to zignorować.

– Jeżeli założymy, że szachista miał rację z tą „nieśmiertelną partią” i rzeczywiście planowane były tylko trzy ofiary, tak jak trzy zbite pionki, oznacza to, że pismak wcale nie miał zginąć – stwierdziła policjantka, drapiąc się po głowie. – Jednak Miłosz Janiszewski nie żyje. Dlaczego? Skoro zupełnie nie pasuje do układanki?

– Rozumiem, że masz już pewien pomysł – mruknął prokurator Gawroński. Tym razem irytacja w jego głosie była wyraźnie słyszalna.

Klementyna kiwnęła głową niezrażona.

– Zgaduję, że pismak wiedział za dużo – powiedziała komisarz Kopp. – Rozmawiałam z naczelnym tego szmatławca, gdzie Miłosz Janiszewski pracował. Facet twierdzi, że pismak wczoraj do niego dzwonił i mówił, że ma temat stulecia. Może mordercy wcale się nie podobało, że Janiszewski za bardzo węszył. Może tym razem pismak wcale nie fabrykował dowodów, tylko naprawdę coś znalazł.

– Na to wygląda. Powiedział naczelnemu, o co chodzi?

Klementyna Kopp pokręciła głową.

– Gdyby powiedział, to przecież nie siedzielibyśmy tu, idiotycznie deliberując, tylko byśmy działali, co?

Leon Gawroński spojrzął na Klementynę spod oka.

– Jeżeli Miłosz Janiszewski nad czymś pracował, to powinno być to w jego komputerze – powiedział powoli Daniel. – Na pewno miał zapiski w wersji elektronicznej.

– Taa, jasne. Ale! Komputera nie ma – stwierdziła Klementyna. – Technicy nie znaleźli ani laptopa, ani komputera stacjonarnego. W związku z tym nasuwa się łatwe wyjaśnienie. Morderca zabrał komputer.

Leon Gawroński i Daniel Podgórski pokiwali głowami. Co mieli innego zrobić? To było oczywiste. Klementyna uśmiechnęła się pod nosem.

– Brak inscenizacji z szachownicą potwierdzałby teorię, że chodziło tylko o uciszenie Janiszewskiego – zgodził się Podgórski. – „Tylko” może nie najlepiej tu pasuje, ale wiecie, o co mi chodzi, prawda?

Gawroński pokiwał głową.

– Czyli zakładamy, że pismak mógł coś wiedzieć – podsumowała Klementyna, przejmując kontrolę nad odprawą. Powinna była to zrobić już dawno temu. Może uniknęliby kilku wpadek. – Ten monitoring sprzed poczty nie daje mi spokoju. Z kim Janiszewski wtedy gadał, co? Kto dał mu te koperty z listami, co?

– I dlaczego kopert było kilka? – wszedł Klementynie w słowo Daniel. – Pamiętacie, że Miłosz Janiszewski wziął od tej osoby kilka kopert. Wiemy, gdzie trafiła jedna z nich. Co było

w pozostałych? Też pióra?

Komisarz Kopp pokiwała w zamyśleniu głową. Podgórski miał rację.

– Przejdę się w okolice poczty – stwierdziła policjantka. – Chcę zobaczyć, jak to wygląda na żywo. Daniel, pójdiesz ze mną, co? Może coś wykombinujemy na miejscu.

Podgórski zastanawiał się przez chwilę. W końcu pokiwał głową.

– A jak z tą Nikolą Szczepańską? – zapytał Daniel prokuratora.

– Przesłuchałem ją, ale na razie nic z tego nie wynika – przyznał Leon Gawroński. – Właściwie to nie mamy żadnych dowodów przeciwko niej. Oprócz tego, że jej odciski były na szachownicach. Nie musi to oznaczać, że Nikola kogokolwiek zamordowała. To jest za słabe i jej adwokat to wykorzystał. Nie dziwię mu się. Tak naprawdę to ma rację. Przecież odcisków Nikoli nie było na żadnym miejscu zbrodni. Były tylko na szachownicach. Adwokat zasugerował, że ktoś chce zrobić jego klientkę.

– Od dawna mówię, że te odciski palców NN na szachownicy wcale mnie nie przekonują – mruknęła Klementyna. – Ale! Nikola Szczepańska może nam się jeszcze przydać. Jej odciski na szachownicach nie wzięły się przecież znikąd. Jakiś kontakt z tymi szachownicami miała. Tłumaczyła jakoś, skąd jej odciski palców mogły się tam wziąć, co?

– Niezbyt dokładnie. Adwokat dopilnował, żebym za bardzo nie naciskał. To nie było moje najlepsze przesłuchanie – przyznał Gawroński. – Ale masz rację, Klementyna. Trzeba z Nikolą jeszcze raz porozmawiać na spokojnie. Może jutro by się wam udało. Tym razem nie pod kątem tego, że dziewczyna jest podejrzana. Spróbujcie się dowiedzieć, kiedy mogła dotknąć tych trzech szachownic. Może rzeczywiście ktoś chce ją zrobić.

Klementyna pokiwała głową.

– Z dobrych wiadomości, mamy z powrotem ten zegar z domu Małgorzaty Głuszyńskiej – powiedział Gawroński. – Liliana Brzezińska odziedziczy sporo pieniędzy po matce. Kosztowny

zegar, dom w kolonii Żabie Doły, kwiaciarnię Oleander i całkiem sporo oszczędności z konta bankowego. Sądźcie, że to może być motyw, którego nie wzięliśmy do tej pory za bardzo pod uwagę?

Klementyna Kopp wzdygnęła się nieznacznie. Dzięki czarnemu Józkowi nie myślała tak dużo o Lilianie. Brzezińska próbowała nawet dodzwonić się do policjantki. Ale Klementyna konsekwentnie nie odbierała. Obiecała sobie, że do końca tej sprawy nie będzie mieć żadnych kontaktów z Lilianą. Chyba że w sprawach śledztwa. Koniec głupich błędów.

– Zwróćcie też uwagę na to, że Liliana i Stanisław Szczepańscy mogli chcieć się pozbyć Miłosza Janiszewskiego. Podobnie jak w przypadku poprzednich ofiar – rozważał dalej prokurator Gawroński. – Przecież dziennikarz pisał artykuły, które wybitnie godziły w interesy Brod-Dysku. Brzezińska i Szczepański wydają się najgłębiej siedzieć w tym wszystkim. Mieli motyw, żeby zabić wszystkie cztery ofiary. Co o tym myślicie?

– Sprawdzę kwestię tego monitoringu, co? – odpowiedziała dyplomatycznie komisarz Kopp. Mimo wszystko nie chciała gadać o Lilianie. – Trzeba też sprawdzić billingi Miłosza Janiszewskiego. Skoro dzwonił, żeby poinformować redaktora naczelnego, że ma jakiegoś dobrego newsa, to może rozmawiał też z zabójcą.

– Sama mówiłaś, że zabójca był ostrożny – powiedział Leon Gawroński sceptycznie. – Czy pozwoliby sobie na pogaduszki z dziennikarzem, które potem możemy łatwo wyśledzić?

Klementyna Kopp pokiwała głową w zamyśleniu.

– Każdy morderca wcześniej czy później popełnia jakiś błąd.

– Dobrze. Zlecę sprawdzenie billingów dziennikarza ochotnikom. Niech oni to zrobią – oznajmił prokurator. – Juliusz Szewczyk aż rwie się do pracy, żeby znaleźć zabójcę Waldemara Gąsiorowskiego.

– Czekaj. Stop! To jest zabójca czterech osób, nie tylko Waldemara – poprawiła go Klementyna Kopp. – O tym nie wolno zapominać, co?

Gawroński przetarł ręką twarz.

– Oczywiście. A jak wam poszło z sąsiadami Janiszewskiego? Nie było was strasznie długo.

Komisarz Kopp pokręciła tylko głową.

– Trudno w to uwierzyć – stwierdził Daniel Podgórski – wygląda jednak na to, że nikt nic nie widział. Nie tylko tu. Na żadnym miejscu zbrodni! Nasz morderca jest jak zjawa. Rozpływa się w powietrzu jak fosgen, którego używa.

Klementyna uśmiechnęła się krzywo.

– Bardzo poetyckie porównanie, Daniel – syknęła. – Ale! Pamiętaj, że mamy jednego potencjalnego świadka.

– Mówisz o tym bezdomnym z opuszczonego budynku naprzeciwko domu Małgorzaty Głuszyńskiej? – upewnił się Daniel Podgórski. – Zapomniałaś chyba o jednym. Nadal go nie zlokalizowaliśmy.

Stanisław Szczepański trzymał Nadię Trojanowską za rękę. Siedzieli we dwójkę w kuchni w domu Franciszka. Nikola zamknęła się w swoim pokoju i nie chciała rozmawiać z żadnym z nich. O niczym.

– Myślisz, że Nikolka zabiła ich wszystkich? – zapytała cicho Nadia Trojanowska. – Te odciski palców... skąd by się wzięły przy ofiarach, gdyby to nie ona...

Była żona nie patrzyła Stanisławowi Szczepańskiemu w oczy. Dyrektor Brod-Dysku bardzo się z tego cieszył. Tak było znacznie, znacznie lepiej. Bezpieczniej.

– Nie wiem – odarł równie cicho, żeby nie zdradziło go drżenie głosu. – Adwokat powiedział mi, że na razie nie mamy co się martwić. Płacę mu tyle, że chyba powinien znać się na rzeczy. Nikolce nic nie grozi. Nie pójdzie do więzienia.

– No tak, ale ja się pytam, czy myślisz, że ona naprawdę to zrobiła – podkreśliła Nadia Trojanowska. – Myślisz, że nasza córka zabiła ich wszystkich? Czy myślisz, że Nikolka jest morderczynią? Nie wiem, jak jeszcze jaśniej mam to przekazać.

Stanisław Szczepański nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

– Na pewno nie zabiła tego dziennikarza, prawda? – powiedział niemal lekko. – Była wtedy z nami. Pamiętasz?

Młodszy aspirant Daniel Podgórski zatrzymał radiowóz na brukowanym chodniku przed żółtym budynkiem Poczty Polskiej przy ulicy Pocztowej w Brodnicy. Z tego miejsca widział już kamerę monitoringu miejskiego, która nagrała Miłosza Janiszewskiego, gdy wrzucał do skrzynki pocztowej plik listów.

Komisarz Klementyna Kopp wyskoczyła z radiowozu i natychmiast pobiegła do miejsca, gdzie na nagraniu stał dziennikarz. Daniel ruszył za nią niespiesznie. Chciał to wszystko zobaczyć ze swojej perspektywy.

– Pismak stał tu – powiedziała Klementyna. – Tak?

Komisarz Kopp ustawiła się za rogiem żółtego budynku dokładnie w miejscu, gdzie na nagraniu stał Miłosz Janiszewski.

– Tak – zgodził się Daniel. – A tajemnicza osoba, z którą rozmawiał dziennikarz, stała tu.

Podgórski zajął miejsce w odpowiednim punkcie już poza zasięgiem kamery. Rozejrzał się wokoło, jakby otoczenie mogło mu zdradzić tożsamość tajemniczego rozmówcy Miłosza Janiszewskiego. Daniel stał teraz dokładnie przy witrynie niewielkiego sklepu z używaną odzieżą, który ktoś dumnie nazwał Vintage Paradise.

Podgórski zerknął na Klementynę.

– Wchodzimy? – zaproponował. – Minęło trochę czasu, ale może coś tu wiedzą. Chyba warto sprawdzić?

Komisarz Kopp weszła do sklepu bez odpowiedzi. Daniel uśmiechnął się pod nosem. Znał już Klementynę dość dobrze, ale jej dziwne obyczaje nadal go bawiły. Wszedł do sklepu za policjantką. Spodziewał się woni środków czyszczących, typowej dla takich miejsc. Tymczasem okazało się, że w powietrzu unosił się zapach świeżych kwiatów i delikatnych perfum o słodkawym zapachu. Spory bukiet śnieżnobiałych tulipanów ustawiono na drewnianym kontuarze. Ściany pokryte były staromodną tapetą w grochy i niewielkie różyczki. Całość robiła nadzwyczaj przyjemne wrażenie.

Za kontuarem siedziała sprzedawczyni. Ubrana była

w granatową sukienkę podkreślającą talię. Na nosie miała kocie okulary. Wyglądała, jakby przeniesiono ją tu z Ameryki lat pięćdziesiątych.

– Dzieńdoberek – powiedziała z uśmiechem, spoglądając na Daniela spod długich rzęs. – Zapraszam. Zapraszam. Mamy właśnie dostawę pięknych sukienek. Pani na pewno sobie coś wybierze. Tu na przykład... Niech pani zobaczy. Będzie pasowała idealnie. Znam się na tym.

Kobieta podała Klementynie czarną sukienkę z koronkową górą. Policjantka spojrzała na sprzedawczynię z irytacją.

– Nie, dzięki. Często tu jesteś, co?

Sprzedawczyni wydawała się zaskoczona.

– No, raczej tak – przyznała. – Mamy otwarte we wszystkie dni tygodnia. No, oprócz niedzieli. Ja jestem właścicielką sklepu, więc bywam tu najczęściej.

– Byłaś tu we wtorek dwudziestego maja, co?

– Zaraz, kiedy to było? Który dziś mamy?

– Dziś jest dwudziesty czwarty – pomógł Podgórski. – Chodzi nam o ostatni wtorek.

Sprzedawczyni pokiwała głową.

– Raczej byłam – powiedziała. – Nawet na pewno. W tym tygodniu byłam tu codziennie. Zwykle wymieniamy się z siostrą, ale ona pojechała do Szczecina.

– Spójrz no tu, co?

Klementyna Kopp wyciągnęła z plecaka telefon i włączyła filmik z kamery monitoringu miejskiego, na którym Miłosz Janiszewski rozmawia z niezidentyfikowaną do tej pory osobą. Sprzedawczyni pochyliła się nad urządzeniem zaciekawiona.

– To chyba tu obok nas przy poczcie, nie?

– Tak – przyznał Daniel.

– Szukamy osoby, która stała przy twojej wystawie we wtorek po południu – wyjaśniła Klementyna Kopp już nieco spokojniej. – Na tym nagraniu tego człowieka nie widać. Ale! Z twojego sklepu byłby całkiem dobrze widoczny. Pamiętasz może, jak ta osoba wyglądała, co?

Podgórski i Klementyna nie liczyli na wiele. Minęły cztery dni. Ulicą Poczтовую chodziło sporo ludzi. Jaka była szansa, że

sprzedawczyni ze sklepu Vintage Paradise zapamięta jedną konkretną osobę? Nie zaszkodziło jednak spróbować.

– No, sporo osób tędy przechodzi... – powiedziała kobieta, potwierdzając tym samym obawy Daniela.

– Proszę spróbować pomyśleć – poprosił bez entuzjazmu policjant.

Sprzedawczyni znowu spojrzała na niego spod długich rzęs.

– No, sporo osób tędy przechodzi – powtórzyła niemal z rozbawieniem. – Ale akurat to pamiętam, bo we wtorek odwiedziła mnie córka. Przyszła tu po szkole. Taki przypadek, że teraz o to państwo pytacie!

Daniel i Klementyna spojrzeli na sprzedawczynię uważnie.

– Co ma pani na myśli? – zapytał Podgórski.

– No bo pani Ania Giesa dość długo stała przed naszym sklepem – wyjaśniła sprzedawczyni. – Zastanawialiśmy się z córką, czy do nas wejdzie i coś kupi. Tu obok jest redakcja tej gazety, którą prowadzi jej mąż. Gazeta nazywa się „Prawdziwy Głos”. Nie wiem, czy państwo znają...

– Tak, tak – zbyła ją Klementyna. Po jej twarzy przebiegł grymas niezadowolenia. – I co było dalej, co?

– No więc pani Giesa czasem do nas zachodzi coś kupić albo przynajmniej obejrzeć nowe rzeczy – wyjaśniła sprzedawczyni.

– Tym razem jednak tak tylko stała i z kimś rozmawiała. Myślaliśmy z córką, że wejdzie do nas, jak skończy rozmawiać, ale ona potem sobie poszła. Ja i moja córka byliśmy trochę zawiedzione. Ostatnio nie sprzedajemy tak dużo, jak byśmy chciały. Wynajem tego lokalu sporo kosztuje. Jesteśmy praktycznie w samym centrum.

– Anna Giesa? – zapytał Daniel zaskoczony.

Jeżeli właścicielka Vintage Paradise się nie myliła, to właśnie Anna Giesa dała listy Miłoszowi Janiszewskiemu. Jaka była jej rola w tym wszystkim? Marek i Emilia rozmawiali z nią na początku śledztwa po tym, jak zespół śledczy błędnie odczytał tatuaż na piersi pierwszej ofiary. Przesłuchanie Giesy wydawało się teraz bardzo odległe. Już od dawna odrzucili możliwość, że jest ona jakkolwiek zaangażowana w tę sprawę. Tymczasem Anna Giesa pojawiała się w ich śledztwie po raz

drugi.

– Jesteś pewna, co? – poparła Podgórskiego komisarz Kopp.

– Najzupełniej pewna – powiedziała sprzedawczyni. – Widziałam dokładnie. Poza tym rozmawiałyśmy o tym z córką. Dlatego zapamiętałam to tak dobrze.

Klementyna Kopp wyszła ze sklepu bez pożegnania.

– Bardzo dziękujemy za pomoc – powiedział młodszy aspirant Daniel Podgórski, który jak zwykle starał się zatrzeć złe wrażenie po koleżance. – Do widzenia.

– Nie ma problemu. Zapraszam, kiedy będą państwo chcieli coś kupić.

Daniel zerknął na zegarek, wychodząc na ulicę Pocztową. Zrobiło się późno. To by było na tyle, jeżeli chodzi o wolny dzień, który miał spędzić z Weroniką. Ciekawe, czy Klementyna da się przekonać, żeby przesłuchać Annę Giesę jutro. Jeżeli Podgórski nie wróci do domu, Nowakowska go zabije. Może nawet dosłownie.

Lola zamknęła za sobą bramę ośrodka pomocy dla bezdomnych Nowe Horyzonty. Lubiła to miejsce. Przynosiło ulgę i spokój. Cieszyła się, że pozwalają jej tu mieszkać i nie zadają zbędnych pytań. Zresztą dlaczego mieliby o cokolwiek pytać. Lola była przecież niema.

Nic nie mówić. Lola wybrała tę ścieżkę sama. Słowa mogły przynieść tylko więcej bólu. Dlatego wołała milczenie. Od tak dawna nie wydała z siebie żadnego dźwięku, że sama nie była pewna, czy jeszcze w ogóle umiałaby to zrobić. Zresztą przez ostatnie lata mało czego była pewna. Proponowali jej leki, ale nie chciała ich brać. Była szczęśliwa tu, gdzie jest. Taka, jaka jest.

Lola zostawiła za sobą ośrodek i poszła niespiesznym krokiem nad jezioro Niskie Brodno. Mogła tu spacerować. Pozwalali jej, a ona czuła się w tych okolicach bezpiecznie. Kiedy tylko nie siedziała w oknie swojego pokoju nad tarasem, starała się codziennie spędzać nad jeziorem kilka godzin. Właśnie w ten sposób trafiła na drewniany barak, w którym ktoś kiedyś

trzymał łodzie. Spodobało jej się to miejsce. Stało się obowiązkowym punktem każdego spaceru.

Któregoś dnia Lola spotkała tam mężczyznę. Najwyraźniej nocował w opuszczonym baraku. Lola nie lubiła mężczyzn, ale ten wydawał jej się niegroźny. Lola upewniła się, że nieznajomy śpi, i wycofała się po cichutku. Nie chciała mu przeszkadzać.

Następnego dnia wróciła do baraku, ale mężczyzny tam nie było. Zdawał się tylko senną marą. Wrócił dopiero po kilku dniach, kiedy Lola uwierzyła już, że tylko go sobie wyobraziła. Siedział na starej spróchniałej ławce i przeżuwał kawałek chleba.

Lola usiadła obok niego. Śmierdział tylko trochę. Chyba mył się w jeziorze. Był nieco podpity, więc nie mogła zaprowadzić go do Nowych Horyzontów. Nie przyjęliby go. Co więcej, zamknęłyby sobie drogę do ośrodka na zawsze. Jan Kowalski ustalił twarde zasady. Zero alkoholu i narkotyków. Zero problemów z policją. Tylko takie osoby miały wstęp do Nowych Horyzontów. Czyste.

Po jakimś czasie Lola i bezdomny mężczyzna zaczęli rozmawiać. To znaczy on mówił, a ona słuchała. To było o wiele przyjemniejsze niż monologi Jana Kowalskiego, który kierował ośrodkiem. Kowalski mówił zawsze z pozycji nadrzędnej. Lola i bezdomny byli równi. Miła odmiana po latach schyłania głowy.

Kiedy do ośrodka przyszła policja i wypytywała o kogoś, kto mieszkał w ruderze w kolonii Żabie Doły, Lola od razu pomyślała o swoim znajomym znad jeziora. Może to on? Nie wiedziała jednak, jak go zapytać ani czy on by sobie tego życzył. Woląла poczekać.

Tak mijały dni. Lola czuła jednak, że powinna coś zrobić. Tamta policjantka przekonywała, że ten ktoś z rudery w kolonii Żabie Doły mógłby może zidentyfikować mordercę. Żaden zabójca nie powinien pozostać bezkarny.

Lola postanowiła zacząć działać. Poszła nad Niskie Brodno. Wyjęła wizytówkę, którą dała jej ta miła policjantka. Lola miała ją przez te wszystkie dni w kieszeni powyciąganego swetra, który zawsze nosiła. „Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska”.

Tak napisano na wizytówce.

Lola wahała się przez chwilę, ale w końcu zapukała do drzwi baraku.

– Wejdz – zaprosił ją bezdomny.

Lola weszła, zamykając za sobą zmurszałe drzwi. Mężczyzna leżał na prowizorycznym pościeliu ze starego dziurawego materaca przesiąkniętego zapachem zepsutej ryby.

– Coś się stało?

Lola sama nie wiedziała, kiedy zaczęła mówić.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski wszedł do domu ostrożnie.

– Weronika, już jestem! – zawołał. – Weronika!

Nie doczekał się odpowiedzi. Poszedł za dom i zajrzał do stajni. Konie zajęte były przeżuwaniem siana. Nowakowskiej nigdzie jednak nie było. Daniel poczuł, że ogarnia go irracjonalny lęk.

– Weronika! – krzyknął raz jeszcze.

Znowu bez odpowiedzi. Podgórski wyciągnął telefon i sprawdził połączenia. Weronika nie dzwoniła przez cały dzień. Daniel wyszedł ze stajni i rozejrzał się zdezorientowany. Udało mu się wrócić wcześniej do domu. Klementyna Kopp nie chciała co prawda słyszeć o przekładaniu przesłuchania Anny Giesy na jutro, ale sprawa rozwiązała się sama. Pani Giesy nie było dziś w Brodnicy. Żona Ignacego Sikory była w Szczecinie na szkolnej wycieczce ze swoimi dziećmi. Z Brodnicy wycieczkowicze wyjechali w piątek rano, a wrócić mieli jutro wczesnym rankiem.

Dyrekcja szkoły potwierdziła uczestnictwo Anny Giesy w wycieczce. Wyglądało więc na to, że kobieta miała niepodważalne alibi na czas śmierci Miłosza Janiszewskiego. Przy założeniu, że to jedna osoba zamordowała wszystkie cztery ofiary, Giesa nie mogła być sprawcą. Mimo to trzeba było z nią porozmawiać. Jeżeli to ona dała listy dziennikarzowi, być może wiedziała, kto jest pierwotnym nadawcą.

Nagle Daniel usłyszał głosy. Z lasu wyłoniła się Weronika Nowakowska w towarzystwie Łukasza i Emilii Strzałkowskiej.

Podgórski odetchnął z ulgą.

– Cześć – powiedział.

Weronika i Emilia spojrzały na niego spod oka. Teraz obie wyglądały na niezadowolone. Aż dziwne, że nagle tak dobrze się rozumiały. Żadna nie odpowiedziała na przywitanie. Daniel westchnął.

– Cześć – odezwał się Łukasz, ratując nieco sytuację.

– Jest coś nowego w sprawie? – zapytała Emilia.

– Musimy przesłuchać jeszcze raz Annę Giesę i... – zaczął Podgórski.

– Dlaczego? – zdziwiła się Strzałkowska. – Przecież już ustaliliśmy, że ona nie ma z tym nic wspólnego.

Daniel nie zdążył niczego wyjaśnić, ponieważ zadzwonił jego telefon. Policjant zerknął na wyświetlacz. Klementyna Kopp. Odebrał, nie patrząc na Weronikę.

– Jutro z samego rana jedziemy do Łodzi – poinformowała Daniela Klementyna. Jak zwykle nie siłała się na powitania.

– Ale...

– Dzwoniła do mnie ta kociara Katarzyna Piotrowska. Przypomniała sobie, jak się nazywa ten zakład chemiczny, gdzie można kupić „różne rzeczy” nie do końca legalnie – wyjaśniła policjantka. W jej głosie pobrzmiwała nuta ekscytacji. – Miejsce nazywa się Grabowski. Sprawdziłam. To jest niedaleko Łodzi.

– A Anna Giesa? Mieliśmy ją jutro przesłuchać. Wraca przecież z tej wycieczki szkolnej.

Klementyna powiedziała coś niezrozumiale.

– Co mówisz?

– Zajmiemy się nią potem – powtórzyła komisarz Kopp. – Albo wyślemy Emilię i Marka, wszystko jedno. Chcę sprawdzić ten zakład chemiczny.

– Może i masz rację – odparł Daniel, zerkając w stronę Strzałkowskiej. – Emilia i Marek pewnie sobie poradzą.

– Tak – stwierdziła Klementyna Kopp krótko i rozłączyła się.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski włożył rękę do kieszeni. Pierścionek zdawał się ważyć tonę, ale zaręczyny chyba znowu będą musiały poczekać.

ROZDZIAŁ 38

Brodnica i Łódź.

Niedziela, 25 maja 2014. Rano

Komisarz Klementyna Kopp z samego rana zadzwoniła do kolegów z Łodzi, żeby sprawdzili Zakład Chemiczny Grabowski. Okazało się, że miejsce to od jakiegoś czasu było im już znane. Nie wydawali się zaskoczeni faktem, że na terenie tej fabryki może dochodzić do malwersacji. Podobno i tak planowali interwencję lada dzień. Klementyna bardzo w to wątpiła. Obojętne. Najważniejsze, że teraz wszystko ruszy.

– Przeciwno Grabowskiemu toczy się już postępowanie – zapewnił Klementynę przez telefon nadkomisarz Lech Dobrowolski, kiedy wytłumaczyła mu, o co chodzi. – Jeździmy tam od czasu do czasu. Nasz prokurator twierdzi, że jest o krok od doprowadzenia sprawy do końca. Tylko że ten krok trwa i trwa. Sama wiesz, jak to jest.

Dobrowolski zaśmiał się przeciągle.

– Będziemy jak najszybciej – odparła komisarz Kopp zimno.
– Sprawdźcie, co i jak. Chcę koniecznie porozmawiać z kimś stamtąd. Pamiętajcie o tym, co?

– Jasne. Jasne. Nie ma problemu. Moi ludzie już wchodzą na teren Grabowskiego – wyjaśnił Lech Dobrowolski. Widać nie przesadzał jednak, mówiąc o natychmiastowej interwencji. – Sprawdźmy, co tam jest poukrywane. Jak dojedziecie do nas z Brodnicy, będziemy już wszystko wiedzieć.

Klementyna Kopp rozłączyła się. Miała tylko nadzieję, że Dobrowolski niczego nie spaprze. Znała takich jak on. Pewniaczków. Koniecznie trzeba było jak najszybciej dostać się do Łodzi.

Daniel Podgórski prowadził sprawnie. Wzięli jego błękitne subaru, ponieważ policjant twierdził, że tak będzie najszybciej.

Chyba miał rację. Leciwe auto pędziło do Łodzi, nie zważając na żadne utrudnienia. Po wschodniej stronie miasta, od strony dzielnicy Polesie, znaleźli się w nieco ponad dwie godziny.

– No to jesteśmy – oznajmił Daniel.

Wyglądał na zadowolonego z siebie. Klementyna Kopp uśmiechnęła się w duchu. Tacy właśnie byli mężczyźni. A może nie? Może kobiety nie były wcale takie inne?

– Tak.

Zakład Chemiczny Grabowski nie był imponujących rozmiarów. Klementyna spodziewała się czegoś znacznie większego. Z drugiej strony położony był na odludziu i dogodnie otoczony dość wysokim kamiennym murem najeżonym odłamkami szkła. To na pewno zapewniało potrzebną dyskrecję w szemranych transakcjach.

– Wygląda jak więzienie – stwierdził Podgórski, przyglądając się fabryce. – Nie chciałbym tu pracować.

Ruszyli do bramy. Cekał tam na nich łysawy mężczyzna w pikowanej kurtce. Dziś znowu zrobiło się chłodno, więc kurtka nie była chyba takim złym pomysłem. Klementyna szczerzej otuliła się swoim skórzanym żakietem.

– Wy jesteście z Brodnicy? – zgadywał Dobrowolski.

Komisarz Kopp uśmiechnęła się krzywo.

– Co za dociekliwość – mruknęła.

Nadkomisarz Lech Dobrowolski spojrział na policjantkę zdziwiony. Daniel odchrząknął cicho, żeby skierować uwagę na siebie. To było nawet zabawne, uznała komisarz Kopp w duchu.

– Młodszy aspirant Daniel Podgórski i komisarz Klementyna Kopp – przedstawił ich Daniel, siląc się na niezwykle uprzejmy ton.

– Witam – odparł Lech Dobrowolski, spoglądając na Klementynę podejrzliwie.

Policjantka zdobyła się na skinięcie głową. Chciała już kogoś przesłuchać. Kogokolwiek z Zakładu Chemicznego Grabowski. Być może to przyniosłoby nareszcie jakieś odpowiedzi.

– Jak sprawy stoją? – zapytał Podgórski.

– Moi ludzie kończą już przeszukiwanie fabryki – wyjaśnił nadkomisarz Lech Dobrowolski. Wyglądało na to, że

uprzejmość Daniela nieco go udobruchała.

– Znaleźli fosgen, co? – rzuciła Klementyna.

Nadkomisarz Dobrowolski pokiwał głową.

– Tak, całkiem sporo. Mieli też inne rzeczy, ale zakładam, że to fosgen was najbardziej interesuje.

Teraz to Klementyna pokiwała głową.

– Okej. No dobra. Z kim mogę tu pogadać, co?

– Zatrzymaliśmy człowieka, który pilnował składu – wyjaśnił nadkomisarz Lech Dobrowolski. – Możecie przemaglować faceta. Później my zabieramy go do siebie. Mam nadzieję, że prokurator wreszcie będzie miał swój ostatni okruszek i doprowadzimy do zamknięcia Grabowskiego. Byłoby dobrze.

Dobrowolski poprowadził Klementynę i Daniela pomiędzy budynkami zakładu chemicznego. Pracownicy siedzieli beczynnie z niezadowolonymi minami.

– Tracę dniówkę! – krzyknął jeden z nich rozsierdzony. Kilku innych go poparło.

Pozostali robotnicy zerwali się na nogi. Wokół kręciło się kilku mundurowych, którzy chyba usiłowali zaprowadzić tu porządek, a przynajmniej znaleźć osobę odpowiedzialną. Bez powodzenia.

– Nasi ludzie dadzą sobie z tymi robotami radę – zapewnił Lech Dobrowolski i poprowadził ich dalej.

Człowiek, z którym mieli rozmawiać, siedział w biurze obok sporego magazynu na tyłach zakładu. Zdaniem Klementyny cieć wyglądał na mocno przestraszonego.

– Pogadajcie sobie, a potem my zabieramy tego pana – powtórzył nadkomisarz raz jeszcze i, ku uldze komisarz Kopp, wyszedł ze stróżówki, zostawiając ich samych.

Klementyna spojrzała na magazyniera.

– Kto kupował od ciebie ostatnio fosgen, co? – zapytała, nie siląc się na wstępy.

Człowiek zadrzał nieznacznie.

– Już mówiłem tamtym, że nie mam pojęcia – rzucił defensywnie, wskazując drzwi, w których zniknął nadkomisarz Dobrowolski. – Nie spisuję przecież ich danych. Powariowaliście?

– A co wy tu właściwie sprzedajecie spod lady, co?

Mężczyzna westchnął.

– Różne rzeczy... barwniki, nawozy, półprodukty. Co kto potrzebuje... Tylko że ja nic nie wiem. Pilnuję tu tylko magazynu i wydaję klientom, co mi każą.

– Jak ci ludzie się z panem kontaktują? – zapytał Daniel Podgórski.

– Bo ja wiem... Mówiłem już, że nie ja się tym zajmuję. Ja tylko wydaję produkty.

– Ja myślę, że nie jesteś wcale takim niewiniątkiem. Odpowiadaj – zażądała Klementyna. – Jak ci klienci się z wami kontaktują, co? Chyba nie chcesz, żebym narobiła ci kłopotów. Nie znasz mnie. Ale! Zapewniam, że jestem w tym dobra.

Mężczyzna spojrział na policjantkę z lękiem. Chyba uwierzył w jej słowa. I bardzo dobrze, uznała z zadowoleniem komisarz Kopp.

– Zazwyczaj po prostu przyjeżdżają – powiedział stróż niechętnie. – Telefony i maile zostawiają ślady. Przyjazd nie. Wygodnie i bezpiecznie dla wszystkich.

– Przyjeżdżają, a ty im wyjmujesz spod lady fosgen, co?

Przesłuchiwany wzruszył ramionami.

– Niczego im spod lady nie wyjmuję.

– Wróćmy do poprzedniego pytania. Kto kupował tu ostatnio fosgen, co?

– Tamten obiecał mi różne rzeczy, jeżeli wam pomogę – mężczyzna wskazał na nadkomisarza Lecha Dobrowolskiego, który spacerował tam i z powrotem przed wejściem do stróżówki. – Tylko że ja nie umiem wam pomóc.

– Dużo pan tego fosgenu sprzedaje? – spróbował inaczej Daniel Podgórski. – Chyba nieczęsto się zdarza, że ktoś kupuje tak niebezpieczną substancję do własnego użytku. Zgadza się?

Strażnik magazynu wzruszył ramionami.

– Nie umiem pomóc – powtórzył.

Klementyna Kopp spojrziała na niego gniewnie. Wyglądało na to, że natrafili na kolejny mur zamiast oczekiwanego przełomu. Cała wyprawa do Łodzi okazała się bez sensu.

– Będiesz miał spore problemy – zagroziła znowu

policjantka. – Lepiej mów, co?

– Może i będę miał problemy, ale nie mogę pomóc. Nie znam moich klientów. Co mam zrobić? Kłamać, żeby was zadowolić? Dobrze! Ten człowiek był dość gruby i miał długą białą brodę. Ubrany był... zaraz... chyba w czerwony płaszczyk i spodnie. Zdaje się, że wspominał nawet, jak się nazywa... To chyba było jakoś na „M”.

Daniel Podgórski chciał chyba coś powiedzieć, ale Klementyna Kopp pociągnęła go za rękaw. Czas wyjść. Nic więcej tu nie zyskają. Bardziej byli potrzebni w Brodnicy. Pożegnali się zdawkowo z Lechem Dobrowolskim i wrócili do samochodu.

Wiedzieli, skąd mógł pochodzić nielegalnie zdobyty fosgen. Ale nadal nie wiedzieli, kto go kupił. Ani dlaczego, jeżeli już o to chodzi. Motywy działania sprawcy nadal nie były jasne. Gdyby znali motyw, wiedzieliby, kto zabija. A przynajmniej byliby o krok bliżej. Policjantka miała nieprzyjemne uczucie, że nie widzą oczywistego. A to denerwowało komisarz Kopp najbardziej.

Liliana Brzezińska wykręciła numer Klementyny Kopp. Po raz kolejny. Nie była pewna dlaczego, ale miała wrażenie, że powinna powiedzieć policjantce o książce, którą znalazła w domu matki. Klementyna znowu odrzuciła połączenie.

– Cholera jasna! Niech ją szlag trafi!

Liliana odłożyła telefon ze złością. Znowu spojrzała na książkę. Tom był mocno zużyty, jakby ktoś często go przeglądał. Brzezińska znowu szukała w pamięci, ale nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek widziała tę pozycję u matki.

Nagle przypomniała sobie, że matka miała w zwyczaju podpisywać swoje książki inicjałami MG. Pozostałość ze starych czasów. Liliana jeszcze raz przejrzała książkę. Nie było tu inicjałów Małgorzaty Głuszyńskiej. Ani na początku, ani na końcu książki. Nie było też żadnych innych zapisków. Niczego.

Liliana odsunęła od siebie książkę i znowu sięgnęła po

telefon. Wykręciła numer komisarz Kopp jeszcze raz. Policjantka ponownie odrzuciła jej połączenie.

– Cholerna Klementyna!

Nie było innego wyjścia. Liliana Brzezińska włożyła telefon do kieszeni, a książkę do torebki. Poczeka do wieczora i pójdzie do Klementyny do domu. Postanowiła, że porozmawia z upartą policjantką, choćby nie wiem co się działo.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska wysiadła z radiowozu. Po raz drugi w ciągu ostatnich dwóch tygodni znaleźli się pod domem Anny Giesy. Klementyna Kopp i Daniel Podgórski byli zajęci w Łodzi, więc to Emilii i Markowi przypadło zadanie ponownego przesłuchania żony Ignacego Sikory.

Anna Giesa siedziała na krzeselku przed domem i patrzyła, jak trójka jej dzieci bawi się na niewielkim skrawku trawy.

– Wygląda pani na zmęczoną – zagadnęła Emilia Strzałkowska.

– Oj tak – przyznała Giesa. – Dopiero wróciłam z tej szkolnej wycieczki. Mam chyba dosyć na jakiś czas. Tyle dzieci naraz to już nadmiar szczęścia. Wystarczy mi moja trójka.

Policjantka pokiwała głową. Emilia wiedziała, że było sporo świadków, którzy potwierdzali, że Anna Giesa rzeczywiście była na wycieczce w Szczecinie i przez cały czas nigdzie się stamtąd nie ruszała. Nie było możliwości, żeby to Giesa zabiła Miłosza Janiszewskiego. Czy jednak wykluczało to możliwość, że była zabójczynią trzech poprzednich ofiar? Strzałkowska wcale nie była tego pewna.

Z drugiej strony trzeba było przyznać, że Anna Giesa w najmniejszym stopniu nie wyglądała na osobę obdarzoną morderczymi instynktami. Wręcz przeciwnie. Kobieta miała pulchną, dobroduszną twarz oddanej dzieciom matki.

Oddana matka. Te słowa chyba idealnie opisywały Annę Giesę. Przy niej Emilia od razu zmieniała się w kłębek wyrzutów sumienia. Czy ona sama dość się starała? Czy nie powinna spędzać więcej czasu z Łukaszem? Strzałkowska nigdy nie pojechała pomagać podczas żadnej wycieczki klasowej

syna. Czy czyniło to z niej złą matkę?

Policjantka westchnęła cicho.

– Jak pani może wie, pan Miłosz Janiszewski nie żyje – zaczął Marek Zaręba.

– Wiem, wiem – powiedziała Anna Giesa, kiwając głową. – Mąż mi o wszystkim powiedział, kiedy tylko wróciłam do domu. To straszne. Ignacy się tym okropnie gryzie, bo Miłosz do niego zadzwonił i mówił, że ma świetny temat. Teraz Ignacy myśli, że to jego wina, że Miłosz został zamordowany. Staram się go przekonać, że tak nie jest, ale sami państwo wiedzą... Rozumiem jego uczucia. „Prawdziwy Głos” to nie jest gazeta... wysokich lotów. Nie wstydzimy się tego. Trzeba jakoś na życie zarobić. Do tej pory jednak nigdy nie było żadnych konsekwencji tego, że nasi reporterzy...

– Mijali się z prawdą? – zasugerowała Emilia nieco złośliwie. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie wetknąć choćby małej szpileczki tej irytująco wzorowej matce.

Anna Giesa pokiwała głową, jakby nie zauważyła kąśliwego tonu Strzałkowskiej.

– Tak, albo wyolbrzymiali pewne sprawy... ale teraz... Cóż.

– Nie mają państwo żadnego pomysłu, czego mógł dotyczyć ten news, o którym mówił dziennikarz przez telefon? Niczego nawet nie zasugerował?

– Miłosz Janiszewski od jakiegoś czasu był ogarnięty prawdziwą obsesją na punkcie swojej byłej żony, Liliany Brzezińskiej. Ona pracuje w Brod-Dysku. Nie wiem, czy państwo wiedzą, o kogo chodzi?

– Tak, tak. Mieliśmy przyjemność ją poznać.

Anna Giesa pokiwała głową.

– Miłosz cały czas tylko o tym pisał. O tym, że Liliana sprowadza fosgen z Chin i tak dalej... Mój mąż poradził mu, żeby trochę przystopował. Może dlatego Miłosz nie powiedział Ignacemu, o co chodzi z tym świetnym tematem. Gdyby tylko powiedział, to może jeszcze by żył... ale zresztą co ja będę mówiła. Już przesłuchiwaliście mojego męża, więc wiecie.

Rzeczywiście. Klementyna Kopp, a potem również Juliusz Szewczyk wraz z grupą ochotników rozmawiali z redaktorem

naczelnym „Prawdziwego Głosu” na temat jego ostatniej rozmowy z Miłoszem Janiszewskim. Niestety Ignacy Sikora nie potrafił im nic powiedzieć ponad to, co już wcześniej mówił Klementynie. Redaktor naczelny wiedział tylko tyle, że dziennikarz zadzwonił do niego i poprosił o zarezerwowanie miejsca w nowym numerze „Prawdziwego Głosu”, miejsca na „temat życia”. Tak dokładnie się wyraził. Później nie było już więcej telefonów.

– Chciałabym, żeby zobaczyła pani pewne nagranie – wyjaśniła Emilia, przechodząc do sedna ich dzisiejszej wizyty.

Strzałkowska włączyła tablet, który przyniosła ze sobą, i pokazała Annie Giesie nagranie z kamery monitoringu miejskiego, na którym Miłosz Janiszewski przyjmuje od kogoś plik kopert i idzie z nimi do skrzynki pocztowej.

– Są świadkowie, którzy twierdzą, że to pani podała Miłoszowi Janiszewskiemu te koperty – wyjaśniła Emilia, kiedy nagranie się skończyło.

Anna Giesa pokiwała głową.

– Tak, tak. Pamiętam.

Policjantka zerknęła na gospodynię zaskoczona. Spodziewała się żarliwych zaprzeczeń. Tymczasem Giesa z całym spokojem przyznawała się do wszystkiego.

– Pani mu je dała? – zapytał Marek Zaręba, który wyglądał na równie zdziwionego jak Strzałkowska.

– Tak, to ja dałam te listy Miłoszowi. O co chodzi? Dlaczego państwo o to pytają? – chciała wiedzieć Anna Giesa. Nagle jej twarz się rozjaśniła. – Och, to był ostatni raz, kiedy rozmawiałam z Miłoszem. O to chodzi, prawda?

Emilia Strzałkowska i Marek Zaręba znowu wymienili spojrzenia. Albo Giesa była doskonałą aktorką, albo nie wiedziała, że w jednej z kopert znajdowało się czarne pióro, które trafiło do Franciszka Trojanowskiego, zanim szachista zginął.

– Jak to wszystko przebiegło? – zapytała Emilia zamiast odpowiedzi.

– Miłosz zachowywał się całkiem normalnie – opowiadała Anna Giesa z przejęciem. Wyglądało na to, że bardzo chce

pomóc. – Nie zauważyłam nic szczególnego, mówiąc szczerze. Janiszewski był miły. Zaproponował mi, że wrzuci te listy do skrzynki, żebym ja już mogła pojechać do domu. Spieszyłam się do dzieci.

– Może nam pani powiedzieć, co to były za listy? – zapytał Zaręba ostrożnie.

Anna Giesa spojrzała na młodego policjanta, jakby w pierwszej chwili nie zrozumiała pytania. Po chwili jednak uśmiechnęła się szeroko.

– A, to były listy z naszej redakcji – wyjaśniła. – Normalnie wysyła je recepcjonistka, ale tamtego dnia poprosiła mnie, żebym ja to zrobiła. Nie czuła się najlepiej. I tak już wychodziłam, więc to nie był problem.

– Co to za recepcjonistka? – podchwyciła Emilia.

– Lena Szczepańska – wyjaśniła Anna Giesa. – Pracuje u nas od jakiegoś czasu. Dziewczyna nie miała właściwie doświadczenia w pracy biurowej, ale mąż uznał, że ją wyszkoli. Na razie jej trochę mniej płacimy, póki się nie wdroży. Bardzo jej zależało na tej pracy u nas.

Sierzant sztabowa Emilia Strzałkowska zerknęła w stronę Marka Zaręby. Czyżby w ich śledztwie znowu pojawiała się niezawodna rodzina Szczepańskich?

– Nie wie pani, czy ta Lena Szczepańska jest spokrewniona z właścicielami hodowli ptaków ozdobnych na Bachotku? – zapytał Zaręba. – I z właścicielem Brod-Dysku?

– Nie wiem. Możliwe. Chyba tak. Chyba ma pan rację – zgodziła się Anna Giesa. – Mąż nawet wspominał, że się dziwi, że Lena chce u nas pracować, skoro puściliśmy tyle artykułów przeciwko firmie jej brata. Lenie chyba to nie przeszkadza. Strasznie chciała pracować w redakcji. Ona jest trochę... inna.

Barbara Krakowiak pokonała schody kamienicy przy ulicy Pocztowej. Nowe biuro Towarzystwa Ekologicznego Cygnus było praktycznie gotowe. Właściwie w dużej części już się tu przenieśli. Było to naprawdę dogodne.

Pani Krakowiak spojrzała na biurko, które miała zajmować

Małgorzata Głuszyńska. Barbara poczuła głęboką, prymitywną satysfakcję. Teraz to ona będzie tu siedziała i nic tego nie zmieni. Nic.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski napił się trochę wody. Zaczęli właśnie odprawę. Prokurator Leon Gawroński nie chciał czekać z tym do poniedziałku. Daniel był zmęczony. Dopiero co wrócili z Klementyną Kopp z Łodzi. Pokonali ponad pięćset kilometrów. Podgórski lubił jeździć samochodem, więc zmęczenie nie było chyba skutkiem podróży. Może to te dwa intensywne tygodnie pracy bez przerwy zaczęły w końcu dawać mu się we znaki. A może plotki o zamknięciu komisariatu w Lipowie? Może kłótnia z Weroniką?

Cokolwiek było przyczyną jego zmęczenia, Daniel marzył już tylko o tym, żeby nareszcie wrócić do domu i... Policjant włożył rękę do kieszeni i poczuł pierścionek. Ciągle tu jest, pomyślał, jakby przedmiot z jakiegoś powodu mógł w magiczny sposób zniknąć.

– Tym razem zacznę może od tego, czego ja się dowiedziałem – zaproponował prokurator Leon Gawroński, wyrывая Daniela z zamyślenia. – Są już wyniki sekcji zwłok Miłosza Janiszewskiego.

– I? – rzuciła Klementyna.

Pomarszczona twarz policjantki nie wyglądała wcale na zmęczoną. Wręcz przeciwnie, wydawało się, jakby komisarz Kopp dopiero się rozkręcała. Może to adopcja czarnego kota tak dobrze na nią wpłynęła, zaśmiał się Podgórski w duchu. Klementyna jakby odmłodziła o dobrych kilka lat.

– Przyczyną śmierci było działanie fosgenu – referował tymczasem Leon Gawroński. – Dziennikarz umarł w swoim mieszkaniu, a jego ciało nie było przemieszczone. Tym razem nie ma więc wędrowni płam opadowych.

– Czyli tak, jak podejrzewaliśmy, co? – podsumowała Klementyna. – Zero inscenizacji. Atak i koniec.

Gawroński pokiwał głową.

– Ochotnicy pod wodzą Juliusza Szewczyka sprawdzili billingi

dziennikarza.

– I? – zapytała znowu Klementyna Kopp.

– Miłosz Janiszewski rzeczywiście dzwonił do Ignacego Sikory. Tak jak twierdził redaktor naczelny „Prawdziwego Głosu”. Nie to jest jednak ciekawe...

Prokurator Gawroński rozejrzał się po zebranych, jakby chciał stopniować napięcie. Daniel nie miał już siły nawet na okazanie odrobiny ciekawości. Marek Zaręba i Emilia Strzałkowska znakomicie go jednak w tym wyęczyli.

– Było coś w tych billingach? – zapytał Marek, nie starając się wcale powstrzymać emocji. Wyczekiwanie i ekscytacja wyraźnie malowały się na jego twarzy.

– Po telefonie do Ignacego Sikory Miłosz Janiszewski zadzwonił do Michaliny Niewiadomskiej.

– Do Michaliny Niewiadomskiej – powtórzył Podgórski bezmyślnie.

– Tak – potwierdził Leon Gawroński. – To było ostatnie połączenie wykonane z telefonu dziennikarza.

– Musimy sobie znowu porozmawiać z Niewiadomską. Już wcześniej wydawało się, że coś kręci. Zwłaszcza ze sprawą tego awansu – mruknęła Klementyna Kopp. – A co z przeszukaniem mieszkania pismaka? Technicy znaleźli wreszcie ten jego komputer, co?

– Niestety nie. Komputera nie było. Nie było też żadnych innych nośników informacji. Tylko trochę płyt z muzyką – wyjaśnił prokurator.

– Trudno uwierzyć, żeby pismak nie korzystał z komputera, tabletu czy czego tam jeszcze. To już nie jest czas notatek ręcznych – stwierdziła komisarz Kopp z niezachwianą pewnością. – Tam musiało coś być i zabójca to zabrał.

– Zgadzą się – odparł Leon Gawroński. – Niestety na razie nic z tym nie zrobimy. A jak wam poszło w Grabowskim?

– Nic. *Null*.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Za to my coś mamy – poinformował zebranych Marek Zaręba. – Lena Szczepańska – wyrecytował triumfalnie.

– Kto to? – zapytał Daniel Podgórski, starając się

przewyciężyć ogarniające go coraz bardziej zmęczenie.

Zareba skinął głową w kierunku Strzałkowskiej.

– Wtedy przed pocztą to rzeczywiście była Anna Giesa, tak jak twierdziła sprzedawczyni z lumpeksu – przejęła pałeczkę Emilia. – Tylko że to nie były jej listy. Dostała je od Leny Szczepańskiej, która od niedawna jest recepcjonistką w „Prawdziwym Głosie”. Nazwisko chyba z kimś wam się kojarzy?

– Brod-Dysk – rzuciła Klementyna Kopp natychmiast.

Emilia Strzałkowska pokiwała głową.

– Tak, i hodowała ptaków ozdobnych – dodała policjantka. – Lena to siostra Stanisława Szczepańskiego, a córka Hanny i Tadeusza z hodowli na Wyspie Skarbów na Bachotku. To Lena poprosiła Annę Giesę, żeby wrzuciła listy do skrzynki. Przed pocztą Giesa spotkała Miłosza Janiszewskiego, a on z kolei zaoferował się, że zrobi to za nią. To właśnie widzieliśmy na filmie z kamery obok poczty.

– Przesłuchujemy tę Lenę! – zarządził Gawroński. – Jeżeli to ona wysłała pióra...

Prokurator nie musiał kończyć. Na chwilę zapadło milczenie.

– Okej. No dobra – odezwała się Klementyna, przerywając ciszę. – Ale! Nadal trzeba też pogadać z Nikolą Szczepańską...

Klementyna Kopp nie dokończyła. Salę konferencyjną wypełnił dźwięk dzwonka. Emilia Strzałkowska wyciągnęła telefon z kieszeni i uśmiechnęła się przeprasząco.

– Tak? – mruknęła do słuchawki. W jednej chwili jej twarz się zmieniła. Emilia słuchała przez chwilę, co ma do powiedzenia jej rozmówca. – Będziemy – zapewniła w końcu policjantka. – Oczywiście, że nie wyciągniemy żadnych konsekwencji... nie, nie będzie miał pan kłopotów. Obiecuję.

Strzałkowska rozłączyła się. Wszyscy spojrzeli na nią z zaciekawieniem.

– Chyba znaleźliśmy tego bezdomnego z opuszczonego domu w kolonii Żabie Doły – powiedziała Emilia poważnym tonem. – Obiecał, że będzie na nas czekał po południu koło tej rudery.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski czuł, że zaczyna powoli odzyskiwać energię. Wreszcie odnaleźli świadka pierwszego

morderstwa. Prawdopodobnego świadka, poprawił się szef komisariatu w Lipowie.

– Wspaniale – ucieszył się prokurator Leon Gawroński. – Emilia, czy wy z Markiem zdążycie przesłuchać Lenę Szczepańską przed rozmową z tym bezdomnym?

Strzałkowska skinęła głową.

– Na pewno.

– To zróbcie to. Klementyna i Daniel, wy przesłuchacie Nikolę Szczepańską, a potem także Michalinę Niewiadomską. Widzimy się jutro.

ROZDZIAŁ 39

Lipowo, kolonia Żabie Doły i Brodnica.
Niedziela, 25 maja 2014. Południe

Stanisław Szczepański spojrział na Nadię uważnie. Była żona nadal zdawała się zmartwiona. On też nie potrafił się zrelaksować, chociaż bardzo się starał. W sytuacji, w której się znaleźli, relaks był chyba niemożliwy.

– Nie masz wrażenia, że Nikolka dziwnie się zachowuje? – zapytała Nadia bardzo cicho.

Córka zamknęła się w swoim pokoju, więc nie mogła ich słyszeć. Mimo to trudno było rozmawiać o niej pełnym głosem.

– Nie mów, że tego nie widzisz... – mruzczała dalej Nadia Trojanowska. – Czy to ona zrobiła? Stanisław, powiedz coś! Muszę wiedzieć! Czy ty mnie w ogóle słyszysz?

Stanisław Szczepański pokiwał głową. Wynajęli najlepszego adwokata, żeby wybronił ich córkę, ale... dyrektor Brod-Dysku sam nie wiedział, co odpowiedzieć Nadii. Nikolka morderczynią? To pytanie było... zbyt trudne. Znowu. Rozmawiali o tym niemal cały czas od powrotu z przesłuchań w komendzie. Czy Nikolka była morderczynią?

– Nie wiem... – odpowiedział tylko Stanisław.

– Jeżeli Nikolka jest niewinna, dlaczego chcą ją znowu przesłuchiwać?

Szczepański wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Adwokat mówił, że tym razem powinniśmy się zgodzić – przypomniał. – Chyba nie oskarżają już Nikolki. To ma być zwykła rozmowa. Wszystko się jakoś ułoży. Nikolka porozmawia z tymi policjantami i będzie po wszystkim. Już jej nie podejrzewają, więc nie mamy problemu. Pamiętaj o tym. Już jej nie podejrzewają! Może my też powinniśmy przestać... Nie sądzisz?

– Myślisz, że Nikolka sobie poradzi? – upewniła się Nadia Trojanowska.

Stanisław Szczepański pokiwał głową. Na to pytanie mógł z łatwością odpowiedzieć.

– Oczywiście, że tak. To w końcu moja córka.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska wysiadła z samochodu. Marek Zaręba zaparkował w tym samym miejscu co poprzednio, na polanie tuż nad jeziorem Bachotek, naprzeciwko Wyspy Skarbów. Lena Szczepańska obiecała, że będzie tu na nich czekać. Recepcjonistka z „Prawdziwego Głosu” najwyraźniej nie chciała rozmawiać z nimi w domu rodziców na wyspie.

Kobieta rzeczywiście już na nich czekała. Stała oparta o drzewo. Emilia nie zauważyła żadnego fizycznego podobieństwa pomiędzy Stanisławem Szczepańskim a Leną. Dyrektor Brod-Dysku był zadbanym, ubranym w markowe garnitury mężczyzną o może niezbyt przystojnej, ale oryginalnej twarzy. Lena Szczepańska daleka była od wybierania modnych fasonów. Nosila okulary w nietwarzowych metalowych oprawkach, spraną dzinsową spódnicę trzy czwarte i źle leżącą koszulę z krótkim rękawkiem.

Strzałkowska poczuła nić sympatii do tej niepozornej, szarej kobiety. Sama też nie należała przecież do piękności. Pod tą niezbyt okazałą aparycją mogła kryć się wartościowa osoba... Albo morderczyni, dodała w duchu policjantka. Przecież to Lena Szczepańska przygotowała plik listów, który obecnie tak uważnie śledzili. To ona mogła rozsyłać złowieszcze czarne pióra.

– Dzień dobry – przywitał się Marek Zaręba.

– Dzień dobry – odpowiedziała cicho Lena.

Niepozorna kobieta zerknęła w stronę wyspy. Strzałkowska podążyła za jej spojrzeniem. Zobaczyła Hannę i Tadeusza Szczepańskich, którzy krzatali się wśród wolier z ptakami. Nie mogli ich oczywiście słyszeć, ale sama ich obecność mogła przecież jakoś wpłynąć na zeznania Leny.

- Może się przejdziemy – zaproponowała Emilia.
- W porządku – zgodziła się szybko kobieta.
- A więc pracuje pani w „Prawdziwym Głosie” – zaczął Marek Zaręba, kiedy odeszli już kawalek.

Lena Szczepańska przytaknęła niepewnie. Marek zerknął na Emilię, jakby szukał u niej pomocy. Strzałkowska odchrząknęła. Tu trzeba było cierpliwości i spokoju. Inaczej nic z Leny nie wydobędą.

– Podoba się tam pani? – zapytała policjantka miękko. – W redakcji?

Lena Szczepańska znowu skinęła głową. Zdecydowanie nie należała do nazbyt gadatliwych. Delikatne traktowanie chyba jednak wiele nie pomoże. Strzałkowska postanowiła więc darować sobie wstępy i wzorem Klementyny Kopp od razu przejść do rzeczy.

– Gdzie pani była w piątek dwudziestego trzeciego maja? – zapytała. Chciała sprawdzić alibi Leny na czas śmierci Miłosza Janiszewskiego, zanim zapyta ją o listy.

Siostra dyrektora Brod-Dysku milczała. Tym razem to Strzałkowska zerknęła na Marka. Zaręba tylko wzruszył ramionami.

– Może pani odpowiedzieć? – zapytała nieco ostrzej Emilia.

Lena Szczepańska zadrżała.

– Nie wiem – mruknęła. – Prawdopodobnie byłam tu, w domu.

– Prawdopodobnie?

– Musiałabym zapytać rodziców – wyjaśniła Lena. – Jestem albo w domu, albo w pracy. Nigdzie indziej nie chodzę.

Emilia znowu zerknęła na Marka. Doszli tymczasem do sporego głązu. Lena przystanęła i zaczęła z czułością gładzić kamień ręką, jakby to był puchaty szczeniaczek. Strzałkowska zaczynała dochodzić do wniosku, że z Leną jest coś mocno nie w porządku. Może rzeczywiście była „inna”, tak jak twierdziła Anna Giesa. Mimo wszystko pora było przejść do rzeczy.

– Chciałabym, żeby pani przypomniała sobie wtorek dwudziestego maja – spróbowała raz jeszcze policjantka, wracając do tematu. – Była pani wówczas w redakcji

„Prawdziwego Głosu”, prawda?

Lena Szczepańska przytaknęła. Emilia westchnęła. Z dwojga złego wolałaby chyba przesłuchiwać kogoś nadmiernie gadatliwego niż tę milczącą kobietę, którą z trudem można było zmusić do wyduszenia chociażby jednego słowa.

– Pani Anna Giesa zeznała, że dała jej pani listy do wysłania, czy to prawda? – brnęła dalej Strzałkowska.

Lena Szczepańska najpierw zastanawiała się przez chwilę, żeby w końcu powoli skinąć głową. Emilia westchnęła ciężko.

– Co to były za listy? – przyszedł jej z pomocą Marek Zaręba.

– Listy redakcyjne – wyjaśniła Lena krótko. Przestała nareszcie gładzić wielki kamień. Emilia poczuła niespodziewaną ulgę.

– Co ma pani na myśli? – zapytała z nową werwą.

Lena spojrzała na Emilię, jakby policjantka zadała właśnie najgłupsze pytanie na świecie.

– Listy redakcyjne – powtórzyła recepcjonistka. – No, w redakcji jest takie specjalne pudełko i tam się wkłada listy do wysłania i ja je potem wysyłam.

Emilia Strzałkowska skinęła głową. Zaczynali nareszcie robić jakieś postępy.

– Kto wkłada listy do tego pudełka?

– No, wszyscy.

– Wszyscy?

Lena skinęła głową. Znowu się wycofała gdzieś w swój świat i wróciła do okazywania czułości głazowi narzutowemu. Emilia poczuła, jak na ten widok przebiega ją dreszcz dziwnego niepokoju. Postanowiła na razie zostawić tę kwestię. Wróci do niej na koniec.

– To pani zakleja koperty? – spróbowała Strzałkowska. – Czy wszyscy wkładają do pudełka już gotowe przesyłki?

– Różnie. Raczej ja zaklejam i wkładam do kopert, ale czasem ktoś wkłada już przygotowaną przesyłkę.

– Czy dwudziestego maja była tam jakaś koperta, która była już zaklejona? – wtrącił się delikatnie Marek. – Pamięta pani może?

Lena wzruszyła ramionami. Emilia Strzałkowska czuła, że zaraz nie wytrzyma.

– Tak czy nie? – zapytała policjantka, siłąc się na spokój.
– Nie wiem.
– Czy pani wysyłała komuś czarne pióro? – nie wytrzymała w końcu Emilia. Może pytanie wprost coś pomoże.

Lena Szczepańska pokręciła głową.

– Czyli nie?

– Nie.

– Jest pani całkiem pewna?

– Dlaczego miałabym wysyłać komuś pióro? – zapytała Lena Szczepańska niespodziewanie przytomnie. Może nareszcie obudziła się z letargu. – Dzieciaki przychodzą do hodowli i biorą takie pióra, jakie chcą. Nic nikomu nie wysyłałam.

– Czy wśród listów z dwudziestego maja była jakaś koperta, której pani nie rozpoznała? – zapytał Zaręba.

Lena pokręciła głową.

– Dlaczego pani nie chciała tego dnia wysłać listów sama, tylko poprosiła o to Annę Giesę?

Lena Szczepańska usiadła na kamieniu i popatrzyła w stronę jeziora.

– Nie czułam się najlepiej. Miałam chyba jakieś zatrucie – odparła. Jej głos brzmiał niespodziewanie pewnie. – Dlatego poprosiłam szefową, żeby mi pomogła. Nie miała nic przeciwko temu. Anna Giesa to bardzo miła osoba.

To chyba było najdłuższe zdanie, jakie Lena wypowiedziała podczas całego tego przesłuchania.

– Podobno zależało pani bardzo na tym, żeby dostać pracę w „Prawdziwym Głosie”? – zagadnął Marek Zaręba. – Dlaczego pani na tym zależało aż tak bardzo? Skąd pomysł, żeby zacząć pracować właśnie w tej gazecie? Przecież pani brat i ta gazeta mieli ze sobą na pieńku. „Prawdziwy Głos” cały czas publikował artykuły przeciwko Brod-Dyskowi.

Lena znowu wzruszyła ramionami.

– Chciałam mieć pracę – powiedziała bardzo cicho. Patrzyła w kierunku hodowli na Wyspie Skarbów.

– Gdzie pani pracowała wcześniej? – zapytała Emilia.

– Nigdzie.

– Nigdy? – zdziwił się Zaręba.

– Całe życie byłam tam, w hodowli – wyjaśniła Lena, wskazując na Wyspę Skarbów. – A przedtem byłam za młoda, żeby pracować. Za słaba.

– Skąd potrzeba zmiany? – zaciekała się Strzałkowska.

– Chciałam mieć pracę – powtórzyła Lena. – Prawdziwą.

Spojrzenie Leny zdawało się rozjaśnione. Emilia postanowiła więc wrócić do poprzedniej kwestii.

– Co do tych listów – zaczęła. – Mówiła pani, że wszyscy mogą włożyć listy do pudełka. Czy miała pani na myśli osoby z redakcji „Prawdziwego Głosu”, czy jeszcze kogoś?

Lena odwróciła się do Emilii, ale zaraz spuściła wzrok.

– Tam jeszcze są dwa biura, na drugim i trzecim piętrze – wydusiła. – My jesteśmy najniżej, na pierwszym. Tuż nad sklepem. Czasami tamci z góry przynoszą też swoje koperty, żeby przy okazji je wysłała.

Emilia Strzałkowska odetchnęła głęboko. Musiała zachować spokój do końca przesłuchania. Tym bardziej że teraz wciąż posuwali się naprzód.

– Czyli ktoś z tych dwóch biur na wyższych piętrach również mógł włożyć kopertę do pudełka, dobrze rozumiem?

Lena skinęła głową.

– A orientuje się pani, co to za biura?

– Jedno jest teraz puste, a drugie to siedziba Towarzystwa Ekologicznego Cygnus.

Emilia Strzałkowska i Marek Zaręba wymienili spojrzenia. Towarzystwo Ekologiczne Cygnus? Barbara Krakowiak? Znowu?

– Są tam od niedawna – mówiła dalej Lena, jakby nagle nie potrzebowała już żadnej zachęty. – To znaczy chyba dopiero mają się tam wprowadzić na stałe. Z tego, co wiem, przygotowują biuro. Z drugiej strony już tam czasem ktoś pracuje. No i podrzucają mi listy, jak im potrzeba.

– Czyli kopertę do pudełka mogła włożyć osoba z „Prawdziwego Głosu”, ale też z Towarzystwa Ekologicznego, tak? – upewniła się sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska. Czy to pani Krakowiak wysyłała pióra?

Lena Szczepańska pokiwała głową.

Anna Giesa pakowała torby. Wyjazd z trojgiem małych dzieci nigdy nie jest łatwy. Czuła się zmęczona. Dopiero co przecież wróciła, a już musiała jechać dalej. Z drugiej strony dzieciaki wydawały się zachwycone perspektywą ponownej wędrowki.

Anna ustawiła torby na podjeździe i jeszcze raz przejrzała ich zawartość.

– Chyba mamy wszystko – powiedziała, ocierając pot z czoła.

Zapakowała torby do samochodu.

– Jesteśmy gotowi – oznajmiła w końcu. – Do zobaczenia, kochanie. Dam znać, jak dotrzemy na miejsce.

– Tylko jedź ostrożnie, Anuszka – poprosił Ignacy Sikora.

– Przecież wiesz, jaka jestem ostrożna – zapewniła go żona. – Dzieciaki, pocałujcie tatę na do widzenia i jedziemy.

Przez chwilę patrzyła z rozrzewnieniem, jak dzieci żegnały się z Ignacym.

– No już, wskakujcie do samochodu – powiedział Ignacy Sikora w końcu.

Anna Giesa wrzuciła bieg i ruszyła. Musiała przejechać przez rynek, żeby odebrać jeszcze jedną osobę. Bez niej nie pojedą. Potem już w drogę na północ!

Młodszy aspirant Daniel Podgórski minął kościół w Lipowie. Dzwon wzywał właśnie wiernych na niedzielną mszę. Policjant był pewien, że jego matka siedzi już w drewnianej ławce i czeka na pierwsze słowa księdza. Maria Podgórska była bardzo religijna, a jej najlepsza przyjaciółka, pani Solicka, pracowała na plebanii.

– Wiesz, gdzie mieszka Nikola, co? – zapytała Klementyna Kopp, wyrывая Daniela z zamyślenia.

Jechali właśnie do domu Franciszka Trojanowskiego, żeby przesłuchać jego pasierbicę. Tym razem nie wychodzili z założenia, że Nikola Szczepańska może być winna czterokrotnego zabójstwa. Chcieli się tylko dowiedzieć, w jaki sposób odciski jej linii papilarnych mogły znaleźć się na

szachownicach zostawionych w trzech miejscach zbrodni.

– Tak, wiem, gdzie mieszkają Trojanowscy. To już niedaleko. Lipowo to mała wieś.

Daniel skrzył w boczną drogę i wjechał na podjazd jednego z domów. Franciszek Trojanowski kupił go dość niedawno. Przedtem należał do pewnego lekarza, który postanowił wyjechać do pracy w Danii i nie potrzebował już stałej przystani w Lipowie.

Klementyna Kopp zapukała głośno. Drzwi otworzyła im wysoka Nadia Trojanowska. Tuż za nią stał Stanisław Szczepański. Trzymał ręce na ramionach byłej żony. Nadia nie oponowała. Widać żałoba po Franciszku nie trwała zbyt długo.

– Nikolka czeka u siebie w pokoju – oznajmiła wdowa po szachiście. – Chcę uczestniczyć w tym przesłuchaniu.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe – powiedział Daniel Podgórski spokojnie. – Pomijając dobro śledztwa, sama Nikola sobie tego życzyła. Musi pani uszanować jej wolę.

Nadia Trojanowska wyglądała na zdenerwowaną. Zrobiła krok w kierunku Daniela, ale Stanisław Szczepański powstrzymał ją szybko.

– Zaprowadzimy państwa – powiedział układowie.

Przeszli korytarzem na tyły domu. Nadia zapukała do drzwi.

– Nikolka?

Z pokoju nie dobiegła żadna odpowiedź.

– Nikolka?

Znowu nie było żadnej odpowiedzi. Nadia Trojanowska nacisnęła klamkę, ale drzwi były zamknięte od środka.

– Nikolka! – krzyknęła kobieta rozpaczliwie.

Stanisław Szczepański kopnął drzwi z całej siły. Nic się nie stało. Spróbował raz jeszcze.

– Nikola, to nie jest zabawne! – zawołał Szczepański. Na jego twarzy również malował się niepokój. – Otwieraj natychmiast.

– Chodźmy od strony ogrodu – powiedziała Nadia nerwowo. – Zajrzemy przez okno.

Trojanowska wybiegła z domu, nie czekając na odpowiedź. Daniel i Klementyna ruszyli za nią. Okno pokoju Nikoli było otwarte. Serce zabiło policjantowi szybciej. Czyżby kolejna

śmierć spowodowana śmiertelnością fosgenem?

Nadia zatrzymała się w pół kroku, jakby nagle zabrakło jej sił. Stanisław Szczepański minął ją i podbiegł do okna.

– Nikolka! – krzyknął, zaglądając do pokoju. – Nie ma jej tu! Musiała wyjść przez okno.

– To do niej niepodobne! – powiedziała Nadia Trojanowska. Wydawała się już spokojniejsza. – Spróbuję do niej zadzwonić.

Wdowa wyjęła telefon z kieszeni i wybrała numer córki. Z wnętrza pokoju rozległ się dźwięk dzwonka.

– Nie wzięła ze sobą telefonu!

– Samochód też jest na podjeździe – mruknął Stanisław Szczepański, wskazując czerwonego fiata 500. – Chyba nie mogła pójść daleko...

– Naprawdę nie wiedzą państwo, gdzie Nikola może być? – zapytał Daniel. Miał dziwne wrażenie, że nerwowe poszukiwania mogą być elementem jakiejś dziwnej gry.

– Zadzwonię do rodziców, może pojechała na Wyspę Skarbów – zaproponował Stanisław, sięgając po swój telefon. Młodszy aspirant Daniel Podgórski zauważył, że ręce dyrektora Brod-Dysku drżą nerwowo. Może jednak nie udawał?

Szczepański rozmawiał przez chwilę z dziadkami Nikoli, ale po jego minie Daniel domyślał się, że nie usłyszał żadnego wyjaśnienia nagłego zniknięcia córki.

– Kiedy widzieliście Nikolę ostatni raz, co? – zapytała Klementyna Kopp.

– Jakaś godzinę temu. Nikolka miała czekać na państwa u siebie w pokoju. Zachowywała się normalnie – zapewniła Nadia Trojanowska. Wdowa wyglądała na mocno wzburzoną. Po chwilowym spokoju nie było nawet śladu. – Nie wiem, gdzie ona mogła pójść!

Michalina Niewiadomska pożegnała się z córką. Teraz to ona zostawała w domu w Brodnicy, a Iga miała pojechać gdzieś z koleżankami. To dobrze. Niech zazna trochę życia. Nie może ciągle zajmować się chorą matką.

Niewiadomska zaparzyła sobie herbaty i usiadła przy oknie.

Czekała. Wkrótce miała zjawić się policja, żeby ją przesłuchać. Wiedzieli, że Miłosz Janiszewski rozmawiał z nią niedługo przed śmiercią. Oczywiście, że wiedzieli. Czego innego Niewiadomska mogła się spodziewać? Piekielne telefony komórkowe nie zapewniały żadnej prywatności. W tych czasach wszystko dało się sprawdzić. Już nie było tak jak kiedyś.

Michalina Niewiadomska westchnęła. Nie podjęła jeszcze decyzji, co dalej. Potrzebowała czasu, żeby spokojnie pomyśleć. Czy tamto się przedawniło? Czy mogła nareszcie wyznać prawdę? Czy wręcz przeciwnie, powinna raczej zachować wszystko dla siebie? Może tamto nie miało związku z tym, co dzieje się teraz?

– Jak to nie ma związku! – mruknęła do siebie. Nie można dłużej chować głowy w piasek. – Przecież Miłosz Janiszewski nie żyje.

Pani Niewiadomska upiła łyk gorącej herbaty. Co powinna zrobić? Czy Miłosz zginął właśnie przez nią? Przez to, że powiedziała mu zbyt dużo? Czy w takiej sytuacji mogła nadal ukrywać prawdę?

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska weszła ostrożnie do opuszczonego domu w kolonii Żabie Doły. Marek Zaręba szedł tuż za nią. Spóźnili się na spotkanie z bezdomnym dobrych kilkanaście minut, ale policjantka miała wielką nadzieję, że mężczyzna będzie na nich czekał. Jeżeli ona i Marek straciliby okazję porozmawiania z jedynym potencjalnym świadkiem, Klementyna Kopp, Daniel Podgórski i Leon Gawroński pewnie upiekliby ich żywcem. Nie mówiąc już o grupie ochotników i gazetach. Co można było jednak poradzić na to, że przesłuchanie Leny Szczepańskiej trwało dłużej, niż to z Markiem planowali?

Co gorsza, potem postanowili nadrobić stracony czas i pojechali na skróty przez pola. Utknęli za popsutym traktorem i nie mogli go w żaden sposób ominąć. Pozostawało tylko zawrócić na asfaltową drogę. Takie rzeczy się zdarzały...

przynajmniej tu na wsi. Strzałkowska niespodziewanie zateęskniła za wielkim miastem i swoją starą pracą. Może zamknięcie posterunku w Lipowie to będzie pretekst do powrotu?

Emilia zerknęła na Marka Zarębę. Młody policjant uśmiechnął się do niej. Strzałkowska poczuła wyrzuty sumienia. Cokolwiek zrobi, komisariat w Lipowie nie może zostać zamknięty! Dla Marka, Daniela, Marii i reszty to było całe życie. Oni nie mieli innego miejsca na ziemi.

Policjantka otworzyła drzwi opuszczonego domu i zajrzała ostrożnie do środka. Panował tu półmrok, ponieważ większość okien na parterze zabita była szerokimi deskami. W powietrzu wirowały drobinki kurzu. Emilia z miejsca poczuła się nieswojo.

– Jest tu kto? – zawołał Marek Zaręba.

Strzałkowska nasłuchiwała. Nie była pewna, ale wydawało jej się, że usłyszała jakieś poruszenie na piętrze. Wskazała palcem schody. Zaręba skinął głową. Zaczęli powoli wchodzić na górę.

– Halo! – zawołał znowu Marek.

Tym razem poruszenie na piętrze było wyraźnie słyszalne.

– Tu jestem! – zawołał ktoś z góry.

Emilia Strzałkowska poczuła, że się uspokaja. Weszli szybko po schodach. Na starym, dziurawym materacu siedział ubrany w wytarte spodnie mężczyzna. Twarz pokrywały mu kępy nieregularnego siwawego zarostu. Na głowie widać było łyse placki zaczerwienionej skóry. Widocznie bezdomny cierpiał na jakąś chorobę dermatologiczną. Policjantka poczuła nagły przypływ litości.

– Nie jestem bezdomnym – powiedział mężczyzna na wstępie. Wyglądało na to, że chce od razu wyjaśnić sytuację. – Nazywam się Bolesław Szumiński.

– Skoro nie jest pan bezdomnym, to gdzie pan mieszka? – zapytała Emilia po przedstawieniu siebie i Marka.

Bolesław Szumiński wzruszył nieznacznie ramionami.

– Możemy panu pomóc...

– Pomóc? To znaczy wysłać mnie do jakiegoś przytułku? – zakpił Szumiński. – Dobre sobie. Ja jestem wolnym duchem.

Nie mam stałego lokum, bo nie lubię się wiązać z jakimś miejscem. Zrzuciłem kajdany, które was nadal trzymają.

– Podobno sypiał pan tu jakiś czas – powiedziała spokojnie Emilia, rozglądając się po strychu opuszczonego domu. Postanowiła nie wdawać się w dyskusje światopoglądowe z tym człowiekiem.

– No tak – przyznał mężczyzna. – Tu jest ciepło, sucho i wygodnie. Nikt mnie stąd nie przepędzał. Nie lubię uwiązania. Wolę sam być dla siebie sterem i żeglarzem, ot co. Ale chyba dość już o tym. Podobno mnie szukaliście.

Emilia Strzałkowska zerknęła na Bolesława Szumińskiego. Bezdomny odwzajemnił twardo jej spojrzenie. Właściwie nie mieli powodów, by go podejrzewać. Z drugiej strony nic przecież o nim nie wiedzieli. Kim tak naprawdę był? Świadkiem czy mordercą?

– Czy był tu pan dwa tygodnie temu w niedzielę? – zapytał Marek Zaręba, przerywając rozważania Strzałkowskiej.

– Chodzi wam o dzień, kiedy zginęła ta kobieta z naprzeciwka – bardziej stwierdził, niż zapytał, Bolesław Szumiński. – Tak?

Emilia poczuła, że serce znowu bije jej szybciej.

– Tak – powiedziała, kiwając głową. – Dokładnie o ten dzień nam chodzi.

– Byłem tu, tak. Przyjechały radiowozy i tak dalej. Właśnie po tym wydarzeniu postanowiłem się stąd wynieść.

– Dlaczego?

– Nie chciałem kłopotów.

– Skoro pan nic złego nie zrobił, to przecież nie miałby pan kłopotów.

Bolesław Szumiński zaśmiał się ponuro.

– Jest pani strasznie naiwna, pani policjantko – mruknął. – Tacy jak wy dla takich jak ja zawsze oznaczają kłopoty.

– Ale jednak jest pan tu dzisiaj – powiedziała równie cicho Emilia Strzałkowska.

– Lola mnie przekonała.

Emilia i Marek wymienili spojrzenia. Nadszedł czas na najważniejsze pytanie.

– Czy pan coś wtedy widział? Albo kogoś?

– Widziałem, że wchodził do tego domu naprzeciwko jakiś mężczyzna.

Jakiś mężczyzna? „Jakiś mężczyzna” ograniczało liczbę podejrzanych do połowy ludności Polski, zaśmiała się w duchu Emilia. Zostawało im tylko jakieś dziewiętnaście milionów osób do sprawdzenia. Z drugiej strony zyskiwali jednak pewność, że Nikola Szczepańska nikogo nie zabiła. To już było coś. Młodą kobietę trudno było pomylić z mężczyzną.

– Może pan o nim cokolwiek powiedzieć?

– Było ciemno – uciał bezdomny. – Nie widziałem go dokładnie. Odniosłem tylko wrażenie, że to mężczyzna.

Odniosłem wrażenie? Coraz lepiej, pomyślała Strzałkowska.

– O której godzinie widział pan tego człowieka? – zapytał Marek Zaręba. Młody policjant zdawał się podekscytowany i wcale niezrażony niezbyt precyzyjnymi odpowiedziami Bolesława Szumińskiego.

– Mój rolex akurat przestał działać – stwierdził zjadliwie bezdomny. – Nie noszę zegarka, panie policjancie. Było już ciemno. Tyle wiem.

Marek uśmiechnął się przepaszająco.

– Co się stało potem? – wtrąciła się Emilia.

– A co miało się stać? – zapytał Szumiński równie zjadliwie jak przedtem. – Poszedłem spać. Skąd miałem wiedzieć, że ten mężczyzna kogoś zabije?

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska westchnęła. Tak naprawdę Bolesław Szumiński miał rację. Nie mógł przewidzieć, że właśnie zauważył mordercę.

– Widział pan coś więcej? – zapytała dla pewności policjantka. – Nie potrafi pan naprawdę nic powiedzieć na temat jego wyglądu?

Bezdomny pokręcił głową.

– Nie. Tylko tyle, co powiedziałem – odparł Szumiński. – Rano się obudziłem i już była tu karetka pogotowia, a potem policja. Wymknąłem się stąd, jak tylko mogłem.

ROZDZIAŁ 40

Brodnica.

Czwartek, 21 czerwca 1979

Franciszek Trojanowski siedział przy stole w willi rodziców. Nie byli sami. Był z nimi brat ojca, stryj Adam. Franciszek marzył tylko o tym, żeby wyjść z kuchni. Żeby zniknąć. Zrobić cokolwiek, tylko nie to, czego od niego chcieli, a właściwie żądali.

– Synu, nie mamy wyjścia – powiedział ojciec. – Musimy z czegoś żyć. Myślisz, że nasze cukiernie działają tak dobrze, bo tak i już? W jakim ty świecie żyjesz? Chyba nie chcesz stracić tego wszystkiego.

Ojciec zrobił ruch ręką, wskazując ich piękny dom. Ich willa była obiektem powszechnej zazdrości w całym mieście.

– Gabriela Gałązka to... – zaczął Franciszek. – Ona nigdy by nie... Ona nie zajmuje się polityką...

– A tam, nie zajmuje się – wtrącił się stryj Adam z lisim uśmiechem na okrągłej twarzy. – Mamy już kilka doniesień na jej temat. Teraz ty musisz zadziałać. Pamiętaj, że to wszystko dla dobra naszego narodu polskiego. Nie możemy tolerować zdrady i wywrotowych działań. Chyba nie chcesz, żebyśmy skończyli jak ci biedacy w państwach zachodnich. Chyba wiesz, co się tam dzieje? Występek szerzy się na każdym kroku...

– Ale... – przerwał stryjowi Franciszek.

– Otóż źle się tam dzieje – kontynuował agent bezpieczeństwa, nie zważając na słabe protesty młodego Trojanowskiego. – Nawet bardzo źle, powiem ci szczerze, chłopcze. A ta twoja szachistka Gałązka, czy jak ją zwa, dąży do tego, żeby i u nas źle się działo. Ale ty, chłopcze, możesz łatwo temu zaradzić! Mam już przygotowany tekst twojego oświadczenia. Wystarczy, że podpiszesz. To takie łatwe.

Stryj położył kartkę maszynopisu na stole. Franciszek Trojanowski odwrócił się natychmiast. Nie chciał na to patrzeć.

– Pamiętaj, że robisz to dla Polski Ludowej – powiedział patetycznie stryj Adam. – Czyli dla nas wszystkich. Dla nas wszystkich! Wystarczy podpis, chłopcze.

Franciszek pokręcił głową. Nie był głupi. Wiedział, że piękne słowa wkrótce zamienią się w groźby.

– Adam, zostaw nas na chwilę – mruknął do brata ojciec.

Stryj wyszedł z kuchni, zerkając groźnie na Franciszka.

– A więc tak – zaczął ojciec, kiedy zostali sami. – Nie chcesz podpisać? Jakaś obca baba jest dla ciebie ważniejsza niż dobro naszej rodziny? Niż ja i twoja matka?

– Tato, proszę cię – szepnął Franciszek. – To nie jest żadna obca baba. Pani Gabriela jest moją mistrzynią od czasu, kiedy zacząłem grać w szachy. To jedna z najbliższych mi osób. Chcesz, żebym wydał ją SB? Tego chcesz? I to dziś? Akurat dziś? Dziś jest sto dwudziesta ósma rocznica „nieśmiertelnej...”

Ojciec uderzył pięścią w stół, przerywając synowi. Kartka maszynopisu przesunęła się w stronę Franciszka. Młody Trojanowski wzdrygnął się przerażony.

– Chyba ty czegoś nie rozumiesz, Franciszku – syknął groźnie ojciec. – Albo ona, albo my... Tak stawiają sprawę! Chcesz, żeby przez twój głupi upór coś się stało mnie albo matce?! Podpisuj to, jeżeli chcesz nas chronić! Adam może i jest moim bratem, ale on też nas nie obroni, jeżeli władza zechce inaczej... To nie Adam sobie wymyślił aresztowanie tej szachistki. To góra chce tej Gabrieli Gałązki... więc im ją damy. Rozumiemy się?

Franciszek Trojanowski nie odpowiedział. Patrzył na kartkę z wyrokiem śmierci na jedną z najukochańszych osób. Nie był głupi. Wiedział, że jeżeli podpisze ten donos, bezpieczeństwa zrobi swoje.

– Podpisuj!

Franciszek Trojanowski wiedział. Mimo to sięgnął po długopis i zapisał swoje imię i nazwisko pod donosem. Czy miał jakikolwiek wybór? Przecież jeżeli nie on, zrobi to ktoś inny. Może Bolesław Szumiński, a może nawet rodzony syn

Gabrieli...

– Adam! – ojciec zawołał brata, chwytając kartkę z donosem. Obawiał się chyba, że Franciszek w ostatniej chwili zmieni zdanie. – Chłopak nareszcie poszedł po rozum do głowy!

Stryj wrócił do kuchni. Na jego twarzy malowało się teraz zadowolenie.

– Dobrze zrobiłeś, chłopcze – pochwalił esbek. Poklepał Franciszka po ramieniu. Młody Trojanowski wzdrygnął się tylko. – Ta twoja Gabriela Gałązka kontaktuje się z pewną Niemką z NRD. Mąż tej Niemki ma kontakty w RFN i dalej na Zachodzie. Przekazują...

Nagle Franciszek zrozumiał. Chodziło im o Charlotte Schneider.

– Charlotte nic nie robi! Nic! – odważył się przerwać stryjowi.

– Gabriela i Charlotte... One rozmawiają tylko o szachach... Charlotte jest prawniczką Adolfa Andersena...

Stryj Adam zaśmiał się głośno.

– Naiwny jesteś jeszcze, chłopcze – powiedział. – Nieważne. Napijmy się wódeczki, żeby to oblać. Gabriela Gałązka jest skończona.

ROZDZIAŁ 41

Lipowo, Brodnica i Gdańsk.
Niedziela, 25 maja 2014. Po południu

Młodszy aspirant Daniel Podgórski nacisnął czerwoną słuchawkę i zakończył połączenie.

– I co? – zapytała Klementyna Kopp.

Właśnie mieli wejść do bloku, gdzie mieszkała Michalina Niewiadomska. Zatrzymali się jednak przed klatką, żeby zadzwonić do Stanisława Szczepańskiego.

– Nadal nic. Trojanowska i Szczepański wciąż nie wiedzą, gdzie jest Nikola – wyjaśnił Daniel. – Myślisz, że powinniśmy coś zrobić?

– Poczekajmy jeszcze, co? – zaproponowała Klementyna. – Przesłuchamy tę Michalinę Niewiadomską. Najwyżej z Nikołą poczekamy do jutra rana. Do tej pory powinna wrócić.

Daniel wzruszył ramionami. Nie wiedział, co właściwie ma o tym wszystkim myśleć. Wiedział już co prawda od Emilii Strzałkowskiej, że zabójca prawdopodobnie był mężczyzną. To wykluczało winę Nikoli, ale nie wyjaśniało jej nagłego zniknięcia. Skąd wzięły się jej odciski palców na trzech szachownicach? Czy Nikola wiedziała, kto zabijał? Czy dziewczyna była w niebezpieczeństwie?

– Okej. No dobra. Chodźmy – zarządziła Klementyna. W jej ostrym tonie pojawiła się delikatniejsza, pocieszająca nuta, jakby komisarz Kopp odgadła rozterki Daniela. – Pogadamy sobie z Niewiadomską i potem zobaczymy.

Weszli do kamienicy i wspięli się na właściwe piętro. Zapukali do drzwi mieszkania córki Michaliny Niewiadomskiej. Czekali. Z wnętrza lokalu dochodziły odgłosy szurania. W końcu drzwi się otworzyły.

– Mojej córki nie ma, dlatego tyle to trwało – wyjaśniła

Michalina Niewiadomska bez przywitania. – Czasem trochę mi zajmuje dojście do drzwi.

Kobieta ubrana była w sprany błękitny szlafrok. W kilku miejscach widać było drobne plamy, których chyba od dawna nie dawało się doprać.

Weszli do środka. Niewiadomska starannie zamknęła drzwi.

– Co chcieliby państwo wiedzieć? – zapytała, znowu unikając wstępów. Daniel Podgórski miał wrażenie, że kobieta doskonale wie, z czym przychodzą.

– Janiszewski dzwonił do ciebie niedługo przed swoją śmiercią, co? – rzuciła Klementyna od niechcenia. – Porozmawialiście sobie, a potem on umarł. Tak było, co?

Michalina Niewiadomska zadrżała. Otworzyła usta, ale w końcu nic nie powiedziała.

– Nie sil się nawet na kłamstwa – poradziła komisarz Kopp. – Na pewno zdajesz sobie sprawę, że sprawdziliśmy to w billingach, co? Lepiej powiedz od razu, o czym rozmawialiście.

Michalina Niewiadomska znowu zadrżała, mimo że w mieszkaniu było całkiem ciepło. Wyglądała na niezdecydowaną. Czekali.

– To chyba nie ma związku – powiedziała gospodyni po dłuższej chwili.

Podgórski poczuł, że są już bardzo blisko. Spojrzał na Klementynę. Komisarz Kopp skinęła głową. Oddawała mu chyba pałeczkę. Wyglądało na to, że Niewiadomska znajduje się na granicy. Od Daniela zależało, w którą stronę zrobi krok. Tu potrzeba było delikatności, której Klementynie brakowało.

– Proszę o tym opowiedzieć mimo wszystko – poprosił Podgórski grzecznie.

– Ja... to są stare dzieje – powiedziała niepewnie Niewiadomska. – Niepotrzebnie w ogóle do tego wracałam. Miłosz Janiszewski wygrzebał te sprawy z przeszłości. To nie ma sensu.

Daniel lekko pokiwał głową.

– O jakich sprawach z przeszłości pani mówi?

Michalina Niewiadomska westchnęła.

– To nie ja ją zabiłam – powiedziała ledwo słyszalnie. – To oni.

Podgórski dał jej czas, żeby zebrała myśli. Klementyna Kopp też czekała. Słysząc było tylko tykanie zegara i monotonną pracę starej lodówki w kuchni. W łazience chyba przeciekał kran. Krople wody wybijały jednostajny rytm.

– Może pani powiedzieć nam więcej? – poprosił w końcu policjant. Wyglądało bowiem na to, że Niewiadomska potrzebuje odrobiny zachęty.

– Nie wiem, od czego zacząć...

– Najlepiej od początku – mruknęła Klementyna Kopp rozdrażniona. Wyciągnęła telefon z kieszeni i zaczęła ostentacyjnie przeglądać połączenia.

Daniel Podgórski westchnął. Klementyna była jedną z najlepszych policjantek w Brodnicy i miała niezwykle dobre statystyki, ale czasem bywała... przykra. Wielokrotnie zdążył się o tym przekonać.

– Powiedziała pani, że jej pani nie zabiła – podsunął policjant. – Chodzi pani o Małgorzatę Głuszyńską?

– Nie. Mówię o tamtej starej sprawie – wyjaśniła Michalina Niewiadomska i pogrążyła się w myślach.

– O tym awansie w dziewięćdziesiątym czwartym roku? – zgadywał dalej Daniel. Teraz był już zupełnie zdezorientowany. Michalina Niewiadomska dostała awans w miejsce Waldemara Gąsiorowskiego. Dotychczas w tej sprawie nie było mowy o żadnym trupie.

– Nie. Nie o to chodzi.

– Proszę w takim razie wyjaśnić, o co.

– Powiem teraz wszystko od początku. Proszę słuchać uważnie, bo nie chciałabym tego wszystkiego powtarzać. To dla mnie... trudne...

– Proszę mówić – zachęcił raz jeszcze Daniel.

– To był rok siedemdziesiąty dziewiąty. Pracowałam wtedy w więzieniu w Starych Świątkach. Byłam strażniczką na bloku damskim. Pamiętam dobrze ten rok – zaczęła Niewiadomska. Jej głos brzmiał teraz pewnie. Wyglądało na to, że nareszcie zdecydowała się mówić. – Prokurator Małgorzata Głuszyńska

często przyjeżdżała do nas do Świątek z Waldemarem Gąsiorowskim. Prowadzili przesłuchania i naszych więźniów i więźniarek, i aresztantów z innych miejsc... W Zakładzie Karnym w Starych Świątkach były... wygodne pokoje przesłuchań... to były inne czasy. Nie wiem, czy państwo rozumieją, co mam na myśli...

Michalina Niewiadomska spojrzała na nich z nadzieją.

– Taa. Jasne – syknęła Klementyna Kopp. Policjantka nadal bawiła się telefonem demonstracyjnie. – Tak zwane sale tortur, co?

Niewiadomska zadrżała na te słowa.

– Proszę mówić dalej – poprosił Daniel. Miał ochotę wyrwać Klementynie telefon z ręki. – Co się wtedy wydarzyło?

– Tego dnia Małgorzata Głuszyńska i Waldemar Gąsiorowski przywieźli pewną kobietę. Ona nie była od nas z więzienia. Chyba dopiero co ją zatrzymali – kontynuowała Niewiadomska. – Ja pracowałam na oddziale żeńskim, ale często byłam oddelegowywana do przesłuchań. Jeżeli przesłuchiwana była kobietą i potrzebna była... pomoc... To nie był mój pierwszy raz z tą dwójką. Głuszyńską znałam też w tym okresie prywatnie. Z działek. Nieważne. Wiedziałam, jak takie przesłuchania wyglądają. Małgorzata była twarda, ale Gąsiorowski jeszcze bardziej. Często dochodziło do... rękoczynów. To były zupełnie inne czasy niż teraz.

– Czyli Głuszyńska i Gąsiorowski tłukli przesłuchiwanego, jeżeli nie odpowiadał na pytania, co? – zapytała komisarz Kopp ostro. Włożyła telefon do plecaka. – A ty im pomagałaś, co?

– To były inne czasy. Co miałam robić?

Michalina Niewiadomska otarła oczy, chociaż Daniel nie widział w nich łez.

– Proszę mówić dalej – poprosił policjant, starając się nie ulegać emocjom.

– Ta kobieta, którą wtedy przywieźli... ona nie odpowiadała na żadne pytania – kontynuowała cicho Michalina. – Nie wiem, czy nie chciała, czy nie знаła odpowiedzi. Małgorzata Głuszyńska wpadła w szał. Koniecznie chciała coś z niej wyciągnąć. Nie wiem, dlaczego aż tak Głuszyńskiej na tym

zależało. Może bez powodu. Małgorzata była zwyczajnie... bezzwzględna... No nic... w każdym razie Głuszyńska kazała Gąsiorowskiemu bić tę kobietę... tę przesłuchiwaną... Waldemar robił wszystko, co kazała pani prokurator... Ja... Już nie mogłam na to patrzeć...

– Prawdziwy anioleczek z ciebie, co? – rzuciła Klementyna.

Tym razem w oczach Michaliny Niewiadomskiej pojawiły się pojedyncze łzy. Schorowana kobieta otarła je szybko.

– Co było dalej? – zapytał Podgórski, chociaż domyślał się odpowiedzi.

– Waldemar pobił tę kobietę tak, że... To było okropne – wykrztusiła Michalina. – Ta przesłuchiwana... Ona umarła. Waldemar Gąsiorowski zatłukł ją na śmierć na rozkaz Małgorzaty Głuszyńskiej. To nie moja wina... Ja jej nie zabiłam...

– Tak, tak. Ty tylko stałaś i patrzyłaś, co? – zaatakowała znowu Klementyna. – Nasz niewinny anioleczek.

Michalina Niewiadomska spojrzała policjantce prosto w oczy.

– Tak – odpowiedziała niespodziewanie spokojnie. – Ma pani rację, pani komisarz. Ja tylko stałam i patrzyłam. Pod koniec wyszłam. Nie widziałam momentu, kiedy ta kobieta umarła, ale wiem, że to się stało.

Michalina przez chwilę milczała.

– To były inne czasy, jak już mówiłam, ale mimo wszystko Małgorzata i Waldemar nie mogli się tak po prostu przyznać, że kogoś zabili podczas przesłuchania – podjęła przerwany wątek gospodyni. – Poradzili sobie bardzo sprytnie. Wiecie, co zrobili?

Daniel pokręcił powoli głową.

– Upozorowali napad na ulicy – wyjaśniła z ponurym uśmiechem Niewiadomska. – Znaleźli jakiegoś chłystka, który nie miał nic do stracenia. Chłopaczyna przyznał się, że napadł na tę kobietę, żeby ją okraść, ale ta się broniła. Wówczas stracił kontrolę nad sobą i pobił ją na śmierć. Facet trafił do nas do Starych Świątek. Miał dobre życie.

– Rodzina zabitej o niczym nie wiedziała?

– Chyba pan żartuje. Oni nawet nie wiedzieli, że ta kobieta

w ogóle była u nas na przesłuchaniu... Uwierzyli w to, co im milicja podsunęła. Ja... dusiłam to w sobie tyle lat... Ja... To było jak cierń...

Niewiadomska zaczęła cicho płakać, trzymając się kurczowo poręczy fotela.

– O co ta kobieta była właściwie oskarżona? – zapytał Daniel po chwili.

– Jak zawsze. O współpracę z kapitalistycznym imperializmem – wyjaśniła gospodyni, uspokajając się nieco. – Czy inne rzeczy. Z tego, co pamiętam, ktoś na nią doniósł. Nie wiem nawet kto. Te oskarżenia to nawet może i nie były do końca bezpodstawne. Ta kobieta często wyjeżdżała za granicę. Rzeczywiście mogła mieć tam jakieś kontakty.

– Okej. No dobra. Pamiętasz, jak się nazywała ta kobieta?

– Pamiętam tylko, pod jakim występowała pseudonimem – oznajmiła była strażniczka więzienna. – Ta zabita kobieta była arcymistrzynią szachową. Nazywano ją Gabriela Gałązka. Nie pamiętam jej nazwiska.

– Sprawdźmy to – zapewnił Daniel Podgórski.

– Opowiedziałam o tym wszystkim Miłoszowi Janiszewskiemu... a teraz on nie żyje... Śmierć dziennikarza to moja wina. Nie powinien był grzebać w tych starych sprawach.

Michalina Niewiadomska otarła łzy. Jej twarz nabrała zdrowszych kolorów, jakby wyznanie prawdy dodało jej sił.

– Dlaczego opowiedziała pani tę historię dziennikarzowi, a nam nic o tym nie wspomniała? – zapytał Podgórski ostrzej, niż zamierzał.

– Nie wiem... To się stało jakoś tak... samo – odparła Niewiadomska. – Miłosz Janiszewski przyszedł niedługo po was na moją działkę. Wypytywał mnie o różne rzeczy. Zwodził. W końcu powiedziałam mu o wszystkim. Staralam się nie zdradzić swojego w tym uczestnictwa, ale dziennikarz chyba był sprytniejszy niż ja...

Daniel skinął powoli głową.

– A ten awans, który dostałaś zamiast Gąsiorowskiego w dziewięćdziesiątym czwartym, co? – wtrąciła się Klementyna, zanim Podgórski zdążył cokolwiek powiedzieć.

Michalina Niewiadomska westchnęła.

– Potrzebowałam wtedy pieniędzy – przyznała. – Zdrowie zaczynało mi już szwankować. W Starych Świątkach nie zarabiano się wiele w tamtym czasie. To było tuż po przemianach. Wpadłam więc na pomysł, że wykorzystam tę starą historię... Zaszantażowałam Małgorzatę Głuszyńską, że jak ja nie dostanę tego stołka w prokuraturze, to opowiem ludziom, co się wtedy stało z Gabrielą Gałązką. Socjalizm się skończył i życie ludzkie już nie było traktowane tak lekko, więc Głuszyńska chyba się przestraszyła. Poza tym miała przejść na emeryturę i pewnie chciała odejść z czystym kontem. Nieważne. W każdym razie to ja dostałam upragniony stołek, a Waldemar Gąsiorowski figę z makiem. Nie rzucił się za bardzo, bo nie chciał zatonać razem z prokuratorem Głuszyńską. Tak to sobie tłumaczyłam.

Daniel zastanawiał się gorączkowo. Czy rzeczywiście śmierć Gabrieli Gałązki może być kluczem do całej sprawy? Zamordowana w 1979 roku kobieta była szachistką. To pasowało do szachownic pozostawionych przez zabójcę. Być może ktoś mścił się na dawnych katach za śmierć arcymistrzyni. Tylko jak do tego wszystkiego miał się Franciszek Trojanowski?

– Mówi coś pani nazwisko Franciszek Trojanowski? – zapytał Podgórski, werbalizując swoje myśli.

Michalina Niewiadomska pokręciła powoli głową.

– Wiem tylko, że to jest trzeci z zabitych. Czytałam o tym w gazetach i widziałam w telewizji.

– Czy on był jakoś związany z całą tą sprawą z siedemdziesiątego dziewiątego roku?

Niewiadomska pokręciła głową.

– Nic o tym nie wiem.

– Sprawdźmy to – obiecał Daniel. – O tym właśnie rozmawiała pani z Miłozsem Janiszewskim tuż przed jego śmiercią?

Michalina Niewiadomska pokiwała głową.

– Tak. Sam odgadł większą część historii. Upewniał się tylko. Miałam nawet wrażenie, że Janiszewski wiedział więcej niż ja –

powiedziała kobieta w zamyśleniu. – Był dziennikarzem, i to dociekliwym. Sami przecież wiecie. Nie muszę wam mówić. Musiał odkryć, kto jest mordercą. Dlatego nie żyje.

Nagle zadzwonił telefon Daniela. Podgórski zerknął na wyświetlacz. Dzwoniła Nadia Trojanowska.

– Przepraszam – oznajmił policjant. – Muszę to odebrać.

Wstał z kanapy i poszedł do przedpokoju. Klementyna Kopp odprowadziła go wzrokiem.

– Halo – powiedział Daniel.

– Nikolka zadzwoniła do nas – poinformowała go z miejsca Nadia Trojanowska.

– Powiedziała, gdzie jest?

– Nie. Twierdziła, że dzwoni z budki telefonicznej. Poprosiłam, żeby zadzwoniła jeszcze za chwilę. Pomyślałam, że wy... – zająknęła się Trojanowska. – No, możecie chyba sprawdzić, skąd Nikolka dzwoniła, prawda? Odchodzę od zmysłów. Wiem, że ona jest pełnoletnia i może robić, co chce, ale chciałabym przynajmniej wiedzieć, gdzie ona teraz jest. I czy jest bezpieczna!

– Zlokalizujemy ją, proszę się nie martwić – obiecał młodszy aspirant Daniel Podgórski.

Hanna Szczepańska wyglądała przez okno. Widziała, jak Tadeusz z Hubertem Przybylskim karmią Bohuna. Czarny łabędź rozpostarł szeroko skrzydła, jakby zaraz miał odlecieć. W końcu przyjął pożywienie ofiarowane mu przez opiekunów.

Tadeusz i Hubert rozmawiali o czymś, żywo gestykułując. Pewnie dlatego ptak był taki niespokojny. Hanna zastanawiała się, czego może dotyczyć ta rozmowa. Może Nikoli? Czy Tadeusz wiedział, gdzie jest ich wnuczka? Czy Hubert wiedział? A może mówili o czymś zupełnie innym? Może Hanna powoli już wariowała?

Pani Szczepańska wzruszyła ramionami. Tadeusz był zajęty. To był doskonały moment, żeby zrobić to, co planowała od pewnego czasu. Poszła do gabinetu męża. Przez te wszystkie lata Tadeusz nagromadził tu tyle niepotrzebnych rzeczy, że

najchętniej pozbyłaby się połowy. Tylko że mąż na to nie pozwalał.

Zaczęła przeglądać zawartość drewnianej szafy. Hanna była prawie pewna, że to gdzieś tu Tadeusz trzyma księgi hodowli i Brod-Dysku. Te drugie księgi. Te, których nikt nie miał prawa widzieć. W tym ona.

Hanna Szczepańska wierzyła, że Tadeusz i Stanisław nie zrobiliby nic złego. Nie mogła jednak nie sprawdzić. Za bardzo ją to gryzło. Wiedziała, że byli w Grabowskim. Nie była tylko pewna, co tym razem tam kupili. Czy to był fosgen? Waldemar znowu przyszedł ich napastować. To było w kwietniu, potem na początku maja. Obiecał, że to ostatni raz, ale nie mogli mieć przecież pewności. Stanisław powiedział, że się tym zajmie...

Hanna Szczepańska szukała przez chwilę. Były tam. Otworzyła gruby notes i zaczęła przeglądać zawartość. Tadeusz był bardzo skrupulatny. Jeżeli kupił fosgen, na pewno to odnotował.

Po zakończeniu jakże owocnego przesłuchania Michaliny Niewiadomskiej komisarz Klementyna Kopp i Daniel Podgórski podjechali pod Komendę Powiatową Policji w Brodnicy. Przez chwilę siedzieli w samochodzie w milczeniu.

– Okej. No dobra. Daniel, ty wracaj do domu – mruknęła Klementyna, zerkając na zegarek. – Zaslugujesz na wolny wieczór.

– Jesteś pewna? – zapytał Podgórski. – Musimy przecież poszukać informacji o Gabrieli Gałązce. Nie chcę cię z tym zostawiać...

Klementyna Kopp uśmiechnęła się krzywo.

– Daniel, przestań ściemniać, co? – wyrzuciła z siebie policjantka. – Widziałam, że patrzysz na zegarek co jakieś pół minuty. Weronika nie daje ci żyć, co?

Daniel wzruszył ramionami.

– Może ma trochę racji – mruknął Podgórski. – Ostatnio rzadko bywam w domu. Obiecałem jej, że spędzimy przynajmniej część weekendu razem. Sama wiesz...

Klementyna Kopp wzdrygnęła się. Co ona może wiedzieć? Od kiedy nie było Teresy, praca to było jej całe życie. Nikt na nią nie krzychał, że wraca późno do domu. Klementyna tak bardzo tęskniła za zrządzeniem Teresy. Takie rzeczy człowiek docenia dopiero po czasie. Kiedy już ich nie ma...

– Sama pogrzebię przy tej Gabrieli Gałazce – oznajmiła komisarz Kopp. – Ty jedź i załóż sprawę z Weroniką.

Telefon Klementyny zawibrował. Policjantka sięgnęła po komórkę i przeczytała wiadomość tekstową, którą wysłał jej jeden z chłopaków z komendy. Zdobycze techniki były doprawdy zaskakujące. Komisarz Kopp siedziała w samochodzie Daniela jakieś sto metrów od budynku komendy i pisała SMS-a do policjanta z nocnego dyżuru. Zabawne.

Podgórski spojrział na koleżankę pytająco. Klementyna Kopp odpisała na wiadomość skrupulatnie. Telefon trochę się ostatnio zacinał. Będzie chyba musiała sprawić sobie nowy. Wreszcie udało jej się wysłać wiadomość. A właściwie dalsze instrukcje.

– Zlokalizowali, skąd dzwoniła Nikola Szczepańska – poinformowała Klementyna, chowając telefon do plecaka.

– Skąd?

– Dziewczyna najwyraźniej jest w Gdańsku – wyjaśniła komisarz Kopp.

– Jedziemy po nią? – zapytał Daniel ostrożnie.

Klementyna znowu uśmiechnęła się krzywo.

– Spoko. Załatwiłam to już – zapewniła policjantka. – Kazałam Juliuszowi Szewczykowi tam podjechać, skoro taki z niego ochotnik. Niech ma Nikolę na oku do jutra. Rano ją zabierze i przywiezie na przesłuchanie albo my tam podjedziemy. Zobaczymy, co będzie wołał prokurator. Mam już dosyć tej smarkuli. Dobra, Daniel. Zmykaj do domu.

Klementyna wysiadła z samochodu i zamknęła ostrożnie drzwi.

– Widzimy się jutro – powiedziała jeszcze na pożegnanie. – Cześć.

Podgórski spojrział na komisarz Kopp odrobinę zaskoczony,

ale nie skomentował jej nowo nabytych dobrych manier.

– Dzięki. Do jutra!

Klementyna popatrzyła za odjeżdżającym samochodem. Wzruszyła ramionami i ruszyła ulicą Zamkową w kierunku swojego domu.

Zobaczyła ją z daleka. Wysoka blondynka w eleganckim stroju rzucała się w oczy pod starą kamieniczką. Takie jak ona tu nie mieszkały. Liliana Brzezińska musiała czekać na komisarz Kopp już od jakiegoś czasu. Przynajmniej sprawiała takie wrażenie. Przeszłowała z nogi na nogę, jakby bardzo się niecierpliwiła. Klementyna przyspieszyła nieco kroku. Ogarnęła ją irytacja.

– Mówiłam ci, że nie możemy się spotykać, póki trwa śledztwo – rzuciła komisarz Kopp, kiedy podeszła już całkiem blisko. – Odejdź stąd, co?

– Przychodzę właśnie w sprawie śledztwa – powiedziała szybko rzeczniczka Brod-Dysku.

– Niby o co chodzi, co?

– Przegapiliście coś w mieszkaniu mojej matki.

Klementyna spojrzała na Lilianę zaciekawiona.

– Niby co?

Liliana wyciągnęła z eleganckiej skórzanej torebki książkę.

– Sama zobacz – powiedziała Brzezińska i podała ją policjantce.

Klementyna obracała książkę w dłoniach. To było dość stare wydanie. *O szachach* – głosił tytuł. Kiedy komisarz Kopp zobaczyła nazwisko autorki, poczuła, że serce zaczyna bić jej szybciej. Gabriela Gałązka.

– To było u Głuszyńskiej w domu, co? – upewniła się policjantka.

– Książka stała na półce – wyjaśniła Liliana. – Pewnie wasi technicy myśleli, że należała do mojej matki, ale ja wiem, że matka takiej nie miała.

– Jesteś pewna, co?

Liliana pokiwała głową.

– Jak najbardziej – zapewniła bez wahania. – Znam jej zbiory. Nie są duże, więc nietrudno się w nich zorientować. Poza tym matka nie interesowała się nigdy szachami. Po co by

jej była ta książka? Powinna była od razu o tym pomyśleć. Matka umarła nad szachownicą. Przecież nigdy nie grała... Nie pomyślałam o tym...

– Sugerujesz, że tę książkę przyniósł morderca – przerwała jej cicho Klementyna Kopp.

Liliana pokiwała głową. Klementyna zdjęła plecak i wyciągnęła z niego plastikową torebkę na dowody. Ta skrupulatność pewnie była zbędna, skoro zabójca pozostawał jak dotąd taki ostrożny. Ale nie zaszkodziło zabezpieczyć książkę.

– Muszę sprawdzić pozostałe miejsca zbrodni – oznajmiła Klementyna, chowając książkę do plecaka. – Może tam też przeoczyliśmy taką niespodziankę od sprawcy.

Liliana spojrzała na policjantkę pytająco. Komisarz Kopp westchnęła.

– Niech ci będzie – mruknęła policjantka, chociaż była pewna, że tego pożałuje.

– Jedziemy moim czy twoim? – zapytała Liliana. – Zaparkowałam tu blisko. Mogę cię zawieźć, gdzie trzeba.

– Dobrze – powtórzyła Klementyna, przeklinając w duchu własną głupotę. Znowu brnęła w niewłaściwą stronę. Zabieranie Liliany na miejsca zbrodni z pewnością nie zostałyby zaaprobowane przez komendanta.

Poszedłem do ojca.

– Ty to zrobiłeś? – zapytał tylko. Jego głos brzmiał słabo.

Pokiwałem głową. Nie musiałem więcej tłumaczyć. Nie chciałem nawet. Nie wierzyłem w to, że powstrzymam wypełniające mnie emocje.

– Co teraz? – zapytał.

Wzruszyłem tylko ramionami.

– Co teraz? – zapytał ojciec raz jeszcze. – Co teraz zamierzasz?

– Muszę iść, tato. Do widzenia.

Staralem się, żeby mój głos brzmiał mocno. Ojciec tylko odwrócił głowę.

Najpierw pojechały do domu Waldemara Gąsiorowskiego. Komisarz Klementyna Kopp otworzyła drzwi. Nadal miała klucze Oliwii Gąsiorowskiej. Dziewczyna się o nie nie upominała. Pewnie córka Waldemara wołała, żeby policja o niej zapomniała ze względu na kradzież zegara. Wszystko jedno. Ważne, że teraz mogą łatwo wejść do środka, uznała Klementyna. Nie chciała tracić ani chwili czasu. Policjantka musiała wiedzieć, czy morderca zostawił książkę Gabrieli Gałązki również w domach pozostałych ofiar.

Liliana Brzezińska rozglądała się z ciekawością po mieszkaniu Waldemara. Zaczęła chodzić z kąta w kąt i zaglądać w różne zakamarki. Klementyna starała się na nią nie patrzeć. Od razu ruszyła do jednej z półek z książkami i zaczęła ją metodycznie przeszukiwać. Obecność Liliany rozpraszała policjantkę. Nie powinna była jej tu zabierać. Ale! Stało się.

Liliana poszła do drugiego pokoju. Klementyna Kopp odetchnęła z ulgą. Poczula, jakby jej ciało nareszcie się rozluźniło. Przejeżdżała dłonią po grzbietach książek, żeby żadnej nie przeoczyć. Niestety na półkach nie było tomu, którego tak usilnie szukała. Czyżby Brzezińska z jakiegoś powodu wymyśliła całą tę historię z książką? Jaki miałyby w tym cel? Czy wiedziała o sprawie śmierci Gabrieli Gałązki w 1979 roku?

– Jest! Znalazłam! – zawołała Liliana z drugiego pokoju. – Klementyna, to jest nawet to samo wydanie co w domu mojej matki.

Liliana wyszła z sypialni Waldemara Gąsiorowskiego z książką w dłoniach. Na jej twarzy malowała się ekscytacja. Klementyna spojrzała na rzeczniczkę prasową Brod-Dysku podejrzliwie. Liliana „znalazła” właśnie drugą książkę, co? Czy tak właśnie było? Czy Liliana ją tam podrzuciła?

– Powinnas pewnie zapytać rodzinę Waldemara Gąsiorowskiego, czy pamiętają tę książkę – mówiła dalej Brzezińska. – Jestem pewna, że... Klementyna?

Komisarz Kopp skrzyżowała ręce na piersiach.

– O co chodzi? – zapytała Liliana defensywnie.

Klementyna nie odpowiedziała. Patrzyła tylko na książkę.

– Chwileczkę, myślisz, że ją podrzuciłam? – zapytała Liliana w nagłym olśnieniu. – Klementyna, chyba żartujesz. Nie możesz podejrzewać wszystkich. Zwariujesz w końcu. Kochaliśmy się. Chyba mnie możesz wierzyć?

Komisarz Kopp poczuła, że jej podbródek drga z tłumionych emocji.

– Kochaliśmy się, co?! – wrzasnęła policjantka. – Chyba raczej pieprzyliśmy, bo ty chciałaś zyskać kontrolę nad tym śledztwem!

Liliana pokręciła tylko głową zrezygnowana.

– Ta książka stała na półce w tamtym pokoju – stwierdziła, w żaden sposób nie odnosząc się do słów Klementyny. – Zobacz, *O szachach*, Gabriela Gałązka.

Brzezińska wskazała książkę. Klementyna nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Czy może zaufać Lilianie? Czy może? Serce i rozum to przecież dwie zupełnie inne rzeczy.

Teraz to Brzezińska skrzyżowała ręce na piersi.

– Cholera, Klementyna! – rzuciła, kręcąc głową. – Ja nikogo nie zabiłam. Nie wiem, o co tu chodzi, ale ja jestem niewinna. Cholera jasna. Staram się pomóc. Wasi technicy przegapili ważny dowód w domu mojej matki. Tu też go nie zauważyli. Nie mam do nikogo pretensji. Nie wiedzieli przecież, że mają szukać akurat tego... Nieważne. W każdym razie założę się, że taka książka będzie też tam, gdzie zginął Franciszek Trojanowski. Jedziemy do tego klubu czy nie? Będiesz się upierała jak osioł czy zajmiesz się wreszcie swoją cholerną pracą?

Liliana wyciągnęła książkę w stronę policjantki. Komisarz Kopp stała niezdecydowana.

– Zastanów się chwilę, Klementyna – powiedziała powoli Brzezińska. – Chyba możemy pojechać to sprawdzić? Nawet jeżeli to ja jestem twoją zabójczynią, to przecież nikogo nie zamorduję, skoro jestem z tobą, prawda? Chyba nic nie stracimy, jeśli pojedziemy sprawdzić, czy w klubie szachowym też jest ta książka?

Policjantka zakłęła pod nosem. Liliana miała rację. Sprawdzić nie zaszkodzi. Komisarz Kopp nie mogła tylko znieść myśli, że może właśnie ją oszukiwano. Nienawidziła kłamstw. Za dużo tego było w jej życiu.

– Dawaj – mruknęła Klementyna i wyrwała niemal książkę z dłoni Liliany. Zabezpieczyła ją w torebce na dowody.

– Dziękuję – powiedziała cicho Liliana. – Ja i moja matka... nieważne, jak było kiedyś. Teraz chcę wiedzieć, kto ją zabił. Tyle jestem jej winna.

Komisarz Klementyna Kopp pokiwała głową.

– Idziemy do samochodu – rzuciła i wyszła z mieszkania Waldemara Gąsiorowskiego, nie zamykając drzwi. Niech Oliwia się tym martwi.

Napisanie listu zajęło mi trochę czasu. Co prawda nie spieszyłem się za bardzo. Pisałem metodycznie słowo po słowie. Potem włożyłem go do koperty i położyłem w widocznym miejscu.

Pozostało jeszcze jedno. Jeszcze jedna osoba, którą muszę zabić. Rozmawiałem o tym nawet z Bolesławem Szumińskim. Czulem, że powinienem mu powiedzieć.

On nie próbował mnie powstrzymać. Dlaczego miałby to robić?

To przecież mój wybór, a jego nazwiska w liście nawet nie wymieniłem. Nie miał powodu mnie powstrzymać. Tak to sobie tłumaczę.

Liliana Brzezińska zatrzymała samochód pod klubem szachowym, który należał do Franciszka Trojanowskiego. Teraz, razem z całą resztą majątku, odziedziczyła go Nadia Trojanowska. Wesoła wdówka, pomyślała z miejsca Klementyna Kopp.

– Dlaczego morderca zostawia te książki? – zapytała Liliana Brzezińska, wyłączając silnik swojego volvo.

Klementyna westchnęła.

– Słyszałaś o tym, że twoja matka zakatowała tę Gabriellę Gałązkę, co? – zapytała, wysiadając z samochodu. Coś strzyknęło jej w kolanie. – Kiedy jeszcze była prokuratorką. To było podczas przesłuchania w siedemdziesiątym dziewiątym roku.

– Nie, nie wiedziałam – odparła Liliana spokojnie. – Ale jestem w stanie w to uwierzyć. Mówiłam ci przecież, jaka była matka. Nie liczyła się z nikim. Manipulowała. Mogła też zabijać. To też już mówiłam. Czyli myślisz, że to teraz... to jest zemsta za tamtą śmierć?

– Na to wygląda.

Klementyna Kopp roztarła bolące kolano.

– Wszystko w porządku? – zapytała Liliana.

– Taa – odburknęła komisarz Kopp.

Policjantka znowu pomyślała o swoim wieku. Czy byłaby jeszcze w stanie pobiec za sprawcą? Strzelić? Celnie? Posterunek w Lipowie mogą sobie likwidować. Ale jak długo ona sama będzie mogła pracować w Komendzie Powiatowej? To było ważniejsze. Znacznie ważniejsze.

Klementyna zadrzała. Za stara. Za stara. Za stara. Nie wyobrażała sobie innego życia. Była policjantką, nie emerytką.

– Chodźmy – rzuciła, żeby przerwać natrętne myśli.

Weszły do klubu. Mimo dość późnej pory zapaleni szachiści toczyli swoje potyczki w najlepsze. Zachowywali się, jakby kilka dni temu Franciszek Trojanowski wcale tu nie zginął. Ciekawe.

– Jakby nic się nie stało... – powiedziała Liliana, odgadując myśli Klementyny. – Jak oni mogą tak po prostu...

Brzezińska nie dokończyła. Wyglądała na poruszoną. A może to tylko gra? Komisarz Kopp czuła się zagubiona. Wierzyć jej czy nie?

– Witam – usłyszała policjantka z lewej strony.

Od jednego ze stołów wstał Ireneusz Cieślak, który najwyraźniej czuł się już doskonale. Pod szyją miał czerwoną fantazyjną muchę, a na twarzy błąkał mu się dumny uśmiech. Może myszowata Emilia Strzałkowska miała rację? Nikt nie tęsknił za Trojanowskim. Nikt.

Czy ktoś zatęskniłby za Klementyną, gdyby jej zabrakło?

Policjantka znowu spojrziała na Lilianę. Brzezińska zmarszczyła brwi pytająco. Komisarz Kopp pokręciła tylko głową. Poczła się dziwnie słabo. Za stara. Niemile-widziana.

– Czy mają państwo w swoich zbiorach książkę *O szachach* autorstwa Gabrieli Gałązki? – zapytała Liliana, nie tracąc fasonu. Zauważyła chyba, że Klementyna nie czuje się najlepiej. – To ważne.

Ireneusz Cieślak uznał chyba, że Brzezińska jest kolejną policjantką, bo o nic nie pytał. Klementyna nie mogła się powstrzymać. Jej usta wykrzywił niewyraźny uśmiezek. Ciekawe, co powiedziałby komendant na to, że prowadzi śledztwo przy pomocy jednej z podejrzanych? Ciekawe, co powiedziałby na to, że Klementyna grzebała w jego starych sprawach?

Nagle komisarz Kopp poczuła, że zaczyna wypełniać ją nowa fala energii. Co by pomyślał, co? A od kiedy obchodziło ją to, co kto sobie pomyśli? Klementyna będzie robiła swoje. Tak jak uważa to za stosowne. Czy się to komuś podoba, czy nie. Sześćdziesiątka to jeszcze nic. Przed nią jeszcze wiele śledztw.

– Proszę za mną – powiedział Ireneusz. – Mieliśmy kiedyś tę książkę. Na pewno. Potem Franciszek chyba oddał ją rodzinie pani Gabrieli. Teraz ta pozycja jest trudno dostępna. Musiałbym sprawdzić. Dlaczego panie jej szukają?

Ireneusz Cieślak zaprowadził je do półki z książkami. Było tam bardzo dużo pozycji poświęconych tematyce szachowej. Cieślak zaczął przyglądać się zbiorom. W końcu wskazał najniższą półkę.

– Zabawne – mruknął. – Byłem pewien, że Franciszek ją oddał. Poza tym ona nie stała na tej półce.

Ireneusz sięgnął po książkę i otworzył ją na pierwszej stronie.

– To nawet nie jest ten egzemplarz – powiedział zaskoczony. – W książce, która należała do Franciszka, była dedykacja od pani Gabrieli Gałązki. Tu nic nie ma.

Klementyna Kopp wyrwała Cieślakowi niepozorny tom i bez pytania zapakowała go do torebki na dowody.

– Ale... – zaczął Ireneusz.

– Czy ta Gabriela Gałązka jest znana w szachowym świecie? –

zapytała Klementyna, nie dopuszczając Cieślaka do głosu.

Ireneusz wyglądał na urażonego.

– Gabriela Gałązka? Czy jest znana? – oburzył się tymczasowy zarządca klubu szachowego. – Oczywiście. Była arcymistrzynią. To ona uczyła Franciszka Trojanowskiego tego wszystkiego, co on umie dzisiaj... umiał... Pani Gabriela zmarła niestety w siedemdziesiątym dziewiątym roku. To było straszne. Ktoś ją napadł na ulicy. Chodziło o pieniądze. Najwidoczniej się broniła, bo ten chuligan ją pobił. Umarła w wyniku ciężkiego pobicia, wyobrażają sobie to panie? Istne barbarzyństwo. W świecie polskich szachów nie było drugiej takiej diwy. Już nigdy.

Klementyna Kopp spojrzała na Cieślaka z zainteresowaniem. Najwyraźniej był dobrze zorientowany w temacie.

– Co ty nie powiesz, co? – rzuciła policjantka. – A wiesz, jak ta Gabriela nazywała się naprawdę, co? Podobno Gałązka to nie było jej prawdziwe nazwisko.

Ireneusz Cieślak pokiwał głową.

– Tak. To był pseudonim – potwierdził. – To znaczy miała na imię Gabriela, ale nazwisko brzmiało inaczej.

– Jak?

Kiedy Ireneusz Cieślak podał nazwisko, komisarz Klementyna Kopp od razu chwyciła za telefon. Czy to możliwe? Byli tak blisko. Ale! Nie widzieli. Czy to możliwe? Nie chciała jechać na miejsce z Lilianą Brzezińską. Potrzebowała Daniela. Podgórski na szczęście odebrał szybko.

– Wiem, kto jest mordercą – rzuciła policjantka do słuchawki.

Nikola Szczepańska patrzyła na fale załamujące się na piasku. Przyjechała tu, ponieważ ją poprosił. Początkowo była zła, że tak to się skończyło. Przecież mu ufała, a on ją zdradził. Tak się przynajmniej poczuła, kiedy policja poinformowała ją o odciskach palców na szachownicach i rzuciła się na nią z oskarżeniami.

Potem jednak on opowiedział Nikoli wszystko. Prawdziwym winnym był Franciszek Trojanowski. To Franciszek zdradził.

I ją, i jego, i Gabrielę Gałązkę. Ich wszystkich. Nikola miała wrażenie, że rozumie, co on chce osiągnąć. Przecież był synem Gabrieli. Musiał dokonać zemsty. Dlatego właśnie Nikola postanowiła mu pomóc.

– Muszę jeszcze zrobić jedno – oznajmił. – Tylko jedno.

Obietnica zdawała się szczerą. Kłopot w tym, że on zachowywał się dziwnie. Bardzo dziwnie. Nikola Szczepańska знаła go na tyle dobrze, że to widziała. To było przerażające. Dziewczyna nie była pewna, co on teraz postanowi.

A może na odwrót. Może właśnie była pewna i dlatego jedyne, co mogła teraz robić, to stać bez ruchu i patrzeć na morze.

25 maja 2014

Moja ukochana Żono,

Tym razem piszę do Ciebie i tylko do Ciebie. Nie wiem, kto odnajdzie mój list pierwszy, Ty, moja ukochana, czy policja. Mam wielką nadzieję, że policja. Nie chcę, żebyś Ty musiała przez to przechodzić. Zobaczyć mnie takiego...

Piszę nie po to, żeby prosić Cię o wybaczenie. Wiem, że Ty, moja ukochana, nigdy nie zaakceptowałabyś zbrodni, której się dopuściłem. Tak więc nie po to piszę, żeby błagać. Piszę, żeby powiedzieć Ci, że Cię kocham. Ciebie i nasze dzieci. Najbardziej na świecie.

Po tym, co zrobiłem, nie umiem żyć dalej. Dlatego widzę tylko jedno rozwiązanie. Za to jedno właśnie proszę o wybaczenie. Nie za zemstę, nie za morderstwa, nie za kłamstwa. Tylko za to, że Cię zostawiam z tym wszystkim samą. Przepraszam za to, że nie potrafię podolać ciężarowi własnej winy. Powinienem, skoro potrafiłem zabić cztery osoby.

Wiem, że nic, co powiem, nie znajdzie Twojej akceptacji, ale nie potrafię się powstrzymać, żeby chociaż trochę nie usprawiedliwić swojego czynu. Może ja sam potrzebuję tego bardziej nawet niż Ty. Zanim odejdę na dobre. Jeżeli nie chcesz tego czytać, proszę, oddaj ten list policji. To moje wyznanie winy. Przyznanie się do czynów, za które tylko ja powinienem odpowiadać.

Tylko ja!

Jak wiesz, moja ukochana Żono, mój Ojciec jest umierający.

Wiek wreszcie dał o sobie znać. Pamiętasz, jak pojechałem do niego do szpitala tamtej styczniowej nocy, kiedy Ojciec miał zawał? Wyszedł z tego, ale poczuł, że koniec jest bliski. Wyznał mi wówczas coś, co długo przede mną ukrywał.

Wyznanie dotyczyło śmierci mojej Matki. Jak wiesz, moja kochana, Matka zginęła w 1979 pobita przez pijanego złodziejzka. Sama wiesz, jak bardzo ja i Gabriela byliśmy blisko. Po jej wypadku nic już nie było takie samo. Nie potrafiłem żyć, nie potrafiłem grać w szachy, mimo że Franciszek i Bolesław tak bardzo mnie namawiali. To był cios, z którego do tej pory nie potrafię się podnieść. Mimo że minęło już tyle lat.

Wróć jednak do rzeczy. Mężczyzna, który zabił moją Matkę w 1979, został skazany na dożywocie w tym samym roku. Milicja niespodziewanie była niezwykle sprawna. Zabawne. Gdyby go nie zamknęli, to zapewne sam bym go zabił. Gołymi rękami. Nigdy nie mogłem się pogodzić z tym, że morderca żyje, a moja piękna, delikatna Matka nie. Kiedy opryszek umarł w 2005 roku, cieszyłem się z całego serca. Wiem, że i tego nie umiałaś do końca zaakceptować. W Tobie jest bowiem tylko dobro.

Wracając jednak do mojego Ojca. W 2005 roku morderca mojej Matki poprosił o widzenie z Tatą. Nie wiem, dlaczego władze więzienia w Starych Świątkach w ogóle rozpatrywały taką możliwość. W każdym razie Ojciec zgodził się spotkać z tą kreaturą. Nic mi o tym jednak nie powiedział. Nic. Rozumiesz?! Ja nie!

Ojciec pojechał na spotkanie, a tamten... wyznał mi, że nigdy nawet nie spotkał mojej Matki, że to wszystko była nieprawda. Chuligan twierdził, że to nie on pobił moją Matkę na śmierć. Miał czelność prosić mojego Ojca, żeby wyciągnął go z więzienia.

Gdybym tylko o tym wiedział... Myślę, że zadusiłbym go własnymi rękami... Chociaż może nie? Teraz już wiem, że zabić kogoś nie jest tak łatwo... Sam czyn przychodzi bez trudu... najgorzej jest potem...

Ojciec początkowo nie uwierzył w wyznanie mordercy. Nie dawało mu ono jednak spokoju. Zaczął szukać, nadal nic mi nie mówił. Krok po kroku Ojciec dowiadywał się wszystkiego. Całą prawdę poznał już w 2010 roku, ale nie powiedział mi ani słowa. Może obawiał się mojej reakcji?

Słusznie, jak się okazało... Ojciec zna mnie chyba lepiej, niż ja sam znam siebie. Może nawet lepiej, niż ty mnie znasz, kochana Żono.

To nie tamten chuligan zabił moją matkę. To Franciszek Trojanowski. Człowiek, którego uważałem za brata. Człowiek, którego moja Matka miała nie tylko za swojego najzdolniejszego ucznia, ale niemal za syna. Człowiek, którego gościliśmy w naszym domu jak rodzinę, nawet kiedy Matki już zabrakło. To on ją zdradził! To Trojanowski.

Wiesz, dlaczego to zrobił? Jego rodzice mieli cukiernię. Sama przecież wiesz. Nadal zresztą świetnie prosperują. Wtedy jednak, w czasach komunistycznego reżimu, nie szłoby im tak dobrze, gdyby nie wsparcie ze strony władzy. Takie krążyły przynajmniej plotki... Okazało się, że prawdziwe...

Ojciec odkrył, że to Franciszek złożył donos na moją Matkę. Zachowały się oryginalne dokumenty z podpisem Franciszka. Ojciec pokazał mi kopię. Nie ma wątpliwości, że to jego pismo. Trojanowski pisał w tym donosie, że matka współpracuje z kapitalistycznymi mocarstwami. To były bzdury. Moja Matka nigdy nie zajmowała się polityką. Dla niej liczyły się tylko szachy.

Władza ludowa miała podobno oko na Matkę już od dawna.

Ze względu na jej przyjaźń z Charlotte Schneider. Podobno jej mąż... Nieważne. Potrzebowali tylko pretekstu. W końcu, w wyniku donosu Franciszka, Matkę zabrano na przesłuchanie. Miała pecha. Trafiała na najbardziej bezwzględną prokurator i jej przybocznego, Małgorzatę Głuszyńską i Waldemara Gąsiorowskiego. Ta dwójka podobno potrafiła wyciągnąć wszystko z każdego. Z Matki nie wyciągnęli nic. Co mogła im powiedzieć, skoro niczemu nie była winna?

To Małgorzata Głuszyńska i Waldemar Gąsiorowski zabili moją Matkę podczas przesłuchania, ale to Franciszek Trojanowski doniósł. Kiedy tylko dowiedziałem się o tym wszystkim, krew we mnie zawrzała. Moja Matka nie żyła, a jej kaci nadal chodzili po ziemi. Postanowiłem, że wymierzę im karę.

Zacząłem wszystko planować. Myślałem, że pójdzie to łatwo. Że walka o honor mojej Matki będzie dodawała mi sił. Może trochę tak było, skoro doprowadziłem wszystko do końca? Skoro potrafiłem z zimną krwią wszystko zaplanować? Fosgen, czarne pióro, szachownicę i książkę. To wszystko dla mojej Matki.

Długo zastanawiałem się, w jaki sposób pozbawić ich życia. Bałem się, że nie będę w stanie użyć noża. To zmusiłoby mnie do fizycznego kontaktu. Rozwazałem pistolet, ale nie wiedziałem, skąd go wziąć.

W końcu na pomoc przyszedł mi Miłosz Janiszewski. Dziennikarz oczywiście nie był niczego świadomy. Jak wiesz, Miłosz ogarnięty był obsesją na punkcie zniszczenia swojej byłej żony Liliany i wszystkiego, w czym ona bierze udział. Janiszewski ciągle pisał artykuły na temat fosgeny i tego, jak bardzo jest śmiercionośny. To z jego artykułów dowiedziałem się tego, co potrzebowałem wiedzieć. Wszystkiego! To Miłosz odkrył miejsce w okolicach Łodzi, gdzie można było kupić

fosgen. Tego artykułu akurat nie puściłem. Sama chyba rozumiesz dlaczego.

Balem się fosgenowi, czułem przed nim respekt. Mimo wszystko wydawało mi się, że będzie łatwiejszy do użycia niż nóż. Tak też było. Szedłem do nich. Pukałem do drzwi. Wyjmowałem moją legitymację dziennikarza i mówiłem, że chcę porozmawiać o nowych władzach miasta. Ich opinia miała znaleźć się w artykule, który rzekomo przygotowywałem dla „Prawdziwego Głosu”.

Oboje na to poszli. I Głuszyńska, i Gąsiorowski. Wpuścili mnie do swoich domów zupełnie bez problemu. Uwierzysz, że ta bezwzględna pani prokurator przygotowała dla mnie nawet podwieczorek? To było niemal rozcudzające. Niemal.

Do Franciszka poszedłem jak do brata. Przez te lata przecież nadal utrzymywaliśmy kontakty. Odwiedzałem go w klubie. Przez te wszystkie lata rozmawialiśmy o Matce jak bracia. A on przez cały ten czas wiedział, że to z jego winy Matka zginęła. Przez jego kłamstwo, przez jego chciwość... nie potrafię pojąć, jakim on musiał być człowiekiem, żeby móc patrzeć mi prosto w twarz.

Małgorzata Głuszyńska. Waldemar Gąsiorowski. Franciszek Trojanowski.

Za każdym razem szło podobnie. Kiedy się tego nie spodziewali, ja wkładałem maskę gazową, którą także kupiłem w Zakładzie Chemicznym Grabowski. Na widok maski wszyscy byli zaskoczeni. Wstawali przerażeni, ale było za późno. Wyciągałem fosgen. Nie mieli już szans.

Padali na ziemię tam, gdzie stali. Ich agonía była straszna. A ja na to patrzyłem. Wydawało mi się, że to przyniesie ulgę, ale tak nie było. Mimo to obserwowałem do końca ich śmierć. Potem sadzałem ich i kładłem przed nimi szachownicę.

Ustawiałem na niej gambit królewski, od którego moja Matka tak bardzo lubiła zaczynać niemal każdą swoją rozgrywkę. Była zafascynowana „nieśmiertelną partią” Adolfa Anderssena, pewnie dlatego tak lubiła to otwarcie.

Sam wielokrotnie analizowałem tę partię. Może dlatego analogia tak szybko przysłała mi do głowy. Głuszyńska, Gąsiorowski i Trojanowski byli jak trzy pionki, które Anderssen zbilł swojemu przeciwnikowi w rozgrywce sprzed wieku.

Potraktowałem to jako znak i postanowiłem wykorzystać. Każdemu z katów Matki wytatuowałem zapis ruchu, w którym moja Matka ich pokonała. To był prezent dla Niej. Tego znamienia nigdy się nie pozbędą, póki ich ciało nie zgnije w grobie.

Żeby zwycięstwo Matki było tym mocniejsze, czytałem im rozdział dotyczący „nieśmiertelnej partii” z rozprawy „O szachach”, którą Matka napisała. Żeby wiedzieli. Żeby rozumieli. Chociażby w zaświatach.

Zemsta!

Zemsta się dokonała, ale ja czułem, że tracę panowanie nad sobą. Zamiast ulgi była tylko słabość i ból. Szarpały mną wyrzuty sumienia. Trzy osoby, które zawiniły, nie żyły. Z tym może mógłbym jeszcze żyć... Tak. Z tym może jeszcze mógłbym żyć.

Niestety okazało się, że nie wiedziałem wszystkiego. Ojciec nie powiedział mi, że podczas przesłuchania w 1979 roku, w wyniku którego zmarła Matka, obecna była jeszcze jedna osoba. Nie wiem, dlaczego mi tego nie zdradził. Może bał się, że mogę przeprowadzić to, co w końcu rzeczywiście przeprowadziłem? Może myślał, że zabiję jeszcze jedną osobę? Może i miał rację. Gdybym wiedział, pewnie bym to zrobił.

Na tamtym przesłuchaniu obecna była jeszcze strażniczka więzienna, Michalina Niewiadomska. Reszty pewnie się domyślasz, kochana Żono? To Niewiadomska opowiedziała całą tę historię Miłoszowi. Janiszewski oczywiście podchwycił temat. Nie wiem, czego się spodziewał, ale chyba nie tego, że na końcu układanki będę ja.

Kiedy Miłosz odkrył prawdę, skontaktował się ze mną przez telefon. Powiedziałem policji o tym połączeniu, bo wiedziałem, że i tak je odkryją w billingach. Wyjaśniłem im, że Miłosz chwalił się tematem życia podczas tej rozmowy. Zabawne, to nawet nie do końca było przecież kłamstwo. Nie powiedziałem tylko, że ów temat życia dotyczył mnie i mojej winy w całej tej sprawie.

Tak więc Miłosz zadzwonił. Uwierzysz, o co poprosił? Spodziewałbym się szantażu. Każdy przecież chce być bogaty. Nic z tych rzeczy. On naprawdę był chory z obsesji na punkcie Liliany. To było nawet smutne. Janiszewski chciał się spotkać i omówić warunki swojego powrotu do redakcji i publikacji kolejnych artykułów przeciwko Brod-Dyskowi i Brzezińskiej. To było właśnie jego żądanie.

Mogłem się zgodzić i pozwolić Miłoszowi żyć. Wiedziałem jednak, że złość na Lilianę w końcu się wypali, a wtedy być może Miłosz Janiszewski zwróci się przeciwko mnie. Nie mogłem ufać jego obsesji.

Wziąłem resztkę fosgenu. Postanowiłem zabić Miłosza. Tak po prostu. W trosce o samego siebie. Tu już nie było innego wytłumaczenia. Nie mogłem powiedzieć, że robię to dla Matki. Robiłem to dla siebie, ponieważ bałem się konsekwencji moich czynów.

Miłosz umarł, a ja byłem bezpieczny. Nie wyglądało na to, żeby policja była chociaż o krok bliżej odkrycia prawdy.

Okazałem się chyba sprytniejszy od nich. Na przykład to czarne pióro... Wydało mi się dobrym pomysłem.

Pamiętasz, jak byliśmy z dziećmi w hodowli ptaków na Wyspie Skarbów? Wtedy przyszło mi to do głowy. Czarne pióro zupełnie niezwiązane z niczym. Miało być zaproszeniem do gry i fałszywym tropem dla policji. Miało być gambitem, który śledczy przyjmą ku swojej zgubie i przegrają tę partię sromotnie.

A może się przeliczyłem? Może mnie przejrzeni już wcześniej? Nie myślę już tak trzeźwo... boję się tego, co ma nadejść za chwilę...

Do rzeczy... do rzeczy... Żałuję również, że wplątałem w to wszystko Nikolę Szczepańską. Poznaliśmy się w klubie szachowym Franciszka, kiedy jeszcze nie znałem prawdy o swoim „bracie”. Nikola Szczepańska grała pięknie. Tak bardzo przypominała mi moją Matkę. To było jak olśnienie. Uwierzysz, że Nikola też grała tylko białymi i fascynowała się „nieśmiertelną partią”? Od razu się polubiliśmy. Graliśmy czasem razem. Szanowaliśmy się, a ja ją wykorzystałem.

Tu kolejna moja słabość... To dla mnie Nikola zgodziła się trzy razy zagrać czarnymi figurami, mimo że prawie nigdy tego nie robiła. Zrobiłem to celowo i z premedytacją... Chciałem, żeby na szachownicy były czyjeś odciski palców, żeby wina nigdy nie spadła na mnie...

Ze słabości i strachu wykorzystałem moją przyjaciółkę. Wy tłumaczyłem Nikoli już wszystko przed Waszym wyjazdem. Ona mi wybaczyła. Taką mam przynajmniej nadzieję. Nie tylko to... Nikola zgodziła się przecież pojechać z Tobą do Gdańska. Wiem, że nie lubisz sama podróżować, a nie chciałem, żebyś była w domu, kiedy zrobię to, co muszę zrobić. Tak, Nikola okazała się wierną przyjaciółką. Za to jestem jej bardzo wdzięczny.

Cóż... myślałem, że po tym wszystkim będę mógł żyć względnie spokojnie. Z Tobą i z dziećmi. Myślałem, że dam radę, ale nie mogę.

Jestem mordercą. Mordercą! W chwili kiedy zabiłem Miłosza Janiszewskiego, nie było już żadnych wątpliwości. Poszedłem tam, gdzie nigdy nie chciałem iść.

Dlatego właśnie muszę zakończyć swoją wędrówkę przedwcześnie. Zostawiam ten list. Chcę wziąć całą winę na siebie, bo też nikt inny poza mną nie jest winien.

Jutro Dzień Matki. Chciałem wszystko doprowadzić do końca właśnie jako prezent dla Niej. Teraz jednak zaczynam rozumieć, że Ona pewnie by tego wszystkiego nie chciała. Gabriela Gałązka była spokojną i czulą osobą. Zemsta by ją brzydziła. Widać nie jestem jej godzien. Ani Ciebie...

Kocham Cię, Anno. Kocham też nasze dzieci. Może któregoś dnia znowu będziemy razem.

Twój Ignacy

ROZDZIAŁ 42

Lipowo, kolonia Żabie Doły, Brodnica i Gdańsk.
Poniedziałek, 26 maja 2014

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska spojrzała na prokuratora Leona Gawrońskiego. Gawroński również zerknął na policjantkę przelotnie. To by było na tyle, westchnęła w duchu Emilia. Nie mogła jednak oprzeć się wrażeniu, że w spojrzeniu Leona było coś... dziwnego? Strzałkowska poczuła, że ma do prokuratora jeszcze wiele pytań. To będzie jednak musiało poczekać. Nie byli sami, więc nie mogli porozmawiać otwarcie, a tylko taka rozmowa wchodziła w grę.

Był poniedziałkowy poranek. Spotkali się w Komendzie Powiatowej w Brodnicy, żeby zakończyć sprawę śmierci czterech osób. Zabójcą okazał się redaktor naczelny „Prawdziwego Głosu”. Wczoraj Daniel Podgórski i Klementyna Kopp znaleźli Ignacego w jego własnym domu. Sikora powiesił się na balustradzie schodów. Zostawił list, w którym wyjaśniał motywę swojego postępowania.

– Czyli mamy to – podsumował starszy sierżant Marek Zaręba. Na jego twarzy malowało się zadowolenie.

Prokurator Leon Gawroński odchrząknął cicho. Wymienił spojrzenia z Klementyną Kopp i Danielem Podgórskim. Nagle Emilia poczuła, że ona i Marek nie zostali chyba o wszystkim poinformowani.

– Z jednym wyjątkiem – powiedział Gawroński enigmatycznie, potwierdzając tym samym przypuszczenia policjantki. – Nie jesteśmy pewni, czy... zresztą sami zobaczcie.

Prokurator położył na stole brulion w granatowej oprawie. Zeszyt zapakowany był w plastikową torebkę na dowody. Obok Gawroński ułożył plik skserowanych kartek. Wszystkie oczy skierowały się na stół.

– Co to jest? – zapytała Strzałkowska, przerywając milczenie.

– Technicy znaleźli ten zeszyt w pokoju dziecięcym, kiedy przeszukiwali dom Ignacego Sikory – wyjaśniła Klementyna Kopp, zanim prokurator zdążył się odezwać. – Notatnik był ukryty na szafie. Tam, gdzie dzieci nie miały dostępu.

– Tu macie skopiowaną treść – wtrącił się Gawroński, wskazując plik kartek. – Przejrzyjcie to szybko. My już mieliśmy okazję czytać to wczoraj wieczorem.

Marek Zaręba przysunął kartki do siebie. Emilia zajrzała mu przez ramię. Czytali przez chwilę. Z każdym słowem policjantka była coraz bardziej zaskoczona.

– Co o tym myślicie?

– To są notatki Ignacego? – zapytała w końcu Emilia. – Z każdego zabójstwa, tak?

Emilia przysunęła do siebie zapiski. Każda z notatek opatrzona była datą i zaadresowana „Do zainteresowanych”. Strzałkowska jeszcze raz przyjrzała się datom na górze poszczególnych stron. Notatki obejmowały dni od dwunastego do dwudziestego drugiego maja bieżącego roku. Wyglądało na to, że morderca codziennie skrupulatnie zapisywał swoje odczucia, od dnia pierwszego morderstwa aż do śmierci Franciszka Trojanowskiego. Potem nie było już nic więcej. Zabójca nie skomentował zabójstwa Miłosza Janiszewskiego ani jednym słowem.

– Właśnie w tym problem – odezwał się Daniel Podgórski nieśmiało. Może było mu głupio, że nie powiedział nic o tym znalezisku kolegom z Lipowa. Emilia zerknęła na szefa komisariatu spod oka. – Spójrzcie na kopię listu, który zostawił Ignacy Sikora, i porównajcie go z tymi notatkami.

Daniel wyjął z teczki skopiowany list samobójcy. Strzałkowska poczuła, że serce zaczyna bić jej szybciej.

– Ale... – zaczęła Emilia. Zatrzymała się. Z jakiegoś powodu policjantka nie potrafiła ubrać myśli w słowa.

– Pismo jest zupełnie inne – przyszedł jej z pomocą Marek Zaręba.

– Tak. Właśnie to mi się nie podoba – przyznał prokurator Leon Gawroński. – Wczoraj wieczorem rozmawiałem o tym

z naszym specjalistą od grafologii. Potwierdza, że te dwie próbki zostały napisane przez różne osoby. Zresztą sami widzicie.

Emilia musiała się z Gawrońskim zgodzić. Różnica była wyraźna nawet dla laika. Pismo w notatkach z brulionu było niewyraźne i chwiejne, a list Ignacego napisano równymi, okrągłymi literami.

Przez chwilę w sali konferencyjnej panowała cisza, przerywana jedynie tykaniem zegara wiszącego na ścianie nad drzwiami.

– Jeżeli to nie Ignacy Sikora jest zabójcą, to... – zaczęła Emilia.

Policjantka znowu nie umiała dokończyć myśli. Nie mogła. A może nie musiała. Kto mógł zostawić granatowy brulion w domu Ignacego Sikory? Schowany w pokoju jego dzieci. Kto? Była tylko jedna taka osoba.

– Ale Anna Giesa... – mruknął Marek Zaręba, który doszedł do tych samych wniosków co Strzałkowska. – Przecież już ją wykluczaliśmy.

– Jak widać, być może przedwcześnie – mruknął Daniel.

Myśli Emilii uciekły do pulchnej, uśmiechniętej miło, troskliwej matki trójki dzieci. Anna Giesa? To wydawało się zupełnie niemożliwe. Postawny Ignacy Sikora znacznie lepiej pasował do wyobrażenia tajemniczego mordercy.

– Ale Giesa ma przecież niepodważalne alibi na czas śmierci Miłosza Janiszewskiego. Była na wycieczce szkolnej, gdzie wszyscy ją widzieli – przypomniał Zaręba uparcie. – Poza tym są zeznania tego bezdomnego Bolesława Szumińskiego. Pamiętacie? On mówił, że widział mężczyznę wchodzącego do domu pierwszej ofiary. To nie może być Anna Giesa. Przecież...

– Czekał. Stop. Bezdomny Szumiński powiedział, co? I to już jest prawda absolutna – przerwała Markowi Klementyna Kopp. – Młody, od kiedy to wierzymy we wszystko, co nam mówią, co?

Zaręba wzruszył ramionami trochę speszony. Nie wiedział chyba, co odpowiedzieć. Sierżant Sztabowa Emilia Strzałkowska też nie była pewna, co o tym wszystkim myśleć.

Byłoby znacznie łatwiej, gdyby ona i Marek wiedzieli o znalezieniu brulionu już wczoraj. Mieliby czas wszystko na spokojnie przemyśleć przed odprawą.

– Musimy teraz działać ostrożnie. Ignacy Sikora wziął całą winę na siebie, ale nie zamierzam tego tak zostawić. Gołym okiem widać, że nie on pisał te notatki w brulionie – powiedział prokurator. – Musimy teraz ustalić, czy mogła pisać je jego żona. W domu Sikory i Giesy znaleźliśmy dzienniczek szkolny jednej z ich córek. Anna Giesa napisała tam dla niej zwolnienie z zajęć. Użyliśmy tego krótkiego tekstu jako próbki jej pisma. Grafolog ma mi lada chwila dać znać, czy jest zgodność.

– Ktoś pilnuje Anny Giesy? – zapytał Marek Zaręba. – Gdzie ona jest właściwie?

– Anna Giesa jest w Gdańsku razem z Nikolą Szczepańską. Juliusz Szewczyk nadal jest na miejscu. Ma ją na oku – zapewnił Leon Gawroński. – Ja, Klementyna i Daniel pojedziemy do Gdańska porozmawiać sobie z Anną Giesą. Emilio, Marku, wy tymczasem sprawdzicie tego Bolesława Szumińskiego, dobrze? Albo nic nie widział, albo złożył fałszywe zeznania. Może ten bezdomny wcale nie był w tej ruderze przez przypadek.

Liliana Brzezińska doglądała ostatnich szczegółów na taśmie produkcyjnej. Start Brod-Dysku był zaplanowany na dzisiaj, ale znowu został przesunięty. Stanisław Szczepański musiał pojechać po córkę do Gdańska. Chciał być przy swojej rodzinie. Tylko to go teraz interesowało.

Liliana westchnęła. Powoli zaczynało do niej docierać, że straciła zniechęconą, ale przecież najbliższe osoby. Tak długo życzyła matce śmierci, ale teraz, kiedy Małgorzaty Głuszyńskiej zabrakło, pojawiła się dziwna, dojmująca pustka. W Dniu Matki tym bardziej dotkliwa. Może Małgorzata nie była tylko czarna, może miała też swoje białe strony? Może gdzieś pośrodku były odcienie szarości, których Liliana nie chciała widzieć przez całe życie? Może Brzezińska rzeczywiście była zaślepiona zazdrością o brata? Może to nie była wina

matki, tylko jej własna?

Rzeczniczka prasowa Brod-Dysku westchnęła. Chciała zostawić już za sobą te pytania. Patrząc naprzód. Może teraz, kiedy wszystko się kończyło, Klementyna odważy się spróbować. Zobaczymy.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska i starszy sierżant Marek Zaręba przedzierałi się przez krzaki w stronę jeziora Niskie Brodno. Niemal niema Lola prowadziła ich pewnym krokiem pomiędzy pokrytymi świeżymi liśćmi zaroślami. Kiedy byli już prawie nad brzegiem jeziora, Emilia zauważyła spróchniały pomost. Obok niego stał porośnięty mchem barak na łodzie. Miejsce musiało być dobrze widoczne z tafli jeziora, ale bez Loli drogą lądową policjanci pewnie by tu nie trafili.

– Jest pani pewna, że Bolesław Szumiński jest w środku? – zapytała cicho Emilia. – Miejsce wygląda na zupełnie opuszczone.

Lola pokiwała tylko głową. Odwróciła się bez słowa i odeszła z powrotem w kierunku ośrodka pomocy bezdomnym Nowe Horyzonty.

Emilia Strzałkowska i Marek Zaręba wymienili spojrzenia. Zanim tu przyjechali, sprawdzili nazwisko bezdomnego, z którym rozmawiali wczoraj w opuszczonym domu w kolonii Żabie Doły. Policjantka nadal nie mogła uwierzyć, że dali się tak łatwo podejść.

Z pewnością powinni byli sprawdzić tożsamość potencjalnego świadka od razu po przesłuchaniu. To na pewno dałoby nam do myślenia, powiedziała sobie Emilia w duchu. Bolesław Szumiński nie był wcale takim zwykłym bezdomnym. Z tego, co Strzałkowska i Zaręba zdążyli do tej pory ustalić, Szumiński kiedyś był profesjonalnym szachistą. Grał czynnie do 2010 roku, kiedy to przestał brać udział w turniejach i zniknął z szachowego światka. Biorąc pod uwagę jego obecny stan, wyglądało na to, że przez cztery lata włóczył się po okolicy.

Na razie nie zdążyli się z Markiem dowiedzieć więcej. Emilia miała jednak nadzieję, że przy odrobinie dobrych chęci

wydobędą coś z Szumińskiego podczas przesłuchania. Trudno było teraz uwierzyć, że jego obecność w ruderze naprzeciwko domu Małgorzaty Głuszyńskiej była całkowicie przypadkowa. Prokurator Gawroński miał rację.

Marek Zaręba zapukał energicznie do drzwi rozpadającego się hangaru. Nie było odpowiedzi, więc policjant ostrożnie otworzył drzwi. Strzałkowska powstrzymała chęć sięgnięcia po broń. W tych chaszczach czuła się jak bohaterka kiepskiego filmu szpiegowskiego.

Zaręba dał jej znak, że droga wolna. Emilia weszła za Markiem do baraku. Od razu poczuła, że robi jej się gorąco. W środku unosił się zapach źle strawionego alkoholu i starych ryb. Policjantka miała wrażenie, że ciemne, przegniłe ściany ją przygniatają. Spróbowała odetchnąć głębiej. Nie mogła przecież teraz wyjść. Musiała się uspokoić i wyrównać oddech.

Bolesław Szumiński siedział na prowizorycznym posłaniu i jadł kawałek chleba, jakby wcale nie zauważył ich wtargnięcia. Wydawał się zupełnie spokojny.

– Tak myślałem, że pewnie przyjdziecie – mruknął, kończąc przeżuwanie chleba. Wytarł metodycznie usta rękawem brudnej bluzy.

– Co pan ma na myśli? – zapytał z miejsca młody Marek Zaręba. – Dlaczego się pan nas spodziewał?

Emilia Strzałkowska poczuła, że nie może oddychać. Przesunęła się z powrotem bliżej drzwi. Docierało tu trochę świeżego powietrza. Wirowanie w głowie na chwilę ustało. Policjantka otarła pot, który spłynął jej na czoło.

– Z tą panią wszystko w porządku? – zapytał Bolesław Szumiński nieco złośliwie.

Emilia poczuła, że ogarnia ją gniew. Nie chciała, żeby ktoś zobaczył jej słabość. Zwłaszcza Szumiński, który najwyraźniej nie był wcale skory do pomocy policji. Mimo wcześniejszych zapewnień.

– Jak najbardziej w porządku – zapewniła. Starła się mówić twardo. Wyszło piskliwie, ale musiało wystarczyć. – Wiemy, kim pan jest.

– Doprawdy? – zadrwił Szumiński. – Cóż za błyskotliwa

dedukcja. Zważywszy na to, że chyba się wczoraj otwarcie przedstawiłem. O ile dobrze sobie przypominam.

Emilia poczuła narastającą irytację.

– Wiemy, że jest pan w to wszystko jakoś zamieszany – stwierdził Marek, spiesząc z pomocą koleżance. – Co pan tak naprawdę robił w tym opuszczonym domu w kolonii Żabie Doły? Tuż obok miejsca pierwszego przestępstwa.

Bezdomny wzruszył tylko ramionami.

– Proszę odpowiedzieć.

– Już mówiłem – mruknął Bolesław Szumiński. Podrapał się po głowie brudną dłonią. Emilia miała wrażenie, że od wczoraj na jego głowie pojawiło się jeszcze więcej łysych miejsc. Jakby dziwna choroba skóry jeszcze się nasiliła. – Spałem tam. Było sucho i bezpiecznie. Potrzebowałem dachu nad głową na kilka dni.

Emilia i Marek wymienili spojrzenia.

– Skąd pan wiedział, że przyjdziemy tu dzisiaj? – zaatakował Marek Zaręba, wracając do pytania sprzed kilku minut.

Bezdomny znowu wzruszył ramionami.

– Tak sobie – stwierdził Szumiński ze złośliwym uśmieszkiem. Nie silił się nawet na ukrywanie swojego kłamstwa. Patrzył teraz Emilii prosto w oczy.

– Znał pan Ignacego Sikorę i jego matkę, Gabrielę Gałązkę, prawda? – spróbowała nieco spokojniej Strzałkowska. – Proszę nie kłamać. Sprawdziliśmy to.

– Skoro sprawdziliście, to po co pytacie? Zresztą nie zamierzam kłamać ani niczego ukrywać. Nikt mnie o to nie prosił – odparł Bolesław Szumiński. – Gabriela Gałązka była moją ukochaną nauczycielką i mistrzynią. Matką niemal. Ignacy był mi bratem.

– A Anna Giesa? – chciała wiedzieć Emilia.

Na twarzy bezdomnego pojawił się trudny do rozszyfrowania grymas.

– Wszystko, co robiłem, robiłem dla Gabrieli Gałązki – oznajmił Bolesław Szumiński, niezgrabnie unikając odpowiedzi na pytanie.

– A co pan takiego robił? – zapytał Marek. – Może chociaż to

nam pan powie.

– Obserwowałem dom Małgorzaty Głuszyńskiej, żeby ustalić dogodny czas rozpoczęcia całego przedsięwzięcia – oznajmił niespodziewanie szczerze kłoszard. – Jestem dumny z mojego udziału w sprawie. Chociaż tyle mogłem zrobić. Ja nie mam nic do stracenia, więc nie zamierzam ukrywać mojego udziału. Już mówiłem. Jestem trochę zmęczony tym barakiem. Możecie mnie już stąd zabrać.

Marek i Emilia znowu wymienili spojrzenia.

– Wie pan, kto zabijał?

Bolesław Szumiński pokiwał głową.

– Już przecież to na pewno wiecie.

Hanna Szczepańska czekała na Tadeusza przy wolierze Bohuna. Wiedziała, że wcześniej czy później mąż przyjdzie sprawdzić, jak się miewa czarny łabędź. Nie myliła się. Tadeusz szedł niespiesznie w tę stronę. Mąż był opalony jak zwykle, mimo że wiosna dopiero zaczynała królować na dobre. Na jej widok Tadeusz zbladł chyba odrobinę. Pewnie spodziewał się tej rozmowy.

– Coś się stało, Haneczko? – zapytał powoli.

Hanna Szczepańska wyjęła zza pleców księgi ich hodowli. Te, które zawierały prawdziwe transakcje.

– Po co jeździliście do Grabowskiego?

Tadeusz Szczepański wzruszył ramionami.

– Po to i tamto – odparł enigmatycznie. – Zawsze przydaje się trochę rzeczy w hodowli. Sama wiesz. Tam było taniej, niż gdybyśmy kupowali w normalnym sklepie. Legalnie.

Hanna nie mogła powstrzymać gniewu.

– Czyli Waldemar Gąsiorowski miał rację, że tak na nas naciskał, tak? – zaatakowała. – Mówiłeś, że jego oskarżenia nie mają podstaw, a on czeka tylko na łapówkę. Tak mówiłeś. Skorumpowany glina, mówiłeś. Tymczasem wy ze Stanisławem naprawdę łamiecie prawo. Waldemar Gąsiorowski miał rację.

– Waldemar czekał na łapówkę – odparł Tadeusz Szczepański. – Prawo w ogóle go nie obchodziło. Sama przecież

wiesz.

– Wszystko jedno! Nie chcę, żeby tak było dalej – oznajmiła Hanna. – Inaczej odejdę.

Bohun groźnie zamachał skrzydłami.

– Obiecuję, że to ostatni raz, Haneczko – powiedział Tadeusz Szczepański powoli. – Od teraz będę uczciwie wszystko rozliczał. Nawozy, barwniki, czego tam będziemy potrzebowali. Wierzysz mi?

Hanna Szczepańska pokiwała głową. Co innego mogła zrobić?

– Najważniejsze, że nie kupowaliście fosfenu.

Oliwia Gąsiorowska przytuliła się do Huberta Przybylskiego. Długo płakała. Sama nie była pewna dlaczego. Przecież morderca jej ojca już nie żył. Oliwia czytała o tym w gazecie.

Niestety były tam też opisane fakty, których Oliwia wcale nie chciała poznać. Miała tylko nadzieję, że to, co napisano o jej ojcu w artykule, nie było prawdą. Przesłuchanie tej szachistki w 1979 roku. Czy to możliwe, że ojciec pobił ją na śmierć?

Gąsiorowska wiedziała, że bywał ostry i miał kontakty w półświatku, ale nie przypuszczała, że okaże się mordercą. Załkała.

Hubert Przybylski pogładził ją czule po głowie.

– Jakoś sobie poradzimy – obiecał chłopak. – Zobaczysz.

Oliwia Gąsiorowska szczerze w to wątpiła.

Stanisław Szczepański i Nadia Trojanowska pojechali odebrać Nikołą z Gdańska. Podróż zajęła im niecałe dwie godziny. Jechali w całkowitej ciszy. Żadne z nich nie było pewne, co powiedzieć.

Nikoła wsiadła do samochodu równie milcząca jak jej rodzice. Przed chwilą została przesłuchana przez muskularnego policjanta przysłanego tu z Brodnicy. Może nie zostało jej więcej słów? Dlatego nic nie mówiła.

W drodze powrotnej Stanisław starał się nawiązać kontakt z byłą żoną i z córką, ale żadna z nich nie pomagała mu

w staraniach. Cisza sprawiała, że czuł, jakby zaraz miał postradać rozum.

– Zatrzymujemy się w tej restauracji – zdecydował, kiedy mijali Wąbrzeźno. Była tu knajpka, w której lubili jadać w drodze nad morze. Kiedy jeszcze byli rodziną. Kiedy on nie zrobił największej głupoty swojego życia i nie zdradził żony. – W końcu dzisiaj jest Dzień Matki. Trzeba to jakoś uczcić.

Ani Nadia Trojanowska, ani Nikola nic nie powiedziały. Stanisław Szczepański miał jednak wrażenie, że ich twarze były jakoś mniej odległe. Poradzą sobie. Jak zwykle. Są przecież rodziną.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski, komisarz Klementyna Kopp i prokurator Leon Gawroński przyjechali do Gdańska niecałe czterdzieści minut temu. Juliusz Szewczyk zdążył w tym czasie przyprowadzić Annę Giesę na przesłuchanie. Ekspert grafolog potwierdził, że próbki pisma Giesy zgadzały się z próbkami pisma z notatek w granatowym brulionie.

Koledzy z Komendy Wojewódzkiej Policji w Gdańsku użyczyli przybyszom z Brodnicy jednej ze swoich sal do przesłuchań. Daniel przyglądał się zza lustra weneckiego, jak prokurator Gawroński włącza dyktafon i siada wygodnie naprzeciwko Anny Giesy. Klementyna Kopp stała obok ze skrzyżowanymi rękami. Jej tatuaże były wyraźnie widoczne spod przykrótkich rękawów skórzanego żakietu.

Nikt w tutejszej komendzie nie wydawał się zaskoczony oryginalnym wyglądem pani komisarz. Może dlatego, że Klementyna kiedyś tu pracowała. Podgórski stłumił chęć zadania kilku pytań na temat przyjaciółki. Klementyna na pewno nie byłaby zadowolona, gdyby dowiedziała się, że o nią wypytywał.

Kiedy prokurator skończył recytować formułki rozpoczynające przesłuchanie, Klementyna Kopp położyła na stole granatowy brulion. Anna Giesa patrzyła na zeszyt spokojnie. Jej twarz nie drgnęła ani odrobinę. A może jednak? Podgórski miał wrażenie, że przez chwilę na obliczu

przesłuchiwanej zagościła ulga. Jakby od dawna czekała na ten moment.

– Okej. No dobra. Wiemy, że to ty pisałaś, co? – przeszła od razu do rzeczy pani komisarz. – Wyjaśnij nam to, co?

Anna Giesa pokiwała głową. Równie spokojnie jak przedtem.

– Pytajcie – poprosiła. – Mogłabym tylko dostać trochę wody?

Prokurator Gawroński skinął w stronę lustra weneckiego. Jeden z gdańskich funkcjonariuszy podniósł się natychmiast i wyszedł. Daniel widział, jak otwierają się drzwi sali przesłuchań. Policjant postawił przed Anną Giesą plastikowy kubeczek z wodą.

– Bardzo dziękuję – powiedziała kobieta grzecznie.

– Czy to pani zabiła Małgorzatę Głuszyńską, Waldemara Gąsiorowskiego, Franciszka Trojanowskiego i Miłosza Janiszewskiego? – wyliczył prokurator Leon Gawroński metodycznie, kiedy Anna Giesa skończyła pić wodę. – Przyznaje się pani do tych czterech zabójstw?

– Nie – odparła kobieta, odkładając kubeczek.

Prokurator westchnął i spojrzał na Klementynę. Komisarz Kopp mruknęła coś niezrozumiale.

– Jak w takim razie wyjaśni pani swoje notatki? – zapytał Leon Gawroński i wskazał granatowy brulion.

Tym razem to Anna Giesa westchnęła.

– Mój mąż nie żyje, więc nic mu już nie może zaszkodzić – powiedziała, jakby próbowała przekonać samą siebie.

– Czekaj. Stop – przerwała przesłuchiwanej Klementyna. – Twierdzisz, że to Ignacy Sikora zabijał, a ty tylko skrobałaś te uroczce wynurzenia w jego imieniu, co?

– Nie.

Klementyna Kopp i prokurator Gawroński znowu wymienili spojrzenia.

– To jak było?

– Ja zabiłam wszystkich – oznajmiła Anna Giesa niemal uroczyście. – Z jednym wyjątkiem.

– To znaczy?

– Zabiłam wszystkich oprócz Miłosza Janiszewskiego –

przyznała Anna Giesa jeszcze raz. Jej głos brzmiał w głośniku niespodziewanie wyraźnie. Daniel miał wrażenie, jakby stał tuż obok niej w pokoju przesłuchań. – Nie miałam jak go zabić. Byłam na wycieczce szkolnej z dziećmi. To już przecież wiecie. Mogę dostać jeszcze trochę wody?

Klementyna Kopp sięgnęła po plastikowy kubeczek i postawiła go po swojej stronie stołu.

– Najpierw więcej szczegółów, co?

– Ignacy do mnie zadzwonił już po wszystkim. Gdybym wiedziała, co zamierza, na pewno bym go powstrzymała – stwierdziła Anna Giesa. Wyglądała teraz na zamyśloną. – Kochany Ignacy chciał mnie chronić.

– Powiedz wszystko od początku, co?

– Miłosz Janiszewski zadzwonił do Ignacego. Tak jak powiedział wam mój mąż. Znaleźliście to połączenie w billingach. Miłosz twierdził, że odkrył, kto jest zabójcą. Pomylił się. Myślał, że to Ignacy. Mojego udziału w tym wszystkim nie wykrył. Mój mąż bał się jednak, że dziennikarz w końcu i do tego dojdzie...

– Więc go zabił?

– Więc go zabił – zgodziła się Anna Giesa. – Zrobił to, żeby chronić mnie.

Przez chwilę przesłuchiwana nic nie mówiła. Leon Gawroński i komisarz Kopp czekali.

– Gdybym tylko wiedziała, jaka jest sytuacja... Gdybym tylko była wtedy w Brodnicy – zastanawiała się Giesa. – Sama mogłabym się tym zająć. A tak to... Mój mąż ciężko przeżył to, że zabił Miłosza. Ignacy był dobrym człowiekiem. Nie był mordercą. Pomyśleć, że właściwie wcale nie musiał zabijać. Ja i tak miałam zamiar wcześniej czy później się do was zgłosić. Zresztą czytaliście mój pamiętnik, więc wiecie, prawda?

– Kiedy wyjeżdżała pani do Gdańska, wiedziała pani, że mąż zamierza popełnić samobójstwo i wziąć całą winę na siebie? – zapytał prokurator Gawroński zamiast odpowiedzi.

Po twarzy Anny Giesy spłynęły pierwsze łzy.

– Niczego się nie domyśliłam. A powinnam coś przecież przeczuwać, prawda? – znowu wydawało się, że Giesa mówi do

siebie. – Ignacy wysłał mnie z Nikolą nad morze. Nikola miała dopilnować, żebym za wcześnie nie wróciła do domu. Powinnam była się domyślić, że Ignacy planuje coś głupiego! Mój kochany, kochany mąż. Chciał wziąć winę na siebie. Do końca chciał mnie chronić. Tylko że ja wcale nie chciałam takiej ochrony. Nie chcę, żeby nasze dzieci myślały o nim jako o mordercy. Ja to co innego. Ja tylko wykonałam swoje zadanie. Teraz mogę odejść. Ignacy nie powinien był... cóż...

– Dlaczego ty, co? – rzuciła Klementyna Kopp, siadając wreszcie na wolnym krześle. – Dlaczego to było twoje zadanie, co?

Anna Giesa westchnęła.

– Ignacy nigdy niczego przede mną nie ukrywał. Kiedy tylko mąż dowiedział się od ojca, kto był faktycznie winien śmierci Gabrieli Gałązki, od razu mi o tym powiedział. To było w styczniu – wyjaśniła Anna. – Nie potrafił tego w sobie dusić.

– Co było dalej?

– Ignacy nie wiedział, co ma robić – powiedziała ze smutnym uśmiechem przesłuchiwana. – Ja za to wiedziałam doskonale. Nie mogłam tego tak po prostu zostawić. Musiałam pomścić kobietę, która uratowała moją matkę od śmierci. Byłam to winna i matce, i Gabrieli.

– Proszę opowiedzieć wszystko po kolei – poprosił miękko prokurator Leon Gawroński. – Proszę się nie spieszyć. Jak się ma do tego wszystkiego pani matka?

Anna Giesa pokiwała tylko głową. Wyglądała na całkowicie pogodzoną z sytuacją.

– Jestem córką Charlotte Schneider. Moja matka jest praprawnuczką wspaniałego szachisty Adolfa Anderssena. W ten sposób matka i Gabriela Gałązka się poznały – powiedziała. – To było w siedemdziesiątym roku. Dwa lata przed moim przyjściem na świat. W Dreźnie. Gabriela była zafascynowana naszym znakomitym przodkiem i chciała napisać o nim rozdział w swojej książce *O szachach*. Moja matka była w tym okresie bardzo biedna. Nie miała dosłownie nic. Gabriela pomogła jej w potrzebie. Bez niej matka by umarła. Nigdy tego nie zapomnialiśmy!

– Co było dalej?

– Kiedy Gabriela umarła – kontynuowała swoją opowieść Anna Giesa – to był wielki cios dla mojej matki, ponieważ Gabriela i Charlotte zdążyły się serdecznie zaprzyjaźnić. Ja nigdy nie poznałam Gabrieli osobiście, ale matka wiele mi o niej opowiadała. Gabriela była niezwykle uroczą i delikatną osobą. Dlatego właśnie wszyscy nazywali ją pieśczośliwie Gałązką.

Klementyna postukała palcami w blat stołu.

– Do rzeczy, co? – mruknęła.

– Przyjechałam do Polski dopiero w dziewięćdziesiątym piątym roku. Miałam wtedy dwadzieścia trzy lata – ciągnęła Giesa niezrażona zachowaniem policjantki. – Chciałam poznać rodzinę Gabrieli Gałązki i jej wiernych uczniów, Franciszka Trojanowskiego i Bolesława Szumińskiego, oraz jej syna Ignacego. Gabriela wielokrotnie opowiadała mojej matce o nich wszystkich. Tak się złożyło, że ja i Ignacy od razu się polubiliśmy. Syn Gabrieli był ode mnie o siedemnaście lat starszy, ale nam to nie przeszkadzało. Dobrze się rozumieliśmy. Połączyło nas silne uczucie. Zostałam więc w Polsce, nauczyłam się waszego języka i odtąd tu mieszkam.

Anna przerwała na chwilę. Gawroński i komisarz Kopp czekali.

– Wszystko, co Ignacy napisał w liście, to prawda – podjęła Giesa. – Tylko że on mówił o mnie, a nie o sobie. To ja to wszystko wymyśliłam i wykonałam. Zabijałam za pomocą fosgeny, zostawiałam czarne pióro, czytałam rozprawę szachową Gabrieli. To ja. Równie dobrze ja mogłabym napisać ten list i się pod nim podpisać.

– Czyli pani mąż wiedział, że pani zabijała? – upewnił się prokurator Gawroński. – Skoro opisał to wszystko tak dokładnie w swoim liście.

– Tak, wiedział o wszystkim od początku. Sam jednak nie brał w tym udziału – zapewniła Anna Giesa z kolejnym smutnym uśmiechem na pulchnej, niewinnej twarzy. – Był na to zbyt delikatny, mimo swej postury. Ignacy był równie delikatny jak Gabriela Gałązka.

– Czekaj. Stop. A co z Bolesławem Szumińskim, co?

Anna Giesa westchnęła.

– Od pewnego czasu Bolesław był... zachowywał się dziwnie – powiedziała powoli. – Przestał grać w szachy. Opuścił swój dom. Żył jak bezdomny. Nie rozumieliśmy dlaczego, ale szanowaliśmy jego wybór. Każdy ma prawo do decydowania o swoim losie.

– Każdy oprócz twoich ofiar, co? – syknęła komisarz Kopp.

Giesa zignorowała komentarz policjantki.

– Kiedy Ignacy dowiedział się od ojca prawdy na temat śmierci Gabrieli i zdrady Franciszka, uznaliśmy, że Bolesławowi Szumińskiemu musimy o tym powiedzieć. On też przecież kochał Gabrielę jak matkę. Należało mu się poznanie prawdy. Bolesław chciał jakoś pomóc. Zważywszy na stan, w jakim jest obecnie... cóż. Nie chciałam mu powierzać żadnego odpowiedzialnego zadania.

– Odpowiedzialnego, co? – przerwała Annie Klementyna Kopp.

Giesa znowu nie zareagowała na słowa policjantki.

– Poprosiłam go, żeby obserwował dom prokurator Małgorzaty Głuszyńskiej. Dzięki niemu szybko poznałam jej zwyczaje i mogłam zacząć wprowadzać mój plan w życie.

Anna Giesa przysunęła do siebie granatowy brulion, który nadal leżał na stole. Ani prokurator Leon Gawroński, ani komisarz Klementyna Kopp nie oponowali.

– Teraz znacie już prawdę – zakończyła Anna. – Czy uważacie, że źle zrobiłam? Małgorzata Głuszyńska i Waldemar Gąsiorowski to byli oprawcy, a Franciszek Trojanowski to najgorszy zdrajca. Czy nie należała im się śmierć? Powiedzcie... Bo ja już sama nie wiem...

Barbara Krakowiak spojrzała z zadowoleniem na swoje nowe biuro w budynku przy ulicy Pocztowej w Brodnicy. Dobrze się tu czuła. Stąd mogła jeszcze lepiej zarządzać Towarzystwem Ekologicznym Cygnus.

Pani Krakowiak nie zamierzała się poddawać. Małgorzata

Głuszyńska może i nie żyła, Miłosz Janiszewski może i nie żył, ale przecież Brod-Dysk cały czas stanowił zagrożenie dla zarobku jej i jej brata. Nie zamierzała tego tak zostawić.

– Jak nasze sprawy? – zapytał brat. Przed chwilą zadzwonił z Dyskografu.

– Stanisław Szczepański nie uruchomi swojej fabryczki, chociażby to była ostatnia rzecz, do której doprowadzę – obiecała Barbara Krakowiak. – Twój Dyskograf będzie liderem produkcji płyt kompaktowych w naszym regionie. Zobaczysz.

Lider. To rzeczywiście brzmiało dumnie. A jakże. I przynosiło wymierne korzyści. Barbara Krakowiak nie potrzebowała już ziela na smutek, które ukradła z sypialni Małgorzaty Głuszyńskiej, kiedy znalazła sąsiadkę martwą. Nie potrzebowała już sambuki. Była szczęśliwa.

Michalina Niewiadomska siedziała ze swoją córką w ogródku jednej z kawiarni przy Dużym Rynku. Piły herbatę i jadły bajaderki. Obok talerzyka leżał bukietik stokrotek, które Iga dała Michalinie w prezencie na Dzień Matki.

Niewiadomska czuła się szczęśliwa. Wyznanie prawdy na temat przesłuchania z 1979 roku sprawiło, że kamień spadł jej z serca. Niemalże dosłownie. Czuła się o wiele lepiej. Nie tylko psychicznie, ale też fizycznie. Jakby choroba trawiąca jej ciało przez tyle lat nagle się cofnęła.

Dziś rano Michalina była u lekarza. Doktor był zaskoczony pozytywną zmianą, jaka w niej nastąpiła od ostatniej wizyty. Nie potrafił wytłumaczyć poprawy jej stanu zdrowia w żaden sposób. Sugerował, że całkowity powrót do dobrej formy jest bardziej niż prawdopodobny.

– Pani Michalino – powiedział na koniec lekarz. – To chyba jakiś cud. Nie wiem, jaka jest pani tajemnica, ale niech pani tak trzyma dalej!

Michalina Niewiadomska tylko się uśmiechnęła. Nie wiedziała nawet, że wydarzenie sprzed trzydziestu pięciu lat mogło mieć na nią taki wpływ. Przecież to nie ona zamordowała Gabrielę Gałązkę. To Małgorzata Głuszyńska

i Waldemar Gąsiorowski. Nie ona. Ona była niewinna. Teraz wreszcie wszystko się skończyło.

Będzie tylko lepiej.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska otworzyła drzwi samochodu.

– Dzięki, że mnie podwiozłeś pod sam dom – powiedziała do Marka Zaręby.

– Emilia, chyba żartujesz – zachnął się młody policjant.

Przed chwilą mieli krótkie spotkanie w Komendzie Powiatowej. Daniel Podgórski i Klementyna Kopp zdążyli wrócić z Gdańska. Zreferowali im przebieg przesłuchania Anny Giesy.

– Ciągłe nie mogę uwierzyć, że to ona – powiedział Marek Zaręba, kiedy Emilia zaczęła już wysiadać. – Wydawała się taka niewinna!

Strzałkowska i Zaręba rozmawiali o tym przez całą drogę z Brodnicy. Anna Giesa pojawiła się całkiem przypadkowo już na samym początku śledztwa. Później jej ewentualna wina zdawała się zupełnie niedorzeczna, żeby na koniec poczciwa matka Polka okazała się morderczynią.

– A może to nie był przypadek... – mruknęła Emilia.

– Co mówisz?

– Zastanawiałam się nad tym pierwszym tatuażem. Błędnie odczytaliśmy go jako „Gies” i w ten sposób trafiliśmy do Anny Giesy – wyjaśniła Strzałkowska. – Może to nie był przypadek. Może Anna Giesa podświadomie...

– Podświadomie napisała swoje nazwisko na piersi pierwszej ofiary? – dokończył Marek. – Tu już chyba przesadziłaś, Emilia. Wiesz?

– Kto wie... No nic, idę – powiedziała policjantka. – Późno się zrobiło. Muszę przygotować Łukaszowi kolację. Dzięki za podwiezienie!

Emilia Strzałkowska wysiadła z samochodu. Pomachała Markowi Zarębie na pożegnanie. Młody policjant odmachął. Rozwiązali zagadkę, ale Marek wcale nie wydawał się

usatysfakcjonowany. Emilia też czuła tylko pustkę.

Cała ta sprawa była niezwykle przynębiająca. Emilia wolała nie myśleć, co stanie się z dziećmi Anny Giesy i Ignacego Sikory. Na razie pewnie niewiele jeszcze z tego wszystkiego rozumiały, ale z biegiem czasu dowiedzą się, że ich matka i ojciec byli zabójcami.

Strzałkowska stanęła przed drzwiami swojego domu i odetchnęła głębiej. Musiała wziąć się w garść. Nie należało przynosić pracy do domu, jak to mawiał jej wiecznie umykający ojciec. Może miał rację.

Policjantka weszła do długiego korytarza swojego domu w Lipowie i powiesiła klucz na gwoźdźniku. Odetchnęła głęboko raz jeszcze. Ku swojemu zaskoczeniu poczuła apetyczny zapach świeżo upieczonej pizzy.

– Cześć, mamó – powiedział Łukasz, wyłaniając się z kuchni.

Emilia poczuła napływające do oczu łzy. Łukasz trzymał w rękach bukiet kwiatów i pudełko czekoladek. Nie wyglądał już na obrażonego z powodu jej spotkań z Leonem Gawrońskim.

– Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Matki – powiedział trochę nieśmiało jej nastoletni syn.

Sierżant sztabowa Emilia Strzałkowska podeszła do Łukasza i przytuliła go mocno. Była szczęśliwa bez względu na pracę i na to, jak potoczą się dalsze losy jej związku z prokuratorem Leonem Gawrońskim.

Komisarz Klementyna Kopp zarzuciła plecak na ramię. Wróciła do komendy tylko na chwilę, żeby zabrać rzeczy, które zostawiła tu przed niespodziewanym wyjazdem do Gdańska na przesłuchanie Anny Giesy.

Spieszyła się. W domu czekał na nią Don José. Kot na pewno przywita ją z obojętną miną. Ale! Potem będzie się łąsił, aż znajdzie swoje ulubione miejsce na kolanach policjantki. Czarny kot położy się tam z lubością, udając, że nic go nie obchodzi. Może nawet pozwoli Klementynie podrapać się za uchem. A jeżeli straci na chwilę czujność, to może też zamruczy

z lubością. Kto wie?

Klementyna zerknęła na wyświetlacz i włożyła ze złością telefon do plecaka. Dziś Liliana Brzezińska nie zadzwoniła ani razu. Pewnie czekała, aż komisarz Kopp zrobi pierwszy krok. Klementyna uśmiechnęła się krzywo. Liliana chciała czekać? Cóż, Klementyna też była dobra w czekaniu. Poza tym w swoim życiu kochała tylko Teresę.

– Klementyna?

Komisarz Kopp odwróciła się natychmiast. W drzwiach jej gabinetu stał komendant. Patrzył na nią spod zmarszczonych brwi. To nie wróżyło nic dobrego.

– Co? – rzuciła niechętnie policjantka. – Chcesz mi pogratulować kolejnej zamkniętej sprawy, co? Świetnie. Ale! Muszę już iść.

– Wiem, że grzebałaś w moich starych sprawach – powiedział niespodziewanie cicho mężczyzna.

Klementyna Kopp wzruszyła tylko ramionami.

– Tak? Już zapomniałam. Tyle się ostatnio działo.

– Mogę wiedzieć dlaczego? – zapytał komendant, ignorując słowa policjantki.

Klementyna znowu wzruszyła ramionami.

– Nie chcę, żeby komisariat w Lipowie został zamknięty. Chciałam cię zaszantażować – wyznała komisarz Kopp. Nie lubiła kłamać. To zwykle prowadziło donikąd. – Spieszę się. Porozmawiamy kiedy indziej, co?

Komendant pokiwał głową, ale nie ruszył się z miejsca.

– Zobaczę, co da się zrobić w sprawie komisariatu w Lipowie – oznajmił. – Ale chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła.

Klementyna spojrzała na komendanta podejrzliwie.

– Co?

– Ta sprawa, o której czytałaś w starych aktach. Ta, której chciałaś użyć przeciwko mnie...

– Tak?

– Chcę, żebyś ją rozwiązała – powiedział mężczyzna. – Ci ludzie z Lipowa mogą ci pomóc, skoro tak im zależy, żeby komisariat nadal istniał. Ta sprawa nie daje mi spokoju od dawna. Chcę poznać prawdę. Chcę wiedzieć, co się wtedy tak

naprawdę wydarzyło.

Klementyna przytaknęła w milczeniu. Czemu nie?

– Okej. No dobra.

Komendant skinął głową i odwrócił się do wyjścia.

– Klementyna? – dodał w ostatniej chwili.

– Co?

– Oczywiście chcę, żebyście zachowali dyskrecję.

Komisarz Klementyna Kopp pokiwała głową, chociaż teraz interesował ją tylko powrót do domu i wieczór z mruczącym głośno Don José.

Młodszy aspirant Daniel Podgórski czuł, że ręce zaczynają mu drżeć. Denerwował się, ale z drugiej strony wiedział, że to jest to, czego naprawdę pragnie. Ślub i dzieci z Weroniką Nowakowską. Dawniej, kiedy Podgórski myślał o oświadczeniach, planował romantyczny wyjazd, może kolację przy świecach na plaży. Teraz jednak uznał, że najlepiej zrobić to tam, gdzie oboje czują się najlepiej. W domu.

– Daniel, chcesz soku? – zapytała Weronika.

Nowakowska nie podejrzewała chyba nic szczególnego. Stała przy kuchennym blacie tyłem do policjanta. Piła sok jabłkowy prosto z kartonu. Daniel włożył rękę do kieszeni i wyjął pierścionek.

Teraz albo nigdy.

– Daniel, muszę ci coś powiedzieć – odezwała się nagle Nowakowska, odwracając się do policjanta.

Twarz Weroniki przybrała dziwny wyraz. Podgórski włożył pierścionek z powrotem do kieszeni.

– Coś się stało? – zapytał.

– Widzisz, muszę ci coś powiedzieć...

OD AUTORKI

2014

To już czwarta część opowieści o Lipowie. To niesamowite uczucie móc dzielić się z Wami, Drodzy Czytelnicy, losami i poczynaniami moich bohaterów. Bardzo serdecznie Wam dziękuję za towarzyszenie mnie i policjantom z Lipowa w tej drodze!

Dziękuję także mojej Mamie, mojemu Mężowi i całej mojej Rodzinie za wielkie wsparcie, które mi dajecie. Dziękuję mojej najbliższej przyjaciółce, Magdzie, która zawsze jest obok mnie, kiedy jej potrzebuję.

Dziękuję też serdecznie Annie Derengowskiej, Marcie Rzehak, Agnieszce Obrzut-Budzowskiej, Annie Augustyńczyk, Marii Balkan, Elżbiecie Kwiatkowskiej oraz całej reszcie ekipy Wydawnictwa Prószyński Media, która pracuje przy przygotowaniu moich książek do wydania i późniejszej ich promocji. Jesteście wspaniali! Dziękuję także Annie Sidorek i Maciejowi Korbaśkiemu za cierpliwe i rzetelne wychwytywanie wszystkich błędów i nieścisłości w tekście. Dziękuję również panu Mariuszowi Banachowiczowi za cudowne okładki całej serii o Lipowie.

Dziękuję serdecznie także wszystkim recenzentom moich powieści, redaktorom portali internetowych dotyczących literatury, blogerom oraz moim patronom medialnym i pisarzom, którzy mnie wspierają.

Na koniec chciałabym, jak zazwyczaj, powiedzieć, że wszystkie wydarzenia opisane w tej książce, jak również jej bohaterowie, są całkowicie fikcyjne. Powstały w mojej wyobraźni na potrzeby tej powieści. Wszelkie zbieżności z faktycznymi wydarzeniami i osobami nie są zamierzone i można je uznać jedynie za dzieło przypadku. Pozwolę sobie

wymienić kilka przykładów. Tajemnicza historia z przeszłości komendanta to dzieło mojej wyobraźni (więcej dowiecie się z kolejnego tomu przygód policjantów z Lipowa). Nie istnieje także gazeta „Prawdziwy Głos”, sklep Vintage Paradise, Towarzystwo Ekologiczne Cygnus, hodowla ptaków Woliera Tadeusza, klub szachowy Franciszka Trojanowskiego, więzienie w Starych Świątkach czy kolonia Żabie Doły. Mojej wyobraźni podporządkowałam także nieco sprawy związane z działaniem fosgenu.

Tak więc wszystko to fikcja. A może powinnam powiedzieć: z jednym wyjątkiem! Wspaniały szachista Adolf Anderssen istniał naprawdę i naprawdę rozegrał w 1851 roku partię, która do dziś nosi miano „nieśmiertelnej”. Naprawdę istnieli również inni szachiści wymienieni w retrospekcjach z czasów XIX wieku, między innymi pan Kieseritzky, pan Staunton i inni. Ich przygody, charakter, a przede wszystkim miłość Adolfa do panny Agnes Hoffmann, to już jednak moje poczynania. Panna Hoffmann nie istniała, a więc i z całą pewnością nie wpłynęła na styl gry pana Anderssena. Wszystkie zwycięstwa, które odniósł Anderssen, są jego własną zasługą.

A Lipowo? Jak zawsze powiem, że tworząc rodzinną wieś Daniela Podgórskiego, czerpałam inspirację z ukochanej wsi mojego dzieciństwa. Jak wiecie, prawdziwa wieś nosi jednak zupełnie inną nazwę. I na pewno jest tam znacznie spokojniej niż w książkowym Lipowie! Po raz kolejny chciałabym podziękować mieszkańcom „Lipowa” za użyczenie mi ich wsi jako tła wydarzeń czwartej już historii.

Pozdrawiam Was wszystkich serdecznie i do zobaczenia wkrótce

Kasia Puzyńska

Copyright © Katarzyna Puzyńska, 2015

Projekt okładki
Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce
© Olga Popova/Shutterstock

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Anna Sidorek

Korekta
Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8069-686-0

Warszawa 2015

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

lesiojot

Kolejny tom serii o policjantach z Lipowa.
Trzymający w napięciu klasyczny kryminał psychologiczny
z mocnym tłem obyczajowym.

KATARZYNA PUZYŃSKA



VIRTUALO
Księgarnia Internetowa

empik

Prószyński i S-ka

lesiojot